

Tanith Lee

DEMON ŚMIERCI

KSIEGA
PIERWSZA

CZEŚĆ PIERWSZA

Narasen i śmierć

1

Narasen, królowa Merhu, stała w oknie i przyglądała się Pani Zarazie kroczącej przez miasto. Pani Zaraza roznosiła właśnie żółtą febrę, więc była w żółtej szacie - żółtej jak pył unoszący się w kłębach z pustynnych równin i opadający na miasto Merh, żółtej jak cuchnący szlam, w który zamieniła się szeroka rzeka Merh. Narasen, bezsilna i wściekła, powiedziała w duchu do Zarazy: „Co zrobić, by się ciebie pozbyć?” a żółta pani obnażyła zęby i wykrzywiła się niby w odpowiedzi: „Sama wiesz, ale nie zdołasz.” I wnet kłęb pyłu uniósł ją dalej, a Narasen ze złością zatrzasnęła okiennice.

Sypialnia królowej Merh urządzona była w taki oto sposób: Na ścianach, pokrytych malowidłami przedstawiającymi myśliwskie i wojenne sceny, wisiał błyszczący oręż, myśliwski i wojenny. Podłogi zasłane były cętkowanymi i pasiastymi skórami zwierząt zabitych przez Narasen, a nocą w łóżu często gościła jakaś piękna dziewczyna, ostatnia kochanka królowej. Król Merhu wychowywał Narasen tak, jakby była mu synem, a nie córką, przygotowując do objęcia po nim tronu, co bardzo odpowiadało jej naturalnym skłonnościom. Obdarzona była jednak prawdziwie kobiecą pięknnością.

Rok temu, pewnego południa, Narasen wyprawiła się z wybranymi towarzyszami na pustynne równiny wokół miasta, aby zapolować na lamparta. Ubrana była w białe - złoty strój myśliwski, a przy jej rydwanie, niby śnieżne bestie, biegły białe psy. Różowoczerwone włosy ujęła w siatkę ze złota i pereł, aby nie wpadały do oczu podczas galopu, a jej oczy płonęły takim samym złotym blaskiem co oczy zwierzyny, na którą polowała. Lecz tamtego dnia żaden lampart nie miał paść przeszyty jej włócznią. Rydwany dotarły do zakola rzeki, wówczas jeszcze chłodnej i ciemnej, obrośniętej wysokimi drzewami. Kiedy psy piły wodę, towarzysze Narasen znaleźli jakiegoś młodzieńca siedzącego pod drzewem. Był urodziwy i miły dla oka, a chociaż siedział samotnie, bez służby lub straży, strój miał bogaty, a przy jego boku spoczywała laska z białego drewna, zakończona gałką, w której osadzono dwa zielone szmaragdy.

- Przeprowadźcie mi go - rozkazała Narasen, a kiedy młodzieniec stanął przed nią, zwróciła się do niego władczym tonem: - Znajdujesz się w granicach królestwa Merhu, choć, jak mniemam, nie jesteś

moim poddanym. Czy nikt cię nie ostrzegł, że do rzeki przychodzą dzikie zwierzęta łakome ludzkiego mięsa, a na tym pustkowiu żyją rabusie łakomi klejnotów, podobnie jak w każdym innym kraju?

Młodzieniec skłonił się i spojrzał na nią w pewien szczególny sposób, który nie był jej obcy, a oczy mu pociemniały. Przemówił jednak uprzejmie.

- Nazywam się Issak i jestem czarodziejem, a także synem czarodzieja. Nie lękam się ani dzikich zwierząt, ani ludzi, bo znam zaklęcia, którymi mogę zaczarować każdego człowieka i każde zwierzę.

- A więc jesteś człowiekiem albo wyjątkowo szczęśliwym, albo wyjątkowo chępliwym - powiedziała Narasen. - Pokaż mi, co potrafisz.

Młodzieniec skłonił się ponownie i uniósł laskę, a ta natychmiast zamieniła się w białego węża z zielonymi oczami, który owinął mu się trzykrotnie wokół szyi. Urodziwy czarodziej zagwizdał i nagle powierzchnię rzeki rozcięło tysiąc lśniących ryb, a kiedy zagwizdał po raz drugi, z drzew zleciały się ptaki, które obsiadły mu ramiona i ręce.

Towarzysze Narasen głośno wyrazili swój zachwyt. Lecz ona, niezadowolona ze sposobu, w jaki młodzieniec wciąż na nią patrzył, zażądała:

- A teraz sprowadź mi tu lamparta.

Natychmiast ptaki uleciały i ryby zapadły się w rzeczny toń. Issak utkwiał w Narasen spojrzenie, nachmurzył się i zagwizdał po raz trzeci. Pod drzewami pojawiło się dziesięć złotych lampartów, nakrapianych cieniem i własnymi cętkami, a każdy miał oczy Narasen. Królowa uśmiechnęła się i zawołała, by podano jej włócznię. Kiedy jednak cofnęła ramię, by cisnąć włócznię, młodzieniec zdjął węża oplatającego mu szyję i rzucił go na ziemię. I natychmiast wąż zamienił się z powrotem w laskę utkwioną w ziemi, a lamparty znikły.

- A więc to tylko złudzenie - powiedziała Narasen. - Kuglarska sztuczka. Nie lubię, kiedy mnie ktoś zwodzi kuglarskimi sztuczkami.

Wówczas Issak również się uśmiechnął.

- Może to była sztuczka, a może co innego - rzekł spokojnie - ale ręczę, o piękna królowo Merhu, że ty nie potrafisz tego dokonać.

Na to Narasen nic nie odpowiedziała, bo już dawno nauczono ją, co może, a czego nie może uczynić. Odwróciła się więc i skinęła na jednego ze swoich przybocznych.

- Daj temu kuglarzowi parę monet. Wygląda na wygłodniałego, a jego bogaty strój też może być złudzeniem.

Issak odmówił przyjęcia pieniędzy.

- Monety mnie nie zadowolą. Innej rzeczy pragnę i tę chciałbym otrzymać w nagrodę.

- Cóż to takiego?

- Królowa Merhu.

Nikt nigdy nie ośmielił się przemówić do Narasen w taki sposób. Zapłonęła gniewem, choć w głębi serca poczuła się trochę niepewnie.

- No cóż - odrzekła siląc się na obojętny ton - skoro pochodzisz z jakiegoś barbarzyńskiego plemienia i nie wiesz, jak się zachować, nie każę cię wychłostać.

- Tylko Narasen może mnie wychłostać - odparł młodzieniec. - Tylko ona, nikt inny.

Jeden z psów wyczuł gniew swej pani i zawarczał. Lecz Issak wyciągnął ku niemu rękę, a pies natychmiast położył się i zasnął.

- A teraz - rzekł Issak - piękna Narasen musi się czegoś dowiedzieć. Ją też mogę zaczarować, równie łatwo jak jej psa. Pomimo twoich niezbyt łaskawych słów, o pani, na twój widok wzbiera we mnie miłość. Tej nocy legniemy razem w łożu i nie ma takiej siły, która mogłaby mi w tym przeszkodzić.

A kiedy wyrzekł te słowa, na jego twarzy nie pojawiło się pożądanie lub wyniosłość, lecz smutek i ból.

Narasen krzyknęła na swoich przybocznych strażników, którzy rzucili się, by pojmać czarodzieja Issaka. Lecz kiedy już go prawie pochwycili, zniknął jak uprzednio wyczarowane przez niego lamparty. I choć przeszukali najbliższą okolicę, nie zdołali go odnaleźć.

Narasen wróciła do miasta wzburzona. Choć potrafiła być okrutna, wystrzegąca się niesprawiedliwości. Teraz płonęła jednak chęcią ukarania zuchwałego młodzieńca. Wierzyła również, że nie rzucał słów na wiatr, a jako czarodziej pokazał już, co potrafi. Choć męskie ciała nie rozpały w niej namiętności, ulitowałyby się nad nim, gdyby nie zachował się tak zuchwale i obraźliwie. Potem przypomniała sobie dziwny wyraz jego twarzy, rozpacz i ból...

Pchnęła brązowe wrota swojego domu i zawołała, by stawili się przed nią jej magowie.

Noc rozchyliła swoje czarne kwiaty; w dole rozkwitały różnobarwne okna Merhu. W pałacu Narasen podwojono strażę u

wrót, nakazując im zwracać pilną uwagę na wszystkich cudzoziemców. Przed drzwiami wiodącymi do komnat królowej stanęli dwaj olbrzymi siłacze z mosiężnymi maczugami, żądni jakiegoś zamieszania, by wolno im było użyć przemocy, którą kochali. Na wewnętrznych drzwiach zawieszono czaszkę hieny i inne równie skuteczne amulety chroniące przed czarami. Komnaty przepełnił zapach tajemniczych kadzideł i magicznych wonności.

Lecz w miarę jak mijała noc, gęstniejąc i nasycając się spokojem, Narasen również ogarniał spokój, a wraz z nim wątpliwości. Z wysokich okien widziała, jak jedna po drugiej gasną kwietne lampy Merhu - to złoty kwiat, to purpurowy, zrywany granatowymi palcami statecznej ciemności. Pomyślała o magach mamroczących zaklęcia w antykamerze. Pomyślała o wieczerzy, którą z przekleństwem odesłała precz, i o dziewczynie o bladych jak len włosach, którą w tym miesiącu gościła w swoim łożu. A potem pomyślała o czarodzieju Issaku i wybuchnęła śmiechem, wspominając jego zmyślne iluzje, jego chełpliwość, jego żądzę. Zrobiło się jej go żal.

Wyszła więc do antykamery i poprzez purpurowe dymy unoszące się z mosiężnych koszów ujrzała, że jej magowie posnęli, a cała posadzka zaśmiecona jest amuletami i innymi czarnoksięskimi przyrządami: kawałkami kości, srebrnymi cepami i sznurami polerowanych paciorków. Przeszła przez komnatę, otworzyła spiżowe drzwi i ujrzała dwóch siłaczy, twardych i sztywnych jak stare drzewa, a choć stali z otwartymi szeroko oczami, nie widzieli niczego. W chwilę później przez otwarte drzwi wleciał zielony ptak, który śmignął obok niej i wpadł do antykamery, gdzie usiadł na posadzce i nastroszył pióra, stając się zielonym klejnotem. A potem klejnot pękł i wystrzelił z niego świetlisty promień, a gdy promień zbladł, stał przed nią Issak czarodziej.

Spojrzał na Narasen i twarz mu pobladła. W ręku trzymał niebieską różę - jedną z tych, o których często się mówi, lecz których nigdy się nie widuje - i teraz podał ją królowej, a kiedy jej nie przyjęła, powiedział:

- Jeśli wolisz szafiry, mogą być szafiry. Narasen przemówiła z wielkim trudem.

- Zaiste, twoje czary godne są uwagi. Czy teraz zaczarujesz mnie?

- Jeśli mi nie ulegniesz.

Narasen przyjrzała mu się uważnie, jego bladej twarzy i drżącej dłoni, która obejmowała łodygę róży.

- Nie ulegam mężczyznom.

- Tej nocy ulegniesz.

- Może tak, może nie. Napij się ze mną, porozmawiamy o tym.

A skoro nie uczynił ruchu, by ją powstrzymać, podeszła do kredensu z winami i naląła mu szczerze mocnego trunku, lecz sobie napełniła kielich nieszkodliwym sorbetem z daktyli.

- A teraz - zagadnęła, gdy sączył wino - odpowiedz mi. Twoja wiedza magiczna jest zaiste imponująca, a jednak, zamiast ją wykorzystać, schlebiasz mi, aby wkraść się w moje łaski. Mówisz o pożądaniu, a wyglądasz jak człowiek ogarnięty strachem lub rozpaczą. Umizgujesz się do mnie, przynosząc mi podarki, a jednocześnie wciąż powtarzasz, że wezmiesz mnie siłą. Czemu się na coś nie zdecydujesz?

Issak wypił duży łyk, a na twarzy zakwitły mu rumieńce.

- Odpowiem ci, piękna Narasen. Jestem czarodziejem, jak już dobrze wiesz, i często stykam się z demonami, zwłaszcza z Drinu, szpetnymi karłami z Podziemia. Chciałem wzmocnić swą czarodziejską moc, a Drinu zaprowadziły mnie do domu pewnego potężnego maga, o wiele starszego i bardziej zręcznego ode mnie, mówiąc mi, że nauczy mnie swojej tajemnej sztuki. Lecz Drinu bardziej zależało na przychylności owego niegodziwca niż mojej. Za udzielanie mi lekcji zażądał, bym oddawał mu się co noc. Byłem młody i głupi, bardzo spragniony potęgi i mądrości, wydawało mi się więc, że poniżenie ciała jest niczym w porównaniu z potęgą i mądrością, więc zgodziłem się, choć był obrzydliwy, stary i okrutny. Co noc znosiłem jego chutliwe zachcianki. Przez cały miesiąc byłem jego uczniem za dnia i jego kochankiem po zmierzchu. Była to wysoka cena, ale wówczas nie zdawałem sobie sprawy jak wysoka. Bo za każdym razem, gdy zanurzał we mnie swój cielesny oręż, wnikała we mnie jego grzeszna rozwiązłość, rozchodząc się po moim nieświadomym niczego ciele i przenikając do mojej duszy. I za każdym razem oddawał mi jeden rok swojego podłego istnienia, zabierając w zamian jeden rok mojego życia, by przedłużyć nim własne. Taka była natura jego zaklęcia, a wyznał mi wszystko sam, kiedy już nie mogłem tego znieść. „Odchodzisz ode mnie, Issaku”, powiedział, „jako czarodziej obdarowany częścią mojej niezrównanej

sztuki. Lecz chociaż możesz nadal uchodzić za cnotliwego młodzieńca, i chociaż nie zamarła w tobie skłonność do prawości, zapłodniłem cię moją rozwiązłością i innymi przywarami, a tego nasienia tak łatwo się nie pozbędziesz. Dlatego od czasu do czasu będziesz ulegał takim samym zachciankom i żądom, jakie mnie sprawiały rozkosz, stając się gwałcicielem niewinnych dziewcząt i łupieżcą mężczyzn. Nie rozpaczaj jednak, bo niedługo będziesz się tym dręczył. Dodałeś trzydzieści lat do mojego przedziwa życia, a tylko trzy lata pozostały dla ciebie. Zadbaj więc, by były to lata wesołe." I wierz mi, pani, stało się tak, jak ów łotr powiedział. Tak, to prawda, ujrzałem ciebie i zapłonąłem miłością, lecz prawdą jest również, że przywiodło mnie do ciebie dziedzictwo jego nienasyconej chuci. A ta niebieska róża jest darem mojego prawdziwego serca.

Wyrzekłszy te słowa Issak wtulił głowę w ramię jak dziecko i gorzko zaszlochał.

- Musisz oprzeć się temu zgubnemu czarowi - powiedziała Narasen z powagą.

- Próbowałem - jęknął Issak. - Próbowałem ze wszystkich sił, lecz daremnie.

- Przestań szlochać - rzekła Narasen.

Pogarda walczyła w niej ze współczuciem; zapomniała o zagrożeniu. Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Za późno spostrzegła, że łzy nagle obeschły; już ją pochwycił.

Narasen nie należała do słabych kobiet i była wyjątkowo zwinna, lecz młodzieniec okazał się zdumiewająco silny i wnet powalił ją na podłogę. Twarz mu się zmieniła, płonąc niepohamowaną żądzą jak twarz pijanego lub szaleńca, z czystych oczu zdawały się przeziierać oczy kogoś innego.

Jedną ręką trzymał ją w żelaznym uścisku, drugą rozdarł jej szaty niczym papier. Dyszał jak pies, ślina ściekała mu z ust na jej piersi.

Lecz Narasen, witając i częstując winem gościa, nie była taka niewinna, na jaką wyglądała. Z kredensu wyjęła ostry nożyk, który służył jej zwykle do przełamywania pieczęci na dzbanach z winem, i ukryła go w rękawie. Teraz, gdy młodzieniec zawisł nad nią, usiłując wtargnąć w jej ciało, udawa uległość.

- Ach... teraz zaczynasz mi się podobać - powiedziała. - O tak, teraz, kiedy już nie lamentujesz, lecz postępujesz ze mną jak mężczyzna... i jak mój władca... Och, tak... Chodź, mój panie i

władco, mój umiłowany. Uwolnij mi ręce, a pomogę ci odnaleźć wrota.

Issak uwolnił tylko jedną, drugą nadal trzymając w mocnym uścisku. Dopiero gdy pocałowała go i zaczęła pieścić, zapomniał o ostrożności, wierząc, że jest bliski zaspokojenia swej żądz. Wówczas sięgnęła po nóż ukryty w rękawie i dźgnęła go w ucho, przebijając małżowinę.

Jęcząc z bólu, stoczył się z niej na posadzkę. Narasen nie czuła już litości. Podbiegła do ściany, zerwała jedną z myśliwskich włóczni i wbiła mu ją w serce z taką siłą, że ostrze utkwilo w podłodze.

Lecz nie umarł natychmiast. Nagle zmienił się strasznie, pomarszczył, wyschnął i poczerniał, a piękność uszła z niego jak woda z pękniętego dzbana. Był teraz tym, kim go pozostawił jego mistrz; tylko przemyślnie zaklęcia, jakich się nauczył, nadawały mu wyglądu pięknego młodzieńca. A skoro jego widok budził już tylko wstręt, nikczemna natura, którą został obdarzony w zamian za młodość i piękno, zawładnęła nim całkowicie.

- A więc moje trzy nieszczęsne lata kończą się na posadzce twojej komnaty, o królowo - rzekł do niej triumfalnie, jakby nie czuł bólu. - Lecz ty, pani, nie wiesz jeszcze, że jesteś nieczułym wykonawcą własnego przeznaczenia. Więc usłysz, co czeka ciebie, piękna Narasen z Merhu, bo mam jeszcze dość siły, by cię przekląć, a ty nie możesz mnie uciszyć. Nie lubisz mężczyzn w swoim łóżu, a owa odraza do ich ciał sprawia ci wielką uciechę. Zaiste, nim minie rok, królestwo Merhu zazna wielu rozkoszy. Najpierw nadejdą straszliwe wichury, które przyniosą trzy plagi, jakich ludzkość lęka się najbardziej: brak wody, brak mleka w wymionach krów i brak płodności w każdej istocie żeńskiego rodzaju. Królestwo Merhu stanie się jałową ziemią, wygłodniałą i suchą, jego rzeki zamienią się w muł, żółty pył wypełni usta i oczy ludzi, nie narodzi się ani jedno dziecko i ani jedno zwierzę. Merh stanie się tak bezpłodny, jak łono jego królowej. Ludzie będą szlochać i przyzywać bogów, by ulżyli im w niedoli, by nauczyli ich, jak wyrwać się ze szponów owych plag, by powiedzieli im, kiedy i kto zdejmie z ich kraju zły urok. A wyrocznia odpowie im w taki oto sposób: „Merh to Narasen - kiedy piękna Narasen wyda na świat dziecko, wówczas i cały kraj odzyska płodność.” A wtedy, o królowo, przyjdą i uderzą pięściami we wrota pałacu, i zażądają, abyś legła w łóżu z mężczyzną. A wtedy, o

królowo, ku twojemu wstydomi, poniżeniu i odrazie, wydasz swoje ciało na łup wszystkim mężczyznom, oddasz je w rozpacz, jak oddaje je sprzedajna dziewczka, oddasz je każdemu mężczyźnie, który go zapagnie: księciu, prostakowi, świniopasowi, bezimiennemu wędrowcowi. Wszyscy przyjdą do twojej komnaty i wejdą do twojego łóża, lecz żaden z nich nie pozostawi po sobie trwałego znaku w twoim łonie. Na tym bowiem polega żądło ukryte w ogniu owego przekleństwa. Twojego niechętnego, opornego łona nigdy nie zapłodni nasienie mężczyzny. Pozostaniesz bezpłodna, i bezpłodnym pozostanie twoje królestwo, które czeka zguba. Merh to Narasen. A jeśli nawet nie spotka cię śmierć z rąk poddanych, będziesz błąkać się jak wieczny wygnaniec. A kiedy będziesz się błąkać po rozdrożach i pustkowiach, o królowo, pomyśl o Issaku.

A potem zapadł się w sobie i skurczył, a w jego oczach pojawiła się niespodziewana gorycz.

- Lecz pamiętaj, że to jad wsączony przez mojego mistrza kazał mi cię przekląć - wyszeptał. - Prawdziwy Issak nigdy by tego nie uczynił, o ukochana, choćbyś nawet przebiła mu serce oszczepem.

Zamilkł, a po chwili zamiast słów popłynęła mu z ust krew, a za nią uszło życie.

Kiedy Narasen usłyszała tę straszliwą klątwę, przerażenie zmroziło ją do szpiku kości. Wkrótce jednak ciało Issaka pogrzebano w ziemi, a ona pogrzebała pamięć o klątwie głęboko w sobie. Issak spoczął w bezimiennym grobie, w jamie poza murami miasta, gdzie wrzucano ciała przestępców, lecz grób klątwy w duszy Narasen można było odnaleźć, bo jakaś cząstka królowej wciąż nie mogła o nim zapomnieć.

Nie minęło wiele czasu, gdy klątwa dała o sobie znać. Nadciągnęły porywiste wiatry ustrojone w rudy pył z równin, a miasto Merh zamieniło się w piekło. A kiedy przeminęły wichry, wyschła woda w rzece i nie było gdzie poić bydła. Potem okazało się, że matkom brakuje mleka w piersiach, by nakarmić nowo narodzone dzieci, a wnet ucichł nawet płacz w kołyskach, bo najpierw dzieci rodziły się martwe, a później kobiety w całym królestwie Merhu przestały zachodzić w ciążę. Nie spadła też ani jedna kropla deszczu. Powietrze stężało od bezlitosnego żaru i bydło wymarło. Nastął głód, po ulicach miasta zaczęła tańczyć Pani Zaraza, to w czerwonej szacie, to w czarnej.

Ludzie błagali bogów, jak przepowiedział Issak. I tak, jak przepowiedział, zdawało się, że bogowie odpowiedzieli na te prośby, lecz może była to tylko instynktowna odpowiedź kapłanów. W każdym razie z ich zadymionych jaskiń lub z wyschłych studni, z których kiedyś tryskała zielona woda, rozległ się głos wyroczni. A wyrocznia powiedziała: „Merh to Narasen. Kiedy królowa Merhu wyda na świat dziecko, przeminą straszliwe plagi nękające ten kraj. Kiedy łono Narasen wyda owoc z nasienia mężczyzny, kraj również zacznie dawać plony, lecz dopóki jej łono jest wyschłe, kraj będzie suchy jak kość, a nawet bardziej niż kość suchy.”

Wkrótce załomotali we wrota pałacu, obnażając zęby jak wilki, a ich twarze były niby rozpalone kamienie.

Narasen rozmyślała gorączkowo, jak zapobiec ostatecznie zgubie, swojej własnej i swojego królestwa. Czy wszystko musi się wydarzyć dokładnie tak, jak Issak - lub istota, która nim zawładnęła - przepowiedział? Może taka jest natura samej klątwy... Lecz czy naprawdę musi przejść przez to wszystko? Przecież w Issakowym przekleństwie musi być jakaś szczelina, jakieś pęknięcie; wystarczy, że ją odnajdzie, a uratuje kraj przed ostateczną zagładą i siebie samą uwolni od nienawiści poddanych. Bo jeśli Narasen cokolwiek w swym życiu ukochała, to ukochała władzę, ukochała siebie jako królową Merhu. Jeśli po to, by pozostać królową Merhu, musi zostać upokorzona - zgoda, niech tak się stanie, lecz ona sama nie dozna upokorzenia, bowiem upokorzonym naprawdę może zostać tylko ten, kto się przed tym wzdraga, kto tego nie chce.

Narasen otworzyła drzwi. Nie stali przed nimi olbrzymi siłacze, aby jej strzec. Stał tam rząd mężczyzn: niektórzy byli młodzieńcami, inni w kwiecie wieku, niektórzy wyglądali na zakłopotanych, inni spoglądali na nią, jak byk spogląda na krowę. Zaiste, ciężka to będzie kara, pomyślała, lecz nie czas na lamenty i rozważania. Skłoniła się przed nimi uprzejmie. Każdy cieszył się szczególną sławą zdobywcy dziewczęcych i kobiecych ciał. Zaprosiła ich do środka. Weszli do jej komnaty, a potem - po kolei - weszli do jej łóżka i w nią. Zniosła to, poddani ją wychwalali, a kiedy okazało się, że nie poczęła, wysłali do niej najbardziej chutliwych i płodnych spośród siebie. A gdy i to nie pomogło, zaczęli jej przysyłać cudzoziemców.

Rok wypalił się do pomarszczonej, suchej łupiny. Narasen, spalając się w żarze owego roku, również pomarszczyła się i wyschła.

Lecz wypaliła się tylko jej dusza. Piękność zachowała - przykuła ją do siebie. Jak mogłaby zwabiać do siebie mężczyzn i ich nasienie, gdyby utraciła piękność? I pozostała w niej duma. Była wciąż dumna, choć teraz opowiadano sobie o niej nawet w dalekich krajach, nazywając ją Ladacznicą z Merhu - bo nikt nie wierzył, że przyjmowanie tylu mężczyzn nie sprawia jej rozkoszy, a w każdym razie, że nie bierze za to zapłaty. Ból, który ją rozdzierał, osłabł. Nie poddawała się, była ze spiżu. Okryła ów spiż czernią, stał się niby cień w bezlitosnym słońcu. „Strzeżcie się, kiedy będziecie przemierzać Merh”, opowiadali sobie podróżnicy, „bo Ladacznica może pożreć wam członki. Wszyscy o tym wiedzą: jej głód jest nienasycony, a cały jej kraj również łaknie.”

Nadeszła zima - brązowa i ciężka. Cały kraj wyglądał jak opuszczony wrak, wyrzucony na brzeg przez morze ognia. Wysoko w górach leżał śnieg, lecz wnet szerniał. W Merhu nawet zima była chora.

Narasen wędrowała po pogórzach. Sypiała z pasterzami i góralami. Kiedy stawała przed nimi naga, jej miodowa skóra i różowoczerwone włosy wprawiały ich w trans. Zdawało im się, że to jakaś bogini zstąpiła pod dach ich szałasów i marzyli o synach, jakich spłodzą z jej łędźwi. Nie było żadnych synów, lecz oni nawet o tym nie wiedzieli. Oddawała się też rozbójnikom. Jeden zranił ją nożem, a ona go zabiła. Przyniosło to jej pewną ulgę. Teraz do jej łóżka nie trafiały już piękne dziewczęta, a włócznia nie trafiała już w lamparty. W jej łóżku gościli mężczyźni, a ona była lampartem dla ich włóczni. Nie czuła ich, żyła w nieustannym oszołomieniu. Tylko to z niej pozostało: duma i piękność, i bezwstydną znośnię wstydu. I była bezpłodna, a jej kraj umierał.

Zima opuściła Merh, wielce z tego rada. Wiosna przyniosła burzę, lato - żółty pył. Zaraza, która trochę się zdrzemnęła włożyła żółtą szatę i chodziła po ulicach miasta, pukając do drzwi.

A potem nadszedł ów dzień, w którym Narasen - nie wiedząc dlaczego - przebudziła się z odrętwienia. Z okna swojego pałacu spojrzęła na piekło, którym stało się miasto Merh, i pomyślała: Na nic zdało się wszystko, co uczyniłam. Mogłam zachować ciało tylko dla siebie, bo i tak niczego nie osiągnęłam, oddając je innym. Byłam zdobywcą, teraz muszę wyprawić się na łowy. A potem popatrzyła na Zarazę i zadała jej w duchu pytanie: „Co trzeba zrobić, żeby się ciebie pozbyć?” A Zaraza odpowiedziała: „Sama wiesz, ale nie możesz tego

dokonać." I Narasen zatrzasnęła ze złością okiennice, aby odgrodzić się od pyłu i zaduchu Merhu.

Kiedy to zrobiła, usłyszała kobiecy krzyk dochodzący gdzieś z pałacu:

- Och! Mój ukochany zmarł na febrę! Mój ukochany nie żyje!

Wówczas poczuła, jak kaleczą ją ostre, jasne szczątki tej Narasen, którą niegdyś była. Zaciśnęła pięści, bo w końcu ujrzała szczelinę, przez którą mogła się przecisnąć.

2

Nocą pan Uhlum obszedł pole bitwy. Było to dość spokojne miejsce, bo bitwa dawno się skończyła (jak kończą się wszystkie igrzyska, nawet te najwspanialsze), zwycięzcy odjechali z łupami na północ, pozostawiając tylko ciała poległych. Dość spokojne miejsce. Po bitwie nadciągnęły tylne straż: o zmierzchu zleciały się kruki, a teraz nadbiegły szakale, aby rozpocząć własną wojnę pośród piętrzących się stosów niemego i nieruchomego ścierwa. Tu i tam w ciemności błąkały się jakieś światełka, ale i te przypadkowe latarnie czy pochodnie gasły. Tylko gwiazdy płonęły stałym, twardym blaskiem. Gęsto było od gwiazd nad równiną nocy, a wszystkie spoczywały nieruchomo i cicho na niebie, jakby i tam, w górze, również odbyła się wielka bitwa, po której pozostało wiele martwych ciał - tyle że pięknych i jasnych.

To gwiazdy ukazały panu Uhlumowi pole bitwy i to, co na nim pozostało. Uhlum był czarny, satynowoczarny jak skóra pantery albo jak wypolerowany czarny klejnot. Wysoki i smukły, zdawał się wyrzeźbiony z samej czerni. Tylko długie włosy miał białe jak kość słoniowa i biały był również jego płaszcz. I gdy szedł szybkim krokiem, białe włosy i biały płaszcz powiewały i trzepotały za nim jak dym za smukłym czarnym płomieniem. Twarz miał niezwykłą, nieodgadnioną i posępną. Jego oczy, barwy połyskliwej nicości, również były posępne. Ludzie spoglądali na tę mroczną twarz, a potem nie mogli sobie jej przypomnieć. Wyciekała z ich pamięci jak woda z dłoni, uciekała z ich myśli jak fala odpływu z piaszczystego brzegu. A jednak każdy, kto go zobaczył, nie pamiętając o nim, wiedział, że o czymś zapomniał. Pan Uhlum.

Przez pole bitwy przepływał strumień. Tutaj doczołgali się niektórzy z rannych, aby przed śmiercią ugasić pragnienie, a teraz leżeli martwi w wodzie pociemniałej od ich krwi. Nie opodal

strumienia leżał jedyny wojownik, który jeszcze nie wyzionął ducha. Chciał dotrzeć do wody i napić się, ale zabrakło mu sił. Wysoki cień Uhluma przesunął się pomiędzy rannym a gwiazdami i wojownik wydał cichy jęk. Ledwo go było słyszeć pośród innych odgłosów nocy, lecz Uhlum zwrócił ku niemu głowę.

Ostatni wojownik był bardzo młody; wzrok miał zamglony, lecz widział Uhluma wyraźnie. Uhlum nachylił się nad nim, by usłyszeć jego szept.

- Jeśli masz trochę litości, daj mi wody.

- Niekoniecznie muszę mieć litość - odrzekł Uhlum. - Zresztą woda w strumieniu jest zanieczyszczona.

- Szukasz kogoś bliskiego? - zapytał młodzieniec ochryłym szeptem. - Rano przyjdą kobiety, będą obchodzić pole bitwy, z płaczem szukając swoich mężów i synów. Przyjdzie moja matka, przyjdą siostry. Zabiorą to, co pozostawią szakale, i zanoszą do domu. Nie dożyję żniw.

- Żniwa są tutaj - rzekł Uhlum, a jego jasne oczy zaszklily się melancholią: dwie studnie pełne nie wylanych łez.

- Przynieś mi wody - błagał młodzieniec - lub cokolwiek innego do picia, słodkiego lub gorzkiego.

- Mam pewien napój, który mogę ci dać - odpowiedział łagodnie Uhlum - ale chyba nie będzie ci smakował. Pomyśl. Może dożyjesz do rana.

- Noc jest zimna, a mnie się chce pić.

- A więc dobrze - rzekł Uhlum.

Wyjął z zanadru butelkę i czarę z żółtobiałej kości. Napełnił czarę. Płyn nie miał barwy ani zapachu, ani określonego smaku. Uhlum podłożył młodzieńcowi swoje ramię pod głowę i pokazał mu naczynie.

- Za trzy godziny będzie świt.

- Dzikie zwierzęta mnie znajdą - wyszeptał młodzieniec - i nie zniosę tego pragnienia.

- A więc pij - rzekł Uhlum i przyłożył mu czarę do ust.

Wojownik wypił.

- To miało smak letniej trawy - powiedział, a po chwili dodał: - Już nie jestem spragniony.

I zamknął oczy na zawsze.

Uhlum ruszył dalej przez pole bitwy, a spoza wzgórza nadeszło kilka kobiet. Nie niosły zapalonych lamp w obawie przed północnymi najeźdźcami, którzy zakazali grzebania zmarłych w nocy. Otuliły się ciemnością jak płaszcami, a na widok Uhluma zbiły się w ciasną gromadkę, jęcząc ze strachu. Lecz kiedy je minął, jedną z kobiet opuścił strach i zawołała za nim:

- Znam cię, ty szakalu!

I splunęła na ziemię tam, gdzie przeszedł.

3

Pięć mil na wschód od miasta Merhu wznosiła się ściana gór; podróż przez nie zajmowała siedem dni. Za górami leżała jałowa dolina, a na końcu doliny rozpościerał się las pradawnych martwych cedrów. Ta część drogi zajmowała dwa dni. Poza martwym lasem otwierał się żyzny kraj, gdzie krzewiło się bujnie wiele różnorodnych roślin, choć nikt ich tu nie siał ani nie doglądał - same rosły i owocowały, jak chciały. Tutaj zakwitały cętkowane jak koty róże z wielkimi kolcami, jabłka rodziły się słone, a owoce pigwy miały smak piołunu. W gęstwinie roiło się od jaskrawo upierzonych ptaków, które jednak nigdy nie śpiewały. Żyło tu wiele drapieżnych zwierząt, lecz ludzie rzadko padali ich ofiarą, ponieważ rzadko zapuszczali się w te strony. Trzy mile na wschód od skraju dżungli rósł zagajnik dzikich granatów. Ich owoce były trujące i miały barwę jadowitej czerwieni. Pośrodku gaju stał niebieski dom. Ludzie nazywali go Domem Niebieskiego Psa, a mieszkała w nim czarownica.

Narasen, szukając szczególnego rodzaju wiedzy, rozpytywała swoich czarnoksiężników, a także wszystkich obcych magów, którzy pojawili się w mieście. Poddani stracili do niej resztki szacunku; oni również zaczęli ją nazywać Ladacznicą. „Nie może począć, bo żądza wypaliła jej łono”, mówili. Po ulicach biegały gromady rozwydrzonych wyrostków, wykrzykując obelgi pod adresem królowej, na ścianach domów wypisywano lżące hasła. Pewnej nocy grupa mężczyzn wdarła się do pałacu, aby ją uśmiercić, lecz Narasen chwyciła miecz i wszystkich pozabijała. W końcu, widząc, że w mieście nie znajdzie tego, czego szukała, wymknęła się w przebraniu, bocznymi drogami, wzięwszy ze sobą tylko dziesięciu wojowników. Resztę przybocznej straży pozostawiła w Merhu, by strzegła pałacu. Wraz ze swoją małą eskortą przebyła góry, jałową dolinę, skamieniały las cedrowy i wjechała w krainę zbuntowanej roślinności. Jedenastego

dnia podróży dotarli do łąk graniczących z gajem jadowitych granatów. Tu Narasen zsiadła z konia i ruszyła dalej sama. Szła pół mili przez bujną trawę, a potem przez gaj, aż doszła do domu czarownicy.

Choć było popołudnie, w gaju panował cienisty półmrok. Dom Niebieskiego Psa wyrastał nagle z owego półmroku, jakby w nim drzemał. Dwie kolumny barwy indygo strzegły mosiężnych drzwi, nad którymi płonęła wysmukła lampa z niebieskiego szkła. Narasen podeszła do drzwi i zastukała w nie grubym końcem szpicruty. Drzwi natychmiast się otworzyły i stanął w nich pies. Rozwarł pysk i zaszczekał, ale to szczekanie było mową.

- Kim jesteś?

- Potrzebuję pomocy twojej pani - odpowiedziała Narasen.

- To oczywiste. Ja natomiast potrzebuję imion.

- A więc poznaj moje: jestem Narasen, królowa Merhu.

- Ci, którzy na tym progu kłamią, niekiedy na nim umierają.

- A więc nie kłam i żyj - odburknęła Narasen. - Dalej, prowadź mnie do twojej pani - więdźmy. Nie będzie mnie wypytywał żaden kundel.

Na to pies zamachał ogonem i polizał jej dłoń, a język miał jak suche i gorące szkło.

- Pójdź za mną - zaszczekał i popędził w głąb domu. W środku wszystko było niebieskie. Pies poprowadził

Narasen po schodach z lazurytu, a potem do komnaty, w której paliło się wiele niebieskich lamp.

- Racz usiąść - rzekł pies. - Czy przynieść ci coś do jedzenia i picia?

- Nie będę nic jadła ani piła - odpowiedziała Narasen. - Ludzie mówią, że twoja pani jest tak mądra, iż niewielu ośmiela się wejść do jej domu. Powiadają też, że więcej osób weszło do tego domu, niż z niego wyszło.

Pies zaśmiał się, a był to dziwny odgłos, przypominający grzechotanie kawałków cegieł w kominie. W tym samym momencie odchyliła się zasłona i do komnaty weszła sama czarownica.

Narasen wiele się nasłuchiwała o pani niebieskiego dworu, bo wielu ją znało, tyle że prawie nikt jej nie widział. Jedni mówili, że przybiera postać bazyliuszka o oczach z krzemienia, inni, że to staruszka licząca sobie tysiąc lat lub więcej. Narasen ujrzała jednak kilkunastoletnią

dziewczyne, smukłą jak jedwabna lina i okrytą tylko brązowymi włosami, które opadały jej aż do kostek. Spod welonu włosów raz po raz błyskało bielą to szczupłe ramię, to stopa lub udo, to piersi podobne do pączków lilii wodnej. I choć Narasen wyczuwała w tym czary, to jednak mimo woli poczuła się zmieszana. Młoda wiedźma przeszła przez komnatę, usiadła u stóp Narasen i spojrzała na nią z uśmiechem, a jej usta przywodziły na myśl pierwszą rosę o świcie.

- A teraz opowiedz mi o wszystkim, starsza sestro - powiedziała wiedźma - bo musiałaś przebyć długą drogę, aby mnie odnaleźć.

Narasen skupiła się w duchu, starając się nie zwracać uwagi na niebieskiego psa, który z wyraźną ulgą legł w kącie, gryząc kość z niebieskiej porcelany, oraz na srebrnobiałe ciało dziewczyny, raz po raz błyskające spod welonu włosów. Opowiedziała o swoich kłopotach, o Issaku i jego chutliwym mistrzu, o przekleństwie, plagach i powolnym konaniu Merhu i o swojej bezpłodności, która jest przyczyną wszystkich tych nieszczęść.

- A więc musisz oddawać się mężczyznom, aby urodzić dziecko - zauważyła czarownica.

- Tak, muszę, choć nie przepadam za ramionami ludzkich samców. Oddawałam się mężczyznom - bykom i mężczyznom - kozłom, brudnym włóczęgom i śmierdzącym rabusiom. I wierz mi, wcale się nie oszczędzałam. A jednak żaden z nich mnie nie zapłodnił. Bowiem to przekleństwo ma ogon skorpiona: nasienie żadnego żyjącego mężczyzny nie wzbudzi życia w moim łonie.

- No cóż - powiedziała czarownica - to chytra klątwa. Pokazać komuś drogę, a potem zagrozić na nią wejście. Lecz klątwy są klątwami, a klątwa takiego maga jak Issak trudna jest do przełamania. Dlaczego mnie szukałaś, królowo?

Narasen dostrzegła przebiegły błysk w jej oczach. Myśli tak jak ja, powiedziała sobie w duchu.

- Szukałam cię, bo słyszałam, że pani Domu Niebieskiego Psa rozmawia czasem z pewną potężną osobą, jednym z Władców Ciemności.

- A gdyby tak nawet było, co by to pomogło Narasen, królowej Merhu?

- Przyszło mi do głowy, że skoro mam począć dziecko, aby ocalić Merh, muszę znowu oddać się mężczyźnie. Ale już tylko jeden jedyny raz. I pod warunkiem, że nie będzie to żyjący mężczyzna.

Przez chwilę wiedźma milczała, lecz ponownie się uśmiechnęła.

- Królowa Merhu też jest mądra - powiedziała w końcu.

Wstała, odgarnęła włosy i odsłoniła przed Narasen całą olśniewająco białą wspaniałość dziewczęcego ciała, i ukazała jej też złoty łańcuszek wokół kibici, z którego zwieszały się białe kostki ludzkich palców.

- A więc, jeśli cię zrozumiałam, oczekujesz ode mnie, abym wezwała jednego z Władców Ciemności, który może ci pomóc, jeśli zechce. Mogę go wezwać, a on może przybyć, albo i nie, bo nie jest na moje skinienie! Jestem tylko jego sługą. Może jednak przybędzie. Lecz jeśli to uczyni, bądź przygotowana na straszliwe przerażenie, bo ci, którzy z nim nie obcują, zwykle go się boją. To nie byle co, wzywać go i być wysłuchanym. Musisz też być gotowa do zawarcia z nim układu.

- Coś o tym słyszałam - powiedziała Narasen.

- Możesz się nie zgodzić, możesz mu to powiedzieć w twarz. On nikogo nie przymusza. Ale niełatwo mu odmówić. Czy wciąż chcesz, bym go wezwała?

- Chcę tego.

Czarownica zadrżała, nie wiadomo czy z przerażenia, czy z radości, może z jednego i drugiego, a może z zupełnie innego powodu. Gwizdnęła i pies umknął z komnaty, a lampy przygasły. Podeszła do stołu i otworzyła szkatułę z kości słoniowej, która tam stała. W szkatule był bębenek, mały jak dziecinna zabawka. Zrobiono go z kości, a skórę, którą był obciągnięty, zdarto z ciała pięknej martwej dziewczicy.

Czarownica usiadła ponownie u stóp Narasen i zaczęła szybko bębnić końcami palców w skórę bębena. Dopiero teraz Narasen spostrzegła, że trzeci palec lewej ręki wiedźmy był w połowie obcięty. Przypomniała sobie kostki palców wiszące na łańcuszku oplatającym ją w pasie, ale w tym samym momencie wszystkie lampy pogasły i zrobiło się zupełnie ciemno.

Nie była to zwykła ciemność w domu. Była to ciemność przestronnej podziemnej jaskini, pusta, całkowicie wydrążona z barw i kształtów. Ciemność, którą wypełniały jedynie szepty, oddechy, westchnienia i niestrudzone bębnienie palców wiedźmy w dziewczęcą skórę bębena.

Słońce zachodziło; w jego czerwonym blasku Uhlum stał przed drzwiami jakiejś nędznej lepianki, a młoda kobieta zapraszała go do środka.

- Proszę, rozgość się w moim domu.

Prawdę mówiąc, nie bardzo miał w czym się rozgościć. Była to nędzna ciemna nora. Na jednym legowisku siedziała gromadka maleńkich dzieci, milczących i poważnych jak sowy. Na drugim leżała dziewczynka; mogła mieć trzy lub cztery lata.

- Posłałam męża po doktora - powiedziała młoda kobieta - ale jeszcze nie wrócił. Czy wejdiesz do środka, panie?

- Wejdę - odrzekł Uhlum i przekroczył próg.

Zdawało się, że do ciemnej nory wszedł wraz z nim wielki spokój. Oczy chorej dziewczynki złagodniały, jakby przestała się bać lub cierpieć. Lecz matka poczuła dreszcz lęku.

- Niestety - powiedziała - nie mamy ci czym zapłacić. Obiecuję ci jednak wszystkie pieniądze za nasze prosięta, kiedy zabierzemy je od maciory i sprzedamy.

Uhlum pochylił się nad dzieckiem. Zatęchłe powietrze izby przesycala dziwna aura dziecięcości, jak szary brzask, choć niebo w otwartych drzwiach było czerwone.

- Poczekaj - powiedziała matka. - Powiedz mi, panie, kim jesteś?

- Przecież wiesz - odrzekł Uhlum. Kobieta klasnęła w dłonie.

- Myślałam, że jesteś lekarzem... Pomyliłam się. Błagam cię, odejdz.

- Za późno. Przez trzy ostatnie noce modliłaś się, by zabrano ci przynajmniej jedno z tych wielu ust, które musisz nakarmić, przynajmniej jedno z tych maleńkich ciał, które musisz przyodziać i ogrzać.

- To prawda - mruknęła matka. - Bogowie ukarzą mnie za tę niegodziwość.

Zakryła twarz dłońmi i zaszlochała. Uhlum pochylił się jeszcze niżej nad dziewczynką i lekko dotknął jej serca, a potem wyprostował się i odszedł. A kiedy wychodził, dwie beznamiętne, lodowate łzy wymknęły się spod białych rzęs i spadły na dzikie kwiaty rosnące przy drzwiach. I kwiaty natychmiast zwiędły.

Dzieci na legowisku zaczęły szczebiotać do siebie, bo zdawało im się, że wieczorny wiatr wtargnął na chwilę do izby, a kiedy wyleciał, zrobiło się nieco cieplej.

Uhlum szedł ku słońcu, a kiedy zaszło, kroczył dalej w tym samym kierunku. Szedł szybko, o wiele szybciej od człowieka. Jego kroki pochłaniały ziemię, tak że słońce wciąż przed nim zachodziło, czerwone jak henna, wciąż zapadało za krawędź świata, ale nigdy do końca. W owych czasach Ziemia była jednak płaska, więc w końcu - choć po dość długim czasie - słońcu udało się przed nim ująć i zniknąć.

Uhlum zatrzymał się i czekał, aż noc nadciągnie ze wszystkich zakątków Ziemi. A kiedy go dosięgła, rozległ się cichy dźwięk, delikatny i rozproszony, niby odgłos kropli deszczu padających na spieczoną ziemię lub jak trzepotanie skrzydeł nocnych owadów o szyby - dźwięk zbyt nikły dla uszu śmiertelnika, lecz dostatecznie wyraźny, by go usłyszał Uhlum. A potem z owej rozproszonej mieszaniny dźwięków wyłowił bębnienie dziewięcioma palcami w skórę bębena.

Uhlum stał nieruchomo i rozmyślał. Jego oczy, gotowe ronić nieczule łzy, zwróciły się ku wschodowi. Z jego twarzy nie można było niczego wyczytać. Była to twarz pusta. Swoją nastrój i swoją rolę wyrażał raczej całą osobą. Może bogowie stworzyli go dawno, dawno temu, kiedy rzeczy nie miały jeszcze kształtów, kiedy świat pogrążony był w bezimiennym chaosie. A może zaistniał dopiero wówczas, gdy zaczął być potrzebny - on albo jego imię. Lecz teraz już istniał, i stał tutaj, na grzbiecie świata, wsłuchując się w to coś, co go błagało i przyzywało, i podejmował decyzję.

Młoda wiedźma wstrzymała oddech, lecz nie przestała uderzać w bębenek. Wokół jej wąskiej kibici zaklekotały kostki na złotym łańcuszku. A potem w ową wydrążoną ciemność, jaką się stał Dom Niebieskiego Psa, wlała się cienista poświata, która oświetliła wszystko, choć niczego nie ogrzała.

W najdalszym końcu komnaty pojawił się wychudły, bladoniebieski pies. Wiedźma odłożyła bębenek. Powstała, kostki wokół jej pasa zaklekotały głośniej. Uklękła przed psem, jej włosy rozsypały się na posadzce.

- Panie - powiedziała - przebacz swej służebnicy, że cię wezwała.

Pies podszedł bliżej. Miał szlachetne, lecz widmowe kształty. Wielu było takich, co go ujrzeni i poczuli zimny uścisk przerażenia na gardle, lecz Narasen nie czuła strachu. A potem zniknął, a w jego miejscu pojawił się mężczyzna w białym płaszczu i o białych włosach,

czarnoskóry, o fosforyzujących oczach. Był piękny, najpiękniejszy ze wszystkich mężczyzn, jakich Narasen widziała, i przedziwnie obcy, obcy ponad wszelkie wyobrażenie. Teraz poczuła narastający lęk. Nie bała się tego mężczyzny, nie był to w ogóle lęk podobny do lęku, jaki dotąd знаła. Był jak posępne przygnębienie nawiedzające ludzi w schyłkowych godzinach nocy, jak rozpacz, jak wszechogarniająca, nieunikniona, bezbolesna otchłań.

Nawet nie spojrzął na Narasen; wpatrywał się w twarz czarownicy pustym wzrokiem.

- Jestem - rzekł cichym i łagodnym głosem.
- Panie mój, jest tu ktoś, kto pragnie cię o coś błagać.
- Przeprowadź ją.

Wiedźma powstała i skinęła na Narasen, a Narasen powstała i zaczęła ku nim iść, aż znalazła się bardzo blisko mężczyzny w białym płaszczu. I spojrzała mu prosto w twarz, nie opuszczając powiek, choć bezdenne oczy zdawały się ją wciągać w swoją otchłań, zdawały się ją chciwie wsysać.

- Jak widzisz, panie - powiedziała - nie lękam się stanąć przed tobą, bo w końcu nikt nie może ciebie uniknąć. Pozdrawiam cię i oddaję ci cześć, Panie Śmierci.

Pan Śmierć - Uhlum, jak go czasem nazywano, jeden z Władców Ciemności, rzekł tylko:

- Powiedz mi, czego pragniesz.

- Aby zachować koronę i królestwo, muszę począć dziecko. Zostałam przeklęta, a zgodnie z klątwą nie mogę począć dziecka z żyjącym mężczyzną. Muszę je począć w ramionach zmarłego. A zmarli to twoi poddani, Panie Śmierci.

Wiedźma klasnęła w dłonie. Pojawiło się kamienne krzesło okryte białym aksamitem. Oparcia były ze złota, na ich końcach szczyrzyły zęby dwie czaszki psów z perłami w oczodołach. Pan Śmierć zasiadł na krześle. Przez chwilę zdawał się rozważać słowa Narasen, potem rzekł:

- To jest możliwe. Czy jednak zdołasz to znieść?

- Ciała mężczyzn są mi wstrętne - odpowiedziała Narasen śmiało, nie zważając na to, że Pan Śmierć przybrał kształt mężczyzny. - Równie dobrze mogę oddać się zmarłemu.

- A znasz cenę?

- Wiem, że kiedy umrę, muszę zostać twoją niewolnicą. Tak wierzą ludzie.

- Nie - odrzekł Uhlum, Pan Śmierć. - Jestem królem pustego królestwa. Powiem ci jednak, jaka jest moja cena. Dowiesz się tego natychmiast. Musisz pozostać ze mną przez tysiąc śmiertelnych lat. Ani mniej, ani więcej.

Twarz Narasen zbielała, a już przedtem była blada.

- Zaiste, niewielka to cena - odpowiedziała posępnie. - Powiedz mi jednak, do czego ci jestem potrzebna, skoro zadowolisz się jednym tysiącem lat?

Pan Śmierć spojrział na nią. Serce Narasen zamarło, lecz nadal nie Uhluma się bała, choć nigdy nie czuła większej trwogi.

- Racz mnie, panie, objaśnić.

Coś przemknęło przez twarz Uhluma, Pana Śmierci: nie był to wyraz jakiegoś uczucia, nie był to cień. Coś.

- Życie cię nie zniszczyło - rzekł. - Większość z tych, co mnie szukają, to ofiary własnego życia, oddające się trwodze, zanim oddadzą się mnie. Lecz ty przebiłaś się płomieniem przez brud i krzywdę, którymi przysypano twój ogień. Miłe mi będzie twoje towarzystwo. I to właśnie mi sprzedajesz, kobieto, na tysiąc lat. Swoje towarzystwo. Nie swoje ciało. Twoje ciało i tak do mnie należy, wezmę je, kiedy wydasz ostatnie tchnienie. Moim jest twoje ciało i w ziemi będzie spoczywać, dopóki nie stanie się ziemią. Nie chcę też twojej kobiecości, bo nie kocham ani mężczyzn, ani kobiet. Śmierć nie spółkuje, Śmierć nie splata się z nikim w miłosnym uścisku. Pomyśl, pani, co by to było, gdyby Pan Śmierć składał płodne nasienie w czyimś ciele. Nie. Zatrzymam twoją duszę, zatrzymam ją sobie w twoim ciele i będzie mi w tym ciele towarzyszyć przez tysiąc lat. A potem odzyskasz wolność, będziesz mogła mnie opuścić.

- I dokąd pójdę?

- Nie pytaj mnie o wieści z życia - poza - życiem - odrzekł Uhlum.

- Ukaż mi swoje królestwo i ukaż mi, w jaki sposób pocznę w sobie życie, a powiem ci, czy zgadzam się na twoje warunki.

Z mroku poza krzesłem dobiegł ostry szept wiedźmy:

- Jesteś zbyt wymagająca! Skoryguj życzenie! Lecz Uhlum wypowiedział kilka słów, których Narasen nie usłyszała, a wiedźma westchnęła i zamilkła.

Wówczas Uhlum powstał z kamiennego krzesła. Jego biały płaszcz wydał się jak biała fala, otulając Narasen. Komnata wiedźmy nagle znikła. Królowa znalazła się w czarnym powietrzu ponad ziemię, owinięta białym całunem Śmierci. W dole migotały światelka ludzkich domostw, w górze płonęły gwiazdy. Płaszcz Uhluma był obszerny. Narasen spoczywała w nim wygodnie, lecz nie dotykała Śmierci.

- Dokąd zmierzamy? - zapytała Narasen.

- Do Śródziemia - odrzekł Pan Śmierć. - Tam, gdzie leży moje królestwo.

Poszybowali ku Ziemi: Uhlum, Pan Śmierć, jego biały płaszcz i Narasen. Z ciemności wyłoniła się szeroka dolina, a kiedy w nią opadli, Uhlum wyciągnął rękę i dolina rozstąpiła się przed nimi. Gdziekolwiek bowiem choć raz zagościł Pan Śmierć, tam mógł powrócić i władać. A cała Ziemia była jednym wielkim cmentarzyskiem, bo na każdej piędzi ziemi ktoś kiedyś umarł: ptak lub drapieżne zwierzę, mężczyzna lub kobieta, drzewo lub kwiat czy choćby źdźbło trawy. Nawet w głębinach mórz, które rządzą się własnymi prawami i mają swoich władców, nawet tam wciąż umierały istoty: ryby w górnych warstwach oceanów i morskie potwory w mrocznych głębiach. A skoro umierały, więc i tam mógł zagościć Pan Śmierć, jeśli mu się spodobało, a nikt nie mógł mu tego zabronić. Tak więc dolina posłusznie rozstąpiła się przed nim, skała rozwarła swą paszczę i Pan Śmierci poszybował do wnętrza Ziemi wraz z królową Merhu spowitą jego płaszczem.

Droga była niewidzialna, trochę niby przejście z jawy do snu, bo przez mózg Narasen przepływały twarze i obrazy, choć ich nie widziała oczami. Raz miała wrażenie, że pochłonęły ją wody ołowianej rzeki, gdzie tłoczyły się gromady widmowych istot, lecz wnet to wrażenie przeminęło, a płaszcz Śmierci unosił ją coraz dalej i dalej w głąb Ziemi, aż w końcu miękko wysunęła się z całunu i spoczęła na czymś w głębokiej ciszy i całkowitej ciemności.

Strach, do którego już prawie przywykła, skoczył jej do gardła; wtedy go poczuła.

- Czy jestem w grobie? - zawołała ochrypłym głosem.

- Bądź cierpliwa - odrzekł Uhlum, Pan Śmierć. - Zaraz ujrzysz i usłyszysz wszystko, co może być ujrzone i usłyszane w moim królestwie. Na chwilę oślepaś, ponieważ znalazłaś się tutaj żywa.

Podobnie jak duch zmarłego, który nie może uwolnić się od swojego świata, i wraca, by odwiedzić ziemię jako widmo bez kształtów i substancji, tak ty jesteś widmem w świecie umarłych.

Na te słowa Narasen odzyskała wzrok i ów drugi zmysł, słuch. Nie czuła jednak żadnej woni, nie mogła niczego dotknąć, a nawet gdyby mogła coś włożyć do ust, nie poczułaby smaku. Była, jak Uhlum powiedział, żyjącym widmem w królestwie umarłych.

Lecz i tak ujrzała i usłyszała za wiele. Przeniknął ją dreszcz aż do samego rdzenia serca, ją, która w świecie ludzi przebijała oszczepem lamparty, ją, która rzucała się w gąszcz walczących na polu bitwy.

Stali na skalnej skarpie, wokół nich rozciągały się równiny i wzgórza, a po lewej stronie zamglony łańcuch gór. Barwą tego świata była szarość. Skarpa wyglądała jak ołowiana, szara trawa, która ją porastała, podobna była do włosów staruszki, a brzegi rozpadlin pokrywał ciemnoszary mech. Pod skarpą rozpościerała się pokryta szarym piaskiem pustynia, a skaliste wzgórza dawały czarny cień. Niebo Śródziemia było szarobiałe i puste, bez księżyca i bez gwiazd. Nie zmieniało się nigdy, tylko czasami pojawiał się na nim obłok niby garść zimnego popiołu. Tyle jeśli chodzi o widok. Co do dźwięków, to w głuchej ciszy rozbrzmiewał tylko grzmiący wiatr. A choć ryczał i pędził przed sobą chmury, nie miał mocy, bo chmury pełzły powoli, szare trawy nawet nie drgnęły, a wielki płaszcz Pana Śmierci zwisał nieruchomo, jakby ważył tysiąc ton.

Widząc, że Narasen zadrzała, Pan Śmierć powiedział:

- To nie jest twój kraj. Czemu się boisz?

- Bo znajduję się w miejscu, gdzie chciałbyś mnie widzieć wiecznie. W miejscu, gdzie znajdują się wszyscy, którzy umrą.

- Pokażę ci ten kraj - rzekł Pan Śmierć - a jeśli dostrzeżesz gdzieś człowieka, powiedz mi.

I zstąpił ze skarpy, a Narasen poszła za nim. Uhlum rzucał cień czarny jak bezdenne otchłań, lecz Narasen utraciła swój cień. Szli przez posępny kraj, przez pustynię, przez skaliste wzgórza. Za wzgórzami wyłonił się las, drzewa były w nim pylonami szarego łupku, ociekającymi szarym mchem. Wiatr szumiał, lecz niczego nie poruszał. Dotarli do rzeki. Odbijało się w niej niebo i Narasen dostrzegła w niej tylko szarobiałą powierzchnię; nic jej nie mąciło, nic nie prześwitywało z głębi.

Szli długo. Niebo nie zmieniło się, nie było żadnej szczególnej pory dnia. Narasen, widmo życia, nie czuła zmęczenia. Wciąż szli i szli. Rozglądała się uważnie wokoło i nasłuchiwała, lecz nie usłyszała krzyku człowieka lub zwierzęcia. W koronach kamiennych drzew nie gościły ptaki. Wiatr nie przynosił żadnych odgłosów. Nikt tu nie mieszkał.

- Tylko ja - powiedział Uhlum, bo czytał w jej myślach. - Czasami inni. Ci, którzy przyjęli moje warunki: tysiąc lat za coś, co tylko Śmierć może dać.

Narasen spojrzała na Śmierć.

- A więc to prawda, że dusze zmarłych wędrują gdzie indziej i nie można nad nimi zapanować. Jeśli tak, to żal mi ciebie - powiedziała chłodno - bo nawet królestwo Merhu nie jest warte tyle, bym dała się tu uwięzić.

- Poczekaj, aż zobaczysz wszystko.

Szli dalej, a Narasen, prawdziwa lamparcica, spoglądała na Uhluma ze wzgardą i niechęcią, choć otaczała go aura przerażenia.

Doszli do granitowego pałacu. Narasen nie odnalazła w nim piękna. Wysokie kolumny podtrzymywały cieniste sklepienie. W środku nie było okien ani lamp, panował tu mętny półmrok. W wielkiej hali czekało na Pana Śmierć granitowe krzesło bez ozdób. I Pan Śmierci usiadł, opierając podbródek na dłoni. Spojrzał w pustą przestrzeń hali i - bez żadnego odgłosu lub oznak żalu - łzy popłynęły spod jego białych rzęs. Symbol tego, czym się stał. Takim stworzyli go bogowie lub koszmary nękające ludzkość. Melancholijna rozpacz pośród zimnych gładów.

A potem Narasen usłyszała muzykę. Wzdrygnęła się i okręciła na pięcie. Przez liczne arkady wkraczali do hali mężczyźni i kobiety, a wraz z nimi napływała muzyka, zagłuszając poświsty i ryki wiatru. A kiedy mężczyźni i kobiety wypełnili halę, w okamgnieniu zaszła w niej gwałtowna zmiana. Zmieniło się wszystko.

Hala mieniła się purpurą, szkarłatem, karmazynem i złotem. Świeczniki rozkwitały blaskiem, podłogę pokrywała mozaika wyobrażająca smoki, złote lampy zwisały między kolumnami z rzeźbionego i pozłacanego drzewa cedrowego. Sklepieniem była kopuła z miliona przejrzystych klejnotów, niebieskich, czerwonych, zielonych i fioletowych, a pod nią polatywały gołębie w czarne i białe paski, zamieniając się w latające tęcze. Stoły z barwnego szkła

zastawione były jadłem i napojami. Pan Śmierć nie ruszył się ze swojego krzesła, ale teraz był to tron ze złota. Za nim wisiał krwawy proporzec. Światło igrało na jego złotym naszyjniku i pierścieniach, a białe szaty migotały srebrem i klejnotami. Wysadzany rubinami diadem przytrzymywał jego długie białe włosy, a na kolanach spoczywało berło z kości słoniowej zakończone srebrną czaszką. Zaiste, był teraz Królem - Śmiercią.

Narasen ujrzała to wszystko, a on rzekł do niej, i tylko do niej, i tylko ona to usłyszała:

- Ci mężczyźni i kobiety tworzą sobie iluzję. Udają, że są moim dworem, a ja ich cesarzem. Ale to tylko strzępy ich świata i światowego przepychu, które odtwarzają tutaj ze wspomnień, ponieważ nie mogą znieść Śródziemia takim, jakim ono naprawdę jest.

- A w jaki sposób dokonują tych czarów? - zapytała Narasen chłodnym tonem.

- Dokonują tego, bo ich dusze żyją, choć ciała są martwe. Dusze wciąż tkwią w ciałach. To ci, którzy zawarli ze mną umowę i zgodzili się pozostać tu przez tysiąc lat. Dusza to wielki czarodziej. Tylko żywe ciało jej zawadza.

- A ty, panie, który trzymasz ich tu dla rozrywki, nie potrafisz znaleźć czegoś takiego na Ziemi?

- Ziemia nie należy do mnie - odrzekł Uhlum - choć ja należę do ziemi. Odwiedzam ją często, ale tylko w interesach.

Narasen odwróciła się i poszła między mężczyzn i kobiety, których ciała były martwe, lecz których dusze Pan Śmierć uwięził w ciałach. Ciała pozostały nienaruszone, bo nawet robaki i rozkład nie ośmieliły się wkroczyć na osobiste terytorium Śmierci. Ciała zachowały też wiek, jaki mieli ludzie w chwili śmierci, lecz wiek im nie przeszkadzał, były rześkie i żwawe. Niektórzy, młodzi, którzy umarli na jakąś chorobę lub stracili życie na polu bitwy, zachowali swe rany, choć były przemyślnie ukryte. Młody żołnierz, któremu przebito mieczem pierś, miał złotą różę na sercu. Inny, który wyzionął ducha, gdy kamień ugodził go w oko, miał oko z szafiru i zdawał się widzieć nim równie dobrze, jak drugim. Pod kolumną siedziała kobieta, bardzo blada, bo utraciła życie podczas porodu i upłynęło z niej wiele krwi. Na podołku piastowała małe tygrysiątko, nie większe od niemowlęcia. Z uśmiechem podała mu pierś, a ono zaczęło ją ssać.

Na środku hali dwóch starców z siwymi brodami siedziało na posadzce, grając w kości, popijając wino i śmiejąc się jak młodzieńcy.

Uhlum stanął u boku Narasen.

- Nie ma tu bólu i, pomimo wieku ciała, żadnego poczucia starości lub słabości. Nie ma też wina. To złudzenie, które sami stworzyli, a jednak czują jego smak, cieszą się nim i wkrótce będą pijani. Ten kraj jest jak biały pergamin, na którym każdy może wypisać, co zechce.

Narasen łatwo uwierzyła w jego słowa. Wino i wyszukane potrawy nie były rzeczywiste, a dusze i martwe ciała ich nie potrzebowały. Nie istniało też wspaniałe umeblowanie i ptaki pod kopułą, a tygrysiątko było wytworem wyobraźni kobiety oplakującej swoje dziecko pozostawione w świecie żywych.

- I uważasz mnie za takiego samego głupca jak oni wszyscy? - zapytała Narasen. - Myślisz, że będę tu siedziała i wzdychała za światem, który utraciłam, przywołując jego wyobrażenia i odurzając się nimi dla twojej rozrywki, aż minie tysiąc lat? Nie. Powiem ci to teraz, kiedy tu jestem: nie wydobędziesz ze mnie ani jednego miłego złudzenia nawet za cenę twojego całego ponurego królestwa.

- Tylko w ten sposób zdołasz znieść pobyt w moim królestwie.

- Zobaczymy. Może to ty znudzisz się mną, twoim ptakiem w klatce, który nie śpiewa. Może uwolnisz mnie, zanim minie tysiąc lat.

- Nawet o tym nie marz.

- Marzę o tym, o czym chcę - odparła Narasen - i nigdy nie będę marzyć dla twojej rozrywki.

- Myślę, że zgodziłaś się na moje warunki - powiedział Pan Śmierć.

- Tyle zdołało osiągnąć to złudzenie. Przypomniało mi o Merhu i o pięknie mojego królestwa. Tak, zgodziłam się.

Narasen ujrzała wyimaginowane okno, a za nim ogród z kwiatami i drzewami, z ciemnymi wzgórzami i rzekami lśniącymi pod sierpem księżyca, podobnego do bladozielonego łuku. I roześmiała się, wspominając prawdziwe, jałowe i puste królestwo zmarłych. Wiedziała już, że będzie mogła je znieść, bo pochłonie ją walka z wolą Uhluma, Pana Śmierć, ukształtowanego jak mężczyzna.

W następnej chwili wszystko znikło niby dym w ciemnościach. Ona i Śmierć powracali chyżo na powierzchnię Ziemi.

Wiedźma opuściła swój niebieski dwór i zagłębiła się w gaj trujących granatów. Trawiła ją zazdrość o Narasen, o jej wyniosłość i władczość - i o to, że właśnie w tej chwili wędruje z Uhlumem.

Kiedy miała dwanaście lat, była chytra i żądna władzy. Przez dwa lata uczyła się u magów i czarnoksiężników, sprzedając swe ciało na ulicach, aby zdobyć pieniądze na naukę, albo oddając się swoim mistrzom. Żaden nie oszukał jej tak, jak oszukano Issaka, była przebiegła i bystra jak lis. Przybrała imię Lylas. Kiedy miała czternaście lat, powracając przed świtem do domu z orgii w siedzibie jakiejś mrocznej sekty żyjącej za wzgórzami, spotkała Pana Śmierć. Zdarzyło się to w ponurym miejscu porośniętym cierniami, gdzie niedawno powieszono trzech złoczyńców. Lylas wiedziała już dużo, nieco więcej od wielu innych adeptów tajemnej sztuki. Zatrzymała się pod skrzypiącymi szubienicami i rozpoznała hebanowego Pana w białych szatach, a w jej bystrym, młodym mózgu narodził się pewien pomysł. Był to pomysł z rodzaju tych, które powodują szybkie bicie serca, szczykowanie zębami, nagle oziębienie rąk i suchość w ustach. Z rodzaju tych, co rodzą się tylko raz i muszą być natychmiast urzeczywistnione - albo natychmiast odrzucone i zapomniane. Lylas postanowiła nie odrzucać swego pomysłu. Podeszła do Pana Śmierci i pozdrowiła go z pokorą.

Rozmawiali przez chwilę, młoda Lylas i czarny Pan Śmierć, aż niebo zapłonęło na wschodzie, a chwiejne cienie wisielców powlekły się brudną czerwienią. Wówczas Pan Śmierć i Lylas dobili targu. On wziął od niej coś w zastaw i obiecał jej w zamian coś innego, ona wyruszyła w długą podróż w jego imieniu, a potem korzystała do woli z czasu, który jej pozostał. Bowiem prawda jest taka: wiedźma z Domu Niebieskiego Psa żyła już ponad dwieście lat - a miała ich jeszcze przed sobą o wiele więcej - nie starzejąc się ani o dzień, ani o godzinę, ani o minutę ponad swoje piętnaste urodziny.

Lecz teraz, w napadzie zazdrości, miotła się po zdziczałym gaju, czując narastające wzburzenie i chęć wyrządzenia jakiegoś zła. Nagle jedno z drzew granatu rozszczepiło się jak zdzielone siekierą i wyszedł z niego Uhlum z Narasen na plecach.

Wiedźma pokłoniła się nisko przed hebanowym Panem, aż jej włosy przykryły korzenie granatu.

- Umowa została zawarta - oznajmił Uhlum, a potem zwrócił się do Narasen. - Teraz, jak wiesz, muszę otrzymać od ciebie znak potwierdzający umowę.

Narasen milczała, więc wiedźma powiedziała słodkim głosem, starając się ukryć złośliwą satysfakcję.

- Moja czcigodna starsza siostra musi mi dać trzeci palec lewej dłoni, a przynajmniej jego połowę. Zachowam go na znak umowy, jaką zawarłaś z tym potężnym panem.

- Jestem gotowa - odrzekła Narasen i zdjęła pierścienie z palca.

Już w Podziemiu zauważyła, że każdemu ożywionemu duszą ciała z dworu Pana Śmierci brakuje części trzeciego palca lewej dłoni, podobnie jak wiedźmie z niebieskiego dworu. Lylas zawieszała każdą kostkę na złotym łańcuszku wokół pasa, a kiedy Uhlum spłacił dług i zabierał ciało wraz z duszą do swojego królestwa, wolno jej było utłuc kostkę na proszek, zmieszać z winem i wypić. Magiczne właściwości tych znaków pieczętujących umowy zawarte przez Uhluma ze śmiertelnikami sprawiały, że zachowywała młodość. Była to nagroda za jej udział, jako pośrednika, w tajemnym procederze uprawianym przez Pana Śmierć. Teraz podbiegła ochoczo do Narasen, aby zdobyć kolejną kostkę.

Uhlum dotknął trzeciego palca lewej ręki Narasen, a ona natychmiast straciła w nim czucie aż do drugiego stawu. Kiedy nóż wiedźmy błysnął chciwie w półmroku, królowa Merhu nie poczuła bólu, a z rany nie pociekła krew.

- Już po wszystkim - powiedziała Lylas.

- Na to by wyglądało - zgodziła się Narasen. - Jak długo muszę czekać?

- Och, jaka ona niecierpliwa, czcigodny panie - zachichotała Lylas.

- Zapłaciłam za towar, więc chciałabym go ujrzeć - powiedziała chłodno Narasen. - I mam jeszcze jedną prośbę, Władco Ciemności. Wolałabym, żeby kochanek, którego mi naraisz, nie był z tych, co już długo leżą w grobie.

- Jestem uczciwy w tych sprawach - odrzekł Uhlum - i uwzględnię twoje upodobania. Wróć na skraj cedrowego lasu, nie dalej. Jutro w nocy spłacę swój dług.

Potem spojrzął na wiedźmę, która opierała się o drzewo, przysłaniając złośliwy uśmiech jedną ręką i ściskając palec Narasen w drugiej.

- Poucz królową, co ma uczynić. Lylas skłoniła się ponownie aż do ziemi.

- Twoja służebnica będzie ci zawsze posłuszna, o królu królów.

Pan Śmierć odwrócił się i zniknął, wsiąkając w ziemię jak poranna mgła.

Lylas podsunęła się na kolanach do miejsca, w którym stał i ucałowała ziemię. Narasen nie poruszyła się, czując, że członki jej zwiotczały, a mózg wypełnił łopot skrzydeł. Ostry chłód przeniknął ją do szpiku kości i jeszcze głębiej - sięgnął duszy. Uniosła okaleczoną dłoń do ust i ogrzała ją oddechem.

5

Nad lasem skamieniałych drzew wzeszło słońce. Jego ogniste strzały nie zdołały przebić czarnego baldachimu. Słońce zaszło, po ziemi rozlał się granatowy mrok. Mrok przeniknął puszcę, choć słońcu to się nie udało.

Szkarłatny namiot Narasen rozbito na wzniesieniu pośród czarnych drzew. Przed namiotem płonęła pochodnia, a nieco dalej ognisko dla żołnierzy. Siedziało przy nim sześciu ludzi. Oczy i zęby połyskiwały im w blasku ognia; pochłonięci byli jakąś grą, w której używali płytek z kolorowego drewna. Od czasu do czasu klęli pod nosem, poza tym na ogół milczeli. Dwóch wartowników krążyło wokół obozu. Razem zostało ich ośmiu, bo poprzedniej nocy dwóch uciekło z łąk otaczających sad wiedźmy.

Narsen czekała w namiocie. Wszystko miała przygotowane. Sama też była gotowa, odrzucając strach i skupiając myśli na Merhu. Przed nią stał puchar z mocnym, ciemnym trunkiem, za pucharem leżała drewniana szkatułka.

Jeden z żołnierzy przy ognisku mruknął:

- Ja tam nie wiem, czy uznaję ją za moją królową. Najpierw sypiała z kobietami, potem stała się ladacznicą i rozwierała nogi przed każdym, kto miał coś między nogami. Teraz ma schadzkę z trupem.

Kapitan uderzył go w usta i kazał milczeć.

- Zrobiła, co musiała - rzekł - aby ocalić nasz kraj.

A jego oczy mówiły: „To suka, dziwka i czarownica, ale wciąż płaci mi żołd.”

Młodzieniec zmarł mając zaledwie szesnaście lat. Brat zabił go tego samego dnia, w którym Narasen powracała do cedrowego lasu. Bracia pokłócili się. Starszy był silny i szorstki, pracował jak wół w garbarni ojca. Młodszy był leniwy, wolał przechadzać się po brzegu rzeki, na którym rosły kwiaty, wpatrując się w ich odbicie w wodzie, a może też, jak twierdził starszy brat, szukając w niej odbicia własnej twarzy. „Zachowujesz się jak dziewczyna”, wrzeszczał starszy brat i zapominając - a może nie zapominając - że trzyma w ręku ostry nóż do cięcia skór, uderzył brata w ramię. Ostrze weszło głęboko i przecięło tętnicę. Krew trysnęła na podłogę garbarni, młodszy brat zamknął oczy i upadł, a wnet pobiełał jak marmur i wyzionął ducha.

Kobiety łkały, przygotowując ciało do grobu. „Taki piękny młodzieniec!” lamentowały. Obmyły zakrwawione ciało i uczesały złote włosy. Ukryły ranę, obwiązując ją jedwabną chustą. „Śmierć jest okrutna”, mówiły, co miało się z prawdą.

Wieśniacy ponieśli ciało syna garbarza na otoczony murem cmentarz na zboczu wzgórza. Starszy brat szedł ciężkim krokiem za marami. Wtarł sobie cytrynę do oczu, aby ronić łzy. Nikt go nie widział, gdy zadawał śmiertelny cios. Wieśniakom powiedział, że brat potknął się o ławę i sam wbił sobie nóż w ramię.

Złożyli ciało młodzieńca w grobie i zasunęli kamienną płytę. Kapłan i krewniacy pozostali na nocne czuwanie.

Dwie godziny przed świtem grób sam się otworzył i wyszedł z niego zmarły syn garbarza. Był wciąż blady jak śnieg, a na głowie miał wieniec z kwiatów, który nałożyły mu kobiety. Nie rozglądając się na prawo i lewo, przeszedł pomiędzy struchlałymi ze strachu żałobnikami. Poszedł prosto do kamiennego muru cmentarza, a tam nadleciał strzép białej mgły niesiony podmuchem nocnego wiatru i porwał go w ciemność. Krewniacy padli na kolana, wznosząc modły ku czarnemu niebu, kapłan omdlał. Starszy brat uciekł, wyjął z przerażenia, i utopił się w jednej z kadzi do ługowania skór.

Była północ. Żołnierze siedzieli nieruchomo, podobni skamieniałym cedrom. Ognisko przygasło, pochodnia przed namiotem dymiała smoliście. Przez las przedarł się wiatr, uderzył podmuchem w obóz, rozwiewając popiół i różowe iskry z ogniska, targając płaszczami i włosami skamieniałych żołnierzy. A potem odleciał.

Z lasu wyłoniła się jakaś postać.

Żołnierze podnieśli się powoli, tak powoli, jak zmierzała ku nim postać. Cofnęli się, widząc młodego chłopca z wieńcem na głowie i jedwabną przepaską na ramieniu. Cofali się, aż ich grzbiety napotkały zimne pnie cedrów. Tam zamarli, wlepiając spojrzenia w chłopca, który poszedł prosto do namiotu królowej.

Narasen, siedząc przed wciąż prawie pełnym pucharem i drewnianą szkatułką, podniosła głowę, słysząc szelest zasłony w wejściu. Nie ruszyła się jednak z miejsca, wstrzymując oddech i mrużąc oczy. Czekwała na tego, którego przysyła jej Uhlum, Pan Śmierć.

Po chwili ujrzała go, wypuściła powietrze i uśmiechnęła się.

Podeszła do niego, obejrzała od stóp do głowy, dotknęła.

- No, no... - powiedziała cicho. - Twój pan uczciwie ze mną postępuje.

Poprowadziła go na środek namiotu, a on dał się posłusznie prowadzić, bezwolny jak lękliwe dziecko. Nie miał własnej woli; rządziła nim wola Śmierci, a teraz wola tej, która zawarła ze Śmiercią układ. Narasen popatrzyła na niego, okrążyła go i znowu popatrzyła.

Zaiste, Uhlum pamiętał o jej życzeniu i zaiste był uczciwy. Nie przysłał jej widma z grobu. Stał przed nią rozkoszny młody chłopiec, radujący wszystkie zmysły, dotyk, powonienie, wzrok. Niebieskie oczy miał otwarte - trochę matowe, ale tylko tak, jak to bywa zaraz po przebudzeniu albo po winie, raczej błędzące niż puste, jak oczy kogoś w transie, tęskne i uległe. Lecz nie tylko w tym okazał się Uhlum uczciwy. Młodzieniec obdarzony był urodą dziewczyny. Miał smukłe kształty, bardziej zaokrąglone niż kanciaste; nie było w nim śladu chłopięcej lub młodzieńczej szorstkości. Mimo śmiertelnej bladeści całego ciała dwa pączki na jego piersiach miały barwę ust młodej wiedźmy, pierwszego ciepłego cienia brzasku. Takie też były jego usta. Miał twarz dziewczyny, gładką, bez najmniejszego śladu zarostu, delikatną, jakby ją ktoś ukształtował, a nie zrodził. A wokół twarzy wiły się złote loki - topaz wykwitający z kości słoniowej ciała - otoczone na głowie girlandą z kwiatów, jakby na wiosenną ucztę lub weselne gody.

Narasen łagodnie zmusiła to ciało, by legło na kobiercach. Wówczas wzięła drewnianą szkatułkę, którą dała jej wiedźma, i otworzyła ją. Wewnątrz był kłębek plecionego sznura. Narasen powiodła sznurkiem po leżącym przed nią młodzieńczym ciele, po

ramionach i torsie, po smukłych palcach i uległych lędźwiach. A potem szybko odrzuciła kłębek na bok.

Sznur upadł za lampą, w półmroku, a gdy upadł, rozległ się głuchy szcęk, jakby w podłogę ugodziło nagie ostrze.

Narasen ułożyła się u boku pięknego młodzieńca i przycisnęła wargi do jego twarzy, która zdała się jej twarzą ponętnej dziewczicy.

- Jeśli twoje ciało coś jeszcze pamięta - szepnęła - wyobraź sobie, że jestem tym, który cię kochał za życia. Nie biorę cię siłą. To twój kochanek całuje twoją twarz.

A potem uklękła nad nim, pochyliła się i zaczęła pieścić jego ciało dłońmi i ustami, wdychając delikatną woń pachnideł i kadzidła, i utrzymujący się jeszcze zapach samego życia.

W półcieniu za lampą coś zadrgało i zamigotało. Przytłumiona jasność wokół garści ogników. Wąż o bursztynowych łuskach, zwinięty w kłębek, z głową ukrytą w cieniu. Wąż - kłębek sznura ze szkatułki wiedźmy.

Narasen gładziła ciało młodzieńca ruchami przywodzącymi na myśl łagodny nurt rzeki. Jej czerwone włosy okryły ich oboje woalem purpury, zamknęły w drugim szkarłatnym namiocie. Jej palce ślizgały się po płyciźnie rzecznej łóża, błędziły pomiędzy złotymi trzciniami. Jej ręce wyznaczały rzece bieg, wabiły nurt, poszukiwały jego źródeł.

W półcieniu za lampą bursztynowy wąż zadrżał, rozsypując wokół siebie blask; tylko głowa pozostawała nadal w cieniu.

Palce Narasen dotarły do korzenia rzeki, do jej źródeł. Zniżyła głowę, gotowa napić się, gdyby zwabiona jej pieszczotami rzeka popłynęła wskazanym przez nią łóżem.

W półcieniu wąż drgnął i zafalował. Wąż stał się rzeką, która przeżyła się i nabrzmiwała pod swoim korytem. Głowa węża smagneła podłogę, wynurzyła się z cienia i wystrzeliła w górę. Wąż kołysał się na swoim ogonie.

Narasen uniosła się. Okryła młodzieńca trzecim namiotem purpury. Światło ślizgało się po jej plecach jak srebrne sztylety, podobnie jak ślizgało się po grzbiecie rozdygotanego węża. Narasen utkwiała wzrok w dziewczęcej twarzy, fallus męczyzny wniknął w nią głęboko. Pomyślała o Merhu. Królestwo Merhu było lampartem, miało się jak lampart przebity włócznią. I Narasen wygięła plecy z rozkoszy mordowania lamparta, i poczuła jego śmierć jak swoją własną.

A wąż cofnął głowę, rozwarł szczęki i z sykiem wypluł deszcz ognistych igiełek.

CZEŚĆ DRUGA

Płaczące dziecko

1

Merh znowu zazielenił się wiosną, zazielenił się i ozłocił. Pod wielkimi drzewami wiła się szeroka rzeka, chłodna i czysta niby ciemny jadeit. Stada piły wodę u brzegu, długonogie ptactwo brodziło po płycznach. Młode zboże dojrzewało w ziemi, młode owoce nabrzmiwały niewidzialnie w kwitnącym sadzie. Zaraza odeszła, bezpłodność opuściła kraj. W studniach migotała woda, mleko wzbierało w krągłych piersiach kobiet i w sutych wymionach zwierząt. W zagrodach porykiwały cielaki, z domów dochodził płacz niemowląt. Tej wiosny narodziło się tyle młodych - ludzi i zwierząt - że później nazwano ją Czasem Płaczącego Dziecka. Ale, nazywano ją tak nie tylko dlatego.

Po miesiącu Narasen powróciła ze wschodu, poprzez góry, do Merhu. Zobaczyła, że cały kraj się odmienił, ozdrowiał, nabrał połysku tężyzny. Wiedziała już, dlaczego jej kraj odzyskał płodność: Merh to Narasen, a królowa Merhu przełamała klątwę Issaka. W jej łonie zagnieździło się dziecię.

Po wiejskich drogach klękali przed nią ludzie. Przynosili jej dzikie kwiaty i dzbany z winem, przynosili koszyki z ziarnem, aby je pobłogosławiła. Była ich boginią płodności. W mieście padano przed nią na twarz na ulicach.

Wylewano przed nią wonne olejki. Na placu przed pałacem powieszono kilku mężczyzn, którzy sztychli z niej w dniach królowania plag. W ten sposób chciano odepchnąć od siebie pamięć o tym, że wówczas każdy z niej sztychł. Dowódca straży, który w czasie jej nieobecności strzegł bezpieczeństwa pałacu i porządku na ulicach, powitał ją niskim pokłonem, zerkając na jej brzuch.

Narasen dzielnie znosiła ciężę, tak jak uprzednio znosiła wszystko, by zachować Merh. Była jednak niewolnicą przykutą do kamienia młyńskiego, a tym kamieniem było jej łono. Dziecię zaś nie wykazywało ochoty do opuszczenia jej łona. Drzemało w niej, zwinięte w kłębek, a jego dusza nie przynaglała go do wyjścia na świat we właściwym czasie.

Dziecko budziło w Narasen odrazę. Co za leń z tego dziecka zmarłego! Może i ono jest martwe. Nie mogła jeździć konno i polować, nie miała ochoty na jedzenie lub picie. Straciła pociąg do

dziewcząt. Gruba jak wieloryb, wyrzucony na brzeg bezlitosnego ładu, zazdrościła wszystkim, zwinnym i smukłym jak jelenie. Dalej, mój młyński kamieniu, uwolnij mnie od siebie. Zrobiłeś już, co do ciebie należało. Zastanawiała się, czy nie zabić go zaraz po urodzeniu. Była przecież wojownikiem, była mężczyzną zmuszonym do udawania macierzyństwa. Tak, trzeba zabić to dziecko.

Wydawało się, że dziecko w końcu usłyszało jej myśli. Poczła w łonie ból, jakby ją przeszło mieczem.

Nie będę cię opłakiwała, pomyślała Narasen. To ty będziesz wrzeszczeć, nie ja.

Zacisnęła zęby i nie krzyknęła, chociaż dziecko zdawało się rozpruwać jej wnętrzności.

„Królowa umrze”, twierdzili lekarze, smętnie kiwając głowami. „Nawet jej łono nie chce uwierzyć, że jest łonem kobiety, nie pozwoli dziecku wyjść na świat. Ach, ona umrze!”

Nie umrę, powtarzała Narasen, dusząc w sobie wściekłość i ból. Zapamiętam jednak każdego, kto mówił, że powinnam umrzeć.

Minęły dwa dni i dwie noce. Dni były roztopionym srebrem, noce gorącą czarną krwią. Narasen wspominała Issaka i jego opowieść o przebiegłych Drinu, karłowatych demonach Podziemia. Zaczęła wierzyć, że to Drinu wdarły się do jej łona i zrobiły sobie tam kuźnię, niestrudzenie waląc swoimi młotami. Były przecież kowalami, tyle że czerwony metal, który obrabiały, był jej męką, a klejnoty, które w nim osadzały, były diamentami niemych okrzyków bólu.

Tak, orzekli lekarze, ona umrze.

Narasen nie mogła już mówić. Myślała: Nie, nie umrę, jutro umrą wszyscy mężczyźni. Wszyscy mężczyźni, razem ze swoją ohydną żądzą, wszyscy, którzy do tego doprowadzili.

Nadszedł trzeci dzień. W jedwabnych pantofelkach przemknął chyżo przez pałacowe drzwi. A tuż za nim wymknął się ktoś inny, przez inne drzwi.

- Chwała niech będzie bogom, to chłopiec! - rozległ się dziewczęcy głos.

- Jeśli to chłopiec - wyszeptała Narasen pobladłymi ustami - zabierzcie go i uduście.

- Ach, wasza wysokość, nie słuchaj tej głupiej dziewczki - rzekł naczelny lekarz. - Urodziłaś dziecię płci żeńskiej.

Narasen przyszła do siebie. Bolało ją wszystko, ale leżała w królewskim łożu pod błyszczącymi mieczami i oszczepami, pod wojennymi i myśliwskimi scenami. Były królową Merhu. I wciąż żyła.

Naczelnny lekarz i jego świta podeszli do okna, w zdumieniu oglądając dziecię. Tylko jeden doktor pozostał przy łożu. Nachylił się i przyłożył królowej do ust małą czarkę. Płyn nappełnił jej usta. Przełknęła. Doktor wyprostował się i wymknął z komnaty.

Narasen poczuła ostre ukłucie, jakby jadowity pająk ukąsił ją prosto w serce. Otworzyła oczy i pomiędzy fałdami szkarłatnej zasłony ujrzała kobietę w niebieskiej sukni tłukącą coś w móżdżerzu. Zasłona zafalowała i nagle nie była to już czerwona gaza, lecz wino, które kołysało i unosiło Narasen, a skądś dobiegł ją śmiech niebieskiego psa.

Czyżbym nie była na tyle silna, aby przeżyć głupi akt, jakim jest poród? Poczwała żal do samej siebie, do swojego ciała, do swojego losu. Lecz zimna fala przyływu wzbierała, wypłukując z niej opór i nadzieję.

Pomyślała o czarce, którą przyłożył jej do ust ten lekarz. Napoił ją, a potem wymknął się z komnaty, zabierając ze sobą czarkę. Miała wielu wrogów; jedni pożądali jej tronu, w innych po prostu wzbudzała nienawiść. Czyżby osłabiona, bezbronna, chwytająca się rozpaczliwie życia, dała im się zwieść, bez protestu wypijając truciznę? Nie. A jednak zimna fala w jej krwi wznosiła się coraz wyżej, śpiewając jak morze: tak... tak... tak...

Lekarze rozmawiali półgłosem przy oknie. Podawali sobie dziecko z rąk do rąk, białe jak mleczne szkło, jakby przezroczyste, bo światło dnia zdawało się przenikać przez jego ciało. Wierzgało, lecz nie płakało. Ty także milczysz, pomyślała Narasen. Opanowała ją bezsilna złość. Liczyła, że będzie panować w Merhu jeszcze przynajmniej sześćdziesiąt lat - sześćdziesiąt lat, za które zapłaciła nierządem, zniewoleniem duszy, a w końcu tym porodem, który postanowiła przeżyć. Teraz wszystko jej odebrano. Kwaśny był owoc tych wysiłków. Będzie panować zaledwie jeden dzień, może mniej. Lecz nawet jej złość była wąta i jałowa. Brakowało jej energii, by zapłonąć prawdziwą wściekłością. Odmówiono jej nawet gniewu.

A potem spojrzała w cień między powietrzem a ścianą komnaty. Czarny był to cień - jeszcze nie Śmierć, ale już zapowiedź Śmierci.

- A więc - powiedziała Narasen do siebie - zostałam oszukana.

- Tak nie jest - odpowiedział cień. - Uhlum nie wyznaczył godziny twojej śmierci. To twój los ją wyznaczył. Śmierć jest jak noc. Nadchodzi, kiedy musi nadejść, ale nie wybiera chwili swojego nadejścia. Śmierć też jest niewolnikiem.

Narasen uśmiechnęła się gorzko.

- Jestem za słaba, aby się uskarżać - powiedziała. - Powiedz swojemu panu, aby się mnie strzegł, kiedy stanę przed nim, znowu silna, w jego wstrętnym królestwie kamieni i pyłu.

- Już wkrótce.

- Wiem.

Lekarz, który otruł królową Merhu, przemknął się korytarzem pałacu, dotarł do baraków zajmowanych przez żołnierzy i wszedł do komnaty dowódcy straży. Dowódca leżał na sofie. Był leniwy i piękny, jadł purpurowy owoc.

- Panie mój, Dżornadeszu - rzekł lekarz - niestety, królowa jest bardzo chora.

- Ach, niestety - odpowiedział Dżornadesz, nie przestając jeść.

- Tyle strasznego wysiłku, tyle utraconej krwi... No i dziecko poczęte dzięki czarom, w akcie perwersji i nekrofilii. Śmierć jest nieunikniona.

- A kiedy spodziewana jest ta okropna, nieunikniona śmierć? - zapytał Dżornadesz.

- O zachodzie słońca - odrzekł lekarz. - Z całym szacunkiem pragnę zwrócić uwagę waszej wielmożności na fakt, że napój, który tak mądrze przyrządziłem, działa bardzo dokładnie i skutecznie. Pragnę też najuprzejmiej nadmienić, iż zachowałem należyte środki ostrożności. Nikt się o tym nie dowie, pod warunkiem, że królowa zostanie rychło pochowana.

- A dziecko? - zapytał niecierpliwie Dżornadesz. - Martwe?

- Żyje, ale to potworek. Najlepiej pochować je razem z matką.

- Święta racja - powiedział Dżornadesz, wypluwając pestkę.

Zawsze czuł odrazę do tej męskiej królowej Merhu i dziwił się, że tron do niej należy. Dni, które spędził jako jedyny pan pałacu, kiedy nie było tej lamparcicy, skłoniły go do głębokich przemyśleń. Teraz Narasen leżała na łożu śmierci, a jego ludzie czekali na rozkaz, by opanować Merh. Odtąd, dzięki swojej przebiegłości i przychylności bogów, rządzić będzie Dżornadesz. Aby nie rozgniewać bogów,

postanowił jednak nie plamić rąk krwią nowo narodzonego niemowlęcia. Przelanie krwi dziecka zawsze pozostawia piętno. Co innego pochować je żywcem. Bogowie mogą się nim zaopiekować, jeśli przyjdzie im na to ochota, w co należy wątpić. Dżornadesz był z siebie zadowolony. Pomyślał o wszystkim. Zapłacił lekarzowi i kazał mu się wynosić, a potem wysłał kogoś innego, aby zapłacił lekarzowi inną monetą - ostrzem noża. A potem Dżornadesz zawołał, aby mu przyniesiono dzban złotego wina i przyprowadzono dziewczynę o włosach jak złote wino. I czekał na dobre wieści.

Kiedy słońce zaszło za krawędź nieba, Narasen opadła w odmęty śmierci. Cienie wpełzły do komnaty, ale na ulicach płonęły pochodnie i galopowały konie. Trzy godziny przed północą Dżornadesz zasiadł na tronie Merhu, a królową Narasen złożono na srebrnych marach.

Powieziono ją rzeką w ciemność.

Była bezksiężycowa noc. Przyćmione lampy rzucały mętne odbłaski na wodę, kapłani mamrotali modlitwy, obwiązane skórą wiosła bezgłośnie rozgarniały nurt. Wielka barka, spowita całunem, sunęła wzdłuż brzegów jak widmo. Niewielu ją widziało, zwłaszcza że wieść o śmierci Narasen wędrowała równie powoli i cicho, jak owa barka. Ci, którzy barkę ujrzeli, wzięli ją za nieziemskie zjawisko. Bowiem z mętnej ciemności, niesiony tym samym wiatrem, który przywiewał ku brzegowi zapach kadzidła, dobywał się cienki, krystaliczny krzyk. Białe ostrza tego dźwięku przebijały skórę nocy.

Dziecko nie płakało po urodzeniu. Wkroczyło w ten świat bez lęku, rade z uwolnienia się z niemiłej klatki. Lecz teraz owa wolność zamieniła się w zagrożenie. Dziecko płakało i nikt nie chciał go uspokoić. Bali się tego dziecka, bali się je zabić i bali się zachować mu życie. Włożyli je do okrągłej misy z kutej miedzi, a ono wymachiwało tam rączkami i nóżkami, próbując znaleźć jakąś wypukłość na gładkich brzegach, pragnąc odnaleźć ten upragniony, ciepły wzgórek, z którego mogłoby wyssać trochę mleka. Ale miedziana misa była jeszcze bardziej nieczuła niż Narasen, jeszcze bardziej sucha. A spoza misy czarny deszcz nocy siąpił w oczy dziecka, a rzeka kołysała je szorstko, ironicznie.

Dopływ tej rzeki biegł na północ przez Merh. Jedwabiste drzewa zwieszały się nad pogrzebową barką - atramentowe wierzby, w których włosy wplątały się zielone klejnoty świetlików. W końcu z

czarnych błoni nad rzeką wyłonił się kamienny mur, a w nim wrota ze spiżu.

Przybili do brzegu. Kapłani wymachiwali kadzielnicami, żołnierze ponieśli mary i misę z bezradnym niemowlęciem. Przymaszerowali przez spiżowe wrota i przez ulice miasta, w którym nigdy nie zapalały się światła, bo ich tu nie potrzebowano, i gdzie nikt nie wyglądał przez okna ani nie pozdrawiał przybyszów. Miasto umarłych - nekropolia Merhu. Przeszli wysadzaną drzewami aleją i wspięli się na marmurową platformę, do mauzoleum z czerwonego kamienia, gdzie od stuleci chowano władców Merhu. Tam złożono Narasen spoczywającą na srebrnych marach.

Kapłani spieszenie odprawiali pogrzebowe obrządki. Wokół wyłaniały się z mroku stopy kości, czasem w świetle lamp zaśnił jakiś klejnot, lecz jeśli nawet ponury obrządek przeszkodził w spoczynku owym ogołoconym królom, ich kości nie dały tego poznać.

A dziecko wciąż płakało, jakby chciało celowo zakłócić spokój zmarłym, jakby pragnęło wymusić odpowiedź na tej głuchej i ślepej ciemności. Łasica głodu kąsała mu wnętrzności, więc raz po raz wydawało z siebie donośne krzyki, a pomiędzy nimi łkało żałością, zagłuszając jednostajne mruczenie kapłanów. Wyciągało rączki i nóżki, pragnąc pochwycić coś wystającego i ciepłego, lecz wokół był tylko ziąb i mrok, odeszła gdzieś nawet ta czarna niania, która je tak szorstko kołysała. W końcu zagasło również owo nikłe światło, które dotąd mu towarzyszyło, ucichły słabe szmery. Rozległ się głuchy łoskot zamykanych drzwi. I oto dziecko poczęte ze śmierci pozostało sam na sam ze śmiercią w miejscu, które należało do śmierci.

Wtedy nadszedł Pan Śmierć.

W owym czasie, gdy Ziemia była płaska, nawet noworodki rozpoznawały Pana Śmierć. Niemowlę wlepiło w niego oczy - poznało go.

Pan Śmierć nachylił się nad nim. Smukła ręka, jak czarny ptak w locie, zawisła nad małym, bezbronny ciałkiem, ale go nie dotknęła. Coś w tych dziwnych, żółtozielonych oczach - jak pewne kamienie, które znajduje się głęboko w łonie gór - powstrzymało Uhluma. Coś w tych oczach drgało wzruszającą lecz nieubłaganą wolą życia, a Uhlum nie był rabusiem czy płatnym mordercą.

Odwrócił się. Uniósł ciało Narasen ze srebrnego łoża. Ubrano ją w czarną suknię przepasaną sznurem rubinów, ręce i szyję ozdobiono

złotymi taśmami, w uszach zawieszono kolczyki z topazu. Była przecież władczynią Merhu, więc Dżornadesz, choć niechętnie pozostawił jej część królewskiej świetności. Tylko włosów nie przybrano i nie ujęto, rozsypały się wokół niej jak zdziczały jesienny ogród, choć ich czerwień zmącił niebieskawy odcień po truciznie, którą wypła. Również jej skóra miała matowoniebieski połysk, podobnie jak białka jej złotych oczu, które otworzyły się pod dotknięciem ręki Uhluma.

- Nie opieram się - powiedziała Narasen głosem, który nie był już głosem. - Spójrz, jestem gotowa. Obyś miał ze mnie wiele radości.

I objęła Pana Śmierć ramionami, a dziecko ujrzało, jak oboje - czarna mężczyzna i bladoniebieska kobieta - zapadli się w posadzkę grobowca i zniknęli.

Dziecko zaczęło przeraźliwie krzyczeć. Z jakichś najgłębszych źródeł jeszcze nie przebudzonej psychiki zaczerpnęło siły, by wydać z siebie rozdzierający krzyk, jakby rozumiało, że tylko ten krzyk dzieli je od świata umarłych.

Lecz któż, słysząc nocą głośnie wołanie z grobowca, pospieszy, by zobaczyć, kto tak woła?

Opodal miasta umarłych rósł las. Tej bezksiężycowej nocy las był królestwem roztańczonych cieni, w którym nocne kwiaty rozchyłały bładożółte kielichy, a wokół nich migotały drobne owady. W tę cieniastą komnatę zawędrowały dwa demony Eszwa, tańcząc do muzyki poruszanych wiatrem liści.

Demony Podziemia dzielą się na trzy kasty. Są więc karłowate Drinu, zręczni rzemieślnicy i wytwórcy, są księżęta Wazdru i są demony Eszwa, które im służą. Eszwa pogrążone są w wiecznym śnie - marzeniu i lubią w tym śnie odwiedzać nasz świat - milczące, cudowne i fałszywe.

Dwa demony Eszwa wędrujące po lesie były żeńskiego rodzaju. W ich czarnych włosach wiły się leniwie srebrne węże, a wokół ich stóp krążyły dwa czarne koty, oczarowane magicznym urokiem Eszwa.

Nagle ciszę rozdarł przenikliwy krzyk niemowlęcia.

Eszwa zatrzymały się, balansując w powietrzu. Współczucie było im obce, lecz trawiła je nienasycona ciekawość ludzkich spraw, żądza mieszania się do ludzkich losów. Pomknęły między drzewami, a za nimi pobieżyły dwa czarne koty. Dotarły na wzgórze nad rzeką, do

kamiennego muru. Bez trudu przeleciały ponad murem i poszybowały dalej, jak dwa liście, wzdłuż uliczek miasta umarłych, kierując się ku źródłu owych żalosnych krzyków, teraz już coraz słabszych, zamierających. Eszwa nie bała się śmierci. Unikały jedynie światła słońca i niezadowolenia swojego pana, jednego z Wazdru, księcia książąt Podziemia. Dotarły do marmurowej platformy i zatrzymały się przed drzwiami mauzoleum z czerwonego kamienia.

Jedna z Eszwa dmuchnęła na drzwi i pogładziła je palcami, a drzwi jęknęły cicho, same do siebie. Dwa czarne koty barszkowały na marmurowej platformie, bawiąc się kwiatem, który w tym celu zabrały z lasu. Druga Eszwa westchnęła i zamknęła oczy. Drzwi rozwarły się, nie mogąc się oprzeć pieszczocie dotyku, oddechu i westchnień.

Dziecko umilkło, wyczerpane krzykiem i płaczem. Leżało nieruchomo w miedzianej misie, nie próbując już uciec przed łasicą głodu kłusującego mu wnętrzości. Pierwsza Eszwa wślizgnęła się do grobowca i dotknęła dziecka, aby poczuć jego ciepło i człowieczeństwo. W ten sposób poznała jego zagadkową odmienność.

Nachyliła się nad nim, aż jej żywe, węzowe włosy musnęły maleńką twarzyczkę. Dziecko zadrżało. Eszwa polizała jego oczy, smakując słoność łez, i tchnęła mu w nozdrza swój oddech - wonny narkotyk. Dziecko złapało ją za rękę i włożywszy sobie jeden z palców do ust, zaczęło go ssać.

Eszwa poszybowała na wschód, ku równinie Merhu, a za nią pomknęła jej milcząca towarzysza. Dwa czarne koty biegły za nimi, dopóki starczyło im sił.

Pół mili od rzeki, w jaskini wydrążonej w skalnej skarpie, miała swoje leże lamparcica. Narasen nigdy nie udało się jej upolować, choć zabiła jej towarzysza. Teraz lamparcica dała się pokryć pierwszemu napotkanemu samcowi i wydała na świat małe, choć nie była to odpowiednia pora roku, bo nagle przełamanie nękającej cały Merhu klątwy bezpłodności sprawiło, że ustalony porządek natury uległ zakłóceniu. Lamparcica spała w jaskini razem ze swoimi małymi. Dwie godziny po północy, dwie godziny przed świtem - dwie godziny przed porą, w której zwykle polowała. Lecz we śnie ujrzała coś, co połyskiwało i intrygowało ją w rozkoszny sposób - intrygowało i wzywało tak, że się przebudziła.

To Eszwa wywołała ją z jaskini, a kiedy wyszła, przeciągając się w świetle gwiazd, tchnęły jej w oczy i zaczęły gładzić jej cętkowane futro, aż położyła się pomiędzy nimi, mrucząc z rozkoszy i przewracając na grzbiet. Wówczas Eszwa złożyły niemowlę na jej brzuchu i podsunęły mu jedną z bursztynowych sutek do ust. Dziecko ssało chciwie, chwyciwszy skąpe wymię rączkami. Przeciągało się leniwie, prężąc całe ciało za każdym pociągnięciem chciwych warg. A kiedy nasyciło się piżmowo - słodkim mlekiem, stoczyło się na bok i usnęło.

2

Chociaż demony mogą niekiedy się rozmnażać, czynią to w niezwykle sposób. Miłość to dla nich rozkosz i sztuka, lecz ich nasienie jest jałowe, a ich kobiety nie mają łona, choć wszystko inne mają, i to w nadmiarze. Być może Eszwa, które zabrały dziecko Narasen z mauzoleum, poczuły coś w rodzaju macierzyńskiego wzruszenia. Lecz mogło być i tak, że zabrały je dla zabawy, podobnie jak czyniły to nieraz, wykradając małe panterze lub węzowi.

Jakkolwiek było, Eszwa - dwie tajemnicze strażniczki - spędziły przy maleństwie wiele miesięcy i choć demoniczny czas nie równa się czasowi śmiertelnych, a w Podziemiu lata ziemskie liczą się jak dni, i tak był to, jak na demony, czas dość długi.

Na dzień opuszczały dziecko, lecz zawsze zostawiały je w jakimś bezpiecznym miejscu, a w każdym razie w miejscu, które im wydawało się bezpieczne: w dziupli opuszczonej przez sowy lub w jamie między korzeniami drzew. Przedtem usypiały je muskaniem włosów i westchnieniami. Pograżone w magicznym, narkotycznym śnie dziecko nigdy nie przebudziło się i nie poruszyło, tak że nikt go nie odnalazł. Jeśli przypadkiem zbliżyło się do niego jakieś zwierzę, wyczuwało jedynie ciemność i odchodziło. Nocą Eszwa zabierały je na swoje tajemne wędrówki, karmiły mlekiem lamparcic, lisic i łani, a później ziołami, kwiatami i pędami różnych roślin. A dziecko, zrodzone w tak przedziwny sposób, wzrastało w równie przedziwnych okolicznościach, wtajemniczane w nocne wędrówki i loty Eszwa, i w ich bezsłowny język, który zdawały się rozsnuwać w powietrzu, w nikłym świetle gwiazd. W takiej atmosferze szczególna niesamowitość i odmienność dziecka stały się jego normalnością, a w każdym razie zdawały się czymś naturalnym. Zanim potrafiło wyszczebiotać choć jedno ludzkie słowo, mogło z łatwością wywabić

ptaka z obłoku i węża spod kamienia. I chociaż ludzki mózg nie jest w stanie przeniknąć świata myśli demonów, to jednak owo ludzkie dziecię w jakiś sposób je rozumiało, a jednocześnie panowało nad swoją własną cudownością i nie lękało się niczego. Gdyby chowało się pośród ludzi, byłaby to zupełnie inna opowieść.

Dziecię było wytworem przedziwnej alchemii obojga rodziców. Ich barwy włosów pomieszały się w nim: czerwień i lniana bladość dały dziecku włosy koloru dojrzewającej brzoskwini. Barwy oczu również się pomieszały: brąz i lazur dały mu oczy szafranowozielone. Było piękne, bo i jego matka, i ojciec odznaczali się wyjątkową pięknnością. Lecz skoro Narasen, męska królowa Merhu, poczęła go z pięknym, martwym i zniewieściałym młodzieńcem - połączenie dość rzadkie - cieleśnie dziecię nie było ani chłopcem, ani dziewczynką, lecz i jednym i drugim. Wymarzona zabawka dla demonów!

Kobiety Eszwa nie wychowywały go ani niczego nie uczyły. Uczyło się od nich samo, czerpało z ich bliskości. Instynkt, ojciec wszelkich ludzkich czarów, musował wewnątrz jego duszy, wydobywając się na powierzchnię jak bąbelki powietrza z dna jeziora. Jego dni wypełnione były mglistymi przebudzeniami, snem i sennymi marzeniami, jego noce - beztroskimi włóczęgami poprzez cienie ludzkiego świata i płonące sny Eszwa. Widywało miasta rozjarzone światłami i szkliste morza pod księżycem z białej soli; przypatrywało się pustyniom białym jak śnieg pod tym samym zaczarowanym księżycem; widziało górę, która zabarwiła księżyc czerwienią swojego ognia. Bywało bowiem daleko od Merhu i już jako dziecko poznało wiele przedziwnych krain. Miewało również przypadkowy wgląd w świat ludzi, ale oglądało go oczami demonów. Na wilgotnych od księżycowego blasku leśnych polanach tańczyło z czarnymi, aksamitnymi synami i córkami pantery, podczas gdy Eszwa kołysały się leniwie w takt muzyki wiatru i opadających liści.

Była to jednak niepewna egzystencja. Każdej ziemskiej nocy mogło się wydarzyć, że Eszwa znudzą się opieką nad ludzkim dziećciem, albo po prostu o nim zapomną. Pochłonięte jakimś innym kaprysem lub zachcianką, mogły już nie wrócić do kryjówki, w której pozostawiły je na dzień. Choć je kochały, nie był to ów rodzaj miłości, który trwa długo; w końcu Eszwa były demonami, a nie ludźmi. Mogło się zdarzyć i tak, że nim nadejdzie nieuchronne zapomnienie, jakiś książę Wazdru wezwie je do Druhim Wanaszty, podziemnego

miasta demonów. Tam wiele śmiertelnych nocy przemija w ciągu godziny, a jeśli zadanie, jakim Eszwa zostaną obarczone, okaże się złożone i trudne, ziemskie lata mogą przeminąć jak piasek unoszony wiatrem po wybrzeżu morza. Nawet owe rozmarzone i senne Eszwa rozumiały, że nie mogą porzucić ludzkiego dziecięcia na tak długo, bo groziłaby mu niechybna śmierć. A ponieważ wciąż się nim opiekowały, poczuły, że muszą temu zaradzić.

W końcu ukryły dziecko w pewnym bardzo starym ogrodzie. W powodzi niebieskiego cienia białe płatki kwiatów opadały tam jak śnieg na powierzchnię sennej sadzawki. Dziecko siedziało obok omszałego posągu jakiegoś chłopca grającego na flecie. W jego kamiennych dłoniach zagnieździły się dzikie pszczoły, które wędrowały tam i z powrotem po flecie. Dziecko, zafascynowane chłopcem, przybrało kobiecą stronę swojej podwójnej płci i już jako dziewczynka oparło głowę na jego kamiennym biodrze, obsypując mu stopy swoimi brzoskwiniowymi włosami.

- Popatrzcie na niego - mówiły pszczoły, a dziecko prawie je słyszało - oto jeszcze jeden z tych posągów. Trochę bardziej suchy. Ale się porusza.

W tym momencie spomiędzy kwitnących drzew wyszedł ohydny karzeł. Nogi miał wygięte w łuk, tak że brzuch prawie dotykał ziemi; na biodrach połyskiwał metalowy pancerz wysadzany olbrzymimi klejnotami. Jego twarz przypominała straszliwą maskę, którą ktoś zmiażdżył, a następnie byle jak odtworzył. Tylko czarne włosy miał piękne. Każde śmiertelne dziecko uciekłoby z krzykiem na widok tego potwora i trudno byłoby mu się dziwić. Lecz dziecko wychowane w tak odmiennych warunkach wcale go się nie przestraszyło. Karzeł był bowiem przedstawicielem niższej kasty demonów, Drinu.

- Ha! - zawołał karzeł na widok pszczół, oblizując się pożądliwie, bo Drinu wybierają sobie owady Podziemia na kochanki. - Gdybyście były trochę większe i zlazły tu do mnie, zabawiłbym się z wami, moje piękne wszetecznicze!

Lecz już zbliżały się dwie kobiety Eszwa, ślizgając się po powierzchni sadzawki jak dwie ciemne wałki. Widząc je, dziecko ponownie się zmieniło: jego maleńkie organy płciowe zamieniły się miejscami. Odbyło się to błyskawicznie, jakby kameleon zmienił ubarwienie lub kwiat zwinął płatki z nadejściem ciemności. Nie było

to całkiem przyjemne, ale dla dziecka tak naturalne, jak ziewnięcie lub kichnięcie.

Drinu powitał rubasznym śmiechem tę przemianę dziecka z dziewczynki w chłopca. Pokłonił się nisko przed kobietami Eszwa i polizał ich kostki u nóg, gratulując im tak niezwykłego znaleziska i wyrażając współczucie, że muszą je porzucić.

Dziecko nie znało mowy Drinu, lecz w jakiś sposób wyczuło, co zostało powiedziane. Zrozumiało, że jego senno - czarne towarzyski zamierzają je opuścić. Poczuło prawdziwie ludzki smutek, lecz nie wiedziało, że u ludzi smutek łączy się z lękiem i płaczem. Patrzyło tylko szeroko rozwartymi złotymi - zielonymi oczami, a karzeł podszedł i założył mu na szyję srebrny łańcuszek, z którego zwieszał się wspaniały, przykuwający wzrok klejnot.

- Zrobiłem, jak mi rozkazałyście, szlachetne panie - rzekł Drinu do Eszwa. - Podobieństwo jest doskonałe. Teraz wasz brzdąc ma troje oczu, w tym jedno z rzadkiego kamienia. I jest na nim wycięte jego imię, jak chciałyście.

Dziecko popatrzyło na symbol wygrawerowany na klejnocie. Nie potrafiło czytać pisma demonów, jednego z siedmiu języków Podziemia, nie potrafiło też wymówić tego imienia w żadnym języku Ziemi lub Podziemia, a jednak w jakiś sposób to imię poznało. A imię brzmiało Simmu, co w języku demonów oznacza „Podwójnie Piękne”.

Eszwa zbliżyły się do dziecka i ucałowały je. Ich pocałunki były jak łagodne płomienie i dziecko zakołysało głową i zamknęło oczy. Drinu podskoczył i zawołał:

- Pocałujcie i mnie! Pocałujcie i mnie!

Lecz Eszwa wcale nie zwracały na niego uwagi. Uniosły dziecko, pozostawiając karła w starym ogrodzie, gdzie podskakiwał, kwiczał i chrząkał, czując jedynie zawód i zazdrość.

Kilka mil na zachód od ogrodu wznosiła się świątynia. Dookoła rozciągały się łąki poprzetykane gajami, a wewnątrz wysokich murów pyszniły się liczne ogrody i białe podwórce. Na dachach gnieździły się białe ptaki, które o zachodzie ulatywały w niebo jak dym z płonącego słońca. Świątynię obsługiwali kapłani. Ślubowali oni ubóstwo i pokorę, lecz wyniosłe filary budowli pokryte były złotem, a tu i tam stały posągi bogów i mędrców o twarzach i rękach z kości słoniowej, ozdobione srebrem.

Kobiety Eszwa złożyły dziecko na stopniach wiodących do świątyni. Uśmiechnęły się na swój sposób, uśmiechnęły się do swoich mglistych, niegodziwych myśli. A potem spojrzały na dziecko i uрониły na pożegnanie kilka cudownych łez - owych słynnych łez Eszwa.

Widząc, że płaczą, dziecko również zapłakało - po raz pierwszy od owej nocy, w której pozostawiono je w grobowcu królowej Merhu.

Lecz na wschodzie niebo było już nieco bardziej blade, a na dachach ptaki rozkładały i składały skrzydła jak wachlarze. Eszwa opuściły dziecko. Zawirowały deszczem ciemnych smug i kropel - ruchomym wzorem z włosów i szat wsiąkających w mrok - i rozplynęły się, powracając do Podziemia, zanim światło pochłonięło ostatnią gwiazdę.

Wzeszło słońce. Ze świątyni wyszło czterech młodych kapłanów. Na stopniach znaleźli dziecko, nagiego chłopczyka nie mającego nawet dwu lat, z zielonym klejnotem na szyi. Dziecko płakało. Nie przestało płakać, gdy ich zobaczyło, nie odpowiadało, gdy próbowali do niego pieszczotliwie przemawiać, a kiedy zabrali je do świątyni, wciąż płakało. I płakało tak przez następne dni, roniąc obfite łzy i nie dając się niczym pocieszyć.

CZEŚĆ TRZECIA

Pan nocy

1

Dla Simmu nastał teraz czas prawie - człowieczeństwa, czas prawie - zapomnienia. Był jak drzewo uśpione w zimie, pozbawione liści i owoców. Wiosna budzi drzewo i wiosna mogła też przebudzić Simmu, lecz jego wiosna jeszcze nie nadeszła, jeszcze była daleko.

Eszwa już nigdy go nie odwiedziły, a wraz z nimi mózg dziecka opuściły wspomnienia tych senno - mrocznych piastunek. Nie pamiętając o Eszwa i o miesiącach, w których z nimi wędrowało, stanowiąc z nimi prawie jedno, omotane ich mrocznym czarem, dziecię nie pamiętało prawie niczego. Nie pamiętało, kim było i kim mogłoby być. Stało się po prostu śmiertelnikiem, bo wszystko, co teraz widziało wokół siebie, było po prostu śmiertelne. Miało już męską płć, bo teraz wszystko wokół niego było męskiej płci. Było chłopcem, a ów chłopiec nie pamiętał już, że mógłby stać się kimś innym. Było chłopcem, choć niezwykłym, bo zrodziły go istoty, których nie pamiętał, jak to często bywa z niechcianym dzieckiem, z tym jeszcze - jednym - brzuchem, którego już nie ma czym nakarmić. Nie znał też imienia nadanego mu przez demony. Symbolu na klejnocie Drinu nie potrafił odczytać nikt z ludzi. Kapłani, którzy zaopiekowali się nim z czystej litości, nazwali go Muszlą, bo mówili, że został znaleziony w morzu łez. Kapłani mieli swoje dziwaczne kaprysy. Spodobał im się zielony klejnot i wzięli go, uznając za zapłatę od tych, co podrzucili im dziecko. Spoczął w świątynnym skarbcu, pośród wielu innych bogactw.

I tak Simmu, zwany teraz Muszlą, dorastał w świątyni razem z innymi podrzutkami. Kapłani przygarniali każde podrzucone dziecko, jeśli tylko nie miało żadnej skazy i było miłe dla oka (bogom mogłyby się nie spodobać kaleki), pod warunkiem, że przy dziecku pozostawiono jakąś zapłatę, by okazać im właściwy szacunek i wdzięczność. A wszystkie te dzieci poświęcono natychmiast służbie bogom, a także ideałom ubóstwa i pokory głoszonym pośród kolumn pokrytych złotem.

Świątynne dzieci miały swoje własne podwórce i komnaty, gdzie bawiły się, płakały i biegały, doglądane przez świeckich braci, jako że kobiety nie miały wstępu na teren świątyni. Dzieci, bez względu na

wiek, poddane były szczególnym regułom, takim jak przestrzeganie ustalonych godzin kładzenia się do łóżek, wstawania i jedzenia, a nawet najmniejsze zanoszono przed posągami dwu bogów królujących nad dziecięcymi podwórcami i uczono, by przed nimi klękały i chyliły głowy. Dzieci, które podczas hołdu składanego bogom zapłakały lub gaworzyły, surowo karcono. Dwaj bogowie budzili w dzieciach lęk. Bogowie mieli srebrne diademy, a od pasa w dół kształty zwierzęce. Niebieski bóg był od pasa tygrysem, czerwony - baranem. Bogowie ci zarządzili pogodą. Niebieski tygrys władał burzą i wiatrem, czerwony baran letnim upałem. Należeli do starodawnego panteonu bóstw, starszego od tego, któremu kapłani obecnie oddawali cześć. Pozostawiono ich jako strażników i opiekunów dzieci, a owo przekonanie było dziwną mieszanką szacunku i szyderstwa.

Starsi chłopcy mieszkali w górnej części dziecięcych zabudowań aż do czasu, gdy ukończyli dwanaście lat, kiedy wyświęcano ich na kapłanów. Sześcioletnich chłopców uczono czytać i pisać, tak że w wieku dziesięciu lat mogli już studiować zbrązowiałe zwoje i księgi w wielkiej bibliotece. Młodzi kapłani posiadali bogatą wiedzę dotyczącą dziejów Ziemi, jej wojen i bohaterskich opowieści, jej natury i dziwnej płaskości, jej minerałów, zwierząt i zamieszkujących ją rozmaitych ludów. W każdym razie uczyli się tego, co o tym wszystkim mówiły starożytne księgi. Wgłębiali się też w tajniki świątynnego rytuału i kultu. Czytali testamenty czcigodnych proroków i pomazańców, nawołując ich do pokory w obliczu potężnych bogów, do szacunku i dobroci wobec każdego człowieka.

Pół mili na wschód od muru świątyni znajdował się Dom Służby. Tutaj miały wstęp kobiety, które przychodziły, by prać szaty kapłanom i szyć nowe, by dla nich gotować i piec. W pobliżu wznosił się Dom Darów, do którego myśliwi przynosili jedną dziesiątą tego, co złowili lub upolowali, rolnicy jedną dwudziestą część swoich zbiorów, a kupcy jedną piątą zysku za sprzedane towary. Od czasu do czasu zjawiali się tam jacyś bogacze, by złożyć datek za odmówienie w ich intencji modlitwy w świątyni - malachitową misę lub sznur pereł. Kiedy za mąż wychodziła bogata dziewczyna, szła po błogosławieństwo bogów do Sanktuarium Dziewic w gaju, który znajdował się o pół mili na zachód od świątyni, a ceną za nie było tyle złota, ile ważyła jej prawa ręka. Kiedy jakaś kobieta zaszła w ciążę, do Domu Darów przychodził jej mąż, by podziękować bogom i

przynieść im dzban wina w ofierze, a kiedy rodziło się dziecko, żywe i męskiej płci, ojciec fundował bogom małą kapliczkę, a cena za nią wynosiła woreczek srebra, albo siedem snopków pszenicy, albo trzy owce.

Kiedy nadchodziło jedno z pięciu dorocznych świąt, w świątyni wybierano młodych kapłanów i wysyłano ich na wędrowkę po kraju. Błogosławili wiernych i uzdrawiali chorych, a podążały za nimi dwa lub trzy wozy, na które ładowano dary od pobożnego ludu. W święto zbiorów w taką wędrowkę wyprawiał się sam najwyższy kapłan, podróżując w rydwanie osłoniętym baldachimem i zaprzężonym w cztery białe woły. Za nim podążało pięć wozów.

Kapłani nosili szaty z żółtego jedwabiu, co miało symbolizować potęgę światła i jasność dnia. Szaty zdobiły aplikacje z rubinów i szmaragdów, symbolizujących wiedzę i miłość. Młodszy kapłani nosili szaty z dobrego żółtego płótna, a zmieniali je codziennie. Zimą okrywali się wełnianymi opończami obszytymi żółtym futrem pustynnych lisów. Włosy mieli długie, bo wierzyli, że ich obcięcie jest grzechem, a golenie brody grzechem jeszcze cięższym. Czesali i układali brody, namaszczając je wonnymi olejkami, których całe dzbany stały zawsze w Domu Darów. Co wieczór w wielkiej hali świątynnej nakrywano stoły jak do uczyty. Kapłani jedli i pili, a podawano im w obfitości mięso i wino, biały chleb i najróżniejsze słodycze. Religia zabraniała im tylko jednej rozkoszy: tej, jaką daje dzielenie łoża z kobietą lub młodzieńcem. Wszystko inne było im dozwolone. Lud szanował ich jednak za to, że zadowalali się tylko jednym posiłkiem w ciągu dnia, nie mówiąc o garści owoców i kromce chleba rano i w południe. A raz do roku, w środku zimy, pościli, jedząc wyłącznie ryby i ciastka i nie pijąc czerwonego wina, tylko białe.

Kiedy ktoś zachorował, przynoszono go do świątyni: na Wewnętrzny Dziedziniec, jeśli był to mężczyzna, do Domu Kobiet przy Sanktuarium Dziewic, jeśli chorą była kobieta. Kapłani oglądali i leczyli tych chorych, a trzeba przyznać, że czynili to z wielkim znanstwem i skutecznością. Bywało jednak tak, że przynoszono chorego w czasie wieczerzy, a wówczas musiał trochę poczekać i czasem się zdarzało, że nie doczekał końca wieczerzy i umierał. „Niestety, bogowie są surowi i wymagający”, mówili wówczas

kapłani. I dwukrotnie w ciągu dni klękali przed posągami bogów, dziękując im za ich szczodroblliwość i wyrozumiałość.

Był to bogaty kraj, pobożny kraj, dla świątyni niczym dojna krowa dająca mleko w obfitości.

A pośród tego bogactwa, tego rytuału i tej pobożności rósł Simmu, teraz zwany Muszlą. Rósł jakby w uśpieniu w zapomnieniu, lecz piękny i zmienny jak zimowe drzewo.

2

Kiedy Simmu zwany Muszlą miał dziesięć lat, w dziecięcej części zabudowań świątyni pojawił się inny chłopiec, starszy od niego o rok. Przysłał go tu ojciec, król jednego z koczowniczych plemion żyjących na dalekim południu.

Ów chłopiec miał na imię Żyrem, a był synem króla z ulubionej przez niego małżonki. Lecz jego narodziny wniosły kłótnię do królewskiego domu.

Koczownicy mieli brązową skórę, żółte włosy i rdzawe oczy, lecz chłopiec urodził się z włosami ciemnymi jak cień wczesnej nocy, a oczy miał barwy zielonej wody odbijającej błękitne niebo.

- Co to ma znaczyć? - ryczał król, przemierzając swój szkarłatny namiot wielkimi krokami.

Był pewny, że jego żona zabawiła się z jakimś cudzoziemcem. Tak jednak nie było i żona śmiało mu to oświadczyła. Zapytała też męża, czy kiedykolwiek widział takiego cudzoziemca w tych stronach.

- Moja matka miała ciemne włosy - powiedziała - a moja babka takie oczy.

- Mam więc uwierzyć, że ten chłopiec jest tylko mieszanką kobiecych przodków jego matki?

- No... jest przy tym piękny - dodała pokornie jego małżonka. - Piękny jak jego ojciec.

Król złagodniał nieco na te słowa i nic już nie powiedział, a i później nie wracał już do tej sprawy. Bez wątplenia dziecko było piękne, a z upływem czasu robiło się coraz piękniejsze. Kobiety z namiotów uwielbiały je z powodu jego niezwykłości, z powodu pewnej mieszaniny powagi i słodyczy w jego zachowaniu, a także z powodu jego oczu przypominających zielono - niebieską wodę. Lecz starzy ludzie odwracali od niego spojrzenia. „Taki kolor włosów przynosi nieszczęście”, mówili. „Ciemnowłosi są naznaczeni jak kozy

należące do króla, żeby je odróżnić od innych stad, naznaczeni i już przeznaczeni demonom, a pewnie samemu Czarnemu Szakalowi, Panu Nocy." I spluwali, aby oczyścić sobie usta z tych słów. Ten, którego nazywali Czarnym Szakalem i Panem Nocy, miał wiele imion i tytułów, a im bardziej wymyślnym i mniej znanym imieniem go nazywano, tym lepiej. Jego prawdziwego imienia nigdy nie wymawiano, choć je znano: Ażrarn, Księżę Demonów, jeden z Władców Ciemności.

Ulubiona żona króla bardzo kochała swojego synka, najmłodsze z królewskich dzieci, a w miarę jak rósł i piękniał, narastał również jej lęk.

- Ze wszystkich stron otaczają go wrogowie - szeptała sobie w sercu. - Młodzieńcy patrzą na niego wrogo, a starcy go nienawidzą. Każdy wie, że demony włóczą się po nocy, ale czyż robi to mój syn? Czyż nie ma w nim jedynie dobroci i niewinności? Wkrótce nadejdzie dzień, w którym młodzieńcy zabiorą go na łowy i zaprowadzą tam, gdzie chodzą lwy, i zostawią go samego, bez włóczni, i lew rozedrze go na strzępy. Albo ktoś podkradnie się do niego w południe, gdy będzie spał w cieniu palmy, i przetnie mu żyły. Albo ożeni się z jakąś suką, której bracia będą syczeć w ucho, że spółkuje z diabłem, a ona dosypie mu trucizny do wina.

I szlochała cicho, ale nie mogła poskarżyć się nikomu ani u nikogo szukać pomocy, bo nawet jej królewski małżonek spoglądał na Żyrema niechętnym wzrokiem.

Pewnego dnia, kiedy Żyrem miał pięć lat, wszyscy mężczyźni wybrali się na łowy. W opustoszałym obozowisku, w którym zostały tylko kobiety i dzieci, pojawiła się jakaś tajemnicza staruszka. Okryta była cuchnącymi skórami zwierząt, a w matowe włosy miała wplecione metalowe pierścienie i polerowane kości. Wokół jej nagiego ramienia owinięty był żywy złoty wąż, a oczy miała bystre i czyste jak młoda dziewczyna.

Kobiety bały się jej i tylko zerkały niespokojnie z namiotów, lecz ulubiona żona króla, która miała dość własnych powodów do lęku, wyszła do niej i zapytała, czego jej potrzeba.

- Chciałabym usiąść gdzieś w cieniu i napić się chłodnej wody - odrzekła staruszka, a potem spostrzegła Żyrema i dodała: - A tu jest i jedno i drugie.

Żona króla zmarszczyła brwi. Zaprosiła staruszkę do swojego namiotu i kazała jej usiąść. Sama podała jej coś do zjedzenia i picia, wynosząc najlepsze potrawy z królewskiej spizarni, a także miseczkę mleka dla węża. Potem otworzyła skrzynkę z czerwonego piaskowca i wyjęła z niej swoje kolczyki z turkusów, bransolety ze złota, naszyjnik z bursztynu, ptaszka z onyksu, który należał do jej matki i trzy wielkie perły. Wszystko to rozłożyła obok staruszki.

- Bardzo piękne - powiedziała staruszka, mrugając sprytnymi młodymi oczami.

- Weź to wszystko - powiedziała żona króla.

Staruszka uśmiechnęła się, ukazując dziewięć zębów, które jej jeszcze pozostały.

- Na tym świecie niczego nie dostaje się za darmo. A czego ty chcesz ode mnie?

- Chcę, aby mój syn przeżył i znalazł bezpieczne schronienie - odrzekła żona króla, matka Żyrema, i wysypała przed nią opowieść o dziwnej odmienności Żyrema, tak jak uprzednio wysypała swoje klejnoty.

- A więc myślisz, że jestem czarownicą - powiedziała staruszka, gdy opowieść dobiegła końca. - I mądrze myślisz. Zrobię dla tego chłopca co w mojej mocy, ale on sam może nie być mi za to tak wdzięczny jak ty, bowiem nie ma takiego szczęścia, które by nie miało siostry w nieszczęściu. Kiedy zapadnie zmierzch, weź swoje dziecko i przyprowadź je do stóp tego purpurowego grzbietu na widnokręgu. Tam ktoś po ciebie przyjdzie i zaprowadzi do mnie.

- A gdybym nie mogła przyjść?

- Wówczas i ja nie mogłabym ci pomóc - odpowiedziała wiedźma i podniosła się, trzeszcząc stawami, a kiedy żona króla wskazała na swoje klejnoty, dodała: - Nie są mi potrzebne. Wieczorem poznasz moją cenę.

Kiedy król i jego wojownicy wrócili z polowania, jego ulubiona żona podeszła do małżonka, pocałowała go i rzekła:

- Panie mój, wybac mi, że nie pozostanę z tobą tej nocy, ale głowa mi pęka i pragnę się położyć samotnie w moim namiocie.

Król okazał jej wyrozumiałość, bo wciąż darzył ją szczególnymi względami. Wzięła więc potajemnie Żyrema do swojego namiotu, a kiedy zapadł zmrok, wykradła się z nim z palmowego gaju, w którym

rozłożony był obóz, a potem pobiegli razem ku purpurowemu grzbietowi. Chłopiec śmiał się głośno, bo myślał, że to zabawa.

Nie czekali tam długo. Słońce dopiero co zaszło, nad widnokrzem niebo wciąż jeszcze płonęło jasną zielenią, gdy z zachodu chyżo nadpłynął szary obłok, choć nie było wiatru. Obłok opadł na ziemię i okrył Żyrema i jego matkę. Kobieta przelekła się i przytuliła dziecko do siebie, lecz w następnej chwili wszystko zawirowało, potem znieruchomiało, a kiedy obłok się rozwiął, znajdowali się już w zupełnie innym miejscu.

Był to jakiś tajemniczy ogród otoczony wysokim kamiennym murem, za którym czerniało niebo bez gwiazd. Pod stopami chrzęścił drobny zielony piasek, a w czterech rogach płonęły cztery mosiężne lampy, pogłębiając czerń drzew i dziwnie pachnących krzewów i oświetlając kamienną studnię pośrodku. Żona króla lękliwie podeszła do studni, bo coś ją ciągnęło, by w nią zajrzeć. A to, co w głębi dostrzegła, nie było wodą, lecz raczej ognistym żarem. W tej samej chwili w murze ogrodu otworzyła się wąska furtka i pojawiła się w niej czarownica. Zamknęła furtkę za sobą i podeszła do żony króla.

- A więc jesteś tutaj - powiedziała skrzypiącym głosem. - Teraz musisz dowiedzieć się kilku rzeczy. Tam, w głębi najstarszej studni, studni, do której zaglądałaś, płonie pradawny ogień Ziemi. Gdybyś skoczyła w ten ogień, spaliłby cię na popiół i to samo stałoby się z każdym prócz małego dziecka, bo ów ogień syci się wiedzą i niegodziwością, a na tym świecie ludzie szybko uczą się przebiegłości i okrucieństwa. Lecz dziecko zwykle mało wie i nie zna niegodziwości i podstępów. Im młodsze dziecko, tym lepiej. A natura tego ognia jest taka, że wszystko, co sobą ogarnie, staje się odporne na wszelką szkodę i zniszczenie. Żadna broń ani żadna dolegliwość nie uczyni krzywdy temu, kto choć raz zanurzy się w tym ogniu. Choć nadal będzie podlegać prawu przemijania, starość i śmierć nadejdzie powoli, po dwustu, a może i po trzystu latach.

Żona króla słuchała w milczeniu z szeroko rozwartymi oczami i pobladałą twarzą.

- Mówię ci to wszystko - ciągnęła wiedźma - bo twój synek ma cztery, może pięć lat. Byłoby lepiej, gdyby miał mniej, a najlepiej, gdyby dopiero co się urodził. Teraz ogień sprawi mu ból. Czy będziesz w stanie znieść jego krzyki, gdy znajdzie się w studni, aby zdobyć odporność na wszelkie zranienie, choroby i ciosy?

Żona króla zadrżała. Przycisnęła dziecko do swego łona, a ono, nie rozumiejąc co zostało powiedziane, rozglądało się ciekawie po ogrodzie.

- Zniosę to - powiedziała jego matka. - Lecz jeśli mnie oszukasz i ogień uczyni mu krzywdę lub go zabije, ja zabiję ciebie.

- Zabijesz mnie? Doprawdy? - zarechotała czarownica, wielce zdumiona.

- Tak, zabiję cię, pomimo twoich czarów i wszystkich zaklęć. Rozerwę cię na strzępy gołymi rękami, rozszarpię ci gardło własnymi zębami.

Twarz wiedźmy wykrzywił uśmiech.

- Nie oszukam cię - powiedziała. - Ale cieszę się, że wspomniałaś o swoich zębach. - Przysunęła się do matki Żyrema, a jej oczy zapłonęły jeszcze ostrzejszym blaskiem. - Spójrz tutaj - rzekła wskazując na swoje oczy. - Utraciłam wzrok ze starości, więc za cenę zaklęcia sprawiłam sobie nową parę oczu. Należały do młodzieńca, który miał umrzeć, lecz aby uciec ze szponów śmierci zgodził się je oddać. „Lepiej być ślepym i żyć”, powiedział, a ja przyznałam mu rację. Spójrz, jakie mam teraz piękne oczy. Ale zęby... Och, moje nieszczęsne zęby, rozchwiane i poczerniałe... Zauważyłam, że twoje zęby są ostre, białe i zdrowe. Zaiste, dość ostre, białe i zdrowe, żeby rozerwać gardło biednej staruszce. Daj mi te wspaniałe zęby. Oto moja cena za usłużenie twojemu synowi.

Żonę króla przeszył zimny dreszcz. Spojrzała na małego Żyrema, pochyliła się i ucałowała jego twarzyczkę, a potem rzekła:

- Zgoda. To cena warta tego, co za nią chcę kupić. Czarownica natychmiast pochwyciła chłopca. Szybko zgarnęła mu czarne włosy i przewiązała końcem sznurka, a następnie uniosła go i postawiła na cembrowinie kamiennej studni. Żyrem obrócił się, przerażony, lecz zanim zdołał uciec, wiedźma zepchnęła go do studni, trzymając mocno za sznurek. I tak, wiszącego na sznurku oplatającym mu włosy, zanurzyła w straszliwym ogniu, bo płomienie musiały ogarnąć każdy kawałek ciała, aby stało się nietykalne. I wnet zaczął krzyczeć z bólu, jak wiedźma przepowiedziała, lecz jego krzyk trudniej było znieść niż tę przepowiednię. Żona króla zakryła uszy rękami i sama zaczęła krzyczeć, bo czuła, że każdy dźwięk wydobywający się ze studni przeszywa ją jak rozpalone żelazo.

W końcu przebrzmiał ostatni straszliwy krzyk i wiedźma wyciągnęła ze studni coś poczerniałego i spalonego, coś, czego nie można było rozpoznać, i złożyła to na zielonym piasku.

Na ten widok żona króla ryknęła jak rozwścieczona lwica i rzuciła się na czarownicę. Lecz ta tylko się roześmiała.

- Nie masz już czym mnie zagryźć - zarechotała, wskazując na swoje usta, pełne teraz białych zębów, a żona króla znieruchomiała, wyczuwając nagle pustkę we własnych ustach. - Trochę cierpliwości, piękna pani - dodała wiedźma.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, poczerniałe, spalone szczątki zaczęły się zwijać i skręcać, i nagle czerń i spalenizna opadły z nich jak brud z naczynia z kości słoniowej. I oto na piasku leżał znowu chłopiec barwy kości słoniowej, cały i nietknięty przez ogień, a z czerni pozostały tylko błyszczące krucze włosy i czarne rzęsy przysłaniające oczy. Wokół jego ciała płonęła słaba poświata, podobna do blasku szczerego złota.

- Czy on... jest martwy? - szepnęła matka, bo chłopiec leżał bez ruchu.

- Martwy? - zakrakała wiedźma. - Spójrz, oddycha.

Przyprowadziła żonę króla do jej syna, a potem nagle wyciągnęła nóż i z całej siły wbiła mu w serce.

Matka Żyrema wydała zdławiony okrzyk zgrozy.

- Albo jesteś głupia, albo mi nie uwierzyłaś - rzekła czarownica i pokazała jej nóż, który złamał się, jakby ugodził w stalową skrzynię, i wskazała na pierś dziecka, na której nie było nawet śladu zranienia.

Kiedy matka Żyrema opuszczała obozowisko szkarłatnych namiotów, była bardzo ostrożna i starała się, aby nikt jej nie zauważył. Ale, jak mówią mieszkańcy pustyni, nigdy nie można zapieczętować dzbana tak dokładnie, żeby się do wnętrza nie przedostało ziarenko piasku. Król miał również inne żony, a żony miały synów. Jeden z nich wyszedł z namiotu podczas wieczerzy, aby załatwić swoją potrzebę pod palmami, a kiedy to robił, zobaczył matkę Żyrema wykradającą się z oazy razem z dzieckiem. Między królewskimi żonami i ich synami panowała zazdrość, a ten chłopiec nie był wyjątkiem. Postanowił zacząć się przy namiocie matki Żyrema, aby zobaczyć, co się stanie. Około północy ujrzał ją wracającą z synkiem, lecz jej wygląd go przestraszył: twarz miała białą jak papier, włosy potargane, krok szybki lecz niepewny. W ramionach niosła uspiętego

Żyrema. A kiedy była już blisko, wydało mu się, że brakuje jej wszystkich zębów. Gdy tylko weszła do namiotu, chłopiec popędził do swojej matki i wszystko jej opowiedział, a ta pospieszyła do króla i oznajmiła mu z satysfakcją, że jego ulubiona żona wykradła się w nocy na spotkanie z demonami, wynosząc im swojego demonicznego syna, a teraz wróciła bez zębów, które z całą pewnością oddała za jakieś zaklęcie.

Król poczuł niepokój. Od początku nie podobał mu się czarnowłosa Żyrem, a teraz wszystko wskazywało na jakieś czary, których się lękał. Kiedy świt spędził noc z pustyni, udał się do namiotu swojej ulubionej żony. Tam przemówił do niej ostro, oskarżając ją o to, co usłyszał, a kiedy skończył, oznajmił, że chciałby zobaczyć wnętrze jej ust.

Matka Żyrema zrozumiała, iż nie uratuje jej ani kłamstwo, ani prawda, więc postanowiła je razem pomieszać, a żeby zyskać trochę na czasie, zaczęła gorzko szlochać.

- Panie mój - powiedziała przez łzy - lękam się wyznać ci, co uczyniłam, ale widzę, że byłam głupia wyobrażając sobie, iż mogę coś ukryć przed twoją mądrością. Okaż mi zlitowanie. Kiedy wczoraj wieczorem uskarżałam się przed tobą na ból głowy, w rzeczywistości bolały mnie wszystkie zęby. Cierpiałam na tę przypadłość od pewnego czasu i błagałam bogów, aby mnie od niej uwolnili, ale daremnie. W końcu pojawiła się tu pewna kobieta, która знаła się na ziołach, a ja wyjawiałam jej moje utrapienie. A ona powiedziała mi, że nie ma dla mnie ratunku poza wyrwaniem wszystkich zębów, bo choć wyglądają na zdrowe, są zepsute aż do korzeni i w końcu zatrują mi całe ciało. Tak więc, mój panie, wykradłam się potajemnie na spotkanie z tą właśnie kobietą, zabierając synka jako moją jedyną pociechę w tym nieszczęściu, a ona wyrwała mi wszystkie zęby. A teraz zapewne karzesz mi iść precz, bo jestem brzydka. Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą, w śmierci szukając ulgi.

Króla ogarnęła litość, we wszystko uwierzył. Zapewnił swą ulubioną żonę, że nadal będzie darzył ją miłością, że jej piękność nie kończy się na białych zębach. Zbeształ ją łagodnie za to, że chciała go oszukać i że narażała życie swoje i dziecka, wyprawiając się w nocy na pustynię. Potem posłał po tego ze swoich synów, który ją szpiegował i kazał go wychłostać, oznajmiając mu, że odtąd jego miejsce jest pośród służby, a jego matkę oddał innemu królowi na

znak przyjaźni między plemionami. A oddając mu ją, dodał następujące ostrzeżenie: „Strzeż się ust tej jędzy, w których jest tyle fałszu co zębów.”

Minęło pięć lat, bo lata zawsze będą przemijać, choćby nic innego nie pozostało. Lud króla opuścił palmową oazę i przeniósł się w inne miejsce, a potem w jeszcze inne, wypasając swoje stada na zielonych miejscach i wędrując dalej, gdy trawy zabrakło. Niekiedy nadchodziła susza, a wówczas modlili się o deszcz, a innym razem deszczu było wiele i skąpe rzeki pustyni nabrzmiwały i występowały z brzegów rozlewając się po pustyni, a wówczas nastawał czas obfitości.

Żyrem miał dziesięć lat i przestał być najmłodszym synem króla, choć jego matka nie urodziła już dzieci. Prawdę mówiąc, nie była już pierwszą żoną króla. Poślubił nową kobietę o oczach jak złotordzawy bursztyn, zręczną i pojętną, która urodziła mu kilku synów i teraz zajmowała uprzywilejowaną pozycję. Lecz żaden z pozostałych synów króla nie mógł się równać pięknnością i wdziękiem z Żyremem.

Starzy ludzie przestali głośno wyrzekać, że jego czarne włosy są świadectwem pochodzenia od Pana Nocy, Księcia Demonów. Teraz czasem nawet z nim rozmawiali. A jednak, gdy patrzyli na niego, w ich twarzach czaił się jakiś cień, coś nie wypowiedzianego lecz gotowego, coś niby zardzewiały nóż, który można zawsze oczyścić.

Wśród synów króla Żyrem budził niechęć i zawiść, również nie wypowiedzianą, również gotową do uządlenia. Ten, którego kazał wychłostać, miał teraz piętnaście lat. Pewnego dnia wybierał się na polowanie.

- Niech to szczenię pójdzie z nami na łowy - rzekł pieszcząc kręcone włosy Żyrema. - Zaopiekujemy się nim. Za często przebywa pośród kobiet i nigdy jeszcze nie widział lwa.

Żyrem był samotnikiem, marzycielem. Kiedyś, przed pięciu laty, matka przytuliła go i poczuł jej łzy na swoich policzkach. „Czy pamiętasz coś, mój ukochany synku?” zapytała. „Nie pamiętaj niczego. Nie pamiętaj ognia, nie pamiętaj bólu, nie pamiętaj ogrodu z zielonym piaskiem. A jeśli nawet czasem o tym myślisz, nie mów nic, nie mów nic.”

To jej czarodziejskie sztuczki sprawiały, że nie pamiętał. Gdy był dzieckiem, nawiedzało go mgliste wspomnienie, może mniej niż wspomnienie, bardziej iluzja parzącego świata i piekącego bólu, senny koszmar dziecka. Pozbył się tego. A jednak, choć wydaje się to

niemożliwe, w jakiś sposób wiedział, że owa iluzja lub sen naznaczyły go piętnem, które dzieliło go od innych bardziej niż kolor włosów, oczu i skóry, bardziej niż piękność, której zresztą sobie nie uświadamiał. Wiedział, że jest odmienny od reszty i nie pytał dlaczego, bo wyczuwał, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. Żył w kraju, gdzie wszyscy byli mu obcy. Spotykał się z tymi, którzy uważali się za jego braci i krewniaków, lecz nigdy nie spotkali nikogo, kto byłby jemu podobny lub kto mówiłby językiem jego duszy. Dlatego owa odmienność, a także niegodziwości, z jakimi się spotykał, nie sprawiały mu bólu. Nie oczekiwał niczego innego w tym obcym mu kraju.

Tak więc wyprawili się na łowy - trzech synowie króla, ich trzech przyjaciele i Żyrem.

Lwy, na które pragnęli zapolować, miały swoje legowisko na szczytach skalistych wzgórz. Cztery bestie, złotoookie, o skórze barwy piasku w popołudniowym słońcu, trzy lwice i jeden lew o grzywie czarnej, jakby ją spalił żar południa. Znały już smak ludzkiego mięsa i kiedy wiatr przyniósł zapach człowieka, nozdrza im się rozszerzyły, a oczy zwęziły, i powstały, bijąc ogonami po bokach.

A oto co się wydarzyło.

Myśliwi dotarli do miejsca, gdzie rosło drzewo figowe nad sadzawką pośród skał. Wiedzieli, że lwy muszą być blisko, bo dostrzegli ich świeże tropy.

- Weźcie psy i idźcie w tamtą stronę - rzekł odrzucony syn króla do trzech przyjaciół wskazując na północ.

Kiedy tamci odeszli, trzech synowie króla zaczęli się naradzać.

- Szkoda - powiedział odrzucony syn - że nie mamy jakiegoś koźlęcia, roczniaka, żeby zwabiło lwy.

Wszyscy trzech przeklinali swoją głupotę, bo za późno o tym pomyśleli, lecz po chwili przyszedł im do głowy pewien pomysł.

- A gdyby tak zastąpić koźlę naszym małym Żyremem i zostawić go tutaj, żeby go lwy zauważyły? Jest mięsisty i soczysty jak najlepsze koźlę. Co ty na to, braciszku Żyremie? Chyba nie masz nic przeciwko temu? Będziemy w pobliżu z oszczepami.

Żyrem tylko wpatrywał się w nich, nic nie odpowiadając. Bracia roześmiali się i poprowadzili go skalistą ścieżką.

- Słuchaj no, kochany braciszku Żyremie, chyba nie zmartwisz się, jak cię przywiążemy do tego wielkiego kamienia, co?

I przywiązali go mocno do kamienia, a sami odeszli na bezpieczną odległość i ukryli się wśród skał, aby zobaczyć, co się stanie.

Nie minęło wiele czasu, gdy ze szczytu zeszły cztery złote cienie - trzy lwice i lew o zwężonych, gorejących ślepiach - bijące ogonami po bokach.

Żyrem wpatrywał się w lwy. Nie czuł strachu, choć nie wiedział dlaczego, bo lwy wyglądały przerażająco groźnie, a we wszystkim, co dotychczas o nich słyszał, trudno było znaleźć choćby jedno dobre słowo.

Pierwszy podbiegł do niego lew. Skoczył prosto na chłopca z wysuniętymi pazurami, jak strzała wypuszczona z łuku. Rozległ się okropny dźwięk, przypominający rozdieranie papieru, jakby płowa bestia rozdarła powietrze. Lecz rzeczywiście tylko powietrze zostało rozdarte. Lew zaryczał, zawarczał i odskoczył na bok, kuląc się i płaszcząc do ziemi jak posąg z marmuru. Nie miał zamiaru próbować po raz drugi. Teraz zaatakowały lwice, skacząc, rzucając się i waląc łapami, rozwścieczone, tryskając śliną poznaczoną czerwonymi cętkami. Ale i one w końcu zrezygnowały i odeszły, i tylko jedna pozostała, obwąchując Żyrema gorliwie, jakby szukała śladów po swoich pazurach. Poczul jej szorstki język na swoim ciele, zaczęła go namiętnie lizać i ssać, dysząc i sapiąc z żądzą krwi, kosztując smaku tego, czego nie mogła ugryźć.

Braciom, przypatrującym się temu z oddali, wydawało się, że lwica liże Żyrema w akcie hołdu. Zadrżeli ze strachu. Lwy nie tylko nie rozszarpały Żyrema na strzępy, ale wręcz oddawały mu pokłon, łąsiły się do niego z uwielbieniem, czciły go jak swojego władcę! Bracia zamarli bez ruchu wśród skał, patrząc jak lwy, po złożeniu hołdu Żyremowi, wycofały się na szczyt wzgórza na ugiętych łapach, wlokąc za sobą ogony. A kiedy wszystkie cztery bestie znikły, pobiegli ku niemu, rozwiązali go, wsadzili na konia - który rżał i toczył ślepiami, bo czuł świeży odór lwów - i popędzili z powrotem do obozowiska.

Przybyli tam w momencie śmierci słońca - cały obóz skąpany był w słonecznej krwi. Bracia natychmiast odnaleźli ojca i rzucili mu pod nogi chłopca cuchnącego lwami.

- Tam, na wzgórzach - zawołali - Żyrem oddalił się od nas, a gdy za nim poszliśmy, lękając się, by go coś złego nie spotkało,

znaleźliśmy go pośród czterech lwów, które łąsiły się do niego i lizały go, jakby był ich królem. Teraz już nikt nie może zaprzeczyć, że demony ukochały go za te czarne włosy. To pewne, że chroni go sam Pan Nocy, jak już od dawna przebąkiwali nasi mędracy.

Król należał do ludzi przesądnych i skłonny był dać temu wiarę, lecz czuł, że nie powinien, bo dobrze wiedział, do czego może doprowadzić zazdrość.

- A co ty na to powiesz? - zawołał do Żyrema. - Czy to prawda, że lwy nie wyrządziły ci krzywdy?

- To prawda - odrzekł Żyrem - choć nie wiem, dlaczego tak się stało.

Król uznał tę odpowiedź za zuchwałość. Podniósł rękę i uderzył Żyrema w usta. W każdym razie chciał to uczynić, bo uderzenie nie dosięgło celu, a król poczuł piekący ból w dłoni, jakby dotknął płomienia. To mu wystarczyło. Nie musiał już o nic pytać. Natychmiast zwołał na naradę swoich wojowników i mędrców, nie wyłączając starców, których wiek wymagał należytego szacunku. Wszyscy rozłożyli się na murawie przed namiotem króla, a on sam zasiadł na krześle z czarnego drewna, ustawionym na czerwono - żółtym kobiercu, i zaczęli rozprawiać o Żyremie. Trzej bracia opowiedzieli swoją wersję przygody z lwami, namówili również swoich trzech przyjaciół, by opowiedzieli to samo, niczym świadkowie, choć w rzeczywistości nimi nie byli. Potem starcy oczyścili zardzewiałe noże swojej złośliwości i przypomnieli o swoich podejrzeniach związanych z ciemnymi włosami Żyrema i jego konszachtach z Księciem Demonów. Oczywiście nie wezwali matki Żyrema, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia; nie przyszło im to do głowy, bo przecież była kobietą. Nie zapytali też o nic samego Żyrema, tylko kazali mu stanąć na skraju kobierca, a potem jeden z nich rzucił weń grudą ziemi, która rozprysła się w powietrzu, nie dotykając go, a drugi cisnął w niego kamieniem, który również nie wyrządził mu krzywdy i upadł z boku. W końcu król chwycił włócznię i cisnął nią w chłopca, a włócznia rozprysła się na sto kawałeczków w powietrzu. Wówczas wszyscy odetchnęli głośno, jakby z ulgą i zadowoleniem. Tylko Żyrem wpatrywał się w szczątki włóczni z przerażeniem w oczach.

Na pustyni, przy wodopoju, żyła gromadka świątobliwych mężów. Za schronienie służyły im ruiny starej twierdzy, którą dzielili z jastrzębiami, sowami i jaszczurkami.

Król kazał wsadzić Żyrema na czarnego konia i przywiązać go do siodła, do którego przymocowano dzwoneczki i amulety. O zmierzchu, wraz z kilkoma wojownikami, wyprawił się ku ruinom twierdzy, pędząc przed sobą czarnego konia.

Przywiązany do siodła Żyrem pograżył się w milczeniu, a o tym, co czuł, mówiły tylko jego zrozpaczone oczy. Teraz nie tylko otaczali go obcy i wrogowie, teraz sobie samemu stał się obcym i wrogiem. Nazywali go demonem i zapewne musieli mieć rację. To, że jego własny ojciec cisnął w niego włócznią, nie przerażało go tak jak to, że włócznia rozprysła się w kawałki. Nawet teraz nie pamiętał o studni z ogniem. Dla pięcioletniego dziecka wszystko jest cudem i tajemnicą, jedno dziwne wydarzenie to tylko jeden cud więcej. Teraz, pędzony na czarnym koniu przez króla i jego ludzi, chwytając ich pełne ponurej nienawiści spojrzenia, rozumiał je i godził się z nimi, jakby spoglądał w zwierciadło i widział samego siebie, nagle zamienionego w dziką bestię.

Gdy dojechali do ruin, księżyc świecił jasno na niebie. Na wieżach siedziały sowy w swoich białych łachmanach, a niżej siedzieli świątobliwi mężowie w swoich brunatnych łachmanach. Głosili, że pycha jest grzechem, odziewając się w postrzępione szmaty i nie myjąc, podkreślając tym, że nie są pyszni, lecz innym mówili: „Jesteśmy czystymi i niewinnymi dziećmi, które zaskarbiły już sobie żywot wieczny i które cieszą się łaską bogów, kiedy wy staniecie się pyłem, my będziemy jaśnieć wieczną chwałą.” A jeśli ktoś ofiarował im złoto, patrzyli na niego w milczeniu, aż złoto zaczynało go parzyć w dłoń. „Jesteśmy zbyt pokorni”, mówili wyniośle, „by kalać się bogactwami ziemi. Nie budujcie sobie pałaców na tym świecie”, zawadzili, błakając się wśród plugawych ruin, „lecz gromadźcie skarby w krainie bogów.” A kiedy któryś z nich zachorował lub kiedy dręczył go ból, mówił: „Bogowie zapragnęli poddać mnie próbie”, tak jakby bogowie pamiętali tylko o nich i nieustannie obmyślali nowe sposoby upewnienia się co do ich cnót. Lecz kiedy zachorował ktoś inny, nie należący do ich gromady, wykrzykiwali: „To kara za twoją niegodziwość, żałuj za grzechy i cierp w pokorze!”

Mimo to, albo właśnie dlatego, jak kto woli, uważano ich za wielkich czarowników, którzy często potykają się z demonami - albo z pewnymi niesamowitymi widmami, które ludzie biorą za demony.

Król stanął u stóp schodów wiodących do twierdzy i zawołał, nie zwracając się do nikogo w szczególności, bo świątobliwi mężowie nie mieli przywódcy:

- Oto mój syn. Opętał go zły duch, który sprawia, że nie można go zranić. Nawet lwy składają mu hołd.

Sowy odziane w brązowe łachmany podniosły się ze swoich grzęd i w milczeniu okrążyły Żyrema. Bez słowa poprzecinały mu więzy i ściągnęły go z konia, a on też milczał, tylko oczami wołał o pomoc lub o wyjaśnienie.

- Zostanie u nas przez miesiąc - odezwał się głos spośród gromady świątobliwych pustelników.

- Wróć tu, gdy następny księżyc będzie w pełni - odezwał się inny głos.

Król kiwnął głową posepnie i odjechał ze swoimi wojownikami. Żyrema wprowadzono w ruiny.

Najpierw próbowali go wypytywać, a kiedy nie mógł lub nie chciał odpowiedzieć na ich pytania, zapalili błękitne kadzidło, które rozwiązało mu język. W ten sposób dowiedzieli się czegoś o studni pełnej ognia, choć sam Żyrem, odurzony dymem, nie zdawał sobie sprawy ze swoich słów. Oni też nic nie rozumieli, lecz czuli, że ma to coś wspólnego z demonami. Zamknęli więc Żyrema w ciasnej celi bez okna i zostawili go tam samego przez siedem dni, bez jedzenia, tylko z garnkiem błotnistej wody. Lecz kiedy wyciągnęli go stamtąd ósmego dnia, ujrzeli w jego oczach to samo szaleństwo, które dostrzegli wcześniej. Postanowili go więc wychłostać, aby uprzykrzyć złemu duchowi pobyt w jego ciele, lecz różgi połamały im się w rękach.

Wówczas uznali, że trzeba demona przechytrzyć. Nakarmili chłopca i pozwolili mu błąkać się swobodnie pośród ruin, śledząc go nieustannie, aby zobaczyć, co on sam - albo demon - uczyni.

Żyrem poszedł jednak na zielony brzeg sadzawki i usiadł tam, wpatrując się tępo w wodę. Czynił tak przez czternaście lub piętnaście dni. Kiedy wołali go, by coś zjadł, przychodził posłusznie, kiedy zamykali go na noc w celi, nie protestował. Lecz kiedy go

wypuszczali, siadał nad sadzawką, a trudno było sobie wyobrazić widok bardziej niewinny i piękny.

Świątobliwych mężów mimo woli poruszyło to, czego byli świadkami. Zaczęło im świtać w głowach, tak jak dzień świta w ciemności nocy, że nie ma niczego złego w tym chłopcu medytującym nad wodą w jasny, słoneczny dzień - a więc w porze, której wszystkie demony raczej unikają.

W końcu porozkładali przed nim różne przedmioty obdarzone mocą wzbudzania lęku, a przynajmniej odraży, w demonach. Żyrem nie okazał najmniejszego strachu; brał do ręki magiczne przedmioty i bez słowa odkładał je na trawę. Teraz nawet oczy miał spokojne, bo szaleństwo i lęk ukryły się zbyt głęboko, by je dostrzec. A kiedy do niego przemówili, odpowiedział im z powagą.

- Zły duch cię opuścił - oświadczyli świątobliwi mężowie. - Teraz, królewski synu, musisz tylko pozostać prawym w obliczu bogów. Pamiętaj, ten świat jest ułudą, marnością i grzechem. Droga do bogów wiedzie w górę po stromych i śliskich stopniach, najeżona pułapkami, głazami i nagimi ostrzami.

- Czyżby więc bogowie - rzekł spokojnie Żyrem - wcale nie pragnęli, by ludzie do nich dotarli, skoro na wiodącej ku nim drodze zastawiają sidła?

- Te sidła są dziełem samych ludzi - odpowiedzieli świątobliwi mężowie. - A jest i taki, co czyha ze swoimi czarnymi i czerwonymi psami, aby pożreć tych, którzy się potkną. Strzeż się Pana Nocy, Uwodziciela. Pamiętaj, że on zawsze jest w pobliżu i że jesteś już prawie jego ofiarą.

Wówczas twarz Żyrema przyoblekła się rozpaczą i przerażeniem.

- Pokładaj ufność w niebiosach - powiedzieli mu świątobliwi mężowie, poszturchując go dobrotliwie, nieświadomi swoich własnych żądz, przytłumionych chwastami pobożności, lecz nie zduszonych. - Strzeż się swego ciała i jego pożądliwości. A szczególnie musisz się wystrzegać kobiet. Nieszczęście sprowadziła na ciebie twoja własna matka, zadając się z siłami ciemności. Oddaj się bogom, oddaj się cały, z ciałem i duchem, a bogowie ocalą cię przed tym, który poluje nocą.

Kiedy król wrócił po miesiącu do ruin twierdzy, świątobliwi mężowie opowiedzieli mu, czego się dowiedzieli, i oświadczyli, że chłopiec powinien być oddany do jakiegoś religijnego zakonu.

- Czy to oznacza, że został uleczony z owej dziwnej nietykalkości, która czyniła go obcym wśród ludzi?

- Nie. Ten chłopiec jest odporny na wszelkie zranienia, a być może na wszelkie nienaturalne formy śmierci. To skutek zaklęcia spowodowanego na niego przez jego matkę i nic go od tego nie uwolni. On sam nie jest jednak niczego świadom i nie wie, jak do tego doszło. Jeśli będzie żył w pokorze, może nigdy o tym się nie dowiedzieć, a więc nie będzie szukać płynących z tego niegodziwych korzyści. Pozostaw go tu, wśród nas, a my wskażemy mu ścieżkę wiodącą do bogów.

Lecz król, ku ich strapieniu, nie uczynił tego. Będąc wielkim władcą, poważanym wśród ludów pustyni, wyprawił Żyrema w długą podróż na północ, do wielkiej świątyni, która tam była. Dał mu dwa konie obładowane kufkami pełnymi pereł, złota i innych kosztowności, chętnie przyjmowanych w świątyni, a odrzucanych przez świątobliwych pustelników.

- Jeśli już ma być kapłanem, niech będzie kapłanem nie byle jakim, bo ludzie mogą się dowiedzieć, że jest moim synem - rzekł król.

Lecz matkę Żyrema, swoją królewską małżonkę, oskarżył o czary i kazał wypędzić na pustynię. Niektórzy mówią, że przygarnął ją jakiś inny lud, inni, że znalazła śmierć w piaskach, a z jej kości wyrosło drzewo wśród samotnych diun.

Zdarzyło się, że pod tym drzewem zatrzymał się pewien kupiec ze swymi sługami, w nadziei znalezienia tam wody.

- Jak to może być, że rośnie tu zielone drzewo, a trzy mile wokół nie ma żadnej wody? - rzucił pytanie w powietrze.

Pobladł ze strachu, gdy powietrze mu odpowiedziało:

- Za wodę służą mi własne łzy.

- Kto to powiedział? - zapytał kupiec, lecz rozejrzawszy się dokoła, ujrzał tylko swoich służących w pewnym oddaleniu, a przed sobą jedynie drzewo. - A więc to ty? Skoro tak, to musisz być duchem.

A drzewo zaszepotało na wietrze:

- Powiedz mi, co się dzieje z moim synem.

- A jak mu na imię?

Lecz drzewo ani nie pamiętało imienia, ani nie powiedziało już nic więcej.

Mówią, że po wielu latach jakiś inny wędrowiec, napotkawszy samotne drzewo pośród pustyni, zaczął kopać przy jego korzeniach, aby odnaleźć źródło wilgotności. W końcu odnalazł trochę wody, ale była słona.

4

Patrzcie, o usynowieni przez bogów! - zawołał otyły kapłan, który zaprowadził Żyrema do górnej części dziecięcego dziedzińca. - Oto Żyrem, dawniej syn króla, teraz oddany na służbę bogom, a więc wasz nowy brat.

Dzieci zbiegły się i gapiły na przybysza, jak to czynią dzieci każdej rasy i we wszystkich czasach. A chłopiec, smukły i ciemnowłosy, przyglądał się im swoim dziwnym, wilgotnym, melancholijnym spojrzeniem.

Otyły kapłan był brzydki. Podobnie jak Żyrem, znalazł się tu za pieniądze i nie musiał być bez skazy, jak inne dzieci. Przeniósł spojrzenie z mrocznego chłopca, stojącego przy nim w promieniach słońca, na drugiego, który zdawał się być promykiem słońca pośród cienistego dziedzińca. Chłopiec miał rdzawo - złote włosy i nie było w nim skazy, a nazywano go Muszlą.

Otyły kapłan nie lubił Muszli.

Spojrzenia Muszli były jak jaskrawozielone drzazgi odstrzelone z oczu rysia. Muszla prawie nigdy nic nie mówił, czasem tylko głośny śmiech wyrwał mu się z ust, a czasem bezsłowne, domagające się posłuchu zawołanie lub melodyjny gwizd. Kiedy go znaleziono na schodach świątyni jako dziecko, często płakał i wrzeszczał. Ludzie, którzy zostawili tam podrzutki, nie nauczyli go żadnej mowy ani nie wpoili mu potrzeby mówienia. Pół roku minęło, opowiadali kapłani, zanim raczył wymówić słowo, a teraz, choć potrafi już szybko czytać, nie chciał czytać na głos - bili go, a on nie dawał się do tego zmusić - ani modlić się na głos, a jeśli już coś odpowiadał, było to tylko „tak”, „nie” lub „może”. Lecz przy tym wstręcie do mówienia słowami Muszla mówił całym sobą. Mówił członkami i całym ciałem; biegał jak jeleń, chodził jak tancerz, z wyszukaną równowagą i wdziękiem, zupełnie nie jak chłopiec. Potrafił skakać dostatecznie wysoko i chwycić dostatecznie szybko, by zerwać słodkie damaszki z poskręcane drzewa rosnącego nad Jadeitowym Dziedzińcem, czego nie udało się dotąd dokonać żadnemu chłopcu, lecz on zadawała się owocami, które same opadały lub które zostały strząśnięte. Jego ciało

mówiło coś nawet wtedy, gdy wypoczywał. Mówił coś choćby jednym rysim okiem, drgnięciem warg lub nozdrzy, krótki ruch rąk, jak zwierzę lub samogrający instrument. Ale na tym nie kończyła się jego dziwność. Choć wrota świątyni zamykano i ryglowano na noc, Muszla bez trudu wydostawał się na zewnątrz. W jakiś sposób przedostawał się przez wysokie mury do cienistych gajów poza nimi. Noc zdawała się go wzywać, noc i księżyc, i nic nie mogło go zatrzymać. Nawet wówczas, gdy przed drzwiami dziecięcego dormitorium stawiano dwóch kapłanów na straży, wymykał się, niezauważony, a oni stwierdzali tylko, że jego posłanie jest puste, choć leżał na nim, gdy zaglądali do sypialni poprzednim razem. Jeśli w niej pozostawał, nie czynił tego z posłuszeństwa lub dlatego, że go pilnowano, lecz tylko dlatego, że nie odczuwał chęci do włóczenia się akurat tej nocy.

A kiedy wyprawiał się na nocne włóczęgi, czego szukał?

Pogłoska: Muszla leżał pod drzewem i gwizdał, a z zarośli odpowiadały mu wszystkie słowiki. Inna pogłoska: Muszla biegał po polach i lasach z lisami i pokazywał im, jak dostać się do zagród. Fakt: czarna kobra wpełzła do sali szkolnej, wzbudzając powszechnie przerażenie, lecz Muszla po prostu wziął ją w rękę, przez chwilę wydawał z siebie jakieś syczące dźwięki, a kobra ułożyła mu się na ramieniu i pocierała łeb o jego policzek, po czym chłopiec wyniósł ją na zewnątrz i łagodnie skierował ku zaroślom. Tylko jednego wydawał się lękać - każdego stworzenia, które było martwe. Uciekał na widok martwej jaszczurki lub myszy, choć nie wiedział dlaczego i nigdy nie mówił o swoim strachu. Nigdy nie widział śmierci człowieka.

W kapłanach wzbudzał mieszaninę uczuć: niepokój, gniew, zakłopotanie, ale ponieważ uwłaczałoby ich godności przyznanie się do tego, że jakieś dziecko może w nich wzbudzać tak silne uczucia, przekładali je na pobłażanie i niezadowolenie.

Dla reszty chłopców Muszla mógłby łatwo stać się ofiarą lub bohaterem. Jego odmienność, jego istna nieczłowieczość - którą bezbłędnie odczuwali, choć nie byli tego w stanie odczuć dorośli - wyróżniała go jednak do tego stopnia, że nie pasował do żadnej z tych ról. Muszla była zagadką. Inne dzieci unosiły się wokół niego w oddali, gdzieś w krawędziach jego życia i jego aury, usiłując go

wielbić lub nienawidzić, niezdolne ani do jednego, ani do drugiego, jak w przeznaczonej duszom dzieci otchłani.

A teraz dzieci były świadkiem jeszcze jednego tajemnego rytuału, w którym nie mogły uczestniczyć, wyczuwając ów rytuał bezbłędnie, podobnie jak wyczuwały jego odmienność i niesamowitość. Prawdę mówiąc, brzydki kapłan też to wyczuwał, lecz nie był zdolny rozplómić się tą wizją.

Oto był jeden niby płomień, a tam drugi niby przygasła lampa - jaśniejący chłopiec i cienisty chłopiec. Podobnie jak dwa przeciwległe bieguny łączy magnetyczne napięcie, tak oni dwaj zdawali się trwać w napięciu, połączeni niewidzialną więzią.

- A teraz słuchajcie! - warknął w końcu kapłan i wyrzucił z siebie kilka gniewnych poleceń, miotanych jak kawałki papieru przez burzę. - Zachowujcie się przyzwoicie! Czujcie bogów! - zakończył.

Twarz mrocznego chłopca, Żyrema, zeszywniała i wyblakła. Przypomniano mu, kto na niego dybie.

5

Słońce zachodziło, dzban różowobrazowej oliwy wylewanej na dachy świątyni. Starsi chłopcy zasiedli do wieczerzy na górnym dziedzińcu, gdzie stały posągi bogów pogody, niebieski tygrys i czerwony baran. Małe dzieci przed godziną poprowadzono do świątyni na modły. Teraz stół należał do młodej, hałaśliwej zgrai przypominającej stadko rozwrzeszczanych małą; tylko od czasu do czasu któryś ze świeckich braci tracił cierpliwość i targał tego lub owego za ucho, by zachowywał się spokojnie. Wszystko to niebieski tygrys i czerwony baran obserwowali beznamiętnie, a w miarę, jak gasło światło, chłód wieczoru spełzał coraz niżej, chłód przesycony mocną wonią drzew i kadzidła.

Muszla siedział pod czerwonym baranem. Było to jego miejsce i nikt nie śmiał go zająć, choć trudno było powiedzieć, by się go bano. Tuż za owym miejscem pod czerwonym baranem wznosił się mur dziedzińca, a w nim dziura po obłuzowanej cegle. Kiedy się przez nią spojrzęło, widać było różowe niebo ponad cienistym gajem oddalonym o pół mili, a także lampy płonące w Sanktuarium Dziewic i Domu Kobiet. Jeśli się miało sokoli wzrok, można było uchwycić zakazany widok jednej z nich. Muszla zdawał się jednak wykorzystywać dziurę w murze jedynie do obserwacji zapadającej nocy. Podczas wieczerzy jadł owoce i nieco chleba czy ryby, lecz

podczas dnia widywano go, jak żuł trawę, liście i kwiaty ze świątynnych klombów i sadzawek. Naprzeciw niego, na drugim końcu stołu, siedział Żyrem, który nic nie jadł. Z pochyloną głową wpatrywał się w swój kubek z wodą. Czarne loki wiły mu się wokół twarzy jak tajemnice.

- No dobrze - odezwał się najbliższy siedzący chłopiec - jeśli naprawdę jesteś synem króla, to dlaczego się tu znalazłeś? Czy twój ojciec cię nie kocha?

- Jego matka tańczyła w jaskini z wężem - powiedział drugi chłopiec. - Podniosła spódniczkę, a wąż wkręcił się jej tam, do środka. Po miesiącu zniosła jajo, a z jaja wyszedł Żyrem.

Chłopiec zachichotał. Świeccy bracia byli dostatecznie daleko, by mógł sobie pozwolić na taką opowieść.

- Jeszcze gorzej - odezwał się ponownie pierwszy chłopiec. - Słyszałem coś na ten temat. Matka Żyrema sprzedała swoje ciało demonom. Żyrema nie chciały. Książę Demonów też go nie chciał.

Żyrem nie podnosił głowy. W jakiś sposób pojął nagle, na czym polega niegodziwość innych ludzi. Pomyślał o swojej matce; był pewien, że nadal żyje w królewskim obozowisku. Pomyślał o swoich braciach, którzy zrobili sobie z niego przynętę dla lwów. Kiedy o tym myślał, jeden z chłopców chciał go znieśc kopnąć, lecz wrzasnął z bólu i zaskoczenia, bo jego noga natrafiła na jakąś parzącą, diamentową twardość, której się pod stołem nie spodziewał.

Muszla powstał. Natychmiast zapadło coś w rodzaju hałaśliwej ciszy, bowiem nadal trwał gwar, lecz był to gwar niemy, czujny i obserwujący. Nawet dorośli bracia patrzyli uważnie, poruszeni głęboko, choć udawali, że są ponad to wszystko.

Muszla poszedł w daleki koniec dziedzińca. Sięgnął na szczyt muru, który w tym miejscu nie był wysoki, i zgarnął coś stamtąd. Wrócił prosto do stołu, stąpając jak kot, a chłopcy rozstępowali się przed nim; jeden rozcierał bolącą nogę. Muszla nachylił się nad Żyremem i położył przed nim na stole białego ptaszka. Ptaszek strzepnął piórka, wydał z siebie wesoły gwizd i pochylił łeppek, by dziobnąć chleb leżący na talerzu Żyrema.

- Muszla jest czarownikiem - mruknął chłopiec z bolącą nogą.

Muszla odwrócił się i spojrzał na chłopca i wpatrywał się w niego tak długo, aż ten skrzywił się, zerwał z miejsca i uciekł od stołu.

Żyrem wpatrywał się w białego ptaszka. Muszla zanurzył palce w miseczce z wodą i bryznął nią w twarz drugiego chłopca, który niedawno szydził z Żyrema. Chłopiec zrobił grymas, jakby zamierzał wrzasnąć, lecz powstrzymał się. Muszla rzadko coś takiego robił. (Raz pewien zadziorny chłopiec rzucił w niego kamieniem, a Muszla znalazł ten kamień i odtąd nosił go przy sobie, chodząc za owym chłopcem i pokazując mu kamień w milczeniu. W końcu chłopiec zaczął na jego widok wpadać w histerię. To zdarzenie miało miejsce dwa lata temu.) Teraz obryzgany wodą chłopiec również uciekł, a Muszla wrócił na swoje miejsce pod czerwonym baranem.

Biały ptaszek zjadł cały chleb Żyrema i wzbił się ku ciemniejącemu niebu.

Nikt już nie odezwał się do Żyrema.

W świątyni narodziły się trzy nowe dni i trzy dni umarły. Rankiem, na Dziedzińcu Mądrości, chłopcy kłaniali się przed ołtarzem i doglądali lamp płonących przed wyobrażeniami bóstw. Później uczyli się z ksiąg w bibliotece lub siedzieli pod obsypanymi czerwonym kwieciem drzewami, recytując formuły świętych obrządków lub śpiewając pieśni. Karmili ryby w Świętej Sadzawce i gromadzili się na południowy posiłek. Po południu spacerowali po wewnętrznych trawnikach ze swoimi nauczycielami.

- Nie pozwólcie, by zwiodło was bogactwo świątyni - pouczali ich kapłani. - Lilia musi być piękna, by ją odwiedzały pszczoły, a świątynia musi być wspaniała, by znajdować upodobanie u bogów i u ludzi. Przyodziewajcie się w dobre płótno i noście pierścienie, lecz trwajcie w pokorze. Pokora jest w waszym sercu, nie na waszych palcach.

Dwie zmarszczki pojawiły się między brwiami Żyrema, ale nauczyciele nie uważali, by dziesięcio - lub nawet dwunastoletni chłopiec miał prawo do swojego zdania, więc nie zwracali na to uwagi.

Muszla kroczył po trawniku jak ryś. Zjadł jakiś kwiat, czyniąc to w okrutny, czuły i cudowny sposób, jakby zjadł jakieś małe zwierzątko. Od czasu do czasu zbliżał się do Żyrema, a Żyrem spoglądał na niego ciekawie, dręczony przesadami wyniesionymi spod namiotów na pustyni. Patrzył, czy Muszla rzuca cień. Muszla rzucał cień. Dostrzegł spojrzenie Żyrema i roześmiał się śmiechem lisa.

Zmierzch odnalazł trzeci dzień i zabił go niebieskim mieczem. Zawsze było tak samo, za każdym razem dzień, zaskoczony, nie potrafił uciec, tylko krwawił, omdlewał i zamykał oczy w ciemności.

Żyrem obudził się, bo cień dotknął jego czoła dwoma palcami i rzekł:

- Chodź.

- Dokąd? - zapytał Żyrem, który już we śnie przeczuł, że tak się stanie.

- W noc - odpowiedział Muszla.

Żyrem rozważał w sobie noc. Tępe ostrze drasnęło jego mózg: wędrówka do ogrodu wyścielonego piaskiem, coś strasznego bez imienia i bez nazwy, wędrówka z powrotem w ramionach kobiety, noc, noc w tym wszystkim, jak trucizna w czarce.

- Nie - powiedział Żyrem.

A Muszla odwrócił się bez słowa i odszedł. I zanim do Żyrema dotarło, co czyni, był już na nogach i szedł za nim.

Muszla stapał miękko i cicho, Żyrem prawie tak samo, bo pustynia nauczyła go wielu rzeczy.

Dziedziniec pogrążony był w półmroku, choć księżyc już wschodził, olbrzymi żółty księżyc, który odrzucił z twarzy zwiewny welon obłoku. Nikt już nie trzymał straży. Machnęli ręką na nocne wyprawy Muszli, bo i tak nie mogli im zapobiec.

Wspięli się po murze, kot bursztynowy i kot cienisty, zręcznie wyszukując drobne szczeliny i pętle pnączy dość mocne, by mogły utrzymać ciężar smukłego chłopca, dosięgli szczytu, gdzie zwinne dłonie znalazły zaczepienie na pazurach żelaznych smoków, i skoczyli z rozwianymi włosami w aksamitną nicość nocy. Opadli na czarny kobierzec i pobiegli pod wilgotnymi festonami liści.

- Pokażę ci, gdzie mieszka lis - szepnął Muszla. Włóczyli się po gajach i lasach. Byli sami, tylko oni dwaj i noc. Dla Żyrema było to dziwne i pełne wydarzeń przeżycie, dla Muszli - zwykłe i znajome jak dzień.

Usiedli pod jakimś drzewem i jedli jego owoce, które miały smak nocy, czarny, zakazany smak.

- Noc jest najlepsza - rzekł Muszla - kiedy wschodził księżyc. - Rzadko zdarzało mu się wypowiedzieć aż tyle słów. - Ale nie pamiętam dlaczego.

- Ja też mam wspomnienie, którego nie potrafię sobie przypomnieć - powiedział Żyrem. - Czuję, że będzie bezpieczniej, jak o nim zapomnę.

- A ja chciałbym pamiętać - odrzekł Muszla. - Kiedy zobaczyłem twoje włosy, ciemne włosy, prawie sobie przypominałem.

- Kapłani kłamią? - zapytał Żyrem. Muszla roześmiał się cicho.

- Tak.

- Chyba wszyscy ludzie kłamią.

- Wszyscy.

Napili się ze strumienia i każdy przyglądał się odbiciu drugiego w wodzie, każdy wolał wpatrywać się w drugiego, nie w siebie, po raz pierwszy naprawdę świadomy, że na świecie istnieje inna ludzka istota prócz niego, inna ludzka istota równie rzeczywista jak on sam.

6

Lata, które w dzieciństwie i młodości zdają się być najdłuższe, przyniosły wreszcie gwałtowne zmiany w ciele, w sercu i w mózgu. Starym kapłanom owe lata - a było ich sześć - przewinęły się monotonnie, lecz szybko jak żmije. Lecz w ciągu tych samych sześciu lat dziecko mogło zmienić się w mężczyznę.

Starzy kapłani siedzieli przy stole na swoim popołudniowym dziedzińcu. Spożywali jeden posiłek i już marzyli o następnym. Kiedy nadchodził, zawsze im czegoś brakowało: a to za mało czarnego pieprzu, a za dużo czerwonego, a to orzechy włoskie niewłaściwie uduszone, a ptactwo zbyt bogato przyprawione. Każdego z nich łączył prawdziwie miłosny stosunek z pełną misą. Lecz dla młodzieńców posiłek był tylko uśmierzeniem głodu, był paliwem, a dla niektórych nie był nawet i tym.

Starzy kapłani skrzywili się i zamruczeli do siebie, kiedy przeszedł jeden z młodych kapłanów. Zawsze byli krytyczni wobec młodszych, lecz szczególnie wobec tego jednego.

Młodzieniec miał siedemnaście lat i wśród swoich współbraci wyróżniał się prostą postawą i smukłością. Nie można było go nie zauważyć, bo miał czarne kręcone włosy, opadające aż na żółtą szatę. Prócz tego szedł boso, jak ubodzy ludzie spoza świątyni, pogardzając kapłańskimi sandałami. Kiedy się odwrócił, jego twarz była niby wizerunek boga na monecie, miedzianozłota i słoneczna, a oczy jak chłodna woda wzbudzająca pragnienie.

- Mówią - rzekł jeden ze starych kapłanów - że zadowala się tylko trzema szatami i sam je sobie pierze.

- Mówią - rzekł drugi - że ten niewdzięcznik podarował jakiemuś głupcowi, który stracił rękę i żebrał pod bramą, srebrny naszyjnik, który Najwyższy Kapłan daje każdemu chłopcu podczas inicjacji.

- To prawda - rzekł pierwszy kapłan - i został za to surowo zbesztany. Powiedziano mu: „Nie próbuj wyręczać nieba, czyniąc coś, co do nieba należy i co zostanie uczynione we właściwym czasie.” I wiecie, co on na to odpowiedział? „Jeśli niebo się leni, ja je zastąpię.”

- Ach! To bezwstydnik! - zawołał pierwszy kapłan i dodał: - A oto i ten drugi figlarz.

Drugi figlarz właśnie zakończył Godzinę Służby, którą musieli codziennie wypełniać wszyscy młodzi szesnastoletni kapłani, polerując posągi bogów i proroków, przepisując zwoje i księgi, nadzorując pracę kucharzy i ogrodników, doglądając tysiąca świec płonących zawsze w świątyni. Drugi figlarz też był bosy, smukły i wyprostowany. Żółta szata i rdzawe włosy upodobiały go do jaśniejącego płomienia, przykuwającego wzrok bardziej, niż jakikolwiek z klejnotów, którymi ten młodzieniec gardził.

Starzy kapłani oblizywali wyschłe wargi, patrząc, jak ci dwaj młodzi kapłani spotkali się i odeszli razem, obaj boso.

- Trzeba by się temu bliżej przyjrzeć - zamruczeli starzy kapłani, a w zatęchłych komorach ich żądzzy zaczęły dymić smoliste węgielki, gdy przypadkowo wyczarowali w swojej wyobraźni falliczne aspekty tego, co łączyło Żyrema i Muszlę, owe grzeszne i wyklęte praktyki, których świątynia zabraniała swoim synom. W rzeczywistości łączyło ich coś zupełnie innego.

Być może wyda się to dziwne. Obaj byli tak piękni, obaj w wieku dojrzewania, obaj byli zamknięci w czymś w rodzaju więzienia, gdzie kobiety nie miały wstępu i gdzie nikt, nawet gdyby tu były kobiety, nie dorównywał im wdziękiem. Łączyła ich miłość, to pewne. Lecz oto, jak się miały sprawy między nimi: wyrosli z dzieci na mężczyzn zawsze przebywając w swoim towarzystwie. Znali się i ufali sobie i tylko sobie, i to im wystarczało. Trzeba też pamiętać, że ani Żyrem, ani Muszla nie byli istotami w pełni ludzkimi.

Jeśli chodzi o Muszlę, to naznaczony był wciąż paradoksalną, niegodziwą niewinnością Eszwa. Dla Eszwa wszystko było zmysłowe i płciowe: wschód księżycy był orgazmem serca, oczu, dotyk był

miłością, ogniem. Wszystko było godne zainteresowania, wszystko było częścią marzenia i snu. Eszwa pożądały samej muzyki spojrzenia, nigdy nie zastanawiały się nad swoimi odczuciami, chciały tylko, by trwały długo. Jeśli w żyłach Muszli budziły się płomienie, a prawdopodobnie budziły się, wolne i przez nikogo nie podsycane, nie próbował ich gasić lub szukać ich aktualnego źródła. Dla Eszwa czas nie miał właściwego znaczenia. Muszla nie pojął jeszcze, że dla ludzi czas był wszystkim.

Natomiast Żyrem był więźniem swojego dzieciństwa. Niezapomniany ból i krzyk, złamana włócznia, miesiąc spędzony wśród świątobliwych pustelników, ich rady. Lękał się wspomnień. Ktoś na niego dybał, komuś trzeba było nie dać się złapać. Rozkosz ciała, każda rozkosz, napełniała go lękiem, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Kapłańska obfitość życia budziła w nim wzgardę zrodzoną z owego utajonego lęku. Łaknął gniewu, chciał oczyścić się gniewem i buntem, chciał też czasami pogрузić się w spokój, opaść jak kamień rzucony w ciemną sadzawkę myśli i leżeć tam na dnie, zatopiony w bezruchu i ciszy, bez słów i bez ludzkich obyczajów, przypominających mu, że on też jest człowiekiem i mężczyzną. I obie te rzeczy, forum gniewu i czynu i dno mrocznego uciszenia, Muszla dawał Żyremowi. Muszla, który rzadko się odzywał, ale który zawsze słuchał, Muszla, którego nic nie mogło zatrzymać w zamknięciu i który odnajdywał dla nich obu cienie nocy, aby mogli w nich być wolni i milczący. Muszla, który dawał tak wiele, nie mógł się przemienić w antytezę marzenia Żyrema - symbol śliskich schodów wiodących ku paszczom psów, gdzie czekał Pan Nocy, Władca Ciemności, Demon.

- Jutro jest pierwszy dzień Święta Wiosennego Księżyca - powiedział Żyrem, gdy szli kolumnadą. - Znalazłem się pośród tych, którzy mają odbyć podróż po wschodnich wioskach. Myślę, że nie śmieli mi odmówić. Zamierzam uczynić coś dobrego i powiedziałem im to. Po co mi ta cała nauka magii i ziołolecznictwa, jeśli nie miałbym zrobić z niej użytku? Czyż to miejsce nie jest jedynie domem dla bogaczy, którzy tuczą się w nim jak świnie? I czy bogowie są im podobni?

Muszla otworzył dłoń i pokazał mu czerwony koralik, który oznaczał, że i on został wybrany do wschodniej podróży. Jego oczy

zdawały się mówić: „Ty i ja poza świątynią? Rozumiesz, co to znaczy?”

Podszedł inny młody kapłan, opasły Bejasz, z jaspisowym kolczykiem, który dostał w nagrodę za wzorowe przepisanie dwudziestu kopii świętego tekstu.

- Na wschód? Ja też - powiedział. - W końcu zobaczymy jakieś kobiety, choćby i tylko chore. Ale przecież wy, wolne ptaki, już wyfruwaliście stąd i widywaliście kobiety. No, kogo to spotykaliście nocami w ciemnych gajach? Mówię, rzecz jasna, o tych nocach, w które sami sobie nie wystarczaliście...

Żyrem zmierzył go zimnym spojrzeniem: błysk stali, zahartowanej przez świątobliwych pustelników na pustyni. Nie powiedział nic - kiedy nie był sam na sam z Muszlą, rzadko się odzywał. Gniewne tyrady kłębiły się w jego mózgu, ale na zewnątrz znajdowały wyraz w chłodnym tonie, jeśli już coś powiedział, i w zimnym spojrzeniu. Prawdopodobnie nie ufał nikomu ze swojego otoczenia, nawet teraz, kiedy już był młodszym kapłanem. Wyrobił w sobie nawyk, zapewne obronny, oskarżania ich o odmienność i obcość, o świadome wzbudzanie w nim gniewu tylko po to, by go zmusić do zauważenia, że istnieją. Gruby Bejasz opuścił oczy i dodał cicho:

- Wybacz mi, Żyremie, to był tylko żart. Ale chciałem cię też ostrzec. Mówią, że we wschodnich wioskach przebywa teraz pewna okropna kobieta. Jedna z tych, co sprzedają swe lędźwie za pieniądze.

- A więc żal mi jej - odpowiedział Żyrem.

- Och, możesz sobie darować współczucie. To kusicielka i bluźnierczyni. Maluje sobie twarz. I uwielbia wodzić na pokuszenie młodych i pięknych. Ach, Żyremie, Żyremie...

Muszla wydał z siebie cichy, krótki dźwięk. Przelatujący nad nimi ptak wypróżnił się prosto na głowę grubego kapłana.

Żyrem i Muszla odeszli, pozostawiając go lamentującego na dziedzińcu.

- Skąd masz władzę nad zwierzętami? - zapytał Żyrem.

Zbliżało się południe, szli drogą wiodącą na wschód, w tumanach pyłu wzbijanego przez wozy i osły, na których jechali inni kapłani. Niektórzy szli pieszo, ale tylko po to, by rozprostować kości. Tylko oni dwaj uparli się, że będą szli na własnych nogach, i to bosych, przez całą drogę.

- Ach, przecież już wiele razy cię o to pytałem - dodał Żyrem po chwili - a ty sam nie wiesz dlaczego i skąd masz tę władzę.

Muszla uśmiechnął się rozmarzonym uśmiechem Eszwa. Obdarzył Żyrema niewinnym i promieniującym bezgraniczną miłością spojrzeniem. Oczy mówiły: „Gdybym wiedział, tobie bym powiedział.”

Wkrótce potem ujrzeli pierwszą wioskę.

Z pól i winnic zbiegali się wieśniacy, z domów wybiegały kobiety i dzieci. Przynosili im wino zaprawione miodem i białe chlebki, specjalnie upieczone na tę okazję. Przez miesiące głodowali i oszczędzali, aby kupić srebrną misę dla świątyni. Kapłani przyjmowali dary z wielkopańską łaskawością. Czy we wsi są jacyś chorzy? Nie, dzięki bogom, tylko jakiś starzec udręczony wrzodami. To samo przejdzie. Trudno się spodziewać, by któryś z tych młodych zajął się takimi cuchnącymi brudami.

Żyrem wystąpił naprzód jak kłęb dymu gnany wiatrem przez dostale zboże.

- Gdzie jest ten człowiek? - zapytał stalowym głosem.

Kilka wystraszonych kobiet powiodło go do chaty starca.

- Patrzcie, ten pies chce się dostać między suki - mruknął któryś z młodych kapłanów, przykrywając usta dłonią. Lecz te kobiety nie były pięknościami. Twarda praca, skwar lata i chłód zimy wycisnęły na nich swoje piętno. Nie było wśród nich dziewcząt; na rozkaz świątyni trzymano je z dala od młodych kapłanów.

Żyrem wszedł do chaty, w której leżał jęczący z bólu starzec. Żyrem wchłonął ten ból i poczuł oścień wspomnienia. Zabrał się do pracy z wielką łagodnością, znanstwem i starannością, natchniony realnością cierpienia.

Muszla nie wszedł z nim do środka. Nie był uzdrowicielem. Usiadł pod drzewem i zamknawszy oczy zaczął grać na flecie, który sam sobie zrobił. Jego też nurtowało zupełnie nowe uczucie, gdy spod przymkniętych rzęs spoglądał na chatę. Muszla, ukształtowany przez Eszwa, dał się unieść temu uczuciu, pławił się w jego gorzkiej słodyczy. Zazdrość.

Młodzi kapłani odeszli, ustrojeni kwiatami z pierwszej wioski. Żyrem długo nie wychodził z chaty, więc go tam zostawili. Kiedy się wreszcie pojawił, przed chatą był tylko Muszla i gromadka dzieci

przyglądających mu się zza krzaków. Wieśniacy wrócili do pracy, a kobiety bały się przemówić do kapłana.

Żyrem i Muszla ruszyli dalej w drogę, idąc za białym tumanem pyłu na drodze.

Żyrem był zamyślony, oczy mu błyszczały.

- Chyba muszę opuścić świątynię - powiedział w końcu. - Myślę, że już wiem, co powinienem robić. - Muszla obserwował go z uwagą.

- Kiedy zrobiłem co w mojej mocy dla tego starca, poczułem, że jakiś cień padł za mną, jakiś ciężar zsunął mi się z ramion. I coś przeskoczyło między nami, między tym chorym i mną.

- Tak - powiedział na głos Muszla.

Godzinę później dotarli do drugiej wioski, gdzie reszta kapłanów została już godnie powitana i obdarowana. Ugoszczono ich południowym posiłkiem, owocami, ciastkami i winem. Jakaś kobieta przyniosła dziecko, które miało napady konwulsji, ale musiała czekać, aż się posilą. Było gorąco i przestraszone dziecko na ich oczach dostało ataku. Kapłani z odrazą odwrócili spojrzenia. Żyrem, który właśnie nadszedł, podszedł prosto do dziecka i włożył mu swój kciuk między zęby, aby sobie nie pogryzło języka. Na jego twarzy malowała się przedziwna czułość. Kiedy konwulsje minęły, podniósł dziecko i zaczął je kołysać, nie tyle ze współczucia, ile w odpowiedzi na coś, co przebudziło się w nim samym. Po części zdziwienie, po części śmiech, po części ból. Wziął matkę na stronę i pouczył ją o właściwościach ziół, a potem zaprowadził ją do wozów, gdzie kazał sługom świątynnym dać jej te zioła, których potrzebowało jej dziecko. Matka, zbrązowiała i wyschła jak inne kobiety, zaczęła płakać. I jak gdyby jakieś źródło w nim samym zostało przebudzone jej uczuciem, i jemu łzy popłynęły z oczu.

Przyniesiono do niego resztę chorych z całej wioski.

Młodzi kapłani szydzili z niego, lecz wieśniacy zbiegli się ku niemu, biegli ku niemu, zanim do nich przemówił lub zbliżył się do nich, jakby widzieli nad nim jakiś znak, mówiący, że przyszedł tu dla nich, a nie po to, aby z innymi kapłanami odbierać cześć i podarunki.

O zmierzchu doszli do trzeciej wioski, gdzie zatrzymali się na noc w małej kaplicy. Nad drzwiami każdej chaty płonęła lampa, mężczyźni prowadzili ich z pochodniami w rękach. Kaplica była świeżo zamieciona i przystrojona kwiatami, w powietrzu unosił się dym kadzidła, a ściany zawieszono wzorzystymi kobiercami. Pasterze

zabili owcę i krowę, a teraz pieli je nad ogniskiem rozpalonym na dziedzińcu kaplicy, pod drzewami cynamonu. Czerwone płomienie wyskakiwały ku granatowemu niebu, wieśniacy śpiewali, jakby cieszyli się z tego, że ktoś zje ich mięso i zabierze ich złote monety.

Na wiodącej przez wioskę ulicy, w blasku lamp, Żyrem oczyścił zaropiałe oczy kilkunastu dzieci. Jakaś staruszka przywlokła się do niego, skarżąc się na ból w plecach. Powiedziała mu, że poczuła się lepiej, gdy tylko ją dotknął. Może i tak było.

Muszla, grając na flecie, obserwował Żyrema, gdy powoli wracał na dziedziniec świątyni. Wykąpał się w rzece, woda skapywała mu z włosów.

- Tak - powiedział Żyrem, siadając obok Muszli pod cynamonowym drzewem. - Tak.

- Chciałbym teraz - odezwał się Muszla niespodziewanie, jak zawsze, kiedy coś mówił - chciałbym teraz być chory.

Żyrem westchnął i zamknął oczy.

- Tej nocy prześpię trzy noce - powiedział, jakby nie usłyszał jego słów.

Nagle do wrót doszło ich jakieś zamieszanie, rozgniewane męskie głosy i przekleństwa kobiet, śpiew umilkł. Pasterze przy ognisku wyprostowali się, kapłani znieruchomieli.

Na dziedziniec weszła jakaś kobieta. Miała na sobie szkarłatno - szafranową suknię, naszyjnik z białej emalii, na ramionach szklane bransolety, czerwone, zielone i bladopurpurowe, na nadgarstkach bransolety ze złota. Jej włosy, poskręcane jak runo baranka, opadające aż do pasa miały barwę świeżo odlanego brązu. Brązowa i smukła jak kobiety z wioski, była też piękna, czego im brakowało. Z uszu zwieszały się jej srebrne dzwoneczki, które podzwaniały cicho, gdy szła. Twarz uróżowiła na kolor wczesnego wschodu słońca, oczy podkreśliła antymonem. Wieśniacy, ci na dziedzińcu i ci poza nim, krzyczeli, lecz żaden nie próbował jej zatrzymać. A po chwili i krzyki umilkły.

Obrzuciła długim spojrzeniem młodych kapłanów, a potem zakołysała się, a blask płomieni prześwietlił jej zwiewną suknię, ukazując cudowną rzeźbę jej piersi.

- Jestem ladacznicą - oznajmiła. - Kto chce mnie kupić?

Odpowiedziała jej cisza, choć pasterze i wieśniacy tłoczący się u bram byli rozgniewani i posepni, choć młodzi kapłani pobledli,

zarumienili się lub zadrżeli. Rozpaliły się oczy, nie tylko odbiciem ognia.

- Spójrzcie - powiedziała ladacznica, ukazując nieco więcej ze swych wdzięków. - Jak waszej świątyni, tak i mnie składa się hołd i daje bogate dary.

Podeszła do młodych kapłanów, przeszła wzdłuż nich, weszła między nich, poczuli woń kadzidła bijącą z jej sukni, a była inna niż woń kadzidła w świątyni.

- Ach - westchnęła - myślałam, że kapłani mnie pobłogosławią. Myślałam, że są uzdrowicielami i uzdrowią mnie z ran, które zadały mi ręce tych wiejskich gburów, kiedy brali mnie w ramiona. Spójrzcie, teraz wszyscy boją się mnie dotknąć. Jedno dotknięcie budzi pożądanie.

Ktoś powstał i krzyknął. Był to Bejasz, opasły młody kapłan z jaspisowym kolczykiem.

- Nazywasz się ladacznicą i prawdę mówisz, bo nią jesteś.

- Tak, jestem. - Roześmiała się kpiąco. - Zawsze jestem szczerą i nigdy nie kłamię.

- A więc, ladacznico, idź precz! - zawołał Bejasz z patosem.

Twarz i wargi miał wilgotne, oddychał szybko, coraz szybciej.

- Bezczęścisz święte miejsce!

- Mylisz się - odpowiedziała ladacznica. - Przyszłam tu, abyście mnie uzdrowili.

I powoli zsunęła cienki jedwab z ramienia, ukazując brązowe ramię i kuszącą pierś. Tam, na nabrzmiałej dojrzałej piersi, widniały sine ślady męskich zębów.

- Tak to ze mną jest - powiedziała cicho. - Czy nie budzę w tobie litości? Czy nie uśmierzysz mojego bólu chłodną szalwią, nie rozetrzesz mi tych znaków swoimi świętymi palcami, o miłosierny kapłanie?

Bejasz wytrzeszczył oczy płonące w nalanej twarzy. Ladacznica zaśmiała się.

- Nie, ty tego nie uczynisz. Lecz słyszałam, że jest tu inny, bardziej łaskawy od ciebie. Ciemnowłosa, smukły i piękny jak cień młodego księżyca. Tego pragnę spotkać. Ten okaże mi litość i łagodność.

Dostrzegła już Żyrema pod cynamonowym drzewem i utkwiała w nim spojrzenie. Teraz podeszła bliżej i stanęła nad nim, a potem uklękła i wstrząsnęła swymi cudownymi włosami.

- Zaprawdę, mój miły - szepnęła - mówią, że sam dotyk twoich palców jest lekarstwem. - Wzięła jego dłoń i położyła sobie na piersi. - Och, ukochany, mężczyźni przynoszą mi złoto, lecz tobie ja zapłacę, abyś ze mną legł. Jeśli ze mną legniesz, porzucę grzeszne życie. Oczy masz spokojne i gładkie jak dwie sadzawki o zmierzchu, lecz czuję, że drżysz. A więc drzyj dla mnie, drzyj, mój ukochany, rozkoszy mego serca.

Żyrem cofnął dłoń. W jego twarzy było coś strasznego, coś dojmująco smutnego i tęsknego zarazem.

- Jesteś zbyt piękna, by żyć w taki sposób jak dotąd - powiedział łagodnie. - Cóż za diabeł sprowadził cię na tę drogę?

- Ten diabeł to mężczyzna - odpowiedziała. - Dalej, odmień mnie.

- Sama musisz się zmienić.

- W co tylko zapragniesz, mój władco. - Przysunęła się do niego i szepnęła: - Dwieście kroków na południe od wioski jest studnia, nad nią rosną topole. Tam jest mój dom. Zostawię zapaloną lampę i będę na ciebie czekać. Nie przynoś mi niczego, wystarczy mi twoja piękność i twoje gorące lędźwie.

Żyrem nie odpowiedział. Ladacznicą podniosła się i zasłoniła pierś suknią. Wstrząsając miedzianą grzywą przeszła przez dziedziniec, z uśmiechem przekroczyła wrota. Na zewnątrz rozbrzmiały okrzyki, a potem zamarły w oddali.

- Obrzydliwa bezczelność! - wrzasnął Bejasz. - Wasza wioska drogo zapłaci za to, że udzieliła schronienia tej obmierzłej suce!

- Jej dom leży dwieście kroków poza wioską - usprawiedliwiali się pasterze. - Odwiedzają ją bogaci ludzie, a nam trudno jest opierać się woli bogaczy.

- Świątynia da sobie z nimi radę. Jej dom zostanie spalony, a ona sama ukamienowana. To ohyda, której trzeba położyć kres.

Z gęstego cienia pod cynamonowym drzewem płynęły śpiewne tony fletu, na którym Muszla grał przez cały czas. Wszyscy przyzwyczaili się już do tych dźwięków, jak do szumu nocnego wiatru w zaroślach. Teraz flet nagle umilkł.

- Kiedy do niej pójdziesz? - rozległ się głos z cienia, głos Muszli przeznaczony tylko dla Żyrema.

Lecz może nie był to głos, tylko cisza, tylko poszum liści.

- Nie pójdę - odrzekł Żyrem.

Oparł się o drzewo. W jego oczach wciąż malowała się tęsknota. Jego ręka, ta ręka, która dotknęła piersi kobiety, spoczywała martwo na ziemi.

- Bejasz pójdzie - powiedział Muszla, albo liście.

- Ktoś powinien tam pójść i wydobyć ją z ciemnej jamy, w której się znalazła, a nie lec z nią w tej jamie.

- A więc idź, wydobądź ją.

Żyrem odwrócił się ku niemu, lecz Muszla siedział nieruchomo, z ustami zaciśniętymi jak wyrzeźbione usta posągu, które nigdy nie mówią, nigdy nie wtrącają się do niczego.

Pasterz przyniósł im misę z jadłem. Żyrem jadł obojętnie i oszczędnie, jak zawsze. Muszla wziął z misy czerwony owoc i wgryzł się łapczywie w jego miąższ.

Bejasz nie przestawał lamentować i grozić, lecz jego głos oddalał się coraz bardziej. Inni młodzi kapłani wchodzili już do świątyni, zmęczeni jadłem, winem i podróżą, tęskniąc za legowiskiem, na którym mogliby spokojnie rozmyślać o tej kobiecie...

Żyrem i Muszla zostali sami. Ognisko zamieniło się w stos czerwonych węgielków spowitych szarym dymem, pasterze gdzieś znikli. Jakiś nocny ptak zaśpiewał na dachu świątyni. Wzeszedł księżyc, przełamany pierścieniem.

- Pamiętam - rzekł Żyrem - jak wspinaliśmy się na mur, gdy byliśmy dziećmi, i jak biegliśmy przez uśpiony las. Na pustyni noc jest naga i dzień jest nagi, lecz tu wszystko jest tajemnicą między drzewami i trawami.

Wstał i ruszył ku wrotom dziedzińca. Muszla również się podniósł, przeciągnął się jak kot, potem ruszył za nim.

W wiosce panowała cisza. Okna były czarne i nikt przez nie nie wyglądał. Wieśniacy bali się zobaczyć któregoś z nich, któregoś z tych młodych ludzi w żółtych szatach, zmierzającego ścieżką wiodącą do studni pośród topoli.

Na końcu wioski ścieżka zakręcała na południe. Żyrem powiedział:

- Czemu mnie prowadzisz tą drogą?

Muszla rzucił na niego krótkie spojrzenie. Spojrzenie mówiło: „Nikt cię nie prowadzi, już jesteś na tej drodze”.

- Nie - odrzekł Żyrem.

Odwrócił się i ruszył na północ, w górę zbocza, na którym rosły dzikie oliwki.

Tym razem Muszla za nim nie poszedł. Kroczył dalej ścieżką wiodącą do studni.

Nie dlatego, by pożądał tej kobiety. Dlatego, że widział, jak pożąda jej Żyrem, dlatego, że ujrzał, jak w Żyremie obudziła się męska żądza, dotąd tłumiona.

Muszla płonął. Łagodne płomienie, które zawsze lizaly go pieczotliwie, nad którymi nie musiał się zastanawiać, teraz kąsały i raniły. Wciąż był podobny Eszwa, więc nie uciekał przed ogniem, lecz biegł ku niemu. Zazdrość tkwiła w nim jak zielone ostrze w boku, skręcił tułów, by nacieszyć się tym bólem. Miłość była fioletowym woalem przysłaniającym mu oczy, smutek zmieniał barwę świata. Najpierw odbierała mu ukochanego ludzka słabość i chorowitość, teraz mogła to uczynić kobieta. Lecz kobieta była mniej abstrakcyjna, łatwiej było z nią współzawodniczyć. A więc idź i obserwuj tę kobietę, przekręć zielone ostrze tkwiące w boku, poznaj to wszystko, to wszystko i jeszcze więcej.

Jej dom, w pobliżu studni, był okazalszy i piękniejszy od chat wieśniaków. Zbudowany z kamienia, drzwi miał z drewna. Przez zdobione kraty w jednym z okien sączyło się słabe światło lampy.

Muszla opuścił mrok i wśliznął się w krąg światła pod oknem. Poruszał się bezszelestnie, jak ryś, uniósł głowę, zajrzał przez kratę oczami rysia.

Piękna nierządnicą siedziała przy stoliku z wonnościami i barwnymi maściami, przed zwierciadłem z polerowanego brązu, czesząc wonne miedziane włosy, uśmiechając się do swego odbicia, uciszona i ukołysana czesaniem i swoimi myślami.

Płomień kąsał wnętrze Muszli. Lampa powlekała kobietę kolorami, widział drganie smukłych mięśni jej ramion, migotanie złota pod grzebieniem, w puszystym bogactwie jej włosów.

Muszla odszedł od okna. Zaczął krążyć wokół domu. Okrążył go raz, dwa, trzy razy, podobnie jak zwierzę krąży wokół ludzkiego domostwa, ostrożne, zaciekawione, zafascynowane, nie zamierzające niczego dobrego, ale i nie mające jeszcze żadnych złych zamiarów.

Ladacznicą nie usłyszała go, nie zobaczyła niczego za oknem. A jednak wyczuła go, wyczuła, że on, lub ktoś inny, jest w pobliżu.

Podeszła do drewnianych drzwi, otworzyła je, śmiało wyszła przed dom.

- Kto tam? - zawołała. - Zbliź się. Nie uczynię ci krzywdy.

Musza był cieniem, drzewem, niewidzialny. Lecz spod topoli odpowiedział ktoś inny.

- To ja.

W kręgu światła pojawił się Bejasz.

- Ach, to ty? - powiedziała ladacznicą. - Spodziewałam się kogoś innego. No dobrze, czego chcesz? Skarcić mnie jeszcze bardziej?

- Byłem zbyt surowy - rzekł Bejasz, podchodząc bliżej. - Skąd mogłem wiedzieć, co cię zmusiło do wejścia na drogę grzechu? Może bogowie przysłali mnie, abym cię z niej sprowadził.

- A więc o to chodzi. Moja cena jest wysoka. Znasz ją? Masz tyle?

Bejasz był już blisko.

- Pozwól mi zobaczyć - wyszeptał. - Pozwól mi jeszcze raz spojrzeć na twoją pierś.

- Tylko jedną? Mam dwie.

- I obie zostały zranione? - zapytał Bejasz, dygocąc i oblizując wargi.

- To zależy od tego, co mi przyniosłeś. Może i obie. Bejasz pogrzebał w zanadrzu i wyjął srebrną czarę,

którą jedna z wiosek ofiarowała świątyni. Wewnątrz połyskiwała garść drobnych klejnotów z innej wioski.

- Ofiary - powiedziała ladacznicą. - Nie będzie ich brakowało?

- Tyle jest tych ofiar - mruknął Bejasz ochryłym głosem. - Mogę zastraszyć tego, który prowadzi rejestr. Zgrzeszył ze swoją siostrą i mam nad nim władzę, bo o tym wiem.

- Mówisz, że macie wiele ofiar - powiedziała ladacznicą zamyślonym tonem. - Może jutro przyniesiesz mi coś innego.

- Jeśli chcesz.

Ladacznicą wskazała mu drzwi.

- A więc wejdz.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Muszla znowu zakradł się pod okno. Bejasz chwycił kobietę za nagą pierś, gładził ją i obmacywał, jakby chciał na zawsze utrwalić w pamięci jej kształt. Po chwili

odepchnęła go i szybko wyśliznęła się z sukni. Jej ciało było barwy ciemnego miodu. Upięła włosy nad karkiem emaliowanymi szpilkami, aby ukazać mu wszystko, wąską kibić i szerokie biodra, mocne, gładkie i twarde jak zad lwicy. Wyjęła ze skrzyni szpicrutę uplecioną z końskiego włosa, rozchyliła Bejaszowi szatę i zaczęła go drażnić szpicrutą, a potem smagnęła go przez piersi. Bejasz krzyknął, członek wyprężył mu się jak tyczka. Wówczas kazała mu usiąść na łożu, a sama rozchyliła szeroko uda i przyklękła na nim, oplatając mu biodra nogami i pozwalając mu wejść w siebie z westchnieniem ulgi. A potem tańczyła na nim jak tańczy wąż, a Bejasz ugniatał ją i ścisnął, jakby nie mógł się uspokoić, aż nagle jego twarz pojawiła się ponad jej ramieniem, twarz człowieka, który oszalał, czerwona, z wytrzeszczonymi białkami oczu i szeroko otwartymi ustami, z których ciekła ślina i z których wydarło się wycie. A potem upadł na plecy, jakby go ugodziła gwałtowna śmierć. Kobieta porzuciła go i odeszła gdzieś, w niewidoczny róg komnaty. Rozległ się chłopot wody w miednicy.

Muszla przywarł do ściany, drżąc i omdlewając z żądz, która wreszcie odnalazła w nim swoje imię. Nie ruszył się spod okna. Patrzył, jak Bejasz przychodzi do siebie, siada, poprawia szatę, zaciska pas. Twarz miał zmęczoną, niespokojną i bladą.

- Nie powiesz?

- Ja? - zapytała niewidoczna kobieta. - A komu miałabym powiedzieć? Chyba tylko twoim towarzyszom. I co mogłabym im powiedzieć, prócz tego, że przyszedłeś, aby mnie zbawić?

- Nie wolno ci.

- Nie powiem, jeśli zakradniesz się do wozów ze skarbami i przyniesiesz coś ze złota, coś, co nie będzie ważyło mniej od twoich grubych łap, którymi mnie ścisnąłeś.

- Nie, tylko nie złoto - rzekł Bejasz. - Nie ośmielę się.

- Ośmielisz się, ośmielisz. Jesteś bardzo dzielny. Ośmieliłeś się ukraść srebro i klejnoty. Ośmieliłeś się przyjść do domu nierządniczy i wsunąć jej członek między nogi. Przyniesiesz mi złoto, dzielny kapłanie. Bejasz podniósł się.

- Jesteś sprzedajną dziewczką, jesteś naczyniem pełnym nieczystości. To ty mnie tu przywiodłaś. Wcale nie zamierzałem cię odwiedzać. Jesteś czarownicą i zwiodłaś mnie czarami. Nie czuję się za to odpowiedzialny, pozbawiłaś mnie woli.

- Gdybym się znała na czarach, nie ciebie bym oczarowała, tłusty wieprzu. Jutro zjawię się w świątyni.

Muszla patrzył, jak Bejasz skrada się do stolika z kosmetykami, jak bierze brązowe zwierciadło, jak odwraca się i biegnie przez komnatę i znika z pola widzenia. Stamtąd, spoza pola widzenia dobiegł go dziwny dźwięk, tępy, stłumiony, niemożliwy do opisanego, potem stuk czegoś lekkiego, padającego na podłogę, potem głuchy łoskot, jakby upadła bela jedwabiu.

W chwilę później pojawił się Bejasz. Twarz miał podnieconą, choć wciąż bladą. Nie trzymał już zwierciadła. Zebrał klejnoty do srebrnej czary i ukrył ją w fałdach szaty. Rozejrzał się jakby chciał się upewnić, że niczego nie przeoczył. A potem ostrożnie otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz i ostrożnie je zamknął. Wówczas ujrzał Muszłę pod oknem.

Krzyknął, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, osunął się na kolana.

- Ach, bracie mój, Muszlo... widziałeś? Była czarownicą. Bogowie prowadzili moje ramię, nie miałem wyboru. Byłem narzędziem pomsty niebios. Ach, Muszlo, nie mów nic. Byliśmy zawsze przyjaciółmi... Na naszą przyjaźń, zaklinam cię, milcz.

Muszla patrzył na niego w milczeniu, bez wyrazu, bez uczucia, bez litości.

- A gdzie jest Żyrem? - zagadał Bejasz żartobliwym tonem. - Musi być gdzieś w pobliżu, skoro ty tu jesteś. Nie mów Żyremowi. Nie mów nikomu.

Muszla, podniecony i jednocześnie wyczerpany aktem, którego był świadkiem, zmieszany i zaniepokojony aktem, którego nie widział, wpatrywał się nieubłaganie w dygocący brzuch Bejasza. W końcu Bejasz powstał i oddalił się truchtem.

Wówczas Muszla wszedł do domu nierządnic, zdążając do ognia, zamiast się od niego oddalać, zaintrygowany jak Eszwa, a jednak w niejasny sposób zaniepokojony, jak człowiek.

W rogu komnaty stał parawan z malowanego drewna, a za nim na dywanie garść rozsypanych emaliowanych szpilek. Wśród tych szpilek leżała kobieta, a w jej włosach zwierciadło, którym Bejasz złamał jej kark.

Muszla stał, wpatrując się w śmierć. Bał się śmierci, któż o tym nie wiedział? Pieścił żywą kobrę, omijał martwą mysz. Nigdy

przedtem nie widział trupa człowieka. Lecz nie, to nie prawda. Kiedyś widział. Leżała wyprostowana i chłodna w czarnej sukni. Jej skóra powlekała się lazurem, nie zwracała uwagi na dziecię, zamknięte razem z nią w grobowcu. Dziecię płakało, nadeszła Śmierć. Dziecię ujrzało Pana Śmierć. Krzyknęło.

Muszla już pamiętał. W oczy zajrzała mu ciemność, dusza wzdrygnęła się z przerażenia. Na pół ślepy wybiegł z domu i rozszczepił sobą noc, pragnąc się w niej zagubić. Zapomniał o wszystkim, pamiętał tylko o Śmierci. Minął wioskę, wspiał się na wzgórze, oszalały jak zwierzę uciekające przed ogniem.

7

Pośród dzikich oliwek połyskiwała sadzawka, a na jej powierzchni unosiły się opadłe z drzew zielono - białe kwiaty. Zauroczony widokiem wody, jak wielu ludzi pustyni, Żyrem podszedł do brzegu i usiadł. Wpatrując się w wodę pomiędzy kwiatami myślał o ruinach twierdzy, o świątobliwych pustelnikach i o tamtej sadzawce, nad którą tak często siadywał. Pragnął wymazać z pamięci tamto wspomnienie lub odzyskać je w pełni, pragnął uwolnić się od ciemności lub od światła. Myślał też o owej kobiecie, o tym, co było mu zabronione, i o Panu Nocy, który utracił już dla niego realność, pozostając jedynie symbolem ciemności czającym się w jego własnym ego.

Nagle spomiędzy drzew po drugiej stronie sadzawki wybiegła jakaś postać. Zdawała się biec prawie bez odgłosu, a choć Żyrem ją poznał, ona nie okazywała, by poznała jego. Ujrzawszy Żyrema Muszla wpatrywał się w niego szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Żyrem powstał, porzucając fałdy własnej osobowości, w których się uprzednio ukrył.

- Co się stało? - zapytał.

Odczuł to samo, co czuł na widok chorych w wiosce: aureę bezradnego, dojmującego przerażenia. Muszla, który zawsze był dla niego istotą realną, stał się jeszcze bardziej realny.

- Co się stało, bracie? - powtórzył.

- Śmierć - odpowiedział Muszla.

To słowo strzaskało w nim jakieś naczynie. Zakrył twarz dłońmi i głośno zaszlochał.

To nie był Muszla. Aura Muszli była zawsze aurą chyżej lotności lub aurą prawie zwierzęcej samoobserwacji; dystans do siebie i do świata nie pozwalał mu szlochać lub rozpaczać.

Żyrem odszedł sadzawkę.

- Może tej nocy demony opuściły Podziemie - powiedział.

Muszla opuścił ręce, którymi dotąd zakrywał twarz. Płakał wciąż, płakał całym sobą, jak płaczą Eszwa. Czuł instynktownie, że zmierza ku jakiemuś ukrytemu celowi; pozwolił, by łzy płynęły i milczał.

- Powiedziałeś „śmierć” - rzekł Żyrem. - Czyja śmierć?

- Śmierć jest wszędzie - powiedział Muszla.

Zbliżył się do Żyrema i oparł głowę na jego ramieniu, wśród czarnych, kręconych włosów, które od ich pierwszego spotkania przywiodły mu na myśl - podobnie jak ludziom pustyni - demony. Obecność Żyrema dodawała mu otuchy. Czuł, jak przerażenie go opuszcza, czuł, jak Śmierć oddala się z łopotem i zawirowaniem białych skrzydeł. Czuł przy sobie życie. Objął Żyrema, przytulił się do niego. Kontakt ich ciał, tak podobnych do siebie w swojej męskiej budowie, był każdemu z nich znajomy, choć brakowało mu poufałości.

Żyrem nie objął go. Rzadko łączył ich dotyk, a kiedy już łączył, był to dotyk Muszli, muśnięcie spojrzeniem lub oddechem - pieśczości Eszwa. Dla Żyrema dotyk ciała był zagrożeniem, niczym więcej. Tylko chorych dotykał chętnie i bez lęku. Nie kusili go, nie byli w stanie. Czuł się z nimi bezpieczny. Pomyślał o tamtej kobiecie, ciało Muszli zdało mu się jej ciałem, przeszyły go igły zimna lub gorąca.

- Dość - rzekł Żyrem i odsunął się. - Czyżbym był tyczką, a ty winoroślą? Powiesz mi, kto cię przestraszył, czy nie?

Muszla zamrugał powiekami. W jego oczach znowu pojawiło się zrozumienie, i coś jeszcze.

- Powiem ci... później. - Odwrócił się, odszedł w stronę drzwi. - Czekaj na mnie.

Zniknął pośród głębokich cieni. Żyrem czekał, potrafił czekać, zawsze przecież czekał, by odnalazła go własna dusza.

Znalazszy się między drzewami, Muszla zaczął biec. Biegł wielkimi susami, wyprostowany, wyciągnięty do przodu. Śmierć i strach stały się jego sprzymierzeńcami, bo teraz nurzał się w cudownym szaleństwie życia i wiedzy. Wiedział, że osiągnął krawędź

magii, cudu. Wiedział, że wystarczy, by rzucił się naprzód, a znajdzie się wewnątrz cudu. Rzucił się więc naprzód. Biegł, by dogonić Eszwa pośród dzikich oliwek, aby dogonić ich widma i miesiące, które z nimi spędził. Biegł, by dogonić siebie, czego Żyrem nie zdołał uczynić.

Postać przywarła do drzewa. Wiosna była w drzewie, wiosna była w postaci. Pień był wilgotny od łez, które roniła postać, bo tym razem nadszedł ból, po tak długim oczekiwaniu, ból przemiany, ale i rozkosz.

Postać oderwała się powoli od drzewa, niechętnie, z westchnieniem.

Włosy koloru brzoskwini, oczy kota, te same. Młoda broda opadła złotym pyłem. Twarz stała się gładka, tak gładka, jakby pozbawiono ją porów. Ręce opadły, ześliznęły się po srebrnej skórce. Inne ciało, odmienne ciało. Już nie ciało młodzieńca. Lędźwie cofnęły się, pasywne, tors, wyrastający ze smukłej kibici, zakwitł wyniosłymi piersiami dziewczęcia. Dziewczęce ciało i dziewczęca twarz.

Dziewczyna schyliła się i podniosła żółtą szatę kapłana, którą wzgardziła jako mężczyzna. Otuliła się nią: biały język w samym sercu płomienia.

Była wiosna i Simmu już sobie przypominał.

Upływały godziny, Żyrem usnął między korzeniami drzew nad sadzawką, a kiedy powiał łagodny wietrzyk, obsypał go deszcz zielono - białych kwiatów. Przywykł do spania pod gołym niebem. Na pustyni, a także podczas nocnych wypraw z Muszlą, prawie zawsze tak sypiał. Przywykł też do lekkich kroków Muszli, bo Muszla przychodził i odchodził nocą tak, jak czynią to wszystkie inne nocne stworzenia. Dlatego nie obudził się.

Obudził się, wyrwany ze snu, lecz spokojny, kiedy chłodne usta zaczęły pić z jego ust.

A potem nadeszło drugie przebudzenie. Żyrem uniósł się na łokciu i spojrzał. Obok niego leżała naga dziewczyna, także wsparta na łokciu i wpatrzona w niego. Dziewczyna z jedwabiu, letniej trawy i kości słoniowej, lecz z oczami i włosami należącymi do kogoś innego. Żyrem poczuł lęk. Był jednak poruszony i pobudzony, pobudziła go zanim się przebudził, jego ciało prosiło o jej ciało, choć umysł jeszcze ją odrzucał. I oto teraz położyła delikatnie dłoń na jego żebrach - dotyk łagodny, prawie pozbawiony przebiegłości - a on poczuł, że przeszywa go ostrze włóczni.

- Jestem snem - powiedziała dziewczyna jasnym dziewczęcym głosem. - Jestem twoim snem. Jakżeby mogło być inaczej, skoro jestem młodzieńcem, Muszlą, a jednocześnie dziewczyną, skoro przychodzę do ciebie jako kobieta, a jednak nią nie jestem. Bogowie nie mogą cię oskarżyć. Nie można zgrzeszyć ze snem, nie ma w tym zła.

Potem położyła się na plecach, opuściła powieki i zamilkła, i nie dotykała go już więcej.

Żyrem nie mógł oderwać od niej wzroku. Był spragniony, a oto miał przed sobą napój. Zielony kwiat opadł powoli na jej pierś. Żyrem wyciągnął rękę, by strącić kwiat, lecz jego dłoń spoczęła tam, gdzie leżał kwiat. Czuł bicie jej serca, które biło jego imieniem i jego wzywało. Wiedział, że jest snem, więc odrzucił wszystkie oschłe rady i ostrzeżenia i złożył wargi na jej wargach.

A dziewczyna oplotła go ramionami w pasie i pociągnęła ku sobie.

8

Pędząc w przerażeniu przez noc, Bejasz zbliżył się już do wioski, gdy wróciła mu zdolność myślenia.

Świątynia, w której nocowali, przestała być dla Bejasza miejscem świętym, dla Bejasza, który legł w łożu z nieczystą kobietą, dla Bejasza, który zabił tę kobietę. Dla Bejasza, którego czyny miały świadka.

A jednak, rozmyślał Bejasz, był tylko jeden świadek, a tym świadkiem był ów dwulicowy, nie zasługujący na wiarę młodzieniec, Muszla.

Bejasz stwierdził, że zabicie tej kobiety nie kosztowało go najmniejszego wysiłku, było czymś prawie naturalnym. Ugodził ją śmiertelnie z poczuciem słuszności tego co czyni, z poczuciem władzy i sprawiedliwości. Co uczynił? Uciszył tylko jej małostkowe pogroźki. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, że jest zdolny do tak szybkiej decyzji, do tak pewnego i bezlitosnego działania. Zaczął się zastanawiać, co by czuł, gdyby mu przyszło zabić Muszlę. Ostatecznie Żyrema z Muszlą nie było, prawdopodobnie nawet nie było go w pobliżu. Muszla włóczył się bez celu po nocy, a bogowie byli po stronie Bejasza, doradzali mu i prowadzili jego dłoń. Trzeba odnaleźć i zabić Muszlę - wyglądał na kruchego, słabego chłopca, a z pewnością był tylko chwastem, którego należało się pozbyć - a potem

chyba ukryć gdzieś jego ciało. Jutro, kiedy Muszli zabraknie, a nierządnicę odnajdą martwą, wniosek stanie się oczywisty dla wszystkich. To Muszla przyszedł do jej łoża, spał z tą suką, a potem zabił ją i uciekł.

Bejasz zatrzymał się, a potem ruszył z powrotem.

Szukał go bezskutecznie przez jakiś czas. A potem, w mokrej ziemi wokół studni, odnalazł ślady bosych stóp. Ślad wiódł na północ. Muszla nie mógł wrócić do wioski, bo Bejasza by go zobaczył. Muszla miał pobiec w górę zbocza, między oliwki. Bejasz ruszył więc w tamtą stronę, starając się stąpać najciszej jak potrafił.

Jego uwagę przyciągnęło migotanie sadzawki, potem dostrzegł coś więcej. Lecz patrzył z oddalenia, a oddalenie wiele przed nim ukryło. Ukryło przemianę, ukryło cud niemożliwości. Bejasz czaił się w ciemności, myśląc, że wysledził Żyrema i Muszłę. Muszla nie był już samotną i łatwą ofiarą, lecz nadal mógł zostać zraniony. Bejasz potrzebował zaledwie kilku chwil, by zmienić swój plan. Ten nowy plan bardziej mu się podobał. Uznał, że jest bardziej subtelny.

Bejasz pobiegł do uspionej wioski, prosto do wozu, w którym chrapał urzędnik zajmujący się rejestrem ofiar, ten sam, który kiedyś zgrzeszył z własną siostrą.

Żyrem obudził się z poczuciem ukojenia i uwolnienia. Białe młode słońce sączyło się zielenią i zielonawym złotem przez gałązki oliwek, zioła pachniały mocno. Z początku Żyrem nie pamiętał swego snu. Lecz wspomnienie samo na niego spłynęło, bardziej z poranka niż z jego mózgu. Usiadł z szeroko otwartymi oczami, poczuł coś w rodzaju mdłości. Lecz musiał to być sen, tylko sen, zważywszy na dziwaczne szczegóły, które zdawały się tak rzeczywiste. I nikt przy nim nie leżał, nawet Muszla. Ziemia była cudowna, świeża, doskonała. Żyrem chłonał otoczenie, bo dusza podpowiadała mu zabobonnie, że jeśli tej nocy złamał wszystkie śluby, to w krajobrazie, w wiosennym powietrzu musiałby dostrzec jakąś skazę.

Uspokojony, choć nie całkiem ten sam, co jeszcze wczoraj, Żyrem ruszył w kierunku świątyni. Po drodze nie spotkał Muszli i chyba przyjął to z pewną ulgą. Muszla był osią jego snu. Żyrem czuł, że nie potrafiłby spojrzeć mu w oczy. Poczucie wstydu, jakie mu zaszczepili świątobliwi pustelnicy, dojrzało i zakwitło.

Tak więc Żyrem wkroczył do wioski i oto co tam napotkał w ów chłodny, złoty poranek: jednak skazę.

Młodzi kapłani i słudzy świątynni zgromadzili się przy kaplicy. W pobliżu stały grupy wieśniaków, twarze mieli napięte i przestraszone, jakby czekali na jakiś straszny cud. Przed tłumem, na ubitym trakcie, stał urzędnik, który zajmował się rejestrowaniem ofiar składanych świątyni przez wioski. Niedaleko od niego Bejasz rozmawiał ze swymi braćmi w kapłaństwie, lecz zamilkł na widok Żyrema. A twarz Bejasza podobna była do twarzy wieśniaków - napięta i przestraszona. Nie on pierwszy przemówił, uczynił to rudy kapłan, o rok starszy od reszty, któremu się wydawało, że ma prawo im przewodzić i któremu Bejasz jawnie okazywał uniżoność.

- Żyremie - zawołał rudy kapłan - wydarzyło się coś dziwnego. Skradziono coś z wozu z darami.

Żyrem zatrzymał się. Stał pośrodku drogi, milcząc i patrząc na nich.

- Wszyscy dobrze wiedzą - ciągnął młody kapłan - że w tym pobożnym kraju nawet rabusie szanują bogów i nie ośmieliliby się wyciągać ręki po dobro należące do świątyni. Któż więc, Żyremie, mógł, według ciebie, porwać się na takie świętokradztwo?

Żyrem wciąż milczał. Nagle poczuł kamień na plecach i sznur przywiązujący go do tego kamienia. Poczul zapach lwów.

- On nie odpowie - odezwał się Bejasz.

- Niech przemówi skarbnik - rzekł rudy kapłan. Urzędnik zwiesił głowę i patrzył w ziemię.

- Nie lękaj się - zachęcił go Bejasz. - To obowiązek, który winny jesteś pobożnej rodzinie, staremu ojcu i niewinnej siostrze. Powiedz wszystko, co wiesz.

- Ja... - zaczął skarbnik i rzucił krótkie błagalne spojrzenie na Żyrema, a potem zamknął oczy i wyrzucił z siebie: - Obudziłem się w nocy i zobaczyłem, że ktoś wychodzi z wozu, gdzie spałem. Miał w ręku srebrną czarkę, ofiarę od wieśniaków, wychodził z nią. Ten człowiek... z całą pewnością był kapłanem. Śledziłem go, opuścił wioskę i skierował się na zachód, do starej studni. Jest tam dom. Słyszałem, jak mówiono, że to dom pewnej kobiety... kobiety nieczystej. Przy tym domu był drugi mężczyzna. Objęli się i pocałowali w usta... długi to był pocałunek. A kiedy się całowali, padło na nich światło z okna tego domu i ujrzałem, że jeden ma włosy żółte jak lis, a drugi czarne jak noc. Potem ten czarnowłosy zapukał do drzwi, a kobieta otworzyła i zaprosiła ich do środka.

- Już dobrze, wystarczy - rzekł Bejasz, poklepując go po ramieniu. - Ja dokończę. Ten biedak przybiegł do mnie i opowiedział mi, co zobaczył. I chociaż wiedziałem, że jest uczciwy i pobożny, nie uwierzyłem w to, co usłyszałem, co chyba jest zrozumiałe, bo to, co usłyszałem napełniło mnie zgrozą. Drżąc cały, pełen lęku i niepewności, poleciałem skarbnikowi, by zaprowadził mnie do domu tej niegodziwej kobiety. Kiedy byliśmy już blisko, zobaczyliśmy, jak z jej domu wyszli dwaj młodzieńcy i śmiejąc się głośno zniknęli pośród oliwek na wzgórzu. I, o zgrozo, rozpoznałem ich, rozpoznałem każdego. Poszliśmy za nimi, ja i skarbnik. A pośród oliwek zobaczyliśmy... och, bogowie, zmiłujcie się nad nami!... że niesyci grzechem popełnionym z tą kobietą, legli razem i... i połączyli się ze sobą jak zwierzęta.

Tłum wieśniaków zaszemrał ze zgrozy.

- Czy jesteś tego pewny? - zapytał rudy kapłan, pławiąc się w poczuciu ważności roli, jaką odgrywał w tym widowisku.

- Niestety, nie mam najmniejszej wątpliwości - jęknął Bejasz, opuszczając powieki - bo szepieni ze sobą unosili się i opadali jak fala na brzegu morza, aż obaj omdleli w ekstazie i znieruchomieli.

- Ich imiona! - zwołał rudy kapłan.

- Hańba i niegodziwość! To Żyrem i Muszła, nikt inny!

Uważne oczy kapłanów i wieśniaków nie mogły nie dostrzec, że Żyrem, który z początku stał niewzruszony jak skała, teraz pobladł jak kość wysuszona na słońcu.

- Co na to powiesz? - zawołał rudy kapłan.

- Nie powiem nic - odrzekł Żyrem.

- Gdzie jest twój towarzysz, Muszła?

Lecz Żyrem milczał, powiedział już wszystko, co mógł powiedzieć.

- Może - podsunął Bejasz - powinniśmy posłać kogoś do domu tej kobiety i zapytać ją, co wie o tym wszystkim?

I natychmiast grupa wieśniaków pobiegła do domu ladacznicy i załomotała w jej drzwi, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wyłamała drzwi i odkryła, że pani tego domu jest martwa. Wielu uznało, że nadal jest głodna pożądania i nie uszanowało jej śmierci, a wszyscy pamiętali, że kiedy żyła, nie pozwalała dotknąć swoich piersi, jeśli się jej nie zapłaciło przynajmniej trzech sztuk srebra. Niejeden młodzieniec z wioski długo oszczędzał, byle tylko zaznać takiej

rozkoszy. Teraz wszystko się skończyło, ci zuchwali kapłani ukradli bogom ofiary, aby zapłacić nierządnicy, a potem ją zabili.

A skoro Żyrem milczał, a Muszla gdzieś zniknął i nie można była znaleźć srebrnej czarki pełnej klejnotów, ani kapłani, ani wieśniacy nie mieli już najmniejszej wątpliwości, że mordercami byli Żyrem i Muszla.

Przychodzili nawet ci, których dzieci uleczył Żyrem, i pluli na niego ze wzgardą. Nawet owa staruszka, która cierpiała na ból w krzyżu, oświadczyła, że ból powrócił i przeklinała go głośno.

A gdzie był Muszla?

Muszla - Simmu, dziewczyna, obudziła się na godzinę przed świtem i długo przyglądała się uśpionej twarzy swojego kochanka. Końcem języka muskała jego oczy, gdzie wśród cieni spoczywały rzęsy, czarne i długie, jakby nakreślone pędzlem. Jej radość i rozkosz była tak pełna, że nie musiała już dzielić się z nim swymi uczuciami. Odeszła między drzewa, by w samotności sycić się swą radością.

Simmu (ukształtowanej przez demony dziedzicze magii) obca była wszelka ludzka logika i ustalone wzory postępowania. Uprzednio była młodzieńcem, kapłanem. To należało do przeszłości. Później, kiedy już do końca nasyci się w samotności swym namiętym poczuciem spełnienia, wróci do Żyrema, a on pójdzie z nią, albo ona z nim, tam, gdzie zechcą. Instynktownie, pomna na swą przeszłość, na to, że jako dziecko wyrastała z owymi mimowolnymi włóczęgami, Eszwa, wyobrażała sobie przyszłą egzystencję jako wieczną wędrówkę.

Poza oliwnym gajem zbocza wzgórz porastał gęstszy, ciemniejszy las wysokich drzew, gdzie trawa upstrzona była bladymi kwiatami, budzącymi wspomnienie nocnych włóczęg Eszwa. Kiedy weszło słońce, Simmu nawiedziło inne wspomnienie: dziecko ukryte pośród listowia wyższych gałęzi. Wspięła się więc jak kot na jedno z drzew i ukryła w cienistej komorze zieleni, myśląc tylko o Żyremie, jeszcze nie całkiem gotowa, by do niego wrócić, drżąc z rozkoszy męki, jaką jej sprawiała rozłąka. W końcu wkradło się w nią jeszcze jedno wspomnienie: wyczarowanego przez Eszwa snu dziecka, dającego mu schronienie od świtu do zmierzchu. Usnęła. Kiedy Żyrem otworzył oczy, przewyciężył swoje obawy i ruszył ku wiosce, gdzie czekała na niego pułapka, Simmu leżała w ramionach drzew, śniąc o miłości.

Przebudziła ją brutalna kakofonia łowów.

Simmu zareagowała na ów zgiełk tak, jak zareagowałyby zwierzę: zamarła w bezruchu, stała się częścią drzewa, częścią, która obserwuje i nadśluchuje.

Grupa nieokrzesanych wieśniaków przeszła pod drzewem, miotając przekleństwa. Dwu zatrzymało się i oparło o pień drzewa.

- To nic nie da - rzekł jeden z nich. - Ten łotr jest już daleko. Dziwny to był człowiek, dziwny we wszystkim. Świątynia powinna zwracać baczniej uwagę na to, kogo wybiera na służbę bogom. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby bogowie zesłali na kraj głód lub zarazę.

- Och, przestań krakać! - przerwał mu drugi. - I tak już mamy dość kłopotów. W każdym razie ten czarny jest już w drodze do świątyni, pilnują go dobrze. Mówią, że poszedł pokornie jak pies. Ale żeby spółkować z tą dziwką, a potem ją zabić?... Pewno chciał jej zamknąć usta. I żeby jeszcze nie była w tym dobra! Mówią, że była mistrzynią w swoim fachu. Żadna inna wioska nie miała takiej dziwki, do której bogacze zjeżdżali się ze wszystkich stron, czasem i siedem mil robili, albo i więcej. A ci dwaj kapłani zgruchotali jej kark, ten złotowłosy gdzieś przepadł, a ten drugi, czarny jak demon, ten to już dostanie w świątyni to, na co zasłużył. Może będzie musiał jeść tylko ciastka, same ciastka trzy razy dziennie, albo coś...

- Nie, nie! - przerwał mu pierwszy. - Parzył się z innym kapłanem, więc dostanie chłostę. A jeden z ich służących mówił mi nawet, że skoro ten czarny zabił, to i jego zachłoscą na śmierć.

- O, żeby to mnie dali bicz! - westchnął drugi.

I dodawszy sobie otuchy tą rozmową ruszyli dalej na poszukiwanie Muszli.

Simmu oślepiła trudna do opisanego fala wzburzenia i strachu. Lecz wkrótce przyszła do siebie, a wówczas jej świadomość wypełniły obrazy. W jednej chwili chaos ustąpił miejsca zrozumieniu i porządkowi. Kiedy pomyślała o tych, którzy pragną skrzywdzić Żyrema, jej oczy zalśniły zimnym blaskiem, zimnym jak skorupa zielonego lodu.

Wiedziała o spisku Bejasza i jego kłamstwach, poznała je tak, jakby czytała w jego myślach. Przypomniała sobie, że mówił o urzędniku, który go się bał. Wszystko to trwało sekundy, bo w razie potrzeby jej umysł był szybki jak ryś. Martwej kobiecie nie poświęciła żadnej uwagi. Simmu była podobna demonom, nie obchodził jej ktoś, kto nie był jej drogi.

Ześliznęła się z drzewa i pobiegła ukrytą pośród drzew ścieżką do gaju oliwek. Na południowym zboczu wzgórza wypasano owce, bo widziała ich bobki wiodące w tamtym kierunku. Wkrótce natrafiła na stado i przeszła przez nie jak letni wietrzyk. Stadem opiekowała się piętnastoletnia dziewczyna. Simmu podkrađła się do niej z tyłu i schwyciwszy ją lekko za czoło, zanim dziewczyna zdołała krzyknąć, użyła wobec niej magicznego dotyku Eszwa. Dziewczyna uśmiechnęła się głupkowato i nie broniła się, gdy Simmu zdjęła z niej ręcznie tkaną suknię i chustkę, którą miała obwiązane włosy.

I tak na drodze wiodącej na zachód, ku oddalonej o dzień drogi świątyni, pojawiła się bosa wiejska dziewczyna. Włosy miała ukryte pod chustą, szła z nisko pochyloną głową. Po godzinie doszła do łąki, na której pasły się młode konie. Stała przy ogrodzeniu i gwizdnęła. Nadbiegł koń. Simmu przemówiła do niego bez słów.

- Weź mnie na swój grzbiet, braciszku, zabierz mnie i ponieś, bo muszę być szybsza niż moje stopy.

Koń obwąchał Simmu i przeskoczył przez ogrodzenie.

Coś pomknęło po drodze, coś przemknęło przez wioski i zagrody, okryte białym obłokiem pyłu. Wieśniacy wytrzeszczali oczy: Kto pędzi tak szybko na koniu?

Obłoki pyłu zasnuły także niebo, i słońce. Simmu pędziła w oślepiającej mieszance blasków, pośród niewyraźnych kształtów, które nie zatrzymywały jej spojrzenia. Całą uwagę skupiła na jednym, na swoim celu.

Nie mogła ich doścignąć na drodze, kapłanów i ich świty, za późno ruszyła w pogoń, choć koń galopował pod nią jak wiatr, zniewolony jej cichym zawodzeniem. Kiedy zapadał zmierzch, ujrzała w dole należące do świątyni ziemie nakrapiane światełkami i samą świątynię w oddali, pałac świateł. Puściła konia wolno, był zmęczony, lecz nie ochwacony. Wstrząsając grzywą i rżąc cicho, ruszył truchtem z powrotem, zagłębiając się w gęstniejące indygo nocy.

Simmu pobiegła, chyża jak lampart.

Wzdłuż dróg, pośród gajów, wszędzie było więcej świateł niż zwykle. Wszędzie gromadzili się ludzie, ciekawi opowieści o niegodziwym Żyremie i jego losie. Simmu dowiedziała się wszystkiego, wychwytyjąc słowa, gdy mijała w biegu drzwi małych winiarni, porośnięte chwastami pola i gaje, gdzie nawet wiejscy kochankowie, grzeszący tam w ukryciu, wiedli później rozmowy o

świętokradztwie, jakiego dopuścił się jeden z młodych kapłanów. Najwyższy Kapłan osądził już Żyrema i rozpoznał świadectwa jego winy. Żyrem ani się bronił, ani prosił o łaskę. Najwyższy Kapłan zasłabł, poznawszy całą ohydę jego grzechów, a kiedy odzyskał zmysły, ogłosił wyrok: Żyrem zostanie ubiczowany na śmierć jutro o wschodzie słońca.

Simmu dotarła do najdalszego miejsca, w którym mogła się pokazać jako kobieta, do Sanktuarium Dziewic, pół mili na zachód od świątyni.

Przed sanktuarium kobiety i dziewczęta zebrały się w grupkach na trawie, rozprawiając o nowinach. W ich życiu brakowało miłości, więc nieszczęsny los jakiegoś mężczyzny sprawił im radość, choć nie zastanawiały się dlaczego.

Simmu usunęła się z zasięgu ich spojrzeń. Stała pod jakimś drzewem. Z drzewa sfrunął ptak i usiadł na jej dłoni.

- Ujrzyj Żyrema moimi oczami i poznaj go. Leć ponad murem świątyni, przeszukaj dziedzińce, podsłuchaj słowa tych, których tam napotkasz. Znajdź Żyrema. Wróc do mnie i powiedz mi, gdzie on jest.

Ptak poderwał się i zniknął w mroku.

Simmu usiadła pod drzewem otulona czarnym cieniem. Patrzyła na gwiazdy, wyplakujące swój blask między gałęziami. Gwiazdka spadła na jej podolek: powrócił ptak.

Simmu wczytała się w myśli ptaka, spojrzała na makabryczną mozaikę drobnych ptasich szaleństw, przemieszana teraz z widokami świątyni.

Oto jakiś tłuszcioch kroczący jak kaczką, wypróżnię mu się na szatę. Tam inny, jego też upstrzę. Ten kamień pod moimi pazurami jest zimny, gorąco z niego uszło. Słuchaj! Robak drąży korytarz pod murawą. Wydziobać go! Nie, gdzieś uciekł. Ach! Ptak w powietrzu, ptak wymalowany na oknie - to ja! A tu jest dziedziniec, gdzie rośnie poskręcane martwe drzewo, a w kamiennej dziupli ktoś siedzi. Nie ma lampy, żeby zwabić ćmy, chętnie bym parę zjadł. Siedzi z głową ukrytą w dłoniach. To ten. Kiedy już będzie martwy, przyprowadzę swoich kuzynów i powyrywamy mu włosy, żeby sobie nimi wymościć gniazda. Mojemu bliskiemu krewniakowi, krukowi, na pewno spodobały się jego oczy jak dwa klejnoty. Ale kruk jest daleko, na północy, na pogrzebie króla.

Sza, myśl Simmu skierowała się do ptaka. Czy Żyrem jest związany? Kto go strzeże?

Nie związany. Drzwi zaryglowane, żelazo w oknie. Na zewnątrz jest trzech. Mają lampę, ale jej dym śmierdzi i odgania owady. Żonglują sześciobocznymi białymi ślimakami, które grzechocą. Kiedyś widziałem coś takiego w trawie. Dziobnąłem to, ale było twarde. Chyba jednak sam wydziobię oczy Żyremowi. Czemu kruk miałby zjadać wszystko?

Z głowy Simmu wystrzeliła taka złość, że ptak uleciał w przerażeniu.

Tym razem zauważyły ptaka kobiety siedzące na trawie.

- Wróbel w nocy? To musi być jakiś omen.

Nie dostrzegły Simmu, białego migotania między drzewami, nagiej jak za dawnych dni z demonami, tylko chusta przytrzymała jej włosy.

Simmu czekała przez kilka godzin w pobliżu muru świątyni. Głębia nocy przybliżała się coraz bardziej, jak dłoń w miękkiej rękawicy zaciskająca się na gardle ziemi, wyciskająca z niej oddech i zamieniająca go na purpurowy oddech tajemnicy. Raz tuż obok przeszedł świecki brat, który wypróżnił pęcherz w krzakach, wyraźnie zakłopotany. Wymamrotał świętą formułkę, usprawiedliwiając się przed bogami. Simmu poczuła do niego nienawiść. Nienawiść ugodziła go jak ostrze między łopatkami, uciekł w ciemność, nie wiedząc, dlaczego biegnie.

Kiedy noc była już gotowa, Simmu wśliznęła się w nią i w pewnym momencie zamieniła się z powrotem w mężczyznę. Simmu - mężczyzna wspiał się zwinnie na mur, podobnie jak czynił to często będąc chłopcem i młodzieńcem.

Ty - uwięziony w świątyni, mój ukochany? Czyż kiedykolwiek potrafili nas w niej zatrzymać?

9

Simmu nie wiedział, że Żyrema nie można zranić ani zabić. Żyrem też o tym nie wiedział. Lwy, złamana włócznia, wszystko zbladło w jego pamięci, choć pozostało związane z tym przerażeniem. Siedząc samotnie w ciemnej komnacie z kamienia, wierzył, że tego ranka umrze. Wierzył z pewnym obrzydzeniem. Stał się jednak znowu niemym dzieckiem, nie potrafiącym wyrazić ani swego oszołomienia i

protestu wobec fałszywego oskarżenia, ani poczucia straszliwej winy wobec czynu, którego naprawdę się dopuścił.

Na dziedzińcu z martwym drzewem (był to Dziedziniec Przeszłych, rzadko wykorzystywany, wstrętny w swoim symbolizmie) dwóch świeckich braci, wyznaczonych do pilnowania Żyrema, grało w kości. Przyglądał się temu kapłan w średnim wieku. Gra w kości były dozwolona, bo stawkami nie były monety, lecz kandyzowane owoce. Sam kapłan był jednak zbyt wzburzony, by wziąć w niej udział. Zło, jakiego dopuścił się Żyrem, rozdarło mu serce. Kapłan próbował wydobyć z Żyrema jakąś oznakę żalu, skruchę, którą mógłby złożyć w ofierze bogom wraz ze swoją krwią. Lecz serce Żyrema pozostawało głuche i nieme.

Rankiem kapłan miał zamiar powiedzieć tym, którzy będą Żyrema biczować: „Uderzajcie bez wahania, uderzajcie z całą mocą. Każde uderzenie jest pokarmem dla jego duszy. Im okrutniejsza agonia, tym łatwiej bogowie udzielą mu przebaczenia.” Posługiwano się trzema biczami. Jeden był zakończony żelaznym ćwiekiem, drugi kulka z mosiądzu, trzeci składał się ze stalowych strun, które przed użyciem rozgrzewano do czerwoności w węglu drzewnym.

Świeccy bracia grali w kości. Ten po lewej stronie szepnął:

- Ta kandyzowana pigwa to krzyk Żyrema. Szóstka oznacza, że zawyje po pierwszym uderzeniu. Jest chudy, nie ma tłuszczu, nic nie złagodzi bólu.

- A ja mówię, że krzyknie dopiero po dziesiątym uderzeniu. Po piętnastym omdleje. Kostka zagrzechotała. Ukazał się pusty bok, była na nim kiedyś czwórka, ale starła się przy grze.

- A więc przy czwartym uderzeniu.

- Albo nigdy.

Kapłan podniósł wzrok, bo wydawało mu się, że na chwilę coś przyczaiło się na szczycie muru, smukły blady kot z błyszczącymi oczami. Ale trwało to krótko, teraz niczego już nie widział.

- Ej, coś ty mi przywiązał do nogi? - warknął jeden z braci przy stole.

- Właśnie miałem cię spytać o to samo.

Obaj zajrzeli pod stół. W mętym świetle kadzidlanej lampy dostrzegli zaciskającą się wokół ich nóg linę, linę z diamentowych łusek. Obaj otworzyli usta, by zawołać, że wąż oplótł im nogi, lecz

krzyk zamarł im w gardle, gdy zobaczyli kobrę kołyszącą się przed nimi na stole.

- Nie ruszajcie się - pouczył ich kapłan ochryłym głosem, bo i on miał unieruchomione stopy. - To sprawa tego obmierzłego Muszli.

Teraz wszyscy trzej spostrzegli Muszłę, który z głową obwiązaną szmatą kroczył ku nim przez dziedziniec. Rzucił tylko jedno, pełne odrazy spojrzenie na uschłe drzewo, okrążył stół i nachylił się nad każdym z nich, sycząc im coś do uszu. Mesmeryczne zakłęcie pograżyło ich w mulistym odrętwieniu pełnym odrażających zjaw.

Kiedy tak leżeli bezsilni, wijąc się i jęcząc, Simmu użył czaru dotyku wobec zamka w drzwiach kamiennej komnaty i wśliznął się do środka.

Żyrem nie uniósł głowy. Nie uczynił nic. Simmu podszedł do niego i zagłębił palce w jego czarnych włosach, a potem uniósł mu głowę, trzymając ją za włosy w okrutnym uścisku, aż Żyrem musiał spojrzeć mu w twarz. Żyrema już niegdyś trzymano za włosy w studni pełnej płomieni.

Przemiana dosięgła Żyrama jak cios. Bez powolnej zmiany rysów, bez radości. W jednej chwili jego twarz zamieniła się w maskę wściekłości i bólu. Oczy zapłonęły w ciemności. Poderwał się i stalowym chwytem uwolnił włosy z uścisku dłoni Simmu. A kiedy odnalazł w sobie moc słów, nie były to słowa wdzięczności lub miłości.

- Sprzedałeś moje życie, zabiłeś to, co jest we mnie dobre lub mogło być dobre. Ty nędzny głupcze, wciągnąłeś mnie w błoto. Nie rozpaczalem, kiedy mnie opuściłeś po tym, co zaszło między nami. Nie rozpaczalem, gdy słuchałem kłamstw tych ludzi i gdy mi oznajmiono, że umrę.

Lecz ty, ty przeklęty pełzający nędzniku... nie wiem, w jaki sposób udało ci się mnie uwieść... Nie zniosę twojego towarzystwa. - Usiadł i znowu opuścił głowę, mrużąc: - Lecz to nie tylko twoja wina. Ja też zbłądziłem. Zostaw mnie, pozwól mi czekać na śmierć w samotności. Starcy mówili mi, że należę do Demona Ciemności, Pana Nocy.

- A więc bądź szczęśliwy - rzekł Simmu, pieszczoch Eszwa, a w jego głosie zadźwięczało coś, co przypominało ostrze dobrze wypolerowanego noża. - Demony są dla ludzi tym, czym morze dla

piasku. A ten, którego nazywają Władcą Demonów, Azrarn, jest zaczynem w chlebie świata.

Żyrem spojrzał na niego, gdy usłyszał te słowa. Dawna męka ustąpiła miejsca nowej.

- A więc w demonach jest coś dobrego?

- Wierz w to.

- A ty, ty, którego uznałem za przyjaciela, jesteś ich posłańcem. Trudno się dziwić, że zawlokłeś mnie do jaskini nocy.

Simmu porzucił mowę słów. Teraz przemówiły jego oczy. Trysnęły z nich łzy, lecz na jego twarzy nadal malowała się zimna pogarda. Wyszedł z komnaty w mrok nocy.

A Żyrem długo wpatrywał się w otwarte drzwi, na dziedziniec, na którym spoczywało tylko trzech mężczyzn pogrążonych w odmętach snu, aż w końcu, tak jak niegdyś, poczuł że nie może się dłużej opierać. Wyszedł za Simmu w noc. Lecz Simmu już nie było w pobliżu. Żyrem wspiął się na mur i zeskoczył w gęsty cień u jego podnóża. Był zmęczony i słaby, szlochał.

- Widocznie jeszcze nie nadeszła godzina mojej śmierci - mówił do siebie - lecz nie jestem zdany do niczego. Chyba że, jak mówi mi ta istota, zostałem stworzony, by być niewolnikiem demonów. Pójdę i odszukam go, tego Pana Nocy. Jeśli naprawdę istnieje, niech stanie się moim panem, bo skończyłem już ze wszystkim innym.

I zanurzył się w cienie nocy, nie dbając o żadne zagrożenie, a jednak odarty z wszelkiej ufności i zadowolenia, opuszczony, samotny, odarty także z nadziei.

Simmu nie odszedł daleko. Zatrzymał się, by odzyskać swoją własność lub posłać kogoś innego, aby ją odzyskał.

Żółto - zielony klejnot, który Simmu otrzymał od Eszwa, klejnot z napisem oznaczającym w języku demonów jego imię, spoczywał w skrzyni w świątynnym skarbcu. Nagromadzono tu wiele bogactw, złota, srebra i przeróżnych klejnotów. Simmu wiedział, gdzie klejnot spoczywa, bo jako dziecko widział, że kapłani wkładali go do skrzyni, mówiąc: „Tym lichym lecz miłym dla oka kamieniem okażemy wdzięczność bogom za to, że znalazłeś się pośród nas.” Wszystkie skrzynie i kufry w skarbcu zawsze były otwarte, aby każdy, kto tam wszedł, mógł nasycić wzrok bogactwami świątyni i zadumać się nad jej wielkością. Tym razem szczur sycił swój wzrok owymi bogactwami. Zeskoczył z wysokiego okna, zsunął się po ciężkiej

tkaninie okrywającej ścianę, wskoczył do otwartej skrzyni. Rozgrzebał pazurkami klejnoty, uchwycił żółto - zielony kamień Eszwa w pysk i pomknął z powrotem, by zanieść go Simmu.

Kamień wisiał na srebrnym łańcuszku wykutym przez Drinu. Simmu zawiesił łańcuszek na szyi. Był nagi, miał na sobie tylko ten łańcuszek z kamieniem i przepaskę na włosach. Ruszył za Żyremem, kierując się nadprzyrodzonymi śladami i miłością.

Idąc przypominał sobie, jak wędrował po krainie ludzi. Wkrótce doszedł do chaty pasterza. Opoдал na krzaku powieszono odzież, by wyschła po praniu. Simmu wybrał sobie jakąś tunikę.

Żyrem szedł na południe. Nie obrał tego kierunku świadomie, nie miał żadnego planu ani celu, choćby niejasnego, by dotrzeć do dalekiej południowej pustyni. Ten kierunek był czystym przypadkiem, zmierzał na południe ślepy, głuchy i niemy, nieświadom tego, że podąża za nim Simmu, a gdyby tylko był świadom, zaczęłyby na niego i obrzucił przekleństwami.

Kiedy na wschodzie podniosło się słońce, Żyrema dzieliło od świątyni wiele mil. Ile mil? Dosyć, by ludzie, którzy widzieli, jak przechodził, nie słyszeli jeszcze o jego ucieczce z miejsca uwięzienia, choć słyszeli już o jego wykroczeniu i rozpoznawali jego czarne włosy.

- To ten kapłan, który kupował ciała nierządnic, a potem je zabijał!

- A widzisz, nie mówiłem? Świątynia nie ukarała go śmiercią, tylko go wygnali.

- Dalej, zrobmy to za nich!

Ale, choć nazwali go wygnańcem, wciąż pozostawał kapłanem i wciąż nosił dobrze wysłużoną żółtą szatę kapłańską. Nie mieli więc dość odwagi, by go schwytać i zabić, a kamienie, którymi go obrzucali, odbijały się od niego, jakby go ochraniali bogowie, co budziło zdumienie.

Później nadszedł ktoś inny, ale była to dziewczyna, bo pod ubogą szatą dostrzegli wypukłość dziewczęcych piersi.

Simmu (dziewczyna, chytrze zmieniająca płęć, by wywieść w pole ludzi) śledziła ślady Żyrema. Zmiażdżone kwiaty polne mówiły jej, że tędy przeszła jego stopa. Pył przydrożny zachowywał jego zapach, drzewa jego cień, gdy na nie padł.

Około południa czarny ptak siedzący na kamieniu odebrał nie wypowiedziane słowami pytanie Simmu:

- Czy Żyrem tędy przechodził?

- Czy Żyrem tędy przechodził? - zaskrzeczał ptak ochrypłym głosem.

Simmu zatrzymała się, przywołała do siebie ptaka i pottrzymała go przez parę chwil przy swoim gardle, aby go nauczyć mówić.

Spośród wszystkich rodzajów demonów Eszwa najmniej lubowały się w zemście. Jeśli bywały okrutne, było to okrucieństwo natychmiastowe, bo przeszłość szybko puszczały w niepamięć. Lecz Simmu była również kobietą i mężczyzną, i wciąż pamiętała o Bejaszu.

10

Cztery dni po odkryciu, że czarnoksiężka moc dokonała inwazji na świątynię, wzburzeni kapłani ogłosili, że w całym kraju mają się odbyć prześlągalne modły i mają być złożone prześlągalne ofiary. Zwołano mężczyzn z wioski i winnic, uzbrojono ich w noże i naszyto im znaki świątynne na szaty, a potem wysłano grupami na poszukiwanie Żyrema. Poszukiwacze drżeli jednak na samą myśl o znalezieniu się w pobliżu Żyrema - potężnego czarownika sprzymierzonego z demonami - i nigdy go nie wytropili. W końcu świątynia, w długiej i rozbudowanej ceremonii, rzuciła na niego i na Muszlę klątwę wiecznej zguby w imieniu wszystkich bogów. Dopiero wówczas kapłani odetchnęli i zajęli się przywracaniem spokoju wewnątrz murów świątyni, starając się zapomnieć o strachu.

Miesiąc później Bejasza zbudził o świcie jakiś ochrypły, przerażający głos:

- Bejasz zabił nierządnicę. Bejasz, nikt inny.

Bejasz, podobnie jak wszyscy kapłani, miał osobną celę, nikogo nie było w pobliżu. Rozglądając się z przerażeniem wokół siebie, zobaczył wielkiego czarnego ptaka podskakującego na parapecie okna. Ptak ponownie zaskrzeczał:

- Bejasz zabił nierządnicę. Bejasz, nikt inny. Bejasz był przekonany, że usłyszała to cała świątynia,

choć w rzeczywistości słyszał tylko on sam. Zagrzebał się w pościeli i czekał, by go pojmano. Nikt jednak nie przyszedł, a kiedy wreszcie odważył się wysunąć głowę spod kołdry, ptaka już nie było.

Musiał to być zły sen - powiedział sobie Bejasz. Dopuściłem się złego czynu i muszę przebłagać bogów, którzy widzą wszystko. Muszę przekonać bogów, że postąpiłem słusznie.

Tak więc wstał wcześniej, jak na siebie, wziął swoją porcję porannego jadła i porozkładał je na ołtarzach kilku bogów, modląc się i całując stopy posągów z kości słoniowej. Kiedy jednak podniósł wzrok, ujrzał czarnego ptaka - żaden sen - który przysiadł na głowie jednego ze srebrnych proroków. Ptak zaskrzeczał donośnie:

- Bejasz zabił nierządnicę. Bejasz, nikt inny.

Bejasz upadł na twarz, a potem uciekł w wielkiej trwodze. Uciekając wpadł na jakiegoś kapłana, który przytrzymał go i zapytał, co takiego się stało. Podczas gdy Bejasz bełkotał jakieś bzdury, nadleciał ptak i usiadł mu na ramieniu. Bejasz zbladł jak kreda i czekał zrozpaczony, aż ptak przemówi. Lecz tym razem ptak milczał, przypatrując mu się jednym okiem. Kiedy Bejasz spróbował go strząsnąć z ramienia, nie odleciał. Wczepił mu się pazurami w szatę, jakby nie mógł się z nim rozstać.

- Bejasz ma ulubieńca - żartowali kapłani.

Ptak siedział na ramieniu Bejasza przez cały dzień. Podczas posiłków dziobał z jego talerza i pił z jego kubka.

- Patrzcie, jak ten ptak adoruje Bejasza - dziwili się kapłani.

Wieczorem ptak powędrował z nim do celi. Usiadł na poduszce i za nic nie chciał się stamtąd ruszyć. Bejasz leżał zeszywniały, nie mogąc zasnąć ze strachu przed jego dziobem i pazurami. Za każdym razem, kiedy, wyczerpany, zasypiał, ptak wrzeszczał mu w ucho:

- Bejasz zabił nierządnicę. Bejasz, nikt inny.

Lecz kiedy w pobliżu byli inni kapłani, ptak powstrzymywał się od oskarżeń.

Może nigdy mnie nie zdradzi, myślał Bejasz.

Lecz oczy ptaka, raz jedno, raz drugie, wzbudzały w nim nerwowy niepokój. A może, zdawały się mówić te oczy, pewnego dnia oskarżę cię wobec wszystkich.

Bejasz stracił apetyt. Wychudł, skóra wisiała na nim jak druga żółta szata. Pokochał samotność; kiedy musiał przebywać z innymi, pot spływał mu strumieniami po twarzy.

- Bejaszu, mój synu - zbeształ go w końcu łagodnie najwyższy kapłan - musisz zrozumieć, że nie możesz składać ofiar bogom, mając

tego ptaka na ramieniu. Musisz skończyć z tym dziwacznym zachowaniem.

- Nie mogę, ojciec - wyjąkał Bejasz.

Najwyższy kapłan pozbawił go jaspisowych kolczyków za tę zuchwałość.

Dziesięć słońc weszło i dziesięć słońc zaszło, a ptak wciąż tkwił na ramieniu Bejasza. A kiedy czasem Bejaszowi udawało się go strącić, ptak ulatywał tylko w górę, a potem wracał na swoje miejsce, odpłacając się mocnym dziobnięciem.

Jedenastego ranka Bejasz ogłupiała ze strachu, zmęczenia i bezsenności, pobiegł nagle na Dziedziniec Salamandry, skąd biegły długie schody do ogrodu, schwycił wielki kamienny dzban stojący na szczycie schodów, uderzył nim ptaka, a kiedy ten uleciał w górę, cisnął w niego dzbanem. Lecz ptak bez wysiłku umknął w bok, a kamienny dzban spadł prosto na głowę Bejasza, który upadł, stoczył się po schodach i złamał kark.

11

Żyrem wędrował na południe, aż doszedł do szerokiej zielonej rzeki. W pobliżu nie było żadnej zagrody lub wioski, a przez rzekę nie biegł żaden most lub bród. Uznał to za zły znak i ruszył brzegiem rzeki na zachód. Szedł tak przez dwa miesiące, samotny, nie oglądając się za siebie, nie rozglądając się wokoło. Już od dawna nie grzechotały wokół niego kamienie. Zauważył, że uprzednio żaden go nie trafił, ale sądził, że widocznie nikt nie chciał go trafić. Później, kiedy przechodził przez wioski, w których o nim nie słyszano, jego żółta szata budziła szacunek i oferowano mu jadło i schronienie. Żyrem przyjmował wszystko z uprzejmą obojętnością. Ten świat był dla niego niby mgła; szedł przez mgłę, szukając czarnego cienia, który uznałby go za swoją własność, cienia nocy, przez ludzi zwanego Ażrarnem. Szukał go, choć nie do końca wierzył. Był sceptyczny, lecz krew krążyła mu szybciej, gdy pomyślał, że może to wszystko jest prawdą.

Im bliżej źródeł, tym bardziej rzeka zwężała się i podnosiła pośród skalistych gór. Żyrem wspinał się coraz wyżej, aż powietrze stało się czyste jak kryształ, a wysoko szybowały żółte orły. Cały ten kraj był żółty, tylko rzeka była zielona.

Wspinając się tak przez cały dzień, Żyrem minął cztery wioski. Ludzie pokazywali go sobie palcami. Tu wszystko budziło ciekawość,

bo rzadko coś się wydarzało. A w godzinę po przejściu Żyrema górale znowu wskazywali na coś palcami, bo drogą szła młoda dziewczyna z brzoskwinowymi włosami. Gryząc garść nadrzecznej trawy, kroczyła w pyle drogi, tamtędy, gdzie wciąż widniały ślady stóp Żyrema.

W czwartej wiosce o zmierzchu jakaś kobieta wybiegła na drogę z oświetlonych drzwi chaty.

- Nie idź dalej, wędrowcze - zawołała do Żyrema. - Tam, dalej, jest dzikie i dziwne miejsce, nikt nie ośmiela się tam pójść po zachodzie słońca.

Żyrem zatrzymał się. Popatrzył na kobietę. Jej słowa znalazły w nim jakieś echo. Kobieta, poruszona jego wyglądem i pięknnością, zaprosiła go do chaty swego ojca, aby zjadł z nimi wieczerzę i został na noc. Żyrem dał się prowadzić jak ślepiec.

Wieczerza była uboga: duszona ryba z zielonej rzeki i czarne owoce z karłowatych drzew. Gospodarz był stary i lubił sobie z kimś pogawędzić, a kobieta spoglądała na Żyrema oczami błyszczącymi głodem. Byli dla niego uprzejmi z własnych, samolubnych powodów.

Żyrem prawie nic nie zjadł. Słuchał paplania starca, który przeskakiwał z tematu na temat. W końcu zapytał, dlaczego boją się okolicy na zachód od wioski.

- Złe rzeczy opowiadają o tej okolicy - odrzekł starzec - i złe rzeczy tam się dzieją. Zwierzęta są tam inne niż gdzie indziej. Za życia ojca mojego ojca zagubiło się tam jakieś dziecko i ludzie poszli, aby je odnaleźć. Nadeszła noc, a rankiem wrócił tylko jeden człowiek, lecz próżno było go pytać, co tam się wydarzyło, bo postradał zmysły i pozostał szaleńcem aż do swojej śmierci. '

- To okolica pełna bagien i zdradliwych pułapek - dodała kobieta. - Mówią, że jest tam jezioro, ale woda w nim słona. Zbiegają się tam rogacie konie, aby tańczyć o pełni księżyca. Ale to daleko stąd, wiele mil od wioski. Jest tam również wysoki mur, na który nikt nie zdołał się wspiąć, prócz demonów.

- Demonów... - powtórzył Żyrem tak cicho, że tylko ona to usłyszała, ponieważ spragniona była jego słów.

Kiedy Żyrem zabierał się do odejścia, kobieta próbowała go zatrzymać. W drzwiach chaty obiecywała mu wiele, ale odsunął ją na bok i wyszedł w noc. Kiedy łkała cicho, oparta o odrzwia, ktoś inny prześliznął się drogą w ciemności, ktoś, kto od dawna siedział na drodze, wpatrzony w oświetlone okno: Simmu, który już od dwóch

miesiący śledził z oddali Żyrema goszczącego w ludzkich domach lub śpiącego pod czarnym niebem.

Żadna ścieżka nie wiodła z wioski na zachód. Rzeka była tu tylko swoim wątłym wspomnieniem, a i ono wkrótce osiągnęło kres, a raczej początek, w trzech strugach siklawy spadającej ze skały. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i poza tym miejscem wszystko zdawało się niepewne i tajemnicze: postrzępiona równina rozciągająca się hen, do odległego nieba, niby czarna krew.

Żyrem zawahał się. Jego wewnętrzne oko uwolniło się od mgły, zrozumiał, jak daleko zaszedł i do jakiego krańca. Bezświatlna kraina przed nim zdała mu się nagle wrotami piekieł, bramą wiodącą do samego Podziemia, do królestwa demonów.

I kiedy tak się wahał, poczuł czyjaś obecność blisko siebie. Odwrócił się i poza sobą, nieco wyżej, ujrzał sylwetkę o dziewczęcych kształtach i dziewczęcych włosach.

Żyrem poczuł gniew. Był pewny, że ta kobieta śledzi go od samej wioski. Machnął ręką i rzekł:

- Odejdź i zostaw mnie w spokoju.

Lecz dziewczyna nawet nie drgnęła. Żyrem ruszył ku niej w górę zbocza, by kazać jej wracać do domu. W ospałej ciemności podszedł do niej bardzo blisko, zanim poznał, że kaskada włosów należy do kogoś, kogo dobrze znał. I powiedział:

- Byłem pewny, że już się ciebie pozbyłem. Nie żartowałem, kiedy zabroniłem ci iść za sobą. Nie mogę oddychać, kiedy jesteś blisko, wiatr staje się trucizną. Jesteś moją hańbą i moją klęską. Nie chcę cię widzieć. Oddam się złym mocom, lecz nie ścierpię ciebie jako mojego wyrzutu sumienia. Oby cię unicestwili drapieżni bogowie, którym nie brak jadu, jeśli w ogóle istnieją. A jeśli ich nie ma, to niech cię wiecznie ściga moja wrogość. Usychaj w samotności, przeklęty, i zniknij mi sprzed oczu.

Wypowiadając te słowa ponurym głosem, Żyrem widział tylko to, co chciał widzieć - zagadkową twarz Muszli. Lecz właśnie w tej chwili pojawił się bursztynowy księżyc i Żyrem spostrzegł, że stoi przed nim kobieta, ta sama, z którą spoczywał między kwitnącymi oliwkami, dziewczyna ze snu o grzechu, dziewczyna, która była również Muszlą.

Żyrem poczuł lęk, ponieważ nie mógł zrozumieć. Zachnął się, odwrócił i pobiegł prosto ku wrotom piekieł.

Był tam mur. Wyrastał o trzy mile za rzeką, granicą tej martwej krainy. Licem muru były kamienie. Jakiś władca zbudował go w zamierzchłych czasach. Tu i ówdzie między kamienie wciśnięto nagą czaszkę, bo ów monarcha należał do tego rodzaju władców, którzy lubią takie ozdoby i zabijają, by je mieć. Czaszki z pewnością nie wpływały na złagodzenie złej sławy, jaką cieszyła się ta okolica.

Setki tysięcy lat temu zły czar wypalił tę okolicę, aż stała się czarna. Czarna za dnia, jeszcze czarniejsza nocą. Z bagien unosiły się mgliste opary, lecz dalej, jakieś osiem mil na zachód, różowiło się pod rdzawym księżycem słone jezioro. Rosły tu egzotyczne, dziwacznie zniekształcone drzewa, których owoce lśniły jak mosiądz, a na rozległym, szerniałym brzegu schodziły się jednorożce, by tańczyć, walczyć i kopulować. I tej właśnie nocy właśnie przyszły, niczym symbole ludzkiego strachu i pożądania, upostaciowanie pewnych cech Żyrema i jego gorączkowego poddania się ciemności.

Jednorożce były dzikie, wcale nie białe jak gołębie, lecz szkarłatne jak krwawiące dziąsła i żółte jak stara kość, z poskręcanyimi rogami barwy śniadego, matowego złota. Nadeszły trzy. Wyłoniły się z posępnego lasu, skąd dochodziło podzwanianie metalicznych owoców. Zając wyskoczył z zarośli; jeden z jednorożców przygwoździł go do ziemi kopytem, rozerwał na strzępy poszczerbionymi łopatami zębów, a potem kopnął ścierwo i ruszył dalej.

Jednorożce biegały tam i z powrotem wzdłuż brzegu jeziora, krusząc kopytami połyskliwy, węglisty piasek. Jeden miał srebrną bliznę na boku, jakby wypaloną przez gwiazdę. Podskoczył i uderzył rogiem w róg swojego towarzysza. Zniżywszy łby, drąc piasek kopytami, łypiąc na siebie przekrwionymi ślepiami pod prawie niemożliwym kątem, zaczęły ze sobą walczyć. Spiralne rogi nacierały na siebie z głuchym trzaskiem, krzesząc iskry, cofały się i znowu krzyżowały ze sobą jak dwa dymiące miecze. Trzeci jednorożec, bez towarzysza, próbował nacierać na księżyc.

Żyrem usiadł na skale jakieś sto kroków od tej sceny.

Przyglądał się jednorożcom, zahipnotyzowany ich wrodzoną potwornością.

Przez pokruszony tu i ówdzie mur przedostał się z łatwością. A więc coś go tutaj przywiodło, tu, na skraj areny jednorożców, bo sam nie kierował swoimi krokami. Pojawiły się, kiedy on tu przyszedł.

Zastanawiał się leniwie, czy zwęszą go i przygalopują, by rozerwać go na strzępy, tak jak ich przywódca rozerwał zająca. Wiedział jednak, że coś mrocznego, coś ciemnego zachowuje go dla siebie. Albo wydawało mu się, że wie.

Naznaczony piętnem gwiazdy jednorożec uniósł łeb, dźwigając rogi swojego przeciwnika, który uprzednio osunął się na kolana. Szczeni rokami trwali nieruchomo na tle nieba, tocząc przekrwionymi ślepiami. Trzeci jednorożec zarżał, stanął dęba nad łukiem, który utworzyły ciała jego dwu towarzyszy, bodąc ich boki swym straszliwym rogiem. Uderzenia były lekkie, prawie pieśzcotliwe. I w tej samej chwili, gdy popłynęła czarna krew, na brzegu jeziora pojawiła się czwarta postać.

To szła Simmu, naga, z połyskującą w blasku księżyca kaskadą włosów i plamką zielonego ognia na szyi. Kroczyła lekko, podobna strzępowi bladej mgły, bez wysiłku, jakby jej ciało utraciło ciężar.

Jednorożce, oswobodzone od siebie, wpatrywały się w nowe wyzwanie, orząc kopytami czarny żwir i powoli zniżając łby ze spiralnymi mieczami, gotowymi do śmiertelnych ciosów. Podniecał je zapach własnej krwi, wizja rozszarpanego na strzępy zająca wciąż była świeża. Lecz dziewczyna kroczyła ku nim bez lęku, wiatr uniósł jej długie włosy, przysłaniając nimi księżyc, podniosła ramiona, jakby i je porwał wiatr. Tańczyła. Nie był to taniec jednorożców, lecz Eszwa. Zdumiewający, cudowny taniec.

Na brzegu jeziora zaległa cisza, tylko trawy szumiały cicho, mierzwiłone wiatrem. Simmu tańczyła, a jednorożce łagodniały jak czerwony i złoty wosk zmiękczone ciepłem. Nagle uklękły i wsparły łby w piasku, z rozchylonymi wargami i opuszczonymi powiekami. Simmu wciąż tańczyła.

Tańczyła, aż jezioro, niebo, cały świat zamazały się przed jej oczami. Tańczyła w woalu swoich włosów. Aż do tej chwili nie знаła tego czaru, tańca Eszwa. Ów czar wytrysnął z zielonego klejnotu na jej szyi, z jej lędźwi, z jej serca.

W końcu opadła z sił i nie mogła już tańczyć, lecz nawet wówczas taniec nie opuścił jej lędźwi i serca. Przeszła między jednorożcami, które nie drgnęły, tylko ich oczy poruszyły się, jak liście. Poszła prosto do skały, na której siedział nieruchomo Żyrem. Utkwił w niej spojrzenie, zdawał się jej nie poznawać.

- Zniewoliłam cię - powiedziała - za pomocą czarów. Czy mam cię uwolnić?

Powoli potrząsnął głową.

- Nie. Chcę być w twojej mocy.

- Kiedy mnie ujrzałeś, nienawidziłeś mnie, lecz kiedy jednorożce gotowały się, by mnie zabić, pobladłeś.

- Jesteś demonem - odrzekł. - Już nie będę odpychał cię od siebie. Przyprowadź mi swoich krewniaków.

- Nie jestem demonem - powiedziała Simmu - lecz ten klejnot na mojej szyi może sprowadzić istoty, z którymi kiedyś żyłam. Chyba może. A one są demonami.

A potem pochyliła się i pocałowała go. Na brzegu jeziora jednorożce zaczęły parzyć się ze sobą, ich łby unosiły się i przysłaniały księżyc, a potem opadały, ukazując go z powrotem, gdy kołysały się nad swoimi grzbietami.

Mężczyzna i kobieta osunęli się w głęboki cień skały, kołysząc się łagodnie, wpatrzeni w swoje twarze, aż każde ujrzało, jak drugie zaniewidziało, i z kolei samo oślepiło.

Później księżyc zaszedł. Szeroko otwarte oczy Żyrema pociemniały, gdy światło spelzło z nieba.

Świątobliwi mężowie z pustyni świadomie nauczyli go lękać się samego siebie i swej radości; świątobliwi kapłani ze świątyni mimowolnie nauczyli go gardzić bogami. Ludzkość zaszczepiła w nim swój brak wiary. Odarto go ze wszystkiego, tylko Simmu zaoferowała mu miłość. Żyrem nie był w tej chwili w stanie powiedzieć lub pomyśleć: miłość to nie wszystko.

Aromat zaklęcia, owej szczególnej wonności ludzkiej magii, zwabił wszystkie demony wędrujące nocami po ziemi. Podobnie jak trudno im było trzymać się z dala od ludzkich spraw, tak nie potrafiły oprzeć się tej ponęce. Zwykle przychodziły tylko po to, by zaspokoić ciekawość, nigdy po to, by uczestniczyć w czarach ludzi, rzadko, by im pomóc Tylko Drinu - i ich pomniejsi kuzyni, niezbyt rozumne i okrutne Drindra - od czasu do czasu przykładały dla zabawy rękę do odrażających praktyk jakiegoś czarnoksiężnika.

Kobiety Eszwa, które piastowały Simmu przez blisko dwa lata, szybko zapomniały o ludzkim dziecięciu, zresztą od początku wiedziały, że zapomną. Eszwa miały krótką pamięć. Później nie natknął się na Simmu żaden inny mieszkaniec Podziemia, co może

wydać się dość dziwne, bo woń czarów zawsze towarzyszyła chłopcu, którym był od początku. Teraz jednak, na niczyjej ziemi, jawnie czyniąca czary znane tylko Eszwa, z ich magicznym darem na szyi - zielonym klejnotem, na którym jakiś Drinu wyrył jej imię pismem demonów - fizycznie przemieniona z mężczyzny w kobietę, Simmu przyciągała demony z daleka jak latarnia morska, o czym resztą instynktownie wiedziała.

Nie wzywała ich ze względu na siebie. Jeśli miała nadzieję, że jej przybrane kuzynki będą jej szukać, wabiła je ze względu na Żyrema. Jak dziecko wyrosłe w gnieździe żmij, przyzwyczajone do ich śliskich łusek i odporne na ich jad, Simmu nie zdawała sobie w ogóle sprawy z zagrożenia, jakim są dla ludzi demony. Tak samo intuicyjnie, jak uprzednio dokonała czegoś niemożliwego, płciowej metamorfozy, badała teraz swój klejnot, szeptała nad nim i chuchała, tańczyła nad brzegiem jeziora i czekała, bez najmniejszego lęku, pełna nadziei, na przybyszów z daleka.

Była to ich druga noc nad słonym jeziorem. Jednorożce znikły i już nie powróciły; nawet księżyc wychynał odmieniony. Przez cały miniony dzień, kryjąc się przed cierpkim słońcem, którego palące promienie tworzyły pęcherze na powierzchni jeziora, Żyrem i Simmu - teraz Żyrem znał już jej prawdziwe imię - spoczywali w kapryśnym cieniu karłowatego lasu, pogrążeni we śnie. Tamtą, pierwszą noc spędzili bezsennie, wypełniając ją czułością i bólem, w tę drugą Żyrem odszedł samotnie nad jezioro, spacerując po czarnym brzegu z opuszczoną głową, rozmyślając nad swą hańbą i nad jej słodyczą. Nieszczęsna rozkosz skalania budziła w nim niepokój, który odpędzał od niego sen i zmęczenie. O zachodzie księżycy ruszył z powrotem do Simmu, spragniony i zrozpaczony.

Simmu, jeszcze samotna, oderwała się na chwilę od swoich czarów i spojrzała przed siebie, bo ktoś nadchodził. Ktoś inny.

Był to demon, Eszwa, zwabiony czarami Eszwa. Nikt, kto choć raz spotkał demona, nie pomyliłby go z Żyremem, pomimo jego czarnych włosów i piękności. Eszwa był męskiego rodzaju. Miał hebanowe włosy, czarne, posępne oczy i ciało lśniące bladą jasnością. Otaczała go aura wyrafinowania, chytryści, niepojętości i czysto nieziemskiego piękna.

Simmu poczuła, jak mimo woli przeszywa ją rozkoszny dreszcz, bo istoty tego rodzaju były szczęściem jej najmłodszych lat.

Bezwiednie wychyliła się ku niemu, lecz demon cofnął się, swawolny i złośliwy. Jego oczy pozwoliły Simmu odczytać: Znasz nasze zwyczaje, niektóre z nich, ale nie jesteś jedną z nas. Żyjesz w blasku tego grubiańskiego słońca. Masz gliniane ciało, podatne na słabość i zniszczenie. Sposób, w jaki korzystasz z naszych zaklęć, może i jest dobry dla śmiertelnika, ale między nami uchodziłby za dość zabawny. Twoje bezszelestne kroki grzmią jak pioruny, my jesteśmy powietrzem.

Simmu zabolął ów przekaz, ale nie pielęgnowała swego bólu. Pobudził ją tylko do odpowiedzi, która była rodzajem obrony.

- Przyszedłeś tu z powodu zielonego klejnotu i jego aury. To cię zwabiło. A co może zwabić Pana Nocy, Ażrarna Cudownego, waszego Księcia, jednego z Władców Ciemności?

Użyła wielu jego tytułów z czystego szacunku, a także z powodu jeszcze nie w pełni dojrzałego, zaczerpniętego z drugiej ręki poczucia uwielbienia i czci wobec jego osoby, jakie jej wpołyły demoniczne piastunki w najwcześniejszym dzieciństwie. Eszwa nie dał się jednak sprowokować.

Jego oczy powiedziały tylko: Żałuj.

Simmu roześmiała się na głos.

- Ażrarn - powiedziała. - Ażrarn, Księżę Demonów. Czy nie ma sposobu, by go wezwać?

Eszwa wzdrygnął się. Jego świadomość zrodziła obraz, natychmiast odebrany przez chłonny umysł Simmu. Srebrna piszczałka, ukształtowana dla Ażrarna. Może go wezwać - czasami. Lecz jeśli przyjdzie, strzeż się. I Eszwa zaśmiał się oczami, lecz gdzieś w ich głębi czaiło się przerażenie.

Simmu poczuła, być może, dumę, ale i jej oszukańczość. Żyrem oczekiwał po niej cudów, oczekiwał, że jej magiczna władza będzie równa władzy niższych demonów.

- Posłuchaj, umiłowany - powiedziała Simmu do Eszwa - odnajdź dla mnie Ażrarna. Powiedz mu, że ktoś na niego czeka na klęczkach. Błagaj go.

Eszwa uśmiechnął się. Uśmiech mówił: Nie jestem twoim niewolnikiem, śmiertelniku.

Simmu pogładziła klejnot na swojej szyi. Teraz przemówiła bez słów.

To dzieło Drinu. Drinu dobiją targu. Zwabię Drinu. Drinu podczołgają się do Ażrarna na brzuchach. Nie jest wykluczone, że Ażrarn złąje cię za to, że nie powiedziałaś mu nic o Żyremie, który pragnie upaść przed nim na kolana.

Eszwa opuścił oczy. Zadrżał i zanurzył się w noc bez słowa.

Kiedy z tej samej nocy wynurzył się Żyrem, Simmu powiedziała:

- Możliwe, że tu przybędzie.

- Kto? - zapytał Żyrem, lecz pobladł, nawet jego cudowne oczy zbiały.

Wszystko mu się mieszało, nierzeczywiste z rzeczywistym, ogień z wodą. Przyciągnął kobietę do siebie i schronił się w jej ciele, choć i to było dla niego jednocześnie cudem i perwersją. Temu światu brakowało choćby odrobiny rozsądku.

Po miłosnym tańcu leżeli razem, czekając.

Noc i nocny wiatr błędziły po brzegu. Jezioro lizało swoje krawędzie. Metaliczne owoce podzwaniały na drzewach. Nic więcej, aż ciemność zaczęła ustępować. Unieśli się więc, kochankowie, jęknęli i przywarli do siebie, i zatonęli w sobie na krótko, a potem wychynęli na powierzchnię z tej głębi, czujni, niezaspokojeni, wciąż oczekujący.

Drugi dzień, trzecia noc. Na krzewach jarzyły się purpurowe jagody; jedli je. Wieczór był chłodny, rozpalili ognisko, płonące zielono. Było tam źródło, pili z niego jak spragnione jelenie. Długo nie mogli bez siebie wytrzymać, bo żądza była dla nich czymś nowym, była wszystkim, co posiadali. Zagubili swój cel, który ich tu przywiódł, utracili lęk, miłość i logikę, stali się dwoma złąknionymi siebie zwierzętami, kopulującymi nieustannie, odwiecznymi mieszkańcami tego wybrzeża, skazanymi na wieczne tu bytowanie, oczekującymi nadejścia czegoś, co sami stworzyli, czegoś, co nigdy się nie wydarzy.

Czwartej nocy Simmu, która gubiła się łatwiej i łatwiej się odnajdywała, istota już w dwóch trzecich nieziemska i przywykła do dziwności, wysunęła się z jego ramion i podeszła do ogniska tłącego się pośród ciemności tajemniczo jak oczy kota. Zakołysała się nad jego płomieniami i wrzuciła w nie klejnot Eszwa. Zniszczenie na ziemi jakiegoś przedmiotu zrobionego w Podziemiu nie mogło nie być zauważone przez demony. Simmu wyszczerzyła zęby jak wilczyca, kiedy zielony klejnot stał się czarny w zielonych płomieniach.

Rankiem jednak płomienie były czarne, a klejnot ponownie zielony.

Żyrem usiadł nad jeziorem, przyglądając się matowemu odbłaskowi na jego powierzchni. Próbował dostrzec w głębi jakąś rybę, choć w tym jeziorze nie mogło być żadnej. Czuł w sobie pustkę, żalosne utrapienie. Demony w ogóle nie istnieją, a jeśli nawet istnieją, to nie wchodzi w układy z ludźmi. Wtrącono go do czarnej otchłani, na której dnie czaiła się Nicość.

Słońce zaszło. Zakwilił samotny ptak, łopocąc postrzępionymi skrzydłami na tle krwawej łuny. Jezioro lśniło jak różowe zwierciadło.

Simmu przycupnęła nad ogniskiem, Żyrem siedział nad jeziorem. Oboje usłyszeli miękki chrzęst zwęglonego piasku. Oboje powstali i rozejrzeli się wokoło, czując, jak włosy sztywnieją im na karku. Z zachodniego poblasku zdawał się wyłaniać jakiś kształt, lecz nie był to kształt, którego oczekiwali.

Przygarbiony starzec kroczył powoli brzegiem jeziora. Okryty był czarnymi łachmanami, długie włosy opadały mu na ramiona jak żelazne liny.

Najpierw podszedł do Żyrema. Uniósł twarz, podobną do pożłobionej ogniem skały, a w tej zniszczonej twarzy zalśniło dwoje oczu, których blask Żyrem wziął za zgrzybiałość i szaleństwo.

- Czarne lądowe kraby - zasyczał starzec. - Szukam czarnych krabów, które pełzają po brzegu, aby się parzyć.

Żyrem, ogłupiały z przerażenia i przeczucia, które nie wydało owoców, milczał.

Starzec zrobił ręką dziwaczny gest, łaskawy, tajemniczy.

- Jak byś mnie nazwał? Szaleńcem, prawda? Żyrem wpatrywał się w niego.

- W tym słonym jeziorze nic nie żyje.

- Nazwałbyś mnie szaleńcem - powtórzył starzec; jego głos wznosił się i opadał jak jakaś straszna, niewiarygodna muzyka. - Ale nie aż takim szaleńcem, jak ci, którzy tu przyszli, aby wezwać Pana Nocy.

Żyrem schwycił starca za ramię. Lecz kiedy go dotknął, zdawało mu się, że spod palców wystrzeliła błyskawica.

- A więc jesteś czarnoksiężnikiem - powiedział.

- Nawet czarnoksiężnicy drżą na dźwięk imienia Ażrarna.

Żyrem odwrócił wzrok. Spojrzał w powietrze, jakby kogoś w nim szukał. Starzec odwrócił się od niego i ruszył, przygarbiony, ku zielonemu ognisku, gdzie stała Simmu, okryta teraz wieśniaczymi łańchmanami, wpatrzona w niego. Kiedy zbliżył się do niej, uniosła ramiona, jakby otwierała bramę, by pozwolić mu wejść.

Kiedy doszedł do ognia, splunął w płomienie. Tam, gdzie splunął, zakwitł błękitny język, a Simmu upadła na kolana, nie pojmując dlaczego to czyni. Jej oczy napotkały blask szaleństwa w oczach starca. Lecz dla niej ten blask nie był szaleństwem. Była to głębia spojrzenia zbyt straszna, by ją znieść.

- Tańczyłaś nago - rzekł czarnoksiężnik. - Przyglądałem się twojemu tańcowi. Dostrzegłem też inne rzeczy. Na północy tłusty kapłan wyzionął ducha. Uciekając przed czarnym, mówiącym ptakiem, stoczył się po kamiennych schodach i złamał kark. Co nie jest dla ciebie przyjemne, maleńka, bo nienawidzisz Śmierci i nawet swoich wrogów nie oddałabyś jej pod opiekę.

Simmu zadrzała. Nie dostrzegła, jak czarnoksiężnik rzucił krótkie spojrzenie przez ramię i jak Żyrem również odwrócił się, jakby na czyjś okrzyk, a potem podszedł do ogniska.

- Jeśli jesteś czarnoksiężnikiem - rzekł Żyrem - to powiedz mi, jak wezwać Księcia Demonów.

- Wezwać? - zapytał starzec, a jeszcze nigdy tak łagodny i cichy głos nie krył w sobie tak straszliwej groźby. - Jego nie możesz wezwać. I nie wzywaj go, jeśli zachowałeś mądrość. A z jakiego to powodu pragniesz znaleźć się przed jego obliczem? Może ktoś ci powtórzył tę starą opowieść, która głosi, iż ten, kto go wezwie, może go poprosić o spełnienie jednego życzenia. Ta opowieść niekoniecznie musi być zgodna z prawdą.

- Pragnę mu służyć.

- Służyć mu? Czyżbyś sądził, że potrzebni mu są ludzie niewolnicy? Czyż nie ma swoich własnych poddanych i sług? Ludzie wprowadzili cię w błąd, Żyremie. Ciemność ciebie nie potrzebuje.

Twarz Żyrema pobladła jak świeża stal.

- Nie mów tak. Zawędrowałem już za daleko.

- Posłuchaj - rzekł starzec śpiewnym głosem, w którym zadźwięczało zaklęcie. - Słuchaj - rzekł, a noc ucichła, posłuszna temu rozkazowi.

Słuchały drzewa, i ziemia, i woda w jeziorze, a Żyrem usiadł przy ogniu i również słuchał. Starzec opowiedział mu o nim samym, o jego początkach. Było w tej opowieści wszystko, jakby starzec był świadkiem wszystkiego: gniewne pomruki wśród namiotów, niepokój matki Żyrema, nadejście czarownicy. Mówił o nocy, w której obłok przeniósł matkę i jej dziecko do ogrodu wysłanego zielonym piaskiem. Mówił o studni pełnej ognia i o zanurzeniu w niej Żyrema. Mówił o cenie, jaką przyszło zapłacić za niezwykle, całkowite uodpornienie na wszelkie ciosy i choroby. Bowiem wraz z wypaleniem ludzkiej słabości i podatności na zranienie w studni spłonęło również ludzkie powodzenie i szczęście. Zgodne to było z pewnym prastarym prawem bogów, starszym od samego czasu. Ludzie nie mogą posiadać zbyt wiele. Radosne uniesienie i podatność na zranienie są częściami tego samego dania. Lęk przed utratą kielicha jest tym, co nadaje winu smak, a skoro kielich został Żyremowi zapewniony, pewną też była od początku utrata radości. To cena, której nie zapłaciłby nawet demon, by zapewnić bezpieczeństwo cenionemu przez siebie człowiekowi. To jasność ognia skrzywdziła Żyrema, nie ciemność.

Pot pokrył twarz Żyrema, oczy zaszklily się matowym blaskiem.

- Więc cóż? - zapytał.

- Cóż, zaiste? - rzekł czarnoksiężnik.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Nie? A więc idź i dowiedz, że jestem w błędzie.

Żyrem spojrział mu w oczy z nienawiścią i błaganiem. A potem, jak pies wypędzony biczem z sali, wstał i odszedł w ciemność nocy, a ciemność rozchyliła się, aby go przyjąć, i zawarła swoje podwoje, kiedy w nią wszedł.

Simmu, gotowa już zerwać się na nogi i iść za nim, poczuła dłoń czarnoksiężnika na nadgarstku. Ta dłoń zdawała się ją niewolić jak nierozzerwalny łańcuch, lecz owo zniewolenie napełniło Simmu rozkoszą.

- A oto co powiem tobie - rzekł czarnoksiężnik. - Twoją matką była królową, która panowała w pewnym dalekim kraju. Ów kraj zowie się Merh, a teraz należy do ciebie. Czy pragniesz go odzyskać?

Simmu, zauroczona dotykiem jego dłoni, zamknęła oczy. Królestwa nic dla niej nie znaczyły. Pomyślała o Żyremie zagubionym w ciemności i zapragnęła tylko jednego: pocieszyć go. Lecz łańcuch

wciąż ją niewolił, a niewola sprawiała rozkosz. Skłoniła głowę na ramię starca i westchnęła.

I nagle ocknęła się na czarnym piasku; wokół nadgarstka miała oplecione własne włosy, a ogień wygasł.

W bezksiężycowej godzinie przed świtem Żyrem znalazł się w jakiejś odrażającej dolinie, zasłanej szczątkami czerepów i ostrymi jak brzytwy odłamkami krzemieni. W powietrzu unosiła się wstrętna woń. Ongiś wychudłe drzewa rzuciły się z pazurami na wiatr, tak że nawet wiatr lękał się tu dłużej pozostać. Było to miejsce sposobne do spotkania Śmierci i Żyrem je rozpoznał.

Szedł jednak dalej, raz po raz podnosząc ostre odłamki i odrzucając je od siebie. Dotarł do środka doliny, gdzie jakiś olbrzymi meteor wyłobił przepaściste zagłębienie, dolinę w dolinie, a na jej dnie płynął czarny strumień poznaczony żyłkami czerwonej trucizny. Miejsce sposobne, by napotkać śmierć, zaiste, i to śmierć wieloraką. Może od dawien dawna było częścią jego przeznaczenia?

Żyrem zatrzymał się na skraju przepaści.

- Oto wszystko, co ze mnie pozostało - rzekł zwracając się do doliny, do resztek nocy, do każdego, kto mógłby go usłyszeć. - Jeśli ktokolwiek rości sobie do mnie prawo, niech mnie bierze, teraz, w tej chwili.

Niegościnna dla wiatru dolina milczała, lecz w tej ciszy kryła się odpowiedź.

Żyrem wiedział już, że może nie umrzeć. Powiedziały mu o tym różne wydarzenia, a potwierdził starzec nad jeziorem. Strach umrzeć, ale i strach żyć. Żyrem zrobił krok do przodu, w przepaść. Trudno powiedzieć, czego naprawdę pragnął, rzucając się w dół. Może chciał się przekonać, czy na dnie przepaści odnajdzie kres życia albo przekleństwo jego braku? A może było inaczej, może gdyby ostre skały rozdarły mu ciało, obdarowując męką agonii i śmiercią, zakrzyczałby z żalu i skruchy? Lecz skały nie wyrzuciły mu krzywdy, spadł, jakby opadał przez gęsty muślin na gruby aksamit, bez zadrażnienia, bez jednego siniaka. A kiedy dźwignął się na nogi i spojrzał w górę, na ścianę przepaści, i ujrzał jej wysokość, i zrozumiał, że żyje i nic mu się nie stało, dopiero wówczas zakrzyczał donośnie z żalu i strachu, i nie pozostało już w nim miejsca na zrozumienie, że mogło być inaczej.

Zbierał krzemienne sztylety z dna rozpadliny i próbował wbić je sobie w serce, rozerwać szyję, żyły na rękach, lecz żaden z ostrych jak brzytwy odłamków nawet nie drasnął mu skóry. Rzucił się na skraj zatrutego strumienia, zanurzył w nim twarz, aż woda zagarnęła mu włosy i poczuł, jak pieczenie jadu zamienia mu się w gardle i żołądku w łagodność - co więcej, poczuł się lepiej.

Nie mógł znieść swojej odmienności. Nie mógł trwać w samotności i bez celu. Wspiął się z powrotem na krawędź rozpadliny, zdjął sznur kapłański, którym był opasany, zrobił pętlę. Przerzucił sznur przez gałąź jednego z przerażających drzew i powiesił się. Lecz gdy sznur zacisnął mu się na gardle, zdało mu się, że słyszy złośliwy szept drzewa: „Żyrem jest za piękny, aby umrzeć.” Gałąź pękła, a on sam spadł na skaliste dno rozpadliny.

Leżał na skale, nie uczynił najmniejszego wysiłku, aby powstać. Zimny deszcz zaczął mu padać prosto w otwarte oczy, a po chwili z deszczem zmieszał się jakiś cień.

Na pół oślepiiony deszczem Żyrem dostrzegł jednak sylwetkę wysokiego mężczyzny na tle bladego nieba. Był czarny, czarniejszy od nocy, a deszcz zdawał się omijać jego białe włosy i białą szatę, bielsze od dnia.

- Wołałeś mnie - rzekł mężczyzna, w istocie nie mężczyzna, lecz Śmierć. - Wołałeś mnie, lecz nie wolno mi po ciebie przyjść. Nie teraz, nie przez wiele lat, nie przez długie stulecia. Tylko to mogę ci dać.

Nachylił się i położył palce na czole Żyrema, i natychmiast opuściły go wszystkie zmysły i pożegnał go cały świat, i nawet sny nie mogły odnaleźć drogi do tego lochu nieświadomości.

Śmierć odeszła, przybył ktoś inny.

Simmu wychyliła się przez krawędź przepaści i ujrzała Żyrema leżącego na dnie ze sznurem na szyi, a obok niego złamaną gałąź. I Simmu poznała, że Pan Śmierć odwiedził tę rozpadlinę, podobnie jak liść poznaje, że dotknęła go zima.

Simmu nie zrozumiała dobrze opowieści starego czarnoksiężnika. Może miał ją zrozumieć tylko sam Żyrem? Studnia ognia pozostawała dla Simmu tajemnicą, więc teraz była pewna, że Żyrem jest martwy. A jeśli Żyrem był martwy, to wraz z nim na dnie przepaści spoczywało również jej życie.

Kiedy wpatrywała się w martwe ciało obmywane kroplami deszczu, opuściła ją kobiecość. Simmu stała się znowu mężczyzną, młodzieńcem klęczącym na krawędzi przepaści. I Simmu - młodzieniec zerwał się i uciekł z tego miejsca, gnany dawnym strachem.

A kiedy uciekał, szlochał, a wraz z nim szlochało całe niebo.

Część czwarta:

Ta, która zwleka

1

W Merhu, który dla Simmu nie miał żadnego znaczenia, panował Dżornadesz.

Dżornadesz, dawny dowódca wojsk królowej Narasen, ten, który uśmiercił ją za pomocą niebieskiego napoju, który sam uczynił się królem i pogrzebał żywcem prawdziwego następcę tronu w grobowcu jego matki, panował już nad Merhem od szesnastu lat. W tym samym czasie, gdy Simmu wędrował, szlochając, przez bezpańskie jałowe ziemie, Dżornadesz leżał, wsparty na jedwabnych poduszkach, w swoim pałacu w Merhu.

Ongiś piękny i zgrabny mężczyzna, teraz przytył i rysy mu zmiękły. Jeśli zażywał ruchu, to jedynie przy stole i w łożu, w ciałach swoich kobiet. Otaczał się zbytkami; objadał kraj, lecz trzeba przyznać, że pomimo tego kraj rozwijał się i bogacił. To Narasen pozostawiła go w tak kwitnym stanie. A więc cieszyła się czcią i sławą? Nic podobnego. Przy jej mauzoleum nie odprawiano żadnych żałobnych obrządków, w rocznicę jej śmierci nikt nie uрониł ani jednej łzy, choćby i nieszczerej, nie odżałowano kawałeczka złota, by uczcić jej pamięć. Oczywiście dla zmarłych takie sprawy nie mają znaczenia. Dusze ludzkie nie pozostają w tym świecie, by szpiegować żyjących lub dumać nad swoją przeszłością. Lecz dla duszy uwięzionej w Podziemiu na mocy układu ze Śmiercią, przywiązanej do swego ciała na tysiąc lat, dla takiej duszy sprawy tego świata mają znaczenie.

Dżornadesz, zamieniwszy jedwabne poduszki na srebrne łożo i jedwabiste ciało dziewczyny, zasnął w końcu i miał sen, którego sens można streścić w następujących słowach.

Na dłoni Dżornadesza spoczywał niebieski klejnot, w który król wpatrywał się pożądliwie, podziwiając jego blask. Lecz gdy tak wpatrywał się w klejnot, ten zaczął zmieniać się na jego oczach. Zmienił się w niebieskiego pajaka pełzającego mu po skórze. Potem nastąpiła inna wizja. W urnie tkwił niebieski kwiat, lecz gdy Dżornadesz pochylił się, by go powąchać, kwiat przemienił się w rękę, która schwyciła go za gardło. I znowu obraz się zmienił. Teraz król ujrzał niebieskie wzgórze, lecz gdy na nie patrzył, pękło, a z wnętrza wypełzło mnóstwo skorpionów, termitów, jadowitych zmij i

robaków. Wszystkie były niebieskie i wszystkie rzuciły się na Dżornadesza, aby go pożreć. Przebudził się z krzykiem.

Dżornadesz nie lubił, gdy mu zakłócano spokój. Nawet gdy spał, życzył sobie, by wokół było przyjemnie i bezpiecznie. Kiedy sen się powtórzył, król powstał z łoża i zawołał, by zapalono światła i wezwano magów..

- Czyżby ktoś zamyślał przeciw mnie jakieś zło? - zapytał. - Odwróćcie te czary przeciw niemu i niech zginie w swoich własnych sidłach.

Lecz magowie nie potrafili odnaleźć żadnego dowodu, by ktoś rzucał na króla zgubny urok.

Dżornadesza nie zadowoliła ich odpowiedź, ale powrócił do łoża. Przed świtem miał ów sen po raz trzeci i tym razem jego krzyki obudziły cały pałac.

Przyprowadzono magów i przypomniano im, że tu i ówdzie w korytarzach królewskiego pałacu porozmieszczano najróżniejsze przyrządy do zadawania wymyślnych tortur.

Magowie odbyli naradę, a potem jeden z nich oświadczył:

- Wasza królewska wysokość, nie jesteśmy w stanie niczego wykryć. I zaiste, któż mógłby życzyć ci źle, skoro wszyscy znają twoją sprawiedliwość i prawość? Jeśli jednak coś cię niepokoi to słyszeliśmy o pewnym mędrцу, który mieszka na równinie poza miastem. Mówią, że ma on moc wróżenia i przepowiadania przyszłości. Poślemy po niego, jeśli taka jest twoja wola.

Mówiąc to, mieli nadzieję, że w ostateczności Dżornadesz skieruje swój gniew przeciw owemu mędrcowi, powszechnie uważanemu za dziwaka. Ku ich uldze Dżornadesz zgodził się, by wezwać go przed swoje oblicze.

Był to dziki, samotny człowiek. Odziewał się w skórę lamparta, żywił owocami i surowym mięsem. Nosił brodę do kolan, lecz golił czaszkę. Kiedy przyprowadzono go przed królewskie oblicze, nie okazywał, by zrobiło to na nim jakieś wrażenie, a kiedy mu powiedziano, że Dżornadesz pragnie, by wyjaśnić mu pewien sen, zapytał tylko, co to za sen. Opowiedziano, mu więc ów sen, a on runął jak długi na mozaikową posadzkę, oddychając ciężko, tocząc oczami, wijąc się i jęcząc. Po jakimś czasie zawołał strasznym głosem:

- Strzeżcie się! Dżornadeszu i cały Merhu, strzeżcie się! Ona nie zapomniała, że ty o niej nie pamiętasz. Strzeż się wody, strzeż się

zaryglowanych drzwi, strzeż się kroków na ulicy ciemną nocą, kiedy nie szczekają psy. Strzeż się tej, która zwleka.

Potem uspokoił się, otworzył oczy i powstał spokojnie.

- Cóż to może znaczyć? - zapytał król.

- A skąd mam wiedzieć? - odpowiedział mędrzec z pogardą. - Nie pojmuję mocy, która mnie nawiedza. Ja tylko wypowiadam to, co mam wypowiedzieć.

- Zabierzcie go i wychłoscie! - wrzasnął Dżornadesz.

- Już mnie wychłostano - rzekł mędrzec.

Żołnierze związali go i zaczęli biczować, lecz on nie skarżył się i nie jęczał, choć krew spływała mu po plecach. W końcu dwaj żołnierze, którzy go chłostali, zaczęli wyć i oświadczyli, że za każdym razem, gdy wymierzają cios, mędrzec najwyraźniej nie odczuwa bólu, choć pęka mu skóra, a oni - choć ich skóra jest cała i zdrowa - czują każde uderzenie. Przestali więc go bić, rozwiązali i przegnali z dziedzińca, a sami powlekli się do swoich łóżek, pojękując z bólu. Mędrzec, zakrwawiony lecz pogodny, opuścił miasto.

Tymczasem Dżornadesz szalał ze złości i strachu.

- Kim jest ta, która zwleka? Kto to może być?

- Może to jakiś niespokojny duch, miłościwy panie nasz - odpowiedzieli magowie. - Może, łaskawy i wspaniałomyślny panie, to duch Narasen, po której nieuniknionej i tak oczywistej naturalnej śmierci ty, panie, w swojej mądrości ocaliłeś Merh przed anarchią i przyozdobiłeś miasto klejnotem swego wspaniałego panowania.

- Narasen - wyszeptał Dżornadesz i pobladł. Zanim słońce dosięgło zenitu, Dżornadesz wydał rozkaz, by cały kraj przez miesiąc oplakiwał Narasen.

- Kim jest ta Narasen? - pytały dzieci urodzone po jej zgonie.

- To taka martwa suka w królewskiej koronie - szydzili starsi, którzy ją sobie przypomnieli.

- Ladacznicą - powiedziała staruszka.

- Wróg mężczyzn - dodał starzec.

Ludzka pamięć nie obeszła się łagodnie z Narasen. Jej potęga i jej dobroczynne dla kraju panowanie rozpuściły się w kwasie uprzedzenia i wrogości. Nie było zresztą rzeczą mądrą mówić o niej dobrze, skoro Dżornadesz zasiadał na jej tronie.

Teraz jednak na ołtarzach bogów płonęło kadzidło na jej cześć, aż wszystkie świątynie napełniły się gęstym dymem. Na jej cześć

śpiewano hymny pochwalne, procesje kroczyły ulicami miasta, dudniły gongi, wzywając ludzi, by uczcili jej imię.

Dżornadesz przyodział się w szorstką szarą szatę i powędrował wzdłuż rzeki na północ, do grobu Narasen. Przed grobowcem, na marmurowej platformie, odprawiono żałobne obrządki - tak długie i tak okazałe, jakich zabrakło przy pierwszej okazji, przed szesnastu laty. Gdy przebrzmiały śpiewy i modły, sam Dżornadesz przemówił do grobu, zapewniając, że odtąd imię Narasen będzie otaczane powszechną czcią. Potem kazał otworzyć mauzoleum, bo przyniósł ze sobą kosze pełne skarbów, by przyozdobić nimi komorę grobową i szczątki królowej. Kiedy jednak przystąpiono do drzwi, okazało się, że są otwarte. Wewnątrz wszędzie wałały się ludzkie kości, lecz mary, na których złożono Narasen, były puste. Nie pozostał na nich nawet skrawek tkaniny lub strzęp włosów, a na grubej warstwie pyłu nie widać było żadnego śladu po ciele lub szkielecie.

Nikt spośród tych, którzy ów widok ujrzeli, nie przyjął go ze spokojem lub radością, lecz Dżornadesza opanowało złe przeczucie. Pospiesznie powrócił do Merhu i zamknął się w swoim pałacu. Tutaj, strzeżony przez żołnierzy z zewnątrz i przez najsilniejszych niewolników wewnątrz, skulił się pod jedwabną kołdrą w łóżu, dygocząc ze strachu. Aż w końcu usnął i znowu nawiedził go ów sen.

2

Zmarła Narasen stała na usłanym szarymi kamykami brzegu; przed nią rozpościerał się martwy kanał kredowej wody, odbijającej kredowe niebo i trzy odległe szare wzgórza Krainy Śmierci, a także samą Narasen, taką, jaką teraz była. A pośród jednobarwnego krajobrazu Narasen płonęła orgią barw: jej skóra była niebieska jak hiacynty, białka jej oczu prawie równie niebieskie, lecz źrenice żółte jak topazy zwieszające się z jej uszu. Karmazynowe włosy, których nie zdołał wzburzyć wełnisty, daremny wiatr Śródziemia, były o wiele dłuższe niż za jej życia, a paznokcie również bardzo długie, koloru indygo. Narasen wpatrywała się w swoje odbicie bez czułości. Znienawidziła zarówno świat, jak i zaświaty, znienawidziła bogów, ludzi i demonów, a nawet samego Pana Śmierć. Nienawidziła wszystkiego i wszystkich i nie robiła wyjątku z samej siebie. Lecz nagle podniosła oczy, bo przez chwilę odczuła pokusę, pokusę tęsknoty. Dalszy brzeg rzeki rozpląnął się, zamienił w złotą równinę,

zapłonął złotym cieniem, a tam, między kolumnami wysokich drzew, zamigotał złoty lampart...

Lecz Narasen opanowała się, odegnała od siebie tę wizję, a wizja rozplynęła się w zwykłej szarości i bieli Śródziemia. Przysięgła sobie, że nie będzie rozmyślać o utraconej Ziemi, ani dla własnej przyjemności, ani dla podniecenia swojego posępnego pana. (Śmierć była jej panem, nie mogła temu zaprzeczyć.) A Narasen, w przeciwieństwie do innych śmiertelników przebywających w Śródziemiu, dotrzymywała tej przysięgi i nie ulegała porywom fantazji. Gdy nawiedzały ją iluzje ziemskich wspaniałości i rozkoszy, niszczyła je natychmiast z zimną bezwzględnością. Pogardzała tymi, którzy poddawali się halucynacjom, trudno więc się dziwić, że unikano jej i nienawidzono. W pewnym sensie Narasen bardziej się w Śródziemni lękano, niż samego Uhluma, Pana Śmierci. Bowiem Pan Śmierć nie spoglądał na swych niewolników ze wzdrganiem i niechęcią. Okazywał im pobłażliwość. Był dla nich posępnym, widmowym i przerażającym ojcem. Śmiertelnicy, którzy zawarli z nim układ, a teraz skazani byli na tysiącletnie przebywanie w jego królestwie, współzawodniczyli ze sobą w próbach wyrwania go z jego zwykłej melancholii poprzez kreowanie przed nim swoich wizji. Narasen nigdy tego nie robiła. Przysięgła i dotrzymywała przysięgi. Kiedy wkraczała do kamiennego pałacu, wszystko bladło i cichło, wspaniałe mozaiki zapadały się w posadzkę. Śmiertelni mieszkańcy Śródziemia besztali ją, obrzucali obelgami, błagali, by się do nich przyłączyła, aby stała się weselsza i łagodniejsza. Narasen nie raczyła nawet im odpowiedzieć. Ignorowała ich, traktowała jak powietrze. Wciąż była królową i wciąż była królową okrutną. Kiedy Uhlum, widząc, jak blakną cudowne wizje i cichną pieśni wypełniające jego królewską halę, utkwiał w niej swoje blade oczy, skłoniła się przed nim szyderczo.

- Powiedziałałam, że powinno ci wystarczyć moje towarzystwo. A więc je masz. To wszystko, co otrzymasz od Narasen przez całe tysiąc lat, które musi spędzić w twoim królestwie.

Zwykle jednak nie spędzała swego bezkresnego czasu w pałacu Śmierci pośród ludzkich niewolników. Wędrowała po upiornych krainach Śródziemia, posępna, odarta z wszelkiej nadziei, poszukując jakiejś odmiany: mchu o barwie prawie takiej samej jak kamienie, oznak wschodu słońca lub nadejścia nocy, samotnej gwiazdy. Nigdy

czegoś takiego nie znalazła, rzecz jasna, i nie wierzyła, że znajdzie. Za to sprzedawałam swoją duszę, myślała. Za to oddawałam się każdemu, kto zapragnął mojego ciała, za to ległam z trupem i urodziłam dziecko z mego nie znającego miłości łona. Za to! I rozglądała się wokoło, a jej nienawiść i gorycz były tak wielkie, że mogłyby rozłupać wzgórza. Czasami postrzegała Pana Uhluma, stojącego opodal, na zboczu jakiegoś wzgórza lub w dolinie, i obserwującego ją w milczeniu. Podchodziła wówczas do niego i pytała: »Czy mój widok cię drażni, panie?"

Lecz jego kruczoczarna twarz nie mówiła nic, a bezdenne, puste oczy mówiły jeszcze mniej.

Teraz jednak, w tej szczególnej godzinie, kiedy stała nad odrażającą rzeką, czuła, że Śmierci nie ma w pobliżu. Nie sposób było nie odczuć jego nieobecności. Mówiło o tym prawie niezauważalne pojaśnienie atmosfery Śródziemia, a także - paradoksalnie - powszechne zobojętnienie.

Narasen rozważała właśnie pewien plan.

Mówiono, że w jednej ze swoich komnat Pan Uhlum ma czarodziejskie zwierciadło, rodzaj lunety, przez którą można było ujrzeć cały świat i każde miejsce na świecie, jakiego się zażądało. Narasen dowiedziała się o tym z plotek, jakie wymieniali między sobą inni śmiertelnicy. Przez całe lata, które były zaledwie minutami, i przez minuty, które w istocie były latami, bawiła się myślą odwiedzenia prywatnych komnat Pana Śmierci, odnalezienia czarodziejskiego szkła i zrobienia z niego użytku. Nie trzeba chyba dodawać, że była to śmiała myśl, jaka nie zaświtałaby w głowie żadnemu innemu śmiertelnemu mieszkańcowi Śródziemia.

Narasen miała dość dziwny stosunek do Uhluma. Lękała się go, a choć nie był to już lęk śmiertelny, wciąż był lękiem, bo kim w istocie mógł być Uhlum, jeśli nie samym Przerażeniem? A jednak traktowała go zawsze lekceważąco. Trzeba zresztą pamiętać, że strach był dla Narasen czymś, z czym powinno się walczyć.

Tak więc, poznając, że Pan Śmierć opuścił swą krainę, Narasen powróciła szybko do pałacu i wśliznęła się do komnaty Uhluma. Nie było tam żadnych strażników, a drzwi nie miały zamków. Nikt nigdy ich nie przekraczał.

Było tam wiele komnat. Wszystkie ciemne, w żadnej Narasen nie dostrzegała mebli. Może zresztą meble, którymi otaczał się Pan

Śmierć, były tak inne, tak obce ludzkiemu oku i rozumowi, że trudno je było rozpoznać i Narasen widziała je, lecz nie kojarzyła ani z meblami, ani z czymkolwiek innym. A może Pan Śmierć, będąc widmem, nie potrzebował niczego, gasnąc jak zdmuchnięta lampa, kiedy nikt na niego nie patrzył. Tak czy inaczej Narasen nie dostrzegła ani jednego krzesła, ani jednego stołu czy kufra, i zaczęła już podejrzewać, że czarodziejskie zwierciadło jest wytworem wyobraźni ludzkich niewolników Śródziemia. Lecz gdy tylko powzięła takie podejrzenie, ujrzała czarodziejskie szkło tuż przed sobą: kryształ oprawiony w złoto, leżący w kącie komnaty. Rodzi się pokusa, by mniemać, że szkło podobne było meblom: może przybierało różne kształty, w zależności od kaprysu właściciela? Może w tym wypadku ukazało się w takim kształcie na życzenie Narasen? Już dawno temu Uhlum powiedział jej, że dusze przebywające w martwych ciałach mają czarnoksiężską moc.

Narasen nie zaprzętała sobie głowy takimi teoriami. Wzięła kryształ, otarła z kurzu i wilgoci i przyłożyła do oka. Z początku ujrzała tylko mętne zawirowania podobne kłębowi dymu. Wkrótce jednak szkło przejaśniało i prosto z Śródziemia zajrzała w ziemski świat. Ujrzała paradny pojazd z metalu i jedwabiu toczący się ulicami Merhu, a w nim króla Dżornadesza otoczonego gronem jego kobiet. Mieszkańcy Merhu rzucali przed nim kwiaty.

Narasen często rozmyślała o sytuacji w swoim dawnym królestwie i nie miała co do niej żadnych złudzeń, lecz naoczne świadectwo wzburzyło ją do żywego.

- Ach! - fuknęła ze złością, odrzucając magiczne zwierciadło, które, rzecz jasna, wcale się nie roztrzaskało. - Gdybym potrafiła rzucać klątwy jak Issak, Dżornadesz byłby przeklęty za to, że mnie zamordował, i nie tylko on sam!

Gdy tylko to wypowiedziała, jakość powietrza nieco się zmieniła, co oznaczało, że Uhlum powraca. I nim minęła sekunda, drzwi - a były tam drzwi, choć uprzednio trudno je było zauważyć - rozwarły się z hukiem i stanął w nich Pan Śmierć.

- Spójrz! - warknęła szyderczo Narasen. - Rabuś jest w twojej komnacie. Co mogłabym ci ukraść, mój panie? Słynne klejnoty? Kosztowne kobierce?

Uhlum nic na to nie odpowiedział i nic nie uczynił. Nic nie mogło go zaskoczyć. W każdym razie nic nie zaskoczyło go do tej pory.

- Proszę cię o spełnienie pewnego życzenia - powiedziała Narasen.

- Wypowiedz je - odrzekł Uhlum.

- Słyszałam, że masz czarodziejskie szkło, przez które można zobaczyć ziemski świat. Słyszałam też, że pozwalasz swoim poddanym na krótkie odwiedziny na Ziemi. Słyszałam, że zmartwychwstają w swoich ciałach nietkniętych rozkładem dzięki twoim przemyślnym zaklęciom. A więc pozwól mi odwiedzić Ziemię. Jedna noc i parę godzin dnia, to wszystko, o co cię proszę.

- Wyświadczam czasem tę łaskę śmiertelnikom, którzy usychają z tęsknoty za światem. Zwykle powracają jednak jeszcze bardziej zrozpaczeni. I jest za to cena.

- Śmierć jest kupcem - powiedziała Narasen. - Jaka to cena?

- To cena, jakiej nie zapłacisz - odrzekł Uhlum. - Wszystko, co tam zobaczysz i wszystko, co tam zrobisz, musisz ukazać mi w iluzji po swoim powrocie.

Narasen uśmiechnęła się.

- Jeden raz mogę ci sprawić tę przyjemność. Przyrzekam ci, że nasycisz się moimi przygodami, biedny, udający człowieka demonie.

- Nikt nie przemawia do mnie jak ty.

- A więc widocznie na to zasługujesz.

Wyjście z królestwa Śmierci było proste, choć niezbyt wyraźne. Uhlum umieścił na trzecim palcu lewej dłoni Narasen - tej dłoni, z której odcięto górną część palca - złoty pierścień z kawałkiem magicznej kości. Gdy miała już pierścień, musiała tylko zejść z ołowianego klifu, tego, z którego Uhlum ją porwał, aby znaleźć się w ciemnym przejściu prowadzącym do Rzeki Snu, gdzie śniące dusze błąkały się, uwięzione, a następnie przedostać się poza tę rzekę, przez gęste i mgliste kłębowisko nieodgadnionych snów. Narasen przechodziła już tędy trzykrotnie, dwa razy jako istota żywa, raz jako umarła. Tym razem spieszyła niecierpliwie, nie ciekawa samego przejścia, głodna jedynie tego, co czeka ją na górze, skupiając całą wolę na wybranym przez siebie miejscu wyłonienia się z odmetów Śródziemia. Jej głowa przebiła powierzchnię morza dymu, wystrzeliła prosto w górę, tam, gdzie wszystko było już inne. Znalazła się znowu w ziemskim świecie.

Ach, jakaż odmiana. Ktoś inny pewno by zaszlochał. Lecz Narasen to Narasen. Jeśli nawet coś czuła, to tylko gniew. Tego wszystkiego pozbawiono ją podstępem.

Była ostatnia godzina popołudnia. Słońce wisiało nisko na złotym niebie, złocista mgiełka unosiła się nad wszystkim. Rozlewna ciemna rzeka przywodziła na myśl pienne piwo, równiny wokół niej migotały plamkami jak skóra lamparta. Mury miasta wyglądały, jakby je zbudowano z biskoptu upieczonego w szafranie. Słyszała leniwe pobekiwanie stad i niewyraźne krzyki ludzi, przytłumione i zmiękzone w miodowym świetle. Była w królestwie Merhu, a te mury były murami miasta Merh. Czuła zapach Merhu, tak jej znajomy, jak zapach własnego ciała. Merh, całe jego bogactwo, cała rozkosz. Merh, który za nią nie tęsknił, Merh, który jej nie opłakiwał, Merh, który już do niej nie należał, który ongiś ocalił - za co odpłacił jej ową słodkomdłą obojętnością.

Narasen rozejrzała się wokoło. Stała, tak jak zamierzała, na cmentarzu przestępców poza murami miasta.

Tu pochowano Issaka czarnoksiężnika, którego zabiła. Tu, w bezimiennej mogile, zgniło jego ciało, lecz rzucona przez niego klątwa pochwyciła w swe szpony Narasen i jej królestwo, a wypowiedziane przez niego słowa nie opuściły jej nawet w domenie Pana Śmierci.

Merh stanie się bezpłodny jak łono Narasen. Merh to Narasen. Kiedy Narasen przestanie być jałowa, wówczas i Merh odetchnie wilgocią. Kiedy Narasen zostanie zapłodniona, wówczas i jej kraj wyda owoce. Merh to Narasen.

Narasen wyciągnęła swoje niebieskie ręce ku bezimiennym grobom. Kiedyś odnalazła już jedną szczelinę w przekleństwie Issaka. Wiele lat zajęło jej odnalezienie drugiej, lecz w końcu ją odnalazła. Błąkając się po wstrętnym Śródziemni, odnalazła ostatnie żądło w ogonie skorpiona, które to ją, a nie Issaka lub Dżornadesza, uczyni skorpionem śmiertelnie jadowitym.

Narasen zaczęła krążyć po tym opuszczonym miejscu, wyczulona na każde drgnięcie jakiegoś nowego zmysłu, który w sobie poczuła. Od czasu do czasu przystawała i tupiała w ziemię. I oto w głębi swych jam stare kości zaczęły się poruszać, przewracać we śnie, błagając, by pozostawiono je w spokoju. W końcu poczuła pod sobą jakąś przestrzeń i zatrzymała się, aby ją w sobie rozważyć. Wydało się jej,

że widzi poprzez ziemię szkielet z ułamkiem zardzewiałego ostrza włóczni między żebrami. Czaszka szczyrzyła na nią zęby. Ciało już dawno uległo rozkładowi, dusza już dawno uleciała - wolna, ach, nie uwięziona tak jak jej dusza. Lecz w tamtych czasach kości nosiły w sobie piętno czynów i wspomnień tych, którzy za życia nimi władali, podobnie jak wosk nosi na sobie odcisk pieczęci.

- Issaku - rzekła Narasen, choć jej głos nie był w tym świecie głosem. - Umarła przemawia do umarłego. Przypomnij sobie przekleństwo, jakie rzuciłeś na mnie i na moje miasto.

Kiedy to powiedziała, coś poruszyło się w czaszce, a nie była to żadna cząstka Issaka, lecz czarny robak. Robak wysunął się spomiędzy szczęk czaszki i najpierw uniósł głowę, a potem skłonił się przed Narasen.

- A więc mnie poznajecie, kości Issaka? To dobrze. Klątwa głosiła, że Merh będzie Narasen. I stał się nią w istocie. Bo kiedy ja utraciłam płodność, Merh również przestał rodzić cokolwiek, a kiedy ja porodziłam, wydał również owoce Merh. Lecz teraz jestem martwa, otruto mnie, a moja skóra zrobiła się niebieska. A więc zwróćcie mi z powrotem swe przekleństwo, kości Issaka, bo dobrze je pamiętacie. Niech Merh wciąż będzie Narasen. Zapłaciłam wysoką cenę, by zachować to, co do mnie należało, a jednak tego nie zachowałam. Ci, którzy nic nie zapłacili, odebrali mi Merh. Niech więc Merh wciąż będzie Narasen.

Była sprawiedliwa i okrutna. Czarny robak kiwnął głową, jakby zgodził się z tym, co powiedziała. Opuścił kości Issaka, wkręcił się w ziemię nad jamą grobową, wydrążył tunel w glebie i wychynawszy na powierzchni pod niebem owinął się trzykrotnie wokół nogi Narasen. Narasen poczuła piekący ból, jakby założono jej na nogę trzy rozpalone do białości bransolety, a gorąco wspięło się wyżej i nappełniło całe ciało, aż zaczęło promieniować żarem. Wówczas robak skurczył się do wyschłej łupinki i opadł z jej kostki, a Narasen wyszczerzyła wspaniałe zęby, które lśniły niebiesko jak lapis i lazuli, i spojrzała na bramy Merhu.

Płomienie ogarnęły złote powietrze, ogień natychmiast rozprzestrzenił się na ziemię i płonął zuchwale, aż wszystko strawił i noc zapadła nad Merhem, ciemna jak najciemniejsze kamienie miasta, a potem nawet ciemniejsza. Lecz nim zapadła, tysiące lamp w oknach uwięziło resztki zachodu, szafranową żółć, złoto i czerwień.

Wrota miasta właśnie zamykano, kiedy jakiś cień pojawił się na ciemniejącej drodze.

- Widziałeś? Co to było? - zapytał wartownik towarzysza.

- Nic, albo brat niczego.

Lecz pierwszy wartownik poczuł, jak coś go musnęło, coś lekkiego i zwiewnego, jak pajęczyna. Wyciągnął rękę, by to coś złapać i poczuł kobiece włosy przemykające mu między palcami. Były to jednak bardzo marne włosy, niemile i zimne, jak chwasty w podrzędnym ogrodzie. Drugi wartownik nie poczuł niczego, lecz trzeci, który właśnie wychodził z wartowni, pijany, odkrył odcisk kobiecej dłoni na zakurzonej ścianie, a wewnątrz niego trzy lub cztery ćmy, które płonęły, a potem - jedna po drugiej - opadały zwęglone na ziemię jak skrawki spalonego papieru.

Dwie kobiety podeszły do studni leniwym krokiem i zatrzymały się przy niej, aby poplotkować. W pobliżu bawiło się dziecko starszej z nich.

Dziecko spojrzało w górę. Z mroku wyłoniła się straszliwa sina twarz, dwoje płonących oczu, uśmiech, który nie był uśmiechem. Ręka uniosła się nad głową dziecka, które oniemiało z przerażenia.

- Synku, chodź do mnie! - zawołała starsza z kobiet. - Chodź prędko, musimy już iść. A kto to taki? - dodała, zwracając się do swojej towarzyszki. - Nie widziałam nigdy tej kobiety.

Dostrzegła tylko sylwetkę i błysk klejnotów w uszach, i połysk metalu na szyi i na rękach.

- Pewnie to służebna z jakiegoś bogatego domu albo ladacznica szukająca zarobku.

W ciemności rozległ się śmiech, który nie całkiem był śmiechem. Starsza kobieta wzdrygnęła się, szybko pożegnała swoją towarzyszkę, podniosła dzban i chwyciwszy dziecko za rękę pospieszyła do domu. Młodsza zaczęła napełniać swój dzban, gdy czyjaś dłoń strąciła go do studni, a potem pogładziła ją po karku. Była to przeraźliwie zimna dłoń i kobieta rzuciła się do ucieczki. Za późno.

Wielu doświadczyło takiej pieśczości.

Mężczyźni gawędzący w czerwonym blasku latarni nad gospodą ujrzeli przechodzącą kobietę. Jeden z nich zdążył sięgnąć ręką przez jej ramię, by chwycić ją za pierś, lecz cofnął rękę natychmiast, bo pierś była zimna jak lód i twarda jak kamień. Inny chrapał pijany pod

drzewem i nie spostrzegł kobiety, która podniosła stojący przy nim kubek z winem, a potem odstawiła go z powrotem.

Piekarze, pracujący od świtu przy wesołym piekle swoich pieców, poczuli dreszcz przebiegający im po plecach, ale się nie odwrócili. Parę godzin później myszy wypełzły ze swoich kryjówek w workach mąki i wnet uliczka była zasłana ich martwymi ciałami.

Niektórzy słyszeli, jak sznury skrzypią w studniach, choć nikogo przy nich nie było. Jakiś nocny ptak sfrunął, by napić się wody z zagłębienia przy studni pozostawionego przez czyjąś stopę i odtąd już nikt nie usłyszał jego śpiewu.

Dziewczyna leżąca z kochankiem w ogrodzie drgnęła i powiedziała:

- Jak zimne są twoje pocałunki.

- Nie bardziej zimne od twoich.

Psy nie czekały za płotami. Skamlały i cichły nagle. Ladacznicą stojącą pod arkadami powiedziała:

- To moje miejsce, uciekaj stąd.

Żebrak skulony na stopniach świątyni poprosił:

- Rzuć mi monetę.

Pijany sprzedawca sukna, zataczający się od rynsztoka do rynsztoka, ujrzał przed sobą widmo, padł na brzuch i przysięgł, że odtąd nie weźmie kropli wina do ust, a kiedy zimna stopa dotknęła jego karku, pewne już było, że dochowa przysięgi.

Na wzniesieniu różowa poświata tysięcy lamp i pochodni okrywała pałac Merhu. Przed spiżowymi drzwiami czuwali żołnierze ze skrzyżowanymi włóczniami, bacząc, by nikt nie wśliznął się do wnętrza. Od czasu prorocstwa dzikiego starca Dżornadesz nie opuszczał swoich komnat.

Lecz wrota pałacu były otwarte i ktoś przez nie przeszedł.

- Ani kroku dalej! - krzyknęli żołnierze. - Z jaką przychodzisz sprawą?

Osoba, która się do nich zbliżała, nie odpowiedziała. Kroczyła ku nim po marmurowych schodach i w blasku pochodni ujrzeli kobietę w czarnej sukni przepasanej rubinami, ze złotem na szyi i na ramionach. Lecz jej włosy miały barwę, jakiej jeszcze nigdy nie widzieli na głowie kobiety, nie widzieli też takiej skóry.

- Co to za przedstawienie? Tylko bez żadnych sztuczek. Zaraz nam odpowiesz.

Nie otrzymali jednak żadnej odpowiedzi, a kobieta podeszła bliżej i coś zapadło się w sercach żołnierzy. Najmłodszy otrząsnął się i cisnął włócznią, która ugodziła ją w bok, lecz nie trysnęła krew i kobieta nie upadła, tylko wyciągnęła włócznię i rzuciła na marmurowe płyty, a jej twarz powlokła się szyderczą wściekłością. I zawołała do nich głosem, który nie był podobny do żadnego głosu, jaki kiedykolwiek słyszeli:

- Precz mi z drogi!

A na dźwięk tego niesamowitego głosu wszystkie ptaki zgromadzone na dachu pałacu uleciały ku niebu z gwałtownym łopotem skrzydeł i uciekły z miasta, jakby ogarnął je pożar.

Żołnierze wpadli w trwogę i usunęli się jej z drogi, wszyscy prócz owego najmłodszego, który uprzednio cisnął w nią włócznią, bo teraz był zbyt przerażony, aby się poruszyć. Przechodząc obok niego, kobieta przycisnęła dłoń do jego twarzy, a potem weszła do pałacu.

Można przypuszczać, że Narasen, do której ten pałac ongiś należał, dobrze znała jego korytarze i ukryte przejścia, bo sunęła nimi pewnie i cicho, nie zauważona przez nikogo. U drzwi do komnat Dżornadesza - kiedyś jej własnych - potężnie zbudowani niewolnicy grali w kości. Gdy ujrzeli Narasen, kości wypadły im z rąk i pierzchli ze strachu. Pchnęła drzwi i weszła do środka, nie powstrzymana przez nikogo i nie oczekiwana, jak kiedyś wszedł tu czarnoksiężnik Issak, nie powstrzymany i nie oczekiwany przez Narasen.

Dżornadesz siedział w swojej komnacie, pijąc wino bez umiaru. Siedział plecami do drzwi i słysząc za sobą ciche kroki, zaczął zrzędzić:

- Wiedz, dziewczko, że wezwałem cię, byś uśmierzyła udrękę, jaką mi sprawiają te głupie sny nie dające mi spokoju. Uśmierz więc ją natychmiast, bo jeśli tego nie dokonasz, czeka cię śmierć. Jeśli nie zaznam ulgi i spokoju, to i ty ich nie zaznasz, ginąc w męczarniach. Zrzuć więc szaty i spraw mi rozkosz.

Narasen podeszła do niego bezszelestnie po grubych kobiercach i wbiła mu długie paznokcie w plecy, aż zawył z bólu. Wyjął, obrócił się ciężko i w ten sposób poznał dokładnie znaczenie i bliskość proroctwa.

To, co poczuł i zrobił Dżornadesz w chwili owego spotkania z mściwą Nemesis nie da się opisać słowami i żaden opis tego nie utrwalił. Najprawdopodobniej upadł na posadzkę, roniąc łzy i

okazując inne oznaki straszliwego przerażenia, wspólne wszystkim ludziom, wówczas i teraz.

- Uspokój się - szepnęła Narasen. - W ten sposób nie wita się swojej królowej, władco Merhu. Wstań, załóż swoje klejnoty i oznaki urzędu. Zasiądziemy razem w wielkiej królewskiej sali. Tej nocy będę twoim gościem, a ty zwrócisz mi tron, który ukradłeś. Zawezwiesz poetów, aby mnie wysławiali, i kobiety, aby mnie rozweselały, te wszystkie biedne kobiety, którym robiło się niedobrze na widok twoich sflaczałych pośladków. Dalej! Rób, co ci mówię! Chyba nie chcesz mnie zmusić, bym cię przekonała o moich prawach?

I Dżornadesz, oszalała ze strachu, zrobił posłusznie wszystko, czego od niego zażądała. Niestety, kiedy zeszli do wielkiej sali, nikogo już nie było, bo wieść o pojawieniu się Narasen szybko rozeszła się po pałacu. Cały pałac opustoszał. Tylko odległe wrzaski i światła wielu lamp wskazywały kierunek, w którym wszyscy uciekli.

Tak więc Narasen zasiadła samotnie w wielkiej sali królewskiej, gdzie zasiadała za dni swojego panowania w Merhu. Popatrzyła na alabastrowe lampy i srebrną zastawę, na puchary z winem, na półmiski z chlebem i mięsem, z których nie mogła już skorzystać. Na ścianach wisiały skóry lampartów, tych, które sama upolowała, nad królewskim tronem zwieszał się jedwabny proporzec, który jej ojciec zdobył w wojnie z pewnym potężnym księciem, a u jej stóp stał podnózek wyszywany perłami, dar od innego potężnego księcia, któremu Narasen oszczędziła kiedyś śmiertelnego ciosu.

I kiedy na to wszystko patrzyła, jej oczy ociążały od żalu i jadu. I nagle ujrzała swymi straszliwymi oczami jakiś cień kształtujący się obok tronu, cień przypominający dziecko, niemowlę, a kiedy płomienie świec zachybotały w świecznikach, zdało się jej, że niemowlę wierzga nóżkami i wymachuje rączkami.

- Ach, ty... - mruknęła Narasen w głębokiej zadumie... - czyż to możliwe, byś oddychał, gdy ja jestem martwa? Ty, ty, maleńki brzdącu, bez którego towarzystwa żaden morderca nie wyprowadziłby mnie w pole?... Pamiętam, jak kwiliłeś w grobowcu, ale wierzę, że teraz obce ci są groby i cmentarze, że przebywasz w świecie, w którym ja nie mogę pozostać. Ach, gdybyś teraz zjawił się tu, mój ukochany synku, wynagrodziłabym ci twoje dobre serduszko. Tak jestem ciebie ciekawa...

Słyszając, jak Narasen szepce z oczami błędzącymi po sali, Dżornadesz odpełzał od niej, a ona go nie zatrzymywała. Pobiegł do stajni i wskoczył na jakiegoś wychudłego, niskiego konia - pierwszego, którego zobaczył - i uciekł z miasta, ratując życie. Nie odjechał jednak daleko.

3

Za dnia Simmu wędrował po jałowej krainie wokół słonego jeziora, roniąc wraz z niebem łzy za Żyremem. Jeszcze jedno dziedzictwo po demonach Eszwa - skłonność do poddawania się bardzo silnym emocjom, którą łatwo znosiły, bo miały krótką pamięć, a ich życie nigdy się nie kończyło. Simmu, oślepy od łez i porażony nieszczęściem i utratą, mógł błąkać się w owej pozbawionej nadziei otchłani rozpaczony przez wiele miesięcy, dopóki nie zawiodłyby go siły i nie zagasłoby tłące się w nim życie.

Kiedy światło znowu zaczęło przygasać, wszedł - bardziej przez przypadek niż świadomie - do jakiejś jaskini, której wejście obrastały czarne krzaki. Tu, wyczerpany, zapadł w sen, choć nawet wówczas śnił o Żyremie, a z jego oczu nadal płynęły łzy.

A potem w owej jaskini coś się wydarzyło. Co to było? Kłęb dymu bez płomienia, a jednak z czymś w rodzaju ognia. Z tego - z tego dymu lub ognia - wyszedł mężczyzna. W jaskini było za ciemno, aby go ujrzeć, nawet gdyby ktoś tam był i nie spał. Mężczyzna był ciemny, ciemniejszy od samej ciemności, okryty czymś, co przypominało kruczoczarne skrzydła. Jego oczy rozbłyskiwały blaskiem, którego w jaskini nie było, a czarne włosy również połyskiwały tym samym nieistniejącym światłem, tak że jego niewidoczną twarz zdawały się otaczać promienie i gwiazdy.

Przez chwilę stał nad Simmu, miotającym się i krzyczącym przez sen, a potem wyciągnął rękę. Z jego ręki zaczęła się snuć jakby sieć - gwiazdy, migotania, dymy i bezpłomienny ogień - opadająca na Simmu. I Simmu przestał ronić łzy.

Wówczas mężczyzna ukląkł i lekko przesunął tą samą czarnoksięską ręką po ciele Simmu. A ciało Simmu, wciąż pogrążonego we śnie, natychmiast odpowiedziało na ten dotyk, poczynając się zmieniać, zakwitając wyniosłymi piersiami i kurcząc ostrze swojej męskości, podczas gdy młodzieńcza broda zanikała szybko na szczękach, a same szczęki wygładziły się jak alabaster i złagodniały do kobiecych policzków i podbródka.

Demon - to był on, Ażrarn, któż inny, jak nie on? - roześmiał się cicho, bo Wazdru miały organy głosowe, których Eszwa nie miały albo zdawały się nie mieć. Odgarnął włosy Simmu i zaśpiewał coś w jej ucho w sposób właściwy demonom. Transpozycja tej pieśni nie jest możliwa. Coś jednak w tej pieśni, albo w dotyku palców, mówiło o ciszy i zapomnieniu, coś sprawiało, że Żyrem mógł wreszcie zniknąć z odrętwiałego z rozpaczy mózgu, a na jego miejscu mogło rozkwitnąć królestwo Merhu i przekonanie, że wiodąca ku niemu droga na zachód może stać się ciekawą przygodą.

Na zewnątrz słowik rozpoczął swą pieśń, nabrzmiałą niepokojem, bo ptak podejrzewał, kto jest w pobliżu.

Lecz Ażrarn, Książę Demonów, natychmiast odszedł w ciemność, równie niepostrzeżenie, jak przyszedł.

Simmu, pozbawiony pieśnyczoty dotyku i głosu Ażrarna, powrócił do swej męskości.

Przebudził się o świcie, częściowo dlatego, że słowik, wytracony z równowagi przez przeżycie bliskiej obecności Księcia Demonów, wciąż śpiewał jak oszalały. Wstał, wyszedł z jaskini i spojrzał w niebo. Czuł się tak, jakby poprzedniego wieczora zasnął w agonii spowodowanej jakąś raną lub chorobą i obudził się uzdrowiony. Zaczął się zastanawiać, co mogło go zranić - zwyczaj, który nabył od ludzi. Ktoś odszedł, ktoś, kogo bardzo cenił - może o to chodziło. A jednak teraz już to się nie liczyło, ten brak dawnej, zużytej miłości. A na zachodzie - na zachodzie leżało miasto, które w jakiś sposób, trudny do zrozumienia, należało do niego. Ogarnęło go nagłe uniesienie. Merh, Merh, który do niego należy. Lecz Simmu nie pożył tronu i królestwa, nie pojmował znaczenia czasowej władzy, potęgi, bogactwa. Nie potrafił zrozumieć, co właściwie pociąga go w owym dalekim mieście, w Merhu... Ażrarn, który wzbudził ów miraż, przesycił go własnym czarem i to właśnie pociągało Simmu, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

I tak Simmu, uwolniony od bólu, pozbawiony pamięci o Żyremie, zahipnotyzowany pociąganiem do nie znanego mu celu, wyruszył w pozornie bezcelową wędrówkę - jak Eszwa - na zachód.

Tego dnia piękna nabrały nawet owe niesamowite czarne krainy. Słońce złociło złowrogie skały i posępne wody, w czarnych zaroślach można było znaleźć kwiaty i niezwykle owoce. W promieniach słońca podskakiwały dziwne stworzenia, niekiedy pomykając ze Simmu,

zauroczone jego demoniczną aurą i zdumione jej obecnością po złej stronie nocy. Kilka mil dalej na zachód, gdzie teren zaczął się obniżać, pokazały się plamy zieleni. Słońce również podążało za Simmu, potem ponad jego głową, aż prześcigło go, by mu uprzejmie wskazywać właściwy kierunek, póki nie zapadło poza smugę zieleni na widnokręgu.

Zmierzch przyniósł ze sobą chłód, lecz Simmu, przywykły do kaprysów nocy i uwolniony od ludzkich przyzwyczajęń Żyrema, nie rozpałił ogniska. Ułożył się do snu w zagłębieniu skalnym, okryty jedynie bezkształtną szatą pasterską i własnymi włosami.

Okolo północy otworzył oczy i ujrzał wysmukłego czarnego psa siedzącego przed skałą. Pies spojrzał na niego czystymi, jaśniejącymi oczami, a potem podniósł się i odbiegł powoli. Simmu poczuł, że musi za nim pójść.

Pies (Ażrarn mógł przybierać wiele postaci, mógł nawet wcielić się w postać siwowłosego starca wędrującego brzegami słonego jeziora) biegł zwinnie i z wdziękiem, aż zniknął pośród jakichś zarośli i drzew. Przedarłszy się przez zarośla Simmu znalazł się na starodawnym bitym trakcie. Trakt biegł na zachód, opadając łagodnymi zakosami w dół, na niebie płonęły niezliczone gwiazdy, powietrze przesyciła tajemnica ziemskiej nocy. Simmu odetchnął głęboko i ruszył na zachód, przyjmując drogę i noc jako miłe dary. Pies nie wrócił, lecz nagle Simmu poczuł obecność kogoś innego, kto kroczył za nim.

Simmu odwrócił się, nie tylko z niepokojem, ile z jakimś powolnym, przyprawiającym o zawrót głowy podnieceniem.

Byłoby głupotą powiedzieć, że Ażrarn był piękny, bo to ziemskie określenie jest jak kamień ciśnięty we wrota tego, kim Ażrarn naprawdę był. Nieco roztropniej nazywano go Cudownym, choć i to słowo niedostatecznie oddawało rzeczywistość, podobnie jakby się powiedziało: morze jest mokre. Miał włosy granatowoczarne, niepodobne do żadnych ludzkich włosów, raczej jak włosy jakiegoś bajecznego zwierzęcia lub jak kawałek rozgwieżdżonego nocnego nieba oglądanego przez jedwab lub wodę. Jego oczy, przed którymi całe stulecia przemijały w jednym mgnieniu, były czymś niemożliwym: dwa światła utworzone z czerni, dwa smoliste płomienie będące cieniem nieogarnionej ciemności. Jego strój też był czarny, a jednak w jakiś przedziwny sposób migotał wszystkimi

rodzajami i odcieniami barw. Płaszcz, przywodzący na myśl orle skrzydła, zdawał się płonąć blaskiem klejnotów lub pożogi, albo czymś niedorzecznym i cudownym zarazem, a jednak tak nie było - albo może było. Szedł w postaci mężczyzny, lecz był w tej postaci i w kroku również wilk, była pantera, był drapieżny ptak. A kroczył tak delikatnie, tak lekko, że nawet ziemia go nie słyszała, słyszał tylko Simmu, bo dozwolone mu było słyszeć. I z całą pewnością Simmu, który poznał go natychmiast i jednocześnie wcale go nie znał (na skutek czaru, jaki demony mogą roztaczać wokół siebie), nie zadawał sobie pytania, dlaczego istota tak niegodziwa może objawiać się jako tak dobra.

- Wspaniała noc na wędrówkę - rzekł Ażrarn, a wierście mi, że jego głos dorównywał reszcie - lecz każda noc jest lepsza od każdego dnia.

Simmu zawahał się, czując nagłą potrzebę padnięcia na kolana i oddania mu czci. Lecz Ażrarn, który lubił być uwielbiany, jak wszystkie demony, w jakiś sposób powiadomił go bez słów, jakiej odpowiedzi oczekuje. A była nią tylko uległość. Tak więc Simmu, pełen uległości, stał i czekał, milcząc jak każdy Eszwa, kiedy mówi do niego Wazdru.

- Wędrówka może ci się jednak znudzić - rzekł Ażrarn. - Nie chciałbyś podróżować nieco szybciej?

Simmu (uległy) wpatrywał się w niego. Ażrarn strzepnął palcami i skrawek nocy rozdarł się przed nimi, a z rozdarcia wybiegły dwa konie. Były, rzecz jasna, bardzo czarne, w uprzężach ozdobionych mosiądzem i srebrem, z grzywami jak piana lub dym. W dzieciństwie Simmu dla zabawy ujeżdżał rysie i lamparty, a raz niósł go na swym grzbiecie ziemski koń, lecz ten koń, gdy go dosiadł, nie przypominał żadnego ziemskiego zwierzęcia.

Simmu pozwolił, by koń poniósł go tam, gdzie chciał. Demoniczny rumak skoczył do przodu, pędząc za tym, którego wybrał Ażrarn. Natychmiast oba konie zdały się unieść w powietrze, i bardzo możliwe, że tak w istocie było. Nie byłoby w tym zresztą nic nadzwyczajnego, bo takie konie mogą pędzić po wodzie, mogą wyłaniać się z Podziemia i ginąć w nim na gwizd swoich panów, a jeśli chodzi o szybkość, to z pewnością przewyższają wszystko co ziemskie, z wyjątkiem morskiego prądu i słońca, nad którym demony nie mają władzy.

Była to dzika i przerażająca jazda. Noc przemieniła się w migającą przed oczami płynną masę, gwiazdy pędziły jak oszalałe, lub takie sprawiały wrażenie, mknąc ponad końmi i wokół nich jak srebrne strumienie, a może jak burza lub kosmiczny deszcz. A z tego rozpędzonego wiru wybuchały różne kształty i natychmiast ginęły. Simmu dostrzegł jakieś strzępy krajobrazu, takie jak wdzięcznie ukształtowane wzgórza i ciemnoniebieskie doliny zasnuwane mgiełką, strzeliste puszcze i góry, a pomiędzy nimi inne zjawiska, takie jak białe pałace i cyzelowane ceramiczne wieże wystrzelające w niebo i brzydkie miasta pokrywające zbocza wzgórz jak osypiska pokruszonych cegieł.

Po wielu godzinach, które zdawały się sekundami, konie wylądowały na zalesionym wzniesieniu.

- Wkrótce nadejdzie świt - powiedział Ażrarn - a ta rozgorączkowana pani i ja nie chcemy mieć z nim wspólnego. Zostań w tym lesie. Jutro w nocy zabiorę cię stąd w pobliże bram Merhu, dziecię lamparcicy. Czy wiesz, że twój ojciec zmarł, zanim cię porodziła?

Teraz Simmu ukląkł przed nim, a Ażrarn pogładził go po włosach. I Simmu wsłuchiwał się tylko w muzykę głosu Ażrarna, nie słysząc słów, podczas gdy pieśczęta jego dotyku rozkosznie burzyła w nim wszelką logikę.

Ażrarn przyglądał się mu leniwie, bez współczucia, choć z pewnym zadowoleniem. Makabryczne poczęcie Simmu i jego obojnakość fascynowały Księcia Demonów, pociągała go też piękność hermafrodyty. Pojawienie się Simmu nad słonym jeziorem zostało Ażrarnowi zasygnalizowane, lecz gdyby nie znalazł w nim nic, co by go zaciekało, byłoby o wiele gorzej dla Żyrema i Simmu. O wiele, wiele gorzej.

Żyrem nie wzbudził w Ażrarnie zainteresowania.

Ludzie dostrzegli w Żyremie skłonność do zła, Ażrarn widział w nim tylko skłonność do rozpaczki. Demony lubią śmiertelników w taki sposób, w taki jak lubią swoje konie - są im niewolnikami, których się ujeżdża. Żyrem nie miał w sobie nic z niewolnika. Czaiła się w nim siła, a także dobro, albo usilne pragnienie dobra. Jedyłą nadzieję na to, że stanie się niegodziwy, mogło budzić odrzucenie przez niego Ażrarna. Ażrarn wiedział o tym i dlatego odesłał go w noc.

Natomiast Simmu był dla Ażrarna jak nowy instrument, na którym nigdy jeszcze nie grał. Nie był jeszcze pewny, jaką melodię wydadzą z siebie te struny i to rezonansowe pudło, lecz wiedział, że jakaś melodia powinna z nich popłynąć. A pierwszą ręką, która mogłaby uderzyć w te struny, był Merh, co oznaczało zdobycie tronu, a potem jego utracenie w bitwie lub przez morderstwo. Ażrarn często tworzył i niweczył królów. Była to zabawa, którą cieszył się z pewną pogardą, gdy nadarzyła się sposobność.

Lecz teraz na niebie pomiędzy drzewami pojawiło się blade ostrzeżenie.

- Simmu - rzekł Ażrarn. - Simmu, Podwójnie Piękny, dobre nadano ci imię. Myśl o Merhu.

- Tylko o tobie - odpowiedział Simmu, niespodziewanie głośno i dziewczęcym głosem.

Ażrarn uśmiechnął się, uradowany tymi pierwszymi dźwiękami swojego nowego instrumentu. A potem on i jego konie zniknęli, a mroczny las zaczął się chyłkiem wypełniać światłem.

Ten dzień Simmu przespał, oddany przez demony pieczy snów i oczekiwania, jak w dzieciństwie. Tak jak powiedział, śnił tylko o Ażrarnie. Następnej nocy Ażrarn powrócił jak wschodząca czarna gwiazda. I ta druga noc pełna była dziwów jak pierwsza, pełna szaleńczej jazdy i oślepiającego przemijania rzeczy, i prawie bolesnej zmysłowości, jaką zdawało się posiadać wszystko.

Ażrarn wiódł Simmu do bram Merhu przed dwie noce, a była to podróż wielu tysięcy mil i wielu, wielu dni.

Tam, gdzie grubopienne jak kolumny drzewa wyrastały nad rzeką, tam pozostawił Ażrarn młodzieńca w chwili poprzedzającej drugi brzask.

Ażrarn nie interesował się Merhem, nie raczył wiedzieć, co w nim się dzieje, miasto było dla niego jedynie częścią planu, jaki powziął wobec Simmu. Zdarzyło się jednak, że ta druga noc, przez którą mknęli razem jak meteory, była tą nocą, w której Merh odwiedziła Narasen. Kiedy opasane murami pałace i postrzępione wieżycy zawirowały wokół Simmu, Narasen błąkała się po ulicach miasta jak podrzucany wiatrem zatruty papier. A kiedy Simmu wylądował na ziemi opodal miasta, znajdowało się już w śmiertelnym uścisku jej przekleństwa.

Nie wiedząc o tym, Ażrarn, którego zmysły były ostrzejsze od brzytwy, położył jednak rękę na ramieniu Simmu i powiedział:

- Czekaj tu na mnie aż do zachodu słońca. Nie wchodź do miasta beze mnie.

Simmu sprawiało rozkosz samo posłuszeństwo jego słowom. Wspiął się na drzewo i ułożył w rozwidleniu gałęzi, aby zasnąć, okryty pstrokacizną słonecznych plamek i liści. Lecz Simmu obdarzony był przez Eszwa wielką wrażliwością i wkrótce, choć pogrążony we śnie, wyczuł przez skórę i włosy, że w Merhu dzieje się coś niedobrego.

Powiedziało mu o tym samo drzewo. Drzewo, tak rozłożyste i pełne życia, kolumna wytrzymałego na wszystko bursztynu, które zaczęło zdradziecko usychać. A wysoko, w górze, stado ptaków ukryło się w koronie bursztynowego drzewa, lecz żaden z nich nie śpiewał, a kiedy powiał wiatr, część ptaków opadła z gałęzi jak kwiaty... Także i nurt rzeki unosił coraz więcej kwiatów, lecz ich zapach trudno było uznać za słodki.

Simmu śnił o człowieku powieszonym na gałęzi martwego drzewa. Obudził się, drżąc, po południu. Potem ujrzał rzekę, a potem, gdy rozejrzał się wokoło, wiele innych dziwnych rzeczy.

Cała ziemia nabierała dziwnego lazurowego połysku, którym załśniły złowrogo nawet mury Merhu, pod niebem, które zdawało się zapoczątkować tę przemianę, bo samo płonęło jadowitą niebieskością. Z miasta nie dochodził żaden dźwięk, zresztą i tu, poza miastem, zalegała martwa cisza. Nie odezwał się żaden ptak, żadne zwierzę, żaden człowiek.

Popołudnie nabrzmiało, osłabło i zaczęło gasnąć.

Simmu zeskoczył z drzewa, bo miało w sobie takie stężenie przeczucia śmierci, że nie mógł go dłużej znieść.

Ciekawość, rozrywka demonów a zguba ludzi, ciekawość przesycona lękiem zaczęła teraz popychać Simmu ku miastu. I prawie w tej samej minucie ogarnęła go odraza, bo poczuł wokół siebie zapach wroga - wroga, przed którym zawsze uciekał.

Ostatecznie zagłębił się w pola otaczające Merh. Tutaj natknął się na bogato ubranego mężczyznę w szkarłatnej szacie, przewieszzonego przez koński grzbiet. Zarówno wierzchowiec, jak i jeździec byli martwi i powleczeni niebieskością, podobnie jak pola. W tym

momencie jeszcze jeden ptasi kwiat spadł z nieba na ziemię; on także był niebieski.

Simmu nie wiedział, dokąd uciec, bo śmierć otoczyła go ze wszystkich stron. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale barwa łuny zapowiadała straszliwą purpurową niebieskość. A po chwili na drodze wychodzącej z bram Merhu pojawiła się idąca postać, jeszcze bardziej przerażająco niebieska niż wszystkie dokoła.

Narasen pozostała w Merhu dłużej, niż to obiecała Panu Śmierci. Przebywała w mieście w świetle dnia, włącząc się po ulicach, aby nacieszyć spojrzenie tym, czego dokonała. Zemsta ani jej nie ukoїła, ani nie zmartwiła, była czymś w rodzaju zastępczego posiłku, czymś, co miało zaspokoić jedynie pierwszy głód, nic poza tym. Teraz szła, aby odnaleźć ciało Dżornadesza. A ponieważ bardzo już się opóźniła i ochronny czar Śródziemia powoli przestawał działać, jej ciało zaczęło się poddawać rozkładowi. Była jeszcze bardziej wychudła, jeszcze bardziej sina, bardziej przerażająca, a jej włosy wyglądały jak targane wiatrem łachmany.

Simmu zmartwił na jej widok. Po raz ostatni widział tę kobietę, jak leżała martwa w grobowcu, a potem zapadała się pod ziemię razem z Panem Śmiercią. Simmu zapamiętał to i teraz poraziła go upiorna fascynacja, podobna tej, jaką przeżywa królik w obliczu węża. Czekał więc, chorobliwie oszołomiony, aż Narasen zbliży się do niego.

Najpierw spostrzegła Dżornadesza, barwną plamę pośród pędów młodego (teraz zatrutego) zboża. Spostrzegłszy go, podniosła swoje oczy i zobaczyła Simmu.

Narasen wiele rozmyślała o Simmu. Choć bardzo się zmienił od czasu, kiedy widziała go ostatnio, poznała go.

Żadne nie przemówiło, żadne nie potrzebowało słów. Każde jednak coś na swój sposób przekazało. Potem Simmu, jak kot, zaczął się cofać, cal po calu, a ona, jak kot, pełzła ku niemu cal po calu, podczas gdy światło gęstniało, jaskrawomorwowe słońce zniżało się ku krawędzi ziemi, a sześć lub siedem ptaków spadło z nieba w zatrute zboże.

Skrajem pola biegł wąski trakt. Ktoś mniej zwinny od Simmu potknąłby się tutaj, lecz on rzucił tylko krótkie spojrzenie za siebie i ujrawszy trakt napiął mięśnie, jakby zamierzał nim pobiec.

Wówczas przemówiła swoim nie - głosem.

- Ukochany. Zatrzymaj się, ukochany. To ja, tylko Narasen. Narasen, która cię urodziła. Tylko cię uściskam, kochanie. Tylko tyle.

Ten głos, a także pełne wyrachowania i fałszu słowa, napełniły Simmu najwyższym przerażeniem. Krzyknął. Wzywał Żyrema, nie przypominając sobie, kim Żyrem był. A Narasen, lamparcica, skoczyła ku niemu z wyciągniętymi szponami.

Lecz słońce już zaszło i obciążone śmiercią dłonie niebieskiej kobiety natrafiły nie na ciało młodzieńca, lecz ciemny piorun, który nagle wystrzelił pomiędzy nią a Simmu.

- Nie, pani - rzekł Ażrarn najbardziej łagodnym głosem - nie skrzywdzisz tego, co do mnie należy.

Narasen opuściła ręce. Jej twarz utraciła wszelki wyraz, spojrzała na niego zimno. Była pewna, że Księżę Demonów nie może jej teraz nic zrobić, choć wiedziała też, że i ona jest wobec niego bezsilna.

- Och, miłośniku Ziemi - powiedziała - czyż to możliwe, abyś ty, pan wszelkiej niegodziwości, ochraniał niewinną istotę przed złem, jakie mogą jej zaoferować?

- Wracaj do swojej krainy - rzekł Ażrarn. - Za długo przebywasz na tym świecie.

- Oddaj mi to, co do mnie należy.

- Nie ma tu niczego twojego.

- Czarny kocie, wracaj do swojego porcelanowego miasta i tam szukaj zdobyczy. Ty i twój kuzyn Uhlum... Pluję na was obu, Władcy Ciemności.

I uderzyła Ażrarna w twarz.

- Córko - rzekł Ażrarn najłagodniejszym tonem - nie było to mądre.

I zaiste, nie było to mądre. Bo oto z jej prawej dłoni, którą go uderzyła, ciało odpadło jak niebieskie płatki, pozostawiając nagie kości.

- Wracaj do Śródziemia z tym znakiem - powiedział Ażrarn. - Powiedz temu, którego nazywasz moim kuzynem, a który nie jest mi krewnym, że nocą powinien pilnować swoich poddanych. Teraz idź, córko suki, idź i zabaw się w kości.

I uczynił gest w kierunku ziemi, a ta rozstała się i wchłonęła w siebie Narasen. Ażrarn spojrzał na Simmu.

- A kim jest ów Żyrem, którego wzywałeś? - zapytał. - Sądziłem, że myślisz tylko o mnie.

- Tylko o tobie - odpowiedział Simmu i osunął się u jego stóp. - Nie jestem już jednak taki jak dawniej. Widziałem śmierć zbyt często i zbyt blisko.

- Demony nie rozmyślają o śmierci - powiedział Ażrarn. - Pamiętaj o kobietach Eszwa i o tym, czego cię uczyły.

- Śmierć nauczyła mnie, że jestem śmiertelnikiem.

I rzeczywiście Simmu zdawał się nie być taki jak dawniej. Odpadło zeń coś lśniącego, pojawiło się coś szarego.

- Nie sprawiaj mi zawodu - powiedział Ażrarn. - Są sposoby, aby ominąć nawet śmierć.

- A więc naucz mnie tego.

- Może to uczynię. Lecz teraz nauczę cię jednego. W tym miejscu nie można dotknąć niczego, ta kobieta zatrula wszystko swoim jadem. Wiesz, co cię ocaliło? Klejnot na twojej szyi, podarunek z Podziemia.

- Raz wspomniałeś mojego ojca - powiedział Simmu powoli - lecz nie mogę sobie przypomnieć, co powiedziałeś. Miało to coś wspólnego ze śmiercią.

Wówczas Ażrarn nabrał pewności, że w Simmu jest jednak coś z człowieka. To ludzie, a nie demony, rozmyślają o swoich ojcach. Jakieś złośliwe światło zapłonęło w Ażrarnie i zgasło. Wydało mu się, że Simmu dotarł nagle na próg swojego przeznaczenia i że owo przeznaczenie ma w sobie wszystkie ziarna gwałtownego wstrząsu i dzikości, za którymi może tęsknić demon. Tak więc Ażrarn, który uprzednio sam siebie z tym wszystkim zaznajomił, pouczył Simmu o jego zdumiewającym początku. Opowiedział mu o cudownej królowej o męskich cechach i o klątwie Issaka. Opowiedział mu o jej odwiedzinach w Domu Niebieskiego Psa i o układzie zawartym z Uhlumem, Panem Śmiercią. Ukazał mu sen o jej romansie z jasnowłosym młodzieńcem, który wyszedł z grobu, bielszy od marmuru i bardziej od marmuru zimny. Simmu siedział u stóp Ażrarna w zatrutej krainie Merhu i słuchał. Wokół jego oczu zbierała się szarość, a jego usta stały się ustami człowieka boleśnie zranionego.

Później, wciąż wietrząc przeznaczenie i nieszczęście, Ażrarn poprowadził Simmu przez ulice uśmierconego miasta. Jego towarzystwo było talizmanem przeciw przerażeniu Simmu, a rodząca się między nimi zażyłość dokonywała swego uzdrowicielskiego dzieła.

Wszędzie było pełno umarłych. Leżały ich stosy: ptaki i zwierzęta, mężczyźni i kobiety, a także ich dzieci. Umarły kwiaty, drzewa, mury przybrały granatowy odcień. Domy i kamienie na drodze nosiły znamię śmierci. Wszystko, czego dotknęła, wszystko, co tylko musnęły jej stopy, włosy lub szata, umarło. Ujrawszy to wszystko Simmu nie mógł zachować swojego dawnego strachu przed śmiercią. Nie, jego stosunek do śmierci uległ przemianie. Stał się gwałtowną nienawiścią.

Gdzieś w głębi nocy, wędrując z Ażrarnem po zboczu zasłanym trupami ptaków, Simmu powiedział na głos:

- Wyleczyłeś mnie, mój panie, z tchórzostwa! - Wykrzyczał to jak śmiertelnik! - Odtąd nie będę się ukrywał lub uciekał. Będę wrogiem Pana Śmierci. Będę szukał jego zniszczenia. A w duszy wierzę, o Panie Panów, że mi pomożesz.

- Simmu - szepnął Ażrarn - tylko ludzie pamiętają, że mają duszę.

CZEŚĆ PIĄTA

Owoce granatu

1

Simmu obudził się nie pamiętając, kiedy zasnął lub kiedy Azrarn go opuścił. Słońce zalewało zwłoki Merhu oślepiającym blaskiem. Simmu miał w sobie podobny pałący blask, od którego nie mógł się uwolnić. Wiele nauczył się w ciemności. Dowiedział się, że jest śmiertelnikiem. Sam sobie zdawał się bardziej zmieniony, prawie nie do zniesienia. Niewinne żywiołowe cechy, które uprzednio umożliwiły mu praktykowanie czarów Eszwa, czysta bezwzględność, jedność celu i szybkość, z jaką do niego zdązał, wszystko, co czyniło go nieludzkim, teraz zniknęło. Odczuwał swoje człowieczeństwo nawet fizycznie. Czuł się ociężały i powolny. Przyglądał się samemu sobie we wspomnieniu, takiemu, jakim kiedyś był, i spoglądał na dawnego siebie ze zdumieniem i strachem, tak jak kiedyś patrzyli na niego ludzie. W rzeczywistości nie był jednak aż tak bardzo zmieniony. Metamorfozie podległ jego duch, a jego ciało nie odzwierciedliło jej pozytywnie. W oczach innych ludzi był wciąż kimś dziwnym i obcym. Tylko sobie wydawał się mniej dziwny i obcy.

Powstał i ze zwieszoną głową ruszył przez równinę, czując, że idzie bez celu, tak, jak tylko człowiek potrafi o sobie czuć.

Nagle w tej bezdźwięcznej, pozbawionej życia przestrzeni zabrzmiał jakiś głos. Simmu obrócił się, aby zobaczyć, kto woła - tylko on lub ryś mógł poruszać się tak zwinnie i szybko, lecz teraz nie miał już zaufania do swoich ruchów. Tam, po lewej ręce, jakieś trzydzieści stóp od niego, stała tajemnicza postać, brodaty starzec z ogoloną głową, odziany w skórę lamparta. Na jego ramionach widniały ślady bicia, a skórę miał niebieską. Simmu spojrział na nią i natychmiast przypomniała mu się Narasen.

- Nie trwóż się - rzekł mędrzec, którego Dżornadesz kazał wychłostać, choć bez skutku. - Trucizna już zanika w moim ciele i nie wyrządziła mi krzywdy. Widzę zresztą, że i ty znasz jedną lub dwie sztuczki i zdołałeś przeżyć. Lecz wszystko inne umarło.

- Część mnie również umarła.

- A więc oddaj ją śmierci.

- O nie, jemu poskąpiłbym nawet najmniejszej cząstki - odpowiedział Simmu, przypominając sobie ponuro własną obietnicę z

ostatniej nocy, a także wrażenie, że po jej wygłoszeniu Azrarn znudził się nim i odszedł, nie obiecując, że wróci.

- Mówienie o śmierci tak, jakby to był mężczyzna, to tworzenie mężczyzny, który ma być śmiercią - powiedział mędrzec. - Niegodziwość także przyobлека się w kształty, a ty wędrujesz nocą w towarzystwie, którego nie chciałbym dzielić.

Simmu ujrzał przed sobą w martwej trawie martwego węża. Ukląkł, podniósł węża i zaczął go oglądać.

- Muszę cię ostrzec - rzekł mędrzec zawodzącym głosem - że moc, która mnie wykorzystuje... albo ja ją, nigdy nie jestem tego pewien... zaraz we mnie wstąpi.

- I godzisz się na to? - zapytał Simmu ponuro.

- Raczej nie, ale odkąd ciebie zauważyłem, poczułem, że coś we mnie wzbiera i że wkrótce zacznę mamrotać jakieś bzdury. Niestety, będziesz musiał sam je sobie wytłumaczyć, co zapewne nie będzie łatwe.

Simmu zadrżał, nie wiedząc dlaczego. Nagle mędrzec rzucił się twarzą na ziemię i jął się wić w konwulsjach, jęcząc jak w napadzie szału. A po chwili, nie przestając trząść się i miotać, zawołał groźnym i wyraźnym głosem:

- Zastanów się nad niebieskością trucizny, która zabiła Merh i nad niebieską twarzą umarłego. Odnajdź granatowego pijaka kości. Krzycz o truciznie pośród zatrutych drzew.

Wyrzuciwszy z siebie te słowa, mędrzec powstał z wielką godnością i spokojem.

- Nie rozumiem... - zająknął się Simmu.

- Powiedziałem ci, że nie będzie to łatwe.

- Pijak kości... niebieskość... trucizna pośród zatrutych drzew...

- Czyżbyś myślał, nadobny młodzieńcze, że rozwiążę ci twoje własne zagadki? Jedno tylko ci powiem. Jeśli szukasz jakiejś konkretnej rzeczy i potrafisz złożyć do kupy słowa, które wypowiedziałem, a następnie je użyć, to tę rzecz już prawie odnalazłeś.

- Czego szukam? - Simmu zamknął oczy i wypuścił martwego węża z dłoni. - Jestem Wrogiem Śmierci - wyszeptał - a więc szukam zguby Śmierci.

Otworzył oczy i ujrzał, że dziki starzec odszedł już o kilka kroków.

- Zaczekaj! - krzyknął.

- Nie - odrzekł mędrzec. - Jesteś zbyt piękny, a ja ślubowałem czystość i nie chcę, by mi wyrosła trzecia noga, zawadzająca w wędrówce.

I nawet się nie obejrzawszy ruszył swoją drogą i wnet zniknął Simmu z oczu.

Simmu szedł bez celu, zataczając wielkie koło wokół miejsca, w którym się obudził. Nie zamierzał odchodzić daleko, a kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, poczuł gorączkową pewność, że po zapadnięciu ciemności nadejdzie ktoś inny.

W końcu słońce zaszło.

Cisza, do tej pory absolutna, zdawała się pogłębić jeszcze bardziej, co nie było możliwe. Nawet wiatr wstrzymał oddech.

Nad martwym Merhem zapłonęły wielkie i bezlitośnie zimne gwiazdy. Potem wzeszedł księżyc, biały sierp koszący cienie.

Było tak jasno, że Simmu nie mógł się mylić: nikt do niego nie przyszedł. Nagle wydało mu się, że już kiedyś poznał osamotnienie i chłód towarzyszące wzgardzonej miłości. A potem, kiedy leżał na nieczulej ziemi pod obojętnymi gwiazdami, spłynął na niego łagodny sen, obmywając go jak fala piasku na brzegu. Jednorożce tańczyły na zwęglonym wybrzeżu jeziora, a on tańczył wraz z nimi.

Wciąż w półśnie, Simmu powstał i zrzucił z siebie szatę pasterza. Księżyc palił go swym białym ogniem i jakaś cząstka polewy śmiertelności spłynęła z jego duszy. Pomyślał o Ażrarnie i wstrząsnął nim dreszcz, przenikający aż do rdzenia cielesności, a potem, wijąc się i dygocąc w rozkosznym bólu, jego ciało poddało się raz jeszcze przemianie. I Simmu - dziewczyna uniosła ramiona ku wąskiemu księżycowi i zaczęła tańczyć.

Tańczyła, lecz jej mózg wciąż był bardziej ludzki niż kiedyś i pomyślała, z odrobiną kobiecej przewrotności: Jestem teraz piękna, on wróci, a ja będę udawała, że o nim zapomniałam, tak, nawet o nim, o Panie wszystkich Panów.

Lecz kiedy nadszedł (być może opóźnił się, bo zajęty był inną rozrywką, a może tylko czekał na jakiś znak, że demoniczny element w Simmu jednak nie zanikł zupełnie), nie było żadnego udawania. Tańczącą Simmu okrył kłęb czarnego wonnego dymu, który ją odurzył i przyprawił o zawrót głowy, lecz nie przewrócił, tylko uniosł

ku gwiazdom. I patrząc poprzez ten dym, zobaczyła rozkołysany księżyc i gwiazdy, a potem wspanialsze od gwiazd oczy Ażrarna.

I poznała, że spoczywa w zagłębieniu nieba, otoczona ramionami demona. A on rzekł do niej łagodnie:

- Rozmawiałaś z łysym, brodatym lampartem. Co ci takiego powiedział?

- Że zagrażam jego czystości - odpowiedziała Simmu - dziewczyna i oplotła ramionami szyję Ażrarna.

Rozkosz pierwszego dotyku była tak wielka, że krzyknęła cicho. Lecz Ażrarn, równie łagodnie, jak uprzednio zadał jej pytanie, wyzwolił się z jej ramion i powiedział:

- Do mnie należy wybór chwili.

Wówczas Simmu odwróciła od niego twarz i ujrzała, że nie spoczywa w zagłębieniu nieba, lecz w czarnej puszczy piór na piersi orła, czarniejszej i rozleglejszej od środka nocy. W każdym razie tak jej się wydawało. Orzeł leciał ku wschodowi, a łopot jego skrzydeł był niby grzmot piorunów.

I rzekł grzmot:

- W twoim mózgu ujrzałem wyobrażenie mędrca, który mówił o kościach, o niebieskości i o truciźnie. Znam rozwiązanie tej zagadki i zabiorę cię do Domu Niebieskiego Psa, gdzie i ty je poznasz.

Dziewczęć opuściła Simmu, piórko na piersi orła, a w dole pomykał chyżo ziemski świat.

2

Leżała pogrążona we śnie w Domu Niebieskiego Psa. Lylas, czarownica. Śniła o Panu Uhlumie. Przemierzał świat wielkimi krokami, a ona dreptała za nim, czując się ważna i słysząc, jak ludzie wołają: „To umiłowana siostra Śmierci!”

Spała nago, przepasana jedynie sznurem ludzkich palców i okryta jedwabistym płaszczem swoich słynnych rdzawobrazowych włosów, pod którymi jęczała i przeciągała się miękko, śniąc o śladach Uhluma przed sobą i o skraju jego płaszcza, który od czasu do czasu muskał jej skórę.

Poza domem dzikie drzewa granatu szeptały do siebie złośliwie i rzucały na ziemię swe jadowite owoce, by ich pani mogła je rano podeptać. Jeśli nawet pamiętały o Narasen, to o niej nie mówiły. Rozmawiały o księżycu, o tym, jak by to było dobrze omotać go

gałęziami i uwięzić, bo będąc niewolnikami uwięzionymi w glebie, drzewa zazdrościły innym wolności.

Uhlum, w tym śnie, mijał szubienicę, a kiedy i ona ją mijała, sznur otarł się o jej pierś. Otworzyła oczy i ujrzała olbrzymiego niebieskiego psa, który lizał ją lubieżnie. Widząc, że się przebudziła, zaszczekał:

- Coś nadchodzi.

- Co, durniu?

- Słyszałem łopot skrzydeł. Część nieba opadła na łąkę i uciekłem. Potem spojrzałem za siebie i zobaczyłem mężczyznę, który nie był mężczyzną i młodzieńca, który nie był młodzieńcem.

- Czy zamierzasz bawić się w słówka ze mną? - zaszczekała czarownica.

- Ależ skąd, o przemiła pani - zaskomlał pies. - Ale to właśnie widziałem, jakem twój sługa.

W tym momencie ktoś uderzył w mosiężne drzwi domu czarownicy. Lylas zmarszczyła czoło, bo ci, którzy szukali jej pomocy, nie robili zwykle takiego hałasu. Smagnęła psa swoimi włosami.

- Leć. Zobacz, kto puka.

- Boję się - zaskomlał pies, lecz natychmiast wybiegł z komnaty.

A kiedy rozwarły się mosiężne drzwi, stanął w nich, szczekając groźnie:

- Kim jesteś?

- Jestem Ażrarn, Książę Demonów - odrzekł wysoki, mroczny mężczyzna - a tego młodzieńca możesz uznać za mojego syna. A teraz idź i oznajmij mojej pani od jadowitych granatów.

Pies pomknął posłusznie, z ogonem między nogami, głośno dzwoniąc porcelanowymi szczękami i zgrzytając szklistymi pazurami po posadzce.

Goście szli za nim z o wiele większą godnością. Wspięli się po schodach i weszli do komnaty z wieloma niebieskimi lampami, w których kwitły różowe płomyki. Zasłona rozchyliła się i wbiegła czarownica. Z twarzą białą jak kreda rzuciła się Ażrarnowi do stóp, omiatając kobierzec włosami.

- Panie wszystkich Panów - zawołała - czuj się w moim domu lepiej niż ja sama i miej litość nad swoją służebnicą.

- Niech ci się wydaje, że jestem litościwy - rzekł Ażrarn - i powstań.

Czarownica podniosła się. Odrzuciła część włosów, tak by ukazać pączki swoich piersi, lecz sznur ludzkich kości pozostawiła zakryty. Obrzuciła krótkim spojrzeniem swoich gości, po czym opuściła skromnie powieki. Jeden z nich był nagi - bardziej nagi od niej - więc uznała go tylko za niezwykle pięknego młodzieńca, nic więcej. Będąc jednak kobietą mądrą i doświadczoną, nie musiała się zastanawiać, czy ten drugi jest tym, za kogo się podawał.

- Czy mogę coś uczynić dla mojego pana? - zapytała. - Może srebrne krzesło wysłane aksamitem, aby mógł w nim zasiąść? Może trochę wina z oddechu letniego lotosu? Może nieco muzyki? Zapalić kadzidło? Chciałabym tylko usłużyć memu panu.

- Możesz być spokojna, na pewno mi usłużyysz - rzekł Ażrarn, a Lylas przeszedł dreszcz.

Potem delikatnie położyła dłoń na ramieniu młodzieńca. Niezwykłe oczy młodzieńca zamigotały - Ażrarn musiał mu coś przekazać. Teraz przemówił ów młodzieniec, a jego spokojny lecz czysty głos brzmiał tak, jakby rzadko był używany.

- Moją matką była Narasen, królowa Merhu. Czy ją sobie przypominasz?

- Ja?... Wielu odwiedza mój dom.

Młodzieniec nachmurzył się. Czarownica, nawet nie patrząc na niego, wyczuła w nim nagle zagrożenie, jego własne, niezależne od tego, którego mu użyczył sam Ażrarn.

- Przy twoim pasie wisiała kiedyś kostka z palca mojej matki - powiedział młodzieniec. - Zawarła układ z kimś, kogo darzysz szacunkiem, komu jesteś pośrednikiem. Kiedy umarła, zmieliłaś tę kostkę, jak to masz w zwyczaju, zmieszałaś z winem i wypijałaś, aby odnowić swą młodość.

- To prawda - odpowiedziała Lylas. - Teraz przypominam sobie tę szlachetną panią. Nie uczyniłam jednak niczego, co nie było uzgodnione z nią i z moim panem, pod którego jestem opieką.

- Uczyniłaś. Jedną rzecz.

- Jaką rzecz? - zawołała Lylas podnosząc głowę, by spojrzeć na młodzieńca i teraz nie dbała już o to, w jaki sposób jego oczy rysia odwzajemniają jej spojrzenie.

- Truciznę, która odebrała Narasen życie. Przyrzuciłaś ją w tym celu.

- Ja?... - wyrzuciła z siebie Lylas, lecz cofnęła się o krok.

Tak było. Lylas nie polubiła Narasen widząc, jak wyniośle traktuje Pana Śmierć, tym bardziej że on sam jej za to nie zgał. Opanowała ją zazdrość, bo była zazdrosna z natury. Zerwała czerwony owoc granatu, wydłubała jego dziwnie niebieski trujący miąższ i zrobiła z niego śmiertelny napój, który wlała do małej buteleczki. Odtąd dzień po dniu i noc po nocy bawiła się tą buteleczką, rozmyślając, jaki można z niej zrobić użytek. W końcu wysłała szpiega do Merhu - miała władzę nad różnymi robakami i jaszczurkami. Jej wysłaniec potrzebował wiele miesięcy na to, by dotrzeć do miasta, a potem z niego wrócić, ale wreszcie przyniósł jej wiadomość o tym, co dzieje się w pałacu. Czarownica założyła na siebie przebranie (miała ich sporo) i sama wyprawiała się do miasta. Tam odnalazła dom sprzedajnego lekarza, który nieraz pomagał Dżornadeszowi w nieczystych sprawach. Wszedłszy do jego domu w sposób niezbyt zgodny z prawami natury, pojawiła się zniecka w jego pracowni i zaproponowała sprzedaż buteleczki.

- A niby czemu miałyby mnie interesować takie paskudztwo? - zapytał lekarz, starając się ukryć niepokój wywołany jej nagłym i niezbyt naturalnym pojawieniem się w jego domu.

- Czyżby w mieście nie było kogoś, kto jest żądny władzy i zaszczytów, kto marzy o tronie Merhu?

Lekarz zakasłał nerwowo.

- Merh ma już królową.

- Tak, królową, która wkrótce zlegnie, by porodzić dziecko. A kiedy dziecko przyjdzie na świat, a ona będzie słaba po takim wysiłku, może zażądać czegoś do picia.

- Twoje słowa pachną zdradą.

Lecz po dalszej pogawędce z czarownicą zapytał:

- A niby dlaczego ta twoja trucizna miałaby być lepsza od tej, którą sam mogę przyrzucić?

- A dlatego - odparła Lylas - że jeśli zastosuje się odpowiednią dawkę, można spowodować, by śmierć nastąpiła w najodpowiedniejszej chwili. Co więcej, ten napój nie wywołuje bólu, a za to czyni ofiarę bezwolną i bezsilną, tak że nie może zawołać o

pomoc. A ślady pojawiają się dopiero w kilka godzin po ostygnięciu zwłok.

- Mam na to tylko twoje słowo.

- Możesz go na kimś wypróbować, jeśli chcesz. Sprzedajny lekarz zwabił więc do swego domu jakiegoś ulicznika i zmusił go do wypicia odrobiny napoju. Nieszczęsny chłopiec wyzionął ducha o przewidzianym czasie, cicho i w rozpaczy, a jego ciało nie zrobiło się natychmiast niebieskie.

Lylas otrzymała za fiolkę trzy sztuki złota. Nie wydała ich, bo niczego nie potrzebowała, lecz ukryła w dzbanku w swoim domu. W ciągu szesnastu lat od śmierci Narasen od czasu do czasu wyjmowała złote monety i bawiła się nimi z uśmiechem na ustach.

Teraz jednak nie miała ochoty do śmiechu.

- To kłamstwo - powiedziała. - Kto naopowiadał ci takich kłamstw?

- To nie kłamstwa - odparł Simmu. - I ciesz się, że o tym wszystkim nie dowiedziała się mściwa Narasen. Wiedz, że dopiero co opuściła Śródziemie i uśmierciła cały Merh.

- Ciesz się również - dodał Ażrarn - że nie wie o tym twój pan. Uhlum lubi zawierać układy z ludźmi, a kto będzie się z nim układać, jeśli wszyscy się dowiedzą, że nie można mu ufać, że wysyła swoich pośredników, by zabili ciało śmiertelnika, z którym zawarł układ, i zabiera sobie jego duszę przed umówionym czasem?

Lylas jeszcze bardziej pobladła. Okazała wielką głupotę i to w sposób, w który może ją okazać tylko ktoś bardzo mądry i sprytny, a pojęła to dopiero teraz. Ponownie upadła na twarz, lecz tym razem objęła stopy Simmu.

- Cudowny młodzieńcze, zniosę każdą karę, spełnię każde twoje życzenie. Tylko je wypowiedz, a natychmiast je spełnię. Ukarz mnie, wychłószcz, wszystko zniosę. Błagam tylko o jedno: nie wydaj mnie przed Władcą Ciemności, Uhlumem.

Simmu spojrział na Ażrarna, szukając rady, a w jego mózgu natychmiast zapłonął strzęp wiedzy przekazanej przez Księcia Demonów. Rzekł więc do czarownicy:

- Nie powiem Uhlumowi niczego, jeśli odpowiesz mi na pewne pytanie.

- Odpowiem na każde - odpowiedziała wiedźma, po raz drugi okazując głupotę.

- Powiedz mi, co takiego powiedziałaś Panu Śmierci, że po raz pierwszy zgodził się zawrzeć układ z tobą.

Simmu wypowiedział te słowa bezmyślnie, ulegając tajnemu impulsowi przekazanemu przez Ażrarna. Gdy tylko je wypowiedział, oczy mu się rozszerzyły, bo wyczuł ich skutek. Oczy czarownicy również się rozszerzyły.

- Zapytaj mnie o co innego - wyjąkała - bo tego nie mogę ci powiedzieć.

- Nie zapytam o nic innego. Chcę odpowiedzi właśnie na to pytanie.

- Panie wszystkich Panów... - zaczęła Lylas, zwracając się do Ażrarna.

Lecz Ażrarn tylko na nią spojrział, a dobroczynny wpływ tego spojrzenia przypomniał jej o bliskości jego królestwa i królestwa Uhluma, a także o łatwości, z jaką jeden z Władców Ciemności może przekazać coś drugiemu.

Wówczas Lylas zaczęła głośno przeklinać. Przeklinała drzewa granatów w zdiczałym sadzie za skuszenie jej do użycia trucizny. Przeklinała małą fioletkę, przeklinała sprzedajnego lekarza i przeklinała Dżornadesza. Nie przeklinała własnego błędu, nie przeklinała też Simmu, widząc, jak potężnego ma sprzymierzeńca.

Przebiegły intelekt Ażrarna pozwolił Simmu domyślić się, że Lylas nie zawsze była służką Śmierci i na samym początku nie ośmieliłaby się nawet zbliżyć do Pana Uhluma, a on z pewnością nie słuchałby słów zwykłej wiedźmy, gdyby nie miała nad nim jakiejś przewagi. Było oczywiste, że odkryła jakiś słaby punkt w nieprzenikliwej zbroi Pana Śmierci. Na tyle słaby, by wykorzystując tę słabość mogła zostać jego służebnicą, obdarowaną w dodatku przez niego sposobem wiecznego przedłużania sobie młodości.

Simmu, teraz już w pełni tego świadom, schwycił czarownicę za gardło.

- Skoro tak bardzo kochasz Pana Śmierć, zaraz cię do niego pošlę.

- Nie - zapiszczała Lylas - jeszcze nie jestem na to gotowa. Odpowiem ci.

Lecz gdy Simmu ją puścił, w jej oczach mignął chytry błysk: zamierzała skłamać.

- Nie musi już odpowiadać - rzekł Ażrarn. - Ujrzałem odpowiedź.

Czytał bowiem w jej mózgu z taką łatwością, jakby spoglądał w otwartą księgę.

Była już mowa o tym, że jako czternastoletnia dziewczyna, idąc raz przez wzgórza przed zachodem słońca, Lylas spotkała Pana Śmierć pod szubienicą z trzema wisielcami. Wspomniano też, że rozmawiali ze sobą przez chwilę, ale nie wspomniano o czym. A oto, o czym była ta rozmowa.

- Panie - powiedziała Lylas - zginam przed tobą kolana, bo ktoś nie pojmuję, że jesteś większy od wszystkich królów tej ziemi, większy nawet od samych bogów. A moje serce drży z lęku.

- Czy mnie potrzebujesz? - zapytał Uhlum.

- Nie, bo jestem młoda i pełna życia. Pragnę cię jednak wielbić za twoją piękność i za twój straszliwy majestat. Drzę cała, bo kiedy stoję przed tobą, moje życie wisi na włosku.

- Każde życie wisi na włosku - rzekł Uhlum, Pan Śmierć.

- Dzisiaj tak, lecz może pewnego dnia ludzie znajdą jakąś odtrutkę na śmierć. O, biada nam wówczas, bo twoje surowe prawo jest dobre i potrzebne! Cóż za potworem stałaby się ludzkość, gdyby mogła żyć wiecznie i śmiać się... wybac mi, panie, nie moja to nadzieja... śmiać się ze śmierci.. A ty, Królu Królów... co stałoby się z tobą?

Może to bogowie stworzyli Pana Śmierć. A może stworzyli go ludzie - cień swojego przerażenia na murze, imię, które przybrało kształt. Od jak dawna istniał? Dostatecznie długo, by uzyskać, w jakkolwiek dziwny i niejasny sposób, świadomość samego siebie. Albo świadomość tego, kim musi być. I oto ten, który potrafił ronić beznamiętne łzy, który potrafił okazać nieczuły żal, teraz poczuł ościę pustego niepokoju. Nie na wspomnienie samego życia, bo życie było na śmierć podatne... lecz na wspomnienie życia, które tę podatność na śmierć utraciło, życia, które mogło śmierć zanegować. Bowiem nawet Śmierć nie pragnie śmierci.

To albo prawie to, zrozumiała Lylas.

- Nauczali mnie mądrzy i niegodziwi - mówiła dalej ochryłym głosem, pełnym strachu, uwielbienia i fałszu - i dowiedziałam się niejednego. Popraw mnie, jeśli wprowadzili mnie w błąd. Mówią, że w krainie bogów, w Nadziemni, jest studnia, w której przechowywana jest Woda Nieśmiertelności. Żaden ze śmiertelników nie może dotrzeć do tego miejsca, a jeśliby nawet dotarł, studnia jest dobrze strzeżona.

Moi nauczyciele powiedzieli mi jednak, może się mylili, nie wiem, że jest legenda o innej studni, która znajduje się na Ziemi. A położenie tej drugiej studni odpowiada dokładnie położeniu Studni Nieśmiertelności w krainie bogów: jedna jest usytuowana dokładnie pod drugą. Nikt z ludzi nie zna położenia żadnej z tych studzien, ani studni umiejscowionej w Nadziemiu, ani jej siostry na Ziemi. Ta ostatnia zawiera zresztą tylko czystą wodę. Moi mistrzowie powiedzieli mi jednak, że studnia leżąca niżej nie jest dziełem przypadku. Może to taka zabawa bogów: pewnego dnia niebiańska Studnia Nieśmiertelności pęknie, a mówią, że zrobiona jest ze szkła, i kilka kropel Elixiru Wiecznego Życia spadnie do ziemskiej studni, która została tak dokładnie umiejscowiona właśnie po to, aby tak się stało. Cóż to by było za nieszczęście, panie mój, gdyby w owej godzinie jakiś człowiek natknął się na tę ziemską studnię i poznał jej tajemnicę. Bo nie ma przy niej strażników. Tak przynajmniej mówią.

Pan Śmierć nie okazał niczym, że przejął się tymi słowami. Zapytał tylko:

- A dlaczego opowiadasz mi tę legendę?

- Dlatego, panie, że będąc Władcą Ciemności możesz znać położenie studni nadziemskiej i w ten sposób poznać położenie studni ziemskiej. I możesz postawić tam swoich strażników, aby jej strzegli, oczekując dnia, w którym z Nadzemia spadną krople nieśmiertelności. A jeśli jest to dla ciebie niewygodne, uczyni mnie swoją służebnicą, a ja tego dopilnuję. Chociaż jestem słaba i młoda, jestem sprytna i zręczna. I znam się na wielu rzeczach.

- A ty sama - rzekł Uhlum - jeśli bym powierzył ci taką tajemnicę, nie wykorzystalabyś jej, służąc ludziom?

Czarownica była bystra i przebiegła, i wiele już przeżyła, choć miała dopiero czternaście lat. Ludzie korzystali z jej umiejętności, a ona wykorzystywała ludzi. Lecz oto stał przed nią ktoś, kto był kimś więcej niż człowiekiem, kimś piękniejszym i bardziej przerażającym, niż jakikolwiek człowiek był i będzie. Tęskniła za jakimś ideałem, a ten ciemny i groźny ideał silnie przemawiał do jej młodości i inności. Padła więc przed Panem Śmiercią i powiedziała, że będzie mu służyć z całym oddaniem i na przekór całej ludzkości, a szczerą mroczną namiętności promieniowała z jej mózgu i serca, więc Pan Śmierć dostrzegł to i obdarzył swoim zaufaniem. Prawdą jest jednak, że uczynił ją swoją służebnicą i w innych sprawach, wiążąc ją w ten

sposób ze sobą, umożliwił jej też wieczne odnawianie młodości przez picie sproszkowanych kości w winie, a wszystko po to, by nie uległa pokusie wypicia Napoju Nieśmiertelności, gdyby kiedykolwiek spadł z nieba. Może więc nie był jej taki pewny.

Jeśli chodzi o tajemniczą studnię na Ziemi, to odnalazł ją z łatwością, bo Śmierć może odnaleźć każde miejsce. Choć nigdy nie wkraczał do Nadziemia (bo w tamtych czasach bogowie nie umierali) znał położenie Świętej Studni, a znając je, bez trudu odkrył położenie dolnej studni. Zabrał tam Lylas, otuloną białym całunem jego płaszcz, nie poznała więc drogi do tego miejsca. Tam ją pozostawił, by zrobiła to, co do niej należało. Jego osoba były zbyt abstrakcyjna i zbyt przerażająca, by mógł pojawić się między ludźmi i zawierać z nimi przymierza, potrzebował pośrednika. Nie odpowiadało mu zresztą takie zajęcie. Wyposażył więc Lylas w dodatkową moc i uczynił wszystko, by odtąd łączono ją z jego imieniem. Tam właśnie, w krainie, gdzie umiejscowiona była tajemnicza ziemská studnia, narodziła się jej późniejsza sława. Później, gdziekolwiek zamieszkała, natychmiast rozchodziła się między ludźmi wieść: to ta, która rozmawia ze Śmiercią.

Lylas puszyła się i zadzierała nosa, ale potrafiła dokonać tego, co przyrzekła. Za pomocą zaklęć i różnych czarów podporządkowała sobie lud tej krainy, w owych czasach ciemny i prymitywny. Pozostawiła tam po sobie mit i przykazania, a także ustanowiła strażników przy maleńkiej, zmulonej i zarosłem mchem dziurze w ziemi, czym okazała się owa druga studnia.

Teraz jednak, płaszcząc się ze strachu przed Ażrarnem w Domu Niebieskiego Psa, wiedząc, że demon wygarnął całą tę opowieść prosto z jej mózgu (nikomu nie udało się wykraść jej z jej ust), Lylas przeklinała chwilę, w której oddała się na służbę Panu Śmierci, owego ranka, pod szubienicą, przed dwustu i osiemnastoma laty.

- Prześwietny i wszechmocny Panie wszystkich Panów - jęknęła - nie rób użytku z tej wiedzy. Już lepiej by było, gdybym wyznała memu panu inny swój występki: jak przyczyniłam się do śmierci Narasen. Ukarze mnie, gdy się o tym dowie, to pewne. Ale gdyby miał się dowiedzieć, że zdradziłam istnienie tej drugiej studni... Nie! Och, zlituj się nade mną!

Ażrarn odszedł jednak między jednym a drugim z jej żalonych westchnień i jęków, zabrawszy ze sobą pięknego młodzieńca.

Lylas wyła, bijąc pięściami w podłogę.

Kiedy w końcu się uspokoiła, podeszła do stołu i otworzyła hebanową szkatułkę, która tam leżała. Wewnątrz znajdował się maleńki bębenek, ale nie ten, którym wzywała Uhluma. Bębenek zrobiony był ze starego czerwonego drewna, obciągniętego skórą zdartą z jakiegoś nieznanego czerwonego stworzenia.

Czarownica usiadła i zagryzając wargi ze strachu zaczęła uderzać w bębenek dłońmi o siedmiu palcach.

Ażrarn mógł bez żadnego kłopotu umiejscowić tajemną drugą studnię, bo i on znał dobrze położenie pierwszej. Zabrał jednak Simmu tylko na szczyt jakiegoś wzgórza i tam, pod białym deszczem gwiazd, powiedział mu to, co uznał za konieczne, a potem go pożegnał.

Simmu uśmiechnął się ludzkim uśmiechem, w którym nie było radości.

- Teraz, kiedy już jestem w pełni śmiertelnikiem, opuszczasz mnie. Kim jednak mam być dla samego siebie, skoro jestem niczym w twoich oczach?

- Bohaterem - odrzekł Ażrarn. - Dawcą zamieszania i uniesienia.

Tak - powiedział Simmu, a jego zielone oczy zaśniły i pojawił się w nich przekorny błysk, jaki miewały oczy Eszwa, gdy zamierzały spłatać komuś figła. - I sprowadzę śmierć na Pana Śmierć. Na razie nie widzę jednak sposobu, panie mój, chyba że w nadziemskiej cysternie pojawi się szczelina. Ale jak tego dokonać?

Ażrarn odpowiedział z pogardliwą czułością:

- Śmiertelnicy podlegają przeznaczeniu. Znajdziesz sposób, bo takie jest twoje przeznaczenie.

Simmu spojrział na niego. W jego oczach znowu zagościł smutek.

- Wyglądasz teraz jak ktoś inny - rzekł Ażrarn.

- Kto?

- Ktoś, kto ma na imię Żyrem.

- Kto to taki?

Ażrarn przecesał palcami długie włosy Simmu i powiedział:

- Wzywałeś go, kiedy ogarnął cię strach.

- Nie... a gdyby nawet, to tego nie pamiętam.

- Zapominasz, tak jak demony.

- I o mnie zapomnisz - powiedział Simmu płaczącym kobiecym głosem, ponieważ pod pieszczotliwym dotykiem Ażrarna zmienił się

w kobietę. - Pewnego dnia będę cię wzywał, o panie mojego życia, a ty mnie nie usłyszysz.

- Usłyszę cię - odrzekł Ażrarn - a kiedy spalisz ten zielony klejnot, który nosisz na szyi, odpowiem ci. Niech to będzie nasz tajemny znak.

Wówczas Ażrarn pocałował ją w usta, a od tego pocałunku wszystko, co było Simmu, ciało i dusza, zajęło się płomieniem. Lecz w tym samym momencie Książę Demonów zniknął.

Simmu - dziewczyna, Eszwa, udręczony mężczyzna - pozostała sama ze swoim ciężkim, heroicznym zadaniem, samotna na owym zboczu świata pod deszczem białych gwiazd.

KSIĘGA
DRUGA

CZEŚĆ PIERWSZA

Ogród Złotych Cór

1

Nie opowiedziano o dokładnym położeniu tej drugiej studni. Bez wątpienia należy jej szukać gdzieś w pobliżu środka Ziemi, ale daleko od czarnych, gorejących wulkanów. Kraina studni nie była ani piękna, ani żyzna; była to pustynia, przez którą płynęła jedna rzeka, zmierzająca do odległego morza. Ludzie żyli tylko nad brzegiem tej rzeki. Tu uprawiali rolę, łowili ryby i polowali na zwierzęta mieszkające w nadrzecznych mokradłach. Na samą pustynię rzadko się zapuszczali, bo budziła w nich lęk i chyba słusznie. Można było wędrować przez tysiąc mil i nie napotkać wody; a w każdym razie tak wierzono. Woda była tylko w jednym miejscu. O dzień drogi od rzeki z piaszczystych diun wyrastało samotne skupisko gór. Było ich dziewięć i tworzyły krąg, wewnątrz którego była dolina, z wyjątkiem samego środka równie jałowa i piaszczysta jak reszta pustyni. W samym środku znajdowała się obrośnięta mchem dziura, mała, lecz głęboka, a gdy się do niej zajrzało, można było uchwycić wzrokiem powierzchnię mętnej, niebieskozielonej wody. To właśnie była owa druga studnia.

Dwieście osiemnaście lat przed przybyciem Simmu do Domu Niebieskiego Psa Uhlum zawiódł swoją dobrowolną służebnicę do krainy studni. Miała wówczas czternaście lat i była odurzona swoim sprytem i sukcesem.

Lylas wędrowała pośród ludu rzeki w przebraniu kapłanki, czyniąc cuda i upewniając wszystkich w przekonaniu, że muszą się z nią liczyć. Mówiła im, że przysłał ją pewien bóg, ale nie wymieniała jego imienia. Aura Uhluma nadawała jednak temu, co o sobie mówiła, posępnego znaczenia. Kobieta - dziecko, nierządnicą i czarodziejka okryta niewidzialnym płaszczem magicznej mocy, pouczała lud rzeki, który był jej posłuszny.

Powiedziała im, że pierścień dziewięciu gór tworzy święte miejsce. Dolina między tymi górami jest święta. A przede wszystkim święta jest owa niepozorna, zamulona dziura w ziemi. Dlatego każda z tych rzeczy musi być dobrze strzeżona, a lud rzeki powinien uważać się za lud błogosławionych wybrańców bezimiennego boga, bo jemu właśnie powierzone zostało ich strażowanie. Kiedy uznali to, pełni lęku, powiedziała im, że powinni poświęcić część swojej młodzieży,

najsilniejszych i najodważniejszych młodzieńców, i utworzyć z nich doborowe oddziały, które patrolowałyby pustynię. Ludzie zamruczeli, już z mniejszą ochotą, że oczywiście okażą owemu posępnemu bogowi posłuszeństwo. Ale to nie wszystko, powiedziała im czarownica. Muszą zbudować wieże strażnicze, aby można z nich było dostrzec zbliżanie się wszystkich obcych przybyszów. Trzeba ich wówczas otoczyć i nakazać im, by zawrócili, a jeśli nie zechcą - zabić. To się rozumie, zamruczeli ludzie, tupiąc nogami w piasek. Czy jednak takie środki ostrożności wystarczą? Nie, odpowiedziała czarownica, ale niech się o to nie martwią. Ona sama ustanowi strażników w górach, istoty nieludzkie, które nie będą niepokoić swoich śmiertelnych sprzymierzeńców, a za to będą śmiertelnie groźne dla intruzów z zewnątrz. Ludzie pocili się ze strachu i przez grzeczność składali to na karb pogody. Na tym jednak nie koniec, oświadczyła czarownica. Trzeba zbudować mur wokół świętej doliny, przez który nikt nie będzie mógł się przedostać, nawet ich własni wartownicy, a wewnątrz tego muru trzeba umieścić dziewięć trzynastoletnich dziewczic, które będą tam pełnić służbę przez dziewięć lat. Po upływie tego okresu zmieni je następne dziewięć dziewcząt, a ów święty obyczaj będzie trwał aż do końca czasu. Dziewięć dziewczic? Ludzie byli tym nieco zaskoczeni. Tak, dziewięć nietkniętych dziewczic, odpowiadała czarownica, a co więcej, żadnemu mężczyźnie nie będzie wolno wejść poza obręb muru, a jeśli któryś spróbuje, musi ponieść śmierć. Jak te dziewczice tam przeżyją? Nie ma tam przecież nic do jedzenia, a woda w tej świętej studni - nie obrażając posępnego boga - nie nadaje się do picia.

- Nie przejmujcie się tym - odrzekła czarownica. - Kiedy dokończę swego dzieła, ta dolina będzie wspanialsza od najcudowniejszego ogrodu. Wasze córki będą błagać o świętą służbę, a kiedy nadejdzie godzina ich powrotu, będą ronić gorzkie łzy. Zadbajcie tylko o to, żeby te dziewięć wybranych dziewcząt odznaczało się pięknnością, bo nie ścierpię żadnej brzydkiej dziewczuchy w moim ogrodzie, nie mówiąc już o obrazie boga.

Miała wówczas czternaście lat i rozpierała ją pycha.

W jej czternastoletniej świadomości rodziły się czternastoletnie fantazje, a ona je urzeczywistniła. Nieludscy strażnicy - cóż to były za potwory! Z rogami i kopytami, z wieloma jadowitymi kłami, z ogonami splecionymi z węzów i z głowami tygrysów, a czasem ze

skrzydłami. Niektóre ziały ogniem, inne wydawały z siebie straszliwe dźwięki. Ukrywały się w jaskiniach, w dolnych częściach gór, albo wygrzebywały sobie nory w piasku, u stóp gór, lecz wyłaziły natychmiast, gdy ktokolwiek pojawiał się w pobliżu, tak że dni i noce na pustyni zamieniły się w piekło złowrogich ryków, tupotów, grzmotów i pióropuszy ognia. Pojawiły się całe plemiona tych niezbyt przyjemnych istot, bo wiedźma nigdy nie wiedziała, czy jest już ich dosyć. Nie krzywdziły ludu rzeki, to prawda, lecz gdy tylko zabłąkał się na pustyni jakiś wędrowiec, rozdzierały go na strzępy diamentowymi szponami.

Tymczasem ludzie wzniesli wysoki mur wokół doliny. Nie ulega wątpliwości, że musiały im pomagać czarodziejskie moce, bo mur miał wysokość dziewięciu dorosłych mężczyzn stojących sobie na ramionach, a - jak mówią - zbudowano go w zaledwie miesiąc. W murze była wąska furtka, która otwierała się tylko raz w ciągu dnia, o zachodzie słońca. Trzeba też dodać, że przy furtce była straż o wiele straszniejsza od tej, o której już tu wspomniano. Sam mur palił każdego, kto go dotknął, a ze szczytu strzelały białe błyskawice, na wypadek, gdyby ktoś zapomniał, gdzie mur się znajduje. Nawet doborowe oddziały młodzieńców, przeczesujące pustynię, strażujące na specjalnych wieżach i na zewnętrznych stokach gór, trzymały się z dala od tych murów.

W końcu Lylas udała się samotnie do jałowej doliny ze studnią pośrodku. Wzięła ze sobą kamień, jeden z trzech danych jej przez Uhluma, i cisnęła go przed siebie. A tam, gdzie kamień upadł, wytrysnęła z jakiejś podziemnej pieczary biała i chłodna fontanna. Potem rzuciła drugi i trzeci kamień, a cała dolina rozbrzmiała muzyką pluszczącej wody. Wówczas Lylas, mocą własnej magicznej sztuki, która godna była podziwu, stworzyła obiecany ogród. Część kwiatów, krzewów i drzew była ułudą, część była prawdziwa, a część sama wyrosła w ciągu lat, sycąc się nagłym wypływem wody. Było to miejsce o nieporównywalnej z niczym piękności, a dla ludu pustyni, sądzącego do tej pory, że rzeka i jej mokradła to szczyty ogrodniczych możliwości, było snem o raj, o którym uprzednio nawet nie marzyli. Czarownica nie omieszkała im tego baśniowego ogrodu pokazać. Wzdychali z zachwytu, a małe dziewczynki otwierały szeroko oczy i pytały z wypiekami na policzkach: „Czy mogłybyśmy zostać strażniczkami świętej studni?” To, w każdym razie, Lylas mądrze

przewidziała. Być może jednak popełniła błąd, umieszczając dziewczęta wewnątrz muru, choć sama uważała swój pomysł za mistrzowski. Miała już dość mężczyzn i włóczęgi i być może w tej dolinie urzeczywistniła własne marzenia - kojąc spokój wśród zielonych cieni i dziewięć dziewczic, które przez dziewięć lat nie będą miały nic wspólnego z samczymi zabawami mężczyzn, tych cuchnących kozłów, którymi już się przesycała i które ją mierziły. Może też wyraziła w ten sposób tęsknotę za swoim dawno utraconym dziewictwem, ona, która od dzieciństwa sprzedawała się za monety lub za lekcje czarnej magii. W każdym razie jej samej wydawało się, iż awangarda niewinnych dziewczic będzie ostatecznie najlepszą ochroną studni. Jak wiele kobiet, które same są aktywne, przedsiębiorcze i utalentowane, a wokół siebie widzą tylko kobiety łagodne, bierne i kochające dom, Lylas uważała się za kogoś wyjątkowego, kogoś jedyne w swoim rodzaju. Wierzyła, że te dziewczice w ogrodzie będą zachwycone swoją rolą, będą uważać się za wybranki losu. Będą bawić się, spacerować, zajmować różnymi kobiecymi sprawami i nigdy im nie przyjdzie do głowy, by zbadać samą studnię lub oddalić się od niej, co z pewnością przysłoby do głowy każdemu mężczyźnie (jako że wszyscy mężczyźni są potencjalnymi bohaterami).

Dwieście jeden lat później, po spotkaniu Narasen, usłużność Lylas została wystawiona na ciężką próbę. Wtedy jednak już od dawna porzuciła strażowanie drugiej studni, uważając, że zrobiła wszystko, co do niej należało.

Przy pomocy Uhluma czarownica zachowywała wieczną młodość i fizycznie wcale się nie zmieniała, natomiast jej umysł i uczuciowość podległy pewnej zmianie. Jako czternastoletnia dziewczyna wykazywała godną uwagi pewność siebie i doświadczenie życiowe, lecz prawdę mówiąc, po dwustu trzydziestu latach, w czasie, gdy spotkał ją Simmu, była trochę niedojrzała.

W przeciwieństwie do czarownicy, Ziemia podatna była na zmiany, a Kraina Studni nie była wyjątkiem. I właśnie owe statyczne tradycje, które czarownica tam zaszczepiła, okazały się czynnikiem przyspieszającym zmiany.

Przede wszystkim prymitywny lud rzeki nabrał uderzającej wyniosłości i pychy. Ostatecznie został wybrany przez boga, by strzec jego sanktuarium. Bezpośrednim skutkiem pychy była odwaga i duch

odkrywczy, cechy nowe, uprzednio tam nieznane. Pustynia nadal pozostawała niedostępna, lecz mieszkańcy nadrzecznych mokradeł zaczęli budować łodzie. Po dziesięciu latach pływali już śmiało w dół rzeki, napotykać inne osiedla ludzkie, a w końcu docierając do morza. To dało im wiele do myślenia. Zauważyli, na przykład, że żadne inne osiedle nie zostało specjalnie wybrane przez żadnego boga, a chociaż w niektórych utrzymywano, że tak było, brakowało na to dowodów. Wyniosłość i pycha zrodziły jeszcze większą wyniosłość i pychę i wkrótce rzeczni ludzie stali się wojownikami i rozbójnikami, którzy rabowali wszystko co najlepsze i zwozili na swoje mokradła, rozpowiadając wszem i wobec, że to danina na rzecz świątyni ich boga. Po dwudziestu latach zaczęli budować coraz lepsze okręty i wykuwać coraz lepszy oręż, aby rabować coraz skuteczniej i coraz dalej od swoich domów. Po pięćdziesięciu latach nad brzegami rzeki zdążyło wyrosnąć otoczone białymi murami miasto z wiszącymi ogrodami i połączanymi dachami. W owym mieście - zwanym Weszum, czyli Miasto Błogosławione - na zachodnim brzegu można było zobaczyć posąg z czarnego obsydianu wyobrażający ponure czarne bóstwo. Czarownica musiała od czasu do czasu uronić słówko lub dwa o wyglądzie Uhluma, lecz posąg w niczym go nie przypominał, przypominał raczej owe straszliwe potwory włóczące się po stokach dziewięciu gór, ziejące ogniem, łopoczące ohydnyimi skrzydłami i rozdzierające na strzępy podróżników, którzy okazali dość naiwności, by tam się znaleźć.

Jest bardzo prawdopodobne, że nikomu nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby popłynąć w górę rzeki do samego Weszum, a tym bardziej, by wspinać się na skaliste góry tylko po to, by obejrzeć sobie zamuloną dziurę pośrodku jałowej doliny. Kiedy jednak rozkwitło całe to piractwo, a w mieście zaczęły się gromadzić bajeczne bogactwa, kiedy mieszkańcy Weszum jęli się wszędzie chełpić swoją potęgą i swoim bogiem, kiedy wędrowcy zaczęli raz po raz ginąć w szponach straszliwych potworów, a na pustyni wyrosły wieże strażnicze i zaroilo się od oddziałów groźnie wyglądających młodzieńców, kiedy zaczęto sobie opowiadać o dziewięciu dziewicach w zaczarowanym ogrodzie, wszystko się zmieniło, i trudno się temu dziwić. Do Weszum zaczęli przybywać pielgrzymi ze wszystkich stron, aby oddać pokłon czarnemu bogowi i złożyć klejnoty na jego ołtarzu. Bywali również świadkami jedyne go w

swoim rodzaju widowiska, jakim był ceremonialny wybór nowych dziewic, które musiały być bez skazy i promieniować wdziękiem, a potem rytualna procesja odprowadzająca wybrane dziewice, obwieszone złotem, do wysokiego muru na szczycie góry, z którego wystrzelały błyskawice i w którym o zachodzie słońca w czarodziejski sposób pojawiała się wąska furtka. A kiedy dziewięć nowych dziewic weszło do środka przez wąską furtkę, wychodziło przez nią dziewięć starszych dziewic, łkając i zawodząc, jak wiedźma przepowiedziała, wygnane z raju do świata, którego prawie nie znały i nie rozumiały. Niektóre rzucały się natychmiast z wysokiej góry, aby szukać zrozumienia w śmierci, reszta wlokła się ponuro do Weszum, aby pełnić tam rolę kapłanek w obsydianowej świątyni cieszącej się bardzo złą sławą. Niektóre wychodziły za męż; były poszukiwane jako żony, bo przyszli mężowie mogli być pewni ich dziewictwa i wyjątkowej piękności. Żadna nie znajdowała już w życiu zadowolenia. Dręczyła je wieczna tęsknota za rajskim ogrodem i czasami zabijały swoich mężów lub dzieci, co uchodziło im bezkarnie, bo uważano je za święte. Od czasu do czasu zdarzało się też, że któraś z tych kobiet, szczelnie zawoalowana, zalewająca się łzami, wracała przez pustynię, wspinając się na górę, przekradając pomiędzy strażnikami i potworami, i siadała pod wysokim, rozżarzone murem. Kiedy nadchodził zachód słońca, biegła do furki, skąd odpędzał ją ryk straszliwych wartowników. W końcu nieszczęsna ofiara swej tęsknoty za utraconym rajem chwyciła poparzonymi rękami za nóż i przebijała się nim lub szukała innego rodzaju śmierci.

- Co należy do ich obowiązków? - pytali pielgrzymi.

- Służba w złotej świątyni - odpowiadali dawni rozbójnicy, którzy teraz przestali już rabować, żyjąc dostatnio z darów składanych przez pielgrzymów - nad Świętą Studnią.

Bowiem ostatnią urzeczywistnioną fantazją czarownicy było przykrycie błotnistej dziury w ziemi wspaniałą ażurową świątynią ze złota, ze złotą kopułą.

A potem podróżnicy i pielgrzymi, a w każdym razie ci, którzy nie zbliżyli się zanadto do potworów, wracali do swoich domów i mówili: „Ludzie z Weszum wybrali najdzielniejszych ze swych synów, by bronili czci ich boga. Jego święte góry pełne są diabłów i potworów. W ogrodzie, którego piękna nie da się opisać, dziewięć dziewiczych

cór tego miasta, piękniejszych od dziewięciu złotych gwiazd, strzeże złotej studni."

I tak dolinę zaczęto nazywać Ogrodem Złotych Cór, drugą studnią Świętą Studnią, a Weszum stało się sławne w jednej czwartej Ziemi. I minęło dwieście i trzydzieści lat.

- Nie mam nawet cienia wątpliwości - powiedział bogacz - że nasza córka Kassafa zostanie wybrana.

- Zaiste, zostanie, mężu - odrzekła jego żona, nie odrywając spojrzenia od haftu, którym się zajmowała.

- Nasza córka Kassafa - powtórzył bogacz, uśmiechając się z zadowoleniem.

Zajmował się handlem najlepszymi gatunkami jedwabiu, które kupował na wybrzeżu morza, a następnie wiozł w górę rzeki. Czasami jego okręty zabierały pielgrzymów udających się do ołtarza czarnego boga, a pielgrzymi dobrze mu za to płacili. (Dziadek bogacza był krwiożerczym piratem, ale teraz nikt o tym nie wspominał.)

- Tak, Kassafa na pewno zostanie wybrana. Jest prześliczna. Zostanie jedną z dziewięciu świętych dziewic, a my będziemy z niej dumni. I pomyśl, o ile łatwiej będzie wówczas wydać za mąż pozostałe cztery córki.

- Masz świętą rację - odpowiedziała żona nie patrząc na niego.

- Nasza córka - zawołał bogacz w wybuchu radości posiadania. - Twoja i moja.

Żona ukłuła się w palec i zrobiła się czerwona prawie tak jak krew płynąca z palca.

Kassafa była piękna, jak mówił bogacz, a może nawet piękniejsza. Miała białą, czystą jak woda skórę, była smukła jak blady młody księżyc, jej włosy były bladozłote jak młode słońce. Oczy - no cóż, trudno opisać jej oczy. Wszystko co mówił o niej bogaty kupiec było prawdą, z wyjątkiem jednego: wcale nie była jego córką.

A oto jak do tego doszło. Żona bogatego kupca nie pochodziła z ludu rzeki, lecz z pewnego ludu żyjącego na wybrzeżu morza. Jej małżonek był bogaty, natomiast ona szczyliła się arystokratycznym pochodzeniem, urodziwszy się we wspaniałym domu położonym pośród nadmorskich wzgórz. Kiedy matka Kassafy skończyła jedenaście lat, piastunka powiedziała jej: „Możesz odtąd przechadzać się po wzgórzach, pod warunkiem, że będę ci towarzyszyć ja albo twoja służebnica. Nie wolno ci tylko pod żadnym pozorem wspinać

się na najwyższe wzgórze, to, które ma nagi, skalisty szczyt." „A dlaczego mi nie wolno?" zapytała matka Kassafy. „Dlatego", odpowiedziała piastunka, „że jest ono poświęcone bogom. To ich Święte Wzgórze i nikt nie może go skalać." Łatwo można sobie wyobrazić, że matka Kassafy natychmiast doszła do wniosku, że ze wszystkich wzgórz na świecie, na które chciałyby się wspiąć, to jedno jest najciekawsze i najbardziej godne obejrzenia. Tak więc pewnego dnia o świcie sprytnie uwolniła się od towarzystwa służących i pobiegła na Święte Wzgórze, ścigając się ze słońcem, a jako że była zwinna i młoda, wspięła się na szczyt pierwsza.

Było to cudowne miejsce. Wokoło rozciągała się zamarła kipiela łagodnych zielonych wzgórz, a podnóże tego, na które się wspięła, obmywała fala szkarłatnych maków. Daleko, w dole, połyskiwało morze jak wielka sztuka jedwabiu, a ona sama znajdowała się na szczycie perłowej skały, na której wspierało się rozległe ciemnobłękitne niebo. Opodal stał marmurowy ołtarz poświęcony bogom. Wierzono, że od czasu do czasu bogowie zstępują na szczyt tego wzgórza, choć w rzeczywistości żaden z bogów nigdy tu nie zagościł. Ludzkie wierzenia są jednak dziwną rzeczą i mogą niekiedy - a już na pewno mogły w tamtych czasach - powodować różne dziwne rzeczy.

Matka Kassafy usiadła na ołtarzu - była dziewczynką bez troską i nie okazującą szacunku świętym miejscom - i spoglądała z zachwytem na niebo, na ziemię i jedwabiste morze. Chyba się zdrzemnęła, bo godziny szybko mijały, a ciężkie złoto popołudnia opadło na nagi szczyt wzgórza. Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że nie jest sama.

Był przy niej jakiś niezwykle młodziwiec, a w każdym razie z początku wzięła go za młodzieńca, bo później zaczęła mieć co do tego wątpliwości. Miał delikatne złote włosy i bardzo szczególne oczy, w których, jak w pryzmatach, były wszystkie kolory i nie było żadnego. Przez jego nieskazitelną skórę prześwitywały fioletowe nitki żył i nie sprawiało to wcale nieprzyjemnego wrażenia, jak u innych ludzi, lecz wyglądało pięknie. Był nagi, jeśli nie liczyć czegoś w rodzaju jasnyniebieskiego płaszczka, który zwisał mu z jednego ramienia, a właściwie powiewał, choć nie było wiatru, a w dodatku zdawał się z ramienia bardziej wyrastać niż je okrywać. Ponieważ był nagi, matka Kassafy spostrzegła, że nie ma męskich genitaliów, choć wcale nie

wyglądał na dziewczynę. Był więc hermafrodytą, a raczej nawet istotą bezpłciową, a jednak w jakiś sposób wyglądał bardzo uwodzicielsko.

To jakiś bóg, pomyślała matka Kassafy i zsunąwszy się z ołtarza złożyła mu niski pokłon. Nie bała się, bo trudno jej było odczuwać strach przed kimś tak kuszącym. Była w tym szczególnym wieku, w którym mężczyźni wydają się dziewczętom szorstcy i ciężcy, fascynujący, lecz niebezpieczni, a ta istota łączyła w sobie fascynujące cechy mężczyzn z brakiem tych, które budzą niesmak, a nawet wstręt.

„Bóg” nie poruszył się ani nie przemówił, więc matka Kassafy uniosła głowę, a potem się wyprostowała. Miała prawdziwie arystokratyczny brak powściągliwości i objęła „boga” ramieniem, a potem, na próbę, pocałowała go w usta. Odczuła nie tyle jakąś zmysłową przyjemność, ile wrażenie dotknięcia czegoś miłego, lecz nierzeczywistego, jakby pieściła posąg z polerowanego onyksu. Jeśli chodzi o reakcję „boga”, to uśmiechnął się lekko, a jego złote rzęsy zatrzepotały.

W rzeczywistości istota ta nie była bogiem, jako że bogowie nie opuszczają Nadziemia. Istnieje jednak pewna rasa istot bytujących w pobliżu Nadziemia, w niebie lub w eterze. Błąkają się one pośród chmur i gwiazd, kąpią w czerwonym kadzidle zachodu, trącąc srebrne struny deszczu, wydobywając z nich tęskne dźwięki. Rzadko się je widuje i rzadko dochodzi do ich kontaktu z ludźmi, których uważają za stworzenia wyjątkowo tłuste, ociążałe i szkaradne. Wolą raczej odwiedzać skraje Nadziemia i podziwiać bogów przez dziury w chmurach. Same nieco przypominają bogów, choć nie na tyle, by je z nimi pomylić. Bardzo możliwe, że ci właśnie mieszkańcy Nadziemia, a ściślej mówiąc sutereny Nadziemia, odwiedzali szczyt owego wzgórza i zostali dostrzeżeni przez kogoś, kto wziął ich za bóstwa. Dlaczego odwiedzali ten szczyt, tego nikt nie wie, ani dlaczego ten jeden przybył tu, kiedy matka Kassafy siedziała na ołtarzu. Może zaciekała go ludzka postać na zwykłym szczycie.

Lecz teraz, kiedy matka Kassafy pocałowała go, a on zatrzepotał rzęsami, przemówił cichym głosem przywodzącym na myśl dźwięki harfy:

- Nie całuj mnie po raz drugi, bo mój pocałunek może cię zapłodnić.

- Zaiste - odpowiedziała matka Kassafy nieco sceptycznym tonem, bo zapoznano ją już z podstawowymi faktami dotyczącymi rozmnażania.

- My możemy zapładniać przez pocałunki, choć ty, jako istota śmiertelna, możesz również począć nowe życie przyjmując w siebie nasienie mężczyzny.

- Jeśli jesteś bogiem, byłoby dla mnie zaszczytem począć z tobą dziecko - powiedziała matka Kassafy, oddychając szybciej, i pocałowała go ponownie. Tym razem nadziemska istota zadrżała i nagle usta matki Kassafy wypełnił rozkoszny smak owoców i wina. Przełknęła, a złotowłosy bożek opuścił swoje złote rzęsy.

- Ostrzegałem cię, ale nie posłuchałaś. Sądzę, że trzeba będzie pięcioro dzieci, aby połączyło się w tobie nasienie mężczyzny i życia, które ja zaszczepiłem. Tak, twoje szóste dziecko będzie moje.

I pobladł, wydając z siebie westchnienie pełne satysfakcji, niepokoju i poczucia winy, a potem pozwolił, by niespokojny płaszcz uniósł go w górę i wkrótce rozpląnął się w błękitnym niebie.

Matka Kassafy powróciła do domu nieco zakłopotana, a na pytanie piastunki, gdzie była, opowiedziała jej parę kłamstw. Na szczęście nie było jakichś zauważalnych skutków tej przygody i kiedy kilka lat później wyszła za mąż za bogatego wnuka jakiegoś pirata z dalekiego Weszum, prawie całkowicie wymazała z pamięci całe to wydarzenie, a mgliste wspomnienie uważała za sen lub fantazję z okresu dojrzewania.

Swojemu bogatemu mężowi urodziła cztery córki i jednego syna. Cała piątka była dość urodziwa i małżonek nie miał się na co uskarżać. A potem pewnej nocy legł z nią w łóżu, a kiedy obdarzył ją swoim nasieniem, wstrząsnął nią taki dreszcz gwałtownego uniesienia, że aż krzyknęła z rozkoszy, co nigdy przedtem jej się nie zdarzało, bo uczucie, jakie wciąż budzili w niej mężczyźni (to znaczy jej mąż) można było określić jako rozczarowanie.

Bogaty małżonek pogratulował sobie takiego miłosnego wyczynu, a kiedy dowiedział się, że żona znowu poczęła, pogratulował sobie płodności.

Dziecię narodziło się o normalnym czasie i bez szczególnych trudności, lecz matka od samego początku obserwowała je uważnie i z pewnym niepokojem. Była to córka, której nadano imię Kassafa. W miarę jak rosła, rósł również niepokój jej matki. Nie miała jakichś

cech nieludzkich, a nawet bystrością przypominała ojca, a wyglądem i urodą matkę, a jednak było w niej coś takiego, czego brakowało jej rodzeństwu. Miała takie delikatne, eteryczne złote włosy, a jej oczy... Oczy Kassafy wciąż zmieniały barwę i to w sposób zupełnie nieprzewidywalny i niewyjaśniony. Domownicy nie przywiązywali do tego większej wagi, uważając, że przyczyną jest gra światła i cienie lub wyraz twarzy dziewczynki. Tylko jej matki nie zadowalały podobne wyjaśnienia. Czują, że jest to dziedzictwo po kimś, kogo kiedyś spotkała, po kimś, kto miał oczy jak pryzmaty, zawierające wszystkie kolory i jednocześnie nie zawierające żadnego...

Tak więc, kiedy bogaty kupiec chełpił się swoim ojcostwem w odniesieniu do Kassafy, na policzkach małżonki zakwitły rumieńce. A on, wspominając ów jedyny krzyk rozkosznej ekstazy, był przekonany, że i ona sobie o tym przypominała i dlatego się rumieni, zwłaszcza że nigdy wcześniej coś takiego jej się nie przydarzyło.

Tymczasem sama Kassafa, nieodrodna córka swojej matki, jeśli nawet nie całkiem swojego ojca, podsłuchiwała pod drzwiami. A jej oczy, niby dwie sadzawki, zmieniły szybko barwę, przechodząc od ciemnej zieleni do bladej szarości, kiedy usłyszała wzmiankę o dziewięciu dziewicach i o sobie samej jako jednej z nich.

Nigdy się nie zgodzę, przyrzekła sobie w duchu, żeby mnie zamknięto na dziewięć lat w jakimś otoczonym murem ogrodzie. Czy którejś z nich wyszło to na dobre? Kiedy stamtąd w końcu wychodzą, umierają jak muchy. A potem pomyślała, że przecież wybierają tylko dziewice bez żadnej skazy. Jej oczy nabrały barwy indygo i poszła poszukać jakiegoś ostrego noża.

Kiedy go jednak znalazła, spojrzała na jego czubek, a potem na swoją podobną do wodnych lilii skórę, po czym nóż odłożyła.

Wielki dzień wyboru dziewięciu dziewic przypadał na dzień następny. Kassafa musiała pójść, razem z innymi spełniającymi warunki trzynastoletnimi dziewczynkami, na plac przed świątynią. We wczesnych latach kultu dziewice wybierano ze wszystkich dziewcząt, niezależnie od pochodzenia, lecz kiedy Weszum obrosło bogactwem, również i dziewice musiały pochodzić z bogatych domów. Teraz tylko córki ludzi bogatych i wpływowych mogły dostąpić zaszczytu służenia bogu.

Zaprowadzono je po świętych schodach do wielkiej sali, a stamtąd wpuszczano po jednej do małego pomieszczenia, w którym

były strażniczki ogrodu mierzyły je okrutnymi, chciwymi spojrzeniami. „Nie, ta się nie nadaje”, skrzeczały do siebie kapłanki. „Spójrzcie, co za brzydkie, koślawe stopy, popatrzcie na te wielkie czarne piegi. Nie, nie nadaje się.” Wiele dziewcząt wybiegało z płaczem, upokorzonych. A jednak zawsze w końcu znalazło się dziewięć pięknych dziewcząt bez skazy, które kapłanki poddawały bardziej szczegółowym oględzinom. „A co to takiego? Trzynaście lat i już straciłaś cnotę? Wstydz się, mała ladacznico!”

Kiedy do niewielkiej komnaty weszła Kassafa, twarze kapłanek zmarszczyły się jeszcze bardziej, bo wystarczył im jeden rzut oka, by stwierdzić, że cielesna doskonałość łączy się w niej z czystością. Ta smarkula będzie mieszkać w niebiańskim ogrodzie, którego one już nigdy nie zobaczą! Jakże jej nienawidziły. Lecz Kassafa zrzuciła suknię i wszystkie się rozpromieniły.

- Ach, cóż za szkaradne czyraki! - zawołały z ulgą.

- Niestety - odrzekła Kassafa, która zrobiła je sobie w nocy z ciasta i farby do jedwabiu. - I nie mogę się od nich uwolnić. Zawsze mam przynajmniej dziesięć lub dwadzieścia. Lekarze nie potrafią temu zaradzić.

Zdarzyło się jednak, że pewien kapłan przyglądał się dziewczętom przez tajny otwór w ścianie i choć drżał cały z emocji na widok takiej nagości, zachował na tyle bystry wzrok, by odróżnić fałszywy czyrak od prawdziwego. Przyłożył więc usta do dziury i krzyknął przeraźliwym głosem:

- Bóg wybiera tę dziewczynę i natychmiast ją uzdrowi. Przynieście wody i umyjecie ją, a czyraki odpadną i będzie bez skazy.

Kassafa jęknęła, a kapłanki się nachmurzyły, lecz zrobiły, jak im powiedziano, w obawie, że głos mógł być boskiego pochodzenia. I, oczywiście, czyraki z ciasta podklejały się w wodzie, a Kassafa wyłoniła się z kąpieli piękna i bez skazy.

- Nie pójdę tam! Nie pójdę! - krzyczała i wyrywała się z ich rąk.

Kapłanki wychłostały ją atłasowymi biczami, które nie zostawiały śladów. Kassafa szlochała buntowniczo, nie chcąc się pogodzić ze swoim losem. Wkrótce ogłoszono imiona dziewięciu dziewcząt i Kassafa były dziewiąta.

Nigdy nie darzyła szacunkiem posągu czarnego boga. Uważała, że jest wstrętny. I w istocie, jako posąg nie odznaczał się pięknnością. Bogowie powinni być piękni. Choć nie знаła prawdy o swoim

poczęciu, matka opowiadała jej wiele o nadpowietrznych bóstwach ludu wybrzeża i takie bóstwa Kassafa skłonna była czcić. Czarnego bożka Weszumu przeklęła, a skoro jej za to nie ukarał, nabrała przekonania, że jest bezsilny, jak to od dawna podejrzewała.

Ucieczka nie była możliwa. Gderliwi rodzice zamknęli ją w sypialni i wywlekli dopiero owego poranka, w którym poprowadzono dziewięć dziewczic na świętą górę.

Pozostałe dziewczęta były roześmiane i radosne. „Jakie mamy szczęście!” paplały do siebie, kiedy kapłani zawieszali im złote ozdoby. „I jakie będziemy szczęśliwe!” Kassafa szydziła z nich i prychała, a kiedy kapłan, zawieszając jej na szyi złoty naszyjnik, dotknął jej piersi, ugryzła go, a oczy miała bladożółte.

Przez pustynię ruszyła barwna procesja: rydwany z cynobrowymi baldachimami ozdobionymi frędzlami, kapłani i kapłanki potrząsający dzwonkami, bijący w bębny i gongi, dzikie zwierzęta prowadzone na smyczach migocących drogimi kamieniami, gromady ludzi, którzy przyszedli, by nasycić się widowiskiem. Wędrowali tak przez cały dzień, przystając co jakiś czas, aby odpocząć, napić się chłodnego wina i zjeść nieco owoców lub słodyczy, aż dotarli na grzbiet wysokiej diuny, skąd widać już było krąg dziewięciu świętych gór. Tu pojawił się konny patrol kilkuset roślących młodzieńców, którzy po żołniersku oddali honory procesji, a z wież strażniczych dano sygnały dymem i zadęto w rogi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdzie niebo zapłonęło złotem, podczas gdy na wschodzie powlekło się granatem.

Z nor i jaskiń wychyły potwory, ziejące ogniem. Niektóre z dziewczic zapiszczały i omdlały z przerażenia, lecz Kassafa nie była jedną z nich. Wpatrywała się z żalem w dowódcę konnego patrolu, przystojnego młodzieńca o złotym, muskularnym ciele. Lecz on świadom był swojego powołania i nawet na nią nie spojrzał.

W gęstniejącym świetle dnia, z miejsca, w którym teraz się znajdowali, widać było wyraźnie błyskawice wystrzelające ze szczytu, tam, gdzie wznosił się rozpalony mur. Procesja zaczęła się wspinać po zboczu. Dźwięczały dzwonki i cymbały, a potwory oblizywały się na widok pielgrzymów z dalekich krajów, ostrzegając ich, by nie pozostawali w tyle za mieszkańcami Weszumu. Tuż przed zachodem słońca tłum przewalił się przez ostatni garb góry i stanął przed straszliwym murem.

Pokrywała go roziskrzona mgielka, jak para z roztopionego metalu. W jednym miejscu okrywały go czarne zarośla - czyżby po to, by zamaskować obecność widmowych wartowników? Potem, gdy niebo przybrało barwę mosiądzu, przez gąszcz dała się widzieć szczelina w rozżarzonej murze.

- Wynijdźcie, święte dziewice Złotej Studni! - zawołali kapłani. - Wynijdźcie z ogrodu, czas waszej służby dobiegł końca!

I oto ze szczeliny wyszło dziewięć rozszlochanych dziewcząt, drących na sobie szaty i włosy. Nie śmiały okazać nieposłuszeństwa wobec rytualnego wezwania, ale szły ze złamanymi sercami.

Kassafa nie mogła się powstrzymać, by nie zawołać do nich:

- Radujcie się! Cieszcie się, że już nie jesteście niewolnicami! Chętnie bym się z każdą z was zamieniła!

Kapłani szybko uderzyli w bębny i w gongi i odciągnęli ją na bok. Tymczasem niektóre z byłych strażniczek studni rzucały się z krawędzi góry w przepaść. Inne jęczały i zanosiły się płaczem. Kassafa, której oczy zapłonęły kobaltem, zamilkła.

Dźwięki instrumentów, śpiewy, rytualne błogosławieństwa i modły, zawodzenie kapłanek - wszystko to nabrzmiało jak fala przyływu, która unosiła Kassafę i jej osiem towarzyszek ku szczelinie w murze, a potem przez nią. Żar buchał z każdej strony, a z tego żaru coś koszmarnego wykrzywiało się do nich z aprobatą, gdy przezeń biegły, a co z pewnością musiało być owym straszliwym strażnikiem furtki. Biegając, Kassafa pokazała koszmarowi język.

A potem żar przemiął, zniknęła furтка w murze, a za nią zwykły ludzki świat.

Złote Córy przybyły do raj.

2

Od wewnątrz mur wyglądał zupełnie inaczej, jak zresztą wszystko. Teraz był lśniąca ścianą z jadeitu i zielononiebieskiej ceramiki, na której rozsnuła się połyskliwa pajęczyna dzikiego wina i innych pnączy, nakrapiana drobnymi owocami i kwiatami. Furтка otwierała się wysoko ponad misą doliny; po wejściu za mur wybrane dziewice ujrzały rozległą panoramę.

Wewnętrzne zbocza dziewięciu gór również nie przypominały zewnętrznych stoków. Soczyste łąki spływały z nich szmaragdowymi kaskadami, ginąc pośród drzew o stu odcieniach zieleni; bliżej dna doliny owa wybujała zieleń przechodziła w turkus, a dalej w łagodną

płynną niebieskość, taką, jakiej nie widzi się nigdy na pustyni lub nad spalonymi brzegami biegnącej przez nią rzeki. Cała dolina pachniała wodą, rozbrzmiewała nią, kapała się w niej, a świeża woń słodkiej gleby i bujnej roślinności tworzyła w powietrzu jakby skoncentrowany wonny olejek.

Słońce już zachodziło, zielenie i niebieskości doliny przeszły łagodnie przez złocistość do klarownej purpury i bursztynu. Tu i tam w gęstniejącym zmierzchu połyskiwały srebrem pieniste kaskady, a nad głowami zapłonęły gwiazdy. Różowawy księżyc oświetlił dolinę w niezemski sposób. W dół, między ciemnozielonymi zboczami, wiodły szerokie marmurowe stopnie. W dziwnej, różowej poświacie księżycy - która zdawała się być częścią magii tego ogrodu, i w istocie nią była - dziewięć dziewczic spostrzegło coś wspinającego się ku nim po stopniach.

Kremowa, prawie biała lwica.

Dziewięć dziewczic nawiedziło złe przeczucie, niektóre przywarły do siebie ze strachu, jak zawsze czyniło to w tym momencie każde nowe dziewięć dziewczic, widząc drapieżną bestię zbliżającą się ku nim w mroku. Lecz lwica nie okazywała rozdrażnienia lub głodu. Podeszła blisko i zaczęła ocierać łeb o ich nogi, a jej zapach nie był zapachem drapieżnego kota, raczej jakichś egzotycznych kwiatów. Wielu młodym dziewczętom rozkosz sprawia już samo marzenie o dzikiej bestii, która wyrasta na łagodne, oswojone, łaszące się do nich zwierzę. Wszystkie natychmiast zareagowały, pieszcząc lwicę, poddając się atlasowym pocałunkom jej odurzająco wonnych warg i podążając za nią z ochotą, gdy powiodła je po stopniach w dolinę.

Od podnóża schodów rozpoczynały się łagodnie opadające tarasy pokryte kobiercem mchu. Lwica poprowadziła dziewczęta przez welurowy las, który nie budził w nich najmniejszego lęku; nawet głębokie leśne cienie - w zwykłym lesie złowrogie - wydawały im się przyjazne i wesołe. Śpiewały słowiki, a puszyste króliki wyskakiwały swawolnie spomiędzy łąp wielkiego kota, który nie raczył na nie nawet spojrzeć.

Po drugiej stronie lasu leżało niewielkie naturalne jezioro zasilane szumiącymi kaskadami. Przy brzegu kołysał się statek, na którego pokład dziewczęta, chichocząc i pieszcząc, dały się lwicy wprowadzić. Statek nie przypominał owych mocnych, męskich okrętów, jakie budował lud rzeki. Miał delikatnie wygięty dziób i opadającą jak rybi

ogon rufę. Cały migotał i błyszczał, a na wysokim maszcie rozpostarte były połyskliwe skrzydła żagli. I natychmiast popłynął chyżo przez jezioro bez pomocy wiatru lub wiosł, a dziewięć dziewczic rozglądało się wokoło ze zdumieniem.

Ile trzeba cudów, aby nabrać pewności, że jest się w krainie cudów? Wybujala fantazja czternastoletniej czarownicy wypełniła ten ogród obfitością dziwów. Niektóre były igraszkami dla dzieci, jakimi dziewięć dziewczic jeszcze niedawno było, inne miały uwodzić serca kobiet, jakimi miały się stać.

Na dalekim brzegu jeziora powietrze przesycala słodka woń sadów. Cytrynowe drzewa i śliwy uginały się pod ciężarem dojrzałych owoców, pióropusze daktylowych palm pieściły twarz nieba. Na pokrytym ciemnoczerwonymi różami i granatowymi hiacyntami wzgórz wznosił się pałac z białego marmuru. Z jego otwartych drzwi uleciała chmura minaturowych ptaków, które zaćwierkały do dziewięciu dziewczic, jakby je witały.

W rozkosznej sali, pośród rozśpiewanych fontann, czekały już na dziewczęta zastawione stoły. Tak miało być odtąd co wieczór, choć nigdy nie miały się dowiedzieć, kto przygotowywał ucztę. Rozsiadły się na jedwabnych poduszkach i zaczęły jeść wykwintne i rzadkie potrawy, jakich nie oglądały nawet na stołach swoich ojców, piły wina i sorbety z kryształowych pucharów, a dzbany i pękate flaszki nigdy nie były puste. A po uczcie czekała na nie wonna kąpiel i wysłane adamaszkiem łoża z jedwabnymi baldachimami, z których zwieszały się perły podobne wielkim kroplom, jakby w sypialnej komnacie każdej z dziewczic przez całą noc padał łagodny, perłowy deszcz.

Było coś takiego w winie lub w bladym dymie unoszącym się z perfumowanych lamp, co obudziło w dziewczętach najczulszą wrażliwość. Śniły o swoich marzeniach, lecz wyolbrzymionych i jednocześnie dziwnie bliskich, a także o złotej świątyni, którą widziały poza pałacem. Śniły o świętej studni, której miały strzec, o lwach, z którymi będą igrac, i o nie ujawnionych jeszcze dziwach tej krainy cudów.

Tylko Kassafa czuła ucisk w żołądku po zjedzeniu owych całkowicie iluzorycznych potraw, które w rzeczywistości składały się ze zwykłego chleba i bulw, przemienionych za pomocą czarów. Tylko Kassafa przewracała się i wila na swojej uludzie łoża osypanego deszczem pereł. Nie dowierzała niczemu, co do tej pory zobaczyła, bo

takie piękno nie pasowało do brzydoty czarnego boga Weszumu. A kiedy zasnęła, przyśnił jej się młody dowódca konnego patrolu, do którego zawołała: „Zabierz mnie stąd z powrotem do prawdziwego świata!” Lecz on zamienił się w królika, który uciekł od niej w popłochu.

Był to ogród pełen uciech, uciech dla dziewczynek i dla kobiet. Czyżby młoda czarownica stworzyła tu iluzję wszystkiego, czego zabrakło w jej życiu?

Niektóre fontanny zdawały się tryskać rozkosznymi napojami, inne upajającymi wonnościami, jeszcze inne srebrnymi strugami w których migotały drogocenne kamienie lub które płonęły kolejno wszystkimi barwami tęczy. W pałacu były tysiące komnat, a w każdej tysiące przedziwnych rzeczy: fascynujących gier, magicznych zwierciadeł ukazujących inne zaczarowane krainy, cudownych lalek, które sprawiały wrażenie żywych i które potrafiły poruszać się, śpiewać, tańczyć i rozmawiać. Były tam również wielkie skrzynie pełne strojów wspanialszych od wszystkiego, co dziewięć dziewic widziało - lub kiedykolwiek zobaczy - w życiu, bo ułuda zawsze przewyższa to co rzeczywiste. A przy skrzyniach z bajecznymi strojami stały kosze z klejnotami i ozdobami. Tu i tam można było znaleźć zaczarowane instrumenty, które wystarczyło wziąć do ręki, by przekonać się, że potrafi się na nich grać i wydobywać z nich roziskrzone, czarowne melodie. W innym miejscu napotykało się krosno, niespodziewanie łatwe w obsłudze, na którym można było bez trudu utkać cudowne tkaniny z wzorami i aplikacjami, które wyglądały jak żywe. Było też trochę ksiąg, w których obrazki naprawdę ożywały, gdy się na nie spojrzało.

Wokół pałacu róże i inne kwiaty napełniały powietrze słodkim aromatem. Z gałęzi zwieszały się owoce, z winorośli obfite grona, zawsze dojrzałe, zawsze najbardziej nadające się do zjedzenia. Niektóre drzewa owocowały słodyczami, z innych zwieszały się huśtawki z ławeczkami z kości słoniowej. Wystarczyło tylko usiąść na jednej z nich, aby sama zaczęła się poruszać, tak gwałtownie lub tak łagodnie, jak się akurat zapragnęło.

Sam ogród wciąż się zmieniał, żadna jego część nigdy nie była taka jak uprzednio. Zmieniały się kształty i cienie kwitnących drzew, zmieniał się kąt nachylenia odległych zboczy. Ogród zdawał się nie mieć granic, choć spoczywał bezpiecznie między szmaragdowymi

stokami gór, jak we wnętrzu opiekuńczej dłoni. Z bezpiecznych zielonych lasów i gajów wychodziły najróżniejsze gatunki zwierząt w zadziwiającej harmonii: puszyste białe kozłeta, swawolące z małymi panterami, równie chętne do wspólnej zabawy z jakąś wesołą dziewczyną, czy aksamitne tygrysice, które mogły ją zaprosić na swój grzbiet i unosiły, roześmianą i dziką, z kwiatami we włosach, całymi milami, a potem kładły się w cieniu i pozwalały jej złożyć głowę na swym złotym boku, pachnącym cynamonem i pomarańczami. Wśród nakrapianego szkarłatem zielonego listowia mieszkały wielkie stada ptaków, które potrafiły uczepić się rękawów sukni dziewczyny i unieść ją do swojego zielonego królestwa, aby jej tam śpiewać. Mówiące małpy o długich ogonach i poważnych mądrych oczach snuły opowieści o dawnych czasach. Lwice kąpały się w jeziorze lub w innych sadzawkach i strumieniach ogrodu, a kiedy dziewczęta zapragnęły również zażyć kąpieli, baraszkowały z nimi w wodzie, w której nie brak też było chętnych do wspólnej zabawy wielkich, niebieskich, roześmianych ryb.

W ogrodzie zawsze było wiele młodych zwierząt, co było dziwne, bo nigdy nie pojawiał się w nim żaden męski osobnik. Ptasie jaja o barwie lapis lazuli lub onyksu pękały nagle w gniazdach, by uwolnić cudownie upierzone pisklęta, gromadki małych tygrysiątek wywijają koziolki na łące - lecz nigdy nie można było ujrzeć zwierzęcych zalotów lub kopulacji.

Towarzyszące dojrzewaniu młodych kobiet pobudzenie seksualne nie znajdowało tu żadnej podniety. Miała je tłumić błogosławiona niewiedza, a także wpajane im poczucie wyższości wobec wszystkiego i wszystkich - i w większości przypadków to skutkowało. Jeśli jednak któraś z dziewic, nie wiedząc dlaczego, poczuła falę gorąca i nagły niepokój, napotykała na leżący akurat gdzieś w pobliżu kryształ, w którym kłębiły się bąbelki i para. Kryształ miał ustnik z jadeitu, przez który można było wdychać ową parę, co powodowało odurzenie i wizje, pozwalając dziewczynie zaspokoić pobudzenie zmysłowe w sposób, którego nie mogła sobie później w pełni przypomnieć. Skutek był taki, że dziewczęta nigdy nie wdychały za mężczyznami - a więc i nigdy nie odczuwały ich braku - lecz gdy tylko poczuły wzbierającą w nich młodość, wychodziły, by znaleźć jeden z kryształów z bąbelkami.

Jeśli chodzi o złotą świątynię nad Świętą Studnią, to dziewięć dziewczic pełniło przy niej dobrowolną stałą służbę, w formie, jaką same sobie narzuciły.

Najpierw obeszyły świątynię, przyglądając się jej z nabożnym lękiem. Potem, nieśmiało, weszły do środka. Ściany i sklepienie były ze złota, ramy okienne ze złota, złote były nawet cienie rzucone przez misterne ażurowe kraty i witraże. Pośrodku mieściło się złote zagłębienie otoczone balustradą z kości słoniowej. Przechyliwszy się przez tę balustradę dziewczęta mogły dostrzec w głębi matowy pobłysk i poczuć stęchły, niezdrowy odór. Zaiste, Święta Studnia była jedyną niemiłą rzeczą w całym ogrodzie.

Wiedźma, uważając że nawet najbardziej lekkomyślnym i trzpiotowatym dziewczętom i kobietom - a przewidywała, że takie będą zawsze owe wybrane trzynastoletnie dziewice - potrzebny jest jakiś cel, uczyniła świątynię i studnię takimi, że wzbudzały w nich poczucie ważności i religijnego uniesienia. W rezultacie każda grupa dziewięciu dziewczic wypracowała sobie jakąś formę obrządku odprowadzającego przy studni. Zwykle miało to miejsce o zachodzie słońca - na pamiątkę ich przybycia i otwarcia się zaczarowanej furki - i zwykle wyrażało się w jakimś tańcu i w rozrzucaniu kwiatów i owoców wokół złotego basenu, które to ofiary szczęśliwie znikają w tajemniczy sposób do czasu ich następnych odwiedzin w świątyni. Zwykle towarzyszyła temu jakaś forma potwierdzenia posłuszeństwa czarnego boga, na przykład ucałowanie balustrady i formuła: „Wszchemogący ojczy, racz spojrzeć na swoją córkę i niewolnicę.” Lecz później jakaś duma (lub nieświadoma uraza) zawsze popychała je do podkreślenia swojego dziewictwa, więc dodawały: „I ujrzyj, że nikt nie naruszył świętej pieczęci na moim ciele, podobnie jak nikt nie dotknął nigdy Świętej Studni. A dzięki mej czystości zachowam czystość twego świętego przybytku i niech dosięgnie mnie nagła śmierć, zanim dopuszczę się wobec ciebie wiarołomstwa.”

Powaga i głębia znaczenia owego rytuału, czerpane z siły wiary wszystkich poprzednich grup dziewięciu dziewczic, były zaiste wielkie. W jaki więc sposób buntownicza Kassafa mogła pozostać wobec nich obojętna? Bo święty obrządek nie sprawiał na niej najmniejszego wrażenia.

Rozkosze ogrodu wydawały się jej wielce podejrzone. Uważała je za pułapki, za maski ukrywające ohydłą twarz czarnego bóstwa. Choć

kusiły ją towarzyskie pantery, magiczne księgi i instrumenty, delfiny i wyszukane słodycze, nie ufała owym pokusom i starała się je zawsze odrzucać.

I w jakiś tajemniczy sposób same dziwy ogrodu jakby wyczuły jej podejrzliwość i sprzeciw i powoli zaczęły ją ignorować. Żadna tygrysica nie zapraszała ją na swój grzbiet, żadna gołębica nie siadała na jej ramieniu. Nawet owoce traciły w jej ustach swą słodycz, nawet róże nie były już tak czerwone w jej oczach. I powoli, w miarę jak przemijał rok, Kassafa zauważyła, że zmieniają się i inne rzeczy. Czasami, kiedy przechadzała się po ogrodzie, dostrzegała przez sekundę lub dwie plamę nagiej skały, zapylonej drogi, szarej jałowości. Czasami z jakiejś pałacowej komnaty dochodziły do niej zgrzytliwe i niemelodyjne dźwięki, a kiedy wchodziła do środka, widziała jedną z dziewcząt grających na jakimś instrumencie, a wokół niej wianuszek zasłuchanych towarzyszek, najwidoczniej słyszających niebiańską muzykę. Teraz widzę to, co ukrywa maska, myślała Kassafa mściwie, ale była tym nieco przestraszona. Może bóg karze mnie w ten sposób. A więc dobrze, niech mnie karze. Wspólnych obrządków przy studni raczej unikała. Chodziła tam samotnie i przechylona przez balustradę z kości słoniowej wdychała stęchły odór. „To mi bardzo przypomina ciebie”, mówiła do czarnego boga.

Nie ulega wątpliwości, że tym, co czyniło ją niewrażliwą na zaczarowane wspaniałości i pułapki ogrodu, była domieszka nadziemskiego żywiołu, jej częściowe pochodzenie od istoty niebiańskiej, która sama pochodziła częściowo z Nadziemia.

Minął rok i zaczął się drugi. Kassafa odnosiła wrażenie, że jej towarzyszki robią się coraz głębsze i coraz bardziej ślepo uległe. Sama często płakała w samotności. Często śniła o młodym i pięknym dowódcy i teraz porywał ją i uwoził ze sobą na grzbiecie orła, lecz kiedy się budziła, postrzegała tylko jedną ze swoich głupich towarzyszek, paplającą jej coś do ucha.

- Mnie też nawiedzały takie udręki, Kassafa ale nawdychałam się snów z dymiącego kryształu i zostałam uleczona. Spójrz, przy twoim łóżku jest taki kryształ.

Kassafa spojrzała i zobaczyła naczynie z przydymionego szkła, w którym bulgotał jakiś mętny płyn.

- Spróbuj - namawiała towarzyska, podając jej jadeitowy ustnik, który w oczach Kassafy był tylko brudną, poszczerbioną, emaliowaną rurką.

Aby mieć spokój, przyjęła narkotyk i opadła na łożo. Natychmiast poczuła silny zawrót głowy, pociemniało jej w oczach, a z tej ciemności rzuciła się na nią jakaś postać. Nie był to mężczyzna, raczej karykatura mężczyzny, wytworzona przez wyobraźnię czternastoletniej czarownicy, pogardzającej mężczyznami, którym musiała sprzedawać swoje ciało. Był jednocześnie śmieszny, żaloszny i przerażający. Powściągliwość Kassafy wobec ułudy ogrodu pozbawiła dymiący kryształ jego zmysłowych i erotycznych aspektów, pozostał tylko nagi komentarz, jakim zgorzkniał czarownica opatrywała samą myśl o fizycznym kontakcie z mężczyzną.

Owłosiony, cuchnący, grubiański olbrzym chwycił Kassafę w objęcia. Jego zęby były żółtymi pylonami, a ramiona żelaznymi okowami. Fallus, większy od wieży, rozrywał jej wnętrzości. Kassafa wyła z bólu i obrzydzenia.

Kiedy się obudziła, skąpana potem, powlokła się do okna i zwymiotowała na pstrokatają dolinę, która w jej oczach była teraz mozaiką zieleni i pustynnego stepu.

W późniejszych miesiącach zaczęła wspinać się na wewnętrzne zbocze gór. Podchodziła do samego muru. Próbowwała odnaleźć magiczną furtkę (schody, rzecz jasna, przeniosły się w inne miejsce), lecz od wewnątrz nigdy nie można było jej dostrzec, nie mówiąc już o tym, by przez nią wyjść, prócz tego jedyne dnia, w którym kończyła się służba dziewięciu dziewic przy Świętej Studni. Dolinę wypełniała ułuda, lecz jej zabezpieczenie było rzeczywiste. Rzeczywisty był każdy potwór, rozżarzony mur, ukryta furtka i zły duch, który jej pilnował.

Przeminął drugi rok, zaczął się trzeci.

W tym czasie było już pewne, że choć dziewięć dziewic przebywało w Ogrodzie Złotych Cór, tylko osiem z nich było strażniczkami Świętej Studni. Dziewiąta okazała się wrogiem schwytanym w pułapkę.

3

Samotny Simmu wędrował przez Ziemię cały rok, aby dotrzeć do Świętej Studni i jej ogrodu. Azrarn obdarował go trzema darami, z których każdy był swoistym zastawem: palącym pocałunkiem,

klejnotem Eszwa i wiedzą o położeniu Studni. Lecz Ażrarn - kuglarz, którego bawiło wprowadzanie w świat chaosu i wikłanie wszystkich spraw - nie dał Simmu żadnego towarzysza, a bez pomocnej dłoni czekała go długa wędrówka.

Simmu wiedział jednak, od samego początku, że jest bohaterem, a więc kimś naznaczonym przeznaczeniem, którego spełnienie wstrząśnie całym światem. A ta wiedza jednocześnie podnosiła go na duchu i przerażała.

Mówią, że podczas tej wędrówki miał wiele przygód, jako że do obowiązków bohatera, wówczas podobnie jak dzisiaj, należy napotykanie przygód. Były to jednak przygody tego rodzaju, jakich można się spodziewać w podróży przez dzikie kraje, obfitujące w drapieżne zwierzęta (nie wszystkie całkiem naturalne), gdzie przy każdym moście i na każdym rozstajach można było spotkać jakiegoś miejscowego króla - rabusia żądającego okupu.

Simmu, który przez długi czas uznawał się tylko za człowieka, powoli zaczął rozpoznawać w sobie również i inną naturę. Kiedy otoczyła go horda wygłodniałych psów, zamarł ze strachu, a jego ludzki rozum prawie go opuścił, pozwalając przebudzić się instynktownej magii Eszwa. Zanim uświadomił sobie, co robi, już rzucał czar na psy. Wnet przywarły do ziemi, dysząc, mrużąc ślepią i machając przymilnie ogonami. Łzy potoczyły się po policzkach Simmu, bo poczuł, że odnalazł to, co uznał za utracone na zawsze, swoje dzieciństwo pośród demonów. Konieczność była kluczem. Nieco później, wciąż pełen strachu, natrafił na żleb, w którym na słońcu wygrzewały się lwy. Zwęszyły człowieka i podniosły się, warcząc gniewnie. Lecz Simmu poczuł, że magia Eszwa znowu jest na jego usługach, więc przyodział się nią i wkrótce minął mu strach, a lwy przestały warczeć. Te lwy nie pachniały kwiatami, lecz cuchnęły ostrym odorem lwów, nie były też łagodne i oswojone, lecz gotowe rozdzierać na strzępy i zabijać, więc ich uspokojenie robiło wielkie wrażenie.

Te i im podobne wydarzenia umacniały w Simmu świadomość jego heroicznego przeznaczenia, a w ludziach wzbudzały nabożną trwogę. Prawdą jest jednak, że naprawdę się zmienił, bo teraz uznawał już swoją niezwykłą magiczną moc za przejaw samego siebie, a nie samego siebie za przejaw jakiejś magicznej mocy.

Pozostawał wciąż mężczyzną. Zabrakło bodźców, które powodowały jego żeńską metamorfozę - Żyrema, a później Ażrarna. I zaiste, wyrósł na mężczyznę twardego i smukłego, jak lwy, które czuły wobec niego szacunek. Był jak klinga z brązu, a spalone słońcem włosy powiewały nad nią jak grzywa lwa. Miał również brodę, którą przyszczygał nożem, a przyodziewał się w strój skradziony komuś po drodze, lecz nie była to bezkształtna szata wieśniacza, pasująca do każdej płci, tylko męski strój wędrowca, dający swobodę ruchów w marszu i w walce. Bowiem będąc wędrowcem, musiał walczyć. A stając wobec wrogów, zachowywał zawsze zimną krew, tak samo jak wobec owych wygłodniałych psów, które zaatakowały go jako pierwsze. Nikt nigdy nie uczył go tej sztuki. Nigdy nie bił się z innymi chłopcami na dziedzińcu świątyni, za bardzo go się bali. Kiedy spotkał zbójów przy jakimś brodzie, pomyślał tylko z jakąś obojętną ciekawością, co może go spotkać. Może przyjdzie mu w końcu wpaść w sieć Śmierci?

- Hej, młodziku! - wołali rozbójnicy. - Hej, piękna brzoskwinko! Hej, koziołku, bursztynowy kocie! Ten bród do nas należy, więc jeśli chcesz się przepawić, musisz pokonać Szpetnego Wieprza. Tu i zaraz.

Wówczas wystąpił Szpetny Wieprz. Imię dobrze do niego pasowało, choć żaden wieprz, szpetny lub nie szpetny, nie był tak szpetny jak on.

- Na ucho, którego mi brakuje, i na moje siedem utraconych zębów! - krzyknął Szpetny Wieprz. - Jestem gotów. Na moje dziesięć kurzajek, jestem!

Szpetny Wieprz zabił już wielu. Walczył nożem, mocnymi jak obcęgi palcami, resztą pożąłkłych zębów i stopami, którymi z łatwością miażdżył przeciwnikowi żebra. Simmu był średniego wzrostu, ani za wysoki, ani za niski jak na młodzieńca, natomiast Szpetny Wieprz był o wiele od niego wyższy i szerszy.

Tego rodzaju śmiertelnicy napawali demony wstrętem. Wazdru i Eszwa, które dbały o to, by przybierając ludzkie kształty wydawać się pięknymi, czuły do brzydoty odrazę większą niż do dobroci. Coś z tego arystokratycznego uprzedzenia pozostało w Simmu, bo mimowolnie zrobił ręką gest, który wyrażał odrazę. Szpetny Wieprz był przekonany, że Simmu sięga po nóż i rzucił się na niego.

Simmu instynktownie uskoczył w bok i Szpetny Wieprz zapoznał się bliżej z drzewem, które tam akurat rośnie. Żaden nie przewidział dzikiej szybkości Simmu i zwierzęcego wyczulenia wszystkich zmysłów, działających niezależnie od jego ludzkiego mózgu.

Szpetny Wieprz ryknął i otrząsnął się, a potem wyciągnął nóż i rzucił się na Simmu po raz drugi. Simmu przemknął tuż obok niego i skoczył mu na plecy jak młody lampart, wydobył nóż i przeciął mu żyłę na szyi. Zanim przeciwnik runął na ziemię, Simmu zdołał zeskoczyć lekko na trawę, obnażając zęby i warcząc jak prawdziwy drapieżny kot. Po raz pierwszy zabił własnymi rękami, oddając przeciwnika swojemu wrogowi, Śmierci. Lecz Simmu nie dbał o to, bo walczył o życie.

Rozbójnicy zawahali się. Nie byli przyzwyczajeni do takich wstrząsów. Potem pięciu na raz rzuciło się na Simmu, i gdyby był tylko człowiekiem, za jakiego się uważał, byłaby to jego ostatnia chwila.

Lecz Simmu to Simmu. Uskakiwał, wywijał się i obracał, zadając śmiertelne ciosy nożem, godząc nim zawsze w tętnice, które tygrys i lampart tak dobrze znają. I choć przywykli do walki i mordy rozbójnicy próbowali wszystkich chytrych sposobów, aby go powalić i zabić, nie mogli powalić i zabić istoty, która w jednej trzeciej była kotem, w jednej trzeciej wilkiem i w jednej trzeciej wężem, a w dodatku cała była zaczarowana.

Kiedy na ziemi leżało już pięć trupów, reszta umknęła w trwodze, krzycząc, że to diabeł zesłany przez bogów, aby ukarać ich za wszystkie niegodziwości.

Simmu również stamtąd uciekł, bo trupy wciąż napełniały go strachem. Zatrzymawszy się gdzieś w lesie, oparł się o pień drzewa, rozdygotany, z szeroko otwartymi oczami, lecz wiedząc już, że może nie bać się rozbójników i złoczyńców, owych wyrzutków ludzkiego świata, których chętnie przejmowały dzikie i odludne krainy, i to nie dzięki biegleści w walce, lecz dzięki czystemu instynktowi - dzięki wychowaniu, jakie w najwcześniejszym dzieciństwie otrzymał od lwic i demonów. Uniósł głowę ku niebu i roześmiał się na głos, a potem oczyścił nóż z krwi i ruszył dalej w drogę. A ktokolwiek odtąd stanął mu na drodze, musiał uciekać lub zegnać się z życiem, choćby nawet nie był zwykłym rabusiem, lecz wytrawnym mordercą znającym się na swoim fachu. Raz czy dwa udało im się go zranić i miał teraz dwie

blizny: jedną na lewym ramieniu, podobną do białego półksiężyca, drugą na prawym udzie, podobną do błyskawicy, jaką sam się stawał pośród wrogich ostrzy.

Odtąd poprzedzała go złowroga sława i często wystarczyło jedno dźgnięcie jego rysich oczu, by przeciwnicy pierzchali, nie śmiąc mu nawet rzucić wyzwania.

Miał jednak spotkać innego przeciwnika, o wiele gorszego od zwierząt czy ludzi.

Był w połowie drogi do Weszum, w połowie swojej rocznej wędrówki, z bohaterskimi czynami za sobą i jasną, szaloną iskrą bohaterskiego celu przed sobą. Zaczęły już do niego docierać zniekształcone pogłoski o mieście nad rzeką, o jego czarnym bogu i o ogrodzie, pogłoski tak nierealne, jak głosy niesione wiatrem.

Było późne popołudnie, wokół rozpościerała się kraina wzgórz i małych wiosek. Simmu szedł długim, lekkim krokiem, opuściwszy powieki, aby uchronić oczy przed niskim już słońcem, grając na fujarce, którą sobie niedawno wystrugał. Dręczyło go niejasne wspomnienie o jakiejś innej wędrówce zapyłoną drogą, z kimś (kto to był?), kto później odszedł. Fujarka wyśpiewywała tę melancholię, a ptaki odpowiadały jej z zarośli i z nieba.

A potem ptaki odleciały, a wokół ścieżki wiodącej przez brązowe wzgórze zrobiło się cicho i najmniejszy podmuch wiatru nie poruszał zaroślami. Lecz coś usłyszał, coś, co przypominało szelest liści lub przesypywanego wiatrem piasku, tyle, że za swoimi plecami.

Przestał grać. Przystanął. Powoli odwrócił się i spojrzał na ścieżkę za sobą.

Niekiedy szły za nim zwierzęta, zwabione i zaciekawione czymś, co w nim było, czymś innym, wyjątkowym, co je fascynowało. Lecz tym razem nie dostrzegł żadnego zwierzęcia. Ścieżka była pusta. Odwracając się z powrotem, Simmu czuł, że jednak ktoś go śledzi.

Ruszył dalej naprzód, a za nim ruszyła świadomość, że ktoś za nim idzie. Człowiek mógłby sobie niedowierzać, ale świadomość Simmu była zbyt ostra i precyzyjna, by go zwieść. Minął grzbiet wzgórza i zatrzymał się, wyczekując. Lecz nikt nie nadszedł, więc znowu ruszył przed siebie i wtedy - i tylko wtedy, gdy szedł naprzód - znów powróciło poczucie, że wciąż ktoś za nim idzie.

Fakt, że ktoś za nami uparcie podąża, sam niewidzialny, może być dziwny i niepokojący, ale nie musi być groźny. Simmu o tym

wiedział i właśnie dlatego zagrożenie, jakie wyczuwał w tym niewidzialnym prześladowcy, stawało się jeszcze bardziej złowieszcze. Nauczył się już analizować swoje emocje i nazywać je po imieniu - była to jeszcze jedna ludzka skaza, której nie miał we wczesnym dzieciństwie. Teraz wiedział, że się boi i że jest to strach bardzo szczególnego rodzaju. Skoro jednak odwrócenie się lub wyczekiwanie niczego nie ujawniało, pozostawało mu tylko iść dalej naprzód. Szedł więc, a tymczasem słońce zaczęło już opadać i czerwienić wzgórze. Wówczas kątem oka dostrzegł ponad swoim ramieniem jakąś dodatkową czerwień na niebie.

Tym razem, kiedy się odwrócił, zobaczył coś.

Było niczym widmo jakiegoś ognistego obiektu, jakby spoglądał długo prosto w słońce, a potem odwrócił spojrzenie i ujrzał owo cienisto - krwawe odbicie w powietrzu. Nie miało kształtu, było wręcz nierealne. A jednak było.

Poniżej, w pewnym oddaleniu od traktu, zobaczył jedną z licznych tutaj wiosek. Z zasady unikał ludzkich osiedli. Wolał samotną ciemność, która przywoływała wspomnienie Eszwa. Lecz tym razem strach kazał mu szukać schronienia między ludźmi.

Zbiegł po zboczach. Słońce biegło nieco szybciej.

W tej samej chwili, gdy poczuł pod stopami ubitą wiejską drogę, słońce zaszło. Po raz ostatni rzucił spojrzenie poza siebie. Polny trakt, wzgórze, niebo były puste. A jednak na ciemniejącym woalu nocy wciąż tkwiło to widmo: to nierealne, czarno - czerwone coś.

Wiejski chłopiec, może ośmioletni, otworzył drzwi i spojrzał na stojącego przed nim mężczyznę.

- Chodźcie i zobaczcie! - krzyknął z przejęciem na widok niezwykłego przybysza.

Pojawiła się cała rodzina, dwie miłe żony (jedna z chochlą w ręku), mąż, trzech młodych synów i nieśmiała sześciolatnia córeczka.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy na przybysza, bo z całą pewnością nigdy kogoś takiego nie widzieli. Nad jego szerokim, młodzieńczym ramieniem jarzył się na niebie srebrny półksiężyc, a on stał nieruchomo jak wysmukły posąg z brązu, ze złotoczerwonymi płomieniami zamiast włosów i zielonymi płomieniami zamiast oczu.

- Racz wejść - mruknęła jedna z żon i wszyscy rozstąpili się, aby mu zrobić miejsce.

Posadzili go przy palenisku pośrodku ciasnej glinianej izby, dali mu chleba, mięsa i piwa, a sami otoczyli go kołem, przyglądając mu się, jakby był jakimś cudownym drogim kamieniem przyniesionym przez nich ze wzgórz. A kiedy już nasycili się samym widokiem, zbliżyły się do niego dzieci, najpierw dziewczynka, ciekawa jego włosów, potem chłopcy, którzy chcieli obejrzeć morderczy nóż z poplamioną rękojęścią. Gospodarz zaczął opowiadać o wędrowaniu, a dwie żony rzucały gościowi zalotne, lecz nieśmiałe spojrzenia.

Simmu zwykle niewiele mówił, lecz ich towarzystwo, które przypominało mu miłe ciepło zwierzęcego legowiska, koło nerwy. Nie przeszkadzały mu dzieci, jako że w dzieciństwie przyzwyczał się do małych lisów i kotów, które łąziły po nim i wokół niego w dzielonych z nimi norach lub jaskiniach. Pokazał im drewnianą fujarkę, a kiedy otworzyły szeroko oczy, zagrał na niej.

Ogień trzaskał, pies ułożył się na progu. Wydawało się, że do izby nie ma wstępu nic niepożądanego.

Ułożyli się razem do snu na legowisku ze szmat.

Ogień zamrugął i również zasnął.

Pies nie obudził się, lecz Simmu otworzył oczy. Ujrzał czerwoną postać klęczącą mu na piersiach, widmo z samej czerwieni podobnej do zastarzałej krwi, bezwłose, bezkształtne, o oczach jak świeża krew. To straszliwe coś ścisnęło go za gardło.

Nie mogąc odetchnąć lub krzyknąć, oślepiiony i obezwładniony ową krwistością, utracił człowieczeństwo i dał się opanować swojej drugiej naturze. A ten drugi Simmu zdobył się na taki opór, na jaki nie mógłby się zdobyć żaden człowiek.

Lewą ręką chwycił coś za gardło, które okazało się dość substancjalne, choć wilgotne i zakalcowate, nie przypominające ludzkiego ciała. Prawą ręką wyjął swój nóż z rąk śpiących obok niego chłopców i dźgnął nim po omacku w szyję czerwonego upiora. Poczł, jak wilgotny kark zadygotał, palący płyn trysnął mu na piersi. Dźgnął po raz drugi i mógł już odetchnąć, rozjaśniło mu się w oczach. I kiedy leżał, dysząc, ujrzał jak zjawa, brocząc słońną posoką, zaczęła się rozplýwać w ciemności. Po paru chwilach nie pozostało z niej nic prócz pierścienia bólu wokół szyi Simmu.

Kiedy odzyskał wszystkie zmysły, rozdmuchał ogień na palenisku. Nikt się nie obudził, nawet pies. Było tak, jakby straszliwe odwiedziny dotyczyły tylko jego i nikt inny ich nie zauważył.

Obejrzał swój nóż przy ogniu - ostrze było pokryte jakąś substancją, która odpadała z niego jak łuski, pozostawiając metal lśniąco czystym.

Simmu nie zasnął już tej nocy. Skulił się przy ogniu i tak doczekał świtu. Lecz nic już nie przyszło, aby go prześladować.

Rankiem dziewczynka opowiedziała, że przyśnił jej się czerwony byk, który wtargnął do chaty i przebiegł przez ogień. Kobiety śmiały się, zaplatając jej warkocze, każda po jednym.

Nie próbowali zatrzymać Simmu, lecz patrzyli za nim w milczeniu, kiedy odchodził, a dziewczynka szła za nim w pewnym oddaleniu aż do końca wioski.

Tego dnia Simmu wędrował, czując niejasny niepokój po swojej lewej ręce i gorączkowy niepokój po prawej. Nic jednak nie zbliżyło się do niego aż do wieczora. Tak jak uprzednio był sam na pustej drodze, tak jak uprzednio świat ucichł wokół niego. Odwrócił głowę i nie dostrzegł nikogo, lecz czuł czyjąś obecność za plecami. Wiedział, że nie uśmiercił siły, która zaatakowała go w nocy. Ujrawszy przed sobą wioskę, obszedł ją łakami. Tej nocy stawi czoło wrogowi na otwartym polu i nie da się zaskoczyć we śnie.

Słońce zaszło. Simmu usiadł na grzbiecie stromego wzgórza, oparłszy plecy o skałę. Zjadł trochę jadalnych łądyg i bulw, które zebrał po drodze. Nóż położył obok siebie.

Sklepienia nieba przybrało barwę indygo, wiatr tańczył po pieczarach i żlebach, lecz od czasu do czasu między Simmu i niebem pojawiła się dziwna plama ciemności, posłoneczne widmo światła tam, gdzie światła nie było.

Noc obracała swoim gwiazdzistym kołem. Sen - rybak podszedł bezszelestnie do Simmu i pocałował go w powieki, lecz Simmu odesłał sen precz, choć ten, nie znając wstydu, powrócił później i znowu próbował go pocałować.

Tym razem sen umknął w popłochu, bo to, na co czekał Simmu, zaczęło się dziać.

Z czegoś nieokreślonego, z ciemności lub nicości, wyłoniła się ektoplazmatyczna plama, która nabierała masy i kształtów; widmo oblekające się w ciało. Jak krąg ciężkiego ciasta, do którego dodano drożdży, owa plazma puchła i dźwigała się ku egzystencji. Z początku przeświecały przez nią gwiazdy, potem gwiazdy przesłonił ciemny garb, który przybrał kształt ciastowatego potwora, napęczniałego od

wewnątrz, zgniłoczerwonego. Para oczu - dwie wilgotne rany - utkwiona była w Simmu. Po ranach na szyi nie został nawet ślad.

Potwór - widmo ruszył w górę zbocza ku Simmu z przerażającą szybkością. Ręce miał wyciągnięte, palce gotowe, by zacisnąć się na tchawicy, którą mu odebrano ubiegłej nocy. Lecz Simmu powstał i z równą szybkością pobiegł mu na spotkanie, a kiedy widmo było już blisko, macając rękami, by go pochwycić, wbił mu nóż w okolice serca - jeśli miało serce - i natychmiast wyciągnął ostrze, by ugodzić w ohydny szyję. Zjawa nie wydała z siebie żadnego dźwięku, tym razem nie wytrysnęła też cuchnąca posoka. Już zamknęła Simmu w ohydny uścisku, tym razem miażdżąc mu gardło i żebra.

Simmu pociemniało w oczach. Nie mógł złapać tchu, lewe ramię miał unieruchomione. Próbował zamachnąć się prawą ręką, w której trzymał nóż. Bliskość potwora była prawie nie do zniesienia - oślizgłe, gliniaste, błotniste ciało - nie - ciało przylegające do jego ciała. Dźgnął nożem - jak sądził - w oczy, lecz i teraz nie pociekł na niego żaden płyn, a uścisk nie osłabł. Simmu dźgnął ponownie w szyję, lecz nie miał już siły, by uderzyć mocno. Świat zaczął od niego umykać, ciałem wstrząsnęły bezsilne drgawki człowieka, który się dusi.

Potwór potknął się na nierównym zboczu, jego uścisk zelżał, a Simmu konwulsyjnym ruchem wysliznął się z jego ramion i prawie w tej samej chwili rzucił się całym ciałem na dolne członki swego przeciwnika. Było to jedno rozpaczliwe uderzenie, lecz o sile tak wielkiej, że czerwone widmo potoczyło się po zboczu, a potem, napotkawszy stromą skarpgę, wyleciało w powietrze.

Simmu leżał i patrzył, jak gliniaste nie - ciało upada bezdźwięcznie na dno przełęczy, zdaje się rozszczepiać na kawałki, wybucha jak wielki czerwony bąbel, a potem - tak jak uprzedniej nocy - rozplywa się w ciemności, nie pozostawiając po sobie nawet jednej cząstki.

Simmu leżał długo na zboczu, przyciskając twarz do chłodnej ziemi.

Był cały rozbity, wyżęty, obolały. Czuł, że nie wytrzyma wielu takich nadnaturalnych pojedynków.

Wiedział bowiem, że będą następne, choć z całą pewnością nie tej nocy. Tej nocy widmo będzie leczyć rany, tam, gdzie się schroniło, gdziekolwiek to mogło być, w jakichkolwiek regionach nieświata. Lecz jutro ożyje i znowu będzie go śledzić, a potem zaatakuje. I

powróci silniejsze, a następnej nocy, jeśli Simmu zdoła przetrwać do następnej nocy, będzie jeszcze silniejsze. Było bowiem oczywiste, że jest wytworem czarów i że wysłał je ktoś za pomocą czarów. Widma nie można zwyciężyć. Zniszczone, wróci następnej nocy, będzie wracać zawsze, dopóki nie odda Simmu Śmierci.

4

Kto wysłał czerwonego prześladowcę? Któż, jak nie ta, co sięgnęła po czerwony bębenek, po tym, jak zdradziła swój najtajniejszy sekret Azrarnowi i Simmu?

Sięgnęła po niego w panice, bo po taki przedmiot nie sięga się lekkomyślnie. I służka Uhluma, Pana Śmierci, zaczęła bębnić, przymilać się i czarować, a co wyczarowała, to posłała, by wyśledziło Simmu i odebrało mu życie. Dość długo to trwało, bo odziedziczone po Eszwa cechy Simmu utajały trop, jego ślady nie były w pełni śladami człowieka. Lecz w końcu ohydny stwór odnalazł go i, posłuszny czarownicy, która go wyczarowała, rozpoczął swe mordercze dzieło.

Owa istota, posłuszna zaklęciom, wychynęła z miejsca, które nie leżało ani na powierzchni Ziemi, ani pod Ziemią, a jednak było dostępne, z czegoś w rodzaju psychicznego kredensu magów, pełnego ifrytów. Aby otworzyć ów kredens, trzeba było znać tajemną, czarnoksięską procedurę, polegającą głównie na pewnych zabiegach w sferze intelektu i woli. Nikt nie mógł dostać się tam przypadkiem.

Tak więc upiór wyłonił się z mrocznych głębi owego kredensu i tam miał powrócić, kiedy wykona swoje zadanie. Tam też był wciągany po potyczkach z Simmu, aby bezmyślna, lecz potężna moc psychicznego kredensu mogła scalać go na nowo i zaleczyć jego rany. Nigdy nie można go było całkowicie zwyciężyć, można go było tylko na jakiś czas usunąć z powierzchni Ziemi. Miał też szczególną właściwość: za każdym razem, kiedy został pokonany i odnowiony, stawał się podwójnie silniejszy. I jeszcze jedną miał cechę, a ta była o wiele straszniejsza: nie można go było dwukrotnie pokonać tym samym orężem. Tak więc nóż, którym przegonił go Simmu pierwszej nocy, stał się bezużyteczny w następnym starciu. (Krażyła opowieść o pewnym królu, którego prześladował jeden z tych ifrytów, i być może Simmu kiedyś ją usłyszał i zapamiętał. Pierwszej nocy król unicestwił złowrogiego wysłańca mieczem, drugiej - toporem, a trzeciej - udusił sznurem. Będąc niewidzialnym i nieuchwytnym dla wszystkich prócz

ofiary, upiór nie lękał się innych osób, więc król zmuszony był spać w dzień, aby być gotowym do walki o zachodzie słońca, kiedy zjawa powracała. Czwartej nocy użył włóczni, piątej łuku, szóstej miski z kwasem, siódmej kamiennego młota. I tak było przez dalsze siedemdziesiąt strasznych nocy, a każdej król sięgał po nowy oręż. Tymczasem królestwo popadło w ruinę, najeźdźcy zgromadzili się na granicach, dworzanie opuścili króla. W końcu, siedemdziesiątej ósmej nocy, król, wyczerpany beznadziejną i niekończącą się walką, wypił truciznę. Mówią, że gdy upiór powrócił o zachodzie słońca, zastał jedynie ducha króla, chichoczącego zjadliwie na progu, który oznajmił mu: „Spóźniłeś się.” Lecz pomylił się srodze, bo ifryt, nie mogąc odnaleźć ciała, które mógłby rozerwać na strzępy, rozdarł ducha króla, tak że tylko część jego duszy opuściła ziemski świat.)

Simmu nie miał zamiaru podejmować beznadziejnej walki przez siedemdziesiąt siedem nocy, nawet gdyby tyle nocy wytrzymało jego ciało. Zaczął już przemyślać o słowach, wypowiedzianych na pożegnanie przez Ażrarna: „Spal zielony klejnot wiszący na twojej szyi, a zjawię się.”

Simmu podejrzewał, że tylko demon może mu pomóc, jeśli zechce. Nie chciał jednak wzywać Ażrarna. Jak dziecko pragnął udowodnić, że sam potrafi dać sobie radę w życiu. Bał się też utraty tej odrobiny miłości Ażrarna, jakiej się spodziewał, wzywając go zbyt wcześniej i zbyt często.

Noc przeszła, wstało słońce, a w świetle dnia i tak nie pojawiłby się żaden demon. Simmu usiadł na zboczu wzgórza, częściowo zły, a częściowo zrozpaczony, dręczony chorą tęsknotą za Ażrarnem, niepewny, czy demon odpowiedziałby na wezwanie, nawet gdyby go wezwał.

Gdy tylko słońce minęło zenit, znowu pojawiła się owa złowróżbna oznaka zapowiadająca nocną zjawę: cienista plama w powietrzu. Simmu spoglądał na nią, drżąc ze strachu i wściekłości. Potem wstał, nazbierał gałęzi i suchych korzeni i przygotował ognisko.

Zapalił je o zachodzie słońca. Kiedy zagasło jedno czerwone światło, rozbłysło drugie, mniejsze, a Simmu zdjął klejnot Eszwa z szyi i wrzucił go w płomień. Potem pochylił głowę i zaczął się modlić do Księcia Demonów tak żarliwie, jak nigdy nie modlił się do bogów.

Noc usadowiła się na dobre w krajobrazie. Czerwone płomienie trzaskały i tańczyły, poza nimi wszystko była czernią, a na tej czerni odcisnięty był ślad - znajoma plama.

Simmu czekał. Czekał na przyjscie miłości lub śmierci.

Pojawiła się miłość.

Ujrzał czarną gołębicę, która zamieniła się w demona Eszwa, nie w Ażrarna.

Oczy Eszwa chłodno zmierzyły Simmu. Oczy powiedziały: Me pytaj, gdzie on jest, bo przysłał mnie do ciebie.

- Nawiedza mnie... - zaczął Simmu, lecz Eszwa uciszył go gestem i przekazał mu oczami: Wiem, co cię nawiedza. Bądź cierpliwy.

I zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Simmu pozostało więc jedynie nadal czuwać, z przeświadczeniem, że jego istnienie spoczywa na szali losu.

Ogień wygasł i Simmu wyjął klejnot z popiołu. Teraz był poczerniały od ognia, lecz o świcie znowu odzyska zieloność. Simmu zastanawiał się, czy dane mu będzie to zobaczyć. Godzina ześliznęła się z nocy, potem druga.

Nagle plama w powietrzu zaczęła się burzyć.

Ten, który mienił się wrogami Śmierci, miał umrzeć.

Wówczas przydarzyło mu się coś zdumiewającego, coś bardziej zdumiewającego od samej śmierci. W straszliwej męce poczuł, że wstrząsają nim drgawki, że całe ciało miażdży mu jakaś potworna siła. Krzyknąłby, ale nie mógł wydobyć głosu, z trudem cokolwiek widział. Albo raczej widział, ale inaczej. Wszystko nabrzmiało i urosło, wszystko nabrało jakiejś nierealnej błądności - białawe wzgórza na tle białawego nieba z czarnymi gwiazdami... nie, zielonawego nieba z gwiazdami jak... jak szafiry... nie... Simmu poruszył się. Cały się poruszył. Spoczywał w gąszczu paproci, patrzył jednocześnie w dwie strony. Pochwyciła go łagodna ręka, a on owinał się kilkakrotnie wokół jej nadgarstka.

Został zamieniony w węża, jednego z owych cichych węzów wplecionych we włosy Eszwa. I kiedy powoli docierało to do niego, dostrzegł swymi węzowymi, demonicznymi oczami ohydłą czerwoną zjawę na zboczu wzgórza. Upiór macał w powietrzu rękami, nie odnajdując niczego.

Simmu wiedział, że z oczu Eszwa - na wzgórzu były trzy demony Eszwa - wypływa charyzmatyczna aura, która ukrywa jego obecność przed rozwścieczonym i ogłupiałym upiorem. Eszwa śmiały się oczami. Śmiały się z ifryta, gardząc nim, same dla niego nietykalne, A ifryt krążył wokół nich, bezsilny, nie mogąc ani się do nich zbliżyć, ani wyrządzić im krzywdy, nie mogąc też odnaleźć Simmu.

Zjawa tego rodzaju, raz wydobyta zaklęciem z psychicznego kredensu, musi odnaleźć swoją ofiarę każdej nocy.

Ten upiór nie mógł znaleźć swej ofiary, choć dobrze wyczuwał jej obecność, bo nie wyczuwał jej gdziekolwiek indziej, na Ziemi, nad nią czy pod nią. Zaczął więc pnieć się jak piwo i w końcu wypienił się całkowicie, a noc wessała wszystkie drobne bąbelki i odesłała tam, skąd pochodził - donikąd.

Eszwa zabrały Simmu - węża na nocną wędrówkę po wzgórzach, starając się wyraźnie ustrzec go przed jakimś zgubnym skutkiem owej przemiany. Jego umysł, wtłoczony w czaszkę metalicznego węża, znajdował się w stanie chaosu; nie chwycił już, gdzie się znajduje, jak tu się znalazł i dlaczego. Częściowo zapomniał o swojej tożsamości, choć wciąż dręczył go jakiś niepokój, którego źródła nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą tak cudownie było pośród Eszwa, wędrownych dzieci nocy...

Parę godzin później powrócił do siebie w krótkim spazmie bólu. Znowu był młodzieńcem, świat odzyskał właściwe rozmiary i barwy. Eszwa go opuszczały.

Przypomniał sobie wszystko w gorączkowym natłoku obrazów i myśli. Próbował pytać Eszwa o swój los. Przekazały mu, że jest już uwolniony od zagrożenia. Jak to możliwe, skoro zagrożenie musi dostać swój łup? Łup, który mu obiecano, który miało już w szponach.

Simmu przyglądał się demonom. Ich oczy napelnione były snami i marzeniami, niewinnie i sennie niegodziwymi. Nic więcej nie można było z nich wyczytać.

Lecz był bezpieczny, czuła to jego krew i czuło serce. Ażram przegnał śmierć z jego drogi. Z drogi wiodącej do zaczarowanego ogrodu.

Marzył jednak, by Ażram pojawił się przy nim we własnej osobie.

Lylas miała prawie sto trzydzieści lat, a wyglądała na piętnaście. Siedziała w swojej komnacie w Domu Niebieskiego Psa, w różowym blasku niebieskich lamp.

Wróżyła sobie z kości, ale nie z czystych białych kostek palców wiszących u jej pasa, lecz z kawałków poplamionych i pożółkłych kości z rozgrzebanych grobów. Była służką Pana Śmierci i lubiła gromadzić wokół siebie jego symbole. Tej nocy przesycala ją mściwa duma, bo była pewna, że zabezpieczyła ponownie tajemnicę Uhluma, a więc i swoją młodość i czekające ją lata bez końca. Kości, które rzucała, miały utworzyć wzory potwierdzające tę bezpieczną przyszłość, lecz układały się dziwnie, jakby chciały zburzyć jej pewność siebie.

- Głupie kości - mruknęła czarownica. - Zmiażdżę was stopą, bo kłamiecie mi w żywe oczy.

I wyobraziła sobie pięknego młodzieńca o kocich oczach, bełkocącego o ogrodzie i studni, umierającego gdzieś w objęciach czerwonego upiora. Zachichotała. Chichot zamarł jej w gardle, gdy pojawił się przed nią czerwony upiór.

- Precz! - zawołała. - Precz, głupcze! Po co cię wzywałam? Idź i zrób to, co ci kazałam!

Lecz zjawa nie znikwała, a jej krwawe oczy spoglądały na Lylas, przekazując jej niewiarygodną wiadomość.

- Przecież nie mógł wyprowadzić cię w pole! Wracaj i szukaj go, jak ci kazałam!

Lecz zjawa nie mogła nigdzie wrócić. Po prostu nie czuła takie potrzeby. Nie myślała i nie rozumiała, musiała tylko zdobyć swój łup. A jeśli nie mogła pochwycić i uśmiercić ofiary, którą nakazano jej zdobyć swój łup. A jeśli nie mogła pochwycić i uśmiercić ofiary, którą nakazano jej zdobyć, musiała pochwycić i uśmiercić istotę, która wydała jej rozkaz. Lylas to zrozumiała, więc powoli wstała, by rzucić się do ucieczki.

Wiele garści piachu rzucała za siebie, wiele magicznych symboli, czarnoksięskich przedmiotów, by umknąć przed widmem, które sama stworzyła. Wiele było zaklęć, śpiewów i inkantacji, by wypędzić go ze świata, na który sama go zaprosiła. Lecz takiego stworzenia, raz powołanego do bytu, nie da się ani wypędzić ze świata, ani odwieść od pochwycenia i uśmiercenia ofiary. Takie stworzenie to obosieczny miecz.

W końcu nie miała już gdzie uciekać, za plecami miała mur. Zdołała wypowiedzieć zaklęcie, które przeniosło ją do innego kraju, lecz upiór szybko ją odnalazł. Raz po raz przenosiła się z jednego krańca Ziemi na drugi. W końcu w jakiejś puszczy, w której nie było nic prócz samych drzew, zmęczony pościgiem upiór schwycił ją za włosy i rozerwał na dwie połowy jak lalkę.

Kostki wiszące u jej pasa rozsypały się jak kości, którymi chciała sobie wywróżyć szczęście. Widmo, nareszcie nasycone i uspokojone, pozostawiło ją martwą pod drzewami i rozpułyło się w ciemnościach nocy. Lylas mogła być wieczna, ale nikt nie obdarzył jej nieśmiertelnością.

Nieco później przyszedł po nią ktoś bardziej czarny od tej puszczy i od nocy, bo i ona zawarła z Uhlumem układ, przyrzekając mu swoje tysiącletnie towarzystwo.

W niebieskim dworze niebieski emaliowany pies zabrał się do przetrząsania jej skrzyń.

6

Simmu przybył do Weszum. Miał siedemnaście lat i niezwykle wygląd. Mężczyźni i kobiety oglądali się za nim na ulicach, nie tylko ze względu na jego piękność, ale z powodu wewnętrznego światła, którym promieniował, owej płonącej pochodni świadomego celu i wyzwania. Widząc, jaką budzi ciekawość, zatrzymał się, lecz po chwili pomyślał: W końcu wszyscy się dowiedzą, po co tu przybyłem. Zrozumiał, że bohaterowie muszą mieć świadków. Zresztą nikt nie zapytał go o cel jego wędrówki. Byli przekonani, że i on, jak wielu innych, przybył tu, by podziwiać ich boga.

W Ogrodzie Złoty Cór każda z dziewięciu dziewczec miała już szesnaście lat, służąc przy Świętej Studni od trzech lat. O tym mieszkańcy Weszum powiedzieli Simmu nie pytani. Chełpili się świętością swojego miasta. Czarny bożek miał teraz na sobie szatę ze szkarłatnego aksamitu, na głowie złoty wieniec, a na rękach złote bransolety. Co dziewiąty wieczór zabijano mu na ofiarę czarną krowę. Simmu był świadkiem tego obrzędku, który nie sprawił na nim żadnego wrażenia. A w kramach i sklepach Weszumu, prócz sztuk wspaniałego jedwabiu i rzadkich ozdób, prócz wymyślnych słodczy i podniecających wonności, można było kupić małe posążki czarnego boga, wierne kopie dużego posągu, które miały przynosić szczęście.

Na dziedzińcach gospód, na porośniętych palmami tarasach opadających ku rzece Simmu, choć o to nie prosił, opowiedziano wszystko, co mógł chcieć wiedzieć. O dziewięcioletniej służbie dziewięciu dziewic, o złotej świątyni zbudowanej nad Studnią, o rozpalonym wysokim murze, o patrolujących pustynie konnych oddziałach i o wieżach strażniczych, o groźnych potworach zamieszkujących zbocza gór. A pewnego ranka, gdy Simmu rozmawiał na tarasie z jakimś kamieniarzem, zbliżyła się ku nim zawoalowana kobieta o tragicznym wyglądzie, a kamieniarz rzekł:

- Zważ na nią, przybyszu, bo to jedna ze świętych dziewic. Będzie trzy lata, jak zakończyła służbę w Ogrodzie. Opuściła go szlochając, jak one wszystkie. A teraz przebiła nożem swojego męża.

Kobieta, której oczywiście nie oskarżono o morderstwo - jako że świętych Cór Ogrodu nie można było oskarżyć o żadną zbrodnię, nawet najbardziej potworną - właśnie przechodziła obok nich i Simmu mógł przyjrzeć się jej z bliska. Była wysoka i smukła, lecz bosa, jak żałobnica, a głowę i twarz miała zasłoniętą welonami. Choć nie mógł dostrzec jej rysów, słyszał jęki i lamenty, a łzy wypływały spod woalu i toczyły się po jej piersiach.

- A więc żałuje, że go zabiła? - zapytał naiwnie Simmu.

- Ależ skąd! - odparł kamieniarz z jakąś kołtuńską dumą. - To normalne, że święte dziewice mordują swoje rodziny. Wzdychają tylko za Ogrodem, do którego nigdy nie wrócą, i za cudowną obecnością boga. Założę się - dodał cichym, złowieszczym tonem - że ta wkrótce spróbuje się tam dostać, co wcale nie jest rzadkością.

I opowiedział Simmu z poetyckimi szczegółami, jak często zawoalowane i rozslochane dziewice idą samotnie przez pustynię, wspinają się na górskie zbocza i siadają przy rozgrzanym murze, by oczekiwać otwarcia wąskiej furtki o zachodzie słońca.

- I nikt jej nie zatrzyma? - zapytał Simmu.

- Zatrzymać jedną ze świętych Cór? A niby po co? Łatwo się je rozpoznaje po woalach, płaczu i kobiecym stroju. Tylko cudzoziemców zatrzymuje się na pustyni i zawraca. A potwory żyjące na zboczach, umieszczone tam przez boga dla ochrony jego Ogrodu, łatwo ich odróżniają od członków Ludu Rzeki. Wszystkich obcych przybyszów rozrywają na strzępy, chyba że towarzyszą świętej procesji raz na dziewięć lat.

- A kiedy taka dziewica ujrzy otwartą furtkę o zachodzie słońca, co wtedy?

- Furtki strzeże potwór, daleko gorszy od całej reszty. Ten przepuszcza tylko trzynastoletnie dziewice, które przychodzą tam po raz pierwszy na czele świętej procesji, zgodnie z poleceniem boga. Potwór odpędza nieszczęśliwe byłe dziewice, a one same się zabijają. Tak się zawsze dzieje.

- A gdyby ktoś dostał się do Ogrodu?

- To niemożliwe!

- Zapewne, na to wygląda. Ale gdybyśmy coś takiego założyli dla czystej dyskusji...

- Nie, nie, nie popełnię błuźnierstwa nawet dla czystej dyskusji. Do Ogrodu ma wstęp tylko dziewięć pięknych i młodziutkich dziewczyn, czystych jak lilie i uroczo naiwnych. Takie powinny być zresztą wszystkie kobiety, ale niestety rzadko im to pozostaje. Mówią też, że towarzyszkami tych cudownych i naiwnych stworzeń w igraszkach miłosnych są tam samice zwierząt, łagodne jak baranki. W Ogrodzie nie można bowiem się znaleźć żadna istota męskiego rodzaju. Chyba że sam bóg zechciałby odwiedzić swój Ogród w męskiej postaci.

W tym momencie zawoalowana postać morderczyni weszła na szczyt schodów wiodących na miejską ulicę i zniknęła w tłumie. Simmu szybko pożegnał się z kamieniarzem i okrężną drogą pobiegł, aby ją wyśledzić.

Nie było to trudne. Tłum rozstępował się, aby zrobić jej drogę, a ona kroczyła naprzód, jęcząc i szlochając bez ustanku. Było oczywiste, że postanowiła już odnaleźć pierścień dziewięciu gór i furtkę w murze, co więcej, że już tam zmierza. Wkrótce opuściła miasto przez mało uczęszczaną bramę i ruszyła przez złote diuny, a Simmu podążał za nią w pewnym oddaleniu, starając się, aby go nie dostrzegła.

Była to jałowa kraina pozbawiona cienia, lecz zrozpaczona dziewczyna nie zatrzymała się aż do południa. Napotkawszy pośród piasków jakąś posępną samotną skałę, usiadła, by odpocząć w nędznym cieniu u jej stóp. Simmu zbliżył się do niej, cichszy nawet od piasku.

Spośród demonów to Wazdru śpiewały ludziom w uszy, aby ich obudzić lub wprowadzić w trans, ale Eszwa też by to potrafiły, gdyby miały głos. Simmu podpełzł jak ryś do ramion kobiety i zaśpiewał jej

w ucho jak demon. Dla demona byłaby to nędzna imitacja uwodzicielskiego śpiewu Wazdru... Co Eszwa przekazywały mu nad słonym jeziorem z takim żalem? Twoje skradanie się jest jak grzmot pioruna, my jesteśmy powietrzem. Na śmiertelnika owa nędzna imitacja działała hipnotycznie.

Ukojona hipnotycznym transem, kobieta przestała ronić łzy, oparła się o skałę i głęboko westchnęła. Simmu uniósł jej woal. Choć miała zaczerwienione oczy, a usta ściągnięte, była rzeczywiście urodziwa. Simmu pocałował ją, a usta rozluźniły się i zmiękły; nawet się uśmiechała, śpiąc w cieniu skały spokojnie po raz pierwszy od trzech lat. Tymczasem Simmu zdjął z niej szaty, pozostawiając jej tylko swój płaszcz dla ochrony przed żarem pustyni, choć już tego nie uczyniłby w podobnym wypadku żaden demon. Lecz Simmu wciąż nie chciał dawać podarunków Śmierci, jeśli to nie było konieczne.

Sam zdjął z siebie wędrowny strój bohatera, a potem odrzucił swą płęć.

Minął właśnie rok, odkąd stał się tylko mężczyzną i tylko mężczyzną, utrwalonym w nieodwracalnym kształcie jak w odlewie. Ów kształt zeszywniał, bardziej niż w owym czasie dojrzewania pośród dzikich oliwek, kiedy zazdrość, miłość i lęk mogły złagodzić zmianę, jakiej w sobie dokonał. Teraz był bardziej mężczyzną niż wówczas. Teraz przemiana była trudniejsza. Poza zwykłym poczuciem fizycznego rozdarcia czuł jej niestosowność. Jego świadomość była mniej elastyczna od jego niezwykłego ciała. To, co kiedyś było słodką rozkoszą bólu, teraz stało się aktem samozaprzeczenia lub nienawiści. Zżymał się, lecz pragnął przemiany, bo wiedział, że musi wejść do Ogrodu, a innego sposobu nie było.

A potem, zdawałoby się, raptownie, ów wewnętrzny sprzeciw zelżał. Simmu zadrżał i nie był już bohaterem, lecz bohaterką.

Tym razem zmiany nie były tak wielkie jak kiedyś. Simmu - mężczyzna, szeroki w barach, wysmukły w biodrach... Simmu - kobieta była równie wysoka jak on - wysoka jak na kobietę, lecz nie przesadnie, bo Simmu nigdy nie był olbrzymem - natomiast kości i mięśnie brzucha, ramion, nóg pasa, piersi, pozbawione zostały męskości, choć nie znikły. Była smukła, lecz o pełnych kształtach, o wysokich, dumnych piersiach i gładkiej skórze - cudowna. Bardziej cudowna od dziewczyny pogrążonej we śnie w cieniu skały. I tak kobieca, jak Simmu uprzednio był męski.

Simmu przyodziała się w skradzione szaty, zasłoniła twarz i włosy woalem. Jej stopy, nagie i delikatne, choć niezbyt drobne, z całą pewnością były stopami kobiety. Szata, zmoczona łzami i wysuszona żarem pustyni, ukazywała zarys dwu krągłych piersi, z całą pewnością dziewiczych i jędrnych.

Słońce zbliżyło się o godzinę ku zachodowi, kiedy ruszyła w drogę, samotna, lamentująca Córa Ogrodu, teraz Simmu, kierując się w stronę pierścienia dziewięciu gór.

Wartownicy dostrzegli ją z wież późnym popołudniem. Pokazywali ją sobie palcami i ściszyli głosy, nieco przestraszeni, jak zawsze na widok takiej ponurej, powtarzającej się samotnej pielgrzymki, a jednocześnie trochę rozzłoszczeni, trochę zmieszani. To oni, lub ich towarzysze, będą musieli wspiąć się na zbocza gór za tą dziewczyną, pomiędzy legowiska potworów, aby zabrać jej martwe ciało i zanieść do miasta.

Rozmawiali ze sobą prawie szeptem i mruzcili przekleństwa, a niżej, na pustyni, różne oddziały konnych patroli, zauważywszy nadchodzącą dziewicę, czyniły to samo.

Wówczas, kiedy patrole i straże stały, obserwując ją z nabożną, wrogą rezygnacją, zbocza gór ożyły.

Z nor i jam, z jaskiń i kryjówek, wychynęły setki potworów, a wszystkie warczały, ryczały, skowyczały i wyły. Ogień buchał im z pysków, powietrze poczerniało od dymu. Te, które miały skrzydła, łopotały nimi tak gwałtownie, że na ziemię padały mosiężne pióra. Biły ogonami, a owe ogony (węże) syczały. Potwory obnażały tygrysie kły i ryły zbocza górskie kopytami i szponami, a rogi godziły z hukiem w skały lub w inne rogi.

Żołnierzy ogarnęło zdumienie. Coś takiego nigdy jeszcze się nie zdarzyło, a w każdym razie nie na widok jednej z dziewic. Czyżby jakiś omen? A może straszliwe bestie wpadły w końcu w szal? Każdy oddział niespokojnie oceniał swoje siły i zastanawiał się, czy stawienie oporu boskim potworom byłoby bluźnierstwem. Tymczasem hordy potworów już zbiegały ze zboczy górskich i toczyły się dalej po piasku, jak lawa lub morze. Nie zwracały jednak uwagi na żołnierzy i wieże wartownicze. Wszystkie pędziły ku samotnej postaci dziewicy. Żołnierze, zamarli ze zdumienia i trwogi, stracili ją z oczu w chmurze skrzydeł, rogów, łusek, ogonów, pyłu, ognia i dymu.

Potwory, jak zawsze, zareagowały na zbliżanie się samotnego obcego. Simmu nie pochodziła z Ludu Rzeki, więc była dla nich cudzoziemką, którą należało rozszarpać na kawałki. Nie jest całkiem jasne, dlaczego zabrały się do dzieła z taką ochotą dosłownie wszystkie potwory zamieszkujące zbocza gór. Może wyczuły w Simmu nie tyle zwykłą obcą kobietę, ile prawdziwe i wyraźne zagrożenie. Lecz reakcja Simmu była równie szybka.

Zanim nadbiegła chmara diabelskich strażników, Simmu zrzuciła szaty, pozostawiając jedynie woal na włosach i na twarzy, i zaczęła tańczyć.

Poprzez ów magiczny taniec Eszwa, przez owo przywołujące duchy, prowokacyjne rozsnuwanie czarów, Simmu miała moc poskramiania najdzikszych bestii. Wystarczył dotyk ręki, czasem jedynie pieszczotliwy szept myśli, by omotać czarem węża, ptaka, lisa lub psa, natomiast taniec ujarzmił jednoroźca lub tygrysa - ludojada. Ale potwory, które wiedźma pozostawiła na zboczach gór, nie były jednak ziemskimi stworzeniami, lecz wytworem czarów, były jej bestiami, plamami, którymi ona zbrukała ten świat. Lecz kiedy Simmu tańczyła, pozamykały się wyszczerzone kłami paszcze, opadły straszliwe rogi, stuliły się skrzydła, znieruchomiały ogony. Jak mogło do tego dojść?

Po pierwsze, Simmu miała wciąż na szyi klejnot - dar demonów, amulet, który ochronił ją (albo jego) w zatrutym Merhu. A teraz, być może, zielony kamień wzmocnił siłę jej zaklęć. Ale to by nie wystarczyło.

Wydarzyło się coś, o czym nikt tutaj nie wiedział. Nie wiedziała o tym Simmu i z pewnością nie wiedział nikt z mieszkańców Weszum. Nawet potwory strzegące gór o tym nie wiedziały. Nie wiedziały, że wydarzyło się coś, co rzucało na nie cień, zmieniając je, osłabiając, wysysając szpik ich niegodziwości.

Czarownica, która stworzyła je przed dwustu dziewiętnastoma latami, była martwa.

Większość dokonań Lylas należała do takiego porządku czarnej magii, który można nazwać współczulnym lub współzawodniczącym. To jej własne fantazje i okrucieństwa dawały moc magicznym strażnikom Ogrodu. I choć to nie było jej pierwszoplanowym zadaniem, kiedy ich stwarzała, czerpała z owego aktu ukrytą radość i satysfakcję. Kreacja potworów była jej mistrzowskim posunięciem, jej

osobistym darem dla Pana Śmierci. I wszystko, co wiązało się z Ogrodem, czerpało z najgłębszych pokładów jej podświadomości. Lecz teraz nie było już z czego czerpać, studnia wyschła, zabrakło klucza do nakręcania zegara, by cały mechanizm pracował gładko, bez zgrzytów. Zachowujący wspomnienia mózg czarownicy z gaju jadowitych granatów został uwięziony w Śródziemni, a stamtąd niewiele impulsów docierało na Ziemię. Tak więc potwory pomknęły ku Simmu, dysząc żądzą rozdarcia na strzępy groźnego intruza, lecz pozbawione siły, która je napędzała i która nimi kierowała, łatwo uległy magii Eszwa i pozwoliły się odwieść od swego jedyne go obowiązku, stanowiącego sens ich istnienia przez dwieście dziewiętnaście lat.

Wkrótce zaczęły się łączyć do Simmu.

Ocierały się o jej boki tygrysimi pyskami, lizwały ją dziwaczny mi, rozdwojonymi językami. Czar Eszwa pełen był słodczy, napełniał je rozkoszą. Ich życie było dotąd długie i monotonne. Nawet potwór może mieć dość bezlitosnego rozdierania ludzi na strzępy.

- Co tam się dzieje? - dziwili się żołnierze, widząc jak dziewczica zaczyna wspinać się po najbliższym zboczu góry, odprowadzana przez chmarę podskakujących, zaślinionych potworów.

- Głowę ma zakrytą woalem, ale jest naga - zauważył jeden z wartowników na wieży.

Inni odwrócili oczy, aby ich nie posądzono o bezbożność.

- Myślę - rzekł pierwszy wartownik - że ona tańczy.

A ponieważ to zobaczył, sam uległ czarowi i opuścił swój posterunek.

- Czy mamy za nią iść? - zastanawiali się niepewnie żołnierze z oddziałów patrolujących zbocza.

W przeszłości zawsze szli za dziewczicą, którą tęsknota wiodła do rozpalonego muru, lecz teraz, kiedy już otrzymali taki rozkaz, trzymali się z dala od potworów, nie zachowujących się tak, jak powinni się zachowywać słynni strażnicy Ogrodu. Wkrótce stracili więc z oczu Simmu - dziewczicę.

Słońce prawie już zachodziło. Cienie poznały pustynię, biegnąc od gór, od wież wartowniczych, od stojących mężczyzn. Niebo powlekło się złotem, zachodni płaskowyż okryła warstwa czerwonego pyłu, gdy wóz słońca zbliżał się do skraju ziemi. Okryta

woalem Simmu pięła się ku gorącemu murowi. Z jego szczytu tryskały błyskawice, coraz jaśniejsze w miarę, jak ciemniało niebo.

Simmu dotarła do miejsca, w którym pojawiała się furтка.

Odrzuciła ostatni woal, kiedy zachodzące słońce odrzuciło ostatni woal dnia. Oba woale zajaśniały pośród skał. Simmu wymruczała jakieś słowa, ustami i w myślach, a potwory pokładły się na ziemi, leniwie kołysząc węzowymi ogonami i rozpościerając mosiężne skrzydła. Simmu podeszła do magicznej furtki, która zaczęła się pojawiać wśród zarośli, dokładnie tam, gdzie miała się pojawić według rozmownych mieszkańców Weszum. Żar buchał od muru, furтка stała otworem.

Wówczas z zarośli wyszedł ostatni strażnik, odźwierny ogrodowych wrót, i stanął między nimi a Simmu.

Mógł zmieniać swe rozmiary. Pośród zarośli wydawał się maleńki jak ślimak, a jego nora nie większa od średnicy dziewczęcej bransolety. Teraz nabrzmiał, napęczniał, wystrzelił rękami, kłami, ościstymi wyrostkami. Stał się węzem o błyszczących łuskach, z kilkunastoma muskularnymi ludzkimi ramionami, także pokrytymi łuskami, uzbrojonymi w szpony z błękitnej stali. Jego twarz, twarz koszmaru, przypominała twarz człowieka, który stracił włosy i rozum. Była szalona, dzika, z ostrymi kłami i wytrzeszczonymi, wypukłymi oczami o barwie pomarańczy (czyżby to był kolor jadowitych owoców granatu z gaju wiedźmy?). Spód dłoni jego wielu rąk też był pomarańczowy, a jego język, raz po raz wysuwający się błyskawicznie spomiędzy zębów, był czarny. Rogi sterczały z nadgarstków, policzków, skroni.

Simmu wzięła to wszystko pod uwagę i cofnęła się o krok. Powietrze gęste było od czarów Eszwa, lecz ten ostatni potwór wyraźnie pozostawał na nie nieczuły. Simmu spróbowała wystrzelić ku niemu strzałę myśli: Pozwól mi przejść. Strażnik furtki wycharczał z siebie śmiech, przekleństwo lub flegmę i plunął w powietrze bryłą płonącej materii. A potem zaczął się przygotowywać do pochwycenia Simmu, a było to długie przygotowanie, pełne mlaskania i ostrzenia pazurów o ziemię. Za nim wąska furтка otwierała się na Ogród Świętej Studni, lecz nie miało to trwać długo.

Simmu zwróciła się do potworów, które dopiero co łąsiły się do niej. Wyciągnęła ramiona i zawołała do nich jękliwie, i wydała im rozkaz oczami. Wypełniła ich chłonne mózgi obrazami gwałtu,

gładziła je po ościstych karkach, aż zaczęły się prężyć i powstawać, kłapać paszczami, bić ogonami, rozwijać skrzydła do walki. Simmu wykorzystwała swą czarnoksięską moc w sposób, w jaki jeszcze nigdy tego nie czyniła. W następnej chwili setki potworów wyzbyły się swojej niedawnej leniwej bierności i rzuciły się na strażnika furtki jak jedna straszliwa, skoncentrowana gromada.

Były dobrze wyćwiczone w tym, do czego zostały stworzone, w sztuce rozrywania na strzępy. Strażnik furtki nigdy nie miał ku temu okazji, bo czyż któremuś z najśmielszych nawet wędrowców udało się kiedykolwiek dotrzeć aż do samego muru? Co do powracających tu byłych dziewic, to wystarczyło mu tylko na nie warknąć, a natychmiast uciekały i rzucały się w przepaść lub przebijały nożem. Nie był przygotowany, ów ostatni i najgroźniejszy ze strażników, na to, co się stało. I bardzo szybko chmara kłów, rogów i kopyt odarła go z oręża i zbroi, a unurzane w krwi tygrysie pyski śmiały się znad jego wnętrzości, a mosiężne skrzydła łopotały nad stosem jego łusek.

A przez tę straszliwą scenę przemknęła Simmu, szybsza od czerwonego blasku, który właśnie spłynął z nieba. I wbiegła prosto do zakazanego Ogrodu przez wąską, niedostępną dla nikogo furtkę, na sekundę przed jej zniknięciem.

7

Tego szczególnego wieczoru od furtki nie biegły żadne marmurowe schody. Zamiast nich w dół spływała jedwabista murawa, znajdując sobie drogę między gajami i drzewami doliny. Wszystko skąpane było w delikatnej różowej poświacie Ogrodu.

Simmu pozostała przez jakiś czas na zboczach, w połowie nie wierząc w to, czego dokonała, a w połowie wierząc w to i czując musującą w niej radość. Spoglądała na Ogród w zamyśleniu, bo teraz lepiej już się znała na wszystkich rodzajach sztuki czarnoksięskiej i wyczuwała iluzję tak mocno, jak upajającą woń kwiatów i zapach świeżej wody. Legła na puszystej trawie, czując, jak ogarnia ją prawdziwie męska duma, a jej ciało rwie się ku męskości, tęskniąc za drugą stroną swojej obojnackiej natury. Oparła się jednak pokusie, bo cały Ogród miał żeńską naturę i zaludniony był żeńskimi istotami - ten zapach wyczuwała wszędzie. Obawiała się, że zdradzi samą siebie - albo samego siebie - jeśli będzie wędrować po Ogródzie w swoim męskim kształcie.

Po niedługim czasie wstała i zaczęła przeszukiwać wzrokiem dolinę, aby odnaleźć złotą świątynię nad zaczarowaną studnią.

Pojawił się różowy księżyc. Oczy Simmu, wspomagane blaskiem księżyca i mniej ograniczone iluzją, niż większość oczu, które kiedykolwiek spoglądały na tę dolinę, szybko uchwyciły odbłask złota - albo pozorów złota.

Na zachód, świątynia. I Simmu nie mogła się powstrzymać, by natychmiast nie ruszyć w tamtym kierunku, podobnie jak spragniony człowiek nie może się powstrzymać przed wypiciem wody.

Pobiegła ku świątyni bardziej chyżo i lekko niż jedna z iluzorycznych łań z Ogródu, których kilka ujrzała po drodze. Nie zwracały na nią uwagi, będąc stworzeniami nierzeczywistymi, a jej płeć nie naruszała w niczym kobiecej atmosfery doliny. Bowiem cały Ogród tchnął kobiecością, cały miał naturę kobiety - a może nią był. Wszystko było miękkie, łagodne, zmysłowe, kocio - niewinne. Nie było niczego stanowczego, szorstkiego, niezależnego, a jeśli nawet było, iluzja to ukryła. Nawet drzewa miały płynne, zaokrąglone kształty. Nawet wzgórza przypominały dziewicze piersi. I w to wszystko rzuciła się Simmu, na szczęście Simmu - dziewczyna. Nie było jeszcze mowy o gwałcie.

Simmu dobiegła do świątyni. Wyglądała na złotą, choć złotą nie była, lecz dwa stulecia nasyciły ją (jak cały Ogród) własnym, szczególnym nastrojem. Na progu Simmu mimo woli wstrzymała oddech. Wśliznęła się do środka bezszelestnie jak kot, jej oczy zapłonęły na widok złotego basenu i balustrady z kości słoniowej, za którą, bez wątpienia, była Studnia. A potem usłyszała za sobą dziki śpiew, dochodzący z ciemnego Ogródu. Osiem dziewczęcych głosów wznosiło się w pieśni lub w hymnie.

Zwykle dziewice przychodziły do świątyni o zachodzie słońca, by odprawić święte obrządki i odnowić swoje śluby przed bogiem, aby rozłożyć przed nim kwiaty i owoce. Tego wieczoru, jak się to czasami zdarzało, gdy lata mijały, a początkowy zapał nieco osłabł, przyszły nieco później, gdy słońce już zaszło.

Simmu, słysząc kroki dziewcząt na ścieżce wiodącej do świątyni, wskoczyła do najbliższej kryjówki, a była nią szeroka wnęka okna. Tu przywarła brzuchem do parapetu, jak lamparcica, obserwując wewnątrz przez wąskie szparki oczu.

Świątynię wypełniła świeża złota poświata.

Po części jej źródłem była złota lampa o kadzidlany zapachu, którą pierwsza z dziewcząt zawiesiła na haku w ścianie. Po części sama świątynia, odbijająca światło lampy. Po części rozmigotane złote hafty i ozdoby, którymi dziewice były obwieszane. Po części ich wdzięk, który również zdawał się być ze złota.

Było ich osiem i Simmu zastanawiała się przez chwilę, dlaczego tylko osiem, skoro zawsze miało być ich dziewięć. Wszystkie miały teraz po szesnaście lat i wszystkie rozwinęły się w Ogrodzie w wybujałe kwiaty nie znające ukojenia namiętności. Wszystkie zostały wybrane z powodu swojej nieskazitelnej piękności.

A teraz, skąpane w złotej, gęstej poświacie, zaczęły złościście tańczyć.

Przyniosły ze sobą czarne i zielone grona, szkarłatne maki, naręcza białych lilii, hiacyntów i róż, brzoskwinie i liście palmowe, bo w Ogrodzie wszystko rozkwitało i dojrzewało jednocześnie i bez końca. Wszystko to składały wokół złotego basenu, lecz uprzednio przyciskały owoce do ust, omiały kwiatami swe ciała i włosy. A kiedy taniec, który rozpoczął się czymś w rodzaju bezgłośnej muzyki, stawał się coraz dzikszymi i szybszymi, jeły się smagać palmowymi liśćmi. Szaty, jakby utkane ze złota, rozchylały się i osuwały z ramion, ukazując biel doskonałych ciał, ciemne pączki sutek, łuki stóp, strzeliste nogi, same raz przejrzyste, raz mniej przejrzyste, jak dym osnuwający ogień.

Był to taniec zmysłowy, nawet lubieżny, lecz przeznaczony jedynie dla boga. Osiem dziewcząt, pozbawionych od lat widoku mężczyzny, tańczyło dla fantastycznych wizji, wypełniających im mózgi. Oczy im płonęły, lecz powieki miały opuszczone, czerwone wargi rozchylały się, ukazując biel zębów i ciepłą pieczarę poza palisadą zębów. I odsłoniły swe aksamitne ciała, pozostawiając jedynie mgiełkę ostatnich woali, a potem weszły do złotego basenu i przyłgnęły gorącymi ciałami do chłodnego metalu, czepiając się kościanej balustrady, dysząc, łkając i jęcząc poprzez rozwiane dzikie włosy:

- Oto jestem nienaruszona jak owa Święta Studnia, a przez moją czystość zachowam w czystości to święte miejsce boga, i niech szczeszne... och, niech szczeszne, zginę, przepadnę, jeśli miałabym nie dochować mu wiary.

Simmu, ukryta we wnęce okiennej, doświadczyła przedziwnych doznań. Męskość, obudzona widokiem ośmiu dziewczic i ich zmysłowym tańcem, gwałtownie domagała się ujawnienia. Całym jej ciałem wstrząsały namiętne spazmy. Powstrzymanie tego zacieklego ataku męskości było niemożliwe, choć Simmu starała się - albo starał - o to ze wszystkich sił. I nawet wówczas, gdy - wcale tego nie pragnąc - w rozpaczliwym wysiłku odwróciła oczy od miotających się wokół studni dziewczęcych ciał, ich westchnienia, szepty i namiętne jęki wystarczyły, by zaburzyć całą jej - albo jego - naturę. I oto w końcu na półce okiennej leżał Simmu - mężczyzna w stanie najwyższej męskiej gotowości. I z płonącymi oczami, zaciśniętymi zębami i dudniącym pulsem, a także z jakimś ponurym zdumieniem wobec swojej sytuacji, ujrzał, jak taniec zamiera, a następnie jak wyczerpane dziewczice powstają i zbierają swe woale z posadzki, a potem, zapomniawszy o złotej lampie, wymykają się ze świątyni w mrok nocy, aby stać się ponownie małymi, niewinnymi dziewczynkami albo szukać erotycznego ukojenia w ustniku kryształu z bąbelkami.

Simmu leżał spokojnie na półce okna, przygotowując się wysiłkiem woli do ponownej przemiany swojej płci. Lecz zanim to uczynił, do świątyni weszła dziewiąta dziewczica.

Głosy ośmiu dziewczic ucichły w oddali i Simmu, wytracony z ukierunkowanego na powrót do kobiecości napięcia woli, nie mógł oprzeć się natarczywej myśli, że oto nadarza się jedyna w swoim rodzaju sposobność. Po chwili jednak intelekt ujarzmił mu zmysły, bo zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna nie jest podobna do ośmiu pozostałych. Była od nich piękniejsza, jeśli to w ogóle możliwe, ubrana była jednak o wiele skromniej, w prostą, a nawet nieco poszarpaną szatę, jakby natrętna iluzoryczność Ogrodu w jakiś sposób nie miała do niej dostępu. I wreszcie, co go najbardziej zdumiało, zawołała coś, co było oczywistą parodią nabożnych zawodzeń ośmiu dziewczic:

- Spójrz, o panie, ja też jestem nienaruszona. Bo gdybym nie była, ta twoja przeklęta studnia też by nie była nienaruszona!

I wybiegła w ciemność.

Ogarnięty zdumieniem, wciąż przyuczajony we wnęce okna, Simmu zrozumiał, że oto odnalazł wreszcie rozwiązanie swojego problemu bohatera. Teraz wiedział już dokładnie, jak zrobić szczelinę

w cysternie w Nadziemiu i pozwolić, by Woda Nieśmiertelności pociekła do studni na Ziemi.

8

Osiem z dziewięciu dziewcząt spoczywało przy wieczornej uczcie w marmurowym pałacu. Porozkładały się na bogato haftowanych poduszkach w blasku wonnych świec, kosztując pieczonych mięs, pędów lotosu, kandyzowanych fig i innych przysmaków. Jaskrawo upierzone ptaki śpiewały słodko na wysadzanych drogimi kamieniami żerdziach, małe czarne pantery, lwice i gepardzice wspierały łby na okrytych drogimi kamieniami łonach, pieszczono palcami lśniącymi od klejnotów.

Dziewice paplały lub pograżały się w zadumie, odpoczywając po frenetycznym tańcu w świątyni. Zgodnie z przewidywaniami czarownicy, plotły same bzdury, lecz ponieważ nie było nikogo, kto zwróciłby im na to uwagę, wyobrażały sobie, że są bardzo mądre.

- Mam pewną teorię na temat księżycy - powiedziała jedna. - Otóż uważam, że księżyc jest w rzeczywistości kwiatem, którego płatki opadają przez cały miesiąc, aż nic nie pozostaje. A potem z czarnej gleby nocnego nieba kiełkuje nowy księżyc.

- Jakże to oryginalne! - zachwyciła się inna.

Nie były o siebie zazdrosne, ponieważ nie miały o co ze sobą współzawodniczyć.

- Tak, przemyślałam to w każdym szczególe - powiedziała pierwsza - i teraz zaczynam się zastanawiać, czy słońce nie jest po prostu ogniskiem, które każdego wieczoru zalewane jest winem...

- A może to dziura w tkaninie eteru, ukazująca płonący świat Nadziemnia - odezwała się trzecia dziewczyna. - Świat naszego pana i boga.

- Jaka głupia jest ta Kassafa - powiedziała czwarta - że nas unika. Ile mogłaby się nauczyć w naszym towarzystwie!

- Co to takiego? - zapytała piąta dziewczyna, która miała bardzo czujne uszy ozdobione perłami. - Coś słyszałam za oknem.

- Za oknem? Chyba ci się zdawało.

- Nie. To był czyjś śmiech. Czyżby Kassafa nas szpiegowiała?

- A może - powiedziała pierwsza w zadumie - to spada światło gwiazd i rozbija się o ziemię.

- O! Ja też to słyszę - zawołała szósta dziewczyna. - Za tym oknem. Pójdę i zobaczę co to takiego.

Podbiegła do okna i w mroku dostrzegła smukłą dziewczęcą postać.

- Czy ci nie wstyd, siostrze? - krzyknęła szósta dziewczica.

- Biada mi jęknęła postać żałośnie. - Żałuję za swoje grzechy, a serce ciąży mi jak ołów.

- To na pewno Kassafa - zawołała szósta dziewczica do swoich towarzyszek. - Mówi, że żałuje za swoje grzechy, a serce ciąży jej ołowiem. - Lecz kiedy spojrzała ponownie, Kassafa gdzieś zniknęła. - Zupełnie tego nie rozumiem. Nigdy jeszcze niczego nie żałowała. A prócz tego wydaje mi się, że trochę urosła, a jej włosy nie są tak blade, jak zwykle. I ten głos... Mówiła bardzo cicho, ale to chyba nie był głos Kassafy...

- Ale to musiała być Kassafa, bo przecież nie ma tu nikogo prócz nas dziewięciu.

I osiem dziewczic zgodziło się z tym bez dalszej dyskusji.

Pierwsza dziewczica, ta od księżycy - kwiatu, leżała w swoim łóżku, śniąc o tym, że kołysze się na huśtawce z kości słoniowej, zwieszającej się z owego rozkwitłego księżycy. Szybowała w górę, ku rozgwieżdżonemu niebu, a potem opadała i znowu szybowała w górę, aż płatki opadły z księżycy i huśtawka się oderwała, a dziewczica zaczęła spadać i już miała wrzasnąć ze strachu, gdy ktoś ją pochwycił.

Otworzyła oczy w całkowitej ciemności. Lampa się wypaliła, a okno zaciągnięte było zasłonami. Nagle usłyszała szelest u swojego boku. Pomyślała, że to jej ulubiona lwica, gdy jej dłoń pochwyciła kobieca ręka.

- To ja, Kassafa - rozległ się szept.

- Twój głos... twój głos nie brzmi, jak głos Kassafy.

- Och, ale to ja. A któżby inny? Pozwól mi przy sobie zostać. Jesteś bardzo mądra i znasz się na filozofii. Musisz mi poradzić, jak mam odpokutować za bluźnierczą obojętność wobec boga.

Usłyszawszy te słowa, pierwsza dziewczica oddała się intelektualnej kontemplacji. A kiedy tak medytowała, chcąc znaleźć najtrafniejszą odpowiedź, Kassafa - ale czy naprawdę Kassafa? - przysunęła się jeszcze bliżej.

- Sama twoja bliskość jest już natchnieniem - szepnęła Kassafa.

Ale to nie była Kassafa.

Pierwsza dziewczica była w każdym razie pewna, że nieoczekiwany gość w jej łóżku jest kobietą. Przecież to kobiece piersi dotykały jej

ramienia, gładki dziewczęcy policzek otarł się o jej policzek. A jednak pierwsza dziewczica zaczęła nagle drzeć, czując jak ogarniała ją fala nieokreślonego niepokoju.

- Nie lękaj się mnie, nieszczęsnej bluźnierczynie - szepnęła „Kassafa” jeszcze dziwniejszym głosem, jakby powstrzymywała łzy lub śmiech.

A potem pierwsza dziewczica poczuła łagodny dotyk dwu lub trzech palców na szyi. Lekkie jak źdźbła trawy były te dwa lub trzy palce. Leciutko, jak źdźbła trawy, gładziły wklęsłość na jej gardle, a potem osunęły się niżej, ku stromiźnie piersi. A kiedy już wspięły się na sam szczyt, leciutkie źdźbła trawy zaczęły krążyć wokół niego rytmicznie, aż w samym środku odnalazły źródło przeszywającej rozkoszy, jak muzyk odnajdujący upragnioną nutę. I owa nuta zadrgała, albo coś podobnego do ryby drgnęło niespodziewanie w lędźwiach pierwszej dziewczicy, napełniając ją słodkim zdumieniem. I kiedy sama zaczęła drgać, albo jej ciało zaczęło drgać z własnej woli, by dopasować się do drgań owej ryby (i innych ryb, całego stada, które też zadrgało, migocąc srebrnymi łuskami), do jej ust przylgnęły inne usta, a pocałunki tych ust nie przypominały w nim żadnych pocałunków, jakie dotąd znała.

- Och... ale.. Kassaf... - zaprotestowała słabo pierwsza dziewczica dziwnie ochryplym głosem.

Lecz „Kassafa” nie odpowiedziała. A kiedy ramiona pierwszej dziewczicy uniosły się i przywarły do tamtego ciała, które teraz spoczywało na jej ciele, przygniatając je rozkosznie, i kiedy dłonie pierwszej dziewczicy zaczęły badać ów słodki ciężar, nie rozpoznały ciała Kassafy. Gładkie, jakby wypolerowane, mięśnie twarde, choć ustępliwe... ciało lwicy? Lecz pierwsza dziewczica, choć tak wyśmienicie znała się na filozofii, nie była w stanie niczego pojąć. Może nie chciała? Była jak drzwi, otwierane cal po calu, aby mogło przez nie wejść boskie objawienie. Może to sam bóg objawiał jej, poprzez ten szczególny rytuał, jakąś tajemnicę.

Simmu, mistrz w uwodzeniu kobiet, bo przecież sam bywał kobietą, biele sobie poczynął z tą ulegającą mu już dziewczyną. Zręcznymi dotykami, głaskaniem, ugniataniem, ociąganiem się i przyspieszaniem, świadomie wykorzystując usta, zęby i język, dłonie, palce i paznokcie, a intuicyjnie również i inne części swojego ciała, przemienił to kwiatowo - księżycowe dziecko w istotę dygocącą z

tęsknoty i gwałtownego pożądania, ponaglającą go bez słów na owej ścieżce, choć nie podejrzewającą ani przez chwilę, dokąd ta ścieżka może prowadzić. A kiedy on sam rozrósł się i nabrzmiał do granic wytrzymałości, a ona była już gotowa do ostatecznego przyzwolenia i otwarcia, objął ją mocno, przytrzymał i wdarł się przez ostatnią furtkę do najbardziej intymnej i rozkosznej części ogrodu. A choć furtka została wyłamana, jak musi stać się zawsze, kiedy wchodzi się po raz pierwszy do owej najbardziej zakazanej, najbardziej bujnej i soczystej, ale i najbardziej stęsknionej odwiedzin części ogrodu, i choć dziewczyna - już nie dziewica - wydała okrzyk bólu, a potem drugi okrzyk, jeszcze większego bólu, wnet jej krzyki, wołania i jęki zabrzmiały zupełnie inaczej.

Na zewnątrz, w dolinie, żadnego dźwięku. Żaden dźwięk nie zaświadczył o tym podwójnym gwałcie, zgwałceniu Ogródu przez wdarcie się do niego mężczyzny i zgwałceniu pierwszej dziewczicy, bardziej uległej i ochotnej niż Ogród.

- Och, Kassafa, czy ja śniłam?...

Lecz Simmu, demoniczny kochanek, zaśpiewał jej w ucho i zapadła w sen. Wyśliznął się z komnaty i szybko przybrawszy kobiece kształty jął się skradać marmurowymi korytarzami, które przez ponad dwa stulecia przemierzały jedynie iluzoryczne stopy samic i smukłe, lecz realne, stopy dziewcząt. I wnet inna zasłona została rozsunięta, inna lampa zdmuchnięta, inna dziewczyna budziła się, by znaleźć w swoim łóżu skruszoną Kassafę. Kassafę, która szybko zamieniała się w sen o rozkoszy, lepszy od kryształu z bąbelkami, och, lepszy, o wiele lepszy... I tutaj znowu: krzyk bólu, krzyk radości. I tutaj także: demoniczny śpiew. I tutaj: ciche odejście w mrok marmurowego korytarza. A jeszcze później, w owej czarnej godzinie przed samym świtem, jeszcze inna komnata, inna Kassafa, inne wdzieranie się przez zamkniętą furtkę, krzyki, krzyki, słodkie śpiewanie i ciche wykradanie się w szarzejący mrok korytarza.

Trzy tej nocy. Trzy dziewice obrabowane ze swoich świętych pieczęci w ciemnościach czarnych i gęstych jak sadza. I uciszony Ogród, nie dający żadnego znaku, nie znający groźby czy kary. I czyste, zastygłe niebo. Nie spadła ani jedna kropla deszczu, ani jedna gwiazda.

Lecz tkanina magii czarownicy rozpadała się już pod dotknięciem zręcznych palców bohatera. Jej współczulnej magii. Simmu odnalazł

do niej klucz. A teraz obracał ów klucz coraz szybciej. Bohaterowie nie czekają.

Rankiem: sześć nienaruszonych dziewic, trzy pozbawione dziewictwa; Simmu na wzgórzu, ukryty na wysokim kwitnącym drzewie. Simmu, rozleniwiony i śpiący, odpoczywający po trudach ostatniej nocy. I magia Ogrodu, coraz węższa, rozluźniająca więzy magii o wiele starszej, wysoko, w powietrzu, a może jeszcze wyżej.

Zbyt mądra była czarownica, ustanawiając dziewice jako strażniczki niższej studni, dokładnie pod Studnią Nadziemia. Dziewice, które muszą pozostać dziewicami, które odwiedzają dolną Studnię i ślubują przy niej: Jestem zapieczętowana jak zapieczętowana jest ta Studnia, a zachowując mą czystość, będę zachowywała czystość tego przybytku boga. Współczulna magia. Ponawiając śluby, dziewice zachowywały nieskalaność Świętej Studni przez dwa stulecia i trzydzieści trzy lata. Jak obdarzały świątynię świętością, tak i obdarzały Studnię życiem. A jako z niższą studnią, tako i z niebiańską. Nawet Nadziemie nie może pozostać nieczułe na tak potężne i uporczywe zaklęcia dokładnie pod nim, a - jak zauważyła już kiedyś czarownica - cysterna z Wodą Nieśmiertelności zrobiona jest ze szkła.

Przez swój bunt, przez swój zawzięty opór - Oby i mnie, i tę studnię ktoś rozpieczętował - Kassafa podsunęła Simmu odpowiedź na pytanie, które stało się sensem jego życia.

Wystarczy włamać się do dziewiczych cystern dziewięciu strażniczek, a cysterna w Nadziemiu także zostanie naruszona. Współczulna magia jest magią prowadzącą prosto do celu.

A gdyby nie ustanowiono dziewięciu dziewic, aby strzegły niższej Studni, może nigdy nie odnaleziono by sposobu na wydarcie niebu Elixiru Nieśmiertelności.

Kassafa, dziewiąta dziewczyna, miała swoje własne obrządki. Oto właśnie spełniała jeden z nich w bladym świetle poranka. Już dawno ustawiła kamień nad małą sadzawką, pomazała go czarnym szlamem i nazwała „bogiem”. Często tu przychodziła i robiła wobec kamienia obraźliwe gesty. Kassafa nieustannie urągała bogu, w nadziei, że zechce ją ukarać i w ten sposób udowodni, że istnieje. Nawet śmierć wydawała się jej lepsza od następnych sześciu lat uwięzienia w Ogrodzie na służbie nicości, ale trzeba pamiętać, że Kassafa nigdy jeszcze nie zapoznała się bliżej ze śmiercią.

I oto siedziała przed swoim kamieniem, z pastelowymi włosami spływającymi na ramiona jak blady deszcz, z oczami o barwie żelaza.

- A więc przybądź - mówiła - i ugodź mnie. Jakże ja ciebie nienawidzę, albo raczej jak bym cię nienawidziła, gdybyś istniał. Ale ciebie nie ma.

I obrzuciła kamień błotem.

Wówczas spoza drzewa wyszła pierwsza dziewczica, zawstydzona i zapłoniona, podbiegła do Kassafy i wyszeptwała:

- Czy ta ostatnia noc była snem, najdroższa Kassafo? A może to naprawdę byłeś ty?

- Ja? - zdumiała się Kassafa, zaskoczona dziwnym najściem.

- Ty, najdroższa Kassafo, ty, która zdmuchnęłaś moją lampę, która błagałaś mnie o pomoc. Och, pomogę ci, Kassafo, na pewno ci pomogę. Nie pojmuję jednak, co zaszło między nami... Czy mogłabyś mi powiedzieć... albo... pokazać jeszcze raz?

I czule otoczyła ramieniem kibić Kassafy. Ale Kassafa nie wydawała się tak miła jak zeszłej nocy, a już z pewnością nie była taka sama w dotyku.

- Och, Kassafo, nie myśl, że uskarżam się na to, że mnie zraniłaś... Ta czerwona różyczka na jedwabiu... to krew ofiarowana bogu, bez wątpienia...

I pierwsza dziewczica pocałowała Kassafę w usta, w sposób, który nie przypadł Kassafie do gustu.

- Zostaw mnie! - krzyknęła Kassafa, zerwała się na nogi i uciekła.

Lecz gdy biegła przez łąkę, kogóż mogła spotkać, jak nie drugą dziewczicę?

- Ach, Kassafo - rzekła druga dziewczica, spoglądając na nią bezwstydnie - co myślisz o ostatniej nocy? Jak mogłaś wśliznąć się do mojej komnaty i opowiadać mi te wszystkie kłamstwa w tak niegodziwy sposób! Chyba mnie zraniłaś przez tę swoją okropną gwałtowność, bo rano znalazłam na prześcieradle czerwony mak. Ale - dodała, podbiegając do Kassafy i obejmując ją namiętnie - nie mam do ciebie żalu. Nikt się o tym nie dowie. Kassafa próbowała wyzwolić się z jej uścisku.

- Nic nie zrobiłam.

- Nic, dobre sobie - kpiła druga dziewczica, muskając jej ucho końcem nosa. - Coś jednak zrobiłaś i zrobisz to ponownie, obiecuję ci.

Nigdy nie podejrzewałam, że jesteś tak zmyślna, gasząc lampę i szepcząc mi w ucho o potrzebie pocieszenia... a wszystko po to, aby uprawiać ze mną te twoje brzydkie igraszki.

I druga dziewczina roześmiała się, chwytając Kassafę mocno za pośladki. Kassafa ugryzła ją i uciekła.

Lecz gdy tylko wbiegła do lasu, prawie wpadła na trzecią dziewczynę, która leżała na mchu zanosząc się płaczem.

- Co ci się stało? - zapytała niespokojnie Kassafa. Na te słowa trzecia dziewczyna poderwała się i chwyciła ją za nadgarstek.

- Ty! Och, ty niegodziwa! Jak mogłaś zrobić mi coś takiego ostatniej nocy!

- To nie ja! - krzyknęła Kassafa.

- Ty, nie kto inny. Nigdy nie zapomnę kłamstw, jakie mi naopowiadałaś w ciemnościach, nie zapomnę, jak położyłaś się na mnie, nie zapomnę tych rozkosznych... okropnych... ruchów, do których mnie zmusiłaś... i jak mnie zraniłaś, a kiedy krzyczałam, żebyś nie przerywała... to znaczy, żebyś przestała... śmiałaś się takim dziwnym niskim głosem... Och, Kassafa, nigdy ci nie wybaczę tego czerwonego rubinu, który znalazłam rano pod sobą. Nie potrafię przestać myśleć o rozkoszy... a raczej o okropności... tego, co mnie spotkało z twoich rąk.

Kassafa spojrzała na swój nadgarstek uwięziony w stalowym uścisku trzeciej dziewczyny.

- Uwolnij mnie - powiedziała - a położę się przy tobie i sprawię ci rozkosz.

- O tak... to znaczy... zabraniam ci - wydyszała trzecia dziewczyna i puściła jej rękę

Kassafa natychmiast uciekła.

Była taka część doliny, w której niewiele zakwitało roślin i w której pozostały resztki pustyni. Tylko Kassafa widziała to miejsce dokładnie, bo żadna z iluzji Ogrodu nie mogła już zwieść jej do końca. W oczach pozostałych dziewczyn to miejsce, tak jak reszta raj, pokrywały całkowicie zielone łąki, a pośród łąk tu i ówdzie wyrastały skały. Dlatego też nigdy nie zauważyły małej prostokątnej pieczary, w której teraz schroniła się Kassafa. Nie odnalazły też jej trzy rozgorączkowane dziewczęta, które przeszły opodal, jedna po drugiej, bełkocąc jej imię. Nie pojawiła się żadna z pozostałych pięciu

dziewic. Kassafa doszła do wniosku, że nie miały powodu, by jej szukać.

Kassafa leżała w pieczarze przez cały dzień, skurczona i zdrętwiała, pogrążona w głębokiej medytacji.

Choć w Weszum świadomie utrzymywano dziewczęta w niewiedzy, Kassafa dowiedziała się dość, by rozpoznać deflorację. Jak można sobie łatwo wyobrazić, ogarnęło ją najwyższe zdumienie, kiedy usłyszała o trzech defloracjach dokonanych podczas jednej nocy, a w dodatku o tym, że to ona jest ich sprawczynią.

Wiedziała jedno: że na pewno tego nie zrobiła. A więc ktoś - lub coś - musiał podszyć się pod nią i dokonać owych zdumiewających wyczynów. I wydało się jej rozsądnym wnioskiem, że jednak musiało to być Coś, a nie człowiek, bo przecież żaden człowiek nie mógłby wdrzeć się do Ogrodu. Ta konkluzja nie tylko nie wzbudziła w niej niepokoju, lecz nawet ją zaintrygowała, bo była już znudzona i nie brakowało jej zuchwałości.

Pewne elementy powtarzały się we wszystkich trzech opowieściach: zdmuchnięta lampa i ciemna komnata, tak, by nie można było zobaczyć, kto naprawdę wśliznął się do łóżka... Może jakiś demon? Dalej, żalosne prośby o pocieszenie, a potem inne żądania, najwidoczniej chętnie spełniane przez wszystkie trzy dziewczęta. W dolinie było jednak jeszcze sześć następnych dziewczic. Czy to możliwe, aby to Coś zamierzało skosztować każdej z nich?

Kassafa, zgodnie ze swoim zwyczajem, nie przyszła na wieczorną ucztę. W ciągu ostatnich dwu lat nauczyła się cenić wyżej korzonki, jagody i czystą wodę od iluzorycznych bankietów. W czasie uczy pięć dziewczic paplało w ten sam idiotyczny sposób co zawsze, a trzy milczały, z oznakami gorączki w oczach i na policzkach, rzucając sobie zazdrosne spojrzenia, bo każda podejrzewała, że nie tylko ona miała nocną schadzkę. Tego wieczora nie tańczyły zbyt dobrze przed bogiem.

Dziewice rozeszły się do swoich komnat. Pięć szybko usnęło, trzy kręciły się i przewracały w łóżkach, wstrzymując oddech, gdy tylko nocny wietrzyk poruszył zasłonami. Lecz nikt się nie pojawił i koło północy wszystkie trzy zapadły ze zmęczenia w drzemkę, z niejasnym wrażeniem, że słyszały czyjś śpiew czy nucenie, gdy zasypiały.

Kassafa, nie będąc w pełni człowiekiem, nie uległa czarom Eszwa i czuwała. Sama zgasiła lampę i zaczęła się w kącie, mając oczy i

uszy szeroko otwarte. Około północy czuwanie zostało wynagrodzone, bo usłyszała odległy krzyk, wysoki jak krzyk nocnego ptaka, lecz nie był to nocny ptak.

Kassafa podkraśniała się na palcach do kotary w drzwiach i wyjrzała na korytarz. Po minucie z innych drzwi wyłoniła się jakaś postać.

Po trzech latach spędzonych z ośmioma towarzyszkami łatwo każdą rozpoznawała. Kassafa była pewna, że nie jest to żadna z nich.

Nie były to jednak kształty jakiegoś potwora. Raczej kształty wysokiego i smukłego... nie, to nie mężczyzna, bo snop gwiazdowego blasku ukazał zarys wysokich, jędrnych piersi... Może to demon?

Bliższa prawdy niż jej się wydawało, Kassafa zaczęła się skradać za stającą bezszelestnie postacią. Wkrótce postać wśliznęła się do następnej komnaty - tej, w której spała piąta dziewczyna. Kassafa przyłożyła oko do szczeliny w kotarze.

Tak! To kobieta. Kobieta pochylająca się nad lampą, włosy barwy dojrzałych brzoskwiń zasłaniają jej twarz, skóra zbrązowiała od słońca, złote szczyty piersi w świetle lampy, które nagle zgasło. A potem na tle okna cień kobiety zaciągającej zasłony. Ciemność.

A w tej ciemności cichy pomruk, a potem pytanie:

- Kto to?

I cicha odpowiedź:

- To ja, Kassafa.

A potem szept wyrażający potrzebę pociechy. Kassafa uśmiechnęła się złośliwie, mimo woli rozbawiona.

A potem ciężkie westchnienie w ciemności i szelest osuwającego się na posadzkę jedwabiu, a potem inny dźwięk, jakby pewna dłoń wędrowała po krągłym wzgórzu, przez równinę welinu, w dolinę ciepłego lasu. I może Kassafa naprawdę słyszała to wszystko, bo słuchała żarliwie.

Teraz westchnienie, teraz szybkie oddechy, teraz jęk, nagle urwany. Teraz słowa bez sensu, teraz stłumione pomruki. Teraz aksamitny szelest skóry ocierającej się o skórę. A teraz ostry, choć nie nazbyt głośny krzyk, kończący się niskim, zdławionym stęknieniem. Krótkie krzyki pomieszane z jękami i urywanymi oddechami, jakby w tym łóżku dokonywano powoli jakiegoś wspaniałego, mistrzowskiego morderstwa.

Kassafa, z bijącym szybko sercem, przyłgnęła do kotary, porażona zdumieniem i dziwną tęsknotą. A potem usłyszała głos, głos,

jakiego w swoim życiu nigdy nie słyszała, mówiący: „O, dzięki ci, ukochana”, Głos mężczyzny. A potem rozległ się ten sam głos, ale już jakiś inny, mrużący, śpiewny, głos, który ją zaalarmował, bo wyczuła w nim czary, więc szybko zatkała uszy palcami. Lecz śpiew demona nie wywołał w niej nawet w połowie takiego wrażenia, jak głos mężczyzny.

Pobiegła do swojej komnaty i tam czekała, żałując, że nie ma noża, aby go zabić, albo flakonika z wonnościami matki, aby go do siebie zwabić - nie była pewna, co bardziej chciałaby teraz mieć.

Lecz ów intruz, kobieta, mężczyzna lub demon, nie wszedł do jej komnaty. Tej nocy znalazł sobie inną trzecią dziewicę. Tak, jakby rozmyślnie zostawiał sobie Kassafę, której imienia używał, na sam koniec.

Może instynktownie tak naprawdę czynił. Może nawet świadomie zostawiał sobie na koniec ów najlepszy kęs, ją, najpiękniejszą, która podsunęła mu rozwiązanie problemu. Był jednak jeszcze jeden aspekt tego świadomego lub instynktownego wyboru, może przez niego wyczuwany, a może nie.

Gdyby do ostatecznego połączenia nadnaturalnej Studni Nadziemia z nędzną Studnią na Ziemi potrzebny był jakiś dodatkowy czynnik, to tylko Kassafa mogłaby go dostarczyć. Ona, córka mieszkańca nieba, żywiołu niższej kasty Nadziemia, teraz jedna z Cór Ogródu. W ten sposób los albo przypadek, albo jakiś niezrozumiały, zapomniany, prehistoryczny kaprys bogów, zebrał tu wszystkie elementy potrzebne do stworzenia całości. A wydarzenia toczyły się coraz szybciej.

Rankiem Kassafa podjęła decyzję.

Bóg Weszumu był dla niej hipotetycznym, bezużytecznym bogiem, a pakt z demonami mógł okazać się całkiem korzystny. W każdym razie ten demon systematycznie niszczył nieskazitelność strażniczek Studni, więc musi być skłonny do zniszczenia znenawidzonego więzienia, jakim był Ogród. Jest więc jej sprzymierzeńcem.

Kiedy czwarta dziewica przyszła do niej chyłkiem, łasząc się i mrużąc, Kassafa miała już przebiegły plan.

- Nie rozmawiajmy o tym w ciągu dnia - powiedziała. - Niech to będzie naszą tajemnicą poświęconą bogu. Nie mów o tym nikomu. To nasz sekret, twój i mój.

Czwarta dziewczica poprzestała na namiętym pocałunku i odeszła, wielce uszczęśliwiona. Tak samo było z piątą i szóstą dziewczicą, które Kassafa potraktowała w podobny sposób. Kiedy jednak przyszły do niej, jedna po drugiej, trzy pierwsze dziewczice, które nie zostały odwiedzone drugiej nocy, Kassafa powiedziała każdej skromnie:

- Po naszej kłótni bałam się do ciebie przyjść, ale tej nocy na pewno przyjdę. Nie mów nic innym. Wierzę, że to, co robimy, to rzecz święta. Bóg obdarzył nas swoją łaską.

Wiedziała, że demon udusiłby każdą, której by nie uśpił jego magiczny śpiew. Tylko ona mogła mu się oprzeć, a ona będzie na to przygotowana.

Tego wieczora Kassafa poszła na wspólną ucztę. Nałożyła świeżą szatę, o wiele bogatszą od szat pozostałych dziewczic, z których sześć nie zasługiwało już na to miano. A podczas tej uczy tylko dwie paplały bez sensu, podczas gdy pozostałe sześć wpatrywało się z uwielbieniem na Kassafę i ukradkiem ścisnęło jej rękę przy podawaniu wina.

Po uczcie, kiedy wszystkie rozeszły się do swoich komnat, Kassafa zaczęła się przygotowywać do nocnych odwiedzin. Wykąpała się w perfumowanej wodzie, która w rzeczywistości była zwykłą wodą ze źródła. Wplotła we włosy niebieskie kwiaty, a sokiem z ich łodyg pomalowała sobie powieki, co spowodowało, że oczy natychmiast nabrały romantycznej niebieskości. Niestety, nie trwało to długo, bo kiedy zdmuchnęła lampę, jej wciąż zmieniające barwę oczy zapłonęły podnieceniem i niepokojem jak oczy kota, mieniając się to bursztynem, to złotem, to opalizującą bladą czerwienią.

Już w ciemności wzięła kawałek ostrego krzemienia i zaczęła go ostrzyć o kamień; obie te rzeczy wyszukała poprzedniego dnia w ogrodzie. I nawet wówczas, kiedy iskry sypały się z owego narzędzia mordu, marzyła o miłości. I nawet wówczas, kiedy marzyła o miłości, jej stopa trącała sznur, jaki uplotła z mocnych, giętkich łodyg, którym będzie mogła go związać - jeśli w ogóle będzie w stanie kogoś związać.

A przez cały czas nasłuchiwała. Raz usłyszała odległy zduszony krzyk i wzdrygnęła się. Później drugi i wtedy wzdrygnęła się nieco mocniej. Tej nocy trzecim okrzykiem musi być jej własny.

Różowy księżyc zaszedł, czerwiejsza róża wschodu słońca miała jeszcze godzinę, by rozkwitnąć.

Noc przywarła do ziemi w ostatnim czarnym zespoleniu.

Simmu wszedł, krokiem rysia, do komnaty równie czarnej. Lampa nie płonęła, okna były szczelnie zasłonięte. Kassafa, dziewiąta dziewczica, sypiała w grobowej ciemności, na to przynajmniej wyglądało. Droga była już przygotowana.

Podobnie jak w przypadku innych dziewcząt, Simmu przybrał kobiece kształty, wślizgując się do łóżka. Odmienne od innych dziewiąta dziewczica poruszyła się natychmiast i oznajmiła sennym głosem:

- Już mówiłam, że nie będę dzielić łóżka z panterami lub innymi zwierzętami.

I wyciągnęła rękę, kładąc ją dokładnie na dziewczęcej piersi Simmu.

- Co to takiego? - zapytała zaskoczona.

- Ja, Kassafa - odpowiedział kobiecy głos.

Tym razem Simmu przyszło to z wielkim trudem, zwłaszcza że czuła kobieca rączka, badająca łagodnie leżące na łóżku ciało, zaczęła siać spustoszenie w kobiecości Simmu. Simmu odsunęła się więc lekko od swojej towarzyszki i pozwoliła, by męskość wzięła górę nad jej kobiecością.

- Och, siostrzyczko - szepnęła Kassafa - wydajesz się jakaś inna.

- Miałam zły sen - rozległ się pieszczotliwy, słodki głos, ale nie brzmiał już jak głos dziewczęcy.

- Biedna siostrzyczko... Musisz mi wszystko opowiedzieć. I pozwól, że zdejmę te ciężkie narzuty, bo noc jest gorąca.

I zrobiła to, a jednocześnie chwyciła zapaloną lampę, która do tej pory była ukryta pod łóżkiem, pod fałdami narzut, i z okrzykiem triumfu skoczyła i uklękła nad Simmu, z lampą w jednej ręce i ostrym krzemieniem w drugiej.

Nie widziała mężczyzny od trzech lat. Wątpliwe też, by kiedykolwiek widziała mężczyznę takiego jak ten, tak pięknego, tak lwio mocnego i tak cudownie ukształtowanego jak ów świeżo odlany z brązu posąg w jej łóżku, spoglądający na nią spokojnymi, żółtozielonymi oczami.

- No i co - powiedział - zabijesz mnie?

Najwyraźniej wiedział, że dziewiąta dziewica tego nie zrobi. Okazywał pewne zaskoczenie, ale nie strach.

- Może prędzej sama się zabiję - odpowiedziała Kassafa - niż miałabym ulec twojej żądzy, która jest dostatecznie widoczna.

- Miałaś oczy jak roztopione żelazo, a teraz są barwy młodej nocy. Dlatego sądzę, że postąpisz ze mną łagodnie.

- Czego tu szukasz, w Ogrodzie Złotych Cór, bo chyba nie naszych ciał, skoro poza murem jest tyle innych kobiet?

- Żadna nie równa się z tobą - odpowiedział Simmu. - A teraz oczy ci pociemniały jak hiacynty.

Kassafa uśmiechnęła się i odłożyła kamienny nóż, a potem postawiła lampę na podłodze. A kiedy to czyniła, on otoczył jej kibić dłońmi, których palce prawie się zetknęły, bo była smukła, i tak trzymał ją, a jej cudowne włosy obsypały ich oboje.

- Jesteś demonem? - zapytała Kassafa.

- Wędrowałem z takimi, co są demonami - odpowiedział Simmu - i z tymi, którego zowią Panem Demonów, Panem Nocy.

- I zamierzasz sprawić trochę kłopotów temu głupiemu bogowi Weszumu?

- Wszystkim bogom, ale najbardziej Śmierci.

- Powiedz mi, po co tu przybyłeś? Chętnie oddam ci swoje ciało, ale najpierw mi powiedz,

- A więc powiem ci, ale tylko raz.

I opowiedział jej o dwóch studniach i o tym, jak naruszenie szklanej cysterny zostało matematycznie zredukowane do naruszenia dziewięciu błon dziewiczych, i o tym, że skutkiem będzie uronienie przez niebo Nieśmiertelności, i że on zamierza ją wykraść.

- A więc jesteś bohaterem - powiedziała zdumiona Kassafa.

I osunęła się w jego ramiona z takim miłosnym zapalem, że niewiele brakowało, by pomiędzy ich ciałami wystrzeliły iskry żywego ognia.

Kassafa poddała swą twierdzę bez krzyku lub z okrzykiem tak cichym, że Simmu go nie usłyszał.

To noc krzyczała, noc i zgwałcona dolina.

Najpierw huknął grom. Ziemia skuliła się, zdawało się, że gwiazdy wypadły ze swoich łóżysk i toczą się bezładnie po niebie. Potem straszliwa błyskawica rozdzieliła jedną część ciemności od drugiej, tu i tam rozsiewając drobiny spalonego powietrza. Lecz

piorun ugodził celnie - ugodził prosto w Ogród. Zgruchotał złotą kopułę świątyni, która pękła jak skorupa jajka, siejąc wokoło złotymi szczątkami. I pomknął dalej ową szczeliną, ze straszliwym, wstrząsem zrywając aż do żywego gruntu złoty basen razem z kościaną balustradą. A to ostateczne uderzenie obnażyło małą, błotnistą dziurę w ziemi, tak długo osłoniętą iluzjami złota i kości słoniowej.

Na to wszystko kochankowie, spleceni ze sobą w konwulsjach rozkoszy, nie zwracali najmniejszej uwagi. Noc uciekła się do mimikry. Mówią, że w tym momencie zatrzęsło się wiele domów.

Lecz wkrótce, nasyceni rozkoszą aż do słodkiego omdlenia, usłyszeli marsz przeznaczenia krocącego przez niebo. A po głuchych, podobnych do uderzeń w bęben krokach po świetle rozlała się cisza. A w ciszy rozległ się dźwięk, na który zmiękły mięśnie, zeszywniały włosy i serca przestały bić: trzask pojedynczego krystalicznego pęknięcia.

W Ogrodzie Złotych Cór zaczęło padać. Padało tylko w jednym miejscu. Deszcz spadł wąską kaskadą z jakiegoś niewidzialnego, lecz ściśle określonego miejsca i przedostawszy się przez wielką szczelinę w sklepieniu świątyni, wpadł prosto do drugiej studni. Krople były gęste jak syrop. Nie iskrzyły się, nie migotały. Miały barwę ołowiu.

Deszcz padał tylko przez kilka sekund, może mniej. Potem szczelina w cysternie została ponownie zapieczętowana albo sama zarosła. Wszystko jedno. Nieco Wody Nieśmiertelności wyciekło na Ziemię.

Pioruny ucichły. Chmury dryfowały jak sieci między ławicami, a zimny wiatr szalał po Ogrodzie. A kiedy zimny wiatr ucichł, dolinę nawiedziło poczucie jakiejś dziwności i inności.

Skorupa czarów, którą zbudowała czarownica, pokruszyła się, pozostawiając po sobie żalosne szczątki: jakiegoś iluzorycznego tygrysa, przezroczyściego jak pomarańczowa zjawa, roztrzaskane piorunem ruiny, już nie złote. Mur ostygł. Tu i tam rozsypał się w drobny gruz. Poza nim potwory miauczały do gwiazd albo drapały się leniwie. Poniżej wojownicy z oddziałów poszukujących ciała samobójczyni (Simmu), którzy pospadali z koni i ukryli twarze w dłoniach, kiedy uderzył grom, teraz wskazywali palcami na zniszczony, martwy mur i wzruszając ramionami gorzko przeżywali swoją nagłą bezużyteczność. Dziwny paradoks: po dwustu i trzydziestu trzech latach w końcu naprawdę zaistniało coś, czego

należało strzec, prawdziwa Nieśmiertelność w drugiej studni, a właśnie teraz każdy miał do niej dostęp.

Na pustyni, pogłębiając posępność krajobrazu, wyły dzikie psy. Dlaczego - trudno sobie wyobrazić. Psów z całą pewnością nie obchodziło to, co się stało.

10

Obudzone gromem osiem dziewcząt, do niedawna dziewic, stłoczyło się w przerażoną grupkę na łące poniżej pałacu. Pałac nie wyglądał już tak pięknie jak dawniej: teraz była to nędzna budowla z gipsu i drewna, obwieszona starymi workami. Na zboczach wzgórz nie kwitły róże ani hiacynty. Pieniły się tam polne kwiaty i chwasty.

- To kara za grzech, którego się dopuściliśmy! - jęczały nie - dziewice. - To Kassafa namówiła nas do grzechu.

Widmowy jeleń pomknął przez łąkę i skrył się w lesie, a nie - dziewice zaniosły się płaczem.

Wiatr opuścił dolinę, słońce zaróżowiło wschodni horyzont i brutalnie ujawniło więcej ponurych faktów. Przeleciał kruk, kracząc żałościwie. Jeszcze wczoraj byłaby to urocza gołębica.

Kassafa zbiegła na łąkę, do jęczących i mamroczących między sobą ośmiu nie - dziewic.

- Cieszcie się - powiedziała szorstko jak kruk. - Nareszcie w tej obrzydliwej studni jest coś naprawdę drogiego. Same zobaczcie.

Osiem dziewcząt patrzyło na nią z nienawiścią. Gdyby się wychowały w bardziej surowej atmosferze, może rzuciłyby się na nią z furją, ale teraz potrafiły kąsać tylko spojrzeniami i językami.

- Jesteś podła. Będziesz przeklęta!

- Zjedzą cię szakale!

- Masz oczy demona... ale szakale ci je zjedzą!

- Bóg zamieni cię w konika polnego!

- Twoje imię będzie przeklęte na wieki!

- Ha! - powiedziała tylko Kassafa. - Ha - ha! Wówczas po zboczu zszedł ku nim Simmu - młodzieniec. Niósł gliniane naczynie (wczoraj srebrne) obwiązane sznurem z łodyg, który Kassafa uplotła, aby go związać.

Osiem nie - dziewic wzdrygnęło się i skuliło. Oczy wyszły im na wierzch, usta rozwarły się w jednym potężnym wrzasku i pierzchły stamtąd, nie wiedząc dokąd uciekają. Biedne stworzenia, naprawdę

nie zasłużyły na swój los, ani na hańbę, jaka - były o tym przekonane - będzie im towarzyszyła do końca życia.

Simmu i Kassafa poszli razem do zrujnowanej świątyni, milczący, bladzi i oszołomieni wielkością wydarzeń.

Kawałki pokruszonej cyny (złoto) i zmurszałych, poplamionych kości chrzęściły im pod stopami. W posadzce ziały szczeliny, witraże w oknach były potrzaskane.

Drżąc z przejęcia wpatrywali się w mały, otoczony szlamem otwór.

- Już nie cuchnie - powiedziała Kassafa. - Nowe wino oczyściło stare.

- Szara, ołowiana woda - rzekł Simmu. - Zawsze myślałem, że ten napój będzie złoty.

- Och, błagam cię, zaczerpnijmy tej wody. Zobaczmy.

Simmu spuścił naczynie na sznurze do studni. Patrzyli, zafascynowani, jak powoli napełnia się płynem, a kiedy wyciągnął je ponownie, oboje do niego zajrzeli, drżąc z emocji i lęku.

Woda była ołowiana, ciężka, posępna.

- Małe naczynie - wydyszała Kassafa - a studnia wydaje się już pusta. To już wszystko?

- Jedna kropla wystarczy - odpowiedział Simmu. - Jedna kropla i można żyć wiecznie, każąc Śmierci iść precz od swoich drzwi.

- Jedna kropla.

- Tylko jedna.

- A więc wypij i bądź nieśmiertelny, Simmu.

- Bądź moją siostrą, bądź mi małżonką, i wypij przede mną.

- Ja? Nie mogę wypić przed tobą. To ty jesteś bohaterem, który tego dokonał.

- Wypiję - rzekł Simmu. - Ale jeszcze nie teraz.

- Ja też - powiedziała Kassafa - nie wypiję teraz. I tak oboje wahali się na krawędzi wiecznego życia,

jakby ktoś szeptał im za plecami: „Życie jest tylko życiem. Jest również radość.”

Nie wypili więc, a Simmu zatkał naczynie i przywiązał je sobie do pasa.

A więc - powiedział - ruszajmy w drogę.

Lecz Kassafa opuściła oczy, teraz ciemnozielone jak liście mirtu, i powiedziała:

- Ja muszę tu pozostać. Tu jest moja rodzina i mój dom.
- Nikt cię nie kocha. Kochaj mnie i żyj ze mną, a ja cię poślubię.
- Dzisiaj tak mówisz, a jutro powiesz co innego. Ale uśmiechnęła się i poszła z nim.

Choć Ogród został zniszczony, choć mur był już nieszkodliwy, a nawet tu i ówdzie w ruinie, i choć potwory z górskich zboczy straciły ochotę do rozrywania na strzępy kogokolwiek, nie mówiąc już o kimś, kto znał czary Eszwa i komu towarzyszyło święte dziewczę z Weszum - pomimo tego wszystkiego na zboczach gór i na pustyni pozostały konne patrole. A żołnierze, choć przerażeni upadkiem wiekowej tradycji, byli jednak w nastroju sprzyjającym chwytaniu jeńców.

Najpierw, widząc osiem oszalałych, wrzeszczących dziewcząt, daremnie próbujących wydostać się na zewnątrz przez zrujnowany tu i ówdzie mur, żołnierze nie śmieli przyjść im z pomocą, bo przecież nikomu prócz dziewic nie wolno było wchodzić poza obręb murów. W końcu jednak przeważył zdrowy rozsądek i wspięli się po rumowisku, by uwolnić dziewczęta. Nie wiadomo, kto był bardziej przerażony, osiem byłych dziewic w ramionach mężczyzn, czy mężczyźni dotykający świętych ciał dziewic. Po pokonaniu wzajemnego onieśmienia, po wielu namowach, po obopólnym zmieszaniu i po uciszeniu płaczów i jęków, dziewczęta zgodziły się mówić.

I cóż za przedziwną i straszną opowieść usłyszeli oniemiałi żołnierze!

Demon wdarł się do Ogrodu, wszystkie pozbawił dziewictwa, sprofanował świątynię boga i ukradł coś magicznego z boskiej studni.

Ochłonawszy z religijnego wstrząsu, żołnierze doszli do wniosku, że demon nie był wcale demonem, bo widziano go w świetle dnia. Musiał to więc być jakiś niezwykle sprytny i zły czarownik. Honor nakazywał im go odnaleźć i przynajmniej wykastrować, bez względu na jego czarnoksięską moc. Bóg na pewno obroni swoją armię. A jeśli bóg będzie akurat zajęty czym innym, armia obroni się sama. Byli to naprawdę prostolinijni, uczciwi i niezbyt wrażliwi ludzie, od dwunastego roku życia przywykli do obozów na pustyni, monotonnych wart i wojskowej brawury. Tak więc, obrawszy zemstę za swój główny cel, dosiedli koni, wdarli się do Ogrodu przez wyłom w murze i przejechali całą dolinę, rozpraszając ostatnie widmowe ślady pastoralnej kobiecości lub iluzji. Był to ostateczny gwałt

dokonany na Ogrodzie Złotych Cór. Ostatecznie, ich bóg żądał głowy na końcu piki i fallusa na końcu innej piki. Ich bóg nie był takim księżycowym głupcem, za jakiego go niektórzy uważali.

Nawet potwory umykały przed nimi; niektóre przedostały się do Ogrodu i przeszukiwały go ze złowrogim zainteresowaniem. Żądni krwi jeźdźcy pędzili po zboczach, przez strumienie i wodospady, obok gipsowego pałacu, przez poszarzałe ugory, które niegdyś były łąkami raj.

Simmu i Kassafa usłyszeli ich z daleka. Wędrowali powoli przez Ogród, nieświadomi groźnej pogoni. Kassafa pomyślała, że czeka ich rychła śmierć - dziwna myśl, jeśli się weźmie pod uwagę, że tuż obok niej kołysało się u pasa Simmu naczynie z Eliksiem Nieśmiertelności. Simmu powiódł ją do jakiegoś drzewa, na które się wspięli, ukrywając się w jego koronie.

Teraz pod ich drzewem zaczęły się galopy tam i z powrotem, wiele kurzu i wiele głośnych ślubowań tortur, jakim poddany zostanie czarownik łasy na poświęcone bogu dziewictwo. A nie ulega wątpliwości, że jeźdźcy byli niewrażliwi na czary Simmu, biorąc pod uwagę ich licznosc i rozwścieczenie.

Simmu nie prosił Kassafy, by go opuściła i dodała własną opowieść o haniebnym gwałcie do opowieści pozostałych dziewcząt. Kassafa też nie podsuwała takiego pomysłu. Owinęli się wokół gałęzi i wokół siebie jak dwa węże i trwali tak, nie mając ani krzty zaufania do reszty świata.

Potem nadjechał samotny jeździec. Pod drzewem zatrzymał konia i spojrział w górę.

W następnej sekundzie Simmu uwolnił się z objęć Kassafy, skoczył i wylądował na jeźdźcu, zwalając go z konia. A kiedy powstał, żołnierz pozostał na ziemi.

Simmu położył rękę na wystraszonym koniu. Zwierzę natychmiast się uspokoiło.

Nie minęła minuta, gdy Simmu, Kassafa i koń - pod pieszczotą dotyku Eszwa pędzący jakby już nie był zwykłym koniem - opuszczali galopem dolinę. Nie ku Weszum, przenigdy. Ku zewnętrznej pustyni. Ku bezlitosnej bezwodnej pustyni, której unikał Lud Rzeki.

- Ta droga to pewna śmierć - powiedziała Kassafa. - A w każdym razie tak mówią.

- Śmierć mamy już poza sobą - odrzekł Simmu, a w następnej chwili koń poszybował ponad murem i pędził już po górskim zboczu, ku złotym diunom.

Nikt ich nie ścigał. A jeśli nawet ruszyła za nimi pogoń, musiała zawrócić po kilku milach. Pustynia, odwieczny wróg, odpychała od siebie Lud Rzeki. Ich wyimaginowany bóg musiał się obyć bez zemsty, bez ofiary złożonej na pikach.

Simmu i Kassafa pędzili wciąż naprzód, niesieni przez zaczarowanego konia.

Pustynia, jak każdy krajobraz, miała swoją własną osobowość. Za dnia dyszała oślepiającym blaskiem unoszącym się z rozpalonego piasku. Zarysy diun widać było jak przez mgłę lub wodę. Na powierzchni tego oceanu żaru wspierało się płaskie miedziane niebo. Czasem z owej świetlistej powodzi wyłaniała się grupa skał niby wielkakolczasta ryba. Widziany z pewnej odległości błękit tych skał gąbczasta i krucha, niepodobna do płynnej niebieskości podwodnego świata.

Żar pustyni też nie był podobny do zwykłego żaru, kojarzył się raczej z uszczuplaniem lub zestrugiwaniem. Zdawało się, że pustynia wydaje z siebie bardzo wysoki, gwizdzący dźwięk: to zrodzony z żaru wiatr unosił piasek z grzbietów wydm, które wyglądały, jakby płonęły.

A słowo pustyni było takie: Powstałam z pyłu kości wszystkich ludzi, którzy tu zginęli, a moje skały są pomnikami gór, które zasypałam.

Nie było tam plam ziemi, nie było źródeł. Dla tej pustyni zieleń i źródła były jak rany, które już dawno uleczyła spiekota. Czego nie mogła wypłenić, to spaliła.

Nocą piasek gwałtownie się oziębł. Szron pokrył łuską jego powierzchnię, tak że piasek lśnił czystą czernią. Było to cudowne, tak cudowne, jak może być cudowne tylko takie miejsce, bo naruszało prawa natury i dowodziło, że ohydne może być piękne. I trzeba było się z tym zgodzić.

Simmu i Kassafa wkroczyli do tego królestwa i wnet opuściło ich uniesienie lub determinacja, bo pustynia żywi się takimi uczuciami. Nie przygotowali sobie ani zapasów dla ciała, ani zapasów dla ducha. Wstrząsający światem czyn został dokonany. Owoce tego czynu były jeszcze nie ukształtowane.

Nie mogli wrócić do Weszumu, ani w inne miejsce na brzegu rzeki, bo jej brzegi, aż do morza, były domeną Ludu Rzeki, zdobytą w czasach łupieżnych wypraw. Pustyni nikt nigdy nie zbadał, nie istniała nawet jej mapa. Karawany omijały ją skrajem.

- Tysiąc mil, mówią, tysiąc mil bez wody - powiedziała Kassafa, prorokini zagłady i zwątpienia.

Skoro jednak nie było dla nich powrotu, posuwali się naprzód, na koniu, który już nie galopował, lecz włókł się ociężale, z wysiłkiem wydobywając nogi z głębokiego piasku, ze zwieszonym nisko łbem. Po jakimś czasie Simmu zsiadł z niego i odtąd prowadził go za uzdę, z Kassafą na grzbiecie.

Kierowali się na wschód, słońce powoli przesunęło się poza ich plecy.

Zaczęli rozpaczliwie pragnąć choćby łyku wody. Pustynia przybrała barwę pragnienia, a wiatr pogwizdywał o pragnieniu. Nie tylko ich gardła wołały o wodę, wołały też o nią ich ciała i umysły. Zaczęli sobie wyobrażać baseny z wodą i sadzawki pełne wody, i fontanny wody, i nawet mętłą rzekę. Lecz żadne nie mówiło o tym drugiemu.

I tak dwie trzecie dnia spaliło się na popiół.

Potem koń osunął się na kolana i zdechł, wydając z siebie długie westchnienie. Legł rozciągnięty na pustyni, która wkrótce go przykryje, by zmieszać pył, jaki z niego zostanie, z oceanem swojego pyłu. Kassafa załkała, lecz łzy szybko wyschły.

Niedaleko jakaś skała, wysoka jak drzewo, dawała niebieski cień i tam Simmu powiódł Kassafę. Usiedli w cieniu i spojrzeli sobie w twarze.

- Mamy napój - rzekł Simmu. - To.

I odwiązał gliniane naczynie od pasa, i postawił je między nimi.

Po tych słowach i po tym geście - długie milczenie i bezruch. Oczy Kassafy, przezroczystoszare w blasku diun, nabrały barwy opalu, prawie purpury.

- Ale czy Nieśmiertelność ugasi nasze pragnienie? Czy nas nakarmi? Czy ochroni nas przed furią słońca, przed chłodem nocy?

- Cokolwiek się stanie, nie umrzemy tutaj.

I Simmu wziął naczynie, otworzył, podniósł i wypił.

Uczyniwszy to, siedział dalej nieruchomo, jak przykuty do skały, ze zbieleńcami wargami i rozszerzonymi oczami, podczas gdy Kassafą,

równie blada i oszołomiona, patrzyła na niego tak, jakby zamierzała od niego uciec.

Jeszcze jedna chwila milczenia, a potem słowa Simmu:

- Kassafo, nie zostawiaj mnie samego w tej wędrownicy.

I nagle Kassafo odrzuciła włosy, chwyciła gliniane naczynie i też wypięła.

Teraz oboje byli jak przykuci, badając się nawzajem oszalałym spojrzeniem w poszukiwaniu jakiejś oznaki.

Siedzieli tak, nieruchomo, może godzinę lub więcej. A potem stopniowo uświadomili sobie, że choć nadal są spragnieni i głodni, nie czują już słabości ani lęku przed śmiercią. I powstali jednocześnie, i opuścili cień przy skale. I pomimo słońca, które godziło w nich parzącymi, zachodnim promieniami, poczuli, że zostali nagle stworzeni na nowo, tym razem z tworzywa odpornego na takie uderzenia. Zapewne, nadal byli upodleni, ubiczowani przez los, spaleni słońcem, pozbawieni wilgoci - ale nie egzystencji. Wszystkie ziemskie zagrożenia stały się dla nich niczym łąka porośnięta paprociami, które chłostały im ciała, gdy się przez nie przedzierali, ale z których mogli wyjść, teraz i zawsze, umęczeni, lecz nietknięci. I tak jak każdy człowiek może poczuć przedsmak śmierci, tak oni smakowali ustami życie.

I nie słyszeli tego kogoś niewyczuwalnego, który szeptał:

- Życie jest tylko życiem.

Bo tutaj także, o tej godzinie, była radość.

CZEŚĆ DRUGA

„Wrogowie śmierci”

1

Nie zapisano, przez jak wiele dni - albo miesięcy - Simmu i Kassafa, pierwsi z nieśmiertelnych na Ziemi, wędrowali po pustyni. Może nie przez tak wiele. Może przez wiele. Pustynia wciąż była taka sama, a i czas na pustyni wciąż był taki sam, z ową szczególną takąsamością. Z całą pewnością mogli tu przeżyć tylko nieśmiertelni. Choć istniały pewne dobrze strzeżone sekrety przeżycia w tym miejscu, mogli je poznać jedynie tacy ludzie, jak Simmu i Kassafa. Pustynia zdumiewała się, widząc, że wciąż żyją na jej łonie. A więc dobrze, obiecywała sobie zapewne pustynia, umrą jutro. Lecz następnego dnia wciąż żyli i tak było każdego dnia i każdego jutra. W końcu pustynia, urażona w swej bucie i nieco zdezorientowana, wyjawiała im nieopatrznie niektóre swoje sekrety: pewne wewnętrzne grupy skał, gdzie rosły twarde, kolczaste rośliny, których łodygi zawierały parę kropli wilgoci, ukrytą w jakiejś jaskini strużkę wody, skamieniały krzak uwięziony pomiędzy głazami, z którego wyrastały trzy żywe, brązowe pędy.

I tak wędrowali, wciąż trwając, niczym para mitycznych, niezniszczalnych dzieci, bo pomijając wszystko, byli bardzo młodzi - tym rodzajem młodości, który nie ma nic wspólnego ani z latami, ani z niedojrzałością.

Wychudli, lecz była to piękna chudość, bo byli piękni i takimi musieli być zawsze. Nie mówili do siebie wiele, po części dlatego, że pustynia do tego nie skłaniała, a po części z powodu milczącej natury każdego z nich. Kassafa przez ostatnie trzy lata nie dzieliła się z nikim swoimi myślami, a zresztą potrafiła się porozumiewać kwiecistymi gestami i wyrazem twarzy, nie mówiąc już o jej kameleonowo zmiennych oczach. Na Simmu spoglądała w sposób, jakim patrzy na mężczyznę kochająca kobieta, nieustannie oczarowana nim samym i swoją odpowiedzią na jego istnienie. Zaczęła go kochać prawie w tym samym momencie, kiedy ujrzała go w świetle lampy w swoim łóżku, ale tak naprawdę niewiele o nim wiedziała. Pojawił się w jej życiu jako obcy przybysz, oczarował ją jako obcy przybysz, porwał ją ze sobą jako obcy przybysz. I obcym przybyszem pozostał. Nie mówił o swojej przeszłości, jakby nie miała znaczenia. Nie mówił o przyszłości, choć ta musiała mieć znaczenie. Był teraz bohaterem,

krewniakiem demonów, młodym lampartem, jej kochankiem. To jej wystarczało. Jeśli chodzi o samego Simmu, odzyskał nieco ze swojej dawnej, zwierzęcej osobowości, intuicyjnej, milczącej, wyrazistej. I jeśli kochał Kassafę - a możliwe, że owo uczucie nie było miłością, kochał ją za to, że w niej też było coś z jego zwierzęcości, a już z pewnością była piękna pięknnością zwierzęcia. Niekiedy powracał z samotnego wypadu i znajdował ją śpiącą w skwarze południa, na poły w cieniu, na poły w słońcu, przy jakiejś skale, gdzie ją zostawił. Zbrązowiała, szczupła i niemal przezroczysta, z włosami rozsypanymi wokół niej jak promienie słońca, o twarzy nie całkiem ludzkiej: widział w niej gazelę, rysia, węża - swoją własną psychiczną menażerię. Bardziej siostrę niż małżonkę. Lecz zawsze był spragniony jej ciała. I zaiste, akty pożądania były ich jedyną formą wytchnienia i rozrywki na pustyni - reszta zaś niekończącym się poszukiwaniem pożywienia i drogi.

Taka egzystencja połączyła ich nierozzerwalnymi więzami. On i ona, i gliniane naczynie wiszące u jego pasa.

W końcu - kiedy to było? miesiąc, rok później? - przekroczyli grzbiet łańcucha wysokich diun i ujrzeni przed sobą w dole pewne złagodzenie krajobrazu. Jeszcze nie zieleń, ale już mniej ochry, a oślepiające słoneczne opary nie były już tak gęste. A kiedy zeszli na tę równinę, znaleźli obfitość ciemnych roślin zawierających wodę, a tu i ówdzie karłowate drzewa.

Następnego dnia odnaleźli ślady jakiejś starodawnej, zapomnianej drogi, w wielu miejscach całkowicie zasypanej piaskiem. Ruszyli nią dalej, a przed zachodem słońca zatrzymali się na odpoczynek (Simmu, uprzednio nocny wędrowiec, uległ prośbie Kassafy: noc jest najlepszym czasem na miłość). Gdy zatrzymali się przed wieczorem trzeciego dnia u stóp wysokiej skały, dostrzegli małego węża tańczącego albo dla słońca, albo dla pustyni, albo dla jakiegoś piaskowego boga. Simmu chwycił węża, a ten owinał mu się wokół ręki, wyraźnie zadowolony. Oczy Kassafy, oślepiająco niebieskie, poprosiły: „Naucz mnie tego”. Więc Simmu zaczął ją uczyć, a ona szybko pojmowała, o co chodzi w tej nie - ludzkiej sztuce i gorliwie ćwiczyła swoje nowe umiejętności. Wkrótce opanowała tę sztukę prawie tak jak Simmu.

Kiedy zapadła chłodna noc, a szron pokrył równinę, przytulili się do siebie, aby się ogrzać. Tutaj zimno nie kąsało już tak ostro, mogli też rozpaść ognisko z suchych badyli i martwych drzew.

Kassafa wpatrzyła się w płomienie i powiedziała na głos:

- Widzę w nich miasto, a to miasto należy do ciebie.

- Było kiedyś takie miasto, ale już nie istnieje.

- Będiesz królem - powiedziała Kassafa, nieświadoma jeszcze swojego sprzeciwu w tej sprawie.

Przedsmak cywilizacji obudził w niej instynkt córki kupca; w końcu była w równej mierze dziecięciem eteru, co Ziemi.

Simmu patrzył na Kassafę bez zrozumienia, choć jej fizyczny powab rozproszył w nim lekkie rozdrażnienie. W jego ramionach była całkowicie i wyłącznie żywiołową niewinnością, niebem, ogniem i dziką kotką. Na samym początku zafascynowała go jej przebiegłość (lampa pod łóżkiem), ale to, co poznał później, było jeszcze bardziej fascynujące.

Lecz czasami jedno słowo wystarczy. Albo dwa słowa. Miasto. Król.

2

Łotrzyk Jolsippa włókł się o zmierzchu równiną. Godzinę temu odkrył przypadkowo w piaskach drogę. Teraz zmierzał nią w złym kierunku, zagłębiając się coraz bardziej w jałową pustynię, zamiast się od niej oddalać. Mimo średniego wieku nie nauczył się w życiu wiele prócz łotrostwa, i to niezbyt udolnego, a tym bardziej skutecznego, chełpliwy, grubiański, drapieżny, zagorzały gracz, któremu brakuje szczęścia. W lewym uchu nosił imitację rubinu, w prawym nozdrzu kółko z fałszywego złota. Na jego strój składała się pstrokaczna najróżniejszych kolorów, wzorów i tkanin, niekiedy ozdabianych szklanymi świecidełkami, lecz teraz nieco podartych i poplamionych. Za pasem tkwił groźnie wyglądający nóż, którym często próbował pozbyć się swoich licznych wrogów, wierzycieli i przedstawicieli prawa. Nóż ten nigdy jednak nie zadał śmiertelnego ciosu, głównie z powodu niezdarności, braku wprawy i tchórzostwa jego właściciela. Nie żałował nikogo, chyba że w sposób skrajnie filozoficzny i mglisty - potrafił na przykład szlochać przy czyjejś egzekucji lub klepać po ramieniu żebraka, ignorując jednocześnie jego pustą miskę - ale nie trzeba było wiele, by kolana uginały się pod nim ze strachu. Dość dziwne było więc to, że przy takiej naturze wybrał sobie karierę

złodzieja kieszonkowego, rzezimieszka, a przede wszystkim szarlatana. Dwa dni temu Jolsippa praktykował tę ostatnią sztukę w małym miasteczku na skraju pustyni. Miał przy sobie słoiczki z zieloną maścią na różne skazy, słoiczki z czerwoną maścią na wrzody, amulety chroniące przed demonami, żywice wzmagające pożądanie, proszki jeszcze bardziej wzmagające pożądanie i nalewki uśmierzające pożądanie. Miał też na podorędziu cały zapas bohaterских i miłosnych opowieści, którymi raczył przygodnych słuchaczy. Mieszkańcy miasteczka byli ludźmi dość podatnymi na namowy, ale rozsądnymi, i kupowali od Jolsippy jego bezużyteczne remedia nie dlatego, by wierzyli w ich skuteczność, ale dlatego, że ciekawiło ich wszystko, co nowe. Handel szedł nieźle, lecz później doszło do nieszczęścia.

Jolsippa niełatwo uległ zmysłowym porywom, ale było coś, co natychmiast wprowadzało go w miłosny szal, nad którym nie potrafił zapanować. Tym czymś był przedstawiciel którejkolwiek z płci, któremu zdarzyło się być zezowatym. Przyczyny można się tylko domyślać. Być może Jolsippę w dzieciństwie piastowała kobieta z taką ułomnością, traktująca go jak lubieżną zabawkę, tak że odtąd zawsze erekcja kojarzyła mu się z zezem jego piastunki. Co pewien czas Jolsippa odwiedzał jakiś dom rozpusty i wybierał sobie nierządnicę z oczami bez skazy, aby pozbyć się swojej śmiesznej skłonności. Nic to nie dawało, owa dziwna perwersja pozostawała i, prawdę mówiąc, zyskiwał przez to wdzięczność wielu upośledzonych z powodu zezą osób. Zdarzyło się jednak, że taką zezowatą osobą, którą dostrzegł w owym małym miasteczku na skraju pustyni, był miejscowy siłacz i zapaśnik, mężczyzna mierzący blisko siedem stóp, z szeroką pierśią, brzuchem jak niedźwiedź i mięśniami wołu.

Jolsippa zdawał sobie doskonale sprawę ze swojej nieroztropności w takich wypadkach, ale gdy tylko ujrzał utkwione w siebie, przekrwione i rozkosznie zezowate oczy, natychmiast zaczął cały dygotać z niepohamowanej żądz. Nie było sensu sięgać po jeden z cudownych remediów dla uśmierzenia owego ataku namiętności, bo wszystkie składały się z wody, spirytusu i uryny muła.

Tak więc, pochowawszy szybko swoje towary, Jolsippa pobiegł do gospody, w której schronił się obiekt jego gwałtownej namiętności. Usiadłszy obok niego na ławie, zagadnął go przymilnym i drżącym ze wzruszenia głosem:

- O wzbudzający grozę panie, czy nie zechciałbyś mi wskazać jakiegoś miejsca, w którym mógłbym spocząć tej nocy?

- Spróbuj w domu noclegowym - warknął siłacz.

- Zastanawiałem się właśnie - szepnął Jolsippa - czy nie mógłbym przespać się w twojej komnacie... oczywiście wynagrodziłbym ci to szczerze... trudno tu u was o nocleg.

- Ile? - zapytał siłacz, który nie uważał swojego łoża za sanktuarium, a od miesiąca nie stoczył żadnej dobrze płatnej walki.

Jolsippa, drżąc od stóp do głowy, wymienił sumę. Siłacz wymienił inną. Jolsippa, złożyłwszy swoje skąpstwo na ołtarzu miłości, zgodził się.

Jeszcze nigdy żaden oblubieniec nie był tak spragniony. W końcu zrobiło się ciemno i Jolsippa skierował swe kroki do komnaty siłacza, a stwierdziwszy, że jest pusta, ucieszył się, bo oznaczało to niechybnie, że jego kochanek wróci oszołomiony trunkiem.

Kilka uderzeń serca po północy na schodach rozległy się niepewne kroki siłacza. Wszedł, zataczając się, do komnaty i zwałił się na łóżko. Jolsippa nie pozwolił mu jednak na zamknięcie cudownych, tak uwodzicielskich oczu. Natychmiast wyciągnął rękę i jął z wielką wprawą pieścić siłacza, a kiedy ten wybełkotał parę słów zachęty, Jolsippa wspiał się na jego cielsko i jęcząc z żądy gotował się do jej zaspokojenia.

Siłacz, który przez cały czas myślał, że gości w łóżku jedną ze służebnych, spostrzegł nagle swoją omyłkę. Ryknął wściekle i jednym ruchem pozbył się kołder, zamroczenia pijackiego i Jolsippy. Pomimo protestów i błagań wędrowny szarlatan został schwycony za włosy i uniesiony w powietrze, gdzie zawisł wymachując bezradnie nogami, w uścisku, który nie miał w sobie nic z wytęsknionej przez niego czułości.

Siłacz zaczął krążyć po komnacie z Jolsippa pod pachą, zastanawiając się, co z nim zrobić. Najpierw zamierzał go wykastrować i już sięgnął po wbity w krokiew zakrzywiony nóż, rechocąc mściwie z wrzasków swojej ofiary. Wkrótce jednak uznał, że nie będzie sobie brudzić rąk i sypialni i zaczął się zastanawiać, czy jednak nie lepiej będzie go udusić. Rozpiął już nawet pas, ale nie zdążył go zdjąć, kiedy i ten pomysł wydał mu się zbyt mało atrakcyjny. Podeszedł więc do małego okienka i próbował wypchnąć przez nie Jolsippę, tak, aby spadł do otwartego kanału ściekowego

dwa piętra niżej, ale Jolsippa nie mieścił się w okienku, więc siłacz wyciągnął go z powrotem i wciąż rycząc z gniewu wyszedł z komnaty, nadal trzymając go pod pachą. Zwalili się z łoskotem po schodach, Jolsippa wrzeszcząc o pomoc, a siłacz miotając najgorsze przekleństwa, pośród krzyków o spokój dochodzących ze wszystkich komnat.

Znalazłszy się na ulicy, siłacz skierował swe kroki do stajni, gdzie załomotał w drzwi i zawołał, by mu wyprowadzono tego znarowionego, wściekłego konia. Słyszając to Jolsippa, krańcowo osłabiony gwałtownym przerwaniem miłosnych zabiegów i strachem, zemdlał.

Przyszedł do siebie o milę od miasta, na skraju pustyni, pomiędzy ciernistymi krzakami. Z początku wydało mu się, że ziemia pomyka w zawrotnym pędzie, co wziął za skutek zawrotu głowy, lecz wkrótce nabrał pewności, że to nie ziemia, ale on sam sunie po ziemi w zawrotnym pędzie, wleczony grubym sznurem. Po chwili doszedł do przekonania, że drugi koniec sznura przywiązany jest do ogona galopującego konia. Czy koń był wściekły od samego początku, tego Jolsippa nie był pewien, lecz teraz niewątpliwie okazywał najwyższe rozdrażnienie, które starał się wylądować na tym czymś, co było do niego przywiązane. Jolsippa wrzasnął, błagając o litość, lecz jedyną odpowiedzią konia było przyspieszenie galopu. Nieszczęsny Jolsippa z pewnością pożegnałby się wkrótce z życiem, gdyby los nie ukazał mu nagle swego miłszego oblicza. Siłacz, nie całkiem jednak trzeźwy, nie pomyślał o przeszukaniu Jolsippy i wyciągnięciu mu zza pasa wielkiego noża. Teraz, przypomniawszy sobie o nożu, wijąc się, przekręcając i podskakując na różnego rodzaju roślinnych przeszkodach, Jolsippa zdołał w końcu przeciąć linę i wylądował głową w jakichś zeschniętych krzakach. Na szczęście koń nie wrócił, aby potraktować go kopytami lub zębami i wkrótce zginął mu z oczu. Jolsippa leżał w krzakach, najpierw płacząc z bólu i z niezaspokojonej namiętności, a potem skamląc z zimna, bo noc była chłodna.

Nie miał, oczywiście, najmniejszego pojęcia, w którym kierunku leży miasteczko. Wokoło ział na niego nieprzyjazny pustynny step i chcąc nie chcąc, zaczął się po nim wlec, kierując się to w tę, to w inną stronę.

Z ulgą powitał wschód słońca, ale bardzo szybko ulga zamieniła się w męczarnię. Nie minęła godzina, gdy żar zmusił go do

wpełnienia w jakąś rozpadlinę w skale, gdzie spędził cały dzień, coraz bardziej spragniony i zrozpaczony. Kiedy słońce zaszło, przez chwilę znowu poczuł kojący chłód, lecz wkrótce szczykał zębami z zimna, spoglądając z rozpaczą na oszroniony krajobraz.

- I co ja takiego uczyniłem - zapytywał bogów z goryczą - by zasłużyć na śmierć w tak strasznym miejscu? Czyż to nie nazbyt okrutna kara za moją seksualną słabość? To niesprawiedliwe.

Noc zgęstniała, a potem zaczęła rzednąć. Jolsippa, niezbyt wypoczęty po pełnej koszmarów drzemce, dźwignął się na nogi i powędrował dalej bez celu.

- Powtarzam - żalił się ochryplym głosem, kiedy niebo zaczęło unosić wschodnią pokrywę swego lochu, by ponownie wypuścić dzikiego lwa - słońce - powtarzam, to niesprawiedliwe, żebym tu wyzionął ducha. Czyżbym dopuścił się aż tak wielkiego grzechu? Pogodziłbym się z waszą zemstą, kiedy obrabowałem dom sędziego, albo kiedy wbiłem celnikowi nóż w pośladek... ale nie teraz, nie za coś, czemu nie mogłem się oprzeć!

I być może bogowie choć raz usłyszeli oskarżenie z ludzkich ust.

Pełznąć już na rękach i kolanach, Jolsippa natrafił na ślady dawnej drogi, odgarnął piasek z kamiennej płyty i dźwignął się na nogi ze słabym okrzykiem nadziei. Mając nadzieję, że droga dokądś prowadzi, ruszył nią rozchwianym, tanecznym krokiem, zwiastującym bliski obłęd lub omdlenie. A droga rzeczywiście dokądś prowadziła.

Droga doprowadziła go do dziewczyny i młodzieńca śpiących pod skałą przy szczątkach ogniska. Nigdzie nie był śladu jedzenia lub napoju, więc odwodniony do granic szaleństwa Jolsippa jęknął z rozpaczą. I wtedy spostrzegł jakieś naczynie stojące na piasku opodal pogrążonej we śnie pary.

Naczynie wyglądało na bardzo zwykły dzbanek. Obwiązane było prymitywnym sznurem, więc z pewnością musiało służyć wędrowcom w drodze. A jeśli tak, to mogło zawierać jakiś napój. Musiało zawierać jakiś napój.

Jolsippa podkradł się ostrożnie, złapał naczynie, wyrwał zatyczkę, dojrzał migotanie płynu, z westchnieniem ekstazy podniósł dzbanek do ust i zaczął pić.

Dwie sekundy później Jolsippa poczuł, jak ktoś wyrywa mu naczynie z rąk z taką nieoczekiwaną gwałtownością, że upadł na wznak na piasek. Leżąc tam i dysząc zobaczył nad sobą młodzieńca,

dziwnie przypominającego dzikiego kota lub psa, którego oczy płonęły zagadkową groźbą.

- Ja nie chciałem... - wyjąkał Jolsippa.

- Piłeś? - zapytał młodzieniec, a jego głos bardzo przypominał syczenie węża.

- Ja? Ależ skąd. Nie chce mi się pić.

- Piłeś - rzekł młodzieniec i zatkał naczynie.

- Tylko kroplę.

- Jedna kropla wystarczy - powiedział Simmu. I wystarczyła.

I tak łotrzyk Jolsippa, włóczęga i oszust, stał się trzecim nieśmiertelnym na Ziemi.

3

Błagam, zwolnijcie trochę - wołał Jolsippa. - Jeśli będziecie tak pędzić, nie dotrzymam wam kroku.

- A może - zawołała Kassafa przez ramię - wcale nie chcemy, abyś dotrzymywał nam kroku.

- Poświęćcie mi tylko chwilę - zachrypiał Jolsippa, zbliżając się do nich, gdy w południe zatrzymali się na odpoczynek w cieniu karłowatego, lecz żywego drzewa.

- Jestem teraz jak sierota pośród ludzi. To wy, przez waszą nieostrożność... jeśli to, co mi powiedzieliście, jest prawdą... to wy uczyniliście ze mnie wyrzutka i pariasa. Tylko wy jesteście mi podobni. Nieśmiertelny... naprawdę jestem nieśmiertelny?

- Tak, i idź precz - powiedziała Kassafa, pogardliwie wstrząsając głową.

- Źle mnie zrozumiałaś - wydyszał Jolsippa, kiedy tego samego popołudnia wspinali się na jakieś skały, Simmu, na przedzie, Kassafa o krok lub dwa za nim, Jolsippa na szarym końcu.

- Posłuchaj mnie - rzekł Jolsippa, klękając przy Kassafie, która rozłupywała łądygę jednej z ciernistych roślin szukając w niej kropli wilgoci - mogę wam się przydać.

O zmierzchu, kiedy wciąż byli na równinie, ale już o wiele łagodniejszej, z kępkami zieleni, Simmu udał się na zwiady, a Jolsippa przysiadł się do Kassafy, która przy ognisku czesała palcami swoje pastelowe włosy.

- Kim jest bohater? - zapytał przebiegłym tonem

- On jest bohaterem.

- Niewątpliwie. I, jako bohater, ma obowiązek zachowywać się jak bohater, dokonywać bohaterskich czynów. A jakie to są czyny? Czy ten młodzieniec o tym wie? Musi być wzorem dla wszystkich mężczyzn, ale czy jest tego świadom?

Kassafa zmrużyła kameleonowe oczy, a Jolsippa dostrzegł w nich córkę kupca, rozważając jego słowa.

- Bohater - powtórzył Jolsippa w zadumie. - Ach, gdybym miał przy sobie moje starożytne księgi z legendami, tak barwnie ilustrowane, w okładkach wysadzanych klejnotami. Niestety, wszystko mi ukradziono w pewnym miasteczku, w którym roiło się od złodziei i oszustów... Ale czy ktoś taki jak ja, pogrążony po uszy w wiedzy tajemnej, wie dość o bohaterach, by pouczać młodzieńca o jego powinnościach? Co on, na przykład, robi tutaj, na tym pustkowiu! Powinien zabijać potwory, zakładać wielkie i wspaniałe miasta, zbawiać świat...

Simmu powrócił, gdy powróciły gwiazdy. Przyniósł naręcze korzonków i parę fig z drzewa, które znalazł pośród piasków.

- Co, nie ma żadnego mięsa? - zapytał Jolsippa.

- Nie jadam padliny - odpowiedział Simmu.

- Ba! - prychnął Jolsippa, który pozbywał się szybko lęku przed Simmu. - Ale zjadasz martwe figi, oderwawszy je bezlitośnie od gałęzi. Chap, chap, chap... i figa, może jeszcze na wpół żywa, błaga o litość swym niesłyszalnym figowy, głosem.

- Nie jadam ludzi, którzy chodzą. Nie jadam zwierząt, które chodzą. Nigdy nie widziałem chodzącej figi.

- Mogą się tego nauczyć - rzekł Jolsippa. - Mogą się tego nauczyć, żeby uciec przed tobą.

- Widzę, że jesteś jasnowidzem. Chciałbym jednak, żebyś mnie zrozumiał. To nie z litości oszczędzam zwierzęta lub ludzi. Nie chcę niczego dawać Śmierci. Spójrz na tę figę: wystarczy, że rzucisz jedno jej ziarnko na ziemię, a może z niego wyrosnąć nowe drzewo figowe. Rozrzuc jednak kości zabitego jelenia, czy wyrosnie z nich nowy jelen? Albo czy z kości martwego człowieka wykiełkuje dziecko? Nie chcę oddawać czarnemu władcy niczego, co nie może się odnowić.

Jolsippa żuł korzeń.

- Widzę, że z ciebie jednak prawdziwy bohater. A więc walczysz ze Śmiercią? Tak, to zadanie godne największego z bohaterów.

Musisz jednak mieć jakąś twierdzę, jakąś fortecę, do której Śmierć nie mogłaby się wśliznąć.

- Ludzie staną się fortecami. Nieśmiertelni ludzie.

- Tak? A w jaki sposób będziesz rozdzielał krople Nieśmiertelności? No powiedz, czy wybrałbyś mnie na swojego wiecznie żyjącego brata, gdybyś miał możliwość wyboru? Nie. Musisz wybierać i odrzucać. Tylko najlepsi mogą żyć wiecznie. Kto by sobie życzył władzy hałasty?

Simmu, skończywszy skąpą wieczerzę, wyjął drewniany flet i zaczął na nim grać. Dźwięk fletu dziwnie brzmiał w tym miejscu, prawie groźnie, zdawał się bardziej barwą niż dźwiękiem, barwą wplatającą się w czerwony blask ognia i ciemność nocy z jej bezlitosnymi gwiazdami - gwiazdami, które przypominały Jolsippie pewne stare powiedzenie, że nie tylko ludzie badają gwiazdy, aby poznać swój los, ale i gwiazdy badają ziemię, aby odczytać w niej swoje losy z ruchów ludzi.

Kassafa wpatrywała się w Simmu, zatonawszy w nim całkowicie.

Jolsippa, w obawie, by to absurdalne szczęście, które go niespodziewanie spotkało, nie wymknęło mu się z rąk, zaczął rozsnuwać przed nimi wizję twierdzy Simmu, recytując swą opowieść jak starożytną balladę i utrzymując recytację w tempie muzyki fletu, jak wytrawny pieśniarz.

Wysokie wieże, niebosiężne jak cel bohatera, złote wrota, przez które niewielu tylko może przejść, dachy sięgające chmur, kuszące bogów, by postawili na nich swe stopy, albo z nich szyszące. A wszystko to na jakimś dumnym wzniesieniu, w niedostępnej krainie, odwiedzanej raczej przez orły niż przez gołębie. Aby się tam dostać, trzeba przejść przez jakąś ciężką próbę. Tylko najlepsi mogą zamieszkać w Mieście Simmu.

- Uczcie się ode mnie - mówił przebiegle Jolsippa. - Ja jestem waszym błędem. A czyż nie uczymy się na błędach?

Sam nigdy nie nauczył się niczego z żadnego ze swoich licznych błędów, był jednak świadom, ile by mógł w życiu osiągnąć, gdyby się czegoś nauczył.

Lecz nie potrafił wyczytać niczego z oczu Simmu. Czyżby był głuchy? Jolsippa nie wiedział, czy jego rady w ogóle do niego docierają. Zaprawdę, ten niezwykły młodzieniec miał w sobie coś z

człowieka, który czuje zaciskające się na swoich rękach i nogach łańcuchy, kamień młyński na swojej szyi.

- To bez sensu - strofował go Jolsippa, kiedy flet zamilkł, ogień przygasł, a gwiazdy spoglądały na nich jeszcze bardziej srogo. - To bez sensu, wykraść Nieśmiertelność, a potem uchylać się od odpowiedzialności za to, co się zrobiło. Chyba że w tym garnku była tylko zamulona woda.

Oczy Simmu przemówiły do Jolsippy.

Oczy, zdrajcy mózgu, zdawały się prawie szeptać: „O, gdyby tak było”!

Koło północy Jolsippa obudził się, dygocąc z zimna. Ognisko wygasło, Simmu i Kassafy nigdzie nie było - zapewne poszli gdzieś, aby nacieszyć się swoją miłością. Jolsippa zastanawiał się, czy czasem nie odeszli na dobre, zostawiając go samego na tym pustkowiu. Usiadł i pomrukując do siebie, z niepokojem rozmyślał, co począć dalej, kiedy dostrzegł małego czarnego psa stojącego po drugiej stronie wygasłego ogniska.

Jolsippa nie lubił psów. Zbyt często wchodziły mu w drogę. Chwycił więc kamień i już miał nim cisnąć w psa, gdy powstrzymało go coś w wyglądzie zwierzęcia. Nie, nie miał już ochoty rzucić w niego kamieniem. I powoli włosy zaczęły mu sztywnieć na karku.

A potem usłyszał za plecami jakiś szmer i obrócił się, przerażony. Ujrzał kobietę swoich marzeń: z bujnymi piersiami i biodrami, wąską w pasie, okrytą przejrzystym muślinem, nad którym lśniły uśmiechnięte, zapraszające usta i para zdumiewających, całkowicie zezowatych oczu.

Jolsippa, czując jak uderza w niego i zabiera ze sobą potężna fala pożądania, zerwał się na nogi i rzucił w stronę owego wyśnionego, wymarzonego naczynia rozkoszy. Kobieta kiwała na niego uwodzicielsko, aż zaczął biec ku niej z żądzą, która nieco go wyprzedzała - i nagle wpadł na suche drzewo.

Cóż to za sztuczki? - krzyknął Jolsippa, czując straszliwy zawód, bo kobieta zniknęła; zamieniła się w drzewo albo była drzewem od samego początku.

W chwilę później Jolsippa spostrzegł, że czarny pies również zniknął, a przy zimnym ognisku stoi teraz wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu. Miał bardzo czarne włosy, a twarz jakby w cieniu, choć światło gwiazd zdawało się teraz przyćmiewać blask księżyca.

Jolsippa wiedział dość, by podejrzewać, kto stoi po drugiej stronie ogniska. Ukłękł więc pokornie, przygłąnął twarzą do ziemi i na wszelki wypadek wyjąkał kilka słów, którymi błagał o zlitowanie, dodając:

- Niedaleko stąd znajdziesz pięknego młodzieńca i piękną dziewczynę, bez wątpienia bardziej godnych twojego królewskiego spojrzenia niż moja skromna osoba.

- Uspokój się - rzekł czarny mąż. - To ty jesteś mi potrzebny.

Co wcale nie uspokoiło Jolsippy, przeciwnie, rozpląszczyl się jeszcze bardziej na ziemi w pozycji przypominającej jamnika wężącego w norze.

Czarny mąż zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi. Usiadł przy wygasłym ognisku, pstryknął palcami i nagle z popiołu wystrzelił jasny, ciepły ogień.

- Ty i ja - rzekł czarny mąż - myślimy podobnie.

- Och, panie mój i władco - jęknął Jolsippa - nie porównuj śmietnika w mojej głowie do czarnego, wielobocznego diamentu twojego niezrówanego mózgu.

Czarny mąż zaśmiał się czarnym śmiechem. Na ten dźwięk Jolsippie przebiegł zimny dreszcz po plecach.

- Twój pomysł Miasta - na - Górze - powiedział czarny mąż - z wybranymi w środku i nie wybranymi zewnątrz... To interesujące. Ludzie jak bogowie, śmiertelnicy zżerani zazdrością, zwaśnione królestwa...

Jolsippa, wyczuwszy prawdziwe zainteresowanie w głosie czarnego męża, odważył się na niego zerknąć. Nadal nie mógł dostrzec jego twarzy, co sprawiało mu jednocześnie zawód i ulgę. Podczołgał się do ogniska, gotów jednak w każdej chwili ponownie upaść na twarz, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nigdy by nie śmiał wypowiedzieć na głos swojej myśli, zresztą i tak owa istota po drugiej stronie ogniska na pewno sama by ją odczytała, gdyby tylko zapragnęła. A myślał tak: Księżę Demonów lęka się tylko jednego: nudy, więc dla rozrywki wprowadzi chaos na Ziemię. Jolsippa był przebiegłym głupcem.

- Gdybym tylko mógł ci w czymś usłużyć, o Księżę Książąt - powiedział na głos.

- Zbudujesz miasto rywalizując z moim Druhim Wanasztą - rzekł Ażram, Księżę Demonów.

- Ja? Och, panie mój, czyż zdołam? Ale, oczywiście, chętnie spróbuję. Cegła po cegle, jeśli taka będzie twoja wola.

A potem uchwycił błysk pary czarnych oczu, przyjaznych i przerażających, które zdawały się zaglądać mu do duszy i pozostawiać w niej jakąś wiedzę. Jolsippa zrozumiał, że nie będzie musiał budować miasta osobiście. Inni tego dokonają. On będzie nadzorcą (on, rzeźmieszek, nocny włóczęga, sprzedawca fałszywych leków!). To on ma nadzorować stworzenie jednej z najdziwniejszych i najwspanialszych twierdz, jakie zbudowano na Ziemi od początków dziejów. Miasto bogów na Ziemi.

Jolsippa czuł strach przed taką perspektywą, a jednocześnie rozpierała go próżność. A potem zakłębił się dym, z dymu wystrzeliła błyskawica i po chwili na równinie nie było już ani Księcia Demonów, ani Jolsippy, ogień zaś zgasł po raz drugi.

O wschodzie słońca Kassafa rozczesała włosy palcami, otuliła się szczelniej swoimi łachmanami i - specjalnie go nie szukając - rozejrzała się za Jolsippa, który zawsze czaił się gdzieś w pobliżu, zawsze gotów zasypywać ich radami lub narzekaniami. Nigdzie go nie było. Simmu zdawał się nie zwracać na to uwagi. Może był zadowolony, uwolniwszy się od kogoś, kto nieustannie przypominał mu o roli bohatera?

Później, kiedy ruszyli w drogę, kierując się ku zieleni na wschodzie, Kassafa zaczęła raz po raz zerkać przez ramię za siebie. Wreszcie przemówiła.

- Czy to możliwe, by ten tłuścioch nas opuścił? A może zabłądził? Może napadło na niego jakieś dzikie zwierzę?

- Nie może zginąć, podobnie jak my - odparł Simmu zwięźle, jak zawsze rankiem oszczędny w słowach.

- A jeśli rozszarpał go szakal... - powiedziała Kassafa tragicznym tonem.

- To się zrośnie. Nie może umrzeć.

- Ale... jemu tak zależało na twoim powodzeniu... Żeby ludzie dowiedzieli się o twoim bohaterskim czynie.

- Kobieto - rzekł Simmu ostrym tonem - on mówił o mieście, a ty go słuchałaś. Dla ciebie miasto to dziedziniec wysadzany różami, szemrzący wonnymi fontannami. Nazywasz mnie bohaterem i widzisz mnie królem, a Simmu - król oznacza Kassafę - królową, z perłami we

włosach i jedwabiem na ciele. Lecz ja widziałem miasto pełne trupów. Miasta są klatkami. Dlaczego pragniesz, bym panował w klatce?

- Nie pragnę niczego - odpowiedziała Kassafa hardo. - To ty jesteś bohaterem, nie ja. Ty powiedziałeś, że mnie poślubisz, ja o to nie prosiłam. Czyż nie uciekłam właśnie z takiego kwitnącego i wonnego miasta, o jakim przed chwilą mówiłeś? Gdy tylko dotrzemy do ludzkich osiedli, opuszczę cię, a ty możesz sobie robić, co zechcesz.

Przez cały dzień wędrowali w milczeniu. Nocą jednak przywołał ją do siebie w blasku księżyca. Przez większość nocy byli zjednoczeni. Ale nie przez całą noc.

Kiedy wędrowali następnego dnia, Kassafa wciąż spoglądała przez ramię za siebie. Wciąż wyobrażała sobie złote miasto, a siebie jako jego królową, i nie czyniła tego z żądzy władzy lub chciwości, lecz tak, jak dziecko przebiera się w szaty matki. I pragnęła, aby mężczyznę, którego darzyła szacunkiem, szanowali inni. Żeby kłaniały się przed nim armie, żeby kobiety, myśląc o nim, łkały z bezsilnej tęsknoty.

W ciągu paru dni przeszli przez kilka miasteczek, dość nędznych, ale Kassafa źle się czuła w swoich łachmanach, bo przecież była córką bogatego kupca. W Ogrodzie ubierała się skromnie, bo była dumna, bo był to jej protest. Teraz jednak pragnęła, by Simmu miał na sobie złotą zbroję, a ona srebrną satynę. Powinni jechać na białym słoniu migocącym wielkimi rubinami, ludzie rzucaliby przed nimi kwiaty, dęli w trąby i palili kadzidła.

Jakiś ulicznik cisnął za nimi kamieniem. Tak nie powinno być.

Mówiono, że za każdym razem dzieje się to w podobny sposób. Człowiek kładzie się do łóżka, zasypia, ma dziwny, egzotyczny sen. Budzi się, jak mniema, następnego ranka, i stwierdza, że cały dom pogrążony jest w zgryzocie, wszyscy jęczą i wrywają sobie włosy z głów, zawodząc, że nie ma go już od dziesięciu dni. Ludzie, których to spotkało, byli z zawodu cieślami, inni murarzami, jeszcze inni kamieniarzami, było też między nimi paru architektów czekających na kaprys któregoś z panów.

Był pośród nich pewien architekt i uczony cieszący się szacunkiem ludzi i względami króla tego kraju. Pewnego ranka odzyskał zmysły i zawołał na służących, ale żaden nie przybiegł. Opuścił więc swoją sypialnię i stwierdził, że cały dom pełen jest

żołnierzy królewskich, którzy na jego widok zakrzyczeli z trwogi i wielkiego zdumienia.

Kiedy architekt zaczął ich wypytywać, co się stało, usłyszał taką oto opowieść o sobie samym. Powrócił z uczyty w królewskim pałacu, poszedł do łóżka ze swoją młodą żoną, a w środku nocy żona przebudziła się i stwierdziła, że jest sama, a okno otwarte jest na oścież. Wstała i zaczęła szukać męża po całym domu, a potem obudziła służbę i kazała im czynić to samo. Nigdzie jednak nie było śladu po architekcie, poza jego domowymi kapciami wiszącymi na drzewie magnolii pod oknem. Zrozpaczona żona poprosiła króla o posłuchanie, a ten, przekonany, że architekt został zamordowany, kazał wsadzić do jednego lochu całą jego służbę, a do drugiego - na wszelki wypadek - jego młodą żonę. A potem król, który bardzo lubił owego architekta, zarządził wielką żałobę, sam poszcząc i płacząc, aż stał się widmem rozpaczy.

- Jak długo mnie nie było? - zapytał przerażony architekt. - Zapewne przez całą noc?

- O nie! - odpowiedzieli żołnierze. - Ostatni raz widziano cię w tym królestwie przed trzema miesiącami.

Architekt przyodział się pospiesznie i popędził do pałacu. Na jego widok król padł na dywany szlochając z radości, a kiedy przyszedł do siebie, nakazał natychmiast uwolnić niewinną żonę i sługi.

- A teraz odpowiedz mi - rzekł do architekta - dlaczego opuściłeś mnie właśnie teraz, kiedy miałeś mi zbudować letni pawilon? Tak jak sobie życzyłeś, sprowadziłem setki niewolników, z nadzorcami i mistrzami sztuki budowniczej, nie mówiąc już o wielkich zapasach żywności dla nich wszystkich, o brązie, srebrze i drogocennych marmurach... Gdzie byłeś i co robiłeś? Co kazało ci porzucić to wszystko i zniknąć z domu w środku nocy, pozostawiając za sobą tylko kapcie?

- Królu mój i władco - odrzekł architekt - opowiem ci wszystko i sam musisz rozsądzić, czy był to tylko sen, jak mnie się wydaje, czy postradałem rozum, czy też coś takiego naprawdę mogło się przydarzyć człowiekowi.

A oto jego opowieść. Tamtego wieczoru poszedł do łóżka ze swoją młodą żoną, o czym już wszyscy wiedzieli.

Zabawiali się razem aż do poczucia całkowitego zaspokojenia, po czym zasnęli.

Po godzinie architekta obudził dziwny odgłos, coś pośredniego między śpiewem a mową. Otworzywszy oczy ujrzał pięknego i dumnego młodzieńca z włosami czarnymi jak węgiel, który mu powiedział:

- Jeśli chcesz zyskać wieczną sławę, zabierz swoje przyrządy i pójdz za mną

- Za tobą? A dokąd?

- Sam zobaczysz.

- Nie zobaczę, jeżeli nie pójde. Powiedz mi najpierw, kim jesteś, zuchwały młodzieńcze?

- Jestem poddanym Księcia Książąt, jednym z Wazdru.

Słyszac nazwę wyższego zastępu demonów, w których istnienie nie wierzył, architekt doszedł do wniosku, że śni. Postanowił zabawiac się w tym śnie.

- A więc dobrze, pójde z tobą - oświadczył i wyszedł z łoża.

Zabrawszy różne przybory z przyległej komnaty, architekt był gotów do drogi. Nie starał się specjalnie zachowywać cicho, bo przecież był to sen, więc jego żona i tak niczego nie mogła usłyszeć. Książę Wazdru poprowadził go do szeroko otwartego okna i wskazał na dziwny, zaprzężony w czarne smoki pojazd, unoszący się w powietrzu. Umocniony w przekonaniu, że śni, architekt cmoknął z podziwu i wskoczył do pojazdu, który ruszył z takim impetem, że królewskiemu budowniczemu spadły z nóg pantofle i zawisły na drzewie magnolii.

Smoki popędziły w ciemność nocy. Wzniosły się wysoko, pod chmury, łopocąc skrzydłami, które krzesaly zielone iskry. Poniżej umykały miasta, lasy i lśniące, popękane lustra oceanów. Architekt zerkał na to wszystko, marszcząc czoło i kiwając głową, urzeczony mocą swojej wyobraźni, której uprzednio w sobie nie podejrzewał. Książę Wazdru prowadził smoki wytworną dłonią, na której migotały czarne pierścienie, i uśmiechał się z łagodną wyrozumiałością.

Po trzech lub czterech godzinach niezwykle szybkiego lotu na wschodzie pojawila się złotawa linia, a Wazdru skierował smoki ku Ziemi. Wylądowały na szerokim wybrzeżu, oddzielającym łańcuch wyniosłych gór od fal błyszczącego oceanu.

- Świt już blisko - rzekł Wazdru - i muszę cię pożegnać. Jest tu jednak droga wiodąca na szczyt góry. Pójdz nią, a rychło spotkasz kogoś, kto cię dalej poprowadzi.

Architekt kiwnął głową, a kiedy smoczy rydwan i czarny młodzieniec zniknęli, poczuł ulgę.

- Sprytnie sobie poczynam we śnie - pogratulował sobie. - Ale to dziwne, że nigdy przedtem nie śniło mi się nic szczególnego.

Słońce właśnie zaczynało wschodzić, różowiąc i bieląc stoki gór. Wybrzeże nabrało gładkiego, krystalicznego połysku, a srebrne grzbiety rozbijających się o brzeg fal zapłonęły bladoróżowym blaskiem.

- Czarujący widok - powiedział do siebie architekt, coraz bardziej dumny ze swojej wyobraźni.

W tej samej chwili uderzyło go coś dziwnego i nie bardzo zrozumiałego w tym krajobrazie. Była to swoista niewinność zmieszana ze swoistą groźbą, poczucie jakiejś prymitywnej topografii, nieskalanej przez człowieka. Niesamowite było też słońce, które wzniosłszy się ponad góry, było większe i jaśniejsze niż zwykle. Architekta nawiedziła myśl, że Ziemia, będąc płaska i mając cztery rogi, musi na krańcach przechodzić w jakieś nieskażone, niezmiernie rzadko odwiedzane przez ludzi rejony i być może tu właśnie jest jeden z owych rejonów, bliski wschodniej krawędzi i niezmiernie odległy od wewnętrznych krain zamieszkałych przez ludzi.

- Mój sen jest nie tylko niesłychanie wymyślny i barwny, ale i logiczny - pochwalił siebie architekt. - Zawsze podejrzewałem, że Ziemia naprawdę jest płaska.

Bo w rzeczywistości zastanawiał się nieraz, czy Ziemia nie jest okrągła, co w owych czasach było poważnym błędem.

Ruszył więc w głąb lądu i wkrótce dostrzegł stopnie wykute w skalistym zboczu góry. Posłuszny radzie Wazdru, zaczął się po nich wspinać, lecz po niedługim czasie zobaczył czarnego osła uwiązanego do słupka, a na siodle przeczytał następujące słowa: „Poprowadzę cię.” Przypomniawszy sobie raz jeszcze, że to tylko sen, architekt odwiązał osła i usadowił się w siodle, a zwierzę natychmiast zaczęło wspinać się na górę.

Powietrze robiło się coraz rzadsze, lecz mimo to architekt czuł się rześko i raźnie. W końcu stopnie urwały się na krawędzi rozległego płaskowyżu. Przed nim wznosiła się ściana samego szczytu góry, w której wykuto szerokie i wysokie przejście. Osioł pobiegł prosto do owego przejścia, a po drugiej stronie zdumiony architekt ujrzał jeszcze bardziej niezwykły widok.

Wewnątrz było mnóstwo węższych i ostrzejszych szczytów, a wszystkie kurczyły się i wyrastały, i znowu kurczyły, niektóre wystrzelając jak fallusy prosto w niebo, inne zapadając się w naturalne tarasy, jakby pieczętowały piwnice Ziemi. A z tych wypiętrzeń, stopni, krzywizn i zapadlin skalnych powstawała cudowna, nieziemska układanka na pół uformowanych budowli. Tutaj portyk, tam trzy wieże, fragment łagodnie opadającego muru, balustrada, most. Efekt przywodził na myśl wielką kameę, bo góry zbudowane były z fantastycznie ubarwionych skał, śnieżnobiałych z wierzchu, różowych głębiej, poprzecinanych czerwonymi żyłami w rdzeniu.

- A więc wreszcie! - krzyknął architekt do osła. - To moje marzenie. Marzenie, żeby zbudować miasto z żywej skały, z cudownych kości samej Ziemi.

Osiół ruszył dalej, w dół i w górę tarasów tej rodzącej się metropolii, a oszołomiony architekt napawał się feerią barw, srebrem, jadeitem, polerowanym brązem i mosiądzem, porcelanowymi kopułami i dachówkami z onyksu. Gdzieś tam miasto było już w pełni ukształtowane: tu przepyszna kolumnada, tam pokryta gładkimi płytami ulica, a jeszcze dalej czarowny ogród, a nad nim fantastyczny pałac z oknami z ołowiowego szkła... Tu architekt dostrzegł wreszcie zajętych pracą ludzi - kamieniarzy, cieśli, stolarzy i murarzy, a także grupy niewolników pracujących z ochotą nie spotykaną na ogół wśród niewolników, jeśli bat nie świstał im nad plecami, a tu nie świstał. Powietrze drgało od odgłosów wyteżonej, dobrze zorganizowanej roboty, od łoskotu kilofów i śpiewnych uderzeń w kowadła, od skrzypienia lin i ćwierkania kołowrotów, od krzyków majstrów i klekotania wozów.

W pewnym miejscu osiół zatrzymał się.

Szeroką aleją wysadzaną cytrynowymi drzewami zbliżał się otyły mężczyzna ubrany w jaskrawą, zbyt kowną szatę. Towarzyszyli mu dwaj inni, jeden szedł za nim, trzymając parasol, drugi wybiegł naprzód i skłonił się przed architektem.

- Witaj, panie architekcie - powiedział. - Oto pan nadzorca.

- Cóż to za sen! - wykrzyknął architekt kompletnie oszołomiony.

- Masz świętą rację - zgodził się mężczyzna i złożył mu drugi pokłon. - Jestem niewolnikiem w kopalni srebra, ale teraz, skoro śpię, muszę służyć temu tłusciochowi, który traktuje mnie dość dobrze, a co wieczór uczuję sobie nieźle, dopóki brzuch mi się nie zaokrągli. A

potem włązi mi do łóżka dziewczyna i zabawiamy się w wyszukany sposób. Ona też twierdzi, że śni cudowny sen.

- Ależ to ja śnię ten sen, mój dobry człowieku - powiedział architekt, nieco rozdrażniony - a nie ty czy twoja dziewczyna.

Zbliżył się otyły mężczyzna.

- Musisz wiedzieć - rzekł - że budujemy tu miasto, w którym zamieszka pewien bohater. Ty, jako architekt, zaprojektujesz twierdzę i pałac. Wiele o tobie słyszeliśmy i wiele od ciebie oczekujemy, Książę Demonów i ja.

- Bardzo mi przyjemnie - odrzekł architekt. - I bez wątpienia, skoro to tylko sen, nie dostanę żadnej zapłaty.

- Twoją zapłatą będzie sława. Architekt roześmiał się serdecznie.

- Już się palę do roboty. Zaprowadź mnie na miejsce, a stamtąd do komnaty, w której będę pracować. Musimy się spieszyć. Nie chciałbym obudzić się przed ukończeniem pracy.

- Tego się nie obawiaj - rzekł grubas.

Wszystko zostało zorganizowane zgodnie z życzeniami architekta. Niczego mu nie brakowało. Jeśli zażądał jakiegoś instrumentu, którego zapomniał ze sobą zabrać, skądś go zdobywano i przynoszono do jego komnaty. Na jego skinienie czekali gorliwi i przyjaźnie nastawieni niewolnicy. Wszyscy zgadzali się z nim, że to naprawdę wspaniały sen i z otuchą oczekiwali obiecanej im po zbudowaniu miasta wolności, modląc się tylko, by się nie obudzić przed tym podniosłym wydarzeniem. Kiedy zapadła noc, zaproszono go na ucztę w już ukończonym marmurowym pałacu. Stół zastawiony był nie uderzającymi do głowy winami i soczystym mięsiwem, bujne czarnowłose dziewczęta tańczyły ze srebrnymi wężami, a chociaż one same nie były powolne mężczyznom, mieli do wyboru mnóstwo innych kobiet, wśród nich wiele naprawdę pięknych i szlachetnie urodzonych. Jedna z nich, księżniczka w naszyjniku z wielkich szmaragdów, zabawiała się ochoczo z niewolnikami, a potem oświadczyła, że nigdy przedtem nie miała sposobności zaspokojenia swojej skłonności do mężczyzn z niższych warstw społeczeństwa. Pewien urodziwy wieśniak dodał z przekąsem, że z pewnością nigdy by nie ośmieliła się na takie seksualne ekstrawagancje, gdyby to nie był sen.

Architekt poszedł jednak do łóżka sam i przez długi czas starał się nie zasnąć, obawiając się, że gdyby to uczynił, mógłby się obudzić w

prawdziwym życiu. Leżąc tak, usłyszał w końcu jakieś nowe ożywienie w mieście. Podszedł więc do okna i ujrzał, że tych, którzy pracowali w ciągu dnia, zastąpiły nowe drużyny robotników. Pracowali w świetle lamp i w blasku bijącym z małych kuźni, z których dochodziło nieustanne dzwonięcie młotów. Wszyscy mieli podobny i dość szczególny wygląd: były to odrażająco brzydkie czarnowłose karły w wysadzanych drogimi kamieniami przepaskach na biodrach.

- Ach, to przecież demony Drinu - mruknął do siebie architekt, dumny ze swojej wiedzy, przypominając sobie wspaniałe metalowe ozdoby na budynkach.

Powróciwszy do łóżka, zasnął mimo woli. Kiedy się obudził, stwierdził z radością, że wciąż śni i wielce podniesiony na duchu zajął się tworzeniem twierdzy.

Długo nad tym pracował, przez cały czas przekonany, że wszystko dzieje się w ciągu jednej nocy i w dodatku w jego własnym łóżku. Raz przerwał mu pracę gruby nadzorca, który odwiedził go, by wypytać o stan królestwa, z którego architekt pochodził, o króla i jego bogactwo, a także o liczbę niewolników przeznaczonych do pracy przy wznoszeniu różnych budowli. Architekt nie poświęcił tym odwiedzinom szczególnej uwagi.

O zmierzchu plany były gotowe. Gdy tylko architekt odłożył zwoje i odsunął kałamarze z tuszami, jakiś cień padł na stół.

- Zaraz przyjdę na wieczerzę - powiedział architekt.

- Niestety, nie przyjdiesz - usłyszał za sobą głos, a kiedy się odwrócił, ujrzał swojego pierwszego przewodnika, księcia Wazdru.

- Och, ale chyba nie zmusisz mnie do opuszczenia tego miejsca w chwili, gdy prace nad urzeczywistnieniem mojego projektu dopiero się zaczynają?

- Minęły trzy miesiące - rzekł Wazdru, spoglądając na niego z pogardą - a dla śmiertelnika to dość długi okres. Twój król pogrążony jest w żałobie, twoja małżonka i domownicy są uwięzieni. Lepiej będzie, jak wrócisz.

- Cóż za bzdury! - mruknął architekt. - Przecież to tylko sen.

Lecz Wazdru nie zamierzał z nim dyskutować i architekt nie śmiał się dalej opierać.

Zaprężony w smoki rydwan już czekał na zewnątrz. Architekt wsiadł do niego i został porwany między gwiazdy. Po długim locie

przez chmury i ponad tysiącami mil Ziemi znalazł się w swoim łożu, gdzie rzeczywiście nie dostrzegł swojej małżonki, ale nie miał czasu zastanowić się nad tym, bo stracił zmysły.

- A kiedy przyszedłem do siebie - rzekł architekt do króla - okazało się, że wszystko, o czym mówił demon, jest prawdą.

Pomimo czarnoksięskiej atmosfery, jaką przesycona była opowieść, zrobiła na królu duże wrażenie. Uradowany z powrotu swojego architekta, obsypał go skarbami. Architekt nie mógł się jednak pozbyć pewnego niepokoju. Teraz wiedział już z całą pewnością, że istnieją demony, płatające różne figle ludziom, a nie zapomniał (choć nie wspomniał o tym królowi), że wypytywano go o liczebność królewskich niewolników.

Dwie lub trzy noce później w dziwny sposób zniknęły w ciągu jednej nocy setki niewolników, a wraz z nimi spore zapasy żywności, nie wspominając już o drogocennych marmurach i metalach, które król zgromadził na budowę letniego pawilonu.

4

Od samego początku coś wiodło Simmu i Kassafę na wschód. Na pustyni było to rankiem wschodzące słońce, a po południu, kiedy jego tarcza chyliła się ku zachodowi, bezlitośnie prażąc ukośnymi promieniami, chęć odwrócenia się od niej plecami. Później, po wielu miesiącach wędrówki przez jałową pustynię, była to pogoń za majaczącą na wschodzie zielonością. Wschód - wrota wschodzącego słońca, odradzający się jak feniks róg ziemi.

Podobnie jak w przypadku miejsca drugiej studni, nie da się określić dokładnego położenia Miasta - na - Górze. Niewątpliwie leżało gdzieś na wschodzie, jak opowiadał ów architekt, gdzieś w pobliżu krawędzi Ziemi. Może jednak umiejscawianie go na skraju Ziemi jest tylko metaforą? Bo gdzie mogliby zamieszkać nieśmiertelni, jeśli nie na samej krawędzi Ziemi?

Tak czy inaczej miasto zostało zbudowane, przez ludzi i przez demony, bo taki miał kaprys Ażrarn, Pan Nocy, Księżę Demonów. Ażrarn, który nie rozmawiał już z Simmu od tamtej nocy, w której obaj poznali tajemnicę czarownicy z Domu Niebieskiego Psa. A może obserwował młodzieńca, sam pozostając niewidzialny? Może fascynowała go przemiana uległego chłopięcia - hermafrodyty, spoglądającego powłóczyście i tęsknie jak Eszwa, w mężczyznę - bohatera, ucieleśniającego w sobie wszystkie tęsknoty i ideały Ziemi?

Raz lub dwa usta demona wyszeptały w ucho śpiącego Simmu: „Wciąż na wschód.” Nie były to jednak usta Azrarna.

Niewiele się przydarzyło bohaterowi i jego towarzyszce w owej wędrowce na wschód. Po przebyciu pustyni oboje mieli dziki wygląd, bardziej zwierzęcy niż ludzki, więc ludzie ich unikali. Czasem szczerło ich psami, które jednak nie wyrządzały im krzywdy, ulegając czarom Simmu albo Kassafy, która była już mistrzynią w tej sztuce Eszwa. Czasem, biorąc ich za członków jakiegoś wędrownego zakonu, ludzie przynosili im ofiary w postaci chleba i wina, błagając o uzdrowienie lub prorocstwo. Simmu przypomniawszy sobie wówczas świątynię swojego dzieciństwa i wędrowkę po wsiach z innymi młodymi kapłanami. Nawiedzało go poczucie jakiegoś nieszczęścia, którego nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, cień jakiegoś towarzysza, który w tych wspomnieniach nie miał twarzy i imienia. Simmu nie był jednak uzdrowicielem, ani wtedy, ani teraz. A choć przy pasie miał lek uzdrawiający wszystko, nie podzielił się z nikim nawet kroplą. Choć widywał umierających ludzi, z twarzami pokrytymi grubą warstwą much i jeszcze grubszą warstwą rozpacz, nie zatrzymywał się przy nich. Myślał: Przetrwają tylko najlepsi, nie będzie władzy motłochu. Jeszcze nadejdzie dzień, w którym będzie musiał wybierać: uczynić nieśmiertelnym tego czy tamtego? Ale jeszcze nie teraz. Teraz wszystko było jasne i oczywiste. Nie dręczył się dylematami w rodzaju: A może gdybym uczynił nieśmiertelnym tego żebraka z rynsztoka, to stałby się wielkim filozofem lub magiem, mądrze wykorzystującym swą nieśmiertelność? Nie zastanawiał się też, jaki los czeka jego samego. Był zbyt młody. Życie nie zdążyło mu nawet pokazać swoich granic, a on już je obalił. Śmierć była dla niego po prostu gwałtownym aktem mordy dokonany pośród żyjących, czego doświadczył w przeżartym trucizną Merhu. Podniósł rękę przeciwko Śmierci, ale tak naprawdę nie wiedział, na co się porwał. Krainy, w jakie się teraz zagłębiali, ziały pustką, nie było w nich nie tylko ludzi i zwierząt, ale i znanych, zwykłych rzeczy. Co prawda rosły tu lasy i puszcze, kwitły kwiaty, toczyły się rzeki i strumienie, lecz brakowało im życia. Gdziekolwiek przejdzie człowiek, pozostawia po sobie jakiś znak, odcisk intencji. Ten znak inni ludzie odczuwają jako życie. Drzewo, na które nigdy nie padło spojrzenie człowieka, wzgórze, na którym nigdy nie rozległ się szept, krzyk lub śpiew człowieka, obdarzone są oczywiście, swoim własnym życiem i egzystencją, ale

nie są one właściwie zauważalne dla ludzi, którzy rozpoznają rzeczy tylko poprzez ich odniesienia do ludzi.

W końcu przybyli o brzasku na rozległe wybrzeże. Zdawało się, że brzask jest tu prawie zawsze, bo miasto wzniesiono we wrotach brzasku i miało barwę brzasku: alabastrową, różową i czerwoną. Czy przypadkiem na nie natrafili, czy też wiódł ich przez te ostatnie mile jakiś instynkt, a może nawet demon - najprawdopodobniej w zwierzęcej postaci, kota, lisa, węża lub czarnego gołębia? A kiedy już tam przyszli, to czy natychmiast wspięli się po skalnych stopniach, teraz przyozdobionych kolumnami zwieńczonymi srebrem, czy też przebywali jakiś czas na wybrzeżu, ignorując drogę wiodącą do miasta albo nawet o niej nie wiedząc?

Jedno wiadomo na pewno. Przyoblekli się już w nowe osobowości i byli gotowi do spełnienia cudu nad cudami. Nawet Simmu, który podczas kazań, jakie Jolsippa wygłaszał o odpowiedzialności i bohaterstwie, wzdragał się przed okowami, nawet Simmu był już do tego gotów. Ostatecznie, płynęła w nim, choćby i nawet gdzieś głęboko, krew królów; był to jedyny dar, jaki mu pozostawiła Narasen.

Wspięli się więc po stromych schodach i przeszli przez wspaniałe wrota ze spiżu, aby znaleźć się w rozłożonym na naturalnych tarasach mieście z kamienia, marmuru i metalu. W porannych barwach miasto wyglądało tak, jakby miało w następnej chwili poszybować ku niebu. To była jego cecha, która narzucała się jako pierwsza i fundamentalna: coś będącego w doskonałej równowadze, a jednak nie statyczne - ptak zrywający się do lotu. I jako takie właśnie, zastygłe w chwili odrywania się od różowej skały, porwało ich serca, serce młodzieńca i serce dziewczyny, bo było niby cudowna dziewica, a ich miłość też przecież była świeża i dziewicza. Małżeńskie znużenie miało przyjść później.

Ulice, aleje, place, kolumnady i parki - wszystko zdawało się wymarłe. Nie poruszało się nic prócz drzew, obłoków, cieni drzew i obłoków, i słońca na niebie.

- Kto tutaj mieszka? - zapytała cicho Kassafa. - Jakiś wielki cesarz zapomniany przez świat?

Wędrowali po mieście, po jego tarasach i wzgórzach. Okna lśniły witrażami, fontanny migotały kryształami kropli, wiatr przynosił westchnienia drzew i rześkie, chłodne powietrze, lecz znikąd nie

dochodził żaden odgłos, żaden zapach człowieka. Rzecz dziwna, miasto nie przypominało Kassafie Ogrodu Złotych Cór. Było aż do rdzenia rzeczywiste, nie było iluzją.

Przemykali pustymi alejami, wbiegali po szerokich schodach, przecinali zaciszne dziedzińce. Przyszli w końcu do twierdzy z jej pokrytymi mozaiką kopułami. Przed olbrzymimi wrotami stał obelisk z zielonego marmuru, a na nim, inkrustowane srebrem, widniały następujące słowa:

JAM JEST SIMMURAD, MIASTO SIMMU,
I WE MNIE BĘDĄ MIESZKAĆ LUDZIE
NIEŚMIERTELNI, LECZ WSZĘDZIE INDZIEJ
LUDZIE BĘDĄ RODZIĆ SIE I GINAĆ
JAK PYŁ UNOSZONY WIATREM.

- Kto napisał te słowa? - zapytała Kassafa.

Lecz Simmu patrzył w milczeniu. Był jak oblubieniec w dniu swego ślubu, pragnący małżeńskich więzów i lękający się ich, nie mogący uciec ani od lęku, ani od pragnienia. W sieci.

A kiedy nagle zmaterializował się Jolsippa, stając we wrotach twierdzy i składając im absurdalny pokłon, Simmu wybuchnął śmiechem. A śmiejąc się, oczy miał pełne łez, jak człowiek porażony owym gorzkim poczuciem samotności, jakie daje pewność, że już nigdy nie będzie samotny.

5

Lylas zapomniała, że umarła. Przeciągnęła się we śnie i wyciągnęła długą rękę, by dotknąć niebieskiego psa. Dłoń natrafiła na powietrze. Lylas otworzyła oczy.

Leżała na ołowianej ziemi, a wokoło wznosił się las omszałych kamiennych pylonów. Wiatr szalał w gwałtownych porywach, lecz nie było zimno. W tym miejscu nigdy nie było ani gorąco, ani zimno.

Czarownica sięgnęła do sznurka z ludzkimi kostkami, którym była opasana, lecz zamiast niego wyczuła palcami straszną, poszarpaną bliznę w pasie. Otworzyła szeroko usta, zacisnęła powieki i pięści, jęknęła ze zgrozy i bezsilnej wściekłości. Teraz przypominała sobie wszystko.

Po tym, jak upiór rozerwał ją na dwoje, zjawił się sam Pan Śmierć, aby zabrać ją do Śródziemia. Po wstrząsie spowodowanym nagłą i gwałtowną śmiercią zapadła w rodzaj letargu i nie wiedziała, co się z nią dzieje. Co prawda w Śródziemiu letarg trwał zaledwie

parę sekund, ale na powierzchni Ziemi minęły w tym czasie całe miesiące, może rok, a może nawet więcej. W tym czasie Simmu wdarł się do Ogrodu Złotych Cór, za pomocą magii współczulnej spowodował pęknięcie kryształowej studni w Nadziemiu, wykradł Elikser Nieśmiertelności, przewędrował z Kassafą przez pustynię. We wschodnim rogu Ziemi zbudowane zostało Miasto - na - Górze, różowo - czerwony Simmurad. Simmu dotarł do niego z Kassafą i zostali tam przywitani przez służącego Jolsippę... A wszystko to wydarzyło się, kiedy Lylas pogrążona była w pośmiertnym letargu, spoczywając na szarej ziemi w królestwie Pana Śmierci.

Teraz obudziła się. Zamknęła usta, rozluźniła napięte mięśnie, rozejrzała wokół siebie. Ponury krajobraz Śródziemia nie wywołał w niej przygnębienia, bo z natury była nieczuła na takie bodźce, jak obraz lub dźwięk. Spostrzegła jednak, że ta posępna szara kraina wydaje się bezludna i że prawdopodobnie musiała leżeć tu w stanie nieświadomości przez dłuższy czas. Nikt jej w tym nie przeszkadzał, co napełniło ją otuchą.

Nie potrafiła powiedzieć, kogo boi się bardziej, Pana Śmierci, którego zaufanie zawiodła, zdradzając jego tajemnicę, czy Narasen z Merhu, do której zamordowania przyczyniła się w sposób decydujący. Wiedziała, że wcześniej czy później przyjdzie jej odpowiedzieć za oba te czyny. Na razie pocieszała się nadzieją, że ani Pan Śmierć, ani Narasen jeszcze nie wiedzieli, że to ona jest sprawczynią.

Najsilniejszą stroną Lylas była jej oportunistyczna i optymistyczna natura. Nie potrzebowała wiele, by odzyskać wiarę w siebie. Powstała, przeczesła palcami bujne włosy i roztarta gładkie policzki. Potem wyczarowała złoty pas, aby ukryć straszną bliznę i z zadowoleniem stwierdziła, że jej ciało zachowało nieskazitelną biel i gładkość. Uczyniwszy to wszystko, wyszła spomiędzy pylonów skamieniałych drzew - i znalazła się twarzą w twarz ze zbliżającym się ku niej Panem Śmiercią.

Nie było co silić się na odwagę i dumę. Czarownica upadła na twarz. Kiedy podszedł bliżej, rozplynęła się w pokornych jękach, a kiedy owionął ją chłód białego płaszcza, łapczywie uchwyciła jego skraj.

- Oto ja, twoja pokorna służebnica.

Uhlum, Pan Śmierć, pochylił się i spojrzał na nią. Jego twarz wyrażała tak czystą nicość, że Lylas zabrakło oddechu, a potem

zaczęła szybko dyszeć. Nie mogła wypowiedzieć ani słowa i ucieszyła się z tego, bo była pewna, że gdyby mogła, wyznałaby mu swoją zdradę, a istniała szansa, że jeszcze o niej nie wiedział.

- Czy pamiętasz, że umarłaś? - zapytał Uhlum. Czarownica westchnęła głęboko i odzyskała mowę.

- Rzuciłam pewien czar, ale ktoś, jakiś potężniejszy czarnoksiężnik, odwrócił go przeciw mnie. Przebacz mi moją głupotę, o Panie Panów.

Całkiem niespodziewanie przyszło jej do głowy, że Pan Śmierć, uczyniwszy ją swoją pośredniczką, mógł przecież uchronić ją od zguby. Teraz nie miał już na Ziemi pośrednika. A może miał kogoś, kogo obdarzył swą łaską i ochraniał bardziej skutecznie niż ją? Lylas zrozumiała, że straciła życie w służbie Uhlumowi. Poczula się oszukana, utraciła nieco pewności siebie.

- Zakładam, o Panie Panów - powiedziała - że jako twoja służebnica wciąż podlegam twojemu prawu i nie wolno mi wrócić na Ziemię.

- Nie wolno ci wrócić - odpowiedział Uhlum i w tych słowach nie było okrucieństwa, lecz nieubłagana rzeczywistość.

- Czy mam ci służyć tutaj?

- Twoja służba dobiegła końca.

- A więc pozwól mi odejść. Chcę usiąść gdzieś w spokoju i pogodzić się z tą myślą.

- Możesz robić, co ci się podoba - odrzekł Pan Śmierć.

I nagle ujrzała go o pół mili od siebie.

Czarownica spoglądała za nim, czując gorycz urazy. Znalazłszy się w królestwie Pana Śmierci, w jakiś dziwny, a może bardzo logiczny sposób wyzbyła się części strachu, jaki zawsze w niej budził. A wraz ze strachem opuściła ją nabożna cześć, jaką do niego żywiła. Znowu poczuła się bardzo mądra i przebiegła. Pomyślała o Narasen, o wszystkim, co o niej pamiętała. Jeśli Uhlum nie wiedział o niczym, a na to wyglądało, na pewno nie wiedziała również o niczym Narasen.

Powstała po raz drugi. Z iluzorycznego powietrza ukształtowała karafkę wina i pociągnęła z niej duży łyk. Iluzja natychmiast uderzyła jej do głowy i natchnęła pewnością siebie. Obrąła jakiś kierunek i zaczęła iść. Postanowiła odszukać Narasen i albo dzięki swym czarnoksiężskim umiejętnościom, albo dzięki mocy jasnowidzenia

dostępnej wszystkim mieszkańcom Śródziemia szybko określiła miejsce jej pobytu.

Po kilku godzinach lub minutach nie wymagającego wysiłku marszu czarownica dotarła do brzegu mętnej białej rzeki. Tu, na wysokiej skale, siedziała ciemnoniebieska kobieta.

Lylas nie była przygotowana na ów widok, zwłaszcza że skutki trucizny, jaką Narasen wypija, zostały pogłębione długim pobylem w Merhu. Jej skóra miała barwę prawie czarnego indygo; w granatowej twarzy płonęły - jak w dwu kwiatach irysu - dwa złote punkciki pośrodku granatowych oczu. Jej włosy były purpurowe, a paznokcie lewej ręki, spoczywającej na lewym kolanie, również były purpurowe i długie, jak palce, z których wyrastały. Prawa ręka, spoczywająca na prawym kolanie, była biała - ręka szkieletu, pamiątka po Ażrarnie.

Czarownica zatrzymała się. Narasen wyglądała tak strasznie i niesamowicie, że nawet Lylas poczuła wobec niej szacunek. Pograżona w głębokiej zadumie Narasen nie zwracała na nią uwagi. Swoim wyglądem przypominała myśli, w jakich była pograżona: jad burzący się w granatowej kadzi. W końcu Lylas podpełzła do niej, udając strach, którego nie czuła, i ukrywając strach, który odczuwała.

Padła na twarz przed Narasen i ucałowała jej granatową stopę. Narasen uniosła powieki i spojrzała na nią. Lylas wyszeptała:

- Czy wasza straszliwa wysokość jest panią Narasen, królową Merhu?

Narasen nie odpowiedziała, lecz kąciki jej czarnych warg nieco opadły.

- Po twej piękności i po stanie, w jakim się znajdujesz, o pani, poznaję, że to ty - powiedziała Lylas jęklwym głosem. - Jakże królewsko wyglądasz i jaką budzisz trwogę. Powinnam cię nazywać Królową Śmiercią.

Narasen wyciągnęła rękę - białą rękę kościotrupa - i chwyciwszy Lylas za podbródek, podniosła jej twarz. Lylas wzdrygnęła się. Gest nie wydawał się przyjacielski.

- Tak, jestem Narasen - powiedziała Narasen - albo to, co z niej pozostało.

Czarownica podczołgała się do niej na kolanach. Ujęła kościaną dłoń i ucałowała. Narasen zaśmiała się nieprzyjemnie.

- Zawsze pozostaniesz ladacznicą, nawet tu. Idź i znajdź swojego pana, na nim ćwicz swoje sztuczki. A może już go mniej miłujesz, skoro zostałaś jego więźniem?

- Śmierć to Śmierć - odpowiedziała Lylas. - Nie odpędzaj mnie od siebie. Powiedz mi, co cię gnębi, starsza siostró.

Narasen splunęła na ziemię. To była jej odpowiedź.

Namiętności królowej wygasły. Nie tylko pociemniała jej skóra, nie tylko ciało odpadło od kości. W jej sercu zagościła śmierć. Siedziała tu już cały śmiertelny rok, może dłużej, rozmyślając o Ażramie i o synu, który ją zniszczył. Może raz lub drugi pomyślała o swojej niebieskości, o niebieskiej czarownicy i o truciznie, lecz teraz wszystko to było niczym liść na wietrze. Widziała tylko swą jasność, która przemieniła się w ciemność. Bycie umarłym to stan, w którym z marzeniami o zemście dzieją się dziwne rzeczy.

- Och, moja starsza siostró - szepnęła czarownica, złożony głowę na podolku Narasen - czemu siedzisz tu, w tym posępnym kraju, zamiast sycić się jakąś iluzją?

- Przysięgałam - odpowiedziała Narasen. Czarownica uśmiechnęła się, ukrywając uśmiech w fałdach czarnej sukni Narasen.

- Ja nie przysięgałam - powiedziała i zbudowała wokół nich pałac bardzo podobny do pałacu w Merhu, albo raczej podobny do tego, czym ów pałac kiedyś był. Gorące promienie słońca padały między filarami, futra lamparcie leżały pod stopami Narasen. Narasen prychnęła szydyczko, ale jej oczy pojaśniały.

- Gdybym mogła, zbudowałabym tutaj prawdziwy pałac, czerpiąc budulec z gruzów. Przyozdobiłabym go skarbami z jakiegoś królewskiego grobowca. - Ta myśl nie zaświtała jej uprzednio w głowie, lecz Lylas zdmuchnęła z niej martwy pył. - Skoro jednak nie widzę wiodącej tam drogi, odtąd zezwolę na tę iluzję. Lecz jeśli nadejdzie Uhlum, rozwiej ją natychmiast. Nie chcę, by pomyślał, że mój upór stopniał.

Lylas wyszczerzyła zęby w czarnych fałdach sukni. Dosłyszała ukryte aspiracje, zobaczyła ukrytą słabość. Ona i Narasen brały udział we wspólnym spisku.

- To moja słabość, nie twoja, starsza siostró. To słabość mojego pragnienia, aby cię zadowolić. Uznaj mnie za swoją służebnicę.

Narasen uniosła lewą dłonią garść jej włosów, pozwoliła, by przesywały się jej przez palce, zaczerpnęła nową garść.

Lylas pozwoliła jej na powtarzanie tej pieszczoty.

6

Lylas podjęła grę, starając się wykorzystać swą przebiegłość dla polepszenia losu, jaki przypadł jej w udziale. Lylas nie znosiła mężczyzn, a teraz obraziła się na Pana Śmierć. Aby uniknąć gniewu Narasen, udawała, że jest jej wielbicielką, robiła wszystko, aby sprawić jej przyjemność. Wyczarowywała dla niej iluzje, których Narasen, wierna swej przysiędze, nie chciała sama tworzyć. Tylko raz Narasen zgodziła się wyczarować iluzję, aby ukazać Uhlumowi swoje ostatnie odwiedziny w Merhu - zgodnie z ich nadnaturalnym układem. Tylko ten jeden, jedyny raz, a i tak nie ukazała mu wszystkiego, tylko to, jak wędrowała ulicami miasta, aż zamarło w nim wszelkie życie. Uhlum spoglądał w milczeniu, bez wyrazu, jak zawsze. Nie pokazała mu spotkania z Azrarnem, kiedy odszedł od niej Simmu, kiedy Azrarn ukarał ją za zuchwalstwo, łagodnie i zarazem straszliwie, na sposób demonów. Pan Śmierć otrzymał mniej, niż mu się należało, ale nie prosił o więcej. Zdawał się nie zauważać prawej ręki Narasen, ręki kościotrupa. Może nie był bystrym obserwatorem. A kiedy Narasen zapłaciła mu część należności, pogrążyła się w zadumie i trwała w niej, dopóki nie nadeszła długowłosa czarownica.

Widząc jak Lylas łąsi się do niej, Narasen syciła się owym pokarmem, choć dobrze wiedziała, co skłania czarownicę do obłudy. Narasen szydziła z Lylas, przenikając ją na wylot swoimi strasznymi granatowymi oczami o źrenicach złotych jak u jaszczurki. Dostrzegała w niej przejawy prawdziwej, nie udawanej trwogi. Czyż płaszczenie się przed nią nie wynikało właśnie z trwogi? Narasen była królową i przywykła do płaszczenia się i strachu przed nią. Przywykła też do cudownego otoczenia, którego wzbraniała jej wskrzesić duma, a które wywoływała dla niej z niebytu Lylas. Przy jej pomocy, nie naruszając przysięgi, Narasen mogła się przechadzać po złotych komnatach swojego pałacu, pędzić konno przez złote równiny, gdzie w cieniach połyskiwały złote lamparty. A kiedy zapadała iluzoryczna noc, wypełniając iluzoryczne okna iluzorycznymi gwiazdami, Lylas, uległa, nieśmiała i piękna piętnastoletnia dziewczyna, siadała u jej kolan i kładła głowę na jej łonie. Narasen przeczesywała palcami lewej dłoni bujne włosy Lylas, a czarownica uśmiechała się i

zamykała oczy, kiedy zaś Narasen dotykała jej prawą dłoń, Lylas starała się nie okazać, że przenika ją zimny dreszcz i jeszcze mocniej zaciskała powieki. A prawda była taka: jakaś część Lylas rozkoszowała się strachem. I tak, od udawania uwielbienia doszło do prawdziwego uwielbienia. I od udawania uwodzenia doszło do tego, że sama została uwiedziona.

Inni mieszkańcy Środiemia, którzy opuścili granitowy pałac Uhluma, by podziwiać złote światła nowego pałacu, cudownie realnego jak wszystkie halucynacje w tej krainie, napotkali u jego wrót strażników z obnażonymi mieczami. Potem pojawiła się naga dziewczyna, okryta jedynie włosami, która kazała im paść na twarz przed swoją panią. Było to dziwne i zuchwałe. To, czemu Lylas służyła, zawsze musiało być wielkie i budzące uwielbienie. A może zależało jej, by dowiedział się Pan Śmierć? Pogarda i złość, które ugodziły ją nagle tuż po upadku do tej piwnicy świata, podtrzymywały czarownicę na duchu. Natomiast Narasen nie lękała się Uhluma, nigdy się go nie lękała, a w każdym razie nie lękała się go w ścisłym znaczeniu tego słowa. Lecz Pan Śmierć nie przyszedł, aby je za to zbesztać. A co do poddanych Śmierci, zafascynowanych nowym przejawem zuchwalstwa, to składali pokłon przed ową straszną niebieską kobietą i pospiesznie umykali z pałacu. Wkrótce nie tylko Lylas używała wobec niej nowego imienia: Królowa Śmierć.

Lylas skuliła się u kolan Narasen i pozwoliła, by paki jej piersi wyrzwały spod woalu włosów. Narasen, przez tyle lat nie znająca zaspokojenia, objęła piękną dręczycielkę i zaczęła pieścić dłońmi i ustami to, co znalazła pod włosami. Lylas okazała się zręczna, giętka i ochotna, wnet splotły się w miłosnym uścisku. A potem, leniwie rozluźnione i rozkosznie zmęczone, stały się swoimi powiernicami, splecionymi w uścisku innego rodzaju.

Narasen wylała przed nią jedną ze swoich goryczy. Powiedziała jej, jak bardzo pragnie, by Simmu poczuł ból. Lylas przyłgnęła do niej, szepcząc. Ona też zwierzyła się jej, nie do końca zgodnie z prawdą, ze straszliwej tajemnicy Uhluma, z tajemnicy drugiej studni. (Narasen słuchała tego, jakby znudzona.) Potem opowiedziała jej - tym razem kłamiąc - o pogłoskach, jakie usłyszała. Że Ażrarn polubił Simmu i pomógł mu wydrzeć tajemnicę drugiej studni, aby uczynić go bohaterem, który wykradnie dla ludzkości Nieśmiertelność.

- Jestem martwa - szeptała Lylas - i nie mogę temu przeszkodzić. Lecz Uhlum ukarze mnie, kiedy się o tym dowie. Doradź mi, o moja mądra pani, co mam uczynić.

- Ty kłamczucho - powiedziała Narasen, ciągnąc ją za włosy - złapałaś się we własną pułapkę. Zdradziłaś tajemnicę, kiedy jeszcze żyłaś, prawda? I na pewno wdzięczyłaś się do tego Czarnego Kota Podziemia, Ażrarna. Tak, ty byś sprzedała wszystko.

Czarownica uznała, że najmądrzej będzie udać pokorę i żal.

- Przyszedł do mnie nocą - łkała, złożony głowę na kolanach Narasen. - Pan Nocy. Kto mu się oprze? Bałam się, a on czytał w moich myślach. Znasz jego okrucieństwo, o pani, ty, która stawiałaś mu czoło... - I żarliwie ucałowała dłoń kościotrupa.

Narasen rozmyślała.

- A więc Ażrarn - zapytała w końcu - jest kochankiem mojego syna? Tak, teraz przypominam sobie, że darzył go miłością. Lecz Uhlum nie pokocha Simmu, jeśli Simmu będzie sprytny. Prawda?

Lylas przywarła do jej kolan.

- Obawiam się, że go pokocha. Tego właśnie się boję.

- W legowisku Śmierci jest pewne zwierciadło, w którym można zobaczyć świat. Zobaczymy więc, czy masz rację. Jeśli tak, poszukamy tego czarno - białego. Jak myślisz, czy Uhlum, twórca strachu, jest w stanie się bać?

Lylas spojrzała na ciemną twarz Narasen, ciemną prawie tak jak oblicze Śmierci.

- Pan Śmierć może obrócić swą wściekłość przeciwko mnie. Nie zamierzałam go zdradzić... ale czy on to uzna? A jeśli wyładuje swą złość na mnie, Simmu może mu umknąć. A przecież ty, o moja cudowna królowo, pragniesz, aby cierpiał Simmu, a nie twoja służebnica, prawda?

- A wszystko prowadziło właśnie do tego, prawda? - zapytała Narasem z uśmiechem. - Wkradłaś się w moje łaski, aby uniknąć gniewu twojego pana w białym płaszczu? Przecież Uhlum nie wie, co to gniew.

- Błagam cię...

- Więc błagaj.

Lylas osunęła się do jej stóp i obsypała je pocałunkami. Wiedziała, że od samego początku igra z ogniem.

Po chwili Narasen powstała, a Lylas poszła za nią.

Przeszły z oświetlonej blaskiem lamp nocy uludy w nigdy nie gasnące szare nie - światło Śródziemia, a następnie ruszyły przez ponury krajobraz do pałacu Uhluma.

Takie sztuczki wyprawiało królestwo Śmierci z marzeniami o zemście. Impulsy były tu równie gwałtowne i szybkie, jak zamyślenie łagodne i długie. Prawa ludzkiej psychologii przestawały obowiązywać. Inne wybuchały tu namiętności, śmieszne bywały nadzieje, bezsensowne pragnienia. Jakże mogło być inaczej w miejscu takim jak to?

Uhlum powrócił z jakiegoś pola bitwy, z jakiegoś udręczonego zarazą miasta, od jakiegoś łoża śmierci, i w swoich komnatach, pośród mrocznych cieni i pustki, znalazł Narasen, jak kiedyś. Ale teraz czaiła się za nią czarownica, która uklękła przed nim i zakryła twarz dłońmi. Czy Uhlum spostrzegł, że czarownica trzyma rąbek sukni Narasen niby drogocenny talizman?

Narasen strząsnęła jej dłoń. Uśmiechnęła się do Uhluma.

- Witaj w domu, panie mój, witaj w swojej wspaniałej siedzibie. Jakim znalazłeś świat? Gdzie bywałeś? Czy odwiedziny sprawiły ci radość?

Uhlum spojrzał na nią. Czarownica przywarła twarzą do podłogi. Narasen powiedziała:

- Myślę, że w jednym miejscu na pewno nie byłeś. Czy zechcesz spojrzeć w swoje magiczne zwierciadło i zobaczyć, na co patrzyłam?

Pan Śmierć nie wziął od niej zwierciadła, lecz Narasen uniosła je tak, że mógł na nie spojrzeć. Trzymała je długo, a jej dłoń nie zachwiała się ani przez chwilę.

Od samego początku zdawało się, że Pan Śmierć uznaje w niej kogoś szczególnego, jakiś omen lub wroga. Patrzył w zwierciadło, jak zawsze bez żadnego wyrazu, a ona patrzyła na niego. Patrzył na świt, na miasto o świcie, na Simmurad. Zrozumiał natychmiast, co zwiastowało to miasto. Nic się w nim nie zmieniło, a jednak w jakiś sposób się zmienił. (Lylas spostrzegła tę zmianę i rozplaszczyła się na podłodze pod płaszczem swych włosów.)

I znowu czas przemknął przez Śródziemie. Kilka dni: przebudzenie się Lylas z letargu, kuszenie Narasen, spisek.

Kilka godzin: poszukiwanie zwierciadła, ukazanie obrazu Uhlumowi - ziemskie lata. Mówią, że w Simmuradzie przeminęło pięć lat.

Obraz.

Różowy marmur, połączane wieże, emaliowane kopuły. Niżej ulice pełne ludzi, i to jakich ludzi - pięknych, najlepszych. Cudowne kobiety, czarownice z włosami do pasa i oczami jak klejnoty, mężczyźni, urodziwi i silni, czarnoksiężnicy, mędrcy.

Pogłoski o Mieście Nieśmiertelnych rozeszły się szeroko.

Wielu wyruszało na wyprawę, aby je odnaleźć, szukając przez całe życie, mordując innych po drodze. Niektórzy je znaleźli. („Na wschodzie, trzeba szukać na wschodzie.”) Wielu z tych ostatnich odesłano precz od bram miasta. Spiżowych wrót Simmuradu strzegł łotrzyk Jolsippa, który dobrze rozumiał wartość daru, jaki otrzymał. Kiedy przed bramą stawał jakiś wędrowiec, Jolsippa wołał z wysokiej wieży:

- Kim jesteś? Powiedz, z jaką przybywasz sprawą, jakie masz imię, jakie cnoty i jaką wiedzę. Jaką masz moc? Co możesz dać za najdrogocenniejszy z darów, za którym wdychają wszyscy ludzie? Powiedz mi to, mając na uwadze, że będziesz musiał udowodnić wszystkie swoje słowa.

Niektórzy burzyli się na te słowa, innych ogarniała trwoga. Niektórzy kłamali i ginęli, próbując udowodnić to, czego udowodnić nie mogli. Niewielka liczba mężczyzn, jeszcze mniejsza kobiet, okazywała wystarczającą wiedzę i męstwo, by dostąpić łaski wejścia do różowo - czerwonego Simmuradu i otrzymania w naparstku z czarnego jadeitu kropli mętnego płynu, Elikseru Wiecznego Życia.

Pan Śmierć ujrzał to wszystko. Ujrzał pewien rodzaj blasku bijący od mieszkańców Simmuradu, blasku wewnętrznego ognia. Czy spostrzegł bladość ich twarzy?

Zobaczył Simmu. Simmu w wielkiej bibliotece, pośród długich półek zapełnionych bogato zdobionymi księgami. Simmu czytał, jakby czytanie pomagało mu zaspokoić jakiś dotkliwy głód. Był sam. Pozamykał drzwi. Czytał tyle, jak nigdy przedtem w świątyni, w swojej młodości. Oczy mu płonęły, gdy przewracał karty. Coś się w nim zmieniło od czasu, kiedy jako smukły, muskularny i opalony młodzieniec wkraczał do tego miasta, niewinny, dziki, wolny. Teraz,

wciąż młody i piękny, miał w sobie coś wiekowego, coś twardego, skamieniałego.

Ona też miała to w sobie, wysmukła jasnowłosa dziewczyna, ociągająca się za drzwiami. Kassafa, małżonka Simmu, poślubiona mu pięć lat wcześniej, podczas wspaniałej ceremonii w twierdzy Simmuradu. Kassafa stojąca z ociężałymi powiekami, z dłonią na drzwiach, nie próbująca zapukać. W młodości lata przemijają powoli. Pięć lat wiecznej młodości przeminęło jak stulecia. W Kassafie też była jakaś twardość, jakieś skamienienie.

Alabastrowe lalki z zatrzymanymi mechanizmami. Czy Pan Śmierć to dostrzegł? Nie, widział tylko życie, które nie umiera.

Narasen, która ujrzała już w zwierciadle wszystko, czego chciała się dowiedzieć o swoim synu i jego losie, nie odrywała spojrzenia od Uhluma. Jak ona na niego patrzyła! Studiowała jego twarz, postawę, jego gesty.

- Czy Dawca Strachu może się bać? - zapytała. Wierzyła w to.

Wszyscy ludzie uwierzyliby, że widząc takie zagrożenie, Pan Śmierć musiał zdrzeć.

Magiczne zwierciadło nagle wypadło Narasen z rąk. Roztrzaskało się na kawałki, a te kawałki na jeszcze drobniejsze szczątki, aż posadzkę zasłał drobny pył, jak cukier.

- Czy jesteś głodny, panie mój? - zapytała Narasen. Patrzyła na niego tak, jakby go kochała. W pewien sposób go kochała; dał jej przecież nienawiść, jej pokarm.

Blade oczy Uhluma były szeroko otwarte. Suche i oślepiająco jasne. Twarz nie wyrażała niczego, przemówiły jego dłonie. Z czubków palców trysnęła krew. Była to dziwna krew, czerwona, jak krew człowieka. Co się działo w jego mózgu? Może próbował uciszyć w sobie ów nieruchomy, krwawiący gniew, bo tego oczekiwała od niego ludzkość. Tam, gdzie padły krople krwi, pękała posadzka. Czerwone plamy pokryły białą szatę. Miał oczy szeroko rozwarte, a na jego twarzy w końcu pojawił się jakiś wyraz: szaleństwo.

- To Ażrarn podarował to miasto Simmu. Ażrarn jest jego kochankiem - powiedziała Narasen. - Lecz Czarny Kot jest niczym wobec Białego Psa. Wymyśl coś, Panie Śmierci, znajdź sposób na uśmiercenie Nieśmiertelnych.

Uhlum uniósł krwawiące ręce i zakrył nimi twarz. Jego włosy i płaszcz zafalowały, wydęły się, choć nie było wiatru. Pan Śmierć

odwrócił się i opuścił granitowy pałac. Przeszedł przez Śródziemie, wciąż z twarzą ukrytą w dłoniach. Krew znaczyła jego ślady. Wyrastały z niej czerwone kwiaty z czarnymi środkami, maki, kwiaty śmierci. Krew Śmierci zabarwiła białe wody Śródziemia. Wody zapłonęły, a czarny dym okrył obłokami martwe niebo.

W żelaznej ścianie góry ziała czarna otchłań i w nią właśnie wszedł Pan Śmierć. Krew popłynęła z otworu otchłani, dziesięć strumyków. Żaden dźwięk, żaden ruch. Tylko krew. Tylko krew Uhluma, Pana Śmierci, jednego z Władców Ciemności.

7

Długo leżała czarownica, natrętna, u stóp Narasen. Wciąż się bała, że Pan Śmierć powróci, aby ją ukarać za ujawnienie tajemnicy, która pozwoliła ludziom zdobyć Nieśmiertelność. Lecz Uhlum sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o niej i o tajemnicy, jakby zapomniał o wszystkim. Nikogo nie oskarżał, nie wyrzekł ani jednego słowa. W końcu Lylas ucałowała kolana Narasen i zaczęła wychwalać jej inteligencję i sprytny sposób, w jaki pokierowała nastrojami Uhluma. Drobinę potrzaskanego magicznego zwierciadła chrzęściły pod stopami obu kobiet, gdy opuszczały komnatę Pana Śmierci.

Na zewnątrz jeden z tysiącletnich niewolników Uhluma pokłonił się przed Narasen aż do spopielałej ziemi, a Lylas zmusiła się do uśmiechu.

Uhlum siedział na płaskowyżu pewnej góry na wschodzie.

Daleko w dole lśniło morze, bliżej skalne stopnie wiodły z wybrzeża na płaskowyż. Płaskowyż kończył się pionową ścianą samego szczytu, a w tej ścianie osadzone były dwie bramy z błyszczącego mosiądzu.

Uhlum siedział plecami do owych bram.

Pan Śmierć mógł poruszać się swobodnie po wszystkich zakątkach Ziemi, bo prawie na każdym calu Ziemi umarła kiedyś jakaś istota. Tylko na skraju świata, na wybrzeżu oceanu, ostały się młode góry, a na jednej z nich rozkwitł Simmurad, w którym nikt jeszcze nie umarł. Dlatego Pan Śmierć mógł dojść tylko tu, do szczytu skalnych schodów, bo tylko dotąd dotarła kiedykolwiek śmierć. Jakaś ryba pływająca brzuchem do góry w pierwotnym morzu, jakieś źdźbło trawy uschłe na zboczu góry - te zgony pozwoliły mu wpisać się na skraj płaskowyżu. Ale nie dalej.

Z perłowej skały wypiętrzyło się kamienne krzesło, w którym Uhlum się usadowił. Za krzesłem wyrosło - a może tylko zostało wyczarowane - czarne drzewo, rzucając cień poprzez długi świt Simmuradu.

Pan Śmierć siedział w cieniu.

Jedną ręką podpierał podbródek, drugą złożył na kolanie. Już nie krwawił. Biały kaptur okrywał białe włosy, osłaniając twarz podobną do rzeźby z czarnego, lśniącego drewna. Opuścił czarne powieki. Gęste rzęsy albinosa opadły na policzki, ale Uhlum nie spał. Ludzie zamarli w takiej pozycji mogą wyglądać na bezbronnych. Pan Śmierć nie wyglądał bezbrinnie, nawet z rzęsami spoczywającymi na policzkach. Przymknięte powieki były niby wieka kufrów ukrywających mądrość, która przez nie przebija.

A potem uniósł białe rzęsy, otworzył oczy.

Czterech jeźdźców wspięło się po skalnych stopniach i zatrzymało konie na płaskowyżu, o jakieś trzydzieści stóp od cienistego drzewa, i krzesła i Śmierci. Byli wyraźnie umęczeni podróżą, a w ich oczach płonęło szaleństwo.

- Co dalej? - zapytał jeden, z łukiem na plecach.

- Tam są wrota - rzekł drugi.

- Nawet teraz - odezwał się trzeci - nie bardzo wierzę w to wszystko, co opowiadają o tym mieście, choć straciliśmy pięć lat, aby je odnaleźć.

Czwarty jeździec odwrócił głowę.

- Kto tam siedzi, pod tym drzewem? - zapytał.

- Pod jakim drzewem? Nie widzę żadnego - rzekł trzeci.

- A ja widzę cień skały - powiedział pierwszy.

- To człowiek w białej szacie i w białym kapturze - rzekł czwarty.

Drugi jeździec szturchnął go w bok.

- Próbuje odwieść nas od celu, mówiąc o jakichś zjawach. Wydaje mi się - dodał, a jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej dzika - że tylko jeden z nas zostanie wybrany. Czyż nie mówią, że w tym mieście ludzie muszą przejść przez próbę siły i magii, nim dozwolone im będzie wypić Elikzir Życia? No cóż, bracia, jesteśmy równi we wszystkim. A wątpię, by wybrali nas wszystkich.

I dobył miecza, i odrąbał głowę czwartemu jeźdźcowi, który przez cały czas wpatrywał się w Śmierć pod drzewem. Uczyniwszy to, drugi jeździec smagnął konia, który ruszył z kopyta ku wrotom.

Pierwszy jeździec błyskawicznie zdjął łuk, osadził strzałę na cięciwie, napiął ją i wystrzelił. Strzała ugodziła drugiego jeźdźca między łopatkami. Wydał tylko jeden krótki okrzyk i spadł martwy z konia, tuż przed bramą. W tej samej chwili pierwszy jeździec zwałił się twarzą na szyję swego konia - trzeci przeszył go mieczem. Teraz został już tylko jeden żywy człowiek przed bramą Simmuradu.

Zsunął się z konia i zbliżył do bramy, lecz głowę miał nisko pochyloną. Jeszcze raz spojrzął przez ramię, lecz nikt już mu nie zagrażał. Uderzył pięścią we wrota.

Gdzieś z góry rozległ się głos:

- Czego tu szukasz i jakie jest twoje imię? Jeździec cofnął się od bramy. Zaczął szlochać, a pośród tych szlochów nagle roześmiał się dziko i ryknął:

- Czyżby to był ów tłusty złodziej, który, jak mówią, pilnuje bramy do Miasta Nieśmiertelnych?

Odpowiedziało mu milczenie.

Trzeci jeździec dostrzegł jakąś postać na lewo od siebie, tuż przed bramą, która usiadła dokładnie w tym miejscu, w którym upadł drugi jeździec trafiony strzałą. Ale to nie był on. Był to ktoś ubrany w białą szatę z kapturem, siedzący na kamiennym krześle pod rozłożystym drzewem. Twarz miał ukrytą w cieniu. Martwy jeździec leżał u jego stóp.

Uhlum mógł teraz zbliżyć się do bramy, bo do tego miejsca dotarła już śmierć.

Trzeci jeździec przetarł oczy.

- Jeśli wierzyć opowieściom, ta postać nie wróży mi nic dobrego - powiedział, drżąc ze strachu, podbiegł do bramy i załomotał w nią ponownie. - Wpuście mnie! Tu czeka mnie śmierć!

Nie było odpowiedzi. Tłusty złodziej uznał najwidoczniej, że może zrobić wyjątek dla kogoś, kto go obraził.

Trzeci jeździec spojrzął na Pana Uhluma. Trzeci jeździec osunął się na kolana.

- A więc stałeś się zwykłym rabusiem, panie? Rabujesz ciała przed wyznaczonym czasem? Słyszałem inną opowieść. Król Śmierć ma małżonkę. Poślubił kobietę o niebieskiej skórze, o włosach jak

gradowa chmura. Nie daje mu spokoju, więc Król Śmierć myśli tylko o tym, jak uciec z domu. Mówią, że jego żona, Królowa Śmierć, zadręcza go o różne rzeczy. Mówią, że pragnie różnych sprośnych darów. Pewnej nocy wykradła się na powierzchnię Ziemi i zatrąła całe miasto, a potem powróciła do swego małżonka i opowiedziała mu wszystko ze szczegółami, opowiedziała o wszystkich, których zabiła, a Król Śmierć bardzo się uradował.

Po tych słowach trzeci jeździec podczołgał się jeszcze raz do bramy i zapukał w nią, ale słabe to było pukanie.

- Tłusty złodziej właśnie je śniadanie - rozległa się odpowiedź.

Trzeci jeździec odczołgał się od bramy, uniósł głowę i spojrzał na zakapturzoną postać, a potem wyjął sztylet i przebił się, i umarł u stóp Śmierci, przy trupie towarzysza.

W górze, na wieży, Jolsippa czał głośno, skończywszy śniadanie. Nie zawsze strażował przy bramie, ale kiedy już to czynił, kładł się na otomanie, podpierał poduszkami jadł i pił dla samej rozrywki, bo będąc nieśmiertelnym nie potrzebował jeść i pić. Jedzenie było dziwne i egzotyczne, wyczarowane za pomocą zaklęć, a może tylko częściowo wyczarowane, ale szaty Jolsippy pokrywały tłuste plamy. Teraz, wytarłszy sobie palce w szatę, otworzył ukryte okienko nad bramą i wyjrzał przez nie. Cmoknął parę razy na widok czterech trupów, a potem spostrzegł zakapturzoną postać siedzącą pod bramą, ledwie widoczną przez gałęzie rozłożystego drzewa.

- Hej! - zawołał. - Czy to ty pukałeś do wrót Miasta Nieśmiertelnych?

Pan Śmierć nie podniósł głowy, lecz odpowiedział cicho, choć Jolsippa usłyszał jego słowa bardzo wyraźnie:

- Nie pukałem do bramy.

Jego głos budził zimny dreszcz, nawet w Jolsippie.

- Po co tu przyszedłeś i jak brzmi twoje imię? - zawołał.

Opowiadano później, że Pan Śmierć zaśmiał się na te słowa, ale to nieprawda, śmiech nie leżał w jego naturze, nawet w owej chwili.

- Sprowadź tu swojego króla, chcę z nim mówić - oznajmił Pan Śmierć.

- Pan Simmu, który jest mi jak syn, nie przychodzi na każde zawołanie.

Pan Śmierć milczał, Jolsippa mówił jeszcze dość długo, ale coraz silniej czuł, że musi jednak sprowadzić Simmu, więc w końcu powstał, opuścił wieżę i poszedł go odnaleźć.

Simmu czytał. Przez prawie pięć lat niewiele więcej robił. Pożerał książki, by zapełnić pustkę w sobie. Czuł się jednak wciąż przygnębiony, przytłaczało go towarzystwo nawet najpiękniejszych i najmądrzejszych, bo przecież tacy tylko byli w Simmuradzie. On, który niegdyś wędrował tam, gdzie chciał, który stał się odpowiedzialny za innych, dokonawszy bohaterskich czynów.

Usnął z głową wspartą na księdze. Świece wypaliły się i pogasły. Włosy Simmu rozsypały się na rozłożone karty. Pod zamkniętymi powiekami poruszały się gałki oczne. Śnił.

Łotrzyk Jolsippa, stwierdziwszy, że drzwi biblioteki zamknięte są na klucz, otworzył je wytrychem i wszedł do środka. Obudził Simmu potrząsając go za ramię. Simmu otworzył szeroko oczy i zmarszczył czoło.

- Dlaczego mnie obudziłeś?

Teraz potrafił mówić płynnie, jak każdy. Potrafił też mówić rozdrażnionym głosem, jak dziecko. Jolsippa włamał się nie tylko do tej komnaty, włamał się do jego snu. A ów sen przesycony był przedziwną słodyczą: cienisty gaj, ciemnowłosy towarzysz, obaj, on i Simmu jako dzieci...

- U wrót czeka dziwna postać. Jestem pewien, że jest częścią twojego przeznaczenia.

Simmu powstał. Zaczął przemierzać komnatę jak lew klatkę.

- Jolsippo, gdybym mógł, zmusiłbym cię do zwymiotowania tej kropli, którą skradłeś mi na pustyni.

- Życie jest dobre - odpowiedział Jolsippa, ale westchnął.

Jemu też brakowało czegoś w tym życiu, może cierpkości i strachu, które dodawały smaku.

- A więc kto czeka u wrót? - zapytał Simmu. - Spróbuj wyrazić się jaśniej.

- To nie demon... choć przywodzi na myśl pewnego wielkiego władcę... Ale ten ubrany jest na biało. Muszę wyznać, że nie przypadł mi do gustu. Przypomina kogoś, kogo już kiedyś spotkałem, choć widziałem go tylko z daleka. I ma czarne ręce...

Simmu krzyknął. Wydawało się, że z jego ciała i włosów posypały się iskry.

- Pięć lat! Niezbyt szybki jest ten stary kruk. I nie rozpoznałeś go?

Jolsippa skrzywił się i wyciągnął ręce przed siebie, jakby się przed czymś bronił.

Nawet mi o nim nie wspominaj. Jeszcze nie całkiem zgłupiałem. Nie zwykłem ciągnąć wilka za ogon.

- Oto nadeszła wreszcie ta chwila - rzekł Simmu i odwrócił się od niego, jakby o nim zapomniał. - Teraz dowiem się, czy sprzedałem się za nic, czy też otrzymam sowitą nagrodę. Śmierci - dodał, uderzając otwartą dłonią w otwartą księgę - zaczekaj na mnie!

Wziął płaszcz z krzesła, nałożył i przepasał. Płaszcz utkany był i ozdobiony srebrnym haftem przez Kassafę, córkę handlarza jedwabiem. Simmu nie pamiętał, że płaszcz jest dziełem jego żony.

Z jednej z wysokich wież rozbrzmiał śpiew kobiety. Była to tęskna, melancholijna pieśń. Nikt nie przeciął drogi Simmu, kiedy o świcie podążał przez miasto.

Wciąż miał lekki, koci krok. Na zielonym zboczu twierdzy podbiegł do niego lampart, rozpoznając w nim pokrewną istotę.

Simmu doszedł samotnie do bram Simmuradu i uruchomił mechanizm otwierający wrota. Serce zabiło mu mocniej, oczy jeszcze bardziej pobladły. Wyszedł na górski płaskowyż.

Uhlum uniósł głowę i spojrzał.

Kiedyś, w zimnym grobowcu Narasen, oszczędził to płaczące dziecko.

Simmu również na niego spoglądał.

Kiedyś, w zimnym grobowcu Narasen, spotkał już tę grozę i poczuł chłód jej obietnicy.

- Widzę, czarny mężu - rzekł - że sporo czasu zajęło ci odnalezienie mnie tutaj. Cóż, miałeś być ostatnim punktem na mojej drodze, a okazało się, że to ja jestem końcem twojej drogi. A przez ten czas wiele czytałem o świecie, o jego cudach, o wszystkich krainach, które można zdobyć i o prawach, które można zaprowadzić. Pewnego dnia... a zgodzisz się ze mną, że dni nigdy mi nie zabraknie, czarny mężu... pewnego dnia powiodę z tej warowni wielką armię. Podbijemy cały świat i uwolnimy go od ciebie.

Czy Uhlum rozpoznał ton, jakim mówiła do niego Narasen?

- Będziesz żył wiecznie, lecz niczego już nie dokonasz. Twoja młodość zamieniła się w niezniszczalny kryształ, ale takie jest też

twoje serce, a może nawet i dusza. Przedemną nic się nie ukryje. Czy marzysz o tym, by wszystkich ludzi schwytać w taką samą pułapkę, w jakiej sam się znalazłeś?

Simmu pogrążył się w zadumie, w martwym, pozbawionym wyrazu milczeniu człowieka. Potem powiedział:

- Jesteś dobrym nauczycielem. Zapamiętałem tę lekcję. Widzę, że zbyt długo trwałem w bezczynności. Racz mi jednak odpowiedzieć na jedno pytanie, mój mistrzu. Czy to, co uczyniłem, napędza cię lękiem?

- Tak, lękam się tego - odpowiedział Pan Śmierć bezbarwnym głosem.

- I będziesz ze mną walczył?

- Będę z tobą walczył. Simmu uśmiechnął się.

Powoli zbliżał się do Uhluma. Przechodząc obok martwych ciał, rzucił na nie okiem, bez odrazy lub współczucia. Podeszedł tuż do Pana Śmierci. Wyciągnął rękę i dotknął jego ust. Zadrżał i zamrugał powiekami, ale się opanował.

- Wiedz, że mój strach skończył się tam, gdzie zaczął się twój - powiedział.

- Strach nie jest największym zagrożeniem człowieka.

Simmu splunął na szatę Śmierci.

- A więc zrań mnie - wyszeptał. - Zniszcz mnie.

Coś bez wyrazu, coś strasznego, nieprzetłumaczalnego na ludzkie pojęcia przemknęło przez twarz Śmierci. Kropla krwi spłynęła z kącika jego warg, lecz otarł ją rękawem.

Simmu drżał, zafascynowany. Uderzył Śmierć w policzek; uderzenie prawie zgruchotało mu ramię, lecz nadal stał i oddychał.

- Walcz ze mną - wycedził przez zęby. - Tęsknię za rozkoszą tej walki.

Pan Śmierć odrzucił kaptur. Jego widmowa piękność zdawała się rozszczepiać skalisty wierzchołek góry. Położył dłoń na piersi Simmu i splamił ją krwią. Był to łagodny, straszny dotyk. Ten dotyk zatrzymywał serca ludzi, ale nie serce Simmu. A potem wszystko ogarnął biały wir i Śmierci już nie było.

Simmu ogarnęła wściekłość.

- A więc to wszystko? Wracaj, czarny k roku. Wróc i walcz ze mną.

Zaledwie wymówił te słowa, leżący najbliżej trup powstał i rzekł do niego:

- Bądź cierpliwy. Powróci.

I padł z powrotem na ziemię.

Simmu wkroczył z powrotem do swojego miasta, przepełniony posępną radością, drżąc i szczerząc zęby. Odszukał małżonkę i legł z nią w łożu. Tego wieczoru wypił toast za Śmierć różowym winem. Zawiesił sobie na szyi zielony kamień Eszwa, którego nie wyjmował od lat. W jego twarzy można było zobaczyć Narasen, jak płomień przez matowe szkło lampy,

To, co uczynił później Pan Śmierć, było częścią pewnego rytuału, jak kroki w tańcu. Zaiste, uczynił, czego się po nim spodziewano. Wezwał swe sługi albo raczej te istoty, które ludzie uważali za jego sługi, choć tak nie było.

Z jakiejś nory pośród okaleczonych drzew i żółtych bagien wezwał Zarazę i wysłał ją do Simmuradu. Przeszła ulicami marmurowo - metalowego miasta i niektórzy poczuli się słabo, lecz słabość wnet ich opuściła. Nieśmiertelni nie byli uodpornieni na wszystkie choroby i ciosy, lecz trawiącą ich przez pół dnia gorączkę uznali za ciekawą odmianę.

Potem Pan Śmierć wezwał Głód. Głód także wysmiano w Simmuradzie. Pan Śmierć wezwał więc Waśń. Waśń wkradła się nocą do Simmuradu otulona zielonawym płaszczem. Nieśmiertelni zaczęli ze sobą walczyć, lecz Waśń szybko spostrzegła, że walczą z ochotą. Waśń też okazała się dla nich rozrywką. I kiedy jednemu z nich odcięto dłoń w pojedynku toczonym na marmurowym placu, pewien zręczny chirurg, który otrzymał kroplę Nieśmiertelności za swoje mistrzowskie umiejętności, przyszył mu dłoń srebrną nicią. A ponieważ wszystkie członki były nieśmiertelne, dłoń szybko przyrosła i z ochotą podniosła miecz, by walczyć dalej.

Pan Śmierć wysłał Zepsucie, a Nieśmiertelni naigrywali się z niego, przystroiwszy je wiecznie żywymi kwiatami i świecidełkami. Zepsucie owinęło się wokół owocowego drzewa i trwało tam, nadąsane, połyskując ciemnymi łuskami.

- No, dalej, Władco Kości - szeptał Simmu - pokaż, co potrafisz.

Kassafa siedziała przy krośnie z brązu; w Simmuradzie nie było ani jednej złotej rzeczy, bo złoto nie cieszyło się uznaniem mieszkańców Podziemia. Oczy Kassafy w owych dniach były ciemne

i mętne, barwy głębokich lochów lub dna jeziora. Nudziła się. Nuda była przekleństwem Simmuradu. Simmu był jedyną gwiazdą na jej niebie, lecz ta gwiazda była od niej daleko. Już go nie kochała, nie potrafiła kochać, widząc jego obojętność. Stała się bardziej powierzchowna i bardziej boska zarazem. Zjadała całe pudełka słodczy wykradzione zakłęciami z haremów królewskich, ubierała się w suknie wyczarowane z komnat królewskich i cesarzowych. Kiedy indziej wabiła do siebie ptaki, choć nie zdarzało się to często, bo ptaki rzadko przelatywały nad Simmuradem. Przyglądała się obłokom, marząc. Nie rozumiała zupełnie wojny, jaką toczył Simmu ze Śmiercią, zresztą nigdy Simmu nie rozumiała. Pomyślała o swoim ślubie. Demony porwały z jakiejś świątyni całe zastępy kapłanów, aby wszystko odbyło się jak należy. Nawet wówczas, w momencie, gdy Simmu uniósł jej welon, wyczuła, że nie cały do niej należy, że nawet wtedy myślami błądzi w innej stronie, może szuka Ażrarna, który nigdy nie odwiedził Simmuradu w widzialnej powłoce, a może Pan Śmierć, który zagrażał miastu.

Kassafa ziewnęła, porzuciła brązowe krosna, zjadła trochę słodkiej galaretki, jej mroczne oczy napełniły się łzami.

- Utyję i znenawidzisz mnie - powiedziała do Simmu.

Wiedziała, że nie obchodzi go na tyle, by ją znenawidził.

Simmu nawet jej nie usłyszał. Wypatrywał Pana Śmierci, który nie chciał z nim walczyć.

Bezużyteczny rytuał dobiegł końca. Pan Śmierć włączył się po świecie.

Ludzie widywali go, siedzącego na zboczu jakiegoś wzgórza, w białym płaszczu targanym ziemskimi wiatrami. Biały szakał. Nie okazywał już miłosierdzia. Nie poddawał się owemu nieczułemu współczuciu, któremu czasem ulegał za dawnych dni. Kiedy kroczył przez doczesne krainy, niekiedy ziemia dymiła, a małe stworzonka wypełzały ze swoich nor i umierały. Dzieci porzucały zabawę i nagle padały martwe. Widma i upiory, zwabione okrucieństwem jak ptaki śpiewem oracza, kłębiły się za jego plecami - ucieleśnione koszmary i symbole ludzkiej trwogi.

Szukał, jak przeszukuje się czasem strych, aby odnaleźć cenną pamiątkę, której wyglądu nie można sobie przypomnieć. Wędrował po Ziemi, wędrował całymimi latami. Szukał.

Pewnej nocy, kiedy stał na brzegu jakiejś płytkiej rzeki, ujrzał w niej własne odbicie, jakby w negatywie i odwrócone. Podniósł oczy i na drugim brzegu zobaczył Ażrarna.

- Jakie nowiny, nie - kuzynie? - zapytał Ażrarn. - Są teraz trzy miejsca, do których nie masz wstępu: Nadziemie, Simmurad i Druhim Wanaszta, miasto demonów.

Między Władcami Ciemności trwała alergiczna, choć przyjazna rywalizacja, pewien rodzaj niechętnego przywiązania, pogardliwego lęku, ksenofobii i uczuć rodzinnych,

- To twoja gra - rzekł Uhlum.

- To prawda, moja, nie - kuzynie. Ale chyba już się nią trochę zmęczyłem. Umyka mi jej sens. Ludziom brakuje wdzięku, brakuje im artyzmu, jaki przejawiają Wazdru. Czy spodobał ci się Simmurad?

- Nie oglądałem go od środka - odpowiedział Uhlum.

- Musisz spróbować. Naprawdę, nie - kuzynie, musisz spróbować.

Stali i patrzyli na siebie, jeden blady jak marmur, czarnowłosa, okryty czernią; drugi czarny jak owa czerń, białowłosa, okryty bielą jak drzewo śniegiem.

- I kto by pomyślał - rzekł Ażrarn - że Nieśmiertelność wykradziona przez ludzi może się stać tak nudna i statyczna. Może między nami jest wojna, nie - kuzynie, między mną i tobą. Lecz jeśli tak, mam jej dość.

Wzniósł rękę nad płytką rzekę. Coś wystrzeliło z jego palców i wybuchło w wodzie. Ukształtował się obraz.

Demony są przyjaciółmi człowieka dotąd, dopóki człowiek daje im rozrywkę. Na wspomnienie Ażrarna Simmu drżał jak liść w jesiennym wietrze. Lecz Wazdru, który mógł zapomnieć o wszystkim, niczego nie zapomniał.

Uhlum ujrzał w ukształtowanym na powierzchni rzeki obrazie jakiegoś człowieka. Miał na sobie szkarłatną szatę ze złotymi brzegami, naszyjnik z czarnych klejnotów na piersi. Wyglądał młodo i był piękny, z czarną brodą i czarnymi włosami. Lecz okrutne oczy ukazywały go takim, jakim był naprawdę. Te oczy kąsały, wyrażały pogardę, potem żal, a potem zapadały się gdzieś do wewnątrz, jak dwa węże do dzbana pełnego węzów. Były to oczy rozsądne aż do szaleństwa. Niebieskozielone. Oczy gaszące pragnienie.

W owej wizji oczy, zimne jak głązy, obserwowały człowieka, który właśnie przed nimi umierał, w drgawkach, z poszarzałymi wargami, zapewne otruty. Kiedy nieszczęśnik zamarł bez ruchu, przyciągnięto innego. „Oszczędź mnie, potężny Żyrku!” zawyła ofiara. „Nie uczyniłem ci niczego złego!” Na próżno. Przystawiono mu czarkę do ust, zmuszono, aby wypił z niej łyk i po chwili skonał w drgawkach u stóp tego, którego nazwał „Żyrkiem”. A ów Żyrek odchylił się w krzesło, wziął czarkę z trucizną i wypił ją, a potem pozwolił, by czarka wypadła mu z ręki. Westchnął, przymknął powieki. I nic się nie stało, trucizna nie wyrządziła mu krzywdy.

Obraz rozpląnął się w wodzie.

- Kiedyś mnie wezwał - rzekł Ażrarn - ale wówczas jego towarzystwo sprawiało mi więcej przyjemności. Ciebie też wzywał, nie - kuzynie.

- Pamiętam - powiedział Uhlum.

Ażrarn odszedł, uleciał czarnym, szerokoskrzydłym ptakiem.

Pan Śmierć odwrócił się i także zniknął.

Jakiś koszmar, należący do najbliższego otoczenia Śmierci, pochylił się nad rzeką, aby się napić, dostrzegł swoje odbicie w wodzie i uciekł, wyjął z przerażenia.

CZEŚĆ TRZECIA:

Czarownik Żyrek

1

Czarnoksiężnik Żyrek szedł ulicami wielkiego miasta. Jego szata miała barwę skrzydeł chrząszcza, na palcach połyskiwały złote pierścienie, na piersiach lśnił tajemniczo skarabeusz z czarnych klejnotów, szedł jednak boso, bo taki miał zwyczaj.

Był postacią dobrze znaną i budzącą lęk. Ach, te jego czarne włosy, jego posępna piękność... Wiele dziewcząt spoglądało na niego tęsknie z okien, inne bladły na jego widok z nieco innego powodu. Czasami Żyrek wyprawiał się na łowy. Polegało to na tym, że podchodził do kogoś i patrzył mu w oczy, a ofiara stawała się uległa we wszystkim. Porzucała swoje zajęcie i szła za nim bezwolnie. W ten sposób cieśle, murarze, kamieniarze, urzędnicy, kupcy i rybacy porzucali intratne zajęcia i opuszczali swoje warsztaty, sklepy, domy i żony. Nawet niewolnicy nie wahali się porzucić swych panów. Żadnego z tych ludzi więcej nie widziano. Kiedy do króla wpłynęła skarga na Żyreka, przeczytał ją i zadrżał.

- Nie chcę mieć nic do czynienia z Żyrekiem - zarechotał.

Prawdę mówiąc, Żyrek miał już do czynienia z królem, pojawiając się bez zaproszenia na jakiejś uroczystej uczcie i szydząc z niego. Król zapewne kazałby go pojmać i zakuć w łańcuchy, lecz Żyrek zrobił z nim coś dziwnego, a ściśle mówiąc z jego mózgiem. Królowi wydało się nagle, że jest psem. Popędził do psiarni, pogryzł się z innymi psami o kość, a nawet, jak mówiono, pogryzł jakąś sukę, kopulując z nią z wielkim wigorem. Odzyskawszy zmysły, dowiedział się o wszystkim i uznał, że Żyreka trzeba unikać.

- Musimy traktować go jako dopust boży, jak przekleństwo. Możemy tylko modlić się do bogów, i to potajemnie, aby nas od niego wybawili.

Tak więc wszyscy unikali Żyreka, prócz tych, którzy zakochali się w jego postaci, a nawet ci trochę go się bali, bo w końcu nie byli głupcami do końca. Miał on dom poza miastem, stary i częściowo zrujnowany, tuż nad brzegiem morza. Nocą po dachu, po obrośniętych skorupiakami ścianach i po omszałych kamiennych bestiach strzegących drzwi pełgały jakieś dziwne ogniki. Kiedy czarnoksiężnik opuszczał swój dom, drzwi pozostawiał szeroko otwarte. Tylko jeden złodziej ośmielił się kiedyś zakraść do środka, a kiedy pojawił się

znowu, był powłóczącym nogami zaślinionym idiotą, który nie potrafił nawet opisać, co mu się tam przydarzyło. Co jakiś czas od morza nadchodziła straszliwa burza, a bałwany łomotały wściekle w zielone bastiony starego domu. Wówczas ci, którzy nie bali się pozostać poza domem, widzieli Żyreka na szczycie wysokiej wieży, jak spoglądał na morze, a czasami rzucał coś w spienione fale, jakby karmił dzikie bestie. Nikt nie wątpił, że Żyrek zawarł tajemny pakt z ludem morza, którego liczne i różnorodne królestwa rozciągały się na dnie oceanu.

Burzowe chmury zbierały się nad miastem tego dnia, w którym Żyrek kroczył jego ulicami. Ludzie rozstępowali się przed nim, bijąc pokłony do ziemi. Kobiety chwytaly dzieci i chowały się w najbliższych drzwiach.

Granatowoczarne chmury napierały już na lśniące wieżycy miasta. Deszcz chłodził rozgrzane ulice, ale ani jedna kropla nie spadła na Żyreka. W domu jakiegoś bogacza otworzyły się wrota wiodące na dziedziniec i wybiegła z nich dziewczyna o białej twarzy, która padła na kolana przed czarodziejem.

- Weź mnie na swoją niewolnicę! - wyjęczała dziewczyna, a jej włosy zamiatały ulicę. - Spójrz, nałożyłam kosztowny naszyjnik, aby ci go złożyć w darze.

Żyrek nawet na nią nie spojrzał. Kiedy przechodził, schwyciła go za kostkę u nogi. Żyrek zatrzymał się i spojrzał na nią. W głębi jego oczu obudziły się jadowite węże.

- Czy mam cię zabić? - zapytał spokojnie. Dziewczyna uniosła głowę.

- I tak umrę z miłości do ciebie - jęknęła. - Myślę jednak, że służyysz samemu Panu Śmierci, bo tak wielu do niego posyłasz.

- Śmierć - powiedział Żyrek. - Jest w tym pewien żart, którego nigdy nie zrozumiesz.

I ugodził ją spojrzeniem, a ona puściła jego nogę i upadła na bok. I tak leżała dość długo na deszczu, aż wybiegli słudzy i wnieśli ją do środka.

Na placu targowym wieszano pewnego mordercę.

Żyrek zatrzymał się, aby popatrzeć na egzekucję, a kiedy nieszczęśnik zawisł na sznurze, Żyrek pobladał, choć nikt tego nie widział, bo wszyscy bali się spojrzeć na jego twarz.

Lecz kiedy tak stał, ktoś wymówił jego imię za jego plecami, choć wymówił je z błędem. Czarnoksiężnik obrócił się szybko, ale nikogo nie było, nikogo, kto mógłby go nazwać Żyremem.

2

Kilka lat wcześniej - więcej niż pięć, mniej niż dziesięć - Żyrem obudził się w dolinie śmierci, pod drzewem z ułamaną gałęzią, ze sznurem na szyi, za pomocą którego chciał się powiesić, gdy inne środki zawiodły. Deszcz wciąż padał, ale musiało upłynąć kilka dni i nocy odkąd tam przyszedł. Leżał w deszczu, przypominając sobie mgliście cień, który dotknął jego czoła i przyniósł mu ukojenie w postaci niby - śmierci, jedyne rodzaju śmierci, jaki mógł go spotkać przez stulecia - nieświadomości.

Żyrem chciał umrzeć, lecz śmierć nie nadchodziła. Żyrem pragnął służyć Panu Nocy, Ażrarnowi, Księżciu Demonów, lecz został odrzucony. Natura Żyrema, jak woda melancholii, pociągnęła go w głąbię. Nie miał już niczego, nie miał pragnienia dobra, nie miał nadziei, dumy, pozbawiono go nawet owej ludzkiej zemsty nad losem, możliwości odebrania sobie życia. Straszny los przypadł mu w udziale: chciał skończyć ze sobą, a nie mógł zginąć.

W końcu powstał, bez celu, i usiadł na kamieniu nad jadowitą rzeką. Tutaj przypomniał sobie wreszcie, że miał towarzysza, Simmu, który stał się dla niego kobietą. Wspomnił, jak Simmu go śledziła, wspomnił, jak tańczyła, zniewalając jednorożce mocą czaru Eszwa, zniewalając i jego. Rozkosz, jaką mu dała, pogłębiła w nim poczucie wstydu, poniżenia i rozpacz. I oto teraz znowu zatęsknił za jej ciałem.

Lecz Simmu - dziewczyna już go nie pragnęła. Odeszła. Kiedy po długim czasie powędrował w górę rzeki, a stamtąd powłókł się znowu ku niczyjej czarnej krainie, do tego samego słonego jeziora, nad którym przebywali, on i Simmu, płonąc zielonym ogniem pożądania, nie odnalazł ani jej, ani żadnego po niej śladu.

Urna deszczu wyschła i niebo pojaśniało. Zapadł zmierzch, słone jezioro lśniło niesamowitym blaskiem w międzyświecie wieczoru. Żyrem przechadzał się tu i tam, rozmyślając o owym starcu, czarnoksiężniku, który odrzucił jego służbę z powodu Ażrarna, i który przybliżał się coraz bardziej do świetlanowłosej Simmu, podczas gdy ona zdawała się roztopiać w kobiecości o wiele słodszej, o wiele

bardziej dogłębnej i dzikiej, niż ta, w którą przyoblekła się dla Żyrema.

Świątobliwi mężowie z pustyni świadomie wpoili mu lęk przed samym sobą i przed radością; święci kapłani z żółtej świątyni mimowolnie nauczyli go szydzić z bogów. Ludzkość ugruntowała w nim niewiarę. Ażrarn odepchnął go od siebie, Pan Śmierć go unikał. Odarty był ze wszystkiego, a jednak Simmu mogła wzbudzić w nim, raz jeszcze, miłość. I o tej porze, o tej godzinie, miłość mogła ostatecznie wystarczyć, aby powstrzymać krwawienie jego duszy. Lecz Simmu - młodzieniec lub dziewczyna - odszedł lub odeszła, wyrzekając się Żyrema, a w każdym razie na to wyglądało. (Skąd mógł wiedzieć o łzach, o pogrążeniu w smutku, o poddaniu się fali melancholii aż do końca, tak jak potrafią poddać się melancholii tylko Eszwa? Skąd miał wiedzieć o ciemności i o Ażrarnie wynurzającym się z ciemności, aby rzucić na Simmu zaklęcie zapomnienia? I o tym, że mimo tego zaklęcia Simmu wciąż mgliście pamiętał, że miał towarzysza, częśćkę samego siebie?)

Noc rozsunęła swą czerń podobną czerni w nim samym. Wędrował przez niczyją krainę, bez celu i bez określonego kierunku, a jego umysł był kopcem pyłu.

Wędrował tak całymi miesiącami, omijając wioski, kiedy mógł je omijać, głodując, choć nie musiał głodować, całkowicie na wszystko obojętny. Tylko z przyzwyczajenia zrywał jagody i wykopywał korzonki, aby się nimi posilić. Czasami tropiło go jakieś dzikie zwierzę, ale wnet umykało, nie mogąc go rozszarpać. Niekiedy spotykał ludzi. W pewnej wiosce, sto mil od niczyjej krainy, wzięto go za kogoś, kim był, za kapłana. Przyszły do niego kobiety, jedna trzymała w ramionach chore dziecko, ale on odszedł od nich ze wstrętem, a kiedy zrozpaczona matka pobiegła za nim, uderzył ją. Było to jego pierwsze otwarte spotkanie z okrucieństwem, które w nim rosło. Dało mu poczucie, że znowu żyje, jak kiedyś dało mu to współczucie wobec chorych.

Żyrem prawie nie postrzegał zmian w krajobrazie. Pogoda, dzień i noc, wzgórze i równiny były dla niego jednakowo pozbawione sensu. Mógł równie dobrze siedzieć na ziemi w jednym miejscu. Lecz skoro aktywna natura młodości jeszcze nie została w nim zduszona, szedł instynktownie jak Simmu, na sposób Eszwa. Aż pewnego poranka, o wschodzie słońca, w puszczy o wysokim i gęstym poszyciu, powstał

spomiędzy paproci, gdzie rzucił się poprzedniej nocy czując słabość, i ujrzał mężczyznę siedzącego w pobliżu.

Mężczyzna był skromnie ubrany, w sposób każący domyślać się w nim kapłana. Jego nieruchoma twarz wyrażała spokój, ufność i niczym nie zakłóconą pogodę ducha.

- Dzień dobry, synu - powiedział kapłan, rozchylając różowe wargi dokładnie na tyle, na ile musiały się rozchylić, aby wyrzec te słowa.

Żyrem westchnął i położył się z powrotem na mchu, wciąż czując wyczerpanie.

Przepastne sklepienie puszczy nad jego głową, wysadzone kasetonami wczesnego świtu, wnet zaczęło koić mu oczy i serce. Mężczyzna mówił dalej.

- Jesteś w oplakanyam stanie, mój synu, choć po resztkach twej szaty poznaję, że mogła być kiedyś szatą kapłańską, a więc możesz być wędrownym kapłanem, jak ja. Czy tak jest?

- Tak nie jest - mruknął Żyrem, a pod powiekami zebrały mu się łzy, choć nie wiedział dlaczego.

Spokojny kapłan nie zwrócił na to uwagi.

- Myślę, synu, że powinienem ci towarzyszyć, a sądzę, że możesz odnieść z tego korzyść. Lepiej jednak będzie, jeśli najpierw powiem ci o pewnej sprawie. Jestem bardzo pobożnym człowiekiem, poświęciłem całe swe życie pobożnej gorliwości, zarówno w oddaniu czci bogom, jak i w pomaganiu ludziom. W nagrodę za to wiele lat temu spłynęło na mnie pewne błogosławieństwo, nie wiem, czy bezpośrednio od któregoś z bogów, czy też przez jakiegoś innego potężnego pośrednika. A błogosławieństwo to polega na tym, że nic i nikt nie może mi zrobić krzywdy. Piorun nie ugodzi w miejsce, w którym się znajduję, wzburzone morze nie zatopi łodzi, którą żegluję, dzikie zwierzę nie zachce mnie pożreć. Czyż to nie wspaniała rzecz? - Żyrem milczał, więc kapłan ciągnął dalej. - Gdziekolwiek odbywa się uczta, zawsze jestem mile widziany. Zapraszają mnie ludzie nawet z odległych krajów, bo wiedzą, że dopóki jestem w ich domu, są bezpieczni. Z tego samego powodu kapitanowie statków kłócą się o mnie, pragnąc mnie mieć na pokładzie, bo wiedzą, że ich statek nie zatoni. Niestety, jest pewna cena, którą można za to zapłacić. Jeśli znajduję się w pobliżu tylko jednej osoby, a zagrozi nam jakieś niebezpieczeństwo, osoba ta padnie jego ofiarą. Ale nie zniechęcaj się

tym, bo jestem pewien, że mogę ci pomóc w poszukiwaniu prawdziwego ukojenia twojej duszy.

- Nie, nie możesz - odpowiedział Żyrem, zerwał się na nogi i odszedł wielkimi krokami.

Kapłan natychmiast również powstał i pobiegł za nim.

- Nie jestem przyzwyczajony do takiego zachowania. Wiele możesz się ode mnie dowiedzieć.

- A ty dowiedz się ode mnie jednego - rzekł Żyrem, zatrzymując się i patrząc mu prosto w oczy. - Nie może mi się stać żadna krzywda i nie pragnę żadnego towarzystwa.

- Och, przestań! - zawołał kapłan. - Taka buta i brak uprzejmości nie przystoją twojemu wiekowi. Bogowie...

- Bogowie są martwi albo śpią.

- Niech ci niebo wybaczy! - wrzasnął kapłan, a spokój zniknął z jego twarzy. - Lecz biada ci, nieszczęsny, nierozumny człowieku, bo widzę, że niebo nie chce ci wybaczyć.

Te ostatnie słowa odnosiły się do wielkiego tygrysa z płonącymi ślepiami, który właśnie wybiegł z zarośli, zmierzając prosto ku nim.

Żyrem wybuchnął nagle szyderczym śmiechem.

- Będzie lepiej, jak sam uciekniesz, kapłanie - powiedział.

W tej samej chwili tygrys sprężył się i skoczył na niego. O cal lub dwa od piersi Żyrema coś odrzuciło bestię na bok, gdzie upadł i potoczył się w paprocie, skamląc.

Na ten widok kapłanowi opadła szczęka.

Tygrys zebrał się w sobie i podczołgał ponownie do Żyrema, bezsilnie drapiąc pazurami powietrze wokół niego, aż dał temu spokój i zajął się kapłanem. Nie ulegało wątpliwości, że postanowił pożreć jednego z nich, a choć kapłana chroniło błogosławieństwo jakiegoś niebiańskiego ducha, w pobliżu nie było innego mięsa. Dlatego tygrys postanowił zlekceważyć owo błogosławieństwo.

- Przyjmę mój los ze spokojem - oświadczył kapłan, gdy tygrys szykował się do skoku.

Niestety, nie było to całkiem możliwe i Żyrem pobiegł między drzewa, zatykając sobie uszy. Nieco później osunął się na ziemię pod jakimś drzewem, dygocąc z przerażenia i zanosząc się okropnym śmiechem szaleńca, który go ogarnął zamiast smutku czy żalu.

Wieczór już zapadł, gdy Żyrem wyszedł z lasu na obrzeżach jakiegoś miasteczka. A gdy tylko znalazł się na wiodącej przez

miasteczko drodze, pospieszył ku niemu tłum ludzi z lampionami i girlandami kwiatów.

- Przyjdź na naszą ucztę! - wołali. - Córka handlarza winem wychodzi za mąż, a w ubiegłym roku doświadczyliśmy trzęsienia ziemi. Zasiądź w jego domu i spraw, byśmy czuli się bezpieczni.

Żyrem zrozumiał, że rozeszła się pogłoska o błogosławionym kapłanie i wzięto go za niego. Próbował wyjaśnić nieporozumienie, lecz kiedy mówił, pojawiła się inna grupa ludzi.

- Przyjdź na naszą ucztę! - zawołali. - Syn handlarza zbożem wraca zza morza, ale boimy się trzęsienia ziemi, a ty sprawisz, że będziemy bezpieczni.

Obie grupy zaczęły się o niego kłócić i szybko doszło do bójk. Żyrem wykorzystał chwilę i opuściwszy ich przeszedł szybko przez miasteczko, a potem zagłębił się w ciemność nocy.

Okolo północy usłyszał szum morza i poczuł słoną woń. Wnet znalazł się na skraju wyniosłego cypla, a kiedy spojrzał w dół, ujrzał inne miasteczko jarzące się od świateł, a opodal przystań, w której drzemały okręty pod smukłym niebieskim księżycem. Poza przystanią rozciągał się ocean, pofałdowana, wiecznie niespokojna ciemność.

Piękno świata było dla Żyrema czymś nowym, odkrył je dzięki cierpieniu i samotności. Było to jedyne pocieszenie, zesłane mu, kiedy wszystkie inne rozkosze zdawały się już należeć do przeszłości. Usiadł więc na skraju wzniesienia ponad miasteczkiem, aby popatrzeć na morze, nieustannie zmieniające się i niezmiennie. Ogarnęło go wielkie uciszenie, tak że kiedy męska dłoń opadła na jego ramię, krzyknął i skoczył na nogi, gotów zabić tego, który wdarł się w jego spokój.

- Nie chciałem cię urazić, ojcze - powiedział szorstko mężczyzna, cofając się ze strachem. - Rozmawiałeś z bogami? Wybacz mi, myślałem, że się zdrzemnąłeś, więc powiedziałem sobie, ten świątobliwy człowiek nie powinien drzemać tutaj w zimną noc, kiedy czeka na niego wygodna kajuta na naszym okręcie.

Żyrem pojął, że znowu wzięto go za owego kapłana przynoszącego szczęście.

- Nie jestem tym, którego szukasz - powiedział.

- Ależ jesteś - upierał się mężczyzna. - I domyślam się, dlaczego nie chcesz się do tego przyznać. Na pewno mówili ci, że jesteśmy bandą piratów. Ale to nie tak. Może od czasu do czasu zbyt szybko

wyciągamy noże i gdzieśgdzie zyskaliśmy sobie złą opinię. W każdym razie potrzebujemy twojej drogocennej obecności.

- Człowiek, którego szukasz - rzekł Żyrem - został w puszczy pożarty przez tygrysa. Mogę przysiąc, że to prawda, bo byłem tego świadkiem.

- Ależ, ojcze, tobie chyba nie przystoi kłamać. A może związałeś się już z jakimś innym statkiem? Zapomnij o tych łotrach. Wypływamy o świcie, a ty razem z nami.

Żyrem zamierzał już odejść, gdy na szczyt skarpy wspięło się sześciu rosnących marynarzy, a po ich wyglądzie i zachowaniu łatwo można było poznać, że nie zawahają się przed użyciem przemocy, gdyby chciał stawić im opór. I choć nie mogli zrobić mu krzywdy, ich gotowość na wszystko, byle tylko sprowadzić go na pokład okrętu - a przecież wcale nie był tym, kogo szukali - wzbudziła w nim ponownie ową gorzką wesołość człowieka bliskiego szaleństwu. Zgodził się więc pójść z marynarzami, a ci poprowadzili go skrajem miasteczka do nadbrzeża, gdzie przycumowany był ich nie cieszący się dobrą sławą okręt.

- Nic dobrego nie wyniknie z mojej obecności na pokładzie waszego okrętu - powiedział Żyrem marynarzom - ale i wy, jak miemam, nie zasługujecie na nic dobrego, więc wszystko dobrze się składa.

Marynarze wpełnęli go na pokład, a potem do kajuty i odeszli, mrucząc coś gniewnie pod nosem. Po jakimś czasie przyszedł pijany kapitan, który odnosił się do Żyrema bardzo uprzejmie, choć po wyjściu zamknął kajutę od zewnątrz. Kapitan również nazywał go „ojcem”, choć z całą pewnością był od niego trzykrotnie starszy.

Okręt opuścił przystań o wschodzie słońca, z Żyremem na pokładzie.

Żeglarze - niezależnie od tego, czy naprawdę byli piratami, czy nie - mieli szczególny powód, by pragnąć mniej lub bardziej nadprzyrodzonej opieki. Morze było w tych okolicach spokojne, burze zdarzały się tylko w okresach zmian pór roku. Jednakże po dwu lub trzech dniach żeglugi na wschód z wody wyłonił się pas ostrych skał, na których roztrzaskał się już niejeden okręt. Była to nieco tajemnicza sprawa, bo skały widać było z daleka i nawigacja między nimi nie wydawała się trudna, chyba że we mgle. A jednak ci rozbitkowie, którzy zdołali dopłynąć do brzegu, opowiadali zawsze o mgłach i

oślepiających migotaniach, o zwodniczych światełkach i nieludzkich głosach, a także o dźwiękach dzwonów dobywających się z głębin oceanu.

Pierwszego dnia podróży Żyrem siedział zamknięty w swojej kajucie, podczas gdy z zewnątrz dochodziły odgłosy chaotycznej i najwidoczniej nie bardzo skutecznej krzątaniny, nie mówiąc już o kilku bijatykach i chłostach. Pierwszej nocy, ufni w swój żywy talizman szczęścia, jakim był „kapłan”, marynarze oddali się pijatyce, co doprowadziło do kolejnych bójek. Drugiego dnia dyscyplina na pokładzie całkowicie się rozprzegła, a drugiej nocy cała załoga piła już na umór, nie wyłączając kapitana. Ten ostatni zjawił się w kajucie Żyrema, błagając go, by jako kapłan wyszedł i wszystkich pobłogosławił.

- Och, bardzo dziękuję za tę zaszczytną propozycję - odrzekł Żyrem - ale bogowie pobłogosławili już twojej załodze dostatecznie, dając im ciebie za kapitana.

Kapitan z widocznym zadowoleniem przyjął to pochlebstwo i zaczął się bawić włosami Żyrema, lecz ten odtrącił jego rękę. Kapitan wygłosił dość wyszukane przeprosiny.

- To owa niezwykła czerń twoich włosów tak mnie fascynuje - wyjaśnił.

Żyrem obrzucił go przekleństwami, pamiętając o prześladowaniach, jakich padł ofiarą z powodu koloru włosów, który ludziom kojarzył się wyłącznie z demonami; teraz zaś wydało mu się, że włosy zaprowadziły go na drogę do piekła. I to do piekła, które nie chciało go przyjąć.

Kapitan przyjął spokojnie jego wybuch, najwyraźniej nie widząc niczego niezwykłego w przeklinającym kapłanie. Wkrótce zapadł w pijacką drzemkę, czkając głośno od czasu do czasu. Żyrem nie mógł zasnąć, choć ta cuchnąca kajuta, pijana załoga i cały okręt nie wzbudzały w nim najmniejszego zainteresowania. Nie czuł mdłości, gdy okręt kołysał się monotonnie na niskiej fali, czuł się zagubiony, przygnębiony i odrętwiały.

Nadszedł świt, rozpoczął się trzeci dzień żeglugi.

W południe dostrzeżono poszarpane skały, a w godzinę później okręt zaczął lawirować między nimi. Wnet jednak niebo zaćmiło się, nie chmurami, lecz czymś w rodzaju gęstej mgły, jakby między niebem a ziemią zawisła pokrywa z przydymionego szkła. Ściemniło

się, znad oceanu podniosły się lawendowe opary. Słońce zawisło w tej mgle jak wielkie srebrne widmo, znikło morze, a nawet czubki masztów. Kapitan dał rozkaz rzucenia kotwicy, chcąc przeczekać mgłę. Wciąż był pełen otuchy, bo przecież miał na pokładzie błogosławionego kapłana. Żagle zwisły ciężko, nastąpiła martwa cisza.

- Posłuchaj, co to za hałas? - zawołał nagle jeden z marynarzy.

- Pewnie kotwica zaczepiła o skałę.

Trzech majtków wychyliło się przez burtę, aby popatrzeć i po chwili wszyscy trzej z wrzaskiem uciekli na środek pokładu.

- W morzu jest potwór!

- Jest zielony, ale ma kształt kobiety!

- Włosy ma jak wodorosty, a usta jak z malachitu. Potrząsa łańcuchem i szczyrzy na nas zęby.

- To w połowie kobieta, w połowie szara ryba! Wywołano kapitana. Ten wstąpił po Żyrema i razem wyszli na pokład.

- Wiecie przecież, że nic złego nie może się nam przydarzyć, bo mamy tego kapłana na pokładzie.

Marynarze czepiali się łachmanów Żyrema, całowali go po stopach. Żyrem wpatrywał się ponad ich głowami w mgłę, oczekując nadejścia przeznaczenia, obojętny wobec losu załogi i własnego.

Lawendowa mgła spowiła teraz okręt od dziobu po burtę. Mroczną zieleń zaczęły przebijać blade, fosforyzujące światełka, migocące to tu, to tam. A potem z głębin dał się słyszeć przytłumiony łoskot.

- Zakłęty dzwon - jęczeli przerażeni marynarze.

- Cokolwiek to jest - rzekł kapitan, pociągnawszy zdrowo ze skórzanej butli - nic się nam nie stanie.

Gdy tylko wyrzekł te słowa, huknął grom i piorun ugodził w pokład, sypiąc iskrami.

- Nie! - ryknął kapitan, wymachując rękami i wskazując niebiosom Żyrema. - Spójrzcie, potężni bogowie, mamy tu błogosławionego... nie możecie zrobić nam krzywdy...

Drugi piorun ugodził samego kapitana, jakby w odpowiedzi. Żyremowi, rzecz jasna, nic się nie stało. Marynarze zawyli ze strachu, dzwon zawodził głucho w głębinach, światełka migotały, zapalając się i gasnąc.

- Ratuj nas! - wołali zrozpaczeni marynarze do Żyrema.

- Ratujcie się sami - odpowiedział Żyrem, czując, jak jego naturalna odraza do ludzi nasycza się okrucieństwem.

Ogarnięta paniką załoga postanowiła podnieść kotwicę i obrócić okręt o sto osiemdziesiąt stopni, aby wyrwać się z tego przeklętego miejsca. Żyrem stał przy prawej burcie, milczący, pochmurny i obojętny, jak symbol samego przeznaczenia.

Wciągnięto kotwicę. Załoga naparła na ster i wiosła, usiłując obrócić okręt. Nagle, z przeraźliwym trzaskiem, dziób uderzył w skałę. Na pokład wdarła się spieniona woda. Okręt zadygotał i zaczął się rozpadać. Puszczaly stalowe klamry, pękło poszycie. Ocean natychmiast wypełniał pustkę po drewnie i żelazie, wlewał się do otwartych ust. Maszty zwały się z hukiem, pokład pokryła spieniona, wirująca woda, z bulgotem wsysana przez ładownie.

- Czy i wy nie możecie mi nic zrobić? - cicho zapytał Żyrem bałwanów uderzających w jego ciało.

Ogarnęło go niezwykle uniesienie, przerażenie zmieszane z nadzieją śmierci.

Wielka fala zmyła Żyrema do morza, razem z całą załogą.

Niewypowiedziany koszmar: poczucie duszenia się, uwięzienia, ślepoty.

Woda spętała go, omotała. Zielonawa parząca czerń przydusiła mu powieki, wokół szyi zaciskała się pętla z jego włosów, łachmany i wodorosty omotały ręce i nogi wir wciągał coraz głębiej. Chciał odetchnąć i słony płyn wypełnił gardło i płuca. Tak, morze, nieczułe na ziemskie czary i zaklęcia, morze mogło mu w końcu przynieść błogosławieństwo śmierci.

Żyrem opadał na dno oceanu, nie czując bólu, wypełniając się cały jakąś rzewną rozkoszą. Jego myśli błąkały się w królestwie czystych abstrakcji. Postrzegał niejasno wokół siebie innych ludzi, którzy opadli wraz z nim, wierzgając i wrzeszcząc bezgłośnie, z oczami w słup, z czerniejącymi twarzami, z warkoczami świetlistych bąbelków, które unosiły się ponad falującymi włosami.

Wir spowolniał i złagodniał. Żyrem uniósł leniwie głowę, chcąc ujrzeć brylanty swojego ostatniego oddechu. Nie dostrzegł jednak nad sobą pęcherzyków powietrza.

Wciąż opadał w dół, wciąż zachowywał świadomość. I pojął, że tylko on jeszcze żyje, a wokół niego opadają martwe ciała marynarzy z upiornie wytrzeszczonymi oczami i wydętymi policzkami. Tak,

morze wtargnęło do jego płuc, ale z płynnego żywiołu w jakiś sposób wydestylowało się dość tlenu, by podtrzymać w nim życie. Oddychał jak ryba i z równą jak ryba swobodą. Nie mógł się utopić, nawet teraz. Nawet ocean był wobec niego bezsilny.

A potem ogarnął go dawny lęk, zmieszany z nowym - z lękiem o to, dokąd właściwie tak bezwolnie zmierza. Bo, zaiste, straszne były rejony, w które został rzucony, w które wciąż opadał.

Opadał jak kamień ciśnięty w otchłań, lecz szybkość opadania stopniowo malała, zamiast wzrastać. Przypominało to raczej unoszenie się w przestrzeń międzygwiazdną, tyle że tu wszystko było zielone, zieleńsze od samej zieloności, choć mroczne, pełne atramentowych strzępów i bardziej wyczuwalnych niż widocznych cieni. Wzdrygnął się, gdy nagle rozbłysła nieprzeliczona ławica srebrzystych rybek, które wybuchły w polu jego widzenia jak iskry z powierzchni morza lub z jego udręczonego mózgu...

Wkrótce jednak czarnozielona toń ugasiła iluminację nieba nad głową. Teraz zagłębił się w nieprzeniknionej, płynnej ciemności i tylko skórą i nerwami wyczuwał obecność granatowozielonych mieszkańców tej sfery, którzy krzatali się wokół niego, widząc go, choć sami pozostawali niewidzialni. A potem ponownie ciemność rozplynęła się w mglistej poświacie niewiadomego pochodzenia. Pojął, że musiał przebyć zdumiewającą odległość, a teraz wkraczał do jakiejś innej, bajecznej sfery. Kolumny skał wystrzelały wysoko, ponad nim, i ginęły pod nim, w otchłani, w którą wciąż opadał. Z początku nagie, obrośnięte tu i ówdzie skorupiakami, niżej zaczęły się załamywać łagodne tarasy, migocące żyłami minerałów i półszlachetnymi kamieniami, porośnięte gigantycznymi paprociami. Pośród tych wieżyc i ołtarzy podwodnych klifów spoczywały pozostałości zatopionych starożytnych miast, pylony i mury, na których czarne widma olbrzymich mięczaków przysiadły beczynnienie, jak stada wielkich kruków okupujących ruiny.

Żyrema przeniknął zimny dreszcz, o wiele zimniejszy od paralizującego chłodu oceanu. Powoli zanurzał się w podwodne lasy, które pieściły go wielopalczastymi ramionami, lecz ruiny ludzkich miast szydziły z niego: one też przetrwały w tym mrocznym więzieniu, o którym wszyscy zapomnieli.

Paprociowe nici omotały ciała żeglarzy.

Jakiś wielki, jedwabisty strzęp, z oczami jak ołowiane płomienie, spłynął w paprociową puszcę, musnął ciała topielców srebrnymi wargami, a potem wessał jedno w swój nagle wydęty brzuch.

Żyrem, kamień ciśnięty do morza, wciąż opadał w dół.

Minął już poziom paproci, ruin i wielkich mięczaków. Teraz osiągnął poziom, na którym ujawniło się wreszcie źródło słabej luminescencji, która uprzednio pozwalała mu widzieć. O wiele niżej, tak daleko w dole, jak mogłaby wyglądać ziemia widziana oczami ptaka, ujrzał jądro zimnego światła uwięzione pomiędzy splątanymi korzeniami podwodnych klifów.

Światło to przesycalo łagodnie toń wokół Żyrema, zmieniając stopniowo jej kolor od mętnej zieleni aż do barwy przejrzystego jadeitu, podczas gdy samo ocieplało się, przyjmując w końcu barwę róży, tyle że róży zielonej.

W skale osadzona była wachlarzowata muszla, większa od bram pałacu, i stąd właśnie biło mgliste światło, jakby płonęła za nią jakaś olbrzymia lampa.

Długie opadanie Żyrema na dno oceanu zbliżało się do końca. Osiadł między korzeniami skał, przed ową magiczną, promieniującą muszlą, spoglądając na nią z dziwnym, żalnym zdumieniem. Drobnym jak pył piasek wzbijał się srebrzystym obłokiem spod jego ciała, otulając go łagodnym wirem.

Spoczął na piaszczystym dnie.

Ocean naparł na jego ciało i kości straszliwym ciężarem, jakby chciał go wtłoczyć w skalisty rdzeń dna. W Żyremie zbuntowały się nagle wszystkie ludzkie zmysły, opuszczając go w wybuchu trudnej do zniesienia trwogi.

Lecz nawet wówczas, gdy stracił świadomość, nie przestawał oddychać na rybi sposób, podczas gdy do jego nieruchomego ciała podpływały jakieś małe stworzonka i zaczęły pożerać pozostałości jego łachmanów, nie mogąc uszczknąć samego ciała.

3

Ocknął się z niesamowitym poczuciem - rozkosznym i przerażającym zarazem - że całe jego ciało jest dotykane, głaskane, pieszczone, łaskotane, całowane, dokładnie badane. Poddał się gwałtownemu przyływowi zmysłowego podniecenia, ale pozostał bierny, otwierając jedynie oczy. Gdy to uczynił, natychmiast poczuł

szczególnej wibrację wody wokół siebie - prawie dźwięk, a jednak nie w pełni dźwięk.

Przeraził się tego, co zobaczył, bo przywodziło na myśl narkotyczną wizję. Zdumiał się również, a było to zdumienie szaleńca, ujawniające się w wybuchu śmiechu - bezgłośnego i bolesnego. Maleńkie rybnie istoty wciąż muskały mu ciało miękkimi wargami. Odarły go już z ubrania do naga, całkowicie bezbronny, a jednak nie bezbronny, bo piękność chroniła go w sposób, w jaki nie mogła go chronić żadna szata. Wyczuwał też, że owe istoty, które igrały z jego ciałem, które je tak rozkosznie pieściły, są zdolne rozerwać go na strzępy, a gdyby im się to nie udało, zdolne są do okazania nienawiści bardziej niszczycielskiej niż ich pazurki, kleszcze czy ostre zęby.

Było ich dziesięć, wszystkie żeńskiego rodzaju. Z ich smukłych torsów wyrastały pączki doskonałych dziewiczych piersi, zielone, z ciemniejszymi sutkami, a wargi miały jeszcze ciemniejsze, prawie czarne. Rozchylając je, ukazywały białe uzębienie pozbawione przerw, jak ostro zakończona taśma powleczone emalią. Ich nosy były prawie płaskie, nozdrza szerokie; nad delikatnie zarysowanymi szczękami widać było płatki skrzeli, nieustannie podnoszące się i opadające. Oczy, ze źrenicami w kształcie poziomej szczeliny, miały barwę szmaragdu, włosy - jadowitej zieleni pigwy. Zamiast nóg miały coś w rodzaju ogona rekina lub delfina, w którym osadzone były narządy płciowe, przypominające szare kwiaty. Te właśnie morskie dziewczęta pieściły go i drażniły, choć nie był w stanie poznać, czy robiły to ze zmysłowej żądzy, czy tylko z ciekawości. Ich spojrzenia były niewinne i bezlitosne; uśmiechały się.

Sięgnął wzrokiem nieco dalej, poza nie, i dostrzegł inne istoty, o skórze bursztynu i o czarnych ogonach waleni, omiatających powoli piasek. Te stworzenia były męskiego rodzaju - nie miały dziewczęcych piersi. W dłoniach trzymały długie metalowe ostrza, natomiast ostrza ich narządów płciowych schowane były głęboko, jak u ryb. Niektóre trzymały również maleńkie lampki z jakiegoś przezroczystego tworzywa, lecz ich światełka ginęły w kręgu żółtawego blasku promieniującego z wielkiej muszli.

Uniósł powoli jedną rękę, aby zobaczyć, jak na to zareagują.

Znowu usłyszał - albo wyczuł - ową dźwięczną wibrację wody. Pojął, że to rodzaj mowy i że morskie istoty wyrażają swoje

zaskoczenie. Zaskoczenie, najprawdopodobniej, z powodu faktu, że znalazł się aż tu, w ich królestwie, oraz że żyje i może się poruszać.

A potem wszystkie nagle czmychnęły, piasek zawirował i pojawiła się inna istota.

Uklękła przy nim, a mogła uklęknąć, ponieważ miała nogi i stopy. Nie była naga: miała na sobie zwiewną, wirującą przy każdym ruchu szatę, ściśniętą w kibici szerokim pasem z zimnych klejnotów, a na przedramionach bransolety z fosforyzującego elektrum. Jej biała skóra, bielsza od ludzkiej, była błyszcząca i gładka, a jeśli nawet miała lekki odcień zieloności, to ów odcień całkowicie nikł w jej ustach, które były różowoczerwone, w różowopomarańczowych krawędziach paznokci, w różowopomarańczowych wypukłościach jej krągłych piersi, przedzierających przez szatę. Oczy miała dziwnie ludzkie, biorąc pod uwagę resztę, duże, niebieskie, z połączanymi powiekami. Tylko włosy przypominały o morskim żywiole, który stanowił jej świat: były niebieskozielone. Dokładnie tej samej barwy, co oczy Żyrema.

Przez jakiś czas przyglądała mu się, a on odwzajemniał to spojrzenie, zmieszany, nieco przestraszony, nie całkiem pewny, czy ma przed sobą istotę śmiertelną. A potem, bez najmniejszego wstydu lub wahania, włożyła dłoń między jego lędźwia i spojrzała na niego wyzywająco, jakby chciała zobaczyć, jak on na to zareaguje.

W tym momencie nie czuł już ani śladu zmysłowego podniecenia, zresztą jej dotyk był niby dotyk samego morza, bezosobowy i obcy.

Usiadł i łagodnie, choć stanowczo, zdjął jej rękę ze swoich lędźwi.

Kiwnęła głową i sięgnęła do własnego lewego ucha, a potem pokazała Żyremowi błyszcząca perłę i zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje, wcisnęła mu ją do lewego ucha. I natychmiast poruszyła wargami, przemówiła, a on ją usłyszał - nie przez wodę, ale wewnątrz małżowiny, w którą włożyła mu perłę. Tyle że nie pojął z tego nic, bo przemówiła w języku, którego nigdy w życiu nie słyszał. Po chwili przestała mówić, nachyliła się do niego i czubkami palców lekko zabębniła w jego wargi. Zrozumiał: ma coś powiedzieć. Powiedział więc:

- Moja mowa i twoja, kobieto, nie pasują do siebie. Usłyszał własny głos, jak poprzednio jej, wewnątrz

głowy. Ona też go usłyszała i przez długą chwilę klęczała przy nim, milcząc, jakby się nad czymś zastanawiała. W końcu przemówiła ponownie, i teraz ją zrozumiał, bo mówiła jego językiem.

- Nie bądź wobec mnie nieuprzejmy. Mój ojciec jest tutaj królem.

- Mniej byłem wobec ciebie nieuprzejmy niż ty wobec mnie.

- Jeśli chodzi ci o to, że dotknęłam twojego członka, postąpiłam tak nie z braku uprzejmości, tylko z chęci upewnienia się, czy jesteś człowiekiem. Zwykle topielcy nie opadają aż tu, a jeśli nawet czasami to się zdarza, nie ma w nich życia. Ty jednak żyjesz i chyba jesteś mężczyzną. Ponieważ jednak w morzu spotyka się i takich, którzy wyglądają na śmiertelników, a raczej nimi nie są, musiałam to sprawdzić. A próba jest prosta, bo nie ma istot tak lękających się o swoje organy płciowe, jak ludzie.

- Skoro już to sprawdziłaś, powiedz mi, w jaki sposób możemy się słyszeć i porozumiewać?

- Za pomocą tej zaczarowanej perły. A jeśli chodzi o samą mowę, wiedz, że morze zamieszkuje wiele różnych ludów. Z konieczności musimy uczyć się wielu języków, a dla rozrywki uczymy się też języków ludzi. Jesteśmy bardzo pojętnymi uczniami.

- To już mi powiedziano.

- I uwierzyłeś dopiero wówczas, kiedy musiałeś uwierzyć.

- Proszę tylko o jedno - rzekł Żyrem. - O pomoc w wydostaniu się na powierzchnię

- Co będziesz tam robił, że tak ci pilno do powrotu? Żyrem odwrócił od niej wzrok. Serce zamieniło mu się w kamień.

- Nie do ciebie należy wybór - powiedziała morska dziewczyna. - Znajdujesz się w królestwie mojego ojca. On postanowi o twoim losie.

Żyrem poczuł przewrotne zadowolenie z utraty nadziei na szybką ucieczkę i z konieczności poddania się bezimiennej przyszłości.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Żyrem.

- A ja jestem księżniczka Hebaida, córka Hebhezura, króla Sabhelu.

Potem powiedziała, że do królewskiego miasta nie zaprowadzi go nagiego jak młodzieńca - walenia. W końcu jest człowiekiem, a one na pół zwierzętami. Opodal stał dziwny pojazd, który Żyrem spostrzegł dopiero teraz i z którego przyniesiono mu szatę - jakby aksamitną, ale nie aksamitną.

- Powiedz mi, księżniczko, czemu tak troszczysz się o mnie, człowieka? - zapytał. - Nie należę do twojego plemienia.

- Pochodzimy od ludzi - odrzekła Hebaida. - Jak sam zobaczysz, pod wieloma względami jesteśmy ludźmi. Tyle że bardziej od was pomysłowymi i przebiegłymi.

Poleciła mu wejść do pojazdu, który miał kształt zielonozłotej ryby. Usiadła w jej pysku, a jemu kazała zająć miejsce obok siebie. Młodzieńcy - walenie unieśli cienisty woal, który ukrywał dotąd zaprzęg - ławicę małych złotych rybek z jedwabnymi wędzidłami w pyszczkach, ujętą w jedwabną sieć, której końce przymocowane były do pojazdu. Hebaida kierowała ruchem tych stworzonek szarpiąc lekko ową siecią, natomiast nie musiała ich poganiać, bo po zdjęciu woalu cała ławica natychmiast pomknęła naprzód, ze strachu przed rozwartym pyskiem zielonozłotego potwora za nimi, zapewne przekonana, że to drapieжник, który zamierza je pożreć. Rybki mknęły naprzód dopóty, dopóki towarzyszący im młodzieńcy - walenie nie zarzucili na nie woalu, wówczas nieruchomiały, sądząc, że są bezpieczne, i zaczynały żerować lub zapadały w sen, a kiedy woal ponownie unoszono, rzucały się do panicznej ucieczki. Żyrem poznał po tym, że lud morza jest nieczuły i okrutny dla zwierząt, a więc zapewne i dla ludzi.

Hebaida wysłała wojowników do wyższych poziomów oceanu, na poszukiwanie drogocennych przedmiotów z zatopionego okrętu. Prawda była bowiem taka: to oni, za pomocą zaklęć, otoczyli okręt mgłą i miotali nań gromy, by rozbił się na skałach. Wówczas z miasta przyplłynęła księżniczka ze swoją świtą, by odnaleźć skarby z zatopionego okrętu, uważając to zajęcie za znakomitą rozrywkę. Nie znalazła skarbów, znalazła Żyrema. Jeszcze lepszą rozrywkę?

Po krótkiej przejażdżce, która była chyba demonstracją podwodnego pojazdu, zatrzymali się ponownie przed jaśniejącą muszlą. Jedna z dziewcząt - delfinów dotknęła jej złotą różdżką. Muszla złożyła się jak wachlarz, a ławica złotych rybek pociągnęła pojazd do wnętrza skały.

4

Hebaida powiedziała mu, że mieszkańcy morza są potężnymi czarodziejami. Zaiste, było to prawdą.

Sztuczne słońce płonęło nad miastem Sabhel, udzielając mu ciepła, światła i barwy. Była to kula z magicznego szkła, pełna

żywych, cudownych ogni. Trzydzieści srebrnych łańcuchów łączyło ją z klifem otaczającym miasto, a w jej blasku woda przybierała zielonożółtą kanarkową barwę.

Ryby jak opale, rubiny i jadeity szybowały po niebie Sabhelu, wygrzewając się w promieniach szklanego słońca. Niezwykłe rośliny, przypominające palmy, olbrzymie tamaryszki i rozłożyste cedry wyciągały gałęzie ku ciepłu i światłu. Ich grube łodygi oplatały wodorosty, tu i ówdzie pokryte rozchylającymi się i zamykającymi kielichami egzotycznych kwiatów. Czerwone orchidee płonęły na piasku, wabiąc ryby, które zawisły nad nimi nieruchomo, jakby odurzone.

Miasto Sabhel przypominało nieco ziemskie miasta, ale jakże było bajkowe! Gigantyczne wieże, pagody i kopuły z polerowanego czerwonego koralu miały z piętnaście pięter wysokości, albo więcej, wystrzelając pośród tarasów, bram i kolumnad z zadziwiającą lekkością, zwielokrotnianą przez niezliczone okna i kraty wysadzone turkusami. Tylko schodów nigdzie nie było, bo nikt nie potrzebował, ponieważ mógł swobodnie przemieszczać się w górę i w dół w wodzie - powietrzu.

Powóz księżniczki Hebaidy mknął wodną aleją pomiędzy wierzchołkami wieżyc i ukwieconym kobiercem dna. Na innych poziomach, wyżej i niżej, pomykały podobne pojazdy ściągające swoje wiecznie przerażone zaprzęgi.

Pałac króla Habhezura też był zbudowany z polerowanego szkarłatnego koralu, lecz ozdobiony złotymi łuskami, wykutymi, jak mówiono, ze złota pochodzącego z dziesięciu tysięcy zatopionych okrętów. Portyk pałacu podtrzymywał rząd kryształowych kolumn wysadzanych podwodnymi skamielinami, muszlami o przedziwnych barwach i kształtach, konikami morskimi, fantastycznymi roślinami.

Pojazd wpłynął do wnętrza pałacu. Tu księżniczka zatrzymała zaprzęg za pomocą sieci i wędzideł i gestem poleciała swojej świcie, by zarzuciła nań woal i odprowadziła do stajni. Sama powiodła Żyrema do przestronnej komnaty bez sklepienia. Ze złotych rurek sączyły się pachnące barwniki o najróżniejszych kolorach, przesycając delikatnie wodę w komnacie barwnymi wzorami i rozkosznymi woniami. Przy jednej ze ścian wznosił się na czterech brązowych żółwiach wielki kryształowy zbiornik. W tym zaś zbiorniku zdumiony Żyrem ujrzał ptaki polatujące między roślinami i kwiatami suchego lądu.

Pęcherzyki wirujące w czterech rogach zbiornika i z sykiem ulatujące z pysków brązowych żółwi kazały się domyślać jakiejś aparatury destylującej powietrze z wody, zapewne w nieco podobny sposób, w jaki zdobywały tlen jego płuca i płuca księżniczki. Ptaki, uwięzione w wypełnionym powietrzem zbiorniku, fruwały tam niby ryby w sadzawce na powierzchni Ziemi.

Wszedł król Habhezur. Był jeszcze jednym dowodem na to, że jego lud, choć polował na ziemskie okręty, pochodził od ludzi, bo widać było w nim oznaki starości, a niegodziwość i okrucieństwo znaczyły się ostrymi liniami wokół ust. Miał skórę bardziej śniadą niż jego córka, włosy szaroniebieskie i cały obwieszony był zrabowanym złotem, złoto kapąło też z jego wspaniałych szat. Towarzyszyli mu niebieskowłosi dworzanie; kilku prowadziło na smyczach myśliwskie psy - smukłe błękitne ryby - miecze.

Hebaida powiedziała coś do ojca w języku Sabhelu. Było oczywiste, że musiała w jakiś sposób uprzedzić go o pojawieniu się tajemniczego przybysza.

- Błagałam ojca o łaskę dla ciebie - powiedziała przez perlę w uchu Żyrema.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, pani. A cóż takiego uczyniłem?

- Co? Jesteś tu, to wystarczy.

- Chętnie zmażę swoją winę, powracając tam, skąd przyszedłem.

- Nic nie mów. Powiedziałam im, że jesteś naszym bratem, bo możesz oddychać w wodzie jak my. Gdyby nie to, zabiliby cię natychmiast.

- Niech spróbują mnie zabić.

Nie potraktowała tych słów jako zwykłej przechwałki, choć tak uczyniłaby w podobnych okolicznościach każda ziemska kobieta. Szybko zwróciła się do ojca i najwyraźniej przedstawiła mu propozycję Żyrema jako wyzwanie. Król coś jej odpowiedział, a na to Hebaida wyciągnęła zza pasa mały sztylet. Wzięła Żyrema za rękę i spowolnionym ruchem spróbowała wbić w jego ramię ostrze, ale pękło na dwie części. Po raz pierwszy Żyrem poczuł w sobie nagły wybuch mocy i zuchwałej radości. Wyszczrzył zęby do podstarzałego króla i powiedział do Hebaidy:

- Wyjaśnij swojemu ojcu, że ja też jestem czarnoksiężnikiem.

- On o tym wie.

Wówczas przemówił król, w języku Żyrema, dowodząc, że dobrze rozumiał dotychczasową wymianę zdań między nimi.

- Choć znasz tylko słownictwo powierzchni Ziemi, wierzę, że jesteś naszym krewniakiem. Skoro jednak upierasz się, że jest inaczej, doszedłem do wniosku, że nie jesteś nam przyjazny. Okazuje się, że nie możemy cię zabić, ale możemy cię tu zatrzymać.

- Niech więc będzie moim więźniem, ojcze - powiedziała Hebaida. - Ja go znalazłam i według prawa do mnie należy. Zażądamy za niego okupu od naszych sąsiadów i w ten sposób dowiemy się, czyim jest krewniakiem. A do tego czasu będzie mi służył.

Król zaśmiał się na te słowa, a był to krótki śmiech, bo pod wodą śmiech sprawia ból i można sobie nań pozwolić jedynie przy wyjątkowych, rzadkich okazjach.

Czyń z nim, co ci się podoba - powiedział w języku Żyrema, aby i do niego to dotarło. - Niech ci służy, na stojąco lub na brzuchu, na co ci przyjdzie ochota.

Dworzanie też się zaśmiali, albo z żartu, albo po to, by sprawić królowi przyjemność swoim bólem. Hebaida spłonęła rumieńcem, podobnym do różowego dymu, który zasnuł jej policzki, szyję i spłynął niżej. Powiedziała jednak chłodno:

- Nie muszę być ci posłuszna we wszystkim, ojcze.

Hebaida mieszkała w turkusowych komnatach. Pośród nich był podwórzec z ogrodem, na którym przy posadzce tłoczyły się rzędami, jak grządki, spętane, osowiałe zielone rybki. Wysokie wodorosty dawały cień przed słońcem, a kiedy szklana kula przygasła (aby udawać „noc”) do bladości złotego księżyca, zapalano lampki z muszli.

Kiedy Hebaida wprowadziła tam Żyrema, jedna z zielonowłosych rybich dziewcząt zapalała właśnie owe lampki. Na piaszczystych alejkach stały harfy, których struny drgały miłą wibracją, gdy przechodzili między nimi. W klatce z orichalkum połyskiwała ośmiornica, ale odcięto jej worki z atramentową cieczą, więc nie mogła okazać swej naturalnej nienawiści.

- Nie zwracaj uwagi na żarty ojca - powiedziała Hebaida. - Jesteś moim jeńcem i zamierzam uzyskać za ciebie okup. Jeśli przyjdzie ci ochota, możesz zabawiać się do woli z tymi niewolnicami. Słyszałam, że mężczyźni bardzo je sobie chwalą, podniecają się ich ogonami. Ale to zdegradowana rasa - dodała - niema i tępa. Nasi przodkowie

wyhodowali je dla zabawy, pokrywając swoje własne kobiety samcami morskich zwierząt, rekinami, waleniami, delfinami, węzami i wielkimi rybami głębin.

- Nie pragnę tych półkobiet - rzekł Żyrem. - Muszę jednak wyznać, że wasze osiągnięcia wprawiają mnie w zakłopotanie. Jeżeli czegokolwiek pragnę, to nauczania się waszej magii.

- A nauczysz mnie swojej sztuczki? - zapytała. - Żeby nóż łamał się i na moim ciele?

- Oczywiście, nauczę - odpowiedział Żyrem.

- Kłamiesz.

- I ty również kłamiesz, ale na razie możemy na tym poprzestać.

Spojrzała na niego wyniośle. Lud morza, pozbawiony możliwości częstszego śmiechu, nie miał zbyt wielkiego poczucia humoru.

- Jest tu komnata, tuż przy ogrodzie, w której możesz spać - powiedziała.

- Nie uwięzisz mnie w klatce? - zapytał, patrząc na ośmiornicę.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła. Ale ciebie nie można uwięzić, skoro nie ulegasz żadnej sile.

Opuściła dziedziniec, a za nią wypłynęły jej służebnice, wdzięcznie wachlując ogonami.

W głębinach oceanu wszystkie ruchy miały pewien wdzięk, ale ona poruszała się z wyjątkową gracją. Żyrem przywykł już do żywiołu, w jakim przebywał, do nieustannego głaskania skóry przez wodę. Opuściło go przerażenie, pozostała ciekawość. Znalazł wreszcie jakiś cel, a nie był to cel błahy: zdobyć tajemnice magii Sabhelu. Hebaida pomoże mu ten cel osiągnąć. Powiedziały mu o tym jej oczy, które powstrzymywały w sobie to, czego oczy Simmu udzielały tak szczodrze. I kiedy pomyślał o jej wdziękach, prawie nie osłoniętych zwiewną szatą, poczuł przyływ odurzającej, domagającej się zaspokojenia żądz. Stare przewiny i stare niepokoje nie miały wstępu do tego niższego świata. Żyrem pozostawił za sobą potrzaskane szczątki rozbitego okrętu. Tak mu się przynajmniej wydawało. I w pewnej mierze tak było.

Minęło kilka dni, odliczanych rozjaśnieniem się i przygasaniem szklanego słońca. Żyrem przechadzał się po ogrodzie - dziedzińcu lub po korytarzach i tych komnatach księżniczki, które nie były przed nim zamknięte. Dziedziniec miał sklepienie z kryształowych

przezierników, które teraz zamknięto, aby nie mógł się tędy wydostać do miasta.

Przyniesiono mu bogate szaty. Przynoszono mu przedziwne potrawy, o dziwnym wyglądzie i dziwnym smaku, podawane również w dziwny sposób, bo na długich szpikulcach lub w zamkniętych naczyniach, aby nie mogły wypłynąć. Przyzwyczyił się do sączenia dziwnych win Sabhelu przez rurki z jadeitu i do krążenia po całym ogrodzie kawałków pieczonego rybiego mięsa, którym nieopatrznie pozwolił ulecieć z naczyń.

Czasami spod jednej z kopuł dawał się słyszeć dźwięk mosiężnego dzwonu. Z początku nie mógł pojąć znaczenia tego dźwięku, później doszedł do wniosku, że w ten sposób straszono załogi przepływających nad nimi okrętów. Nie pytał o to ogoniastych niewolnic, bo zdawały się pozbawione mowy i mózgu i robiły tylko to, co im poleciła ich pani. Czasami przynosiły mu potrawy jeszcze mniej smaczne niż zwykle, innym razem z pewnością zatrute - poznawał to po ich okrutnych minach - ale on zjadał je bez najmniejszej szkody. Zresztą i tak musiał nieustannie połykać słoną wodę morską i nigdy mu nie zaszkodziła. Pewnego razu rzuciło się na niego kilku ogoniastych niewolników z wyraźnym zamiarem obezwładnienia go, może związania, ale poniosły porażkę. Innym razem wypuszczono z klatki wygłodniałą i rozwścieczoną ośmiornicę, która nie mogąc dosięgnąć Żyrema, udusiła kilka nieszczęsnych niewolników, a ich niedojedzone ciała długo gniły w sąsiedztwie komnaty Żyrema, zanim nie okiełznano ośmiornicy i nie uprzątnięto ohydnych szczątków. Jeszcze innym razem Żyrem obudził się w „nocy” na swoim łóżu, do którego przywiązywał się jedwabnymi taśmami, aby nie unieść się z niego przy gwałtowniejszym ruchu, i odkrył, że razem z nim przywiązane są do łóża trzy rybie niewolnice. Widząc, że się obudził, jeły igrać z jego ciałem w tak wymyślny sposób, że żądza przemieniła się w nieznośną mękę, bo nie mógł się zmusić, by spenetrować szary otwór płciowy jednej z nich, jakże obcy, choć przypominający narządy płciowe ssaków. Te i inne wydarzenia doprowadziły go do wniosku, że był poddawany różnym próbom, nieustannie obserwowany, najprawdopodobniej przez jego czasową właścicielkę.

Pewnego ranka, czyli w porze rozjaśnienia szklanej kuli, znalazł w swojej komnacie stolik założony księgami. Stronice ksiąg zrobiono

ze skóry białego rekina, litery stanowiły paski czarnego jedwabiu przyklejone do skóry jakąś przezroczystą żywicą, którą pokryte były całe stronice. Tylko dwa woluminy napisane były językami Ziemi, które Żyrem znał, nauczywszy się ich jako chłopiec w żółtej świątyni. Zaczął je czytać. Obie zawierały legendy odnoszące się do podmorskich królestw i doszedł do wniosku, że zostały skopiowane z ludzkich ksiąg w ich oryginalnych językach dla rozrywki wielojęzycznych mieszkańców Sabhelu. Nie mając nic lepszego do roboty, zagłębił się w lekturze. Łatwo więc wyobrazić sobie jego gniew, gdy następnego ranka zobaczył, że właśnie tych dwu ksiąg brakowało - zostały tylko, te których nie mógł odczytać.

Później, w chwilę po ucichnięciu mosiężnego dzwonu, do jego komnaty weszła postać spowita w czerń aż do kostek, bo kostki miała, a także dwie stopy.

- Księżniczka przysłała mnie tutaj, żebym nauczyła cię mowy Sabhelu - oznajmiła.

Żyrem nic nie powiedział, jako że magiczne perły pozwalające porozumiewać się pod wodą (teraz miał już po jednej w każdym uchu) zniekształcały głos i pozbawiały go wszelkich niuansów. Spostrzegł jednak, że rąbek czarnego woalu obciążony jest złotem, aby zwiewna tkanina nie unosiła się przy każdym ruchu, paznokcie białych stóp są różowe, a palce ozdobione pierścieniami. Poznał więc, że to nikt inny, tylko sama Hebaida, ufna w swoje przebranie.

Oczywiście szpiegowała go cały czas przez otwory w ścianach i przez powiększające szkła na wieżach. Pozwolił jej na tę grę i udał, że jej nie rozpoznaje.

Tak więc zaczęła się lekcja języka, a widząc, że Żyrem szybko się uczy, Hebaida przeciągała ją, aż dzwon zabrzmiał po raz drugi. Żyrem skorzystał ze sposobności i zapytał ją, co ten dźwięk oznacza.

- To Modlitwa Sabhelu - odpowiedziała zawoalowana księżniczka.

- Wezwanie do modlitwy?

- Ależ nie! Nie zawracamy sobie głowy osobistą modlitwą do bogów, którzy dawno temu wzgardzili naszym ludem. Choć więc bogów nie miłujemy, jednak ich szanujemy i dlatego rozbrzmiewa ten dzwon. Mówi on: nie zapomnieliśmy o niebiosach, choć niebiosy zapomniały o nas

- A czym bogowie tak was rozgniewali?

- Widzę, że nie wierzysz w istnienie bogów. To niemądre. Wiele stuleci temu moja rasa żyła na lądzie. Zapomniała o bogach nad sobą. Bogowie poczuli urazę i otworzyli olbrzymie zawory powstrzymujące deszcz. Deszcz padał przez cały rok. Rzeki i morza wylały. Cały świat został zatopiony aż do czterech krańców i prawie wszyscy ludzie wyginęli. Wszyscy, prócz magów. Niektórzy przetrwali w dziwnych łodziach, inni odkryli metodę egzystencjonowania pod wodą. Z tych ostatnich wywodzi się mój lud, który tak się zadomowił w podmorskich miastach, że postanowił ich nie opuszczać. Wyobrażasz sobie, jak głupio musieli czuć się bogowie? Od tej pory jesteśmy ludem morza, postrachem tych, co mieszkają na lądzie. Panujemy nad wodami i żaden czarownik, choćby nie wiem jak mądry, nie ma władzy nad naszym królestwem. Nawet Książę Demonów musi okazywać nam szacunek.

- Musi? - zdumiał się Żyrem.

- Musi.

Zawołowana „nieznana” pani odwiedzała go odtąd często. Nigdy nie dał poznać, że wie, kim jest, a ona przyzwyczaiła się do jego towarzystwa, ucząc go z wielką umiejętnością, a od czasu do czasu pozwalając sobie na drobne poufałości, takie jak pogładzenie jego włosów czy ściśnięcie dłoni. Prób więcej nie było. Wkrótce mógł już z nią rozmawiać dość płynnie w jej własnym języku, a ona przynosiła mu wiele różnych ksiąg swojego ludu i zabierała je dopiero wówczas, gdy je przeczytał. A jednak, choć zajęcia były fascynujące, nie dawały mu żadnej wiedzy o magii Sabhelu.

- Widzę, że twój umysł głodny jest wiedzy - powiedziała zawołowana Hebaida pewnego ranka. - Wydaje mi się, że bardzo był wygłodzony. Wyznaj mi jednak, Żyremie, czy naprawdę nie pochodzisz z mojego ludu? Masz bystry rozum i możesz żyć w morzu. Jakich jeszcze dowodów potrzeba?

- Może jestem waszym podrzutkiem? - skłamał Żyrem uprzejmie.

Oduczył się już wybuchać śmiechem, bo gdyby nie to, na pewno by się roześmiał, myśląc o pustyni, gdzie się urodził, wiele mil od morza.

- To możliwe. Masz więc prawo poznać nasze obyczaje.

- I waszą magię. Wyraziłem już kiedyś pragnienie poznania waszych umiejętności w tym zakresie. Prosiłem o to twoją panią, Hebaidę.

Och, na pewno już nie pamięta, bo jest wyjątkowo głupia i zapomina o wszystkim.

Jej nieśmiałość i chęć schwywania go w pułapkę, kiedy w tak oczywisty sposób udawała kogoś innego, mogłaby irytować u kogoś innego, ale w niej miały pewien żartobliwy wdzięk, jakby kpiała z samej siebie. W ciągu dalszej rozmowy doszedł nawet do wniosku, że tak jest naprawdę, że uwypuklając pewne swoje wady, rzeczywiście wierzy, że je ma.

- Nie wyraziłem takiej opinii - mruknął.

- Nie? Będę wobec ciebie szczerą. Księżniczka dba tylko o własną przyjemność.

- Myślę, że znajduje przyjemność w obcowaniu ze mną.

Zawoalowana Hebaida nie potrafiła aż tak kłamać, żeby temu zaprzeczyć.

- Chyba masz rację. Ale jest płocha, kapryśna i niecierpliwa. A gdyby okazała ci swoje względy, na pewno nie byłoby to dla ciebie miłe. Jest taka tępa i brzydka.

- A więc muszę przyznać się do niewiedzy, bo uważałem ją za piękną.

Chwila milczenia.

- Tak? Z tymi włosami jak szmaty, z tymi wyłupiastymi oczami, krępą budową... nie, nie warto nawet na nią spojrzeć.

- Gdyby była teraz w pobliżu, trudno byłoby mi na nią nie patrzeć. Powiem ci prawdę, czekam z utęsknieniem na chwilę, kiedy znowu ją zobaczę.

Hebaida nie była w stanie opierać się dłużej.

- Możesz ją więc zobaczyć, i to zaraz, bo jest tutaj! Uniosła woal i odrzuciła go na bok, aż opadł, wirując, na grządki przerażonych rybek. Wyglądała uroczo, promieniując mieszaniną uległości, dumy i kobiecej zalotności. Nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu. Jak wiele osób o wyjątkowej sprawności intelektualnej pod pewnymi względami była naprawdę głupia, co sprawiało mu dziwną, przewrotną i prawie zmysłową rozkosz.

- Och, pani - rzekł cicho - zdumiałaś mnie. Czy to sprawiedliwe, tak bawić się moją niewiedzą?

- Nie - odpowiedziała Hebaida - ale sprawiedliwość nie należy do moich cnót. Lista moich wad, jak już mówiłam, jest naprawdę długa.

Żyrem podszedł do niej i zaczął całować jej czoło, wargi, szyję i posunąłby się niżej, gdyby nie powstrzymała go obiema rękami.

- Hebaida nie jest nagrodą za twoją pojętność w nauce - powiedziała, choć jej oczy nabrzmiały uległością.

- A jaka inna nagroda może być coś warta?

- Nauka magii ludu morza.

- Z pewnością nie jest to rzecz bez wartości.

- Ani bezpieczna. Starożytne prawa podmorskich miast zabraniają przekazywania naszej tajemnej wiedzy jakemukolwiek mieszkańcowi lądu. Dla ciebie mogę jednak zrobić wyjątek, bo widzę, że z całą pewnością jesteś naszym krewniakiem. A także dlatego, że mój ojciec, niezadowolony z tego, iż nikt nie zamierza zapłacić za ciebie okupu, przynagla mnie, bym z tobą skończyła. Chce się ciebie pozbyć.

- Nie można mnie związać lub zabić - rzekł Żyrem, rozchylając jej niebieskozielone włosy, włosy barwy jego oczu, i całując ją ponownie.

- Nie wiesz jednak, że w Sabhelu jest milion pułapek i sideł, które nie czynią krzywdy, lecz z których nie można się uwolnić. A potem może cię trzymać w jakimś ciemnym miejscu, bez pożywienia, bez niczego, co podtrzymałoby twoje życie, a ja nie śmiałabym cię uwolnić. Habhezur bywa straszny, gdy ogarnie go gniew.

A Więc nie miłość łączy cię z ojcem, lecz strach.

- Raczej obowiązek - odrzekła Hebaida, ale Żyrem nie dał temu wiary. - A teraz zabiorę cię do owego straszliwego miejsca, gdzie poznasz tajemną wiedzę Sabhelu.

5

Ukryte przejście za ukrytymi drzwiami w tajnym pomieszczeniu apartamentów Hebaidy. W dół, w atramentową ciemność, Hebaida przed nim, ich stopy nie dotykają żadnej posadzki, płyną przez atrament, potem kierują się ku bladawej poświacie. W końcu - podwójne drzwi z kutego złota, oświetlone widmowymi lampami wyłaniającymi się z mętnego półmroku. Wrota bez rygla lub zamka, dwa skrzydła umocowane razem pętlami węża czarnego jak oliwa, z wielkim płaskim łbem, na którym szklą się wypisane w języku sabhelu słowa: Kto przejdzie przeze mnie?

Hebaida podpłynęła do węża i włożyła palce między jego rozwarłe szczęki. Wąż, poczuwszy jej dotyk - albo smak - natychmiast ześliznął się z drzwi, których jedno skrzydło rozwarło się powoli.

- Wejdz pierwszy - powiedziała Hebaida.

Bez wahania przepłynął przez otwór, a ona wyjęła palce spomiędzy zębów potwora i wpłynęła do środka. Wrota zamknęły się same za nimi, a wąż oplótł je ponownie.

Za złotymi wrotami biegła prosta aleja wyznaczona granitowymi kolumnami opasanymi złotymi taśmami, z których zwieszały się podłużne lampy rzucające dziwne, chłodne światło. Hebaida powiodła Żyrema tą aleją ku przestronnej sali, również przesyconej blaskiem lamp.

Była to hala śmierci. Setki królów siedziało tu na tronach z zielonego brązu. Złote podnóżki podtrzymywały im stopy, złoto pokrywało ramiona i dłonie. Morze i żyjące w nim organizmy zamieniły ich ciała w posągi z koralu, czerwone, różowe i białe.

- Żyjemy długo, ale w końcu umieramy i tuż po zgonie ciała naszych królów przynoszone są tutaj. Zasiadają tu wszyscy władcy Sabhelu i będą tu zawsze zasiadać - powiedziała Hebaida, wiodąc go między tronami. - To nasz bezwzględny obowiązek, najświętszy obyczaj, który sprawia, że nasi królowie nigdy nie umierają całkowicie, lecz jednoczą się z samą substancją miasta. Nie odprawiamy innych obrządków pogrzebowych, bo takich nie znamy, odrzuciwszy patronat bogów.

Na końcu wielkiej hali wznosiła się następna przeszkoda, masywne drzwi z kamienia. Tutaj nie było żadnego strażnika, ale gdy Hebaida zbliżyła się do drzwi, zadudniły głucho jak odległy grzmot. Księżniczka ucałowała drzwi, a one otworzyły się powoli, znowu ujawniając ciemność.

Gdy tylko wpłynęli w ową ciemność, drzwi zamknęły się za nimi z głuchym łoskotem, który wprowadził wodę w wibrację, dającą się słyszeć jako stłumiony pomruk.

- Bez względu na wszystko, co teraz się wydarzy - powiedziała księżniczka - bez wahania podążaj za mną.

- Tak uczynię - odrzekł Żyrem.

W chwilę później znaleźli się w dżungli ociążonych, oślizgłych wodorostów, które ich oplótły, nie sprawiając bólu, ale czepiając się ich ciał z budzącą dreszcz lęku namiętnością. W głębi przeświecała

olbrzymia, potworna twarz, która krzywiła się i obnażała ostre zęby oblepione szlamem. Hebaida popłynęła ku niej i wnet znikła w rozwartych ustach. Żyrem bez wahania popłynął za nią, wstrzymując oddech, gdy ogarnął go obezwładniający, duszący smród. Lecz Hebaida mknęła przed nim jak strzała, a on nie pozostawał w tyle.

Był to zaledwie początek napawającej ohydą podróży, bo przepłynąwszy jamę ustną, skierowali się w dół, przez gardło, ku mrocznej, wrzącej bąbelkami otchłani żołądka, z której buchały cuchnące gazy. Lecz w tej samej chwili, gdy Żyrem poczuł, że dusi się i drętwieje, trujące wyziewy rozpląły się i przerażająca sceneria pierzchła jak zły sen. Wpłynęli do srebrzystej pieczary wypełnionej czystą, świetlistą wodą. Nie było tu nic prócz posągu z czerwonego metalu, prawie całkowicie skryształizowanego w zieleń grynszpanu.

Hebaida podpłynęła do posągu i położywszy dłonie na jego ramionach uniosła się na wysokość metalowych ust, w które dmuchnęła. Posąg natychmiast sam odetchnął głęboko, a z jego nozdrzy i uszu wydobyły się pęcherzyki powietrza. Grynszpanowe oczy poruszyły się, spoglądając to tu, to tam, a po chwili dał się słyszeć głos wypływający spomiędzy zielonych warg:

- Jestem twoim mentorem. Kto mnie posłucha, ten we mnie wejdzie i pozna mą mądrość.

Po tych słowach posąg rozszczepił się na dwoje od korony po rąbek szaty, ukazując puste wnętrze, wystarczająco obszerne, by zmieścił się tam człowiek.

- Nie lękaj się - powiedziała Hebaida. - Wejdz i poznaj mądrość. A jeśli jesteś tchórzem, możemy zawrócić.

Lecz Żyrem wstąpił do wnętrza posągu, nie bez obawy, lecz bez wahania. Wówczas posąg zamknął się ponownie, pogrążając go w całkowitej ciemności maleńkiego kawałka oceanu o kształcie człowieka.

Przez chwilę lub dwie Żyrem miał czas, by zdumieć się i przerazić. Potem utracił świadomość, gdy napała na niego tajemna wiedza tysiąca magów, cały geniusz Sabhelu zmagazynowany jak skarb w mózgu grynszpanowego posągu.

Tu rok stawał się sekundą. A jednak, w jakiś niepojęty sposób, pozostawał rokiem.

Wydało mu się, że widzi jakiś młodszy świat, którego góry dotykały nieba. Wydało mu się, że widzi potop, miażdżący wszystko,

zmywający góry i niebo, splukujący w swe odmęty ludzkość jak brudny szlam. Potem nastąpił sen, w którym wydało mu się, że zamieszkuje ciała innych ludzi, odczuwa ich ból i chwałę, zna ich najskrytsze niepokoje i ambicje.

Ich okrucieństwo i pycha drażyły w nim głębokie kanały, sięgając aż do jego własnego utajonego okrucieństwa i uśpionej pychy. Wydawało mu się, że za chwilę pęknie mu czaszka. Uprawiał cudotwórstwo, nekromancję, rozsiewał czary, zgubę i podziw, zawodził inkantacje, wzywał i ujarzmił żywioły. Palce mu trzeszczały. Zagłębiał się w grube księgi, pochylał nad pergaminami, sam cyzelował w marmurze i na piasku runy tajemnej mocy i cyfry przeznaczenia. Było to jak ogień, który go roztopiał, a on sam czuł się jak kształtowany tym ogniem odlew. Doświadczał gwałtownej przemiany ducha i serca, a może tylko odnajdował samego siebie. A odnajdował niegodziwość, ów mrok duszy, który czai się w duszy każdej istoty. I przywarł do niej, objął ją namiętnie, wystrzelił jak jedna prosta kolumna w rozwalonym domu, podczas gdy stopniowo wypełniały go tajemne pobudki tych niegodziwców, którzy żyli przed nim, a z nimi ich równie tajemna i niegodziwa wiedza i sztuka. Mieszał miłosne napoje, nakazem woli przenosił kamienie. Tysiące albo i więcej tych, którzy byli przed nim, oddawało mu wszystko to, co sami posiadli.

Zdarzało się, że w komorze posągu mózg niektórych osób nie wytrzymał szczodrości daru i wychodzili z niej jako szaleńcy albo natychmiast padali martwi. Lecz kiedy dwie połowy grynszpanowego posągu rozwarły się ponownie, aby go wypuścić, Żyrem wyszedł jako czarnoksiężnik.

Hebaida pobladła, kiedy go ujrzała. Nie obawiała się, że posąg - mentor zniszczy go w taki lub inny sposób, lecz nie spodziewała się tego, co w nim teraz dostrzegła. Było coś w jego twarzy, albo raczej poza nią, co nadawało mu zupełnie inny wygląd. Pokochała go i liczyła na jego wzajemność, a teraz wyczytała w jego twarzy ostrzeżenie, które powinno było ostudzić jej nadzieję, lecz nie ostudziło.

- Jakże się zmieniłeś - powiedziała cicho.

- Jak się zmieniłem. Twój lud okazuje mądrość, ukrywając tę wiedzę przed wszystkimi.

- Upłynęło wiele godzin.

- Zdradziłaś swoje miasto - rzekł Żyrem - bo gdybym tylko zapragnął, mógłbym je teraz osiąść.

- Nie - odpowiedziała spokojnie. - Nie jesteś jedynym czarnoksiężnikiem w Sabhelu.

Odwróciła się i popłynęła z powrotem przez pieczarę, a on popłynął za nią. Nie uśmiechał się. Wciąż spoglądał w siebie, zamyślony, chłodny, pełen utajonej mocy.

Tym razem nie napotkali po drodze żadnych iluzorycznych strażników. Wysokie wodorosty rozstały się przed nimi, kamienne drzwi same się rozwarły. W hali zmarłych monarchów koralowe postacie siedziały nieruchomo i obojętnie.

- Mogę roztrzaskać te święte relikwie Sabhelu, które mają dla was taką wartość.

Hebaida nic nie odpowiedziała, tylko popłynęła jeszcze szybciej.

Powrócili aleją między granitowymi kolumnami do złotych wrót. Wąż oplatał oba skrzydła - pierwszy i ostatni strażnik tajemnic Sabhelu.

- Widziałeś, co zrobiłam, teraz możesz to sam uczynić, aby otworzyć wrota - powiedziała Hebaida.

Lecz Żyrem zbliżył się do wrót i zdarł z nich węża. Potwór natychmiast nabrzmiał i urósł, piętrząc nad nimi olbrzymi płaski łeb z wyszczerzonymi kłami i rozżarzonymi ślepiami. Żyrem wyrzekł tylko jedno słowo, odpowiednie na taką okoliczność, a wąż rozpadł się na kawałki podobne do czarnych monet, które rozsypały się we wszystkie strony, ginąc w mroku poza mdłym światłem lamp. Tylko ślepia płonęły przez chwilę, ale i one zgasły.

Złote wrota rozwarły się leniwie.

- Tym czynem zasłużyłeś sobie na nienawiść Sabhelu - powiedziała Hebaida. - Czemu to zrobiłeś, wiedząc, że można tak łatwo przejść, nie uciekając się do przemocy?

- Aby poznać samego siebie - odrzekł Żyrem. - Takiego, jakim się stałem.

- Tajemna wiedza odurza jak wino, upiłeś się nią.

- Nie oczekuj, że szybko wytrzeźwieję. Przepłynęli przez mroczną wodę i powrócili do apartamentów Hebaidy ukrytym przejściem.

Księżniczka opuściła go natychmiast, a on jej nie zatrzymywał. Odnalazł swoją komnatę przy ogrodowym dziedzińcu i położył się,

aby znaleźć wytchnienie we śnie. Lecz sen nie przychodził. Skutki straszliwej lekcji wciąż wypełniały mu mózg bezładną i oślepiającą mieszaniną dźwięków, migotań i wibracji.

Miasto pociemniało, słońce zbladło, zamieniając się w księżyc. Żyrem wstał i napił się sabhelańskiego wina o rybiej barwie. Potem udał się do biblioteki księżniczki, gdzie brał do ręki różne księgi i wertował ich stronice, stwierdzając, że zna teraz o wiele więcej języków, nie tylko język Sabhelu. Miał nawet jakieś mgliste wrażenie, że pewne teksty on sam niegdyś dyktował, a może raczej dyktowali je żyjący tu przed nim magowie, których wspomnienia skradł wewnątrz zielonego posągu. Takie intymne skojarzenia wnet go jednak opuściły. Pozostała tylko ich buta, pozostała tylko okrutna nieczułość ludu morza.

Wiedział, że Hebaida na niego czeka i że tym razem nie powstrzymają go żadne zamki w drzwiach. Nie zamknęła się zresztą przed nim, nawet w sypialni, po części z miłości, po części z lęku przed urażeniem swej dumy, bo wiedziała, że i tak wejdzie, jeśli będzie chciał.

Hebaida miętoszyła nerwowo palcami długi woal ze złotej tkaniny. Kiedy zbliżył się niej, powiedziała:

- Pokochałam cię od chwili, w której na ciebie spojrzałam. Nie spocznę jednak z tobą w łóżu. Teraz możesz już uciec z miasta. I radzę ci, Żyremie, uczynić to jak najszybciej.

- Jeszcze jeden woal? - zapytał, wyrywając jej z rąk złoty muślin.
- Dotąd widywałam cię w czarnym. Ale nie zwiodłaś mnie, a twoje zawołowane słowa też nie osłaniają prawdy. Boisz się mnie?

- Teraz jesteś podobny mojemu ojcu, podobny wszystkim, którzy wyszli z posągu magami. Nie sądziłam, że tak się zmienisz. Tak, boję się ciebie, ale to moja miłość błaga, abyś uciekł z Sabhelu.

- Wolałbym, aby twoja miłość błagała mnie o co innego.

I przyciągnął ją do siebie, i owinął ją i siebie w pasie złotym woalem, i związał kilka razy jego końce, tak że nawet fale nie mogłyby ich rozdzielić. A potem odsunął ją nieco od siebie jedną ręką, a drugą zdarł z jej piersi ozdobiony klejnotami stanik, a z bioder cienki jak pajęczyna jedwab.

Zamknęła oczy, lecz wnet ogarnęła ją dzika namiętność. Jeszcze gwałtowniej niż on zdarła mu szatę z ramion i przywarła do niego mocno, na przemian wykrzykując cicho swą miłość i kłając go

namiętnie, zapomniawszy o lęku i o wszystkim innym prócz jego ciała.

Zaczęli oboje powoli wirować wokół siebie w zielonej toni komnaty, powoli, jakby bez celu i bez udziału woli, aż ona uchwyciła obiema rękami słupek podtrzymujący baldachim nad łóżem i oplótszy Żyrema nogami przesunęła swoimi wąskimi stopami po jego plecach, od karku po pośladki. Uwięziony w tym rozkoszonym pierścieniu wdarł się w nią głęboko, światło zamieniło się w czerwień, a cisza w dźwięk. W głębinach oceanu śmiech przynosił ból i palenie w płucach, lecz miłość w głębinach była jak pętla zaciskająca się kochankom na gardłach, a jednak, w jakiś anormalny sposób, zwielokrotniało to ich rozkosz.

Serca obojga łomotały, oczy im pociemniały, ujrzeli kaskady srebrzystych gwiazd, jakby galaktyki rodziły się z namiętnych ruchów bioder, przywodzących na myśl ruch żarna, w którym zamiast miażdżenia ziarna krzesze się ogień. I kiedy tak galopowali oboje poprzez fale żaru i doznań, w jeszcze bardziej dławiącą ślepotę, w jeszcze bardziej jaskrawy ogień, poczuli najpierw delikatną pieśczość śmierci, a potem jej gwałtowny uścisk, gdy miażdżyli się nawzajem. Ogień wystrzelił nagle. Kobieta zapłonęła, jej ciało zamieniło się w wir, jej palce wydzierały ze słupka klejnoty i kruche minerały. Żyrem otrząsnął ze swych oczu krwistą ciemność, aby uchwycić spojrzeniem twarz Hebaidy, prawie tak cudowną, oszałałą i straszną jak zakłęcie, jak nikczemność, zanim płomień przeskoczył z chrustu jej ciała w jego ciało. Zdawało się, że sklepienie zawali się na nich. Płomienie wypaliły się aż do czerni przypominającej omdlenie. W tej czerni, gdyby tylko zechciał, mógłby sobie przypomnieć inny czas, kiedy poznał, że miłość nie wystarcza, tak jak wiedział to teraz.

Jakby przez gęstą mgłę, poprzez pustkę, jaka ich teraz zaczęła rozdzielać, dotarła do nich wibracja rozwartych gwałtownym ruchem drzwi, a potem silne kołysanie wody wywołane tym ruchem.

Słowa króla Habhezura, kiedy oddając jej Żyrema, zachęcał ją, by zabawiła się nim ochoczo, były tylko grubiańskim żartem. Pozwolił sobie na ten żart tylko dlatego, że nie wiedział, by Hebaida na to się zdobyła. Teraz wtargnął rozwścieczony do komnaty, uznając, że przyłapanie córki na gorącym uczynku jest wystarczającym powodem, by pogwałcić jej poczucie wolności.

- Żeby królewska córka zabawiała się w taki sposób z nędznym śmieciem nie pochodzącym z naszego ludu, z wyrzutkiem jakiejś przeklętej i bezimiennej rasy...

Hebaida, oswobodziwszy Żyrema i siebie, owinęła się złotym woalem, z gniewem i wstydem osłaniając się przed spojrzeniem króla, towarzyszących mu żołnierzy - rekinów i dwu lub trzech dworzan zagląających ciekawie przez ich ramiona.

- Zrobiłam tylko to, do czego mnie zachęcałeś, ojcze.

- O wiele więcej, głupia i beczelna dziewczyno. Ten człowiek...

- Tego człowieka - przerwała mu - powinieneś się strzec. On nie tylko jest nietykalny. Posiadał wiedzę równą twojej.

Twarz króla zrobiła się straszna, jego zła natura wypłynęła tuż pod skórę, jak krew.

- Co uczyniłaś, plugawa córko?

- Zawiodła mnie do grynszpanowego posągu - powiedział Żyrem. - Nauczył mnie wszystkiego.

Zaledwie przebrzmiały te słowa, gdy król uniósł rękę, a z niej wystrzeliła smuga lniałej przędzy, która ją błyskawicznie oplatać Żyrema, nie dotykając ciała chronionego przez nietykalność, ale zagrażając mu obezwładnieniem i uduszeniem. Trwało to jednak zaledwie chwilę, bo Żyrem też zdążył podnieść rękę. Len rozmotął się, stopniał i rozjarzył, a owa jasność skupiła się w wiązkę stalowych promieni, które pomknęły w kierunku Habhezura. Król krzyknął i natychmiast pojawiła się przed nim spiżowa tarcza, chroniąc go przed promieniami, ale po obu jego bokach świta zaskwierczała i zaczęła się wić w groteskowych konwulsjach, a po chwili martwe ciała żołnierzy - rekinów unosiły się bezwładnie w wodzie. Dworzanie zdążyli umknąć.

Teraz spiżowa tarcza zadygotała i nagle zamieniła się w wielką spiżową urnę, zamykając w sobie Habhezura.

- Zabiłbyś mnie, gdybyś mógł, ale nie możesz - rzekł Żyrem. - Teraz nad Sabhelem panować będzie twoja córka.

I wymówił trzy słowa. Z urny dało się słyszeć rozpaczliwe skamlenie. Z otworu uleciały bąbelki powietrza, a potem szkarłatny płyn. Na końcu wyłonił się z niego szkarłatny harpun, ale i on szybko znikł.

- Nie oplakuj go, Hebaido - powiedział Żyrem. - Łączył cię z nim obowiązek, a nie miłość.

- Nie będą płakać - odpowiedziała bardzo cicho, nie patrząc na niego - bo lud morza, którego oczy zawsze pełne są soli, nie roni łez. Ale nie musiałeś go zabijać. Czy zamierzasz zostać królem Sabhelu?

- Twoje koralowe miasto jest dla mnie niczym.

- I ja jestem niczym dla ciebie, skoro zamierzasz mnie porzucić.

- Nasz układ został spełniony i każde z nas otrzymało to, czego oczekiwało.

- Twój układ, nie mój.

Spoglądali na siebie wrogo. Ona zaspokoiła jego żądzę, jej pożądanie jeszcze bardziej wzrosło. Może gorycz romansu nie nadeszłaby tak szybko, gdyby przemoc nie przyspieszyła jej kroku. Pozostawiona samej sobie, miłość może ociągać się jeszcze przez kilka godzin dłużej.

- Nie chcę wiązać się z żadną kobietą - rzekł Żyrem. - Dziękuję ci jednak za wyposażenie mnie w magiczne moce, które wykorzystam w świecie ponad nami.

- Nie oczekuj tam radości. Przeklinam cię. I spocznie na tobie przekleństwo całego Sabhelu, bo zamordowałeś nam króla.

- Och, gdyby to było tylko morderstwo...

- Co zamierzasz uczynić?

- Twój ojciec zapewni mi bezpieczne przejście przez wasze miasto pełne pułapek. Mądrze mi doradziłaś, Hebaido.

Spizowa urna zamieniła się w klatkę. Żyrem opieczętował ją zaklęciem. Teraz tylko on mógł uwolnić ciało króla. Wyciągnął mu włosy przez kratę i owinał je wokół swojej pięści.

- Pociągnę go ze sobą.

- Nie jesteśmy czułymi istotami - powiedziała Hebaida - ale ty zrobiłeś z nas bezbronne dzieci.

- I mnie zdumiewa to, co uczyniłem. Lecz już dawno temu była mi pisana niegodziwość. Ta sfera psów wreszcie mnie dopadła, sfera demonów.

- Zaprawdę, przeklnę cię, jeśli to uczynisz.

- A więc mnie przeklnij. Ja natomiast zapamiętam tylko słodycz twojego ciała i dary, które od ciebie otrzymałem.

I opuścił ją, ciągnąc za sobą Habhezura w spizowej klatce.

Hebaida porwała złoty woal na strzępy, a potem, nie potrafiąc płakać, jęła rwać sobie włosy, jakby chciała tym zadowolić serce, już uprzednio rozdarte.

Złowieszczy spokój zaległ nad miastem, gdy Żyrem, wlokąc za sobą klatkę z królem, wyłonił się między wyższymi wieżami pałacu w kanarkowożółtej wodzie późnego popołudnia. W dole połyskiwały czerwone panoplie, dachy, kopuły i minarety wyrastające z modrych ogrodów. Pod fantastycznymi kolumnadami nie widać było ani jednego obywatela, ani jednego niewolnika, żaden pojazd nie pomykał wodnymi alejami i ulicami. Był to spokój przywodzący na myśl kota czającego się do skoku. Zgodnie z przypuszczeniami Żyrema cały Sabhel dowiedział się już o wydarzeniach w pałacu - albo od Hebaidy, albo od dworzan, którzy byli świadkami pojedynku między królem a obcym przybyszem.

Kiedy wzniósł się jeszcze wyżej, ponad kopułę okrywającą dzwon modlitewny, dojrzał za sobą jakiś ruch, jakby smuga czarnego dymu wzbijała się z miasta. To ścigała go setka żołnierzy - rekinów, uzbrojona w sieci i włócznie zakończone białymi żądłami podmorskich potworów. Za nimi podążali niebieskowłosi baronowie siedzący w złotych palankinach na grzbietach olbrzymich posępnoookich żółwi.

Perły w uszach Żyrema drgały od ich wrzasków i wyzwisk. Ogoniści niewolnicy podpłynęli bliżej, miotając na niego sieci i dźgając włóczniami. Włócznie roztrzaskały się na kawałki, sieci rozpląły się w wodzie.

Żyrem zatrzymał się. Pokazał baronom swoje trofeum w spizowej klatce.

- Nie wiecie, że jestem nietykalny? A skoro posiadam już waszą magiczną wiedzę, cóż wam przyjdzie z waszych sztuczek i pułapek?

Baronowie spoglądali na niego z wściekłością. Żółwie gryzły złote wędzidła, nie okazując niepokoju.

- A więc oddaj nam naszego króla, którego zabiłeś.

- Nie. Jest moim ostatecznym zabezpieczeniem.

- Musimy mieć jego ciało. Musi zasiać w kamiennej hali, gdzie morze zamieni go w koral. To nasza jedyna religia, nasze przymierze z wiecznością.

A jeden z nich, mniej butny od reszty, powiedział spokojnie:

- Na co ci ciało Habhezura? Oddaj je nam, a pozwolimy ci odejść, damy ci nawet eskortę. Czego się obawiasz, skoro i tak jesteś nietykalny?

Lecz Żyrem, nie ufając im i czerpiąc perwersyjną uciechę z ich rozpacz, pozostał głuchy na ich prośby.

Ścigali go długo. Podążali za nim uparcie poza miastem, pośród zarośli węzowatych palm, gdzie orchidee płonęły krwistymi wargami, wsysając ryby zabłąkane między płatki. Lecz choć baronowie wciąż go ścigali, byli bezsilni, i wiedzieli o tym.

Dotarli do wielkiej muszli, do granic Sabhelu.

Tutaj Żyrem ponownie się zatrzymał. Zakpił z baronów, mówiąc im, że za wrotami morze jest zbyt ponure i że mogą mu już dalej nie towarzyszyć.

- Zawrę z wami układ. Kiedy już znajdę się bezpiecznie na lądzie, odeślę wam ciało Habhezura. Jeśli jednak będziecie mnie nadal niepokoić, zniszczę je. Aby przypieczętować ten układ, przyjmę już teraz okup za waszego króla.

I śmiejąc się z ich pośępnych min, zażądał, by oddali mu swoje złote pierścienie, wysadzane drogimi kamieniami naszyjniki, bransolety z orichalkum i sztylety z elektrum. Wszystkie te skarby zawinął w swój płaszcz, a kiedy to uczynił, pamięć wzburzyła się w nim jak woda pod podmuchem wiatru, przynosząc wizje, których ironia niespodziewanie sprawiła mu uciechę: młody kapłan w żółtej szacie, uzdrawiający chorych i odmawiający monet, który wcisnął w dłonie kalekiego wieśniaka swój własny kapłański naszyjnik ze srebra. Młodzieniec fałszywie oskarżony o kradzież srebrnej czary, którą miał rzekomo zapłacić za usługi ladaczniczy...

Żyrem uderzył w muszlę, wypowiadając zaklęcie.

Muszla złożyła się jak wachlarz. Pojawiła się lodowata ciemność oceanu. Przepłynął przez otwór, ciągnąc za sobą, ciężką klatkę i ciężki płaszcz, a potem zamknął wrota, pieczętując je zaklęciem, którego przełamanie zajęłoby baronom Sabhelu kilka dni.

Trzy lub cztery mile od bramy wyczarował najpierw widmowe światło, a potem wezwał zaklęciem czarnego kraba. Dosiadłszy go, pomknął ku skalistym wieżom, ku paprociowym lasom i zatopionym twierdzom, a mijając ruiny, szydził z nich mówiąc: „Wy musicie tu trwać, ja wznoszę się ku powierzchni.” Na jednej z marmurowych kolumn wypalił zaklęciem swoje imię, by pozostawić po sobie wieczny ślad - czyn stosowny raczej dla chłopca, choć gdy go dokonał, przestał już takim być. Zmienił też jedną literę w swoim imieniu: zamiast „Żyrem” napisał „Żyrek”.

Wyżej, gdzie morze nabrało barwy cienistej zieleni, wezwał do siebie rekiny, które wyniosły jego samego, klatkę i płaszcz na powierzchnię morza, a później poniosły aż do brzegu suchego lądu.

7

Tej nocy spał na chłodnym brzegu, ale nie było mu zimno. Wyczarował sobie ognisko i namiot z czarnego aksamitu. Habhezur łypał na niego z klatki martwym okiem; cuchnął już, więc Żyrem rzucił w płomienie kawałki wonnych żywic, aby dym owionął klatkę. Wszystkie te udogodnienia wyczarowywał bez najmniejszego trudu, bo w owych czasach niewiele było rzeczy, których by nie potrafił wyczarować prawdziwy czarnoksiężnik. Spojrzał na Habhezura.

- Masz to, czego ja nie mogę mieć: śmierć. Lecz teraz nie pragnę śmierci.

A zakrzepłe oczy Habhezura zdawały się odpowiadać: Tak, tych drzwi nie otworzysz, tego udogodnienia nie wyczarujesz. Śmierć nie jest posłuszna Żyrekowi. Jeśli udręczy go pustynia życia, nie dostąpi on łaski tego chłodnego napoju. Przez stulecia, a może i dłużej.

- Gniesz, śmierdzący królu.

Martwe oczy odpowiedziały: Prędzej zamkniesz powieki niż ja.

Żyrek wyciągnął się na aksamitnym pościeliu. Śnił o kobietach, o tych wszystkich zakazanych kobietach, które od najmłodszych lat ukazywano mu jako marność i plugastwo. O kobietach złotych, białych, cynamonowych i bursztynowych. Spały z nim, lecz u szczytu miłosnej ekstazy słyszał w uchu szept: „Miłość nie wystarczy.” A kiedy przewracał się niespokojnie na pościeliu, głos szeptał: „Ani życie.” A gdy blisko już było do świtu, trzeci szept: „Ani czarnoksiężstwo.” Posiadłszy już jednak mądrość i wiedzę, zapomniał o tym.

Kiedy się obudził, słońce było wysoko. Z martwego króla ciało odpadało jak lazururowe liście. Żyrek odciął mu palec u nogi, z którego odpadło już mięso, i wrzucił kostkę do morza.

- Obiecałem wam, że powróci - mruknął. - Nie mówiłem jednak, w jaki sposób albo w jakim stanie.

Przez kilka dni wędrował wzdłuż wybrzeża. Nie był to kraj, z którego wyruszył w morze z piratami. Szedł boso. Od dziecka nie nosił butów. (Wkrótce miało to być uznane za jego pozę; skoro Żyrek był tak potężnym magiem, z pewnością nie cierpiał na brak obuwia.)

Nie ciągnął też spiżowej klatki z rozkładającym się trupem króla. Wyposażył ją w nogi. Kroczyła za nim posłusznie.

Piątego dnia trzykrotnie mijał nadmorskie wioski, gdzie wąskie rybackie łodzie spoczywały beczynnie na brzegu, bo morze było wzburzone, więc ryby na pewno płochliwe.

W pierwszej wiosce mężczyźni siedzący na wysłanej krągłymi kamieniami plaży zerwali się na nogi i uciekli w popłochu na widok tego ciemnowłosego cudzoziemca, za którym kroczyła spiżowa klatka z trupem. W drugiej zagadnął go jakiś człowiek:

- Ani chybi jesteś czarnoksiężnikiem. Powiedz nam, jak długo utrzyma się ta pogoda, bo nasze kobiety i dzieci są głodne...

- Dostarczę wam ryb - odpowiedział Żyrek. Przemówił do morza i natychmiast w brzeg uderzył wielki biały bałwan, pozostawiając na plaży około dwudziestu podrygujących ryb. Rybacy zdumieli się, bo żaden z magów, o których słyszeli, nie miał władzy nad morskim żywiołem lub jego mieszkańcami. Lecz Żyrek, który tak dobrze poznał magię panów morza, zakpił tylko z rybaków, bo kiedy zaczęli zbierać owoce morza, uderzył drugi bałwan, zalewając ludzi, ich sieci i łodzie, wrywając im z rąk ryby, a resztę splukując do morza. Żyrek stał i obserwował ów widok z martwą twarzą.

Rybacy otrząsnęli się z wody i zaczęli miotać przekleństwa. Jeden, bardziej rozwścieczony od innych, rzucił w niego kamieniem, który oczywiście upadł, roztrzaskany na kawałki, u stóp Żyreka. Czarnoksiężnik zaś wypowiedział kilka słów do kipiącego morza, a śmiałkowi rzekł tak:

- Kiedy następnym razem wyprawisz się na morze, twoja łódź zatonie, a ty razem z nią.

Nikt się nie odezwał, bo wszyscy mu uwierzyli.

Trzecia wioska wyglądała na nieco zamożniejszą. Wieczór sadowił się jak wielki, szerokoskrzydły ptak na wodzie. Przy ścieżce wiodącej od morza stała gospoda z żółtymi lampami. Żyrek wszedł do niej, a za nim spiżowa klatka. Zaległa cisza, nawet płomienie lamp zadrgały, jakby się przestraszyły.

- Podajcie mi wina i mięsa - rzekł Żyrek, a kiedy mu podano, zjadł i wypił w swój dawny, obojętny sposób. Ohydna klatka przycupnęła w kącie, ale jej odór - teraz już słabszy, bo z ciała Hebhazara niewiele pozostało - napełnił izbę.

- Ani chybi to jego wróg - szeptali pobladli ze strachu biesiadnicy - a on jest potężnym czarodziejem.

Szybko wynieśli się z gospody i wnet pozostał w niej tylko Żyrek, właściciel i jego rodzina.

W mdłym świetle napełnionych rybim tłuszczem lamp Żyrek siedział, wsparłszy podbródek na dłoni. Koło północy nadeszła burza, bałwany waliły wściekle w brzeg. Żyrek wziął nóż i odciął Habhezurowi kostkę lewego palca wskazującego, wyszedł i cisnął ją do morza.

Właścicielowi gospody, który za nim wyjrzał, zdało się, że widzi pośród morza jakieś rozmigotane kształty, jakby ludzi z rozwianymi włosami, w dziwnych rydwanach, a pomiędzy nimi fosforyzujące grzbiety rekinów. Wiatr przyniósł żalony krzyk przypominający głos kobiety. Żyrek powrócił do gospody.

- Będę spał w twoim łóżu - powiedział do gospodarza. - Każ do mnie przyjść swojej najładniejszej córce. Gospodarz skłonił się w milczeniu, przejęty trwogą. Córka, która przysłała do Żyreka z nienawiścią w sercu, wnet zaczęła jęczeć z miłości, a rankiem chciała go zatrzymać przy sobie, oczywiście bez skutku. Przekonana, że może się do niego odnosić jak do mężczyzny, skoro mężczyzną okazał się w łóżu, zasypała go głośnymi wyrzutami. Żyrek wymówił jedno słowo i krzyki umilkły. Dziewczyna pozostała niemową do końca swoich dni.

Przybył do jakiegoś nadmorskiego miasta. Jego wieże wzbijały się ku porannemu niebu, jego ptaki przelatywały przez bladoczerwoną tarczę słońca. Żyreka ogarnęło znużenie, to znużenie, którego nigdy nie mógł pozbyć się do końca. Zaczęła go nawet nużyć złość, niegodziwość i niesprawiedliwość, nawet one. Nie przyznał się jednak do tego przed samym sobą. Napotkawszy ludzi na drodze biegnącej wzdłuż krawędzi nadmorskiego klifu, zmienił im barwę twarzy na kolor oliwek, tak że gdy spojrzeli po sobie, zaczęli wyć z przerażenia. Dziecięca złośliwość. Idąc dalej zobaczył studnię i przemienił wodę w krew - jedna z najstarszych i najbardziej podłych sztuczek czarnoksiężskich. A kiedy doszedł do otoczonego murem miasta i ujrzał jego wieże, ptaki, rynek na wielkim placu, wyniosłą twierdzę, wydało mu się, że widział już tysiąc takich miast, choć w istocie widział ich zaledwie kilka. Znużony słabością ducha, poczuł wreszcie pragnienie osiedlenia się w jednym miejscu, przerwania wiecznej

wędrowni. Opuścił go wzywający wiecznie do drogi zapal młodości, bo w duszy przestał już być młody.

Przeszedł jednak przez to miasto, tu i ówdzie odnajdując jakieś subtelne niedogodności i wady; działały jak paliwo, każąc mu iść dalej, bo gdyby nie to, mógłby po prostu stanąć i zamienić się w żywy kamienny posąg.

Jeśli nawet nużył go stały ład, to rad był, że uciekł z Sabhelu. Magia i miłość okazały się zbyt łatwe. Zresztą wszystko było zbyt łatwe - albo nieosiągalne.

Za nim podążała klatka, a w niej klekocący kościotrup, któremu brakowało dużego palca u nogi i wskazującego palca u lewej ręki.

Nad brzegiem morza napotkał samotny, opuszczony dom wyłaniający się spośród przykurzonych zieloności i szarości. Wspiął się po zmurszałych schodach, przeciął zdziczały ogród, przez który przeświecała naga skała klifu. Zwisające na zawiasach drzwi zaskrzypiały żałośnie. Mozaikę, którą wyłożona była niegdyś posadzka, powyrywali i rozkradli rabusie. Przez potłuczone okna wdzierały się podmuchy wiatru niosącego wodny pył, bo sztorm, który podążał za Żyremem wzdłuż wybrzeża, przybrał teraz na sile. Słona woda chlupotała w piwnicach, gdzie w potrząskanych dzbanach zakorzeniły się wodorosty.

Melancholia tego zrujnowanego domostwa poruszyła chorobliwą wyobraźnię Żyrekę, budząc wspomnienie ruin twierdzy na pustyni, gdzie świątobliwi pustelnicy usiłowali wpoić dziesięcioletniemu chłopcu, zwanemu wówczas Żyremem, pogardę do świata i wyplenić z niego „złego ducha”. „Nie budujcie sobie pałaców w świecie...” Cóż by to była za ironia losu, gdyby ów chłopiec, ulegając wszystkim pokusom, przed którymi go ostrzegali, zachował w sobie jedynie ich żarliwe pragnienie ubóstwa...

Żyrek objął ów dom we władanie i wykorzystując swą magiczną moc, a także ludzi, których porywał we śnie z miasta lub ściągając tu siłą, nadał mu nowe oblicze. Posadzki zostały przykryte grubymi kobiercami, pojawiły się meble i sprzęty, skradzione lub zdobyte jeszcze bardziej ponurymi sposobami, w oknach zawisły ciężkie zasłony. Czasami, krocząc jak lunatyczki drogą wzdłuż wybrzeża, przychodziły tu kobiety. Wspinały się po stopniach, między kamiennymi posągami fantastycznych zwierząt, przechodziły przez złowrogi ogród, wstępowały do posępnego domu i trafiały do

czarnego łoża z baldachimem, przywodzącego na myśl mroczny grobowiec, w którym sypiał Żyrek. Kiedy indziej dla jego rozrywki ginęli tu ludzie, choć ich błagania i męczarnie wnet przestały budzić w nim jakiegokolwiek uczucia prócz zazdrości. Nawet okrucieństwo stało się tylko zwyczajem.

Pewnego razu odwiedzili go królewscy poborcy podatków. Żyrek przyjął ich, a następnie sam odwiedził króla. To właśnie wtedy król nagle uznał, że jest psem, pokrył jakąś sukę i gryzł kości.

Ze szczątkami Habhezura Żyrek postąpił haniebnie. Podzielił je na kawałki i kiedy rozpętała się burza, wrzucił je do morza, Mijały miesiące, a potem lata, i burze zdarzały się coraz rzadziej, jakby lud Sabhelu też zmęczył się swoją rozpaczą i bezsilnością.

Czas włókł się bez końca, odarty z sensu. Czas wydrażony, pusty, przed którym ostrzegano matkę Żyreka, kiedy uparcie żądała dla niego nieśmiertelności. „Nie ma takiego szczęścia, które nie miałoby za brata nieszczęścia.” Rozwagał tę prawdę w duchu, w długie, spokojne wieczory, kiedy ziemia i niebo zdawały się zapożyczać blask od oceanu, a ów srebrny spokój ogarniał nawet jego, Żyreka, choć na krótko. Jak to się dzieje, że on, który tyle otrzymał, mógł wykorzystywać te dary tylko dla czynienia zła? Dlaczego przynosiły mu tylko cierpienie? A przecież, kiedy był podatny na ciosy i zranienia, kiedy nie posiadał tajemnej wiedzy i czarnoksięskiej potęgi, mógł czerpać z życia szczęście, dla siebie i dla innych. Został popchnięty ku złu, ale zło go odrzuciło; Ażram, przez swojego pośrednika lub w przebraniu, odrzucił go. Czemu więc Żyrek nie powrócił do swojej okaleczonej niewinności, czemu nie próbował pozszywać podartych szat? Albowiem nigdy nie uczynił niczego dobrego, chyba że ze strachu przed uczynieniem zła. Zło, które przestało już być dla niego zagrożeniem, to zło - paradoksalnie - okazało się jedyną rzeczą, do której był zdolny.

Pewnego dnia Żyrek zdecydował się na pewien eksperyment. Idąc przez miasto (ludzie, jak zwykle, na jego widok zatrzaszywali drzwi swych domów, a ci, którzy pozostali na ulicy, jak zwykle kłaniali mu się nisko z pobladytymi ze strachu twarzami), napotkał małe dziecko bawiące się w rynsztoku. Coś w tym dziecku prawie poruszyło Żyreka; może czerwonozłoty cień jego włosów, choć oczu nie miało zielonych. Wyczarował jakieś nieszkodliwe słodycze i dał je dziecku, które bez oporu przyjęło dar. W tej samej chwili nadbiegła jego

matka. Chwyciła dziecko w ramiona i spojrzała na Żyreka, drżąc z trwogi.

- Proś mnie, o co zechcesz - rzekł Żyrek łagodnie.

- A więc uratuj moje dziecko, które przed chwilą zatrueś.

- Nie, nie uczyniłem tego - powiedział Żyrek i wyciągnął ku niej rękę.

Kobieta odskoczyła do tyłu, potknęła się na kamieniu, zachwiała i wypuściła z rąk dziecko. Upadło, a czaszka mu pękła, uderzając w krawędź rynsztoka.

Żyrek wiedział, że to, co się wydarzyło, było owocem jego dotychczasowych poczynań w mieście, uznał jednak, iż zło po prostu musi mu zawsze towarzyszyć, podobnie jak kruk krążący wokół szubienicy.

Lecz kilka lat później, kiedy stał przed rzeczywistą szubienicą, na której wisiało tańczące na wietrze ciało mordercy, ktoś wymówił jego imię, nieco je zniekształcając

Ktoś przemówił, a Żyrek poczuł zimny dreszcz. Zdał sobie sprawę, że przez krótką chwilę stał za jego ramieniem Pan Śmierć.

8

Słońce zaszło, noc powstała z morza. W świetle alabastrowej lampy, skradzionej z pewnego królewskiego mauzoleum przez ludzi zniewolonych jego czarami, siedział Żyrek, czytając czarno - srebrną pergaminową księgę, skradzioną w podobny sposób z tego samego miejsca. Księga zawierała wiedzę i pouczenia dotyczące najgroźniejszego działu magii, wskrzeszenia umarłych i temu podobnych czarnoksięskich sztuczek. Żyrek czytał ją uważnie, gdy nagle jakiś dźwięk w domu kazał mu odłożyć księgę.

Nikt nie mógł wejść do domostwa Żyreka, jeśli nie został wezwany zaklęciem. Wszyscy wiedzieli, że strzegą go straszliwe potwory i zjawiska. A jednak dźwięk rozległ się ponownie, jakby coś metalowego zadzwoniło o posadzkę na niższym piętrze. Ktoś tam był, ktoś, komu obcy był strach i kto potrafił przełamać wszystkie magiczne zabezpieczenia.

Żyrek zszedł do wielkiej sali wyłożonej kamiennymi płytkami, oświetlając sobie drogę widmowymi płomykami.

Wiatr kołysał zasłonami w oknach, niesamowite cienie tańczyły po ścianach. Wielki kandelabr jarzył się matowym światłem pośród ażurowych sopli żółtego wosku. Pożywiający się woskiem szczur

rzucił się do ucieczki. Na złotej podstawie spoczywały ostatnie resztki Habhezura - jego czaszka, którą Żyrek zachował w ostatecznym akcie złości. Tuż za kręgiem światła połyskiwało tajemniczo wysokie hebanowe krzesło z rzeźbionymi poręczami. Żyrek zbliżył się do krzesła i ujrzał siedzącą w nim postać z twarzą przysłoniętą białym kapturem. W okrytej białą rękawicą dłoni postać trzymała żelazną laskę ze złotymi pierścieniami, którą uderzała o kamienną posadzkę.

Żykiem owładnęło pełne lęku uniesienie, podobne temu, jakie mógłby odczuć młodzieniec lub dziewczyna spotykając niespodziewanie kogoś, kogo obdarzyli skrytą miłością. Zadrżał, a owo drżenie przejęło go zdumieniem.

Zakapturzona głowa podniosła się powoli. Pośród białej otoczki kaptura była tylko czerń - czerń i dwoje bezbarwnych, płonących oczu.

- Nie pytaj mnie, kim jestem - rzekła postać. - Znasz mnie. Już się spotkaliśmy.

Żyrek pamiętał - jak sen - cień, który dawno temu dotknął jego czoła i uwolnił go, na pewien czas, od rozpacz i zniechęcenia, udzielając mu daru utraty świadomości. Teraz na owo wspomnienie poczuł się słabo.

- Jesteś Panem Śmiercią - powiedział. - Czy chcesz mnie zabrać?

- Nie - odparł Uhlum. - Ogień uwolnił cię od mojej władzy przynajmniej na kilka stuleci.

- Ale mimo to przyszedłeś.

Lewa dłoń Pana Śmierci spoczęła na hebanowym oparciu krzesła, sama również czarna, bez rękawicy. Żyrek nagle rzucił się ku tej dłoni i uchwycił ją - nagą dłoń Śmierci.

Dotknięcie Pana Śmierci było dosłownie tym, czym było - dotykem śmierci. Dla niektórych - uwolnieniem dla innych - straszliwym lękiem. Dla Żyreka, który nie mógł umrzeć, przynajmniej dopóty, dopóki nie ulegnie wyniszczeniu jego odporne na zranienie ciało, ów dotyk był ulgą i błogosławieństwem. Owładnęło nim narkotyczne oszołomienie - jedyny możliwy dar Śmierci, pół śmierć, pół świadomość, obietnica ostatecznego uwolnienia od samozwątpienia i od bezsensownej, męczącej nikczemności ludzkiego istnienia. Lecz Pan Śmierć cofnął czarną rękę, a Żyrek, półświadomie, przywarł do okrytych białą szatą kolan. W pewien sposób Żyrek naprawdę zakochał się w Śmierci.

- Błagam cię - głos mu się załamał - nie opuszczaj mnie. Pozwól, bym ci służył.

- Innym przyrzekłeś służbę.

- Inni zamyślili mą służbę, ale demon ją odtrącił.

- Wiem o tym - odpowiedział Pan Śmierć. Wiedział. Przestudiował dobrze tę sprawę, życie Żyreka i ścieżki, które przemierzył.

- Tobie - rzekł Żyrek - tobie będę służył.

- Ze szkodą dla innych?

Żyrek uśmiechnął się, zamknął oczy jak dziecko bliskie snu.

- Widziałeś moją miłość do innych, Panie Śmierci.

- Ktoś mógłby cię powstrzymać.

- Nikt prócz ciebie.

- Simmu - rzekł Pan Śmierć. - Simmu, zwany tak w czasach twojego dzieciństwa. Muszła. Czy będziesz mi służył na przekór Simmu?

Gałki oczu Żyreka poruszyły się lekko pod zaciśniętymi powiekami.

- Simmu został ukształtowany przez demony. Simmu zdradził mnie i porzucił. Simmu stał się schodami, którymi zstąpiłem do piekieł. Simmu był węzem ukrytym pod kamieniem. A przecież to dla Simmu mógłbym żyć spokojnie na Ziemi jako uzdrowiciel, człowiek pozbawiony żądz, a w każdym razie ślepy i głuchy na żądze. A w końcu, kiedy już nie miałem niczego prócz Simmu, co się z nim stało? Gdzie jest Simmu? Ty wiesz, o Panie Śmierci, że jestem samotny.

- To jedyne, co napełnia cię goryczą.

- O tak, wielką goryczą. Przeklinam matkę, która zgotowała mi ten los. Przeklinam Simmu, który uwiódł mnie i zostawił, pozwalając, bym ujrzał robaki toczące moją duszę. Przeklinam Ażrarna, ja, który być może jestem jedynym śmiertelnikiem mogącym sobie na to pozwolić bezkarnie. Przeklinam tę kobietę z dna oceanu, Hebaidę, dzięki której posiadam magiczną moc przynoszącą jedynie same nieszczęścia mnie i wszystkim, których spotykam na swojej drodze. Przeklinam cały świat, który boi się mnie i który cofa się przede mną, który nie może mnie zwyciężyć lub zniszczyć, choć powinienem być zniszczony i wypalony z jego ciała jak rak. Tylko ty, Panie Panów, możesz dać mi balsam, którego potrzebuję. Tylko o śmierć proszę, i tylko jej nie mogę otrzymać.

- Śmierć nie jest taka, jaką ci się wydaje - rzekł Pan Śmierć, ale na tym poprzestał, bo powiedzenie o śmierci więcej nie służyłoby jego zamiarowi.

Zamiast tego Uhlum, Pan Śmierć, zaproponował człowiekowi, który wsparł się na jego kolanach, jakby był niemiłosiernie utrudzony, dziwaczny układ. Nie był to układ z rodzaju tych, jakie Uhlum dotąd zawierał, ale i on sam nie był już tym, kim był uprzednio, przed powstaniem Simmuradu, owego wrzodu na stopie, który uwierał go przy każdym kroku.

Żyrek został zaprzysiężonym sługą Pana Uhluma.

Kiedy nastał ranek, stary dom nad brzegiem morza był już pusty, choć minęło pół roku, zanim ktokolwiek ośmielił się wejść do środka i odkryć, że nie ma w nim gospodarza.

Czaszka Habhezura, ciśnięta w końcu do morza, podrygiwała leniwie na falach, nikt już jej nie potrzebował. Hebaida spoczywała w łożu jakiegoś niebieskowłosego barona, nowego króla Sabhelu, a Żyrek był jedyną blizną na jej sercu. Jej ojciec (bezglowy posąg z koralu w kamiennej hali) z całą pewnością nie zostawił w nim żadnego śladu.

Czaszka opadła na dno płytkiego skalnego zagłębienia. Żyły tam rozmaite ryby, skałę pokrywały skorupiaki i mięczaki. Po wielu latach zaplątała się w rybacką sieć i została wyciągnięta na pokład łodzi razem z rybami i krabami.

- Patrzcie no - rzekł rybak - to przecie głowa mojego biednego ojca, odcięta przez piratów i wyrzucona za burtę trzydzieści lat temu w tym samym miejscu. Ani chybi trafiła do mojej sieci, żebym sprawił jej pogrzeb.

A będąc sumiennym dzieckiem swoich rodziców, zaniósł czaszkę do domu i zaczął głodować, by zaoszczędzić trochę pieniędzy na jakiś niedrogi grób poza wioską. Kiedy w końcu powstał ów grobowiec, rodzice pokazywali go dzieciom jako przykład synowskiej miłości.

A potem, pewnego ranka, morze wyrzuciło na brzeg zatoczki poniżej wioski prawdziwą czaszkę jego ojca. Rybacy, rzecz jasna, nie rozpoznali jej i uznali za rzecz przynoszącą nieszczęście, więc wrzucili ją do wyschłej studni, przywalili kamieniami i odtąd unikali tego miejsca.

CZEŚĆ CZWARTA

W Simmuradzie

1

Łotrzyk Jolsippa, odźwierny bram Simmuradu, obudził się ze snu, w którym odwiedziło go kilka zezowatych dziewcząt, słysząc znajomy, choć nieczęsty, łoskot uderzeń w spiżowe wrota.

Jolsippa otworzył ukryte okno i wyjrzał przez nie, mrugając zaspanymi oczami.

- Kto tam? - krzyknął, rezygnując na razie z reszty swojego zwykłego przywitania.

Świt dopiero się zbliżał. Mrok ukradkiem ześlizgiwał się z gór, niebo uniosło się nieco wyżej, ale jeszcze nie pojaśniało.

- Pytam ponownie, kto tam?

A z dołu, z głębokiego cienia, odpowiedział mu głos:

- Ktoś, kogo powinienes wpuścić.

Jolsippa westchnął i pociągnął łyk wina z głębokiej czary.

- Nie wszystkich tu wpuszczamy. To jest Simmurad, Miasto Nieśmiertelnych. Co potrafisz? W czym jesteś mistrzem? Skąd wiesz, czy potrzebne nam twoje umiejętności?

- Jestem Żyrek, czarnoksiężnik. A potrafię to...

I w tym momencie błyskawica rozdarła cień, ugodziła z hałasem we wrota i ukazała na moment urodziwego czarnobrodego i czarnowłosego mężczyznę w żółtej szacie, ze złotymi pierścieniami na palcach i z czarnym skarabeuszem wiszącym mu na piersi.

- Jeszcze jeden taki grom - rzekł - a będziesz musiał wstawić nowe wrota.

- Powstrzymaj się - zawołał Jolsippa. - Możesz wejść.

Uruchomił mechanizm otwierający wrota i Żyrek wszedł w obręb murów. Był bosy. Gdy Jolsippa zbiegł pospiesznie po schodkach, aby go przyjąć, postrzegł jednak, że szata maga ciężka jest od złota, a na jego ramionach lśnią bransolety z elektrum i orichalkum. Miał też napierśnik wysadzany klejnotami barwy morza.

- Niestety, wasza czcigodna wielmożność - powiedział Jolsippa - pan Simmuradu, Simmu, który jest mi jak syn, zabrania komukolwiek wnoszenia do miasta złota, a to przez wzgląd na pewnego księcia, który kiedyś może nas odwiedzić, a niezbyt lubi ten metal.

- A więc Ażrarn musi mnie unikać - rzekł czarnoksiężnik - bo wraz ze mną wejdzie moje złoto.

Jolsippa uznał za rozsądne nie upierać się dalej przy swoim.

Weszli razem za wewnętrzny krąg murów, gdzie rosły wielkie drzewa, ocieniające miasto.

- Spójrz - powiedział Jolsippa, wiodąc Żyreka z dumą i drzeniem pośród drzew i pokazując mu rozpościerający się przed nimi Simmurad, cały w różanoczerwonych i mlecznobiałych marmurach, zaczynający właśnie zapożyczać barwy z nieba, choć tu i tam, na wieżach i pod kolumnadami, płonęły jeszcze lampy. - Zaprowadzę cię osobiście na dwór Simmu.

Piękny był, w istocie, Simmurad. Piękny, lecz dziwny. Przez chwilę piękno miasta poruszyło Żyreka tak, jak potrafiło go dotąd poruszyć tylko piękno natury. Z Jolsippa krocącym u jego boku, w lekkiej poświacie zwiastującej świt, przechodził przez różne poziomy miasta, to wspinając się, to znów schodząc w dół. I nawet sam Jolsippa, chwiejący się, czkający, gruby i wystrojony w zatłuszczone, ozdobione klejnotami szaty, nie mógł się oprzeć aurze Simmuradu.

Było tam wiele pałaców, lecz prawie wszystkie zdawały się opustoszałe, tylko gdzieniegdzie jarzyło się blaskiem lampy kolorowe okno. Zbocza pokrywała gładka, nigdy nie usychająca - i nigdy nie zasiewana - trawa. Drzewa podzwaniały liśćmi, które nigdy nie opadały. Te wieczne statyczne dekoracje były dziełem magów zamieszkujących miasto lub demonów, które budowały je przed laty. Natura miała tu naśladować nieśmiertelnych ludzi.

Zwierzęta w mieście były młode, lecz również wieczne, bo każdemu dano kroplę Elixiru Życia. W lampartach pijących wodę z sadzawki było coś dziwnego, przywodzącego na myśl lalki; nawet gdy się poruszały, pozostawały w jakiś sposób nieruchome. W Jolsippie też było coś podobnego. A kiedy przechodzili przez ogród, muskany pierwszymi promieniami słońca, napotkali w nim mężczyzn i kobiety przechadzających się pod drzewami: oni też sprawiali wrażenie lalek lub figur woskowych. Oglądali się za Żyrekiem i kpili z Jolsippy, lecz ich oczy mogły być zrobione ze szkła. Było tak, jakby nawet o tym nie wiedząc i nie przejmując się tym, powoli ulegali zwapnieniu, które atakowało najpierw ich skórę, a potem wdzierało się coraz głębiej, sięgając narządów wewnętrznych i świadomości.

Twierdza zajaśniała blaskiem poranka. Jolsippa zatrzymał się przy obelisku z zielonego marmuru, aby Żyrek mógł przeczytać wyryty na nim napis.

JAM JEST SIMMURAD,
MIASTO SIMMU,
A WE MNIE ZAMIESZKAJĄ LUDZIE,
KTÓRZY BĘDĄ ŻYĆ WIECZNIE...

A więc to miejsce jest po prostu więzieniem nieśmiertelnych? - zapytał Żyrek.

- To wielki dar - odrzekł Jolsippa. - Byłem przy jego początkach. Cudowny księżę...

- Ażram.

- Nigdy bym się nie ośmielił...

Lecz Żyrek już odchodził, kierując się ku wrotom zamku, a następnie śmiało przekroczył próg. Świt zaczynał wsączać się do wnętrza cytadeli przez rzędy kryształowych okien.

- A teraz zechciej tu zaczekać, czcigodny panie. To nasz uświęcony zwyczaj.

Ku jego uldze Żyrek zgodził się. Znajdowali się w wielkiej hali przykrytej kopułą; posadzkę tworzyły srebrne dyski. Nigdzie nie widziało się straży, sług lub niewolników, a jednak wszystko lśniło czystością za sprawą magicznych zaklęć geniuszy, którym pozwolono tu zamieszkać. Ale i to miejsce wydawało się opustoszałe, niby jakieś ruiny wyłaniające się niespodziewanie pośrodku pustyni lub oceanu.

Żyrek usiadł. Zdawał się człowiekiem opanowanym, nawet łagodnym, jeśli nie zbliżyło się do niego na tyle, by dostrzec okrucieństwo czające się wokół jego oczu. A jednak wewnątrz już zaczynało się w nim coś burzyć, coś, co obserwował analitycznie, prawie tym czymś zafascynowany. To tylko puls i żołądek burzyły się na wspomnienie. Mózg pozostawał chłodny i spokojny. Czekał na Simmu, jakby czekał na skosztowanie wina, którego nie pił od dawna, które niegdyś doprowadziło go do mdłości, którego teraz zamierzał jedynie spróbować i natychmiast wylać, a potem powyrywać i spalić winorośle.

Minęła godzina. Przedłużający się świt wciąż napełniał halę ostrym blaskiem. A potem nadszedł Simmu, lecz nie był sam.

Jak król, bo był tu królem, wkroczył do hali otoczony swym dworem albo jego częścią. Były tam kobiety o włosach przetykanych wiecznie żywymi kwiatami, w egzotycznych szatach pochodzących z różnych krain, byli mężczyźni - wojownicy, czarodzieje, mędrcy - niegdyś starzy i młodzi, teraz wiecznie młodzi. Każda postać podobna

była do innych, jak ci, których Żyrek spotkał już w ogrodzie. Woskowe figury.

Simmu też nie był wolny od tej skazy. Lecz wciąż był Simmu, bezbłędny aż do najdrobniejszego szczegółu, o zielonych oczach rysia, o bursztynowych włosach, o wąskiej brodzie przypominającej strużyny z tegoż bursztynu, nerwowy, podobny kotu, mający w sobie wiele z dziewczyny, a jednak mężczyzna. Nie postarzał się fizycznie, choć bohaterska faza jego życia pozostawiła w nim swój ślad. Żyrek nie zwrócił jednak na to uwagi, pochłonięty inną zmianą. Czymś, co stworzyło nowego Simmu, co uzewnętrzniało się w przeróżny sposób, a jednak pozostawało utajone. Żyrek czuł, że to odkrycie wywiera na niego potężny wpływ, nie wiedział tylko jaki. Zdało mu się, że wszystkie emocje, z którymi rozstał się po wyjściu z morza, teraz zebrały się tu, w Simmuradzie, przyprawiając go o bicie serca i rozsadzając mu płuca. Oczywiście nie dawał tego po sobie poznać.

I jeszcze jeden dysonans: u boku Simmu ujrzał nachmurzoną cudowną dziewczynę o lśniących jasnych włosach.

Pojawił się Jolsippa. Skłonił się śmiesznie przed Simmu i przed Żyrekim.

Żyrek powstał. Spostrzegł, że twarz Simmu też niczego nie zdradza. Simmu spoglądał na niego obojętnie.

Udaje, czy naprawdę zapomniał? Gdzie ukryła się dziewczyna, która oplótła mnie ramionami nad słonym jeziorem? Simmu - dziewczyna... Muszla.

W tym momencie zauważył, że Simmu zmarszczył czoło, jakby ugodziło go jakieś wspomnienie.

Czy nadal będzie mnie obrażał, tym razem udając, że nagle mnie sobie przypomina?

Lecz Simmu milczał. To Jolsippa przemówił, zachłystując się, jakby zachwalał występy wędrownego kuglarza.

- Żyrek, który głosi, że jest potężnym magiem, czego dowody sam widziałem, staje jako suplikant przed obliczem pana Simmuradu.

Ile już razy miała miejsce taka scena lub jej podobna? Tyle razy, ilu miał Simmu poddanych w swoim królestwie. Nie wiadomo, czy w którymś z nich tliło się prawdziwe zainteresowanie tym rytuałem. Gromadzili się jednak zawsze w tej hali, by przyjrzeć się przychodzącym błagać o Nieśmiertelność, tak jakby uznawali powagę owego wydarzenia.

W końcu przemówił Simmu. Wciąż lekko marszcząc brwi zwrócił się do Żyreka:

- Jesteś magiem? Mamy tu dość magów.

- A więc ciesz się... - Żyrek nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie imienia „Simmu”, tego imienia, które po raz pierwszy usłyszał z ust Simmu - dziewczyny nad słonym jeziorem. - Ciesz się, bo nie zamierzam stać się jednym z twoich poddanych. Ten krzykacz błędnie przedstawił cel mojego tu przybycia.

Świta Simmu zaszemrała, widać było objawy większego niż uprzednio zainteresowania.

- A więc cóż to za cel? - zapytał Simmu.

- Zapragnąłem ujrzyć miasto, które śmiertelnicy nazywają Miastem Żywych Trupów.

Szmer narastał, urósł do gwaru.

- Twój żart... - zaczął Simmu.

- Nie dostrzegam niczego wesołego w życiu bez śmierci, w bezwartościowej, bezcelowej martwocie jałowej egzystencji. Lepiej już żyje szczur w klatce, biegający nieustannie z jednego rogu do drugiego.

Simmu pobladł straszliwie.

- Zwiodłeś nas, czarnoksiężniku. Zbrojni jednak jesteśmy w cierpliwość, zanim uczynimy to, co zechcemy, a mamy wiele czasu.

Jeden z dworzan zawołał:

- Niech ten człowiek, który mieni się magiem, pokaże, co potrafi! Ja, w każdym razie, uważam go za zwykłego prostaka.

Żyrek obrzucił go krótkim spojrzeniem.

- Na twoim miejscu byłbym nieco ostrożniejszy - rzekł spokojnie - bo tym, w co cię mogę zamienić, byłbyś już do końca czasu.

- A ty zaś bądź bardziej ostrożny, zwracając się do mnie! - zawołał dworzanin. - Ja też jestem magiem.

I wyciągnął rękę w kierunku Żyreka; ze wskazującego palca wystrzelił język ognia. Żyrek zignorował płomień, który nie mógł wyrządzić mu krzywdy. Otoczony smugą ognia powiedział kpiącym tonem:

- Nie powinieneś bawić się ogniem. To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

I natychmiast ogień zagaśł. Wśród dworzan rozległy się ożywione szepty. Teraz wystąpił chytry chirurg, który zdobył wieczne obywatelstwo Simmuradu dzięki swym medycznym umiejętnościom.

- Nie powinieneś mniemać, panie - rzekł - że skoro jesteśmy podatni na zranienie, można nas zniszczyć. To prawda, ogień może nas zniekształcić, ale nie spali nas całkowicie. Dla pewnej damy, która uległa srogiemu poparzeniu, sporządziłem srebrne stopy, które ukryły szpetne, zniekształcone ciało, pozwalając jej swobodnie chodzić. Lecz na tym nie koniec. Przystudiowałem fenomen nieśmiertelności z medycznego punktu widzenia i mogę ci rzec jedno: nawet gdybyś wyrwał komuś z nas serce, nie zdołasz go zabić. Popadnie w coś w rodzaju letargu, a ja zjawię się natychmiast i wszczępię mu srebrne serce. Będzie ono działało na zasadzie mechanizmu zegara, a nauczyłem się takich tajemnych sposobów konstruowania skomplikowanych mechanizmów od karłów zamieszkujących Podziemie. I wierz mi, moje srebrne serce będzie pracowało równie dobrze jak to, które wydrzesz z ciała, a nawet jeszcze lepiej. Całkiem niedawno wyjąłem pewnemu człowiekowi i naprawiłem uszkodzone oko, a następnie osadziłem je z powrotem w oczodole, gdzie natychmiast zaczęło pełnić swoje naturalne funkcje.

- A teraz powiedz mi - powiedział Żyrek - ile dzieci narodziło się w Simmuradzie? Chirurg założył ręce na piersiach.

- Doszedłem do wniosku, że prokreacja i narodziny są spontanicznym przedłużeniem strachu przed śmiercią. W noc przed bitwą wojownik jest w stanie zapłodnić kilka kobiet. W okresach głodu zwykle rodzi się więcej dzieci. Ponieważ tu, w Simmuradzie, nie znamy lęku przed śmiercią, w naturalny sposób nie odczuwamy zmysłowej żądzy wiodącej do pomnażania życia. Być może jesteśmy nawet bezpłodni. Ale nie uważamy tego za nieszczęście, bo to pozwala nam poświęcić się całkowicie innemu celowi.

- A jaki to cel? - zapytał Żyrek. Tym razem odpowiedział Simmu.

- Cel jest skromny. Powziąłem plan podbicia Ziemi, wybrania spośród ludzi najbardziej wartościowych i udzielenia im daru Nieśmiertelności.

- Plan, który z pewnością wzbudza ciekawość twojego pana, Azrarna - zauważył Żyrek. - Oto coś, co zawsze sprawia mu radość: wojna i brutalna przemoc na całej Ziemi. Ale co po tym zwycięskim

podboju? Znieruchomiały świat nieśmiertelnych kukiełek. Nie sądzę, by to spodobało się twojemu czarnemu szakalowi z Druhim Wanaszty.

Simmu poczerwieniał, co na jego bladej twarzy wyglądało groteskowo: rumieniec woskowej figury. Podszedł do Żyreka i uniósł rękę, chcąc go uderzyć, lecz ten chwycił Simmu za przegub.

- Jestem nietykalny. Nie podnoś na mnie ręki, bo ją sobie uszkodzisz.

Simmu zdawał się zbity z tropu. Wpatrywał się w Żyreka, poszukując w magu źródła owego dziwnego uczucia, które nim owładnęło od samego początku. Lecz jego wspomnienia spoczywały uwięzione pod grobową płytą czarów demona, okoliczności i samego czasu. Dotyk palców Żyreka zaciśniętych wokół jego nadgarstka był jak uderzenie, śmiertelne uderzenie.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Znasz moje imię.

- Już kiedyś się spotkaliśmy, ale nie pamiętam w jakich okolicznościach.

Żyrek puścił go. Przypomniawszy sobie z gorzką ironią, jak to Muszla porozumiewał się z nim na sposób Eszwa, bez słów. Czar Simmu, tak silnie działający na wszystkich, którzy przybywali do Simmuradu, nie działał na Żyreka, którego niegdyś usidlił pozytywny, nieczłowieczy, porywający czar tego Simmu, jakiego poznał w świątyni.

Dworzanie szeptali między sobą. Jasnowłosa dziewczyna wpatrywała się w Simmu i w Żyreka oczami, które zdawały się zmieniać barwę.

- Nieważne - rzekł Simmu. - Nie rozumiesz nas, Żyreku. Chodź, pokażę ci skarby tego miasta. Wyjaśnię ci moje plany, abyś mógł lepiej zrozumieć, o co mi naprawdę chodzi.

Simmu poprowadził Żyreka przez pałacowe kolumnady, komnaty i dziedzińce. Przez cały czas, jakby chciał umyślnie uwypuklić wszystkie zmiany swojej osobowości, dyskutował z nim i próbował go przekonać do swoich racji. Czasami, na zakręcie schodów lub gdy zatrzymywał się, by wskazać na jakiś niezwykły ornament lub przedmiot, Simmu stawał się na chwilę Muszlą. Te krótkie objawienia, zbyt rzadkie, wstrząsały Żyrekiem, lecz nie wytrącały go z równowagi. Natomiast Simmu gorączkował się coraz bardziej, tracąc panowanie nad sobą. Odesłał precz swoich dworzan, Jolsippę i

ową milczącą dziewczynę o zmiennych oczach, która była jego żoną. Ręce mu się trzęsły, gdy otwierał kolejne drzwi Simmuradu. Wyglądał jak zwierzę schwytane w sidła.

Weszli w końcu do przestronnej komnaty, której cały środek zajmowało marmurowe podwyższenie przedstawiające Ziemię. Morza były z niebieskich szklanych łusek, lądy z polerowanego drewna rozmaitych gatunków, góry obsypane kryształowym śniegiem. Były tam miasta, miniaturowe, lecz odtworzone z przedziwną dokładnością, a po szklanych morzach żeglowały okręciki wielkości żuków. Były też całe armie żołnierzyków z kości słoniowej, w barwach swoich królów, ze stalowymi mieczami, były maszyny wojenne toczące się na maleńkich, naoliwionych kołach. Sceneria gier wojennych, zabawka marzącego o podbojach władcy, ale jednak tylko zabawka.

- Wiele się nauczyłem w tej komnacie - powiedział Simmu. - W bibliotece mam bogaty zbiór najróżniejszych ksiąg, naczytałem się o teorii konfliktów, a tutaj wypróbowuję swą wiedzę. Kiedy powstanie armia Simmuradu, nie oprze się jej żaden ziemski legion, tak będzie dobrze wyszkolona i uzbrojona.

Lecz gdy to powiedział, twarz powlekł mu smutek. Nachylił się nad marmurowym blatem i porzucił figurki z kości słoniowej tam, dokąd dosięgły jego ręce.

- Mam jednak do rozwiązania pewien trudny problem, Żyrek. Muszę wypowiedzieć światu wojnę i wygrać ją, bo jestem bohaterem, lecz nie może w niej zginąć ani jeden człowiek, bo nie chcę składać żadnego daru Panu Śmierci. Jak tego dokonać?

Żyrek nie odpowiedział. Stojąc za plecami Simmu, poczuł chęć położenia dłoni na jego bujnych włosach, aby podnieść go na duchu lub samemu doznać pocieszenia. Nie uległ temu impulsowi.

- Śmierć - powiedział Simmu, dalej roztrącając oddziały żołnierzyków gniewnymi ruchami dłoni. - Pan Śmierć przybył do Simmuradu. Stawiałem mu czoła... a może tylko o tym śniłem, jak wyśniłem wszystko, moje życie, demony... Nie... - Uśmiechnął się, odwracając nieco, tak że Żyrek ujrzał zielony klejnot, który Simmu wyciągnął z rozcięcia szaty na szyi i obracał w palcach. - Nie, żaden z tych cudów i dziwów nie był snem. Skoro jednak rozwścieczyłem Pana Śmierć, dlaczego nie wraca? Przeciwwstawiłem mu się, lecz on to zlekceważył. Przecież do tej pory znalazłby jakąś szczelinę, przez którą mógłby tu wejść.

- Znalazł ją - rzekł Żyrek.

Wówczas, przez krótką chwilę, lecz za to w pełni, Simmu ożył. Zadał pytanie tylko oczami i czekał, jak czeka lampart sprężony do skoku, na odpowiedź.

- Tak - odpowiedział Żyrek. - Jestem wysłannikiem Pana Śmierci.

Simmu zaśmiał się; Żyrek przyzwyczajony był do śmiechu, nie z ust Simmu, ale ze swoich własnych, do owego obłąkanego, władczego śmiechu, którego źródłem była zawsze odraza lub zmieszanie, ale nigdy radość.

- A więc dlatego zdawało mi się, że już cię kiedyś spotkałem. A spotkałem twojego pana u wrót mojego miasta. Kto jeszcze przybędzie? I po co cię tu przysłał?

- Abym nappełnił twoje żyły rozpaczą, a myśli przerażeniem. A po cóż by innego?

Simmu pochylił się znowu nad platformą.

- Rozpacz i przerażenie obce są tym, którzy żyją wiecznie. Twój pan będzie musiał wymyślić coś innego. Ale witam cię w Simmuradzie jako jego wysłannika. Dlaczego wybrał akurat ciebie?

- Ponieważ rozumiem twoją niedolę, Simmu, znam karę, jaką nałożyło na ciebie życie za to, iż uczyniłeś się jego panem.

- Simmurad to królestwo rozkoszy, dziwów i wyrafinowanej wiedzy. Jesteśmy bogami wschodniego zakątka Ziemi.

Żyrek przyglądał mu się uważnie. Zrozumiał, że z myśli Simmu naprawdę wydarto wszelkie o nim wspomnienie. Może spowodował to ból, może demony, które tak często pojawiały się w życiu Simmu. Żyrek postrzegł też okowy odpowiedzialności, w jakie Simmu był zakuty, które niegdyś chciał rozerwać, lecz których teraz prawie już nie zauważał, czołgając się pod ich ciężarem. Oczy Simmu wypełniła pustka, która po chwili ustąpiła miejsca nienawiści i błaganiu. Jak kiedyś Żyrek na próżno błagał Księcia Demonów, by nadał sens jego życiu, tak teraz Simmu błagał Żyreka - również na próżno.

Drzwi rozwarły się na oścież. Weszła jasnowłosa małżonka Simmu.

- Mój ukochany - powiedziała do niego chłodnym tonem - czemu nie dopuszczasz mnie do swoich spraw? Jestem Kassafa - zwróciła się do Żyreka - a skoro Simmu jest królem tego miasta, ja jako jego małżonka, jestem królową. A ty jesteś Żyrek, czarnoksiężnik i mag.

- Jest również sługą Pana Śmierci - rzekł Simmu. Kassafa wzdrygnęła się, klejnoty zamigotały na jej ramionach i szyi.

- Nie wierzę, by śmierć przybierała na się postać człowieka - powiedziała ochryplym głosem, w którym nagle odezwało się jej pochodzenie. - Nie sądzę też, byśmy naprawdę i nieodwołalnie byli nieśmiertelni. Myślę, że to jakaś sztuczka demonów, które bawią się naszym kosztem. Przez ostatnie lata niewielu zapukało do naszych wrót. Czyż nie przychodziłyby tu tłumy, gdyby Nieśmiertelność nie była kłamstwem? Czy naprawdę w świecie nazywają nas „Żywymi Trupami”?

- Prawdę mówiąc - odpowiedział Żyrek - w świecie rzadko wspomina się o Simmuradzie. Stał się już mitem. W istnienie waszego miasta wierzą tylko ludzie pogrążeni w rozpacz.

- Kiedy wypowiem im wojnę - wyszeptał Simmu - to uwierzą.

- Nie! - krzyknęła Kassafa. - Będiesz tutaj spał, będziesz wylegiwał się jak kot w słońcu, mój pozbawiony sił i miłości małżonku. Ty, bohater, za którego niegdyś cię uważałam. Mogę ci wybaczyć niewierność, obojętność, ale nie apatię.

Kłamała, lecz słowa same napłynęły jej do ust, zaskakując ją swą gwałtownością. Rzadko żaliła się przed Simmu. To obecność Żyreka obudziła w niej gniew i świadomość samej siebie. I nagle usłyszała w sobie pytanie: Ten przystojny przybysz... czyżbym zaczynała go kochać, zamiast Simmu? Jeśli tak, sama gotuję sobie zgubę. Miałam tylko jednego kochanka w całym swoim życiu.

Tak, przez całe lata jej dni wypełniało rozmyślanie, tkanie, jedzenie słodkich galaretek... Czyż mogło to wystarczyć jej, która potrafiła tak długo zachować szacunek do samej siebie w Ogrodzie Złotych Cór, w owym więzieniu o wiele mniej niszczycielskim niż zakrzepły raj Simmuradu?

Tak, kiedy patrzę na tego ciemnowłosego mężczyznę, serce zaczyna mi bić, brakuje mi tchu. Czuję życie. Tak, będę miłować Żyreka.

2

W Simmuradzie ucztowano noc w noc. Podawano potrawy wyczarowane zaklęciami lub porwane zaklęciami ze stołów królewskich, przechowywane za pomocą zaklęć i odświeżone zaklęciami, tak że pojawiały się na stole gorące i pachnące. W rozległym parku w samym środku Simmuradu, pośród pofałdowanych

łąk i puszystych drzew, polowali na lwy i jelenie, które padały z oszczepami w sercach, leżały nieruchomo przez chwilę, a potem zrywały się, cudownie uzdrowione, i uciekały. Gałęzie drzew, ciężkie od owoców, chyliły się prawie do ziemi. Lecz owoce nie miały smaku ani zapachu, dopóki w pobliżu nie przeszła jakaś czarownica i nie wyczarowała zaklęciem smaku i zapachu. Liście drzew i płatki kwiatów, które nigdy nie więdły, miały wszystkie ten sam wygląd - przypominały nawoskowany papier.

Niewidzialne palce wydobywały muzykę z niewidzialnych instrumentów. Grano w szachy, w których figurami byli obywatele Simmuradu, lub w warcaby pionkami z jadeitu, rzucono włóczniami i strzelano z łuku do celu. W Komnacie Gier Wojennych Simmu i jego dworzanie podbijali świat trzykrotnie w ciągu jednego popołudnia.

Raczono się odurzającymi narkotykami, sprowadzanymi z dalekich krajów za pomocą czarów. W ten sam sposób ściągano z całego świata wyborne wina i słodycze, wyszukane stroje, rzadkie księgi, godne podziwu rośliny, zdumiewające zwierzęta, a także klejnoty, broń i kosmetyki. Za pomocą magii zamieniano rośliny w wiecznie zielone i kwitnące ozdoby z woskowanego papieru, zwierzętom podawano po kropli Elixiru Nieśmiertelności, aby mieć z nich większą uciechę. A mętnego napoju życia w jakiś sposób nigdy nie zabrakło, jakby gliniane naczynie, w którym przyniesiono go z tak daleka, nigdy nie miało wyschnąć, podobnie jak nie wysycha nigdy jad w żmii.

Wiele robili, by wzbudzić w Żyrekowi podziw dla życia, jakie prowadzili, i dla wspaniałej przyszłości, jaką zamierzali osiągnąć. Lecz on był pośród nich jak cień, w którym - jak w silnym świetle - mogli w końcu dostrzec nudę

i jałowość takiego życia. Mogli uczynić tak wiele, lecz choć wciąż się do tego przymierzali, nie czynili nic. Zakrzepły stan bezpieczeństwa, w jakim się znajdowali, pozbawiał ich wigoru i odwagi. A Żyrek, choć spowity płaszczem nietykalności, zachował jednak nadzieję na jakąś odmianę, na osiągnięcie w końcu - może po stuleciach, to prawda - kresu swego żywota. Nie omieszkał im tego powiedzieć.

Nocą, po tych wszystkich polowaniach, grach, ucztach i debatach, Kassafa leżała samotnie w swojej fantastycznej sypialni i rozpamiętywała każde słowo wypowiedziane przez Żyreka, każdy

jego gest i wyraz twarzy. Komnatę oświetlały lampy, nie dlatego, by bała się ciemności, lecz aby dodać jej otuchy. Kiedyś dzieliła z Simmu łożo. Później zaczęła myśleć o zaproszeniu do pustego łoża innego mężczyzny, bo w Simmuradzie nie brakowało urodziwych młodzieńców. Lecz ogień żądz nie płonął już w niej tak jak dawniej, a w nich ledwo się tlił. W tym przynajmniej nie mylił się mądry chirurg. Wyrzekała się kochanków, lecz źródłem jej cnotliwości nie była wola i rozum, tylko lenistwo i brak pożądania. A potem pojawił się Żyrek i wstrząsnął podstawami jej leniwego, apatycznego życia.

Wiele nocy spędziła bezsennie w żółtym blasku lamp, wokół których nigdy nie krążyły ćmy, bo w Simmuradzie nie było owadów, a i niewiele ptaków tu trafiało, jakby omijały to miejsce jak zarazę. Wiele samotnych nocy. Za zdobnymi kratami okna majaczyło rozłożone na tarasach wzgórz miasto pod rzadkimi gwiazdami dalekiego, wschodniego krańca Ziemi. Fontanny szemrały martwym, szklanym dźwiękiem, liście drzew chrobotowały o siebie jak polakierowane wachlarze. W końcu Kassafa wstała, wydobyła ze skrzyń mieniące się klejnotami naszyjniki i bransolety, haftowane jedwabie i złotogłowa i zaczęła je przeglądać i przymierzać.

- Jestem tylko córką kupca w mieście czarnoksiężników - powiedziała do siebie.

Pochowała ozdoby i stroje do skrzyń i wyszła z komnaty.

Udała się do wielkiej biblioteki. Przemierzała mroczne korytarze, wspinała się po szerokich schodach oświetlonych jedynie blaskiem gwiazd. Skradała się cicho, jak złodziej, a kiedy dotarła do drzwi biblioteki, zastała je, jak zwykle, zamknięte - zamknięte przed nią. Simmu był w środku, światło lampy sączyło się przez szparę pod drzwiami, zdawało się jej, że słyszy, jak małżonek mruczy do siebie jak starzec. Podejrzewała, że go tu zastanie, bo spędzał nad księgami większość czasu.

Kassafa nauczyła się od Jolsippy otwierania najróżniejszych zamków. Sięgnęła po srebrną szpilkę ukrytą w fałdach sukni i bez trudu otworzyła drzwi.

Simmu leżał uśpiony na wąskim tapczanie, wokoło na posadzce rozsypane były zwoje i książki. Lampa dogasała, lecz rzucała jeszcze dość światła, by ukazać Kassafie to, czego pragnęła; dość światła, by mogła w sobie wzbudzić pogardę do niego. Po to tutaj przyszła: pogarda miała dodać jej odwagi do tego, co miało nastąpić. Lecz

Simmu wciąż ją pociągał, mimo woli podkradła się bliżej, a kiedy patrzyła na niego, usłyszała jak jęczy we śnie.

- Żyremie - mówił - Śmierć jest wszędzie. Ujrzałem cię martwego, pod martwym drzewem. Miałeś sznur na szyi, a deszcz zalewał ci oczy.

Kassafa nachyliła się nad nim, zafrapowana dziwnie znajomym jej imieniem. Żyrem.

W tym momencie ciało Simmu wygięło się w łuk, poszarzał na twarzy i krzyknął głośno, jakby przebito go nożem. Łzy pociekły mu z oczu, mieszając się z obfitym potem, pozlepiane kosmyki brody wyglądały, jakby już nie należały do niego, jakby spływały ze szczęk wraz ze łzami i potem... Kassafa zamarła z przerażenia i zdumienia, bo oto twarz Simmu zaczęła się zmieniać, zmieniała się skóra, zmieniał zapach, pod koszulą pojawiły się wzgórki, tak rzeczywiste, a jednak niemożliwe, nawet głowa odchyłona do tyłu, bolesny grymas, wszystko było... kobiece.

Straszliwa była to przemiana, bo dawno już do niej nie doszło. Przerazający to był widok, owe konwulsje bólu i prawie rozkoszy, po których ciałem Simmu jął targać jeszcze dotkliwszy, jeszcze bardziej potworny ból, a twarz zmieniała się co chwila - raz była twarzą mężczyzny, raz kobiety.

Kassafa nie zapomniała, jak Simmu wykorzystał już raz swą zdolność do zmiany płci w Ogrodzie Złotych Cór. Nigdy jednak nie widziała samej przemiany, nigdy do końca jej nie rozumiała, podobnie jak nigdy nie rozumiała swego męża. Teraz, przerażona widokiem metamorfozy, poczuła się również nią znieważona. Zrozumiała bowiem, że to ów czarnoksiężnik, Żyrek, wzbudził w Simmu żądzę, której ona już w nim nie wzbudzała. I czyż mogło ujść jej uwadze, że Simmu - kobieta przewyższała ją pięknnością? Nie kochający jej mążzonek mógł się stać jej rywalką.

Odwróciła się i uciekła, nie zapominając jednak zamknąć za sobą drzwi do biblioteki. Czaił się w niej lodowaty spokój. Simmu był jej wrogiem. Nienawidziła go. Nienawiść spadła na nią gwałtownie, bo Kassafa pragnęła dramatu równie mocno jak miłości.

Wspięła się po schodach do części pałacu, w której znajdowały się komnaty oddane do dyspozycji Żyrekowi. Chciała ubiec tę kobietę, która, pozbawiona świadomości spoczywała na wąskim tapczanie w bibliotece.

Komnata Żyreka wyróżniała się szczególnym przepychem i pięknem, aby wyrzeć na nim dodatkowe wrażenie. Za dnia z okien tej komnaty widać było ów ogród, w którym zesłany przez Pana Śmierć wąż zepsucia owinął się, bezsilny i posępny, wokół owocowego drzewa.

Kassafa zawahała się przed drzwiami, choć odkryła, że nie są zamknięte na klucz. Nawet tu, w Simmuradzie, i o tak wczesnej porze, Żyrek wzbudzał lęk. Lecz miłość, a w każdym razie ta forma miłości, która popychała ją teraz do działania, lekceważyła sobie ostrożność i rozwagę. Po chwili wśliznęła się więc do środka. Jej niezwykle oczy zapłonęły w ciemnej komnacie, oświetlonej jedynie blaskiem gwiazd. Spojrzała na łożo pod baldachimem.

Żyrek leżał nieruchomy jak posąg, z zamkniętymi powiekami, z rękami spoczywającymi bezwładnie po bokach, z zaciśniętymi wargami. Zaiste, zadziwiająca nieruchomość. Nawet nozdrza nie drgały mu najlżejszym oddechem. Unoszenie się i opadanie klatki piersiowej było tak nieznaczne, że przez chwilę Kassafa pomyślała, iż sługa Śmierci umarł, pomimo przechwałek o swojej nietykalności i długowieczności. Upewniwszy się jednak, że oddycha, choć tak lekko, podeszła do łoża i objęła go.

Był chłodny jak kamień i nie obudził się. Nie podejrzewała jeszcze, że utrzymuje go w tym stanie jakieś zaklęcie. Podniecona drugim dotknięciem Śmierci, zrzuciła szaty, rozchyliła koszulę Żyreka i położyła się przy nim, pieszcząc jego ciało rękami i ustami. On płonęła, on pogrążony był w zimnym śnie. Nic w nim nie drgnęło, nic nie odwzajemniło jej pieścizot. Zmęczona, drżąc z niezaspokojenia, zaczęła ronić łzy. Lecz już sama bliskość tego nieczułego ciała sprawiała jej ulgę, więc w końcu sama zasnęła.

Obudził ją świt. Otworzyła oczy i wzdrygnęła się, bo ujrzała otwarte, niebieskozielone oczy Żyreka, blisko, bliżej niż poduszka.

- Przyszłam do ciebie w nocy - powiedziała - lecz ty mnie nie zechciałeś. Na pewno myślisz, że jestem bezwstydna, ale ja nigdy nie poznałam żadnego mężczyzny prócz mojego męża, który siłą odebrał mi dziewictwo. - To kłamstwo dodało jej odwagi. - Jestem niewinna - szepnęła, poddając się bez oporu przyplýwowi namiętności - ale tobie nie potrafiłam się oprzeć.

- Nie dawałem ci do tego powodów.

- Nie zawstydzaj mnie - szepnęła, opuszczając powieki.
- Nie przybyłem do Simmuradu, by spać z kobietą.
- Może nie jesteś do tego zdolny. Nasz mądry lekarz mówił, że nieśmiertelni tracą tę zdolność.
- Umrę - powiedział Żyrek.
- A więc dość już słów, łaknę miłości.

I zaczęła go całować, i przywarła do niego, a on pomyślał, że Simmu - jako mężczyzna - kochał się z tą kobietą, i owa myśl wzbudziła w nim taką żądzę, jakiej nie mogła w nim wzbudzić sama Kassafa. Nie bez znaczenia był również tajemniczy sen, z którego się zbudził - dar od Uhluma, Pana Śmierci. Ów rodzaj snu, albo letargu, był namiastką śmierci, a w każdym razie namiastką wyobrażenia, jakie Żyrek miał o śmierci. Podtrzymujące życie organy zdawały się zamierać, zmysły opuszczały ciało między jednym oddechem a drugim. Nie niepokoiły żadne wizje senne, a jeśli nawet niepokoiły, mijały nie zapamiętane. Owe transy, w które od czasu do czasu wpadał, były niczym pograżenie się w złowrogię otchłani grobu, lecz jemu przynosiły nadzieję i odpoczynek. A kiedy się z nich budził, czuł, że żyje.

Tak więc Żyrek dał Kassafie to, czego od niego pragnęła, podczas gdy cała sypialnia nasyciała się czerwienią świtu. Później zapytała go:

- Czy zniszczysz Simmurad tak chytrze, jak zniszczyłeś moją cnotę?

- Simmurad równie łatwo jest zniszczyć. Zniszczenie już się rozpoczęło, lecz nie jest moim dziełem.

- Czy naprawdę służysz Panu Śmierci, czy też powiedziałeś tak, by wzburzyć mojego małżonka, który wmówił sobie, że jest wrogiem Śmierci?

- Służę Śmierci.

- A ja będę służyła tobie - powiedziała Kassafa; odstępstwo wzburzyło w niej krew jak uprzednio miłość. - Pomogę ci we wszystkim, uczynię, czego zażadasz. Nie zdradzam Simmu, bo przestał zwracać na mnie uwagę. Tak, każde z nas zobojętniało wobec drugiego, trudno nam nawet darzyć się nienawiścią, bo staliśmy się nieśmiertelni... jeśli to prawda. Znienawidzę jednak Simmu dla ciebie. Zresztą to głupiec. Zabrał mnie z królestwa kłamstwa, a ja uwierzyłam, że staniemy się słynni w całym świecie, on, bohater - król i ja, jego małżonka. A skończyliśmy tutaj, w miejscu, które

uważam za gorsze od królestwa kłamstwa. Zapomniano o nas, naszych imion nie wypowiedają żadne usta. Wszystko jest nierzeczywiste, wszystko, prócz ciebie, mój ukochany. Powiedz mi, jak mam ci służyć.

Przyglądał się jej zagadkowo. Nie potrzebował służby lub pomocy Kassafy, ale symbol jej zdrady miał dla niego magiczną wartość.

- Przynieś mi - rzekł - naczynie z Eliksiem Nieśmiertelności.

- Nie wiem, gdzie jest - odpowiedziała - ale odnajdę je i przyniosę, skoro tego chcesz.

Ujrzał w jej oczach błysk okrucieństwa, płomień żywego ognia pełgający po ściernisku, rozgrzewającego ją tak, jak i jego rozgrzewało własne okrucieństwo.

Simmu przebudził się, samotny, ciało miał udęczone bólem. We śnie stał się kobietą, a potem z powrotem zamienił się w mężczyznę, gdy powrócił świt, a z nim pamięć o marmurowo - metalowym mieście. Simmu wiedział, co działo się z nim w nocy, znał też przyczynę. Nie pamiętał jednak o czasie spędzonym niegdyś z Żyrekim, o ich wspólnym dzieciństwie i miłosnym związku; nie mógł pamiętać, bo Azrarn wytarł to wspomnienie z jego mózgu. Pozostały tylko jakieś okrucieństwa, widma, strzępy uczuć błakające się po jego snach, na tyle silne, by go niepokoić, zbyt słabe, by pomóc mu zrozumieć władzę, jaką miał nad nim Żyrek, nad jego myślami i ciałem. I Simmu poczuł lęk przed ręką Śmierci, która wyciągnęła się ku niemu, aby go dosięgnąć. Lęk przed Żyrekim. Lęk przed własnym ciałem, które ulegało mimowolnej przemianie i mogło go zdradzić.

Simmu opuścił bibliotekę.

Udał się do swojej komnaty, obojętny na jej przepych i obietnice najwymyślniejszych rozkoszy, otworzył srebrną skrzynię, wyjął srebrną szkatułkę, spojrzął na złożone w niej gliniane naczynie.

Miejsce ukrycia Elikiru Nieśmiertelności nie było otoczone zbyt wielką tajemnicą; każdy mógł je odnaleźć, gdyby tylko zechciał się nieco potrudzić. Teraz Simmu poczuł, że Elikir powinien być lepiej ukryty. Zaczął się rozglądać, szukając owego miejsca, powoli, lecz z gorączkowym uporem, jak nędzarz usiłujący ukryć swój skarb. A trzeba wiedzieć, że Simmu, wiecznie młody, poczuł nagle ciężar lat, nie tych, które przeżył, lecz tych, które go jeszcze czekały, tych lat,

których liczba miała być nieskończona. A poczuł to właśnie teraz, kiedy cień Śmierci padł na jego przyszłość!

Ów niepokojący paradoks i towarzyszące mu złe samopoczucie fizyczne sprawiły, że w końcu zrezygnował z poszukiwania nowego, bardziej wymyślnego schowka dla Elixiru Nieśmiertelności. Postawił srebrną szkatułę pod wysokim oknem, a sam wsparł czoło o kryształową szybę. W ten sposób ujrzał Kassafę i Żyreka stojących razem na balkonie wieży, nurzających się zuchwale w blasku poranku, jakby pragnęli, aby wszyscy ich zobaczyli.

Simmu wyczuł, co ich łączy, wyczuł spisek narodzony w mrokach nocy. Przeszył go krótki, trudny do umiejscowienia, przytłumiony i jakby odległy ból gniewu lub zazdrości, który pozostawił po sobie tylko smutek i zapowiedź jakiegoś nieszczęścia. Jakże ludzkim się stał, wraz z całym tym lękiem i zmieszaniem, tak charakterystycznym dla ludzi!

Dotknął zielonego kamienia na swojej szyi, daru Eszwa; wspomniał przyrzeczenie Ażrarna, już raz kiedyś spełnione, że zjawi się, gdy klejnot zostanie wrzucony w ogień. Lecz Simmu wiedział, że Ażrarn przestał się nim interesować, że Simmurad okazał się próbą, w której on sam zawiódł Księcia Demonów. Nie, tym razem nikt się nie zjawi, trawiony płomieniami klejnot nie przywoła nawet tych, którzy zjawili się ostatnim razem, sług Ażrarna.

Na balkonie Kassafa przytuliła się do Żyreka, który jej nie odepchnął, który odwzajemniał jej pocałunki.

Simmu pozbawiono wszystkiego, pozostało mu tylko życie. Życie i Pan Śmierć, który wypowiedział mu wojnę. A choć Żyrek, jego wysłannik, był już w Simmuradzie, sam Pan Śmierć nie mógł przekroczyć wrót miasta, bo tu jeszcze nic nie umarło i nigdy nie umrze.

Simmu podniósł srebrną szkatułę z glinianym naczyniem i nagle przyszło mu do głowy, że Śmierć wykorzysta Kassafę, by odebrać mu Elixir. Przed nią nie zdołałby nic ukryć. I pojawiwszy to, Simmu wyjął naczynie ze szkatułki, odrzucił ją, aż potoczyła się z hałasem po podłodze, wyciągnął zatyczkę z glinianej butli. Kiedyś już skosztował tego płynu, pokonując opór i lęk. Teraz przyłożył krawędź naczynia do warg i odchyliwszy głowę, z rozmysłem wypił wszystko, aż do dna. Przez chwilę czekał z odchyłoną głową, potrząsając naczyniem,

aż upewnił się, że nie pozostało już nic, ani kropli. Wtedy cisnął pustym naczyniem, aż roztrzaskało się o ścianę.

W tym samym momencie do komnaty weszła Kassafa.

Kiedy weszła, jej oczy miały barwę zmierzchu, barwę miłości, lecz wnet jej stopa natrafiła na skorupy rozbitego naczynia, a kiedy spojrzała na posadzkę, oczy zapłonęły jadowitą żółcią.

- Co uczyniłeś? - zawołała.

- Nie będzie już więcej nieśmiertelnych - odrzekł jej Simmu - a ty nie zaniesiesz miłosnego podarku Żyrekowi. Możesz mu dać tylko siebie.

Teraz oczy Kassafy przybrały barwę zielonego żelaza.

- Widziałam cię, jak spałeś - powiedziała. - Nie byłeś sobą. Widziałam kobietę. Na twoim miejscu wezwałabym demony na ratunek.

- W każdym razie - rzekł spokojnie Simmu - nie oczekuj łagodności od Żyreka, bez względu na to, co mu dasz czy powiesz. I nie jest on żadnym bohaterem, z którym tak pragniesz się związać.

Kassafa odrzuciła dumnie głowę.

- Beee! - krzyknęła. - Jesteś głupią owcą, jak ta cała reszta.

I wybiegła z komnaty, czując w piersi ucisk wściekłości i przerażenia.

4

Długi świt ulotnił się w końcu, dzień przeszedł spieszenie przez Simmurad, później zachód obsypał na krótko mury czerwonym pyłem i wnet po tym zmierzchu wypełnił ogrody i kolumnady jak niebieski śnieg, a na niebie zamigotały obce wschodnie gwiazdy.

W pałacu zapalono lampy, przygotowując się do wieczornej uczy. Ponieważ Żyrek zawsze pojawiał się na tych ucztach, przychodzili na nie prawie wszyscy obywatele miasta, szydząc z jego posępnej miny i popisując się przed nim wybuchami dzikiej wesołości. Tylko Jolsippa nie uczestniczył nigdy w tych zabawach. Tak bardzo różny od Żyreka, przywiązywał teraz szczególną wagę do swojej roli odźwiernego i przez cały czas przebywał na wieży nad wrotami, znajdując pociechę w tłustych potrawach, czerwonym winie i orgiastycznych snach pełnych zezowatych dziewcząt i młodzieńców, które zsyłała na niego pewna wiedźma.

W jasno oświetlonej sali biesiadnej szemrały fontanny, a w srebrnych klatkach ćwierkały mechaniczne ptaki. Żyrek pojawiał się

zawsze nieco później, a kiedy wchodził, wkraczał z nim na salę ów cień, który mroził i drażnił Nieśmiertelnych. Tego wieczoru cień był jeszcze głębszy i jeszcze bardziej mrozący niż zwykle. Przeznaczenie zdawało się stąpać tuż za Żyrekim, spowite chłodnym milczeniem.

Żyrek miał na sobie czarno - złoty napierśnik, zdobyty na dworzanach Habhezura, a na nim naszyjnik z czarnym skarabeuszem zrabowany z grobowca jakiegoś cesarza. W ręku trzymał glinianą skorupę. Podeszedł powoli do srebrnego tronu, na którym Simmu siedział bez ruchu, wpatrując się w niego.

- Zaoszczędziłeś mi pracy - rzekł Żyrek do Simmu, ale usłyszeli go wszyscy. - Zastanawiałem się, jak zniszczyć ów Elikzir Życia, a ty sam rozwiązałeś mój problem, wypijając go do ostatniej kropli. Oto skorupa z potrzaskanego naczynia, w którym go przechowywano.

W sali wybuchł krzyk. Niektórzy wołali, że Żyrek kłamie i wzywali Simmu, by mu zaprzeczył. Inni, zapominając szybko, że uznali Simmu za swojego króla, obrzucali go obelgami. Pytano, jaki miałby teraz być cel podboju świata, skoro ludzie nie mieliby odnieść z tego żadnej korzyści.

Simmu powstał. Wszyscy się uciszyli, pragnąc usłyszeć z jego ust słowa zaprzeczenia lub usprawiedliwienia.

- Nie będzie już więcej nieśmiertelnych - powiedział im, jak już powiedział Kassafie. - Jesteśmy pierwszymi i ostatnimi. Tak, to prawda, wypilem Elikzir do ostatniej kropli. - Tym razem przyjęli to milczeniem. - A stało się tak za przyczyną tego oto człowieka, Żyreka, który wsączył mi w serce takie zwątpienie, taką trwogę, że nie mogłem już dłużej trwać w dobrowolnej ślepotcie. Nasze życie nie ma żadnej wartości. Jesteśmy jak ptaki, które nie potrafią latać, jak drogi, które wiodą donikąd, które giną w piaskach pustyni.

Nikt mu nie zaprzeczył. Spodziewał się, że to uczynią, może nawet miał taką nadzieję, może oczekiwał sprzeciwu wobec swego posępnego oświadczenia. Usłyszano tylko, jak mądry chirurg mruczy, że przynajmniej jego życie wcale nie jest bezwartościowe, że ma przed sobą wiele do zrobienia dla dobra ludzkości. Lecz jego głos ledwo był słyszalny, a każde zdanie urywało się, nie zakończone, podobnie jak wszystkie jego badania i doświadczenia.

- Nie - powiedział Simmu. - Stan, jaki osiągnęliśmy, jest nieodwracalny. Nie pojmuję, dlaczego tak jest, iż całkowite bezpieczeństwo odarło nas z naszych najlepszych cech. Ale tak jest.

Żyrek otworzył mi oczy. Nie wiem, jaką drogę obrać. Boję się, lecz nawet mój lęk jest gnuśny i jałowy.

Teraz znowu wybuchła wrzawa, jak wówczas, gdy Żyrek ogłosił im straszliwą wieść.

- Któż pragnie śmierci?

- Życie dla samej przyjemności lepsze jest od utraty życia!

Simmu usiadł i nie odpowiadał na te okrzyki, milczał też Żyrek, który stał przed jego tronem, posępny jak gęstniejąca już noc. Kassafa nie odrywała spojrzenia od Żyreka, jej oczy płonęły przedziwną, ciemniejącą purpurą. Powieki miała powleczone złotem, we włosy wplotła kwiaty i szafiry. Uczyniła to dla niego, lecz on nie zwracał na nią uwagi. Kiedy powiedziała mu, że Simmu wypił Elixir Nieśmiertelności do ostatniej kropli, Żyrek tylko pokiwał głową. Teraz ogarnął ją lęk o siebie. Poczwała, podobnie jak każdy na tej sali, oddech unicestwienia na karku - negację, jeśli nie śmierć. A patrząc na Żyreka, mówiła mu spojrzeniem: „Ukochany, będę twoją niewolnicą. Nie odtrącaj mnie, nie potępiaj”

Wówczas przemówił Żyrek.

- Nikt z was nie musi się niczego bać, bo śmierć nie może wejść do Simmuradu. Nigdy nic tu nie umarło i nigdy nie umrze, bo wszystko jest nieśmiertelne, nawet trawa na waszych łąkach i lwy w waszych myśliwskich parkach. A Uhlum, Pan Śmierć, może kroczyć tylko po śladach śmierci.

I uśmiechnął się do nich, a oni cofnęli się przed nim, nawet magowie i mędracy odstąpili od niego z trwogą. Ich twarze stężały, jak twarze ludzi, których Żyrek raczył niegdyś w swoim domu trucizną. I chyba nie było pośród nich takiego, kto by nie podejrzewał, co Żyrek zamierza teraz uczynić, a nikt nie był w stanie mu w tym przeszkodzić. A to, co zamierzał uczynić, było gestem symbolicznym, choć miało niszczycielską moc, jak każda postać współczulnej magii.

Zaczął więc.

Zdjął z szyi naszyjnik ze skarabeuszem i położył go na posadzce. Wszeptał słowa zaklęcia; w tej sali pełno było magów i z pewnością kilku mogło znać te słowa. Klejnoty zadrgały - Żyrek splunął na nie - ich lśniące fasety powlekły się matowym połyskiem obsydianu, a potem zaczęły toczyć się po posadzce z cichym klekotem. Skarabeusz ożył.

- Tak - rzekł Żyrek - Pan Śmierć nie może wejść do Simmuradu, dopóki coś tu nie umrze. Myślę, że dlatego nikt z was nie opuścił dotąd tych murów. Choć mówicie, że nie musicie unikać Pana Śmierci, wciąż go unikacie.

Kroczył powoli za czarnym żukiem. Pozwolił mu krążyć między nogami stołów, wpełzać pod jedwabne draperie, ale wciąż za nim szedł. Pośrodku sali żuk zatrzymał się, by zbadać czerwony kwiat, który wypadł z rąk jakiejś kobiecie. Wówczas Żyrek postawił na nim bosą stopę. W zalegającej ciszy wszyscy usłyszeli trzask miażdżonego pancerza. Żyrek cofnął stopę. Wszyscy wyciągnęli szyje, by ujrzeć to, czego tak się bali, pokruszone szczątki żuka wdeptane w płatki kwiatu. Ze wszystkich ust wydobył się zduszony jęk. Śmierć dosięgła Simmuradu. Pan Śmierć mógł już nadejść. Ryk gwałtownego wiatru wypełnił pałac, jakby oznajmiał jego nadejście.

Czarnoksiężska moc Żyreka trzymała wszystkich w swoim uścisku. W chwili gdy panika ogarnęła nieśmiertelnych, popychając do nagłej ucieczki, nikt nie był w stanie się poruszyć. Nawet oczy im zastygły, utkwione w owej maleńkiej martwej rzeczy pośrodku sali. Tylko Żyrek podniósł głowę, spoglądając na Simmu, znieruchomiłego jak cała reszta, lecz nie odartego z wyrazu. Simmu, który stawiał czoło Panu Śmierci, który go uderzył, który rzucił mu w twarz wyzwanie, Simmu rozwarł usta w skrajnym przerażeniu. Już nie odnajdywał rozkoszy w tej walce. Żyrek odarł go ze wszystkiego, król był nagi, prawda ugodziła go jak miecz.

Wicher uderzył wściekle w okna cytadeli, druzgocąc kryształowe szyby. Wdarł się do sali, potoczył po posadzce jak żywa istota, zawirował, osiadł w jednym miejscu i ukształtował się w ludzką postać. Uhlum, Pan Śmierci, stał w samym rdzeniu Simmuradu, Miasta Nieśmiertelnych.

- Witaj, Panie wszystkich Panów - pozdrowił go Żyrek. - Ci ludzie nie mogą ci się pokłonić, bo sprawiłem, by nie byli zdolni uczynić niczego. Obróciłem przeciw nim ich własną duchową niemoc. Przedtem przypominali figury z wosku, teraz zamienili się w kamienne posągi, niezdolne uciec przed tobą albo okazać ci szacunek. Nie czują niczego, widzą jednak i słyszą. Wypowiedz swój wyrok, panie mój i władco.

Nawet w takiej godzinie triumfu Uhlum pozostał niewzruszony. Rozejrzał się jednak wokół, przypatrywał się długo wszystkiemu. W

jego pustych białych oczach czaił się głód, nawet żądza, kiedy spozierał w twarze każdego z tych, którzy śmieli mu się przeciwstawić.

W końcu powiedział:

- W parkach widziałem zwierzęta, mogą zostać oszczędzone. To ludzie zaciągnęli wobec mnie dług, a wypowiadając mi wojnę, uczynili to z pełną świadomością. Jak zwykle, w tej sali kogoś brakuje.

Żyrek rozejrzał się. Nie było Kassafy.

- Wyśliznęła się z pęt mojego zaklęcia w nie znany mi sposób, ale i tak schwytam ją szybko w Simmuradzie. Jeśli chodzi o zwierzęta, to wygnam je z miasta, jeśli taka jest twoja wola.

- Będą żyć w Śródziemiu - rzekł Uhlum. - Jest tam pewna kobieta, która je doceni, a może będzie na nie polować.

- Spełnij jedno moje życzenie, panie - powiedział Żyrek - zanim skończę służbę u ciebie.

- Wypowiedz je.

- Simmu, który mienił się twoim wrogiem, jest mi również coś winien. Chciałbym zgotować mu los inny od losu całej reszty. Gorszy los.

- Okrucieństwo - rzekł Uhlum nieubłaganym tonem - jest twoim pozywieniem, nie moim. Nawet teraz.

- A więc pozostawisz to mnie? Tak, panie mój, zamierzam dokonać aktu takiego bestialstwa, by szarpało mi i zżerało duszę i mózg przez te wszystkie żalosne stulecia, jakie mi jeszcze pozostały do przeżycia. Tylko to uchroni mnie przed szaleństwem, wściekłość, cierpienie i żal. Póki bije mi serce, musi krwawić, bo inaczej nie mógłbym znieść tego, co niechybnie mnie ogarnie, owego odrętwienia, które ukoić może tylko ból. Daj mi Simmu, mój panie, pośród innych twoich darów.

- Weź go - rzekł Pan Śmierć. - A potem oddaj mi cały Simmurad we władanie.

Kassafa biegła przez uśpione aleje i ogrody Simmuradu. Cienie były wobec niej miłosierne, otulając ją, ukrywając przed jakimkolwiek nadprzyrodzonym lub dalekowzrocznym okiem. Lecz gdy biegła marmurowymi ulicami, gwiazdy były już mniej miłosierne, a kiedy wzeszedł księżyc jak jabłko z zielonego jaspisu, ogarnęła ją rozpacz. Widząc jednak, że nikt jej nie ściga, uspokoiła się, i, zaiste,

jej opanowanie godne było podziwu. Nie wiedziała, że jest w pułapce i że nie może się z niej uwolnić.

Opuściła salę biesiadną w chwili, gdy wichura potrzaskała okna. Nie wiedziała jeszcze, co robi, niczego nie planowała, uciekła instynktownie. W jaki jednak sposób udało się jej wyrwać z klatki hipnotycznego zaklęcia? Mędracy i magowie odrętwieli i wpadli w trans. Ona, choć odczuwała ciężar zaklęcia, zdołała jednak wyrwać się spod jego czaru mocą obłąkańczego strachu. Oczywiście nie była tylko zwykłą córką kupca. Nie poddała się zaklęciu Żyreka z tego samego powodu, z którego nie omamiły jej ani ułudne wizje Ogrodu Świętej Studni, ani czar Eszwa, jakiego użył tam Simmu. Krew jej drugiego ojca - błękitne dziedzictwo żywiołu nieba - uodporniła Kassafę na ziemską magię. Nie zobaczyła Uhluma, ale wyczuła jego nadejście. Podobnie jak cały Simmurad tej nocy, choć nieśmiertelna, kurczyła się ze strachu przed Śmiercią.

Pobiegła do bramy, zarówno po to, by przez nią uciec, jak i po to, by szukać pomocy u Jolsippy, jedyne go wolnego jeszcze człowieka w całym mieście. Prawdę mówiąc, bardziej potrzebowała towarzystwa Jolsippy niż jego wątpliwej bystrości i pomysłów. Ona też czuła się zdradzona. Nie miała jeszcze czasu, by odczuwać żal.

W pobliżu bramy minęły ją trzy nakrapiane lamparty. Złote pierścienie ich oczu w jakiś abstrakcyjny sposób pozbawiły ją resztek otuchy. Podejrzewała, że znalazły - albo otrzymały wspaniałomyślnie - jakieś wyjście ze śmiertelnej pułapki, wyjście, którego ona na razie nie dostrzegała.

Droga biegła teraz po zboczach góry, na której wznosiły się spiżowe wrota Simmuradu, zamknięte i połyskujące groźnie w świetle księżyca. Kassafa wspięła się po schodkach wiodących na szczyt murów i przez małe drzwi weszła do wartowni przed bramą.

- Jolsippo! - zawołała. - Simmurad jest zgubiony! Lecz Jolsippa leżał na tapczanie, na przemian czkając i chrapiąc.

Kassafa złapała za stojący obok tapczanu dzban i obróciła go do góry dnem nad głową Jolsippy, bez spodziewanego skutku, bo dzban został już opróżniony z wina. Wymierzyła mu więc parę siarczystych policzków, gdy wtem z oddali dobiegł złowieszczy huk grzmotu, a kamienna posadzka pod jej stopami zadrżała.

- Jolsippo, obudź się i bądź przeklęty! Simmurad ginie... szybko otwieraj wrota, musimy uciekać!

Jolsippa obudził się i zapytał roztropnie:

- Kto zdobył miasto?

- Śmierć je zdobyła, w zмовie z Żyrekіem. Czeka nas straszliwy los, nie wiem jeszcze jaki, ale jestem przerażona.

Jolsippa oblał się potem i pokuśtykał do dźwigni uruchamiających wrota.

- A co z Simmu? Czyż już raz nie stawił czoła Śmierci, jak prawdziwy bohater?

Kassafa wydała z siebie krótki wrzask, który mógł się komuś wydać śmiechem. Nagle łzy pociekły jej po policzkach, choć sama nie była pewna, kogo lub co oplakuje. Krzyknęła na Jolsippę, aby się pospieszył. Jolsippa rozglądał się jednak niespokojnie.

- Bogowie, którzy nie darzą mnie swą łaską, chcą się teraz nasycić zemstą. Mechanizm nie działa.

- Och, to z pewnością jeszcze jedna sprawka Żyreka! - zawołała Kassafa.

Podbiegła do Jolsippy i razem z nim napała na dźwignię, ale brama nie chciała się otworzyć.

- Może uda się nam jakoś zejść z portalu nad bramą?

- Zbyt duża wysokość i zbyt stromy mur. Niech będzie przeklęty głupiec, który go zaprojektował.

Wyjrżeli jednak przez ukryte okienko, aby zobaczyć, co im grozi.

Z początku noc wydawała się spokojna i niewinna, ciemne niebo nad nimi i szczyty gór wokół nich, a w dali połysk rozległego morza. Lecz wkrótce ponownie przetoczył się grzmot, a odbłask księżyca na powierzchni morza pofałdował się i porzszczępiał jak potrzaskane zwierciadło.

- Morze - jęknęła Kassafa.

- Tak, jest niespokojne - zgodził się Jolsippa.

- I o wiele bliższe niż zwykle.

Jolsippa wyciągał szyję i mrużył oczy, ale w duchu bał się zobaczyć to, co miało potwierdzić ich podejrzenie. Bo oto ocean, szary i zimny, jakby wzburzył się w swych trzewiach, tam, gdzie nieznane są barwy i gdzie nie słyszano o ciepłe, wrzał i kołysał się, przybierając u samego podnóża gór. Co jakiś czas olbrzymia fala uderzała wściekle w ścianę skał, a poziom wody zdawał się nieustannie podnosić, wypełniając pusty zbiornik nocy.

Żyrek, który wewnątrz wydrążonego grynszpanowego posągu poznał wiedzę tajemną i czarnoksiężskie zaklęcia ludu morza, wezwał wody lodowatego, pierwotnego oceanu wraz ze wszystkim, co w sobie kryły.

Bałwany zboczyły ze swego zwykłego kierunku, wyzwalając się spod mocy księżyca, który nawet wówczas, w epoce płaskiej Ziemi, rządził ruchem słonych wód, zarówno zielonych, jak i czerwonych. Gdzieś z głębin oceanu napierała i wypiętrzała się gigantyczna fala. Otworzyła się jakaś podwodna śluza, a może została strzaskana. Fale wzbierały, wybuchały, czerpiąc impet z mrocznej otchłani. Morze wdzierało się w głąb lądu, pochłaniając wschodnie wybrzeże, jego plaże i marmurowe klify. Lecz tym, czego łaknęło naprawdę, był Simmurad.

Żyrek stał na wysokim dachu, u jego stóp leżał Simmu - jego zdobycz - nieruchomy jak zamarznięty trup. Żyrek schlebiał morzu słowami starożytnych i nieprzetłumaczalnych zaklęć oceanicznych. Nie czuł nic, lub niewiele, poza niehumanitarną mocą. Upojenie zwycięstwem już nabrało goryczy. Pan Śmierć odszedł, jego pragnienie zemsty zostało zaspokojone, jeśli w ogóle je odczuwał lub jeśli zemsta naprawdę była jego celem. Lecz morze odpowiedziało na wezwania Żyreka.

Morze wypełniało niższe doliny Simmuradu z radosnym bulgotem, przelewając się przez wysokie mury i wałąc w dół, tak że ryk tysięcy wodospadów i ulewnej burzy był wspaniałym tłem dla grzmotu niebosiężnych grzywaczy atakujących góry.

Woda wśliznęła się prawie bez odgłosu do sali biesiadnej w królewskiej twierdzy. Zatopiła już zielony obelisk przed bramą twierdzy; dosięgła słów JAM JEST i połknęła je z lubością.

Kiedy morze pokryło podłogę sali, załamując się na smukłych pęcinach nieśmiertelnych kobiet, odrażających stopach mędrców i wysokich butach wojowników, nawet nie drgnęli. Kiedy morze nabrało śmiałości, obejmując ich kończyny i torsy, gładząc je i pieścąc, również się nie poruszyli. Schwytani w sidła, zahipnotyzowani, nie czuli coraz śmielszych zalotów morza, choć zdawali sobie z nich sprawę. A kiedy woda dosięgła ich podbródków, ich ust, kiedy wdarła się w ich nozdrza, gardła, do płuc, nie krztusili się i nie zachłystywali, a ich oczy były niby matowe otoczaki. Podatni

na ciosy i zranienia, tonęli; nieśmiertelni - żyli nadal po utonięciu, ale życie nie miało już dla nich wartości.

Oblepiły ich nieskończenie małe stworzenia - oceaniczni budowniczy. Koral tego morza miał barwę białą. Budowa raf zwykle trwała całymi latami. Na wezwanie Żyreka zgromadzili się jednak wszyscy budowniczy raf i wnet każdy nieśmiertelny mieszkaniec Simmuradu został pokryty kolczastym, białym korałem od stóp po czubek głowy, każdy zapieczętowany w swoim własnym więzieniu.

Żyrek zgotował Simmuradyjczykom to, co w nich ujrzał, ich martwość, ich skamienienie. Byli woskowymi figurami. Teraz stali się posągami z wapienia. Nie mogli umrzeć. Lecz Pan Śmierć odniósł nad nimi triumf.

Teraz morze sięgnęło już sklepienia sali, a prymitywne ryby, które w nim żyły, przemykały się tam i z powrotem przez wyłamane okna.

Lecz morze miało jeszcze przed sobą drogę do pokonania, bo musiało zatopić najwyższe wieże miasta. Teraz jego szum nabrał łagodności i niemal uwodzicielskiego czar. Teraz całowało, zanim pożarło.

Dotyczyło to, w każdym razie, Kassafy, bo w miarę, jak woda leniwie wspinała się ku niej po schodach wieży, zawodziła i uspokajała ją śpiewnie, próbując wymusić na niej dobrowolne poddanie się.

Jesteśmy zgubieni - powiedziała z żalem. To zagadka, na którą nie znam odpowiedzi - zgodził się ponuro Jolsippa - bo przecież nie możemy zatonać, a jednak musimy. I choć życie miejskie bywa czasami nużące, nie chciałbym jednak zostać pozbawiony zmysłów. Mogłabyś jednak nie podwyższać poziomu wody swymi łzami.

- A ty przestań mnie pouczać - warknęła Kassafa. - Jesteś za głupi, by wymyślić coś, co by nas uratowało, a mnie nie nauczono niczego pożytecznego i też niczego nie wymyślę.

Kassafa stała na najwyższym stopniu schodów, przed drzwiczkami do wartowni, od wody dzieliły ją już tylko trzy lub cztery stopnie, nad nią czerniało obojętne niebo z gwiazdami spoglądającymi na nią bezlitośnie.

- Wy też nie ześlecie mi pomocy! - krzyknęła do gwiazd.

I wówczas ujrzała bladokrzydłą mewę krążącą między nią a gwiazdami.

Mewę, która drzemała na jakimś odległym brzegu, obudziły wzbierające wody oceanu. Znalazłszy się w nienaturalnym świetle potopu, ptak również zachowywał się nienaturalnie i nocą wzbił się w powietrze. Jego ciekawość wzbudziły też fosforyzujące ryby, a może również aura oceanicznej magii. Teraz poczuł, że działa na niego jakaś inna moc i poddał się jej bez wahania.

To Kassafa wpatrywała się w mewę, wabiąc ją do siebie czarem Eszwa, którego nauczył ją Simmu. Lecz kiedy już trzymała ją w dłoniach, wyczuwając pod palcami grubo upierzone boki i patrząc na jej złowieszczy profil, zaczęła gorączkowo myśleć - co dalej? Potrafiła wdrzeć się do mózgu ptaka i przekazać mu wiadomość, nie korzystając ze słów, lecz do kogo miałyby wysłać go z wezwaniem o pomoc i kto zrozumiałby przesłanie przekazane zakrzywionym dziobem i skrzydłami? Zachwiała się, a mewa wykorzystała to, dziobnęła ją w rękę, wyrwała się z jej uścisku i wzbiła w powietrze. Lecz niemy krzyk Kassafy o ratunek przywarł do ptaka jak fosforyzująca farba, wystarczająco wyraźnie, by jej przesłanie mogło odczytać jakieś ziemskie medium lub nieziemska istota.

Kassafa nie знаła swojego prawdziwego pochodzenia, nie wiedziała o pocałunku niebiańskiej istoty, który pocałował ją w łonie matki. Nie wiedziała też o tym rozzłoszczona mewa, wzbijając się prosto w niebo. Zaś dla wędrujących żywiołów Niższego Nadziemia ludzkość była gatunkiem ruchomego mułu, który bardzo rzadko, i zwykle tylko dzięki niezwykłemu przypadkowi, wzbudzał ich ciekawość.

Kilka takich niebiańskich istot pławiło się w księżycowym blasku na pewnej eterycznej równinie, niewidocznej dla człowieka, kiedy nagle śmignęła między nimi mewa. Natychmiast, z pewnym mglistym i sennym zdumieniem, zauważyły na upierzeniu ptaka wyraźnie odcisnięte błaganie Kassafy o pomoc. Zapewne mogły je zlekceważyć, zdobywając się na parę bladych westchnień, lecz oto z zakrzywionego dzioba mewy spadła kropla krwi na przezroczystą skórę jednej z nich. Ten zaś - a możemy tak powiedzieć, bo choć żywioły Niższego Nadziemia nie posiadały płci, to jednak w jakiś sposób bardziej przypominały osoby męskiego rodzaju - spojrzął na kroplę i powiedział:

- Ten płyn życia pochodzi od jakiegoś nieśmiertelnego. A choć nie jest fioletowy, lecz raczej szkarłatny, czuję w nim domieszkę naszej krwi.

To je zaintrygowało, więc zaczęły leniwie opadać ku Ziemi i wnet ujrzały wzburzone morze, sięgające już szczytów gór, i Kassafę, teraz już po kolana w wodzie, miotającą przekleństwa ku niebu, podczas gdy Jolsippa, na odmianę, ganił władców Śródziemia.

Żywioty nieba ześliznęły się niżej i wynurzyły głowy ze swoich rozmigotanych, zwiewnych płaszczy.

- Nie bluźnijcie! - upomniały dwójkę zrozpaczonych Ziemiaków z bezbarwnym rozzaleniem, bo zawsze były uprzejme wobec bogów.

- A więc uratujcie nas! - krzyknęła Kassafa, chwytając za parę eterycznych stóp, oszalała ze strachu, nie dbając o to, do kogo zwraca się o pomoc.

Żywioty ujrzały jej zakrwawione palce, a także jej niezwykłą piękność i rozpoznały w niej istotę pokrewną im w daleki sposób.

- Tobie moglibyśmy pomóc - powiedziały, pieszcząc jej długie włosy - ale nie mamy ochoty zajmować się tym drugim.

„Ten drugi”, czyli Jolsippa, skłonił się nisko w wodzie.

- Już czuję, jak moje kolana pokrywa warstwa koralu. Wiem, że czeka mnie los żyjącego trupa. Pragnę tylko, abyście wiedzieli, że to dziewczę czeka gorzkie utrapienie, jeśli się rozdzielimy.

Wtedy Kassafa przypomniała sobie nagle, jak kiedyś rozdzieliła się z Simmu i jej powolne dotąd łzy zaczęły płynąć tak szybko, jakby sama stała się morzem. I zrozumiała, że zawsze płakała z tęsknoty za Simmu, choć o tym nie wiedziała.

- Spójrzcie tylko - powiedział Jolsippa - jak to dziewczę rozpacza na samą wzmiankę o rozstaniu się ze mną.

Dwie niebiańskie istoty pochwyciły Kassafę za kibić. Pomimo obfitości słodczy, jakie pochłaniała, wciąż była smukła i lekka, prawie tak, jakby kości miała wewnątrz puste, podobnie jak jej eteryczni krewniacy. Uniosły ją delikatnie, wolnymi rękoma ocierając jej łzy z policzków.

- Nie płacz. Twój gruby i odrażający towarzysz też zostanie uratowany.

Lecz ona myślała o Simmu w niewoli Uhluma i nie przestawała zalewać się łzami, gdy uniosły ją w powietrze.

Woda sięgnęła już szerokiej piersi Jolsippy, wokół niego krążyły ryby, a koral, posłuszny rozkazowi Żyreka, krystalizował się szybko na jego stopach i łydkach, a nie był to bezbolesny proces.

Żywioty płały wokół jego głowy, pragnąc opóźnić chwilę, w której będą musiały go dotknąć. Kiedy morze napełniło jego uskarżające się usta, uniosły go, chwytając za ubranie, włosy i brodę. Były o wiele silniejsze, niżby się wydawało sądząc po ich eterycznym wyglądzie, ale i tak trzeba było z tuzina istot, aby go dźwignąć. Oszołomiony i przerażony, na przemian błogosławiąc i przeklinając swoich wybawców, Jolsippa też został porwany z Simmuradu.

W ten sposób Kassafa i Jolsippa uniknęli losu całego miasta i jego mieszkańców. Czy pozbyli się Uhluma, to już całkiem inna sprawa.

Nie wiadomo, w jaki sposób Żyrek opuścił Simmurad. Niezależnie jednak od tego, czy wybrał powietrze, czy morze, wędrował chyżo, unosząc ze sobą Simmu. A Simmu, wciąż pogrążony w hipnotycznym transie, widział wszystko, tak że ostatnią wizją Simmuradu, jaką ujrzał swoimi nieruchomymi oczami, były jaśniejące wieże pod niemniej jaśniejącą wodą. Trudno powiedzieć, czy ów widok napełnił go perwersyjną radością, czy żalem albo czy w ogóle wywołał w nim jakiegokolwiek uczucie.

W końcu doścignął ich świt. Pojazd, jakiego użył Żyrek, osiadł w jakiejś dolinie, daleko na zachód od zatopionego miasta. Nie widać tu było nawet śladu wody. Była to niecka skalna, ozłocona słońcem, zaróżowiona cieniem i wypełniona poszumami wiatru, i do tej pory nigdy nie nawiedziło jej nic prócz słońca, cienia i wiatru.

Żyrek dotknął skroni Simmu pierścieniem z elektrum, a jego warg pierścieniem z zielonego kamienia.

Simmu wydobył się z odrętwienia. Zamrugął oczami, w które ugodziło słońce.

Żyrek rzekł spokojnie:

- Przeżyłeś swoich dworzan, ale nie spodziewaj się po mnie współczucia. Zamierzam cię zniszczyć. Słyszałeś już, co na ten temat powiedziałem i od tego czasu nic się nie zmieniło i nigdy nie zmieni.

Twarz Simmu była biała, a jego ruchy niespokojne.

- Jeśli chcesz poznać, czy czuję przed tobą lęk - powiedział - to powiem ci od razu: tak, boję się ciebie. A jednak ze strachem miesza się poczucie jakiejś dziwnej zażyłości. Może dlatego, że stałeś się moim przeznaczeniem. W jaki sposób mnie zniszczysz?

- Wkrótce się przekonasz.

- Zapewne. Lecz w Simmuradzie wspominałeś o długu, jaki jestem ci winien.

- Nie widzę celu, by ci o tym mówić. Bądź jednak pewien, że mi go zwrócisz.

- Mogę ci uciec.

- Nigdy.

Żyrek pozostawił Simmu w cieniu skały i odszedł na odległość stu kroków.

Simmu leżał tam, gdzie go Żyrek pozostawił, przepelniony słabością i oszołomieniem, odarty z instynktu samozachowawczego. Spoglądał na Żyrek, wokół którego wzbijały się kłęby dymu. Działy się jakieś czary. Żyrek nie patrzył na swego jeńca, lecz Simmu czuł na sobie niewidzialne pęta.

Blask słońca zaległ nad doliną jak złota powierzchnia stawu. Simmu zapadł w niezdrową, gorączkową drzemkę.

Śnił, że siedzi na zboczu wzgórza, grając na flecie, który zrobił sobie z trzciny. Słodkie tony fletu zwabiły do jego stóp najróżniejsze rodzaje zwierząt, a na końcu nadszedł młodzieniec, młody kapłan w żółtej szacie, bosy, o czarnych włosach. Był to Żyrem, przypomniany we śnie, zapomniany na jawie. Usiadł obok Simmu, a ten - we śnie - natychmiast przemienił się bezboleśnie w kobietę.

Fizyczne ciało Simmu, śniącego ów sen, nie podlegało jednak tej przemianie, a nawet nie próbowało się przemienić. Utracił nagle tę zdolność. Pozbawiony został ostatecznie tej jedynej, przedziwnej cechy swego ciała, która właśnie teraz, w tej godzinie, mogła przynieść mu wybawienie. Może spowodował to Żyrek, nastrój, w jakim się znajdował, a może powracający strach przed Panem Śmierci. Cokolwiek jednak było tym rabusiem, ogołociło go do cna.

Pograżony we śnie, uśmiechając się lekko do swojej zapomnianej miłości, Simmu nie wiedział, że nie miał już niczego.

CZEŚĆ PIĄTA:

W ogniu

1

Miejsce przypominało ogród. Poza wysokimi kamiennymi murami widać było tylko niebo powleczone bezgwiezdą czernią. Ziemię pokrywał drobny zielony piasek, a w czterech rogach ogrodu płonęły cztery mosiężne lampy, wydobywając z ciemności czarne drzewa z pomarańczowymi owocami i krzewy wydzielające dziwną woń, oświetlając również kamienną studnię pośrodku, w której głębi zdawał się jarzyć ogień, nie woda.

Pod jedną z lamp siedziała kobieta. Miała twarz może nie piękną, lecz młodą i gładką, jej oczy były zadziwiająco świetliste, pozbawione szczelin zęby bielsze niż sól, a włosy długie i brązowe, które mogły być jej chlubą, gdyby nie utraciły połysku i gdyby nie wplecione w nie metalowe pierścienie i kawałki kości. Było jednak coś dziwnego w tej kobiecie, ponieważ ręce miała nadzwyczaj chude, pomarszczone, barwy wyprawionej skóry, takie same były też jej stopy. Przyodziana była w brudne skóry. Co więcej, kobieta owa wyciskała jad z pyska złotego węża, spoczywającego na jej podołku, a gdy dzbanuszek napełnił się jadem po brzegi, zamamrotała coś do siebie, a jej głos był głosem staruszki.

Nie pojawił się nikt widzialny w ogrodzie lub w ciemności poza murami, lecz nagle wiedźma uniosła głowę i rozejrzała się bacznie wokoło.

- Kto jest u moich drzwi? - zaskrzeczała.

- Ktoś, kto już raz przez nie wszedł - nadpłynęła odpowiedź z powietrza, po czym nad piaskiem pojawił się kłęb dymu, który wnet przybrał postać mężczyzny.

Miał czarne włosy i czarną szatę, ręce skrzyżował na piersiach, na których migotało złoto, spoglądał na nią najzimniejszymi z oczu, jakie wiedźma kiedykolwiek widziała.

- No, no - zaskrzeczała przymilnie - musisz być ojcem wszystkich czarnoksiężników, skoro zdołałeś wejść do mojego ogrodu, bo jest on chroniony przez takie zaklęcia, których nikt jeszcze nie przełamał, chyba że za moim przyzwoleniem. Tak, musisz być mądrzejszy bardziej, niż ta noc jest czarna, a twoja moc jest niezwykła.

- Nie zaprzeczę temu - rzekł Żyrek czarodziej.

- Czego więc oczekuje po mnie ów potężny mag?
- Zakosztować mocy tej studni, już po raz drugi.
- Ach! Teraz przypomniałam sobie to dziecko, miało ze cztery, może pięć lat, piękne, o cienistych włosach i oczach jak chłodna woda... Oczach, które teraz przypominają dwa sople lodu z zimy świata.

- Ja też sobie to przypominam - rzekł Żyrek. - Kiedyś mi o tym opowiadano, a teraz powróciło do mnie ze wszystkimi szczegółami.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz obarczać mnie swoim rozczarowaniem. Ostrzegałam twoją matkę, kiedy zapragnęła uczynić cię niepodatnym na ciosy i zranienia, ale mnie nie słuchała.

- I oddała ci w zamian swoje białe zęby.

- Zawsze biorę taką zapłatę. Nazbierało się tego przez lata: te włosy należały kiedyś do pewnego księcia, skóra do pewnej pięknej dziewczyny, a rysy twarzy do innej dziewczyny, może nie tak pięknej, ale młodej. A gdybyś był w bardziej przyjaznym usposobieniu, pokazałabym ci mniej widoczną rzecz, którą nabyłam od takiej, co odrzuciła wszelką miłość, choć nieźle była do niej wyposażona. W taki właśnie sposób zdobywam sobie nieśmiertelność, zszywam ją z małych kawałków, nie dbając o boską zasadę równowagi i proporcji. I choć jesteś bardzo mądry, mój panie, zwłaszcza co się tyczy owej równowagi, to w tym jednym chyba jestem od ciebie mądrzejsza.

- Jesteś wiedźmą - odpowiedział, ale bez złośliwości. - Czy ogień wciąż tam płonie?

- Będzie płonął, dopóki Ziemia będzie płaska. To ogień stary, ale jary. Pamiętasz o wszystkim? Pamiętasz, że tylko dziecko może znieść te płomienie, bo sycą się niegodziwością i wiedzą? Masz takie niemowlę, które chcesz skąpać w owym ogniu?

- Najpierw musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Co się stanie, gdy w tej studni zanurzy się ktoś, kto już raz w niej był?

- Ach... - westchnęła wiedźma z lubością. - A więc o to ci chodzi? Odpowiedź możesz uzyskać natychmiast. Skocz do studni, a powrócisz z niej nietknięty. Zaiste, natychmiast wyrzyga cię ze swych trzewi całego i zdrowego, nawet jeden włos ci nie spłonie. Skoro już raz byłeś w tych płomieniach, nawet one nie mogą ci uczynić krzywdy. Od stóp po czubek głowy okrywa cię niewidzialna zbroja, czcigodny czarnoksiężniku, nie możesz wyzwolić się z tych kajdanów.

I wyszczerzyła do niego zęby jego zmarłej matki. Twarz Żyreka pozostała bez wyrazu.

- Tak, jak myślałem. A ilu innych zanurzałaś w tej studni?

- Dość wielu - odpowiedziała - ale jeszcze żaden nie powrócił, aby mi złożyć. I dodam jeszcze, że jeśli zamierzasz mnie uśmiercić, to możesz sobie zaoszczędzić wysiłku. Ogień daje wystarczającą ochronę tym, którzy go strzegą.

- A więc i ty jesteś nietykalna?

- Tak, jako strażnik studni. Są pewne reguły przetrwania, nie naruszając łusek życia i śmierci, dobra i zła. Znam te reguły.

Żyrek odwrócił się od niej, uczynił dłonią znak i wymówił słowa bez dźwięku. W powietrzu zaczęła się materializować nowa postać. Wiedźma wpatrywała się w nią bystrym spojrzeniem młodej dziewczyny. W końcu ujrzała młodzieńca stojącego na zielonym piasku. Był smukły i piękny, miał niezwykle włosy i oczy barwy zielonego kamienia wiszącego mu na szyi. Ubrany był w królewską szatę, lecz twarz miał bezbarwną, z zastygłym wyrazem beznadziejnej rozpacz. Nie poruszał się, milczał, nie wydawał się też zwracać uwagi na Żyreka lub wiedźmę.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedziała wiedźma do Żyreka. - Jeśli to ten, którego chcesz zanurzyć w studni, płomień strawi go całego.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł Żyrek. - Jest jednak możliwe, że ogień nie strawi go doszczętnie, ponieważ ów młodzieniec wypił pewien napój, który czyni ludzi nieśmiertelnymi.

Wiedźma cofnęła się o krok.

- Nie uczynisz tego - powiedziała.

- Uczynię - odrzekł Żyrek - a czyniąc to, położę kres procederowi, który od dawna uprawiasz. Simmu będzie jęczał w Ogniu Nietykalności aż do końca czasu, płonąc nieustannie, lecz nigdy nie spalając się całkowicie. I już nikt nie ośmieli się zanurzyć w tych płomieniach, stara wiedźmo, nawet gdybyś go nie wiem jak namawiała.

- Ten nieszczęśnik musiał sobie czymś zasłużyć na twą niechęć. Jakiej zbrodni się dopuścił przeciw tobie, że darzysz go taką nienawiścią?

- To nie jest nienawiść - odrzekł Żyrek. - To miłość. To moje przeznaczenie, wywodzić łagodność z nienawiści, zło z miłości.

A potem podszedł do Simmu i pocałował go w czoło, lecz Simmu wciąż się nie poruszał, nic nie mówił, nie obdarzył spojrzeniem ani jego, ani wiedźmy.

- Jesteś jedyną raną, jaką mogę sobie zadać - powiedział Żyrek. - Twoje przerażenie i twoja męka zamieszkają we mnie przez wszystkie lata, jakie mnie jeszcze czekają. Ucieknę stąd. Zapiczętuję uszy, aby nie wspominały twoich krzyków, lecz będę zwijać się i pocić na myśl o tym, co ci zgotowałem. I tak będę żyć.

Powiedziawszy to, Żyrek otoczył Simmu ramieniem i łagodnie pociągnął go ku studni.

- Powtarzam ci... - zaczęła wiedźma.

- I ja ci powtarzam - przerwał jej Żyrek - że uczynię to, co zamierzyłem. Zważ na moją moc. Uszanuj ją i zamilknij.

Na te słowa czarownica skuliła się w samym rogu ogrodu. Zgasiła lampę i owinęła sobie złotego węża wokół nadgarstka. Zaciśnęła obie dłonie na ustach, aby więcej nie drażnić Żyreka, bo wiedziała, jak może być straszny w gniewie, podobnie jak ten, kto często widywał jakiś dom, może rozpoznać jego kształt nawet nocą.

Stanęli obaj na skraju studni, Żyrek i Simmu.

W dole, w kamiennej czeluści, nabrzmiewał i opadał blask. Tu został wrzucony Żyrem jako dziecko, trzymany jedynie za sznurek przywiązany do jego włosów. Głęboko, w otchłani niewyobrażalnej zagłady, kołysał się na tym sznurze i włosach, aż płomienie odarły go z wszelkiego zagrożenia i wszelkiego szczęścia.

Simmu odwrócił się w końcu i spojrzał Żyrekowi w oczy. Odzyskał mowę, lecz wyrzekł się jej lub zapomniał. Twarz miał stężałą od strachu, lecz jego oczy ani o nic nie pytały, ani nie błagały, ani nie wzbraniały się przed tym, co miało nastąpić. Oczy Żyreka też niczego nie wyrażały. Była to ich ostatnia wspólna chwila i coś zdawało się między nimi zachodzić, lecz nie miało nazwy, a jeśli nawet miało, żaden z nich nie potrafił jej odnaleźć.

Dla kulającej się w mroku wiedźmy obaj byli jednym symbolem - ciemność i światło, świeca i cień, dwa aspekty jednej całości. Zaciskała usta drżącymi palcami, ale mamrotała swoje własne zaklęcia, aby uchronić się przed zgubnymi skutkami widoku owego żałosnego rozpadu.

Żyrek gestem wskazał Simmu, że musi stanąć na kamiennym obrzeżu studni, a Simmu go usłuchał. Jarzący się w głębi żar wybuchł,

jakby coś do niego dosypano. Studnia nie była tak głęboka, jak Żyrek mniemał; kiedy widział ją po raz pierwszy, był przecież dzieckiem.

- Simmu - powiedział Żyrek - jeśli będziesz miał kiedyś sposobność, ukarż mnie za to i zemścij się okrutnie.

Simmu zadrżał i zachwiał się nad ogniem, jakby sam zamierzał się weń rzucić.

W tym momencie Żyrek uderzył go mocno w plecy.

Cios strącił Simmu z krawędzi studni. Zniknął w jej głębi.

Płomienie rozgorzały blaskiem, cały ogród skąpał się w jednej krótkiej fali jasności, która natychmiast opadła. Lecz ze studni nie wydobył się żaden krzyk.

- Co to znaczy? - zawołał Żyrek. - Pamiętam, jak sam wrzeszczałem w tej studni, a Simmu milczy. Co się stało?

- Ogień strawił mu już język i gardło - powiedziała czarownica. - Krzyczałyby i wył, gdyby mógł. Nie oczekuj zbyt wiele.

- Muszę mieć absolutną pewność, że będzie cierpiał wiecznie - rzekł Żyrek.

- A więc, jeśli musisz, zajrzyj do studni, a sam zobaczysz.

Żyrek przechylił się przez kamienną krawędź. Minuty wlokły się jedna za drugą, a on wpatrywał się w czeluść.

Lecz kiedy wreszcie wyprostował się i przyszedł do siebie, na twarzy i w oczach miał wciąż wypisany widok, który ujrzał.

Czarownica zapaliła lampę i wydrapała paznokciem tajemne runy na zielonym piasku, aby dodać sobie otuchy. Strach i szaleństwo wciąż ulatywały ku bezgwiezdnemu niebu. Owoce czarnych drzew wydzielają gorzką woń.

Było pewne miejsce na pustkowiu, omijane nawet przez pył i kurz. To miejsce obrał Żyrek na swoje wygnanie.

Wznosiły się tu skalne filary, białe jak kość, w niektórych czerniały otwory. Żyrek wspiał się ku jednej z tych dziur, aby tam zamieszkać. Usiadł na nagiej, rozgrzanej podłodze białej wnęki i skłonił głowę. Tak trwał przez wiele lat.

Dniem godziły weń promienie słońca, nocą chłostały go granatowe wiatry. Żywił się tylko tym, co samo do niego przyszło, powietrzem, pił rosę, czasem deszcz. Żył, bowiem ogołocenie ze wszystkiego też nie mogło go uśmiercić, podobnie jak włócznia, morze czy ogień. Stał się jednak szerniałym strzępem człowieka, a uroda go opuściła.

Niekiedy odwiedzały go drapieżne ptaki. Przylatywały, bo sądziły, że to trup, wystawiony dla nich obiad. Nie poruszał się, nie przepędzał ich, a one waliły wściekle dziobami w powłokę jego nietykalności, a potem odlatywały, kracząc posępnie.

Często pogrążał się we śnie, w owym przerażającym śnie, który pozostawił mu Pan Śmierć, a ów sen oczyszczał jego mózg ze wszystkiego, cząstka po cząstce. Intelkt Żyreka, który stał się przyczyną tylu jego nieszczęść, stopniowo oddzielił się od rozumu, a więc od samego siebie. Co jakiś czas, zanurzając się w sadzawce półświadomej ciemności, Żyrek napotykał jednak wspomnienie Simmu płonącego wiecznie w studni ognia. Sprawiało mu to potworny ból, który był mu drogi i słodki; nie nadużywał go, wyciskając jego sok kropla po kropli. Tylko to mu pozostało, tylko to zachował dla siebie. Lecz w końcu przestał odczuwać i ten smak.

Na samym początku ludzie bardzo rzadko trafiali na to pustkowie, ale mijały dziesiątki lat i ludzie rozeszli się po całej Ziemi. Nastął taki rok, w którym karawany zaczęły przemierzać regularnie ową pustynię, a chociaż droga ich wiodła w pewnej odległości od skalnego filaru, w końcu ktoś zauważył, że w dziurze coś siedzi.

W miasteczku na skraju pustyni różnie to tłumaczono.

- To jakiś dziwny ptak.

- To jakiś szaleniec.

- Nie, to pustelnik, świątobliwy mąż. Widzieliśmy, jak wlatują tam sępy, aby go karmić na polecenie bogów.

Od takiego stwierdzenia blisko już było do uznania, że tajemniczy pustelnik obdarzony jest wielką mocą. Trudno się więc dziwić, że wkrótce liczące pięć lub dziesięć osób grupki zaczęły przemierzać kamieniste pustkowie, wspinać się na skalny filar, zaglądać ciekawie do pieczary.

Żyrek, albo to, co z niego pozostało, spoglądał na nich ze straszliwą obojętnością, którą brali za ślepotę lub pogrążenie w duchowych wizjach. Nie odpowiedział im nigdy nawet jedną sylabą na ich zagadywanie i wyrazy czci, co z kolei brali za ślub milczenia. Przynosili mu miodowe ciasteczka, wino, rodzynki i zimne mięso. Jedzenie gniło przed nim na skalnej półce, nie tknięte, dopóki resztek nie uprzątnęła jakaś następna grupa.

Minęło kilka miesięcy, ludzie przestali go odwiedzać, lecz jego sława rozeszła się szeroko po świecie. Mówiono o jego dziwności, o

jego świątobliwości i dzikim wyglądzie, opowiadano o cudach, których wcale nie dokonał. Pewnego dnia, usłyszawszy te opowieści, przybył do niego pewien książę z dalekiego kraju.

Podróżował w pozłacanym rydwanie, pod szkarłatnym baldachimem. Z każdej strony towarzyszyło mu trzydziestu niewolników, a kiedy wysiadł z rydwanu i kroczył przez pustynię ku skalnemu filarowi, niewolnice słały mu drogę jedwabiem, aby jego stopy nie musiały dotykać zwykłej ziemi, a potem zwykłej białej skały, w której pielgrzymi wydeptali już stromą ścieżkę.

Książę skłonił głowę przed Żyrekim.

- Miałem sen - powiedział - który dotyczył końca świata. Słońce poczerniało, a weszło nowe, góry stopniały, a morza wystąpiły z brzegów. Co to oznacza?

Lecz Żyrek nie odpowiedział księciu, a jego przezroczyście oczy, które niegdyś miały barwę zielonej wody odbijającej niebo, zamknęły się przed nim jak wrota.

Tak więc książę odszedł przez kamienistą pustynię, nie usłyszawszy odpowiedzi na swoje pytanie.

Lecz sława to sława. Po stu latach demony dowiedziały się o świątobliwym ascecie na pustyni, który nie mówi, nie porusza się, nie je i nie kocha.

Kiedy wzeszedł księżyc, trzy demony Eszwa pojawiły się przy skalnym filarze i zaczęły tańczyć. Nic nie mówiły, bo nie miały takiej potrzeby. Przemawiał każdy krok ich tańca. A ów taniec zawiódł je do samego filara, a potem, po kamiennej ścieżce, do otworu pieczary, w której siedział Żyrek, pogrążony w śnie - śmierci.

Żaden śmiertelnik nie obudziłby go z tego snu, ale wystarczyło, że Eszwa owionęły mu powieki swoimi wonnymi oddechami i musnęły ciało swoimi czarnymi włosami, a przebudził się. Wówczas roześmiały się do niego oczami i zaczęły go obmacywać lubieżnymi palcami, miękkimi jak poduszki łap czarnych kotów. Wśród trójki demonów były dwie kobiety Eszwa i jeden mężczyzna Eszwa, lecz Żyrek nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, bo w owym czasie jego mózg i zmysły utraciły już prawie wszystkie kształty.

Wówczas promień księżycyca padł na kamień wiszący na szyi mężczyzny Eszwa i odbił się od niego zieloną strugą blasku. W Żyrekę przebudziła się resztką świadomości. Sięgnął wyschlą ręką po

klejnot. Wszystkie trzy Eszwa cofnęły się zgodnie i spoglądały na niego z dziecięcą, niewinną złośliwością, gdy zaczął płakać.

A on, również jak dziecko, kołysał się, tarł pięściami oczy, i szlochał, a w jego piersiach narodził się zgrzytliwy jęk żalu, aż w końcu Eszwa uznały, że w tym widowisku nie znajdują upodobania i uleciały, rozplywając się w mrokach nocy. I długo potem Żyrek szlochał i kołysał się w swojej pieczarze, aż księżyc i gwiazdy zbladły, a na wschodzie zakwitła czerwona róża.

Kiedy nastał pełny ranek, przejeżdżali tam jacyś jeźdźcy zmierzający do miasteczka.

- Kto tak lamentuje? - pytali się nawzajem.

- To ów świątobliwy mąż w pieczarze - odpowiedział jeden z nich, który znał opowieści o pustelniku. - Ale zwykle jest nieczuły jak głaz.

A jechał z nimi pewien kapłan, który teraz oświadczył pompatycznie:

- To pewne, że pustelnik ów płacze nad grzechami świata.

Lecz Żyrek płakał, nie wiedząc, czy w napadzie rozpacz, czy uciechy, bo został straszliwie oszukany.

2

Ogień.

Simmu, wrzucony w jego trzewia, w pierwszej chwili nie odczuł niczego, a potem zanurzył się w męce ponad wszystkie męki.

Była to męka trudna do oddania słowami, cierpienie tak wyszukane, że po jakimś czasie przekroczyło wszelkie granice bólu, przestało być bólem, stało się innym stanem, również stanem udręczenia, ale niewyraźnego i nieokreślonego.

Najpierw spłonęło jego ciało, potem myśli. Pozostał nieśmiertelny rdzeń, to ogniwo, które wiąże duszę ze strukturą człowieka, tylko tyle, ile wystarczyło, by trwał w ogniu jako człowiek, wciąż nietknięty, choć prawie całkowicie wyniszczony.

Lecz coś jeszcze płonęło prócz włosów i skóry, kości i mózgu. Zielony klejnot Eszwa na jego szyi.

Jak długo przeżuwał go ogień? Mówiono, że trwało to dziewięć lat. A potem, choć nie miał już wzroku lub słuchu, coś pojawiło się przed jego oczodołami, jakaś kadencja dźwięków zabrzmiała w zagłębieniach jego uszu, rozmowa niby muzyka, rozmowa toczona o wiele, wiele mil od ogrodu za kamiennym murem.

- Popatrz, to zielony klejnot, płonie, jak ci mówiłem.

- Płonie już po raz trzeci. Za każdym razem, gdy dosięgnie go żar, wydaje z siebie zielony, twardy ton. Ale przecież nasz Książę nie będzie chyba dotrzymywał słowa danego śmiertelnikowi?

- Nie, ale tego wezwania posłucha.

Tę melodyjną rozmowę prowadziły w Podziemiu demony Wazdru. A gdzieś, w jakiejś pieczarze, karłowaty Drinu jął targać swoje sobole włosy i zawodzić, czując, że jego drogocenny wyrób, fasetowany klejnot, pęka w płomieniach. Lecz dopiero Eszwa, posłannicy Podziemia, uleciały nagle jak czarne gołębie, w wypełnioną ogniem studnię. Ich wodnochłodne dłonie pochwyciły Simmu, wszystko to, co z niego pozostało, ich włosy omotały go. Poniosły go w głąb Ziemi.

Nie wiedział, dokąd zmierza. Kształty migają w jego niewidzących oczach. Szept srebrnych umysłów demonów dźwięczał mu w uszach, które utraciły zdolność słyszenia. Trwał w straszliwej udręce. Zapomniał o demonach, choć przyniosły mu ulgę. Przebyli trzy bramy, znaleźli się w jaśniejącym mieście koloru umbry, w mieście demonów.

Jak wyglądał Simmu, ów szerniały strączek człowieka, nie zostanie tu opisane. Można to sobie wyobrazić, niemądrze byłoby opisywać. Nie będziemy już mówić o jego cierpieniach.

Potem poczuł - pozytywnie odczuł, choć nie pozostały w nim żadne odczucia prócz bólu - nacisk czyjejś dłoni na piersiach. Rozkruszył się jak zważony mrozem liść, ale nie wiedział o tym, ponieważ ta dłoń przyniosła mu ukojenie i zapomnienie.

Ażrarn spoglądał na to, co leżało przed nim na posadzce w wielkiej sali, pod oknami z czerwonego jak wino korundu. Sięgnął po klejnot, który stał się jego zobowiązaniem. Wyglądał teraz jak węgielek. Nawet wytwory Drinu nie mogą oprzeć się płomieniom Studni Nietykalności.

Motywy, jakimi kierują się demony, są jednocześnie bardzo złożone i bardzo proste. Temu, co je intryguje, pozwalają na wiele. To, co jest bezowocne, zuchwałe lub nieroztropne, niszczą bezwzględnie. Temu, co je nudzi, nie poświęcają uwagi. Prócz tego demony są zmienne, ich wybory nie zawsze łatwe są do przewidzenia.

Simmu zawiódł Ażrarn. Otrzymał Nieśmiertelność i Simmurad, lecz jego prostolinijność okazała się fatalną skazą. Kiedy Ażrarn

spotkał się tamtej nocy z Panem Śmiercią na brzegu rzeki, dał mu, na swój sposób, jedyny oręż, którym można było zwyciężyć Simmurad: Żyreka. Ażrarn zagrał z Uhlumem jego kośćmi, przegrał Żyreka, ale Żyrek był również chochlą, którą można było zamieszać w garncu Simmuradu.

Obecność demona, której Simmu tak często pożądał w swojej twierdzy i której mu nigdy nie udzielono, być może bliższa była w ostatnich dniach miasta, niż ktokolwiek mógłby się domyślać. Czy Ażrarn przyglądał się miastu z mroku bezksiężycowej nocy, albo w jakimś magicznym zwierciadle, z Podziemia, albo oczami pantery błądzącej po gładkich łąkach Simmuradu? A jeśli tak, co tam ujrzał? Może Książę Demonów zamierzał zesłać karę na to, co go zawiodło, rozczarowało i znudziło. Lecz karę wymierzył ktoś inny. I kara była zbyt bezwzględna i okrutna, ogień bardziej straszliwy, niż mógł to sobie wyobrazić nawet bezlitosny Ażrarn. Gdyby pragnął ukarać Simmu, nie mógłby zadać mu już większego bólu. Bieg wydarzeń doprowadził do takiego miejsca, w którym jedynym sposobem okazania przez Ażrarna swojej wszechmocy i zaspokojenia próżności było wybawienie Simmu z tej męki. Demony fascynuje też sprawiedliwość, to, co przeciwne, choćby było nie wiem jak niemożliwe i wstrętne.

Ażrarn wezwał Drinu i powiedział im, czego pragnie. Podskoczyły z radości, zasłużycy na jego uwagę, i skurczyły się ze strachu, że coś może im się nie udać. Potem zabrały szczątki Simmu i uniosły ze sobą, te pokruszone łuski, z których wydobywał się słaby odgłos oddechu człowieka, drgające lekko, jak człowiek pogrążony w drzemce.

Nad jeziorem, podobnym do niecki z czarnym syropem, kuźnie Drinu dymiły ku rozgwieżdżonemu niebu Podziemia. Karłowaty ludek Druhim Wanaszty znany był ze swych szkaradnych kaprysów i z genialnych zdolności do obróbki metali, drogocennych kamieni i minerałów, a także do wytwarzania zadziwiających mechanizmów.

Drinu zabrały się do pracy nad skomplikowanym urządzeniem. Miało wysokość człowieka i jego kształty. Szkielet został wykonany z najlepszej i najbielszej kości słoniowej, a nie zabrakło w nim ani jednego żebra, ani jednej kostki palca. Czaszkę wyrzeźbiono z olbrzymiego kła słoniowego i wydrążono. Potem ów szkielet otoczono i wypełniono zadziwiającą anatomią z jedwabiu i srebrnych,

drutów, a pośród tego wszystkiego umieszczono owe słynne urządzenia z mosiądzu i włókien, które uruchomiły cały mechanizm, pozwalając sercu zabić, a płucom odetchnąć. Następnie kości i jedwabne ciało okryto skórą z najlepszego i najcieńszego welinu, w jednym kawałku, opinającą ciało jak rękawiczka, a w emaliowane żyły wtłoczono wonne soki. Urządzenie miało czarne włosy z czarnych paproci Podziemia, a do wykonania czarnych rzęs posłużyły hebanowe trawy z łąk Druhim Wanaszty. Oczy zrobiono z czarnych, wypolerowanych po mistrzowsku agatów, a paznokcie z masy perłowej.

Był to zadziwiający wytwór rękodziela Drinu. Wyglądał jak żywy, choć wydawał się zbyt doskonały, by żyć, nawet życiem demona... Same Drinu podziwiałały swoją zręczność i spryt. Gładziły swoje dzieło i jęczały nad nim pożądliwie z miłości i uwielbienia. Wiedziały jednak, że nie mają do niego żadnych praw. Na samym końcu otworzyły pudełko, w którym złożyły spopieliałe łuski Simmu i włożyły je przez specjalny otwór do wnętrza czaszki, zapieczętowały otwór i potrząsnęły urządzeniem brutalnie, jakby mieszały cukier w dzbanie. Zakończywszy ten makabryczny rytuał, Drinu odskoczyły na wszystkie strony, jakby ich dzieło nagle je zdenerwowało.

Przez chwilę nic się nie działo. Drinu zaczęły strofować się nawzajem, a każdy przysięgał, że to któryś inny zapomniał o jakiejś ważnej części lub o jakimś ważnym zaklęciu podczas pracy. Z twarzami poczerwieniałymi ze złości biły się, kopały i gryzły, gdy nagle okryty welinową skórą mechanizm, spoczywający na łożu, westchnął i odwrócił głowę, jakby mu przeszkadzały ich wrzaski.

Ażrarn wkroczył do pracowni, a Drinu rozpląszczyły się przed nim, popiskując cicho. Zbliżył się do łoża. Przyjrzał się mechanicznemu posagowi, który teraz zawierał nieśmiertelne szczątki Simmu - nie jego duszę, nie jego ducha, lecz łuski spalonego ciała.

- Ach, moje przebiegłe stworki - rzekł Ażrarn łagodnie - dobrze wykonałyście swoje zadanie.

Drinu zaśliniły się z radości i podpełzły, by ucałować rąbek jego szaty.

Ażrarn położył lekko dłoń na ramieniu Simmu - wyobrażenie wykonane przez Drinu i chroniące teraz resztki jego życia zasługiwało na to imię - a Simmu uniósł powieki. Zamrugnął rzęsami z czarnej trawy, świetliste, agatowe oczy utkwili w Księciu Demonów.

Odjęto mu udrękę, a przywrócono wszystko inne - prawie wszystko. Odzyskał swoje zmysły i zmysłowe właściwości smaku, powonienia, dotyku, słuchu i wzroku, lecz był niemy, bo Eszwa nie potrafią albo nie chcą mówić. I jeszcze coś zanikło - pamięć. Pozbawiony całkowicie wspomnień, ożywił się pod nieskończone lekkim dotykiem Ażrarna i w owej chwili prawdziwie się narodził.

Był nowo narodzony, pierwotny. Nie przywierały do niego żadne ślady przeszłości, żadna miniona rozkosz, żaden ból. Było to pierwsze przebudzenie, pierwsze wrażenie. A Ażrarn Cudowny był pierwszą rzeczą, jaką ujrzał w tym nowym, nigdy - przedtem - nie - doświadczanym świecie.

Lecz to Ażrarn był tym, który go zapytał:

- Powiedz, kim jesteś.

Pytanie uczyło. To była lekcja. Pytanie wypełniło srebrny mózg wewnątrz czaszki z kości słoniowej. Agatowe oczy ujawniły bezsłowną odpowiedź: Demonem, i twoim poddanym. Niczym więcej, lecz któż może oczekiwać więcej? I Simmu osunął się na kolana przed Ażrarnem, a jego ciało, tak misternie wykonane, równe było wdziękiem ciałom istot, które służyły za model.

Ażrarn zamyślił się. Dokończenie czaru leżało w jego gestii, tylko w jego gestii. Podniósł Simmu i zabrał go ze sobą.

Kiedyś Ażrarn powiedział Simmu: „To ja wybieram stosowny czas, a nie jest to czas terażniejszy.” I ów czas, nie oczekiwany, właśnie nadszedł. Nie jest chyba dziwne, że w grę wchodził rytuał i magia. Pewne koła zostały połączone, pewne uszkodzenia naprawione. Demony nie mogą czegoś obiecać i nie spełnić swej obietnicy; nawet ich szept obracają żaglami Ziemi, a ich czarna mroczność, jak cień poza szybą, zdaje się udzielać ludziom zwierciadła, w którym mogą się przejrzeć.

Kiedy Ażrarn pieścił paprociowe włosy Simmu, te stały się prawdziwymi włosami, a kiedy rzęsy z czarnych traw musnęły policzek Ażrarna, ich źdźbła stały się również włosami. A oczy wypełniły się łzami i choć były naprawdę piękne, nie były już agatami. I kiedy Ażrarn złożył pocałunek na wargach Simmu, stały się żywym ciałem, a całe jego ciało zaczęło tętnić żywą, prawdziwą krwią - tą wysublimowaną, cudowną krwią demonów, nieludzką, lepszą. A kiedy Ażrarn posiadał Simmu, i jeszcze raz zdruzgotał go i unicestwił, i jeszcze raz powołał go do istnienia agonią ekstazy, Simmu stał się - w

każdym naczyniu krwionośnym, w każdym nerwie, arterii i mięśniu, w każdej drobinie wnętrza i w każdym aspekcie zewnętrznym - istotą ożywioną, cielesną i rzeczywistą. Ażrarn dokonał z nim tego wszystkiego, bowiem nawet wśród śmiertelników - wówczas i teraz - miłość jest potężnym katalizatorem, a cóż więcej mógł Książę Demonów począć z miłością, on, który prawdopodobnie ją wynalazł? Lecz Ażrarn był dla Simmu panem i królem, nie kochankiem. Dla niewielu Ażrarn stał się tylko kochankiem, a wszyscy oni byli śmiertelnikami.

Simmu zamieszkał odtąd pośród demonów. Był jednym z Eszwa, przebywał w mrokach Podziemia, a jeśli odwiedzał Ziemię, czynił to jedynie w mlecznoksiężycowe noce. Stał się teraz w pełni tym, czym na samym początku prawie był. Przechadzał się po tanecznych uroczyskach o północy, wzywając zwierzęta, by mu towarzyszyły, polując na głupotę ludzi, wtrącając się w ich sprawy, jak owe Eszwa, które u początków jego życia adoptowały go i wychowały. Może nawet niekiedy wędrował nocami właśnie z nimi, z tymi dwiema Eszwa, które niegdyś obdarzyły go swoim czarem i wdziękiem, choć żadne z trojga nie pamiętało, że kiedyś byli już towarzyszami w podobnych wędrówkach.

Simmu, już nie młodzieniec o brzoskwiniowych włosach i zielonych oczach, lecz czarnowłosy i mroczny, jak wszystkie demony. Simmu, już nie miotany boleśnie niespodziewanymi przemianami płci, bo choć w swej demonicznej postaci otrzymał płć męską, to wszystkie rodzaje miłości były mu jednakowo dostępne i miłe - jak wszystkim demonom, a już szczególnie Eszwa, istotom o naturze płynnej, nie skrępowanej instynktami, obyczajami i prawem.

Na szyi nosił zielony klejnot, kopię tego, który dał mu niegdyś Ażrarn, klejnot nie mający sobie równych, raz po raz migocący i płonący pośród wielu, wielu cieniów. Pokolenie za pokoleniem, mordercy ukrywający się w lasach, dziewczęta czyniące uroki lub wieńce z kwiatów, czarnoksiężnicy odprawiający skomplikowane czary, wielu było takich, co ujrzeli ów zielony płomień, schwytani na gorącym uczynku przez demona w osobie Simmu.

Bowiem oczywistym się stało, że do Simmu należały teraz całe milenia. Nieśmiertelność już nie budziła w nim lęku, był przecież jednym z Eszwa. Prawdziwie nieśmiertelna istota - demon, bóg, czy ktokolwiek inny z owego zastępu wiecznotrwałych - nie lęka się

swojego naturalnego stanu; dla niej to tylko jeden z drugorzędnych aspektów mistycznej kondycji.

Może pewnej nocy Azrarn wysłał Simmu, jednego ze swych posłańców Eszwa, by odwiedził obłąkanego pustelnika w pieczarze na skalnej kolumnie? Być może zamiarem Księcia Demonów był żart absolutny, z którego tylko on mógł się śmiać. A może był to jakiś inny Eszwa, ów demon, który pojawił się przed pieczarą i tańczył tam, może inny klejnot wisiał na jego szyi, może inną psotę miał na myśli. To, że Żyrek pojął coś z owego wydarzenia, mogło zależeć tylko od jego rozumu, od tego co z niego pozostało. Szlochał, to pewne. I Simmu z całą pewnością nigdy nie szlochał, chyba że dla zabawy, na ów bezużyteczny, bezsensowny sposób Eszwa. Simmu płonął, pogrążony w płonącym śnie Eszwa, nie pamiętając o żadnych innych płomieniach. Tak po prostu było w Podziemiu, które stało się jego domem - co zapewne było mu przeznaczone od początku.

EPILOG

Wędrujący dom

Na równinie, w blasku zachodzącego słońca, ujrano niewiarygodny widok. Mężczyźni pracujący w polu wypuścili z rąk sierpy i gapili się z otwartymi ustami, kobiety przy studniach odłożyły czerpaki i dzbany, spoglądając ze zdumieniem. Psy w wioskach zaczęły ujadać, ptaki wzbiły się w powietrze na zaróżowionych słońcem skrzydłach. Takiego widoku nie widziano tu od trzydziestu lat, od kiedy przejeżdżał tędy król, a nawet i jego przejazd bladł przy niewiarygodności owej karawany.

Najpierw szły olbrzymie słonie o czarnej jak węgiel skórze, w uprząży ze złota i szkarłatu, wysadzonej diamentami i obwieszanej dzwoneczkami. Na grzbiecie pierwszego po lewej stronie zwierzęcia, w złotym palankinie, pod parasolem, siedział niedbale mężczyzna, najwidoczniej kierujący wszystkimi słoniami. Za słoniami, połączony z nimi kolorowymi dyszlami i mosiężnymi łańcuchami, sunął prawdziwy ruchomy dwór, ze ścianami z rzeźbionego drewna, drzwiami z czerwonej laki, barwnymi oknami, dachem z czarnej porcelany i sześcioma wysokimi wieżami o kopułach z kryształu. Cała ta budowla wznosiła się na spizowej platformie zaopatrzonej w co najmniej dwadzieścia wielkich pozłacanych kół. Dla dopełnienia całkowitego braku normalności tego wszystkiego, szprychami kół były smocze głowy z mosiądzu, z których przy każdym głośnym obrocie wydobywał się wonny dym.

Człowiek kierujący słoniami nie zwracał żadnej widocznej uwagi na okrzyki gapiów nadbiegających ze wszystkich stron, na ujadające psy i na wrzeszczące dzieci, które tu i ówdzie biegły za owym monstrualnym domem na kołach.

W pewnym jednak miejscu, gdzie w topolowym gaju stała przydrożna gospoda, pozdrowili go jacyś kupcy, siedzący nad kubkami z winem.

- Hej, wypij z nami kubek wina na nasz koszt! Wyglądasz ciekawie. Czym handlujesz?

Mężczyzna na słoniu zatrzymał swój dziwny zaprzęg.

- Ja niczym nie handluję - odpowiedział dźwięcznym głosem. - Jestem protektorem i, ośmielę się rzec, przybranym wujem lub ojcem osoby, do której należy towar.

- To jeszcze bardziej ciekawe - rzekł kupiec, który zagadnął go pierwszy. - Coś mi się widzi, że mówisz o kobiecie. Czy mam rację?

- Widzę, że wasze myśli biegną w fałszywym kierunku. Pani, czyli moja bratanica lub córka, która podróżuje w tym niezwykłym pojeździe, jest agentem potężnego pana, jego pośrednikiem, a towar do niego należy.

- Czy ona aby przypadkiem nie sprzedaje samej siebie? - zapytał kupiec.

- Ejże - zawołał mężczyzna na słońiu - czyżbyś nigdy nie słyszał o Domu z Czerwonymi Drzwiami?

Na te słowa dziwne milczenie zapadło między kupcami i na całym podwórku gospody. Zachód słońca wypływał do ciemnoróżowej poświaty, a cienie, które przez cały dzień tuliły się do topoli, teraz rozpostarły swoje spódnice na ziemi, bo w tej skromnej, prowincjonalnej gospodzie nie zapalono jeszcze lamp. Liście szeleściły jakby były z suchej zielonej bibułki, zdając się udzielać odpowiedzi za ludzi: „Tak, tak, słyszeliśmy o Domu z Czerwonymi Drzwiami, któż o nim nie słyszał?” A kupcy spoglądali z ukosa na pogrążający się w mroku wspaniały dwór na kołach, który teraz nabrał nagle niepokojącej tajemniczości.

- Pogłoski to pogłoski - powiedział kupiec. - Nie myślę dawać im wiary.

- Twoja wola - odrzekł mężczyzna na słońiu. - Jeśli jednak pragniesz zmienić zdanie, możesz złożyć mojej pani wizytę, bo noc spędzimy na pobliskim wzgórzu. No, a teraz - dodał - pora znaleźć trochę siana dla moich słońi. Można tu kupić siana? A może są tu jakieś osoby o swobodnych obyczajach i zezowatych oczach?

Kupcy rozmawiali z ożywieniem przez godzinę. Pobyt w gospodzie, który zapowiadał się tak nieciekawie, odmieniał się w zbyt poważną przygodę.

- Nie wierzę w te wszystkie opowieści - powiedział jeden.

- Ale sam widzisz, że ten dom wędruje i ma czerwone drzwi, jak w tych opowieściach. A i ten grubas pasuje do opisu: to przecież nikt inny, tylko Łotrzyk Jolsippa, nieśmiertelny wydrwigrosz, któremu konik staje dęba na widok każdego zeza.

- A kim jest ta w pałacowym wozie?

- No, jeśli reszta jest prawdą, musi to być Kassafa, służebnica...

- Zamilcz! Nie wymawiaj tego słowa, przeklęty! Tymczasem ruchomy dwór zatrzymał się na wzgórzu, ze ćwierć mili od gospody, a jego położenie oznaczyły wyraźnie dwie płonące pochodnie wbite w ziemię. A kiedy kupcy nadal głośno się spierali, jeden z nich zamilkł, a kiedy reszta weszła do gospody, by spożyć wieczerzę, zerwał się na nogi i pospiesznym krokiem ruszył ku wzgórzu.

Był to mężczyzna w średnim wieku, o poważnym obliczu, szczupły, w nie rzucającym się w oczy odzieniu. Idąc w ciemności po zboczach natknął się najpierw na słonie, które zatrąbiły donośnie, gdy go wyczuły. Kiedy dotarł do płonących pochodni, Jolsippa - jeśli to naprawdę był on - siedział już przed drzwiami z czerwonej laki, wyraźnie go oczekując.

- I co to ma być? - zawołał. - Jakiś zmarły czarodziej, którego kościom chcesz zadać kilka pytań? A może jakiś sekretny grobowiec, który masz ochotę odnaleźć i obrabować? Może jakaś kochanka, świeżo zmarła, którą chciałbyś znowu objąć? Może chciałbyś na jakiś czas zapaść w trans przypominający do złudzenia śmierć, aby uchronić się od niemiłej natarczywości poborcy podatków?

Poważny kupiec zbladł.

- Jak możesz sobie pozwalać na takie żarty, jeśli naprawdę służysz swojemu panu?

- Służę mojej pani - odparł Jolsippa, to musiał być on - a dopiero ona służy osobie, o której mówimy, Uhlumowi, Panu Śmierci. - Kupiec wzdrygnął się. - Muszę cię jednak ostrzec. Choć moja pani jest w stanie wezwać swojego pana, aby wyświadczył ci jakąś przysługę, może się zdarzyć i tak, że akurat będzie zajęty gdzie indziej, a jak sam chyba rozumiesz, nie jest na każde jej skinienie i zawołanie. A teraz przedstaw swoją sprawę. Chodzi o miłość, żądę władzy i pieniądza, czy o zwykłą ciekawość?

- Jeśli to wszystko jest prawdą - rzekł kupiec ze straszliwym wysiłkiem - to wyrażę moją potrzebę tylko przed tą czarownicą... Kassafą.

Jolsippa wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o mnie - powiedział - to mam spotkanie z pewnym pomywaczem z gospody, który zapewnił mnie, że za trzy sztuki srebra może mieć rozkosznego zeza.

I zastukał w drzwi z czerwonej laki, które natychmiast się otworzyły.

- Możesz wejść - zwrócił się do kupca, a sam powstał i wkrótce zniknął w mroku, kierując się ku gospodzie.

Minęła minuta, zanim kupiec zebrał w sobie dość odwagi, by wejść do środka.

Wnętrze było dość zachęcające, bo wszędzie płonęły różowe lampy, ujawniając przedziwne rzeczy. Najbardziej egzotycznie wyglądało środkowe pomieszczenie, z kolumnami z rzeźbionego drewna cedrowego, malowanymi ścianami, liliowymi zasłonami i złotymi wazami pełnymi wonnych kwiatów. Na podłodze leżała skóra wielkiego tygrysa z mechanicznymi oczami, które śledziły kupca, i mechanicznymi szczękami, z których wydobywało się głucho warczenie. Opodal stało krosno z jeszcze nie skończoną tkaniną barwy tęczy. Kupiec ostrożnie zbliżył się do krosna i podskoczył ze strachu, gdy czólenko samo przez nie przebiegło.

- Nie bój się - rozległ się głos spoza krosna. - To tylko kobieta przy pracy.

Kupiec cofnął się jednak gwałtownie, kiedy się pojawiła, bo stanął twarzą w twarz z legendarną służebnicą Śmierci.

Nie była, jak się obawiał, starą wiedźmą. Była młoda i pełna wdzięku, jasne włosy spływały jej na ramiona, nieco tylko bledsze od złotej sukni. Tylko jej oczy budziły lęk, bo wciąż zmieniały barwę, a pomimo jej słów spoglądały na niego wyniośle, tak że uznał za stosowne trzy razy się pokłonić.

- Czy to ty - wymamrotał - jesteś Kassafa?

- Tak, to ja - odpowiedziało dziewczę. - Usiądź, proszę, i przedstaw mi swoje nadzieje.

Kupiec usiadł na kanapce z haftowanego jedwabiu.

- Taki przepych! - zawołał. - Czy wszystko jest prawdziwe?

- Tak, wszystko jest prawdziwe - odpowiedziała Kassafa twardym głosem. - Tutaj nic nie jest ułudą.

Zdawała się być uczulona na tym punkcie, więc aby jej przypadkiem nie urazić, kupiec zaczął szybko wyluszczać powody, dla których zwrócił się o jej pomoc.

- Niepokoję cię nie swoją sprawą, przychodzę nie w swoim imieniu. Mój leciwy dziadek, który dożył późnego wieku, przysięga, że za młodu zawarł układ z... panem, któremu służysz. Szczerze mówiąc, zawsze sądziłem, że te przechwałki dowodzą tylko jego zgrzybiałości, ale zmuszony zostałem do udawania, że daję im wiarę,

bo ma mi przyspaść w udziale cały jego majątek, a uważam, że w takich okolicznościach nie powinienem sprawiać mu przykrości. Ostatnio jednak, jak można się było spodziewać, staruszek zmęczył się już życiem i zaczął się przygotowywać do odejścia z tego świata. A czynił to z radością i ochotą, zapewniając mnie, że czeka na niego miejsce na dworze... osoby, którą dobrze znasz. Opowiedział mi w końcu, na czym polegał jego układ z tą osobą. W zamian za wielkie bogactwa z pewnego starożytnego sarkofagu, którego śmiertelnych strażników mógł sobie uczynić posłusznymi tylko... tylko taki pan, jak twój, mój dziadek zgodził się spędzić tysiąc lat w Śródziemiu, w towarzystwie... tego, o którym mówimy. Będąc osobą o pewnej skłonności do spraw nadprzyrodzonych, mój dziadek, w snach i transach, często odwiedzał Śródziemie za życia, a sądząc z tego, co opowiadał, jest to z pewnością miejsce, w którym wszystko wciąż się zmienia, a możliwości iluzji są chyba nieograniczone. - Tu kupiec przerwał na chwilę i zasępił się. - Wszystko byłoby w porządku, bo grobowiec dla dziadka jest już gotowy, jego bogactwo spoczywa już prawie w moich kufkach, gdyby nie to, że pewnej nocy staruszek obudził się ze snu z głośnym krzykiem, oświadczając mi, że jednak nie chce umierać.

Jak wynikało z dalszej opowieści kupca, jego dziadek miał w tym śnie zupełnie nową wizję Śródziemia. Pan Śmierć wziął sobie żonę - straszidło, całą jadowicie niebieską, z żółtymi iskierkami zamiast oczu i z prawą ręką kościotrupa. Mieszkańcy Śródziemia padali na twarz z piskiem przed tą okropnością, a ona, wyniosła suka, deptała im po karkach. Ale na tym nie koniec. Pewnego razu Pana Śmierci długo nie było w domu, a kiedy powrócił, ta zaraza trzymała już mocno cugle władzy w swoich rękach. Nazywała się Narasen i kiedyś była królową. Oświadczyła mu, że podstępem pozbawił ją królestwa, więc odtąd zamierza rządzić Śródziemem razem z nim, nie zamierza też zrezygnować po upływie tysiąca lat. Aby wzmocnić wagę tych oświadczeń, wybudowała sobie własny pałac (dwa razy większy od pałacu Pana Śmierci) z czarnego granitu, rabując grobowce połowy ziemskich monarchów, aby go przyozdobić. Po komnatach snuły się dziwne nieśmiertelne lamparty, kłuszące nieproszonego gości. Ponoć zwierzęta podarował jej sam Pan Śmierć, podobnie jak nieopatrznie, w chwili oszołomienia, przekazał jej magiczną moc otwierania królewskich grobowców. Niektórzy mówili, że to nagroda za

ostrzeżenie go przed pewnymi głupcami, którzy kazali się nazywać „Wrogami Śmierci”. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że ta suka nadużyła swoich przywilejów, a nawet sama zaczęła zawierać układy z ziemskimi czarnoksiężnikami, tak że odtąd do Śródziemia zaczęły w magiczny sposób przenikać najróżniejsze ziemskie warzywa i owoce, które ta wiedźma zamierza wykorzystać do założenia tam ogrodów i parków. A siła robocza do urzeczywistnienia tych zamiarów ma pochodzić z tego samego źródła, z którego czerpała już przy budowie swojego pałacu - mają nią być owi nieszczęśliwcy, którzy zawarli z Panem Śmiercią układ na tysiąc lat.

„Jestem za stary, aby trudzić się przy takiej bzdurze”, oświadczył mój dziadek. Ja mu na to: „Ależ dziadku, może ten sen nie jest prawdziwy.” „Niestety, jest prawdziwy”, krzyknął, wymachując ze złością laską, „bo kobietą, spacerującą u boku Narasen, bez przerwy całującą ją po rękach i uśmiechającą się do niej przymilnie, jest ta sama, która była pośrednikiem Pana Śmierci, kiedy zawierałem z nim układ sto pięćdziesiąt lat temu, Lylas z Domu Niebieskiego Psa.” Tak więc - zakończył swą opowieść kupiec - mój leciwy dziadek porzucił wszelką myśl o rozstaniu się z tym światem, a ponieważ jest wyjątkowo upartym szelmą, prawdopodobnie będzie jeszcze żył przez parę dziesiątków lat.

- A czego oczekujesz ode mnie? - zapytała Kassafa. - Ja nie jestem Lylas.

- Skoro służysz temu, komu służysz, to może mogłabyś zapewnić mojego dziadka, że nie ma żadnej Narasen.

- Ale jest - odpowiedziała Kassafa.

- Więc twój pan naprawdę nie może pozbyć się tej kobiety?

Kassafa uśmiechnęła się. Oczy jej pociemniały.

- Uhlum panuje nad światem, prawda? Czemu miałyby się przejmować, że jakaś kobieta współrządzi z nim w jego dolnym królestwie, skoro cała Ziemia do niego należy?

- Ale w dzieciństwie kapłani uczyli mnie - powiedział kupiec niepewnym tonem - że Śmierć jest sługą ludzi, a nie ich tyranem.

- Ale... wszyscy wiedzą, jaki on jest. Kupiec zadrzał.

- Robi się zimno - zauważył.

- I nie bez powodu - odparła Kassafa. - Ktoś nadchodzi.

Kupiec podskoczył. Zobaczył, że w lampach zadrzały płomienie, a tygrys zamknął swoje mechaniczne oczy.

- Czcigodna pani - zaskrzeczał - myślę, że na mnie już pora.

I pomknął ku drzwiom, wyskoczył z wędrującego dworu, a potem zbiegł po zboczu tak szybko, że nawet słonie nie zdążyły zatrąbić.

Wiele lat wcześniej Uhlum odnalazł Kassafę.

Simmurad pogrążył się w morzu, a niebiańskie żywioły, które ją uratowały, szybko znudziły się całą sprawą i porzuciły Kassafę na szczycie jakiegoś wzgórza, w strasznej ulewie, w miejscu, gdzie nie było nawet drzewa, aby się pod nim schronić. Jolsippę rzuciły opodal, ale z niezbyt uprzejmej wysokości.

Tu oboje siedzieli, opłakując swój los i znajdując w sobie nawzajem szczególne pocieszenie, bo ów los był im wspólny. Kassafa przestała nawet opłakiwać Simmu, bo wszystkie łzy wylewała teraz nad sobą.

Kiedy deszcz ustał, zeszli ze wzgórza, a potem wędrowali długo przez krainę pełną gęstych lasów i bystrych rzek. Kiedy napotykali wioskę lub samotną zagrodę i prosili o schronienie, odsyłano ich precz, złorzecząc im, szczując psami i obrzucając kamieniami. Jolsippa, przywykły do takiego traktowania, znosił je z pogodą. Kassafa, którą podobne przygody spotykały już, kiedy wraz z Simmu wędrowała do Simmuradu, odpowiadała wybuchami rozpacz i wściekłości.

Z całą pewnością sprawiali podejrzaną wrażliwość, choć nie było w tym ich winy. Jeśli jednak Jolsippa nie zwracał uwagi na jej niechlujny wygląd, to ona nieustannie lżyła go bez litości.

- Ty wieprzu! Ty zapchlona szmato! Nie mogłeś zabrać z miasta choćby jednego klejnotu, żeby zabezpieczyć naszą przyszłość?

(Klejnoty, które sama zabrała, wyśliznęły się podczas ich lotu albo zostały skradzione przez niebiańskie żywioły.)

Pewnego zmierzchu, kiedy zatrzymali się nad jakimś strumieniem, gdzie Jolsippa krztusił się i nadymał, by rozpalić ognisko, a Kassafa stała nad nim, dokuczając mu złośliwie, powiał nagle zimny i upiorny wiatr. Obojgu serca podskoczyły do gardła.

- Ktoś idzie skrajem lasu - wydyszała Kassafa.

- Nie, nie - zaprzeczył Jolsippa przesadnie buńczucznym tonem. - Nikogo tam nie ma.

A po chwili zdało się im, że wielki ptak zwinął śnieżnobiałe skrzydła i stał przed nimi Pan Śmierć, wspaniały, wszechobecny i straszliwy.

Kassafa zemdląca, a w każdym razie osunęła się na ziemię i starała się stracić świadomość, co nie do końca się udawało. Pana Śmierć widziała przez rzęsy i cienie. Budził w niej obłąkańczy strach, ale dostrzegła również jego piękność. Doceniła ją, jak zawsze.

Jolsippa płaszczył się i przymilał. Oświadczył, że zawsze uwielbiał Pana Śmierć i uczyni wszystko, co ten uzna za najlepsze.

Pan Śmierć powiedział:

- Nie na już na Ziemi żadnych nieśmiertelnych ludzi prócz was dwojga. Czy sądzicie, że możecie mi umknąć? Jestem tutaj.

- Twój widok jest nam miłszy od słońca - upewnił go Jolsippa.

- Nie mogę położyć kresu waszym żywotom - rzekł Pan Śmierć - i nie na tym polega moja rola, choć nie jestem już taki, jakim byłem, bo teraz widok czyjejs śmierci sprawia mi rozkosz, odnawia mnie. Lecz wy. Co mam z wami począć? Nie spocznę, póki nie rozwiążę tego problemu.

- Cała ludzkość dygoce ze strachu u twoich stóp, na sam dźwięk twojego imienia - powiedział Jolsippa. - Tak bardzo ci na nas zależy?

- Tak - rzekł Uhlum, Pan Śmierci.

- A więc - zaczął Jolsippa, starając się poskromić drzenie, które nim miotало - weź nas na swoją służbę. Bez wątpienia możemy ci być użyteczni, choćby w najlichszy sposób. A kiedy nasze imiona zostaną powiązane z twoim, ludzie przekonają się, że nie uniknęliśmy twojego potężnego ramienia, upewnią się, że istniejemy tylko dzięki tobie. Przecież nie jesteśmy twoimi wrogami, o niezwykły panie. Zostaliśmy po prostu wplątani w machinacje innych osób. Mnie, na przykład, podstępem zmuszono do wypicia Elikseru Życia...

Kassafa błyskawicznie odzyskała zmysły. Usiadła i spojrzała na Pana Śmierć zuchwale, choć z lękiem.

- Żyrek czarnoksiężnik był twoim pośrednikiem. Ja też nim będę. Masz wiele spraw z ludźmi, pośrednicy będą ci potrzebni. Pamiętaj też, że będę żyła wiecznie, tak jak ty, więc wybierając mnie postąpisz logicznie. Prócz tego służyłam już pewnemu bogowi, a Śmierć również jest bogiem, na swój sposób. Mam doświadczenie w takiej służbie. Nie wiedziała, bo skąd mogła wiedzieć, że proponuje swoje usługi temu samemu „bogowi”, którego już raz obrzuciła obelgami i od którego uciekła, bowiem to właśnie Uhlum był czarnym bogiem z ogrodu Weszumu.

Uhlum spoglądał z góry na Kassafę. Może przez ułamek chwili ujrzał na jej miejscu Lylas, tę, która teraz skradała się za plecami kobiety o niebieskiej skórze, Narasen. Jak to się wszystko zmieniło. Uhlum, nieczuły i nieubłagany Uhlum, miękł wewnątrz na samą wzmiankę o śmiertelności.

- Poszukiwałaś bohatera - rzekł do Kassafy.

- A czyż jest większy bohater od Pana Śmierci? Nie kłamała i wiedziała o tym. Nagle zrozumiała, że stoi przed nią ktoś, kogo imię jest wieczne, niezniszczalne, ktoś, z kim można powiązać swoje imię na zawsze. Któż odważyłby się rzucić kamieniem w Kassafę, Służebnicę Śmierci? I już teraz, kiedy jeszcze drżała ze strachu, nie wiedząc, jaką usłyszy odpowiedź, pomyślała, że poprosi o nadanie jej imieniu odpowiedniego blasku, o odpowiednią świętą i bogactwa, tak, aby nie przynosiła wstydu jego osobie. Nikt, kto nie zrozumiał Śmierci, nie powinien mieć dostępu do skarbów ukrytych w grobowcach.

Uhlum wyciągnął ku niej kształtną czarną rękę.

Kassafa spojrzała na nią. A potem, z bijącym sercem, z źrenicami uciekającymi pod powieki, chwyciła tę czarną dłoń, a on pociągnął ją, aż stanęła na nogach. Jego dotyk nie mógł jej zabić, ale nie mogła mu się oprzeć. Poruszył ją, wstrząsnął nią.

- Pouczę cię - rzekł Uhlum - jakie będą twoje obowiązki.

Jego delikatne jak dym białe włosy musnęły jej policzek, kiedy się nad nią pochylił. Uczucie, które ją przepęłniało, nagle odnalazło swoje imię. Obdarzyła go swoją tułaczą miłością, która nigdy dotąd nie znalazła domu. Nie mogła już dłużej składać mu w darze wiarygodności swojego lęku. Podobnie jak Jolsippa, nie była już tą figurą woskową, jaką stawali się wszyscy mieszkańcy Simmuradu. Odebrały jej ten wygląd trudy i niebezpieczeństwa późniejszej wędrówki. Uhlum oferował jej cel, który - choć makabryczny - nadawał sens jej nieśmiertelnemu życiu. I Kassafa, przepęlniona uwielbieniem i poczuciem spełnienia, wyciągnęła się na palcach i złożyła pocałunek na wargach Uhluma, Pana Śmierci - gest, na jaki nie zdobył się jeszcze nikt w całej historii ludzkości. A Pan Śmierć, którego te wszystkie wydarzenia w pewien sposób zrównały z poziomem mężczyzny, odwzajemnił pocałunek, wpatrując się w nią z tajemniczą intensywnością.

Na widok tej sceny Jolsippa wybuchnął z charakterystycznym dla siebie brakiem taktu:

- A ja, zdumiewający panie? Co ze mną?

- A on? - zapytał Uhlum Kassafy.

A ona, spoczywając w pierścieniu jego ramion, wyszeptała:

- Och, niech mi towarzyszy, jeśli jest w stanie. Może kierować słońcami... bo chyba pozwolisz mi mieć słońce?

Nocą Uhlum przemierzał równiny i wzgórza Ziemi.

Teraz bywał tu często. Przechodził przez świat jak czarny ton w ciszy, podczas gdy białe tony jego włosów i płaszcz igrwały tuż za nim. Czasem wlokła się za nim jakaś nocna mara o zielonej twarzy, ale zwykle wędrował samotnie.

Oczywiście nie poślubił Narasen, ale prawdą było, że królowała w Śródziemni. Zbudowała sobie pałac i obwiesiła go skradzionymi lampami ze złotego filigranu. Umarli raz po raz zapominali o Śmierci i przybiegali do niej, zebrząc o jej łaski. Królowa Śmierć. Zagaśnięcie słonecznego blasku Simmu wzmogło jej blask, jakby żywiła się jego ciałem lub jego duszą, a także, w pewnej mierze, Uhlumem.

Prawdopodobnie Uhlum miał wciąż dosyć mocy, by ją ujarzmić, choć nigdy tego nie czynił. Może nadal ulegał jej jawnej, zupełnie nieprawdopodobnej zuchwałości, podobnie jak uległ jej na samym początku. A może było inaczej, może dla Uhluma, którego duch sięgał eonów, to zuchwałe wyzwanie nie miało większego znaczenia... ot, żądło pszczoły, kilka milionów lat - chwilka gorzkości.

Jakkolwiek było, teraz często porzucał swoje małe królestwo, Śródziemnie, przekładając nad nie inne, większe - świat żywych, do którego Narasen nie miała wstępu. I ten świat przemierzał, wzdłuż i wszerz.

A czasami, kiedy słońce tego świata wykrwawiło z siebie życie, Pan Uhlum słyszał najłżejszy z dźwięków - dźwięk krosna mruczącego gdzieś w głębi garnca wypełnionego mrokiem.

Powleczona blaskiem gwiazd, otulona przyćmioną aurą równina nabrała zadziwiającej miękkości. Na wzgórzu, za płonącymi pochodniami, drzwi z czerwonej laki stały otworem, w którym uśmiechało się do ciemności jedwabiste, liliowoczerwone światło.

Kassafa powstała od krosna. Nie uklękała, jej posłuszeństwo i uwielbienie wyrażało się w samych oczach, których barwa zmieniała się płynnie, od bursztynu, przez hiacynt, do najczarniejszego granatu.

Nie było w tym domu tronu z kości dla Uhluma. To Kassafa usiadła, a on, Pan Śmierć, położył się u jej stóp i złożył głowę na jej łonie. Poddał się znużeniu tysiąca stuleci. Czemu nie?

A kiedy odpoczywał tak w ciszy, a ona gładziła mu skronie łagodnymi palcami, dziwna płaska Ziemia żyła swoimi zwykłymi, nocnymi sprawami.

KONIEC